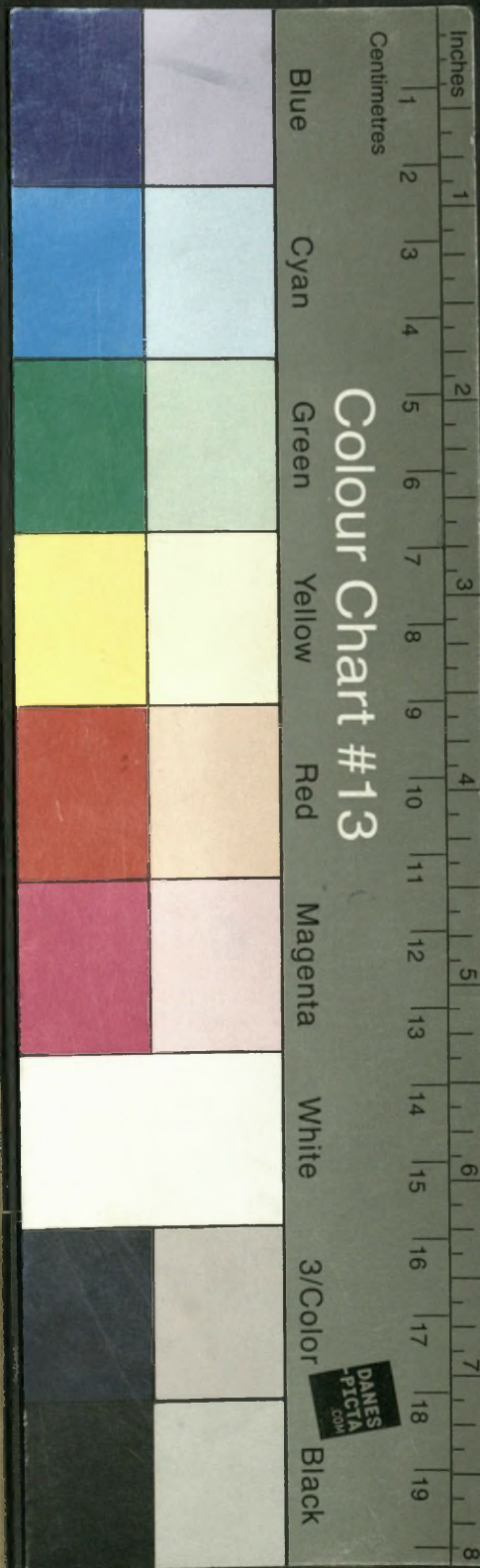
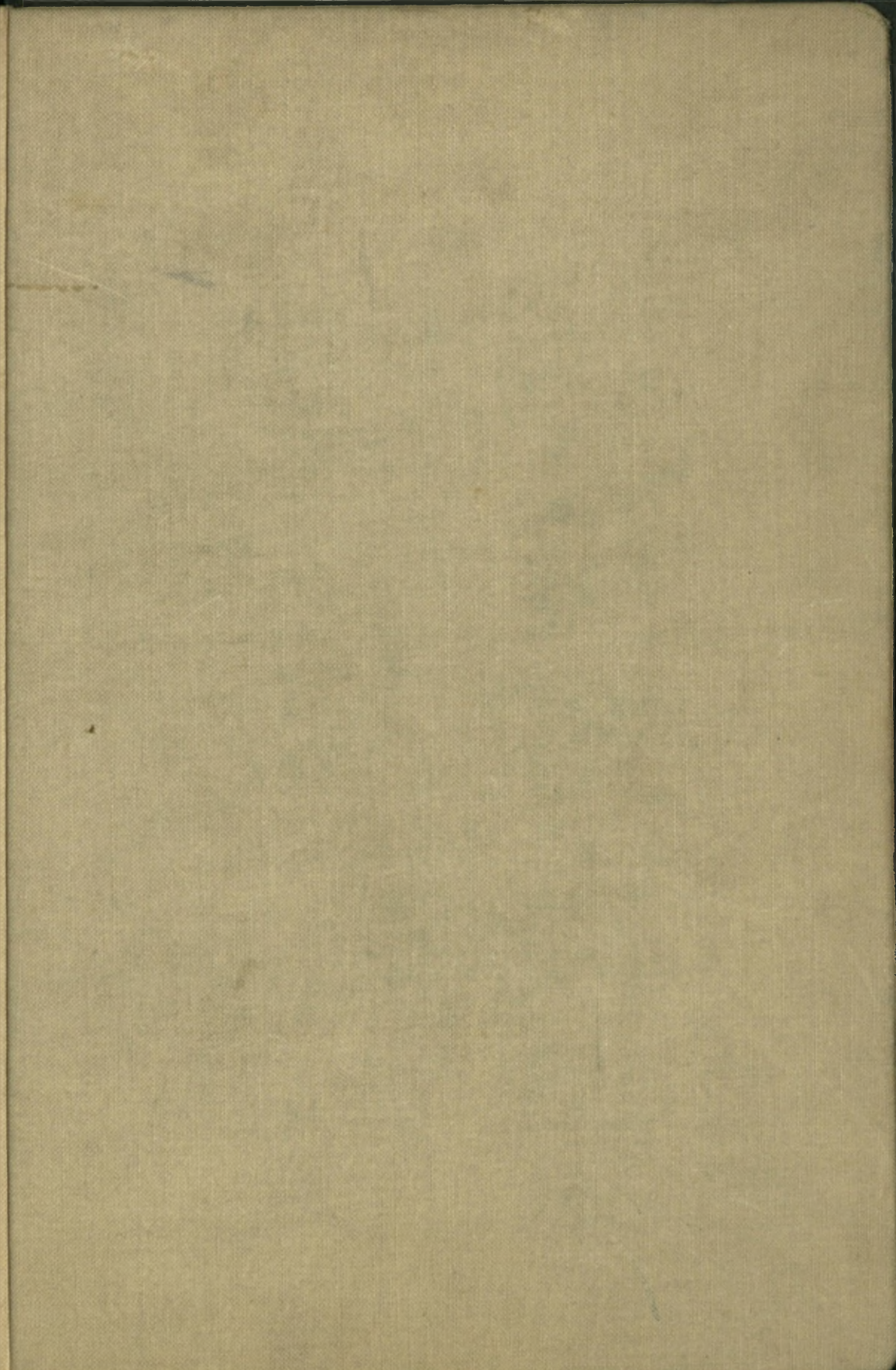


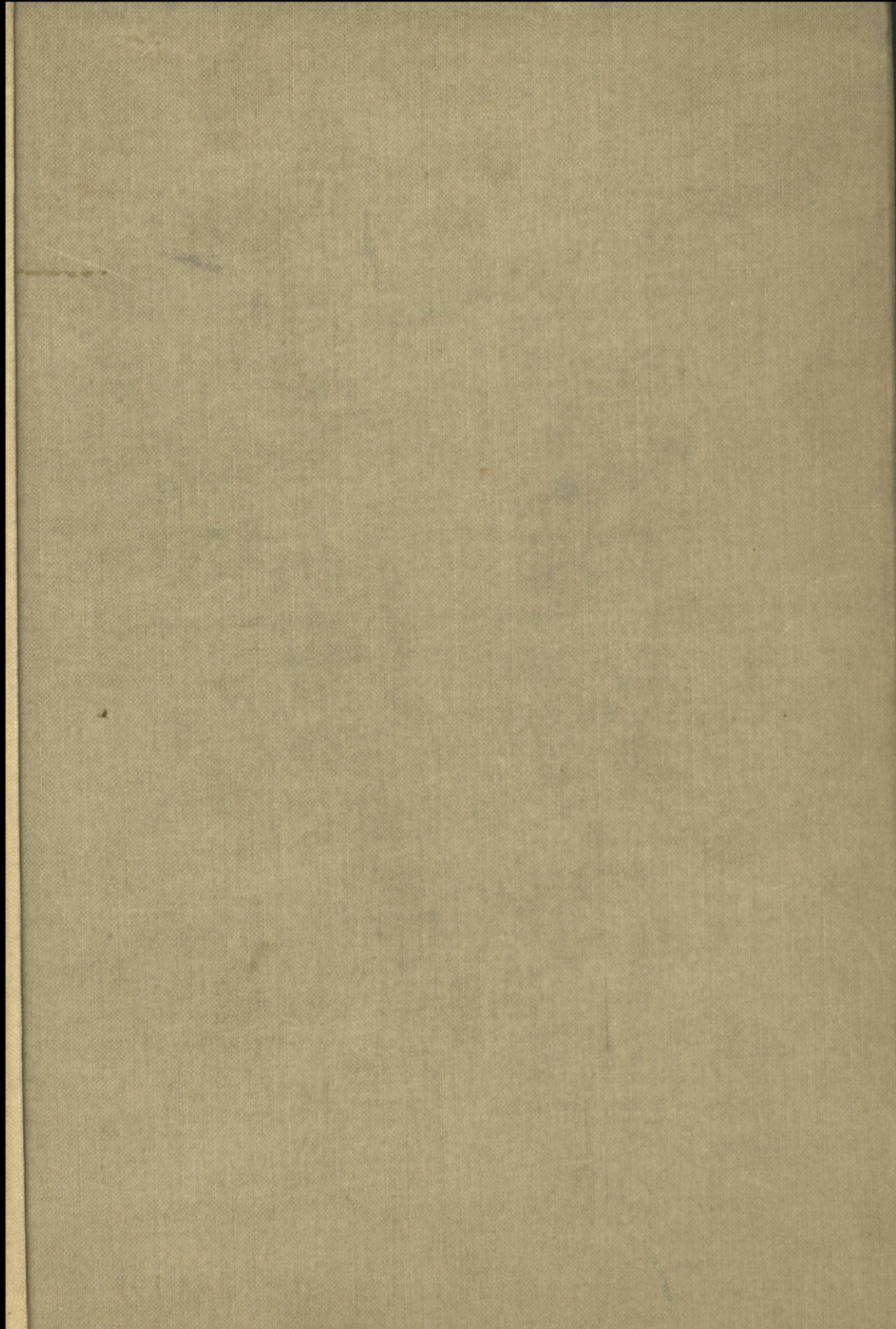
Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





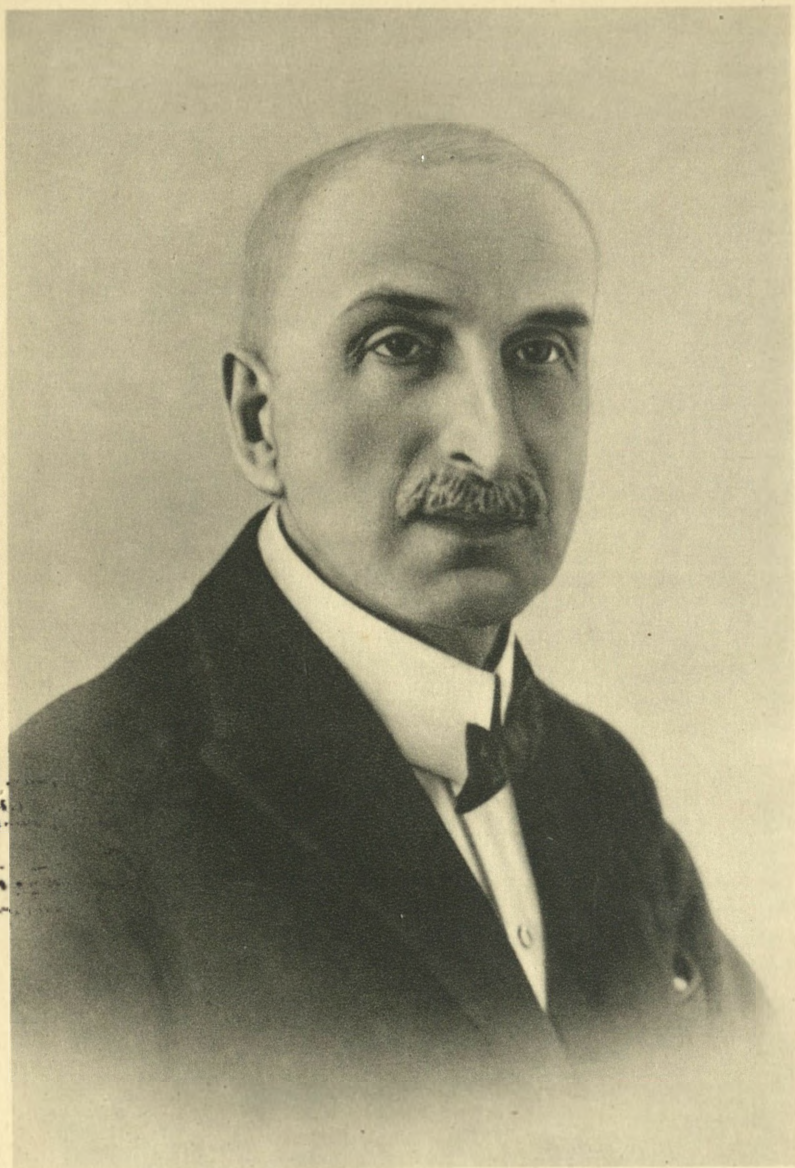




SZKICE I PORTRETY

*J. Słowacki*





*Foto Karol Pęcherski, Warszawa*

*Prof. Szymon Askenazy (1923)*



601  
S Z Y M O N   A S K E N A Z Y

# SZKICE I PORTRETY

(W Y D A N I E   P O Ś M I E R T N E)

PRZEMÓW



WARSZAWA

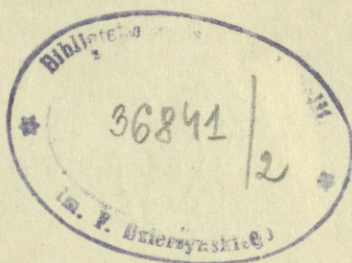
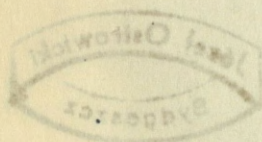
NAKŁADEM INSTYTUTU WYDAWNICZEGO  
„BIBLIOTEKA POLSKA“ S. A.

1937



93(438)

Wszelkie prawa zastrzeżone  
Copyright by Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska”  
Warszawa 1937



---

Drukiem Zakładów Graficznych „Biblioteka Polska” w Bydgoszczy



## PRZEDMOWA

„Historja — pisał Szymon Askenazy w szkicu o Tadeuszu Korzonie — obok dostojęństwa swego w znaczeniu jednej z wielkich gałęzi wiedzy humanistycznej, jest równocześnie jednym z najpoważniejszych rodzajów służby publicznej. Zaś dla żadnego bodaj narodu obecnemi czasy (rzecz pisana w 1912 roku) w takim nie jest nią stopniu, jak dla naszego, któremu pełna i dokładna własnej przeszłości wiadomość jest wraz lekarstwem, a kordjałem, przestrogą, a otuchą, jest żywym zgoła społecznikiem bytowania wśród ciężkich terażniejszości przepraw i granitową poręką zaćmionych przyszłości losów. Dużej miary historyk polski jest też czemś więcej jeszcze, niż prostym, użytecznym nauki swojej pracownikiem: jest dobrym, niezbędnym sługą narodu“.

Taką była rola historii w Polsce w dobie, poprzedzającej wyzwolenie, i tak pojmował Askenazy powołanie własne.

\*       \*       \*

Urodził się 24 grudnia 1867 r. w Zawichoście, potomek rodziny o wielowiekowych tradycjach, liczącej wśród protoplastów, przybyłych niegdyś z Hiszpanji, znakomitego lekarza Zygmunta Augusta i zarazem wybitnego dyplomate, Salomona Askenazego.

Szkolne lata i uniwersyteckie spędził Askenazy w Warszawie. Obok studiów prawniczych podejmował historyczne; od zagadnień ustrojowych, teoryj i prądów politycznych przechodził



do historii politycznej, przez nią porwany. Osiemnastoletnim młodzieńcem rozpoczął twórczość historyczną rozprawą o Mablym (pisana 1885 r., ogłoszona 1886 r. w „Ateneum“).

Ukończywszy w 1887 r. prawo w Warszawie (rozprawa o „Polityce encyklopedystów“), po dwuletniej tu praktyce sądowej, poświęcił się wyłącznie studjom historycznym. W roku 1893, za radą Pawińskiego, udał się na uniwersytet do Getyngi, gdzie uzyskał w 1894 r. stopień doktorski *cum laude*, przyczem na dyplomie wywalczył sobie określenie narodowości: *Polonus*. Był uczniem Lehmana, uczonego głębokiego i światłego, o wielkiej niezależności duchowej i prawości w sądach, o poglądzie bezstronnym nawet na sprawy polskie. Wpłynął on silnie na Askenazego, który długą wdzięczności dlań nigdy nie miał zapomnieć; jego też pamięci poświęci ostatnią ze swoich prac drukowanych za życia, artykuł w „Kurjerze Warszawskim“ z okazji zjazdu międzynarodowego historyków 1933 roku, jakby pęk kwiatów, rzucony na odległy grób mistrza.

Tom młodzieńczych „Studjów historyczno-krytycznych“ poszedł do druku w 1893 roku (wyd. 1894). Jednocześnie ukazała się dysertacja doktorska: „Die letzte polnische Königswahl“ (Göttingen, 1894 r.). Za nią szły, drukowane w „Ateneum“, w „Bibliotece Warszawskiej“ i w „Kwartalniku Historycznym“, liczne rozprawy dalsze; zczasem najważniejsze z nich zebrane będą w dwóch tomach „Dwóch stuleci“, a pomniejsze, wraz z essayistycznymi artykułami „Tygodnika Ilustrowanego“, różnych wydawnictw zbiorowych, przedmowami do wielu książek, złożą się na trzy tomy „Wczasów historycznych“. W historiografii polskiej błysła nowa gwiazda.

Niezmieennie szybko zdobył Askenazy uznanie świata historycznego. Rzecz znamienna, najbliższym się stał dwóm znakomitym uczonym, ludziom z doby styczniowej, z tych, którzy wiele się nauczyli, ale niczego nie chcieli zapomnieć, ani niczego się wyrzekać. Jednym był Tadeusz Korzon, z którym przyjaźń przetrwała, poprzez rozdziewięki w poglądach na Polskę napoleońską, aż do zgonu czcigodnego dziejopisarza Kościuszki. Drugim był Tadeusz Wojciechowski, który, przy poparciu „czerwonego księcia“ Adama Sapiehy, zaprosił Askenazego na Uniwersytet lwowski, habilitował w roku 1897, a później katedrę dlań wywal-



czył. Wielu przedstawicieli możnych rodów wyróżniało go ostentacyjnie i otwierało mu naościę archiwa rodzinne. Darzył go sympatją arcybiskup Popiel i w największej tajemnicy posługiwał się wiedzą i piórem uczonego różnowiercy w obronie Kościoła katolickiego przeciw uciskowi rosyjskiemu. Zarazem zaś, nigdy nie zapierając się polskości i sprawy polskiej, zdołał jednak Askenazy znaleźć drogę do najwplywowszych sfer petersburskich. Minister spraw zagranicznych, książę Łobanow Rostowski, kazał otworzyć mu archiwum swego ministerjum. „Ten z góry przykład rozwarł niebawem inne archiwa petersburskie, potem moskiewskie i najnieodostępniejsze dla Polaka warszawskie” — wśród nich nawet archiwum Sztabu Generalnego. Otworzyły się tem samem możliwości, jakich nie mieli dotąd historycy polscy w zakresie dziejów nowożytnych.

\* \* \*

Znamy pogląd Askenazego na powołanie historyka. Dodajmy co pisał o Albercie Sorelu: („Wczasy historyczne“, II, 368) „Jest historykiem w pełnem pojęciu tego słowa, to znaczy w jedynie zdrowem, potrójnem a najściślej zespolonem pojęciu: naukowem, pisarskiem i obywatelskiem. Z takiego dopiero doskonałego zespołu wyrasta ów piękny owoc, jeden z najdojrzałych, najwyborniejszych, jakie wydaje humanistyczne drzewo poznania: historia prawdziwa... Jednoczy on surową gruntowność badania, wytworną sztukę pisarską, niezawisłe zdanie moralno-dziejowe“. Takim chciał mieć Askenazy własny swój zawód historyczny. Tylko, że w miejsce mglistego pojęcia obowiązku „obywatelskiego“ (tak wypadało wyrażać się za najlepszych czasów cenzury) stawiał w rzeczywistości — jak widzieliśmy wyżej — inne, konkretniejsze: służby narodowej.

Historyk ma ścisłą pracą badawczą dochodzić prawdy o przeszłości; ma przez sztukę pisarską prawdę tę uczynić dostępną myślącemu ogółowi swoich współobywateli, możliwie ogółowi swoich współczesnych; ma przez to służyć dobru ogólnemu, z przeszłości wydobywać światła rozjaśniające teraźniejszość, wskazujące drogę w przyszłość. Ale biorąc na się zadanie mistrzyni życia, historia nie może cofać się przed zbadaniem dziejów



najnowszych, nie może czekać „aż się przedmiot świeży jak figa ucukruje, jak tytoń uleży“. Właśnie zaś były to czasy, gdy historjografia polska odwrócona była od dziejów najnowszych. Kwestja polska zdawała się zabita, przestała być aktualnem zagadnieniem międzynarodowem. Ale co najgorsze, przestała być zagadnieniem międzynarodowem w świadomości samych Polaków. Jeśli w dziedzinie historii wewnętrznej Polski doby rozbiorów Korzon wzniosł w latach dziewięćdziesiątych imponujący gmach swego wielkiego dzieła, to dzieje zewnętrzne Polski stanisławowskiej leżały odłogiem; cóż dopiero dzieje porozbiorowe, od których odwrócono się z goryczą, ogarniając całe w potępieniu romantycznych złudzeń i *liberum conspiro*. Uarty był wśród historyków pogląd, że sprawy te do badania naukowego nie dojrzały. Zostawały dziedziną sporów pamiętnikarskich i publicystycznych, narracji popularnej, patryjotycznych czytanek.

W tę dziedzinę, zaniedbaną przez historjografię naszą, wkroczył Askenazy przez swoje studja. Upomniał się o nią (nie po raz pierwszy) w roku 1900 na III Zjeździe Historyków Polskich w Krakowie: „Jest czas najwyższy wziąć się nareszcie na całej linii, z całym wytężeniem, z całym impetem do pełnej i szczerej roboty naukowej koło dziejów porozbiorowych. Są one u nas, i tylko u nas, ciągle uważane niemal za spółczesność, jeszcze nie-dojrzałą dla umiejętnych badań; są ciągle ostrożnie omijane, niby czysta, żarząca się polityka.... Tutaj jest pusty wyłom, który opatrzyć potrzeba... Potrzeba nasamprzód, i to główne, dla oświecenia własnego ogółu... Potrzeba powtóre, i to także dosyć ważne, dla oświecenia obcych. Europejska wytwórczość naukowa w zakresie dziejów t. zw. najnowszych, t. j. odpowiadających naszym porozbiorowym, ostatnimi czasy wzmogła się niesłychanie i wzmaga się coraz bardziej. Na szalę historycznego sądu o tych dziejach Niemcy, Rosjanie, Francuzi, rzucają bez przerwy całe łaszty imponujących wydawnictw i opracowań źródłowych największej wagi. My sami tylko nie kładziemy nic, albo prawie nic... Skutki takiego stanu rzeczy są oczywiście opłakane. *Les absents ont toujours tort*... W nauce, jak gdzieindziej, trudno wymagać, zwłaszcza dzisiejszemi czasy, sprawiedliwości zaocznej...“ To był dla Askenazego punkt wyjścia olbrzych-



miej pracy nad historją Polski ostatnich dwóch stuleci, przede-  
wszystkiem nad historją najnowszą.

W 1900 roku ukazało się „Przymierze polsko-pruskie“, przygo-  
towane jeszcze w r. 1897, jako rozprawa habilitacyjna. Przed-  
tem, w szeregu rozpraw i szkiców z doby głównie saskiej i stani-  
sławowskiej, rzucił Askenazy na dzieje naszego upadku nowe  
światło. Po pierwsze, traktował je z większą, niż ktokolwiek  
z jego poprzedników, znajomością dorobku historjografji obcej  
i źródeł obcych. Po drugie, traktował je w ścisłym związku  
z historją powszechnoeuropejską, stosował stale kryteria poró-  
wnawcze; patrząc na upadającą Polskę, ogarniał odrazu wzrokiem  
stan wewnętrzny innych państw i społeczeństw współczesnych.  
Było panującym poglądem, że Polska upadła z własnej winy,  
że rozbiory były zasłużoną za nie karą. Z historjografją pruską  
czy rosyjską schodziła się w treści, choć nie w pobudkach takiego  
wyroku, własna historjografja polska. Gdy Korzon wznosił  
przeciw tym poglądom gmach swoich „Dziejów wewnętrznych“,  
Askenazy wskazywał na to, że objawy rozkładowe, u nas wystę-  
pując, występowały w innych współczesnych ustrojach pań-  
stwowych, w innych społeczeństwach; że Polska nie była wy-  
jątkiem; że było w niej wiele złego, ale wszystko to złe nie uzasad-  
niało wyroku zagłady, ani nie było jej główną *causa efficiens*;  
że główna przyczyna była gdzieindziej, nazewnątrz. I tutaj  
z potężnym materiałem dowodowym, wydzieranym obcym  
publikacjom i archiwom, demaskował systematyczną przez  
całe to stulecie robotę Rosji, zmierzającą do zawładnięcia Polski,  
robotę Prus, zmierzającą do jej rozszarpania; wyświetlał za-  
mierzenia, plany, zakusy dwóch głównych rozbiorców. Stwier-  
dzał, że powodzenie tych robót było uwarunkowane występ-  
nem współnictwem lub obojętnością innych mocarstw w związku  
z ogólnoswiatową konstelacją polityczną, że upadek Polski był  
grzechem Europy i jej klęską.

„Przymierze polsko-pruskie“ było całej tej serji studjów  
uwieńczeniem i zamknięciem. Było zarazem — wbrew Kalince —  
porywającą apologją polityki Sejmu Czteroletniego, podykto-  
wanej przez wolę narodową odzyskania niepodległości.

Rzecz p. t. „Pożegnanie stulecia“ (1901), o pierwszym trzy-  
dziestoleciu XIX w. (dalej iść nie pozwalały warunki cenzuralne),



zaczynała się imponującym, syntetycznym wywodem o zewnętrznych przyczynach upadku Polski, z uwydatnieniem zasadniczej: śmiertelnej walki francusko-angielskiej i za tem idącej „nieobecności Europy“. Otwierała zarazem serję prac z historii porozbiorowej, oddawna poprzedzonych już mnóstwem pomniejszych rozpraw i szkiców. Tak szkicem: „Z działalności ministra Lubeckiego“ (1897) Askenazy odsłonił walki, staczane przez tego patrona prądów ugodowych i pracy organicznej o samoistny byt państwowy Królestwa; w studjum „Z działalności ministra Wielhorskiego“ (1898) sięgnął w głąb dziejów wojskowych polskich lat 1812—1816 i dał ekspozycję dramatu wojska polskiego doby Kongresowej. Dojrzewały dalsze, wielkie już dzieła z tejeż doby między trzecim rozbiorem a rewolucją. Pierwszą z nich był „Książę Józef Poniatowski“ (pierwsze wydanie 1905, czwarte 1922, już poświęcone wojsku polskiemu). Historyk rozświetlił tu po raz pierwszy całość dziejów naszych doby napoleońskiej. Pisarz stanął u szczytu artyzmu. Patrjota dawał narodowi wizerunek bohatera, ku któremu żywiła Polska „miłujące upodobanie“, i ukazał jak wśród kataklizmów dziejowych polot rycerski Polaka wskazywał mu drogi do wyzwolenia i wielkości. Rehabilitował tę cechę duszy polskiej, potępioną tak surowo przez historyków ostatnich dziesięcioleci; dowiódł, że ten polot rycerski trafniej niekiedy prowadził, aniżeli mądrość polityczna statystów. „Książę Józef Poniatowski“ była to podjęta w dziedzinie historii obrona idei zbrojnego czynu; przywracającego imię polskie i wskrzeszającego państwo.

W roku 1907 w „*Cambridge Modern History*“, a zarazem jako książka osobna po polsku ukazała się syntetyczna, kompendjalna rzecz Askenazego: „*Rosja — Polska, 1815—1830*“, w następnym zaś roku dwutomowa monografia „*Łukasinski*“. Po latach, w przedmowie do drugiego, pełnego jej wydania z r. 1929, wypowiedział się Askenazy o genezie obu tych dzieł: „Duszno wtedy, niezdrowo było w Królestwie. Z popieliska krótkich złudzeń szło zwątpienie i rezygnacja. Carska Rosja po przebytem wstrząśnieniu znów niezmogoną stawała się potęgą. Nierozłączność z nią Polski stawała się aksjomatem, samorząd celem, zaś konstytucyjny ongi byt Kongresówki rajem utraconym i niedościgłym ideałem. Owóż wydało się potrzebnem uderzyć



historycznie w tę fikcję i to *a fortiori* ponad samorzady czy autonomje, w sam najgórniejszy, przedstuletni jej punkt wyjścia. Trzeba było, inne odkładając prace, obnażyć do cna ów ideał, ów raj kongresowy... Tam, w najczarniejszej głębi, w podziemiu nadnewskim, w ręku wszechmocnego wroga, konający mówił wyznawca: Polska koniecznie musi być i będzie odłączona od Rosji... nie może być nietylko pod rządem, lecz i pod wpływem Rosji". Niebawem, dodajmy, zarządzeniem losu przedśmiertne zapiski Łukasińskiego z tem wyznaniem wiary nieugiętej, z prorocstwem, w którym zapowiadał wojnę światową, rewolucję proletariacką i straszliwy upadek Rosji, przechowywane pod osobistą carską pieczęcią, zakomunikowano łaskawie historykowi polskiemu w urzędowym, uwierzytelnionym odpisie, sporządzonym przez władze carskie. A chociaż nie wszystko z tej zdumiewającej spuścizny męczennika mogło wejść do książki, i tak treścią ocierającą się niemal o zbrodnię stanu, treść ta była wyraźna. Nauka historyczna zadawała cios okropny złudzeniom neougodowym, neoslawistycznym, autonomistycznym, materialistycznym teorjom organicznego wcielenia, wszystkiemu, czem dławiała się polska świadomość polityczna 1907—1908 roku.

Zdawna studjował Askenazy genezę Królestwa Polskiego. Zdawna pociągała go wielka, na miarę antyczną postać księcia Adama. Wydał teraz jego dziennik osobisty z lat 1813—1815, niesłychanie doniosły dla genezy dzieła kongresowego i rzucający snop światła na dalsze dzieła tego losy. Komentarz do zapisek Czartoryskiego uczynił z tej publikacji jakby nową monografię. Wrócił do tychże dziejów w związku z dziełem Smolki o „Polityce Lubeckiego“ w dużej rozprawie „Na rozdrożu“ o przełomowej dla Polski dobie pomiędzy katastrofą wojenną 1812 roku, a zupełnym zalewem Księstwa przez Rosjan i wyjściem wojska polskiego na Zachód. Wykazał tu, wbrew Smolce, trafność decyzji Poniatowskiego, pełną zasadność jego niewiary w intencje rosyjskie co do kraju i wojska, rozczarowania własne w tym względzie księcia Adama. Raz jeszcze bił w przedstuletnią politykę ugody, rehabilitował przedstuletnie działania „ludzi szalonych“.

Po szeregu doniosłych prac fragmentarycznych dojrzał owoc studjów kilkunastoletnich, wielkie dzieło o „Napoleonie



i Polsce“, przedstawiające losy Polski w dobie podobnego kataklizmu światowego, losy kwestji polskiej, pogrzebanej, a wypływającej raz po raz na porządek dzienny, aż wreszcie, gdy wojna dosięgnęła ziem polskich, nagle narzucającej się światu; politykę mocarstw, odzęgnujących się od natrętnego widma Polski; politykę Francji rewolucyjnej i dyrektorjalnej, skłonnej wygrywać tylko atut Polski dla rozsądzenia koalicji i ułatwienia sobie odrębnych układów pokojowych z tym lub owym z pośród rozbiorców; rolę mocarza, który mieczem rozdarł traktaty podziałowe, w Polsce ujrzał „klucz europejskiego sklepienia“ i uznał, że odbudowanie jej jest wspólnym, powszechnym interesem Europy, która bez Polski nie ma granicy od Wschodu. Miało dzieło to uczyć o znaczeniu faktów dokonanych w dziele odbudowy państwa, o znaczeniu zwłaszcza reprezentacji jego wojskowej na międzynarodowej widowni, o wadze miecza, rzuconego na szalę wydarzeń. Czyny Dąbrowskiego i Poniatowskiego, wydarte romantycznej legendzie, przestawały być szlachetną pomyłką, stawały się nauką i przykładem.

Ukazało się największe dzieło Askenazego, częściowo w ostatnim roku Wielkiej Wojny, w okupowanej Warszawie. W przydanej przedmowie historyk podkreślał trwającą polityczną aktualność przedmiotu. „Z pokrewnych przesilen i zagadnień pokrewne płyną wskazówki“. Ale podkreślał zarazem, że gorzkie wywody o stosunku Francji do upadku Polski pisane były przed wojną; że „nakreślone w pokojowym czasie, wobec Francji szczęśliwej, nie mogą one być źle zrozumiane w obliczu krwawiącej. I dalej — rzecz pisana w kwietniu, gdy Niemcy szli na Paryż — oddawał hołd „w szczęściu, a tembardziej w nieszczęściu, wielkiej przodownicy świata nowożytnego i szczytnych wszechludzkich ideałów postępu, ładu, prawa i wolności“. Tu na najwyższym moralnym poziomie stanął historyk, jako sędzia dziejów.

Dzieło jego pozostało niedokończonem. Ku innym sprawom ciągnęła chwila dziejowa. W walce politycznej zrodziła się propagandowa książka „Gdańsk i Polska“ (Warszawa 1919). Na marginesie „Uwag“, w sprawie narodowej rzucanych w czasie wojny, powstały całe studia o stosunku państw rozbiorczych do sprawy polskiej w toku wojny światowej i w ogólności o ich polityce, demaskując bezlitośnie, zawzięcie tajniki przedwojennej



i wojennej gry politycznej Berlina i Piotrogradu. Tak uzupełniony zbiór artykułów, szkiców, zapisek z czasów wojny, pomnik jasnowidztwa politycznego, najwznioślejszego patriotyzmu i imponującej wiedzy o najwspółczesniejszej historii, a zarazem bojowego, namiętnego temperamentu politycznego, był ostatnią dużą książką Askenazego. Przyszły potem już tylko przepięknie wydane, z komentarzem rewelacyjnym, rękopisy młodzieńcze Napoleona zabłąkane do zbiorów Kórnickich, do Polski.

\* \* \*

Znamionowała Askenazego jako badacza wielka rozległość horyzontów, niesłychana potęga pamięci, niezmierzona energia w dociekaniu prawdy, prawdziwe wirtuozostwo w heurystyce. Ogarniał wielkie kompleksy zagadnień, a tem samem masy źródeł, rozrzuconych po całym świecie, piętrzące się tem bardziej im temat był chronologicznie bliższym. Genjalna intuicja pozwalała mu wydzierać z tej powodzi źródeł, których systematycznie przerobić rzadko czas pozwalał, materiał poznawczy najcenniejszy; z śpiesznie przeglądanych dokumentów chwycić w lot treść najistotniejszą.

Jako historyk wnikał głęboko w odległe związki genetyczne; pojmował związki zjawisk ludnościowych, społecznych, gospodarczych z politycznymi; wchodził myślą w ducha epoki i środowisk ludzkich, z którymi się myślowo zespalał. Odrzucał jednostronną tezę Sybla, że nie instytucje, ale osobliwości rozstrzygają o losach narodów, odrzucał teorię „bohaterów“ Carlyle’a. Ale historia, byli to dla niego przedewszystkiem działający ludzie. Tych wskrzeszał w swoich dziełach, pragnąc ukazać ich, prawdziwych i żywych reprezentantów przeszłości. W tej sztuce wskrzeszania był mistrzem. Historyk łączył się tutaj z wielkim artystą. Miał Askenazy rozległe zainteresowania i upodobania estetyczne; miał talent muzyczny, muzykę kochał i rozumiał; odczuwał bardzo silnie przyrodę, a doznawanym wrażeniom dawał poetycki prawie wyraz; znajomością literatury pięknej dorównywał filologom, starą polszczyznę smakował jak stare wino. Twórczość historyczna była dlań zarazem twórczością artystyczną, szkic czy monografia dziełem sztuki.



Wrażliwość artystyczna kazała mu oddzielać aparat dowodowy od wykładu, żadnemi odsyłaczami nie upstrzonego. Przypisy na końcu jego książek, od tekstu nieraz obszerniejsze, wskazywały źródła bardzo niekiedy sumarycznie, nie ułatwiając nazbyt roboty krytykom i kontynuatorom; pełne były zato rewelacyjnych szczegółów i tekstów, ostrych wycieczek polemicznych, dygresyj, wyrastających czasem w całe rozprawy.

Styl jego, pełen uroczystej powagi w takim „Pożegnaniu stulecia“, przechodził w „Księciu Józefie“ w ton bohaterskiej powieści, w „Łukasimskim“ nabierał posępnej tragicznej wymowy, stawał się rozlewnie epicznym w wielu miejscach „Napoleona i Polski“. Był swoisty, własny, niekiedy trudny, bo rozsadzony przez treść, to znowu podbijający prostotą. Często zmuszony myśl swą przesłonić przed okiem czynowników rosyjskich, czy urzędników pruskich, albo austriackich, miał dar właściwy wielkim pisarzom naszym schyłku XIX wieku nawiązywania nici porozumienia z czytelnikiem ponad literami tekstu, co nadawało niektórym kartom jego dzieł urok swoisty. Umiał Askenazy paru słowami, suchą enumeracją paru faktów czy dat pogrążyć czytelnika w zamyślenie lub jednym zdaniem wstrząsnąć nim do głębi. Stopniowo, coraz to bardziej przechodził w poważny, lapidarny, treściwą i myślą nabrzmiały styl Tacyta.

\* \* \*

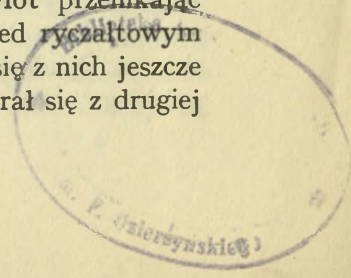
Historyk był zarazem twórcą szkoły. Od 1898 do 1914 roku wykładał we Lwowie (habilitowany 1897 r., profesorem nadzwyczajnym 1902 r., zwyczajnym 1907 r., w tymże roku członkiem korespondentem a w 1910 r. członkiem czynnym Polskiej Akademji Umiejętności). Rola jego nauczycielska była rewelacyjna. Przewrót wywołał wykład z katedry uniwersyteckiej o rzeczach bliskich (od czasów saskich aż do mikołajowskich), aktualnością nabrzmiałych, dotąd przez naukę uniwersytecką w Polsce prawie nietykanych, traktowanych zaś przezeń z aparatem źródłowym i krytycznym imponującym (bo wykładał zawsze jakby do młodszych kolegów-historyków, wtajemniczając w stan źródeł i badań, wprowadzając w zagadnienia sporne), z metodą, nie ustępującą ścisłością egzegezy metodzie takich mistrzów



historji średniowiecznej, jak sędziwy przyjaciel młodego nowożytnika, Tadeusz Wojciechowski. Działalność jego wychowawcza wychodziła poza wykłady i ćwiczenia seminaryjne. Niewyczerpany był w radach, wskazówkach, nad pracującymi twórczo rozrzucał najtroskliwszą opiekę. Przez jego wykłady, przez rozmowy jego z uczniami jak nie czerwona przewijało się pojęcie polskiej racji stanu. Siebie i swych młodych współpracowników uważał za sługi żywej wciąż Rzeczypospolitej. Pracom ich stawiał cele naraz poznawcze i bojowe. Czynił ich uczestnikami walki o sprawę polską, prowadzonej środkami, jakie daje nauka historyczna. Tak powstała szkoła historyczna Askenazego. Stworzył od 1902 roku jako organ jej dużą publikację „Monografij w zakresie dziejów nowożytnych“. Wydał w latach 1902—1919 osiemnaście tomów prac swoich uczniów; każdej z nich był nie tylko troskliwym wydawcą, ale współtwórcą, nad każdą trawił mnóstwo drogiego czasu, uzupełniając, poprawiając, przystosowując do wymagań naukowych, nadając formę właściwą. Każdą poprzedził przedmową, wprowadzając w świat książkę, a najczęściej i jej autora. Z uczniów jego kilkunastu jest dotąd czynnych w dziedzinie historji. Niektórzy stworzyli szkoły własne, w których znać, mimo oddalenia w czasie i wszelkich zaszłych odmian, działanie potężnego impulsu, jaki dał w zaczątku stulecia profesor lwowski swoim uczniom, od którego fala idzie dzisiaj przez trzecie już pokolenie historyków.

\* \* \*

Z tego, co powiedziano wyżej, oblicze ideowe Askenazego występuje dość wyraźnie; niewiele do tego dodać potrzeba. Był Askenazy patriotą polskim najwyższej próby. Kochał naród polski z całym jego dziedzictwem historji, tradycji, kultury. Nic, co polskie, nie było mu obce: ani sprawa opornych unitów, ani pruskich mazurów. Poglądów liberalno-zachowawczych, starał się z największym obiektywizmem ocenić przeszłość warstw, które tworzyły dzieje dawnej Polski. Na wylot przenikając grzechy ich stare, bronił ich jednak zawsze przed ryczałtowym wyrokiem potępiającym, pragnął, by wyzwoliły się z nich jeszcze wartości jak najwyższe na pożytek narodu. Starał się z drugiej



strony przeniknąć położenie masy ludowej polskiej, jej sprawy gospodarcze i społeczne, prądy, nurtujące jej świadomość zbiorową. W sprawach polityki zewnętrznej i wewnętrznej kryterjum był dlań interes narodowy, pojęty zawsze w duchu państwowym, jako polska racja stanu. Od szowinizmu był daleki. Ale nieustępliwym był i zawziętym, gdy szło o stan posiadania polski, o powagę Polski, o jej honor.

W obronie sprawy polskiej umiał się w potrzebie narazić i wystąpić bez względu na zależność w swych badaniach od liberalizmu tyłu dygnitarzy trzech mocarstw rozbiorowych. Czynił to nie tylko w dziełach historycznych, lecz także w śmiałych wystąpieniach publicystycznych, że wymienimy „Uwagi nad listem Polaka (Sienkiewicza) do ministra rosyjskiego“ (1904), publikacje przeciwko oderwaniu Chełmszczyzny (1907), w obronie polskości uniwersytetu warszawskiego (1905). Gdy zaczynał się polski ruch wojskowy, zapładniało go myślowo w dużej mierze wszczepione przez Askenazego przekonanie o roli twórczej dawnych legionów.

\*   \*   \*

Nadeszła wojna. Askenazy nie znalazł sobie miejsca w kraju. Wiedział, że Polska może powstać tylko przeciw Rosji. Nie wierzył, by mogła powstać z łaski Austro-Węgier i Niemiec. Za nic nie godził się z wątpliwym zjednoczeniem Polski przy wątpliwym samorządzie pod rosyjskim panowaniem. Ale nie godził się również na wątpliwą niepodległość, okupioną przez nowy rozbiór na rzecz Niemiec. Nie godził się z żadną z dwu orjentacyj, ścierających się w Polsce. Jak Sienkiewicz, Paderewski, Osuchowski poszedł na dobrowolną emigrację. Wraz z nimi znalazł się w Vevey w Komitecie Pomocy Ofiarom wojny, wraz z nimi stając ponad orjentacjami i obozami walczącymi w Polsce. Wraz z nimi upierał się przy rozwiązaniu sprawy polskiej integralnem, pozornie nieskończenie odległym od rzeczywistości lat 1915—1917, przy Polsce niepodległej i zjednoczonej. „Nie jestem — powtarzał za Staszicem — ani pruskim, ani cesarskim, ani moskiewskim, ale jestem najprzywiązawszym stronnikiem narodu polskiego“. W swych przez trzy rządy rozbiorowe ściganych



i konfiskowanych „Uwagach“ (grudzień 1915) ogłosił rzecz o „Woli Narodowej”, godną stanąć obok artykułów mickiewiczańskiego „Pielgrzyma”.

Rozumiał wagę i doniosłość wszystkich faktów dokonanych w dziedzinie budowy Państwa. Witał wszystko, co dźwigało sprawę polską jako międzynarodową. Buntował się przeciw wszystkiemu, co ściągało ją w dół, jako sprawę tego lub owego mocarstwa rozbiorowego. Gdy zaczęło się organizować państwo polskie, za Rady Regencyjnej, wrócił do kraju. Chciał być na miejscu, inspirować, radzić. Przyczynił się do znakomitych i odważnych posunięć Rady Regencyjnej w październiku 1918 roku, gdy zrzuciła z siebie kuratelę okupancką. Doczekał się w Warszawie wyzwolenia.

Na usługi Rzplitej zmartwychwstałej oddawał całą swą wiedzę ogromną, niebywałą znajomość zagadnień politycznych, czasów i ludzi, niebywałą orjentację w wielu środowiskach obcych i zaciętą, upartą wolę walki do upadłego o polską rację stanu. Danem mu było jako delegatowi polskiemu do Ligi Narodów (1920—23) walczyć z świetnym wynikiem o trzy sprawy wielkie: o sprawę Wilna, o sprawę Śląska, a wreszcie o sprawę uznania granic Rzplitej na Wschodzie.

Od dwunastu lat nieczynny już w służbie publicznej, odzywał się rzadko, krótkim artykułem czy odczytem; zachowywał wielką niezależność myśli i sądu, przejawiał właściwą mu wspałałą cywilną odwagę w mówieniu prawdy. Do ostatnich dni życia, z łoża ciężkiej choroby wydzierał się do służby Polsce, jej racji stanu, jej bezpieczeństwu, jej przyszłości; chciał być użyteczny; czuł się potrzebny. Odszedł jak bojownik wielkiej sprawy z wizją dalszej, koniecznej o nią walki.

Życie i twórczość jego streszczają się w słowach, wyrytych na grobowcu: „Walczył o Polskę niepodległą i zjednoczoną — służył wyzwolonej”.

\* \* \*

Tom niniejszy przynosi część spuścizny wielkiego historyka, książkowemi wydaniem dzieł jego dotąd nie objętej: krótkie szkice i portrety historyczne, powstałe w różnym czasie, jako odczyty, artykuły, przedmowy. Kilka z pośród nich ukazuje się

tu po raz pierwszy, z rękopisów: „O niektórych przedstuletnich zagadnieniach odbudowy“, „Przewodnicy myśli polskiej“, „Anglja i Polska“, „Czartoryski“. Po raz też pierwszy ukaże się skreślony niegdyś przez cenzurę rosyjską szkic „Wiktor Hugo a Polska“. Inne, rozproszone po czasopismach lub wydawnictwach zbiorowych, albo w osobnych broszurach, dawno wyczerpane, badaczom tylko dzisiaj dostępne, domagały się zebrania i oddania w ręce ogółu. Wybrano z pośród nich te, których treść ideowa i poznawcza nie została wchłonięta przez inne prace Autora, ani przekreślona przez ich postępy. Wśród pomieszczonych tutaj niejedyn odczyt lub szkic należy do bezcennych klejnotów polskiego piśmiennictwa historycznego. Nie okazało się możliwem wyposażenie ich w dowodowy materiał źródłowy tak, jakby uczynił to był sam Autor. Poprzestano na przypisach najzwięźlejszych, starając się dać zawsze wskazówkę co do proveniencji tekstu, ewentualnie jego bibliografji, a także w wielu wypadkach, co do genezy utworu.

Przygotowaniem „Szkiców i portretów“ do druku zajęła się żona zmarłego, Felicja Askenazowa, wraz z córką Janiną, oraz grono dawnych uczniów profesora: Włodzimierz Dzwonkowski, Natalja Gąsiorowska, Janusz Iwaszkiewicz, Marjan Kukiel, Henryk Mościcki, Bronisław Pawłowski, Eugenjusz Wawrzkówicz. Oddają tę książkę w ręce czytelników w przeświadczeniu, że ma ona do wypełnienia służbę nie tylko dla nauki polskiej, siejąc hojnie niespodziewane wiadomości, uderzające spostrzeżenia, zapładniając myśli, narzucając zagadnienia, pobudzając do badań, — lecz także, poprostu, dla narodu. Bo z szkiców tych, powstałych przeważnie na przedwiośniu niepodległości, przepojonych myślą o sprawie polskiej, czujną o nią troską, zawziętą wolą jej obrony, raz po raz bucha snop światła na przyszłość, rozświetlając drogi Rzplitej odbudowanej.

---









## O NIEKTÓRYCH PRZEDSTULETNICH ZAGADNIENIACH ODBUDOWY RZECZYPOSPOLITEJ.

### I.

Pierwszem zagadnieniem odnowy Polski było zagadnienie jej upadku. Był on przepowiadany oddawna. Znane są przeprogi Modrzewskiego, Skargi, Jana Kazimierza. Lecz tak samo państwa sąsiednie miały sobie przepowiadaną zgubę. W XVII w. Włoch Jovius głosił niechybny skon cesarsko-królewskiego żarłocznego, dwugłowego orła, „*che due becchi ha per meglio divorar*“, a w XVIII w., w kłęskowym początku Marji Teresy i końcu Józefa II, rozpadnięcie się Austrii powszechną było wyrocznią. Za Wielkiego Kurfürsta zjawilo się głośnie pro-roctwo, *vaticinium lehninense*, o zgubie Hohenzollernów i ich państwa, a sam Fryderyk Wielki w Testamencie politycznym bliskie wskazywał czasy, gdy „nie będzie mowy o Prusach i domu Brandenburskim“. Już Iwan Groźny, gdy u Elżbiety w Anglii prosił schroniska, liczył się z upadkiem Rosji; liczono się z pełną jej zagładą w XVII w.; z jej rozkładem po śmierci Piotra W. Jeszcze car Paweł w słynnym zwierciadlanem widzeniu kilku tylko miał oglądać następców w koronie, a ostatniego brodatego muzyka z okrwawionym w rękę toporem.

---

Odczyt wygłoszony na zebraniu ogólnem Warszawskiego Tow. Naukowego 1. XII. 1918 r. Rzecz nigdzie dotąd niedrukowana. Króciutkie streszczenie podano w „Roczniku Tow. Nauk. Warsz.“ 1923, XI 135—6.

Kassandrowe te przepowiednie, jak świadczy dzisiejszy  
 właśnie dzień strasznego obrachunku, nie na samej tylko miały  
 sprawdzić się Polsce. Jeśli na niej sprawdziły się najwcześniej, to  
 poprostu i głównie dlatego, że najbardziej była eksponowana,  
 przez swój skład, położenie, otoczenie. To była przyczyna  
 główna, *causa efficiens*. Do niej dopiero doszła pochodna: winy  
 własne. W takim też świetle i stopniowaniu widzieli tę spr-  
 wę ludzie Sejmu Wielkiego i powstania Kościuszkowskiego. Wi-  
 dzieli prostym rozsądkiem naprzód walny, zewnętrzny, sąsiedzki  
 czynnik przemocy. A potem nie zamykali też oczu na dodat-  
 kowy, wewnętrzny, spólczynnik grzechów. Obnażali Staszic  
 i Kołłątaj zbrodnie rozbiorców i obojętność dalszej Europy,  
 choć wraz nie szczędzili gorzkiej prawdy narodowi za bezrząd  
 państwowy, za krzywdę mieszczańską i chłopską. Sejm Wielki  
 i Insurekcja przedewszystkiem szły do walki nazewnątrz, choć  
 wraz wewnętrzną gotowały naprawę.

Zamiast tej prostej prawdy, podstawili rozbiornicy fałsz  
 przeważnej winy w Polsce upadającej. Tej fikcji poczęści uległa  
 przeczulona nieszczęściem dusza polska. Stąd doszło do samo-  
 biczowania. Wystawiano Polskę jako ostatnią z narodów grzesz-  
 nicę. To była wzniosła histerja, dogadzająca szlachetnym wy-  
 brańcom; lecz to był owoc niewoli. Potem przyszła skrajność  
 przeciwna: samochwalstwo. Wystawiało się Polskę jako naj-  
 pierwszą z narodów doskonałość. To prostaczy maksymalizm,  
 dogadzający ciemnym tłumom; to również owoc niewoli. Wolna  
 Polska nie chce być ani niższą od któregośkolwiek z największych  
 narodów świata, ani wyższą; chce być im równą. Nie trzeba  
 jej ani pokuty, ani pochlebstwa. Trzeba męskiej samowiedzy  
 swego prawa — i prawa do ojcowizny i obowiązku naprawy  
 społecznych niedomagań swoich.

## II.

Z zagadnieniem historycznem wiązało się terytorjalne.  
 Przedstuletni przewodcy Polski żądali oczywiście *restitutionem  
 in integrum*. Wynikało to z ich pojmowania dziejów narodo-  
 wych, jako bloku. Od tego pojęcia ostatnio silnie zбочono.



Nie poprzestano na tem, że z postępem czasu można i należy ów blok okrzesać. Zaczęto rozłupywać go na dwoje. Zaczęto przeciwstawiać zbawczą ideę piastowską zgubnej jagiellońskiej i stosownie okrawać odnowę terytorjalną. Jakgdyby dwóch wielkich Piastów Bolesławów nie zdobywało Kijowa. Jakgdyby Piastowie mazowieccy nie sprowadzali Krzyżaków. Jakgdyby Piast Kazimierz Wielki nie zrzekał się Śląska i Pomorza, nie zdobywał Chełmu i Lwowa. Jakgdyby Jagiełło krzyżackiego nie rozwałął Zakonu. Jakgdyby Jagiellończyk nie zdobywał Prus zachodnich i Gdańska. Lecz ten nawrót ku błogiemu Piastowstwu od niecnego Jagielloństwa, to nietylko jasna niedorzeczność, to znów plód niewoli.

Tak samo rzecz się ma z płynącym stąd terytorjalnem pojęciem t. zw. etnograficznem. To jest twór najjaśniejszej Katarzyny II. Ona pojęcie to żywcem wcieliła w trzech podziałach. Odcięła Polskę etnograficzną, jedną trzecią Rzplitej z Warszawą, Krakowem, Poznaniem i Gdańskiem oddała Prusom i Austrii, sobie zachowała dwie trzecie etnograficznie nie-polskie. Swoją zabór słynnem etnograficznem uświęciła orzeczeniem *ottorizzennaja wozweratich*. „Nie wzięłam — oświadczyła etnograficznie, wzięwszy pół miljona km. kw. — ani piędzi ziemi polskiej“. Ta nauka wielkiej carowej nie poszła w las. Pogłębił ją najznamienniej słowianofil Jurij Samarin w swej słynnej rozprawie o Polsce w 1863 r. Rozróżniał on tu między Polską narodowo-państwową, a Polską jako żywotnym czynnikiem kulturalnym, polonizmem. Pierwszą należy zamknąć wyłącznie w „granicach chłopskich“. Należy doprowadzić Polskę duchowo do takiego stanu wewnętrznego (*wnutrenniawo sostojanja*,) by ona sama z tem etnograficznem swoim pogodziła się skurczeniem. Wówczas nastąpi „unieszkodliwienie“ (*obiezwereżenie*) polonizmu. I wówczas Rosja może spokojnie wyrzec się Królestwa Polskiego i pozwolić na niepodległe państwo Polskie, pozbawione wszelkiej gwarancji trwałości (*procznosti*) i rozwoju.

Przedstuletni wodzowie Polski nigdy tej prokrustowej nie uznawali etnografji. Nie kwitowali Piastem za Jagiellona ani naodwrot. Kościuszko wyzwolił wraz Kraków, Warszawę i Wilno. Książę Józef odbierał Kraków i szturmował Smoleńsk. Dąbrowski odbierał Poznań i bronił Wilna. Fałszem jest jakoby

Sejm Czteroletni myślał oddawać Gdańsk i Toruń. Marszałek Małachowski najmocniej potem dopominał się od Napoleona Prus Królewskich i Gdańska. O Gdańsk dla Polski po upadku Napoleona zabiegał Czartoryski. Sami Gdańszczanie jeszcze za kongresu Wiedeńskiego błagali Anglię i Francję o nieoddanie ich zpowrotem w ręce pruskie. Kołłątaj żądał od Napoleona odboju Śląska i Litwy. Czartoryski życie swoje poświęcił sprawie odzyskania Litwy. Rewolucja listopadowa wybuchła nie o gwałty Konstantego, lecz o Litwę. Stary Kościuszko, skoro nie wróciło do Polski Wilno, nie chciał wrócić do kraju i wołał skonać samotnie na obczyźnie.

Rozumieli ci ludzie, że sprawa odbudowy Polski nie może być oparta na formule wyłącznie etnograficznej, ani nawet wyłącznie historycznej, lecz że oparta być musi na całej gamie, na kombinacjach czynników etnograficznych, historycznych, a wraz przyrodzonych geograficznych, kulturalnych, gospodarczych, że tego węzła nie daje się martwą rozcinać formułą, lecz rozwiązany być winien żywym wyrozumieniem.

Co znamionuje ujmowanie sprawy terytorjalnej przez tych ludzi wielkich, to jest, w przeciwieństwie do epigonów, ujmowanie jej pod kątem największego oporu. Oglądaliśmy ujmowanie jej pod kątem najmniejszego oporu, t. j. że liczący na odbudowę Polski przez Niemcy kwitowali z Poznańskiego, zaś liczący na odbudowę Polski przez Rosję kwitowali z Litwy, ba nawet z Galicji Wschodniej. Przystosowywano się. Z jednej strony proruskiej gadano o samych tylko hakatystach, jako wrogach Polski, — jakgdyby nie było Fryderyka i Józefa, Metternicha i Bismarcka, Hartmanów i Treitschków, Lamprechtów i Koppów. Z drugiej strony prorosyjskiej gadano o tak zwanej biurokracji; i to niby nie rosyjskiej nawet lecz niemieckiej, jakgdyby w Polskę nie walili wszyscy od Piotra carowie, Repniny, Suworowy, Karamziny i Puszkiny, Milutiny i Apuchtiny, Katkowi i Aksakowi, najrdzeńniejsi Rosjanie. Inaczej ci przedstuleni: tam naodwrot, ci co chcieli podnosić Polskę z Prusakiem, jak np. Dąbrowski, Wybicki, żądali od króla pruskiego insurekcji w Wielkopolsce, sejmku w Poznaniu i wojska polskiego. Ci co szli z Rosją, jak Czartoryski, żądali nasampierw Litwy, linji Dźwiny i Dniepru.



Nie powstało im w głowie za odnowę Polski przez Prusy kwitować z Poznania albo przez Rosję z Litwy i nawet Galicji Wschodniej.

### III.

Z zagadnieniem terytorjalnem wiązało się narodowe. Najradykałniej rozcinał je największy owych czasów radykał — Kołłątaj. Chciał pełnego ujednostajnienia, spławienia. Chciał unji, nie federacji. „W przyszłej Polsce — pisał — nikt nie będzie Litwinem, ni Rusinem, ale wszyscy będą Polakami“.

Lecz i Kołłątaj chciał dojść do tego celu jedynie dla wspólnego dobra, nie przemocą, lecz zgodą i równouprawnieniem ludów, jak ongi szlachty. Za pełnem równouprawnieniem Litwy i Rusi z Polską wszystkie najlepsze były głowy i serca. Ale wszyscy byli przeciw separatyzmowi. Dotyczyło to zwłaszcza sprawy Litwy.

Separatyzm litewski nie z jednej jakiejś płynął abstrakcji, lecz z całego kompleksu zjawisk. Dwa były zgoła odmienne separatyzmy litewskie: prowincjonalny i plemienny. Pierwszy separatyzm litewski stał najmniej na rdzennych Litwinach, głównie zaś na osiadłych na Litwie Polakach i spolszczonych Białorusinach. Ten separatyzm w XVII w. służył Szwecji; przez Radziwiłłów i Sapiehów zmierzał ku oderwaniu od Korony; na przełomie XVIII i XIX w. służył Rosji i przez Kossakowskich i Ogińskich zmierzał ku podstawieniu unji z Rosją zamiast z Polską. Drugi separatyzm, specyficznie litewski, był wskroś zdobywczy względem całej Litwy i wszystkich jej części składowych. *Patrimonium meum unum est, terra una et homines uni* — ojcowizna moja jedną jest, ziemia i ludzie jedni. Tak o całej Litwie, wyższej i niższej, i wszelakich jej mieszkańcach wyrażał się Witold, jako zdobycznej całości. Ten rys przetrwał. Dzisiejsi Litwini — Lietuvisi, choć ich niespełna dwa miliony, całą 20 milionową Litwę mają za swoje *patrimonium*. A dalej ten separatyzm Witoldowy, przeciwpolski, bywał nieraz prokrzyżacki. Ów Witold, wysławiany przez Lietuvisów, przeciwko wyklętym spolszczonym Jagiellonom, ów czarny Wilantas siadywał za biesiadnym stołem malborskim, jak ukazuje go Mickiewicz. I ten rys przetrwał.

Z prowincjonalnym separatyzmem spotykał się Kościuszko i ostro wystąpił przeciw usiłowaniom Rady rewolucyjnej wileńskiej uniezależnienia się od warszawskiej i od krakowskiego aktu insurekcji, i charakterystyczne jest, iż Litwin Kościuszko broni tu wobec Wilna wyższych praw udzielnych Warszawy i Krakowa, gdy natomiast separatyzm litewski wyobraża wielkopolanin Jasiński. Te same objawy spotykają się potem w rewolucji 1831 i jeszcze 1863, gdy władze powstańcze litewskie, zagrożone stryczkiem i Sybirem, spierały się z warszawskimi o granice W. Księstwa.

Plemiennej Litwie najlepsi przedstuletni Polacy serdeczną okazywali życzliwość. Z boleścią widziano jak po trzecim rozbiore Prusy do swoich Litwinów kalwińskich dobrali podwójną liczbę katolickich. Prastarym, przepięknym językiem litewskim, badany odtąd w Królewcu, wychwalany przez Kanta, żywo interesował się Czacki, ale stwierdzał brak charakterów pisemnych litewskich i posługiwanie się ruszczyzną w dobie przedjagiellońskiej, stwierdzał napis ruski na pieczęcie Olgierda. O ginącym języku litewskim pamiętał uniwersytet wileński. Już od pierwszej połowy XVIII w. były ustały kazania litewskie w wileńskim kościele Św. Jana — dla braku słuchaczy. Obecnie w 1810 r. wydał uniwersytet wileński abecadło litewskie, katechizm, elementarz litewski dla szkół parafjalnych. Z wszechnicy wileńskiej wyszedł jej magister, jeden z wcześniejszych jej uczniów, historyk lituvis Szymon Dowkont, wielki, szanowny patryjota, pracowity badacz, lecz niestety zanadto petersburską przeziębioną służbą i ślepą do Polski ziejący nienawiścią. Z czułą natomiast miłością młody jego kolega uniwersytecki Mickiewicz w litewskiej rozczytywał się historii i poezji, w starych dajnach ludowych i heksametrach Donałajtysa. Ale on też wskazał prawdziwe obręby litewszczyzny i słusznie przeczył zdobywczej litewskiej nad Litwą udzielnosci. Nie mogło o niej być mowy ze względu nie tylko na polskość, lecz i na Białoruś i głębokie jej przeciwieństwo do litewszczyzny. Głębiej Radziwiłłom przeciwni byli już Chodkiewicz, niż nawet Tęczyńscy. Barbara Radziwiłłówna przytaczała stare litewskie przysłowie: „Rusin chrzcony i wilk chowany djabłu się godzi“. W. Księstwo Litewskie — konkludował Mickiewicz — przestało być litewskim; właściwy



naród litewski ujrzał się w dawnych swoich granicach, jak strumyk po zbytelnym opada wylewie". Nie przewidywał Mickiewicz dzisiejszego godnego podziwu i sympatji odrodzenia się wolnej a niepospolitej mocy narodowej litewskiej. Ale słowa jego pozostały prawdą do dziś dnia. Dziś najwyższy od Polaka należy się szacunek i pełne prawa dla samoistnego cudownego odrodzenia narodu i mowy litewskiej. Ale od tej prawowiernej zmartwychwstałej litewszczyzny odróżnia się jej „zbytelnny wylew“, szczególnie zaś wyzyskanie go na przeciwpolskie młyny, pruski i rosyjski — jak praktykuje się przez Prusy od 1863, a przez Rosję od 1888, a zwłaszcza od 1904—5.

Więcej od litewskiej ważyła sprawa ruska. Było Rusinów w Polsce dziesięćkroć więcej niż Litwinów. Zaś poza Polską, nie ułomek, jak Litwini w Prusach, lecz *gros* Rusinów było w Rosji. Czacki rachował w Polsce  $\frac{1}{4}$  wszystkich Rusinów. Niespełna  $\frac{1}{12}$  była na Bukowinie i na Węgrzech, przeszło  $\frac{2}{3}$  w Rosji. W Rosji był klucz sprawy ruskiej.

Myśl zebrania Rusi przy Polsce, przejęta myśl kijowsko-halicka, padła nieodwołalnie w XVII w. Ostatnia w tym duchu próba w początku XVIII w., mazepiństwo, musiała chybić. Odtąd polska w tym względzie dążność mogła być tylko konserwacyjną, a i ta musiała się wciąż kurczyć.

Sprawa ruska przed stu laty dwoiste już tylko realne miała widoki: albo zebranie pełnej Rusi przy Rosji, albo przywrócenie pełnej odrębnej Rusi.

Pierwsza stara myśl kijowsko-moskiewska, wznowiona przez Piotra Wielkiego, wcielona została przez Katarzynę II w drugim i trzecim rozbiore. Pozostała podwójna luka austriacka: Galicja Wschodnia ze Lwowem, wzięta przez Austrię w pierwszym rozbiore oraz Słowianie węgierscy. O tym dodatkowym zaborze myślał Paweł już jako W. Książę, planował wyprawę na Lwów i Budapeszt. Przejął ten plan Aleksander I. W najpierwszem piśmie politycznem rosyjskiem, petersburskim „*Siewiernom Wiestnikie*“ w 1805 r. ukazała się najpierwsza rozprawa rosyjska o „Karpato-Russach“, o uwolnieniu Rusinów galicyjskich z pod jarzma polskiego i złączeniu z Rosją. Poczęści wcielił tę myśl Aleksander w 1809 r. przez zabór kraju Tarnopolskiego, najpierwszej wschodnio-galicyjskiej zdobyczy rosyjskiej, utraconej na Kongre-

sie Wiedeńskim. Za Mikołaja I Paskiewicz wypracował memoriał o zaborze Galicji Wschodniej; wtedy też założono tam partję moskalofilską. Robota ta, rozwinięta za Aleksandra II dla odparowania autonomji galicyjskiej, wznowiona za Aleksandra III dla odparowania akcji austriackiej na Bałkanach, uwieńczona została za Mikołaja II okupacją rosyjską Lwowa.

Druga myśl, przywrócenia Rusi, była tworem Potemkina, który miał wprowadzić poprzedników, ale on to jest naprawdę nieznanym dotychczas ojcem nowożytnego ukrainizmu. On, licząc, że jeszcze przeżyje starszą Katarzynę, chcąc wyzwolić się od Rosji, od Pawła, któryby go niechybnie utracił, on, Potemkin, kat Siczy, przed stu laty zgórą gotował udzielną pod sobą Ukrainę, przeciw Rosji, przeciw Polsce, a przy pomocy Austrii. Umarł przed Katarzyną, pewnie otruty, więc przed wykonaniem. Ale myśl jego nie zaginęła. Wtajemniczony w nią cesarz Józef II, przejął ją na benefis austriacki. Został on drugim ojcem nowożytnego ukrainizmu. Po nim przejął ją i rozwinął Stadion. Stąd poszło utworzenie metropolji unickiej we Lwowie w 1805 r., przeciw rosyjskiej w Kijowie. Stąd w kampanji galicyjskiej 1809 r. podniesienie lojalnych Rusinów tamecznych, zwanych odtąd Tyrolczykami Wschodu, przeciwko ks. Józefowi Poniatowskiemu. Podjęli to dalej: Metternich, Schmerling, Taaffe. Odziedziczyli wreszcie w wojnie obecnej hr. Berchtold, Czernin i Armee-Oberkommando i stosowali przeciw Rosji w Kijowie i Brześciu, a ostatniemi jeszcze podrygi stosują w tej chwili przeciw Polsce we Lwowie.

Tę prawdziwą przedstuletnią genealogję ukrainizmu urzędowego stwierdzam bez żadnej ujmy dla czystej idei wolnej Rusi, dla której każdy Polak żywić może tylko szczere spólcucie i szacunek.

Jakkolwiek bądź ukrainizm potemkinowsko-józefiński zbankrutował w tej wojnie do szczytu. Doprowadzony został do absurdu. Ukraina istotna, dnieprzańska, dziś żyć nie może bez Wielkorosji, ani ta bez niej; muszą też obiedwie do siebie wrócić. Wróci tedy (*mutatis mutandis*) dążność Piotra i Katarzyny. I dlatego też Lwowa oddać nie można, bo by się go oddało nie Rusi lecz Rosji. A jeżeli jest jeszcze sposób położenia jej pewnej przynajmniej tamy i ocalenia dla przyszłości wolnej Rusi, to nie-



inaczej — jak przy pomocy polskiej. Tu wiele zależeć będzie od Rusinów, jeśli czego na zawodach tej nauczyli się wojny, a wiele też — od Polaków. Nie brak pięknych w tym kierunku wskazań przedstuletnich. Wskazania W. Sejmu, który metropolicie Rostockiemu, prymasowi obrządku unickiego, wyznaczył miejsce w senacie. Wskazania Ks. Warszawskiego, które wprowadziło do senatu Ciechanowskiego, biskupa chełmskiego. Wskazania Kościuszki, który miał co najmniej tyleż krwi białoruskiej co polskiej, który, za Insurekcji ze szczególną miłością do unickiego i dyzunickiego przemawiał włościaństwu, który odbierał wtedy tajnych z kozaczyzny wysłańców i jeszcze starcem w Paryżu odbierał dalekie z nad Donu skargi kozackie na Moskwę. Wskazania Mickiewicza, który w piśmie do Przyjaciół Galicyjskich nakazywał szanować duchowieństwo ruskie, dzieci duchownych greckich i lud ruski. Wskazania Adama Czartoryskiego, który, stuletnim prawie starcem, w ostatnim przemówieniu wygnañczem głosił rodakom, iż „dzisiejsza nasza mowa ojczysta utworzyła się równie może z mazurskiego jak i ruskiego narzecza“ i że za najlepszych czasów historii naszej na sejmach polskich często słychiwano posłów i senatorów przemawiających w języku ruskim.

Podobne wskazania odnaleźć można spółcześnie i w stosunku do ludności niemieckiej na ziemiach Rzplitej. Z największą wyrozumiałością Dąbrowski w 1806—07 r., zdobywając napowrót dzielnicę rozbiorową popruską, odzywał się w swych proklamacjach i swoich występował działaniach i zarządzeniach względem nietylko rdzennej, lecz i świeżo napływowej, skolonizowanej ludności niemieckiej. Ks. Józef za Księstwa Warszawskiego dobroć swoją rozciągał nawet na urzędników i wojskowych popruskich, osłaniając ich od mściwości zasłużonej zapewne, lecz jego zdaniem charakterowi polskiemu nieprzystojnej. Tą też drogą za Królestwa Kongresowego, rewolucji listopadowej, a zwłaszcza od powstania listopadowego pozyskanie ewangelickich, z pochodzenia niemieckich, żywiołów dla wspólnej ojczyzny polskiej mogło znaczne poczynić postępy. Sprawa żydowska, choć specyficzne przedstawia trudności, w pokrewnym przecie duchu tolerancyjnym tykana była przez Sejm Czteroletni i Insurekcję, przez Kościuszkę, co Berka do siebie dopuścił,

Czackiego, co o żydach pisał, Łukasieńskiego, co ich bronił, Mickiewicza, co im dał typ idealizowany.

Słowem we wszystkich odmianach zagadnienia narodowościowego najskuteczniejszą okazała się niezawodna św. Augustyna reguła: *in necessariis unitas, in dubiis libertas, in omnibus caritas*.

#### IV.

Zagadnienie rządu w królewskiej Republice polskiej stało na beźprzykładnem połączeniu ducha monarchicznego z duchem wolności. Kiedy Walezy w paryskiej Notre-Dame wobec posłów polskich musiał zaprzysiąc *Pacta conventa*, z klauzulą, że w razie ich niedotrzymania, Polacy wolni będą od posłuszeństwa „*ipso facto ab omni fide et obedientia liberi(fiant)*“, Paryżanie po raz pierwszy, na 200 lat przed swoją rewolucją, usłyszeli polskie prawo rewolucyjne rokoshu, lecz zarazem stwierdzał ze zdumieniem de Thou „nieopisany majestat króla polskiego i kult dla niego poddanych, póki prawnie rządzi“, „*incredibilis regis in Polonia majestas ac subditorum erga eum cultus, dum ex prescripto legum regnare judicatur*“.

Monarchicznym był w Polsce lud i szlachta, aż do końca Rzplitej. Najdemokratyczniejszy w Rzplitej Sejm Czteroletni rozszerzył władzę królewską. Dlatego obaliła go oligarchia. Jedna oligarchia bała się *absolutum dominium* i tę obawę szczepiła szlachcie. Oligarchia targowicka była skroś republikańska. Szczęsny Potocki, który w Paryżu zapisał się do klubu Jakobińców, wnet potem w Petersburgu złożył projekt zniesienia tronu w Polsce i zaprowadzenia czystej republiki z kolejnym wyborem prezydenta.

Przeciwnie, prawowity republikanin, wróg nieubłagany królów i panów, gospodarz Staszic, swą wiarę republikańską podporządkował interesowi narodowemu. *Salus populi suprema lex esto*. „Dobro powszechne prawem nawyższem... Stan każdy reprezentujący naród — to słowa Staszica — powinien mieć na pierwszym celu nie siebie, ale naród. Powinien stanowić prawa nie o sobie jednym, ale o narodzie całym. Gdzie naród ocaleje, tam utrzyma się stan. Gdzie naród upadnie, tam stan



zniszczyć musi". To słowo Staszica, syna ludu, stosuje się zarówno do stanu szlacheckiego jak każdego innego, mieszczańskiego, robotniczego, włościańskiego. Tak samo większy od Staszica, prawy republikanin dyktator Kościuszko wstrzymał się w Insurekcji od ogłoszenia republiki, choć mógł to jednym uczynić słowem. W akcie Insurekcji krakowskiej sprawę formy rządu przekazał Sejmowi Ustawodawczemu. Co więcej, aktem połańskim uwalniając chłopą i ograniczając powinności, uwłaszczenie odłożył do Sejmu. A jednak Kościuszko chciał dla chłopą i wolności i równości, chciał równouprawnienia ludu w rządzie cywilnym i wojskowym, kazał potem w legjach uczyć szeregowców, dopuszczać do szarż oficerskich, stosować wybory oficerskie. Chciał Kościuszko, aby w Polsce rządziła głowa ludowa, ale nie buty. Widział dwie rewolucje demokratyczne, amerykańską i francuską, lecz ani w Kongresie filadelfskim, ani w Konwencji i w Komitecie Ocalenia Publicznego paryskiego nie widział rządów tłumu. Widział Kościuszko arystokratę Washingtona z większą władzą od króla Jerzego III, jak dziś władza prezydenta Wilsona od Jerzego V. Co więcej, widział jak Robespierre posyłał na gilotynę nie tylko reakcyjnych arystokratów, lecz też i maksymalistycznych hebertystów, „*pour crime de contrerévolution*". A widział też przedtem najpierwszy maksymalizm rosyjski — Pugaczewszczyznę, demagogję ciemnego Wschodu, rządy żużelowych butów. Był Kościuszko, jak Staszic, Kołłątaj, Sułkowski, wielkim w Polsce chorążym uświadomionej demokracji Zachodu w dziedzinie najtrudniejszych zagadnień politycznych i społecznych chwili.

Rzecz godna uwagi, że i Lelewel, skroś republikanin-demokrata, w 1831 r. był za monarchją i taki dla Rządu Narodowego wyrysował projekt herbu Królestwa, Orła i Pogoni pod koroną królewską. Ale tu wchodziły w grę względy zewnętrzne, teraz z gruntu zmienione, te same co dziś trzymają królewskość w Anglii, względy na trójkrólewską W. Brytanję i na Indje. W daleką przyszłość tych zagadnień jak zwykle najgłębiej wieszczym wzrokiem sięgał Mickiewicz. Stwierdzał, że „jeszcze w czasie rewolucji listopadowej monarchizm konstytucyjny wyrażał życzenia mas narodowych". Uważał tytuł „króla polskiego, w. ks. litewskiego, ruskiego i pruskiego" za strasz-

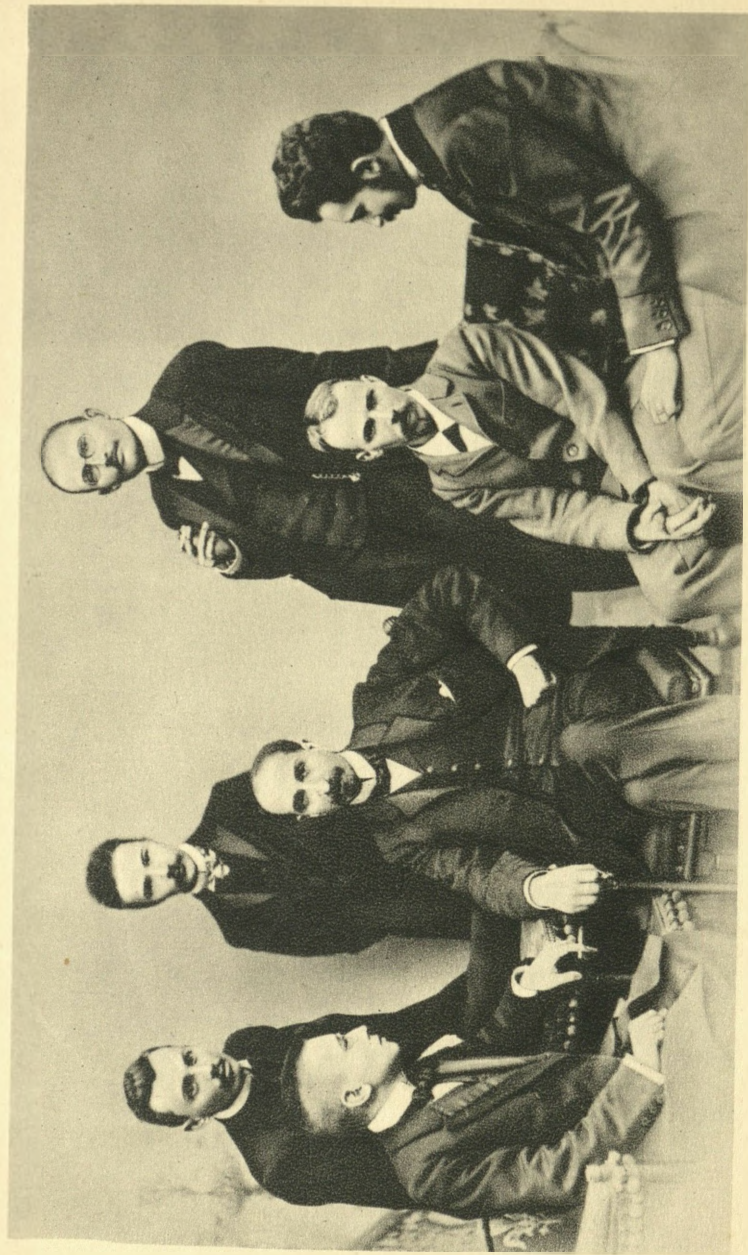
niejszy dla despotów, niż ogłoszenie „Rzeczypospolitej“. Ale dodawał: „Nie przesadzamy przyszłości“. Usuwał „wszelkie dyskusje o przyszłej formie rządu“. Dostatek jest nazywać przyszłą Polskę Rzeczpospolitą. W swej niezwykłej „Wielkiej wojnie przyszłości“, gdzie ukazywał każdą króla pruskiego, po przegranej wojnie, z sądowego wyroku zwycięzców — mówił on już o „proletarijuszach“, o dwóch przeciwnych stronnictwach proletariackich, i przestrzegał przed skrajniejszym, żądającym dla „robotników i chłopów“ „równości majątków i podziału gruntów“, i to natychmiast, „bez dyskusji“, t. j. „bez sejmu“. Z drugiej strony przestrzegał, że „klasy wyższe... wielkie poświęcenie zrobić powinny i tem tylko się ocalą od nienawiści, która przeciw tym klasom obudza się w całej Europie... (i) od gwałtownego przywłaszczenia cudzej własności“. „Nie lękam się jednak — konkludował Mickiewicz — wpływu demagogii w (Polsce)... Jakobini ...najsilniejsi, to jest najwięcej utalentowani i najuczciwsi, mam nadzieję, że przejdą na republikanizm polski... masy (ludowe Polski) czują potrzebę silnego rządu... Dlatego myślę, że w Polsce prędzej niż gdzieindziej wprowadzi się porządek i może będziemy wzorem dla innych krajów“.

## V.

W wszelakich zagadnieniach odnowy wypada zawsze wracać do Mickiewicza, najmłodszego i najgenialniejszego z przedstawicieli mistrzów narodu. Tak samo i w najnaglejším zagadnieniu międzynarodowym, którego nawet tknąć nie mogłem, on byłby niejednej udzielił nauki...

Skoro jednak tylekroć wspominam Mickiewicza, nie mogę się opędzić, powstrzymać, od podzielenia się wspomnieniem ostatniego jego wielkiego święta, jakie obchodziliśmy tu, równo przed dwudziestowieciem. Było to w 1898 r. Odślaniali jego pomnik w stulecie. Dokoła nieprzeliczone stały tłumy — milczące. A wszędy, po Krakowskim, pełno snuło się szpiclów moskiewskich. Wszędy po bramach i podwórzach schowani żołdacy i kozacy gotowi wypaść. A gdy spadała z posagu zasłona słyhać było tylko wielkie milczenie. I naraz stała się





*Prof. Szymon Askenazy*

*z grupą pierwszych swoich uczniów na uniwersytecie lwowskim (1903)*

*Maciej Lorel  
Henryk Mościcki*

*Janusz Iwaszkiewicz*

*Prof. Szymon Askenazy*

*Jan Leszczyński*

*Adam Skalkowski*

*Antoni Plutynski*

rzecz dziwna. Cały ten ogromny, milczący tłum cicho zapłakał. Kto to widział wtedy, nie zapomni nigdy. Zaświeciła łza w spracowanym oku Korzona... Cichą łzą zamgliła się piękna żrenica Sienkiewicza. Ktoś z obecnych wówczas powiedział: „Błogosławieni, którzy płaczą, albowiem oni będą pocieszeni“.

Dziś to się iści. Wraca się ziemia. Wraca Polska. Ale czy za sprawą, za zasługą pokolenia naszego? Nie. To szczęsne i nieszczęsne pokolenie, rozdarłe, bezbronne, miało widać sądzone otrzymać, nie miało sądzone wywalczyć Polski. Polska schodzi do nas sama, wrócona prawowitą sukcesją przodków. Oni to, umarli, i ci co walczyli, co trwali, i ci co płakali, darowują żywym Polskę.

To też cudem dziś dziedziczona Polska nie należy wyłącznie nawet do całego żyjącego dziś pokolenia naszego, lecz i do tych Polaków co jeszcze i do tych, co już nie żyją. I wtedy tylko pokolenie dzisiejsze sprostą wielkiemu swemu szczęściu i niezmiernej odpowiedzialności, skoro potrafi zarazem i na społecznym postępie światowym i na odwiecznej ciągłości dziejowej narodu oprzeć zagadnienia odnowy Polski.



## PRZEWODNICY MYŚLI POLSKIEJ U WSTĘPU DOBY POROZBIOROWEJ

1795—1815

Pod sam koniec XVIII w. podzielono bez ostatka Rzeczpospolitą Polską. Podwakroć wprzód imano się części, za trzecim nawrotem całość rozebrano bez ostatka. Cios był piorunowy, choć przewidywany, choć stopniowo troiście wymierzany, działał przecie jakgdyby nagły dopust przeznaczenia, jakgdyby żywiołowy kataklizm. Onego wielkiego gmachu państwowego, który przez tyle wieków mieścił i chronił tyle pokoleń, w którym one spokojnie rodziły się, wzrastały i kładły do spoczynku, który był dla nich czemś równie wieczystem, równie koniecznem, jak ten nieboskłon, pod którym żyły, jak ten ład, po którym stapały, jak to powietrze, które wdychały, — onego gmachu naraz nie stało. Zburzono strop wspólny, okrywający powszechność, zwalono starowne mury szczytowe, obejmujące ją i trzymające w skupieniu, — a natomiast nowe wewnątrz podźwignięto ściany, dzieląc to, co zawsze, co z przyrodzenia było jedno; przebito nowe zewnątrz wyloty, łącząc to, co zawsze, co z przyrodzenia było różne. Rzecz w tej postaci nie miała zgoła przykładu w przeszłości. Otwierała przyszłość zgoła niepojętą. Doświadczenie i przezorność stały tu jednakowo bezradne. Wyobrazić sobie rój pszczelny po nagłym zniszczeniu

Jest to odczyt, nigdzie dotąd niedrukowany, a który miał być ogłoszony w r. 1918 w Poznaniu, jeszcze pod rządami pruskimi, z koniecznem stąd maskowaniem w niektórych miejscach właściwej myśli przewodniej; z powodu sprzeciwu władz niemieckich nie doszedł do skutku.

ula, albo gromadę mrowią po nagłym rozrzuceniu mrowiska. Ale stanu owoczesnej duszy zbiorowej narodu nam dziś wyobrazić sobie trudno. Myśmy już w nowych warunkach rodzili się, chowali i do nich zdążyli przystosować się. Wytworzyła się z biegiem czasu nowa nabyta odporność. Inaczej — w tamtym pierwszym momencie klęski przedstuletniej. Stąd też ten pierwszy moment był niesłychanie niebezpieczny. Nic nie było łatwiejszego dla oszołomionych zniecka, dla nieprzygotowanych, nieprzystosowanych, jak zbłąkać się, jak runąć w jedną z tych trzech rozwartych przepaści, gdzie na dnie czekała zmora trójmyślna, trójcielesna, a jednak bezduszna i bezkształtna, zowiąca się: wynarodowienie. Wobec takiej groźby, w takiej potrzebie, więcej niż kiedykolwiek trzeba było bezdomnemu narodowi przewodników. Oni się znaleźli. Stawili się na posterunku. Przeprowadzili wiernie ogół od czasów swoich do dzisiejszych. Inne to były czasy i drogi. Inne były środki i cele. Utożsamiać je z dzisiejszemi może tylko rozmyślna złośliwość. Wtedy chodziło nasamprzód o cele państwowe, o środki wojenne. Dzisiaj chodzi o cele społeczne, o środki XVII/XIX  
czysto pokojowe. Dzisiaj chodzi o służbę w obrębie ściśle kulturalnym, na polu moralnem, umysłowem i gospodarczem. XX Ale to dzisiaj wyszło z tamtego wczora i ma obowiązek żywienia dla niego synowskiej pamięci. Ma oraz obowiązek czerpania z niego ojcowskiej nauki. Dobrze będzie — teraz i tutaj — spełnić ten podwójny obowiązek pietyzmu, przywołać niektóre z tamtych przedstuletnich duchów przewodnich i zaczerpnąć nieco z niezwięzłego miodu ich mądrości i doświadczenia.

Pochylmy nasamprzód głowy przed tym, który od najpierwszej chwili na miejscu najpierwszem przewodnictwo objął i wiernie utrzymał. Przed tym, którego imię teraz właśnie, w tym właśnie roku, wypomina dzwonem jubileuszowym setna rocznica śmierci, — dowódcy Legionów. A przed tym zarazem, Dąbrowski  
którego imię nigdzie, wzdłuż i wszerek całego kraju dźwięczniejszem nie odbija się echem, jak tutaj właśnie, na tej szczególnie od niego umiłowanej, starej ziemi wielkopolskiej, gdzie on najchętniej, najżyźniejsze zbierał żniwo i gdzie też jego szanowne spoczywają prochy. Nie jest przecież dla nas Jan Henryk Dąbrowski w obecnem naszym rozważaniu tylko żół-



niierzem, wodzem Legionów, albo zdobywcą Poznania. Jest on czemś więcej. Jest nosicielem pewnej, jemu wyjątkowo właściwej, w niego wyjątkowo wcielonej, idealnej przewodniej. Ta idea nazywa się: ocalenie publiczne. *Salus populi, suprema lex.*

Dziwnymi drogami zaiste chadza niekiedy narodowa opatrzność. *Spiritus flat ubi vult.* Polska zasada ocalenia publicznego została wcielona najbezwzględniej w tej postaci dziejowej, będącej napozór, nazewnątrż, tak daleką od przeciętnego rasowego typu kultury polskiej. Napozór z umysłowości swojej, nawet z wyglądu, wydawał się Dąbrowski raczej napół Niemcem. Ociężała, niezgrabna figura, twarz nieforemna, szeroka, nalana, mowa powolna i skąpa, nawet strój zwykle zaniedbany, wszystko raczej zdawało się wskazywać czystej krwi flegmatycznego, mieszczańskiego Niemca. Do końca życia trudno mu było przemawiać i pisać po polsku. W domu rodzicielskim, w pierwszej służbie wdrożył się do niemieczyny. Do rodziny, do najbliższych, w chwilach krytycznych wyrywała mu się najsmadniej niemieczyna; nawet w pamiętnikach wojennych, gdzie mu chodziło o ścisłość, niemieckiego używał języka. Wykarmitł się na kulturze niemieckiej i zawsze przez całe życie, zaraz po własnej swojej polskiej macierzy, dla tamtej duchowej karmicielki niemieckiej szczerą zachował wdzięczność i przywiązanie. Nienawiści dla ducha niemieckiego nie było w nim ani śladu; przeciwnie, był głęboki szacunek. Ale — to była wdzięczność, to był szacunek dla prawdziwego ducha prawdziwych Niemiec. Nie dla rzekomej, fałszywej onego ducha reprezentacji, nie dla rzekomych samozwańczych onego sobowtórów, podszywających się pod wielkie imię niemieckości, a będących tylko jej zakałą, będących naprawdę zupełną jej negacją. Nie dla pojęć, rzeczy i ludzi krzyżackich albo fryderycjańskich, nie dla twardego świata mistrzów i komturów zakonnych, albo dla mętnego świata Lucchesinich i Lombardów, Hertzbergów i Hoymów. Ale dla przeczystej sfery Herderów i Lessingów, Schillerów i Goethych, Bachów i Beethovenów. Ale dla onej harmonijnej sfery, gdzie w zgodnym zespole głosom Gustawa i Kordjana odpowiadają głosy Egmonta i Wilhelma Tella, gdzie wolnej pieśni legionowej albo rewolucyjnej Fantazji listopadowej odpowiada republikańska Symfonia heroiczna, albo chór wolności z Fidelia: *Frei-*

*heit, Freiheit.* Ale dla wspaniałego twórczego geniusza rzetelnej niemieckiej kultury, która była zjednoczona najściślej z wszechludzkim wysiłkiem i dobytkiem cywilizacyjnym i swoją jasną i gorejącą pochodnią wiedzy i uczucia przyświecała własnemu, a i innym narodom, ku wspólnym celom piękna i dobra. Tę to prawdziwą kulturę niemiecką umiał zawsze uszanować wszystek naród polski, umiał od niej uczyć się i z niej czerpać. Niejedno też dobroczynnym jej zawdzięcza wpływom. Niejednego też jej zawdzięcza człowieka z pośród najlepszych synów własnych. Stąd to wprost już nawet z krwi niemieckiej przyszli do nas tacy obywatele jak Dekert, tacy żołnierze jak Fiszer, tacy uczeni jak Lengnich i Lelewel, a i bliska tu postać Kremiera. Wszakże najznamięnitszym, najbardziej uderzającym przykładem jest w tym względzie ten szczególny owoc dwustronnego doboru, ten człowiek z krwi polskiej, z kultury niemieckiej, Jan Henryk Dąbrowski.

Jest w ofiarnym życiu Dąbrowskiego jeden drobny epizod, wymowny i znamienity ponad wszelki wyraz. W jednej potyczce z nieprzyjacielem niemieckim, w chwili, kiedy Dąbrowski, biorąc baterję nieprzyjacielską, obcinał szablą lont u niemieckiej armaty, niemiecka kula karabinowa trafia go w samą pierś, przebija mundur, lecz uderza w książkę, którą on nosił zawsze na sercu i która, wstrzymując i osłabiając pęd pocisku, ratuje życie generała. Jakaż była ta księga fortunna, która zachowała polskiego wodza od niemieckiej kuli? To była książka niemiecka. To była Schillera „Wojna trzydziestoletnia i oswobodzenie Niderlandów“. Nosił ją jak talizman żołnierz wojen napoleońskich i oswobodzenia Polski. Wielki duch niemieckiego poety stał się widocznie pomiędzy wielkim Polakiem, broniącym niepodległości swego kraju, a śmiercią, przychodzącą z ręki niemieckiej.

Jakaż w tem podniosła nauka. Jakiż dla nas uspokojenie i pociecha. Jakiż dla innych ostrzeżenie i wyrok. A więc można od dziecka umieć najpiękniej władać niemczyzną w słowie i piśmie — i być i pozostać z krwi i kości Polakiem? A więc można nie umieć składnie mówić po polsku, ani pisać ortograficznie po polsku — i być i pozostać jednym z pierwszych wśród Polaków? A więc można tamto umieć, tego nie umieć — i uczynić się Janem Henrykiem Dąbrowskim?



Tak jest. To wszystko okazuje się możliwem. Co więcej, ten szczególniejszy przydatek niemieckości, na rodzimej, rdzennej polskiej podstawie, nietylko nie zaszkodził Dąbrowskiemu, lecz przeciwnie, dopiero przysposobił go należycie do specyficznego jego posłannictwa. Trzeba było właśnie tego osobliwego doboru, tego połączenia systematycznej wytrzymałości niemieckiej ze sprężystą tęgością jego polskiej natury, ażeby uzdolnić go do udźwignięcia onej tak wielkiej, ale też tak właśnie ciężkiej, tak przygniatającej idei ocalenia publicznego.

Powiedzieliśmy, że ta idea w tym jednym człowieku znalazła odrazu pełny i bezwzględny wyraz. W nim jednym, w tym kategoriycznym i absolutnym sposobie. Równi mu albo i więksi miewali chwile słabości i wątplenia. Poniatowski zwątpił po Targowicy, Kościuszko po Maciejowicach, inni po Campo-Formio, po Tylży albo po kongresie Wiedeńskim. On jeden nie wzruszył się, nie zwątpił ani na jedno mgnienie. Natychmiast po wzięciu Pragi stanął przed feldmarszałkiem Suworowem i mówił o odbudowie Polski udzielnej, choćby pod wielkim księciem. Nie dało się. Wtedy, nie tracąc czasu, poszedł do Berlina, stanął przed Najjaśniejszym Fryderykiem-Wilhelmem II i mówił o odbudowie Polski udzielnej, choćby pod księciem pruskim. Tu już bliżej było skutku, lecz koniec końcem nie dało się znowu. Wtedy poszedł do Paryża, stanął przed Dyrektoriatem, przed generałem Bonapartem i mówił o odbudowaniu Polski udzielnej pod protektorem Republiki Francuskiej. Tutaj otrzymał przynajmniej legjony. Ale kiedy zaczęła się i wtedy psować i zawodzić krwawa robota, wtedy zwrócił się pisemnie do Wiednia i ofiarował swoje ramię dla odbudowania Polski udzielnej, choćby pod arcyksięciem. Wszystko nie dopisało. Zniesione, zniweczone wreszcie legjony, właśnie dziś przed 100 laty, przez wpływy możnej, choć dalekiej ręki rosyjskiej. Najwytrwalsi legjoniści opuścili ręce i szeregi. On jeden pozostał na posterunku. Przemyśliwał nawet wtedy rzucić się z resztkami do Turcji i planował odbudowanie Polski udzielnej przy pomocy padyszacha i Porty Otomańskiej. On byłby rokował z samym Lucyperem — byle była Polska. On też pierwszy przybiega po Jenie, ażeby wzruszyć tę dobrą dzielnicę wielkopolską i przyłożyć się do stworzenia Księstwa. On później, po pogromie na-

mejta  
porównania  
-Tobora

poleońskim, odnajduje się w Warszawie na czele Komitetu Wojskowego, ażeby stąd czuwać nad podejrzanymi targami kongresu Wiedeńskiego, ażeby przede wszystkim na gwałt zreorganizować armję polską i ażeby, w jej imieniu, mocnem i groźnem słowem w samą porę przechylić szalę wahającej się decyzji Aleksandra i uratować przynajmniej Królestwo Kongresowe. Kiedy zaś nakoniec i ten twór, tymczasowy i ułomny, w ręku W. Ks. Konstantego i Aleksandra kruchą rokował istność, wtedy on jeden, stary, schorowany, umierający senator—wojewoda i generał jazdy Królestwa Polskiego, podał rękę młodym członkom Towarzystwa Warszawskiego, Krzyżanowskiemu, Prądzyńskiemu, podał im otuchę i mądrzej nie odmówił rady i w swoim testamencie nakazał tym młodym: „ożywić dzielność narodu i natchnąć go ufnością we własne siły, jednocząc go dążnością, bez względu na różność rządów.“

Tak. To był człowiek z jednej bryły. On miał to, czego nie mieli inni, równi mu albo i więksi. Lecz czyliż na takich wysokościach wolno wdawać się w miary i równania? Czyli można, jak to czyniono nieraz, mierzyć i zrównywać Dąbrowskiego z Kościuszką, albo księciem Józefem i wyliczać, że on nie dorastał jednego, nie dorównywał drugiemu? Nie. On nie był mniejszym od nikogo z nich. On był poprostu inny. On innej odpowiadał potrzebie. On inny nosił obowiązek. Cnota narodowa — to Kościuszkę. Honor narodowy — to księżę Józef. Ocalenie publiczne — to Dąbrowski. Nie znaczy to oczywiście, aby w nim nie było dosyć honoru i cnoty. Tak samo, jak nie znaczy, aby w tamtych nie było dążności ocalającej. Ale każdy z nich wyobrażał w najwyższem napięciu jedną przede wszystkim zasadę, sobie przede wszystkim właściwą, sobie powierzona. Nie mógł dopuścić żadnego kompromisu ze swoją cnotą republikańską Kościuszkę, nie mógł on akceptować Napoleona, nie było mu wolno, — i cofnął się do Ameryki i do Szwajcarji. Nie mógł dopuścić żadnego kompromisu ze swoim honorem wojskowym Ks. Józef, nie mógł on akceptować Aleksandra, nie było mu wolno — i cofnął się do wód Elstery. Inaczej Dąbrowski. On jest od czarnej roboty. On nie stąpa w górnych blaskach idealnego symbolu. On siedzi, jak cyklop, w dymnej, huczącej kuźni ocalenia publicznego, gdzie nieustanne uderzenia jego młota

por. 2  
Johann



biją w jeden takt: byle była Polska. Tego wszystkiego potrzeba wielkiemu narodowi. Potrzeba mu i tamtych górnych symbolów i takiego cyklopowego sługi: wielkiemu narodowi w różnych okolicznościach, w różnych czasach różnych sług potrzeba. Na progu czasów i okoliczności porozbiorowej doby potrzeba było najbardziej tego wielkiego realisty, jakim był Dąbrowski.

Realistyczna akcja, jaką na samem czele szykiem frontowym prowadził Dąbrowski, równocześnie na skrzydłach podejmowana była przez innych. Należy zwrócić tutaj uwagę na jedną mianowicie nadzwyczajną stronę tej akcji. Dąbrowski wprowadził o Polskę walczył kolejno z każdym z trzech mocarstw rozbiorowych. Walczył z Austrią — we Włoszech, z Prusami — pod Gdańskiem, z Rosją — pod Moskwą. Ale on nie miał przesądów. On także kolejno z każdym z trzech mocarstw rokował o Polskę. Wspomniałem o jego rokowaniach z rządem Katarzyny II, Fryderyka Wilhelma II, Franciszka I. Owóż tutaj właśnie jest jedna rzecz nadzwyczajna. Ta inicjatywa odnowicielska bynajmniej nie wychodziła z samej tylko strony polskiej. Ta inicjatywa, przeciwnie, wychodziła zarówno z drugiej strony, ze strony każdego z tych trzech mocarstw. Nawet w Wiedniu, gdzie wtedy najmniej było możliwości wykonania, ta myśl odnowicielska podnoszona była samorzutnie w otoczeniu Franciszka I przez mężów stanu austriackich, przez arcyksiążąt Karola i Ferdynanda, który nawet sam dla siebie przemyślał o koronie polskiej. W Petersburgu już za Pawła I najwytrawniejsze głowy stanu rosyjskie potępiały podziały dokonane za jego matki-Niemki, jako ciężki błąd przeciw prawdziwym interesom Rosji, zaś za Aleksandra I myśl podniesienia przyszłej Polski pod berłem rosyjskiem skryształizowała się już jako ustalony systemat polityczny. Tutaj to na skrzydle rosyjskiem pośredniczącym przedstawicielem tej myśli został ks. Adam Czartoryski. Ale równocześnie, a właściwie jeszcze wcześniej, najwcześniej, myśl odnowienia Polski wyłoniła się tam, gdzie ongi najwcześniej była wynikała i sformułowała się najjaśniej myśl podziału — w Berlinie. Berlin, który wtedy posiadał Warszawę, samem tem posiadaniem był pociągany przymusowo ku pożądaniu całości. Zanim jeszcze nawet skuteczniejszy został trzeci podział, już w Berlinie najwytrawniejsze głowy stanu pruskie nawoływały do złączenia całej Polski pod

berłem pruskiem. Tutaj, na skrzydle pruskiem, pośredniczącym przedstawicielem tej myśli został ks. Antoni Radziwiłł. On to pośredniczył między Dąbrowskim a Fryderykiem Wilhelmem. On dla króla wypracował formalny projekt działania. Była tam mowa o poruszeniu Galicji i Litwy. Koronę polską przeznaczano bądź ks. Ludwikowi-Ferdynandowi pruskiemu, bądź samemu Fryderykowi Wilhelmowi. Zapalali się do tych projektów najlepsi Prusacy. Pułkownik Massenbach wołał do króla: Każdy winien być za tem, kto tylko dobrze życzy Prusom, światu, sobie. A i najtęższy pruski statysta, baron v. Stein, dawał poklask temu „wysoce roztropnemu planowi“. Radził zarazem, jako krok przygotowawczy do wykonania tego planu, zmienić całe postępowanie ze „szlachetną nacją polską“. Tę „nację — głosił — należy pielęgnować, doskonalić jej indywidualność, a nie gnębić jej i wciskać w nienawistne jej formy wątpliwej dobroci“ (*Die polnische Nation werde erzogen nach ihrer Individualität, veredelt, nicht unterdrückt und in ihr verhasste Formen von zweideutiger Güte eingezwängt*). Było to wprawdzie już po Jenie. Ale było to przecież wyznanie samego Steina, Freiherrn v. Stein, jednego z głównych twórców Prus nowożytnych, któremu chyba nikt nie poważyłby się odmówić najpierwszego tytułu do pruskiego patriotyzmu i pruskiego rozumu stanu. Cokolwiek — bądź, tyle jest rzeczą niezawodną, że te same trzy potęgi, co podzieliły Rzeczpospolitą Polską, natychmiast po dokonaniu dzieła, każda na własną rękę przemyśliwała nad odrobieniem tego dzieła, każda na swój sposób planowała, ba, spiskowała nad odbudową Polski. To jest odwet absolutnej mocy przyrodzonych praw dziejowych nad względną siłą dowolnych praw traktatowych. To trzeba dobrze zapamiętać. Usiłowania polskie ku powróceniu kraju — w różnorodnej epoce wolno piętnować jak się komu podoba, wolno tych Dąbrowskich i Poniatowskich, tych Ignacych Potockich i Adamów Czartoryskich nazywać warchołami, czy też przestępcami stanu. Ale trzeba przyznać, że byli w dobrem towarzystwie, w towarzystwie ministerjalnych i koronowanych głów wszystkich trzech mocarstw rozbiorowych.

Dopiero w świetle tego nadzwyczajnego a najniewątплиwszego faktu, w świetle tajnych dążeń każdego z trzech mocarstw rozbiorowych do przywrócenia na swój wprawdzie benefis, ale



zawsze do przywrócenia wszystkiej Polski — nabierają właściwego znaczenia równoległe rokowania ugodowe ówczesnych przewodnich działaczy polskich. Jedyne w tem rzesistem a niespodziewanem świetle te rokowania mogą i powinny być pojęte. Powiadam, rokowania ugodowe. Tak jest. Ci ludzie byli ugodowcy. Pierwsi ugodowcy. I — jeśli wyłączyć poniekąd Aleksandra margrabiego Wielopolskiego — po dziś dzień jedyni i ostatni ugodowcy prawdziwi. Prawdziwi: bo oni przystępowali do swojej czynności ugodowej tak, jak jedynie z prawa, z logiki, ze zdrowego ludzkiego rozsądku może być pojmowana jakakolwiek ugoda. Przystępowali, jak jedna strona umowna do umownego aktu dwustronnego. Ich pojęcie ugody, to nie było pojęcie darowizny, do której nikt imieniem powszechności nie jest pełnomocen. Nie powstało im w głowie poważić się na taki nieprawy z gruntu, nieważny z gruntu akt darowizny, akt tytułem darowym, *à titre gratuit*. Oni ugadzali się. To znaczy: przystępowali do aktu spełna dwustronnego, tytułem wzajemnym, *à titre onéreux*. Ofiarowali życzliwość narodową, czy to jak Czartoryski — Aleksandrowi, czy to jak Radziwiłł, mniej ogłędnie, Fryderykowi Wilhelmowi. Ale za swoją ofertę oni żądali waloru. Żądali Polski. Zaś już tymczasem na rachunek tego waloru zbierali prawdziwie pożywne owoce dla ogółu, w którego imieniu działali; zbierali nie fikcję, nie liche odczepne, nie prywatę, ale realny, obszerny pożytek publiczny. Zbierali Towarzystwo Przyjaciół Nauk Warszawskie. Zbierali Akademię Wileńską. Zbierali Szkołę Krzemieniecką. Zbierali polskie szkoły ludowe na Litwie i Rusi. Zbierali polską obsadę urzędową w guberniach północnych i południowo-zachodnich. I to wszystko — dopiero na rachunek. I to wszystko, nie dając jeszcze nieodwołalnie niczego. Tacy ugodowcy bodaj się na kamieniu rodzili. I tylko taką, nie żadną inną ugodę oni sankcjonowali na przyszłość przewodnim swoim przykładem.

Jednakowoż, jakkolwiek wysokiej próby była tegość tych rzetelnych mężów ugodowych, jakkolwiek na zdrowej podwalinie ugruntowany był punkt wyjścia roztropnych ich usiłowań, przecież rzecz z samej swojej natury tego jest rodzaju, tak trudna i obosieczna, tak subtelna i śliska, że nawet dla nich łatwo stać się mogła niebezpieczną. Z samej natury tej drogi, nawet dla nich,

to była droga na ostrzu klingi. Z samej natury tego zagadnienia, nawet dla nich, to było zagadnienie, niedopuszczające najlżejszego uchybienia od najściślejszych wymagań najściślejszej równowagi i miary. W tych rzeczach miara i równowaga — to wszystko. O dokładną miarę, o pełną równowagę chodziło tu bezwarunkowo. Chodziło o to, aby wagi nie przechylił przedwcześnie i zbyt wiele ani Radziwiłł w Berlinie, ani Czartoryski w Petersburgu. Chodziło o to, aby być językiem wagi. Aby nie rzucić się nieogłędnie na jedną albo drugą szalę i wyzbyć się własnowolności wyboru. Aby nie ulec ani kuszeniu jednej, ani prowokacji drugiej strony. Aby nie zdać się na łaskę i niełaskę Fryderyka Wilhelma III, chociażby on nawet dał pozwolenie na Towarzystwo Przyjaciół Nauk i chociażby Paweł I uciskał silniej i posyłał feldjegrami szlachtę na Sybir. Ale także, aby nie zdać się na łaskę i niełaskę Aleksandra I, chociażby on nawet dał pozwolenie na pomnik Ks. Józefa Poniatowskiego i chociażby Voss czy Schroetter sprowadzali kolonistów z Westfalji i niemczyli gimnazjum Marji Magdaleny. Chodziło koniecznie o to, by zachować miarę, równowagę, spokój, zimną krew, aby nie oddać się nieodwołalnie, aby nie oddać swego prawa pierworodztwa za łyżkę soczewicy, za chwilowe zaspokojenie jakiej, chociażby słusznej potrzeby, za chwilowy wybuch jakiego, choćby naj-słuszniejszego oburzenia, aby nie ubezwłasnowolnić, nie związać, nie zbłąkać, nie wypaczyć, ani w jednym, ani w drugim kierunku tej rzeczy, tak czulej, tak misternej, tak wrażliwej, tak łatwo ranionej, tak trudno uleczalnej, a tak drogocennej i świętej: sumienia narodowego, poczytalności narodowej, samowiedzy narodowej.

Owóż właściwa samowiedza narodowa w owej dobie przed stu laty, była jeszcze o ten cały stuletni rozwój młodszą od naszej społecznej, była o tyleż mniej dojrzałą, mniej skonsolidowaną, mniej obronną. Pod tym względem, pod względem samej podstawowej idei samowiedzy narodowej, pod względem powszechnego, konsekwentnego, jasnego uświadomienia, sformułowania, ustalenia tej idei w duszy każdego obywatela bez różnicy stanu i stronnictwa, jesteśmy dziś niewątpliwie starsi o całe stulecie XIX. Podobnie zresztą, jak i inne narody europejskie, które tak samo w ciągu tego XIX stulecia pod tym właśnie względem wydosko-



nalili się i dojrzały. Dziś byłoby oczywiście niepodobieństwem, ażeby jak przed 100 laty, emigranci francuscy, w sojuszu z koalicją europejską, uderzali na Francję. Albo, ażeby Rheinbund niemiecki, w sojuszu z Napoleonem, uderzał na Niemcy. Samowiedza narodowa wszędzie odtąd wyklarowała się i zmężniała. Wtedy przed 100 laty nie była jeszcze dosyć męską i klarowną. Nie była dostatecznie uświadomioną. Stąd też, jak organizm młodociany, nierozwinięty jeszcze w pełni, była podatniejszą do wyłamania się, do spaczenia. W tem tkwiło niebezpieczeństwo.

W rzeczy samej tego niebezpieczeństwa niewszędzie też zdolali ustrzec się najroztropniejsi pośród przewodników ówczesnych. Ks. Czartoryski i ks. Radziwiłł w niektórych momentach krytycznych pokrzyżowali się z ks. Józefem. Szczególnie pierwszy z nich, jakkolwiek sternik wytrawny, na swoim szlaku od strony rosyjskiej, był narażony na najniebezpieczniejsze podwodne rafy, które niezawsze całkiem szczęśliwie zdołał ominąć. Natrafiał on z tej strony już wtedy za Aleksandra I na niebezpieczne wiry słowianofilskie. Natrafiał na separatystyczne prądy litewski i ruski. W tem wszystkim tkwiły groźby poważne i dalekonośne. A tymczasem elementarne nawet pojęcia narodowe jeszcze były zmaczone, chwiejne, nieukształtowane w najpierwszych nawet i najzasłużeńszych głowach — czyliż biskup Albertrandy, przewodnik Towarzystwa Przyjaciół Nauk w pruskiej Warszawie, nie zagajał swojej przemowy od oświadczenia, że naród polski nieodwołalnie „przelany w obcą narodów bryłę“?... Czyliż Tadeusz Czacki, przewodnik szkolnictwa w rosyjskim Wilnie, nie otwierał wiekopornego swego dzieła od oświadczenia, że nieodwołalnie „już naród polski jest wymazany z liczby narodów“?... Tak więc ci sami ludzie co najdzielniej pełnili służbę narodową, z własnej swej służby nie zdawali sobie należycie sprawy. Takie pomieszanie pojęć mogło w swych skutkach wyrazić nieobliczone, niepowetowane szkody. Trzeba było z tem skończyć. Trzeba było koniecznie jasno zdefiniować i ustalić, jakgdyby chemicznie w czystym stanie osadzić raz na zawsze niewzruszone pierwiastki narodowej samowiedzy.

Otóż ten arcyważny proces oczyszczający i klarujący dokonany został dla nas przez ludzi Księstwa Warszawskiego i w tem ich z kolei kapitalna zasługa przewodnia. Zrobili oni dla nas to

samo, co dla Niemiec zrobili społeczni ludzie doby wojen o niepodległość (*Befreiungskriege*). Ustalili samowiedzę publiczną. Odpowiedział Albertrandemu Hebdowski: „nie przelać polskiego dzwonu w pruską armatę“. Odpowiedział Czackiemu Kniaziewicz: „Polska wymazana jest dzisiaj z liczby mocarstw“, nie narodów. Ustalono raz na zawsze dystynkcję pomiędzy nieśmiertelnym przedmiotem narodowym, a przechodnim przedmiotem politycznym, pomiędzy wieczystą istotą, a zmienną powłoką. Wynikające stąd rozległe konsekwencje i żywotne zastosowania rozwinął natychmiast z jasnowidzącą potęgą, mocny, razem trzeźwy, bystry i lotny umysł Kołłątaja. Przyszedł stary, znużony, stojący nad grobem Kołłątaj, wyzbyty ze swoich doktrynerskich zapędów, napojony spokojną, przedśmiertną mądrością, przynosząc krajowi w darze swoje „Uwagi nad tą częścią Polski, którą zaczęto zwać Ks. Warszawskiem“. Już w samym tytule wznosił się świadomie ponad chwilowy twór polityczny do wyżyny powszechniejszej, kulturalnej całości. Położył na czele tych Uwag godło: *Nil desperandum*. Wystawił w nich ścisłe pojęcie „nacjonalizmu“ polskiego, sięgające od prawego brzegu Odry do Dźwiny. To pojęcie nieistniejące państwo, ale kulturalnie wykonalne, chce on mieć nawskroś zwartem i jednolitem. Wydala z niego wszelkie mętne pomysły federacyjne, wszelkie niejasne wyobrażenia jakiejś nieorganicznej mieszaniny, jakiejś kultury politycznej. Wydala z niego przedewszystkiem dwuznaczne hasła słowianofilskie. Zrywa z głosem „duchów prowincjonalizmu“. Uznaje w nich i śmieie ogłasza zaprzeczenie jednolitego ducha kultury polskiej. Powołuje wielką tradycję unji, zjednoczenia z Litwą, nie federacji, nie towarzystwa. Byłyby wewnętrzne porządki federacyjne — tak obwieszcza — dla ducha polskiego równym uciskiem, równą rozpaczą, jak same zagraniczne czynności rozbiorowe. Ideał rozwoju kultury polskiej w tym silnym zawiera obrazie: „nikt nie będzie więcej Litwinem, Wołyniakiem, Podolakiem, Kijowianinem, nikt Rusinem, ale wszyscy będą Polakami“. To będzie, jego słowy, jedyne „przyjemne hasło“, jedyna „wielka reforma“. Wskazuje Rusinów Księstwa, których biskup zasiada w senacie, Rusinów siedleckich i lubelskich, Rusinów-Polaków. „W kraju — powiada — który dawniej zwaliśmy województwem ruskim, lud pospolity



najpiękniej mówi polszczyzną“. Oparł się twardo Kołłątaj już zgóry przeciw rozkładowym pojęciom oportunistycznym i atomistycznym, jak gdyby już zgóry przewidział ich rozrost w opinii pod wpływem słowianofilskiej teorii emigracyjnego krótkowidztwa, wreszcie austriackiej praktyki i przykładu. Stał natomiast twardo Kołłątaj przy dobroczynnej, tolerancyjnej, miłującej, ale spławiającej, jednoczącej tradycji, przy tradycji unij kulturalnej polskiej. Przypomniawszy liczne jej obowiązki, zaniedbania lub zgoła puszczania w niepamięć najdalszych obowiązków. Przypomniawszy jej obowiązki dla ludu śląskiego. „Dialekt“ śląskiej mowy — mówi ten wielki człowiek, ten wielki przewodnik, — to jest dialekt sieradzki“. Kołłątaj był pierwszym, który już wtedy przypomniał o starej piastowskiej dzielnicy. I znówu jak gdyby już z góry przenikliwym wzrokiem przebił daleką przyszłość. W tej przyszłości, której dzisiaj jesteśmy świadkami, ruszyły naprzód wszystkie wielkie narody europejskie w szalonym ekspansywnym rozpędzie, rozparły daleko swoją władzę i wpływy, daleko poza naturalne swoje granice, daleko nawet poza lądy i morza. Skromniejsza nierównie i przyzwoitsza polskiej myśli ambicja, polskiej kultury obowiązek, nie drogą gwałtownego podboju, ale pokojowego odboju, nie orężem poskramiać co cudze, ale rodzimą stronę przynosić między swoje: tutaj są polskie Finlandje, Kaukazy i Mongolje, tutaj nasze Szlezwigi, Lotaryngje, Kameruny, tutaj Bośnia i Hercegowina, tutaj Sjamy, Erytreje i Transwaale. I tedy też, ku tym najbliższym swojskim strefom, ku pokojowym, swojskim pośród nich, odbojowym, restauracyjnym pracom, wskazała drogę przewidująca rozważa przedstuletniego przewodnika.

Nie był zresztą w tym kierunku odosobnionym przewodnikiem Kołłątaj. Na inny sposób, z mniejszą może konsekwencją w abstrakcji, lecz z dzielną w praktyce sprawnością, dotrzymywały inne pokrewne duchy bystremu polotowi myśli kołłątajowych. Mnożyły się na Litwie i Rusi błogosławione prace edukacyjne Czartoryskiego i Czackiego. Obrócił Staszic osobliwą ojcowską pieczę na ludność ruską i unicką. Syn mieszczański, bliski ludu, został dobroczyńcą włościan hrubieszowskich, obdarzył ich ziemią, wlał w nich swego ducha. Mniejsza zapewne, albo żadna, jeszcze była możliwość, od ścian zachodniej kulturalne

podejmować dzieło, późniejszym dopiero zostawione czasom. Ale pamiętać należy, że i tutaj już wtedy ziarno zostało rzucone. Albowiem dla oceny wysiłków duchowych każdej epoki nietylko wschodzące w niej samej spółcześnie kłosa liczyć potrzeba, ale także rzucone przez nią, ukryte, ciche, w głębiach ziemnych dopiero puszczające nasiona. Potrzeba, obok widomego miernika zasługi, brać w rachubę oraz ów miernik niewidzialny narazie, który odsłania drugie złośliwe pokolenie. „Z owoców ich poznać je“, mówi Pismo. Z dzieci poznać ojców. Wtedy to, na początku XIX stulecia, na dalekiej Litwie narodziło się królewskie dziecko jagiellońskie, prawy sukcesor Zygmunta Augusta, Mickiewicz. Ale wtedy także na ubogim Śląsku urodził się chłopski syn piastowski, skromny Paweł Stalmach. Tamten objawił się powszechności w błyskawicach genjuszu. Ten z pochylonem, uznojonem czołem, swojej biednej ściślejszej służył dzielnicy. Obadwaj dzieci duchowe jednej przewodniej epoki, obadwaj też spotkają się na kartach złotej narodowej księgi, gdzie obok wielkich klejnotów koronnych, wszelką sierocą ofiarę troskliwie zapisuje niemylna wdzięczna pamięć potomnych, zaś zapisuje najtroskliwiej owe ofiary najwyższej ceny, nie mające sobie ceny, jakie przychodzą wprost od ludu.

Na sprawy ludu, na potrzeby ludu najbaczniejszą też wcześniej zwrócili uwagę pierwsi przewodnicy rozważanej doby. Sędziwy ks. Piramowicz i jego uczeń Ignacy Potocki: skromny pleban kurowski i były marszałek litewski, były prezydent i były sekretarz Towarzystwa Ksiąg Elementarnych, podali sobie rękę w zbawczej pracy nad oświeceniem ludu. Opracowali oni pierwszą i jedyną wtedy Encyklopedję dla prostego ludu, wyprzedzając wszystką Europę w świadomem dążeniu do edukacji mas wiejskich. W położeniu włościan w Ks. Warszawskim w tym czasie radykalna dokonała się zmiana. Konstytucja Księstwa i Kodeks Napoleoński zapewniły chłopu równość przed prawem i wolność osobistą. Ale Kodeks dał chłopu samą wolność bez ziemi. Pozostała pańszczyzna, zniesiona we Francji, a nie było drobnej własności ziemskiej, stworzonej we Francji przez Rewolucję. Ciemne, zbiedzone masy włościańskie, naraz usamowolnione, ruszyły się z miejsca, szukając lepszego bytu. Aleć były zamknięte w ciasnem kole Księstwa, w kraju jeszcze



bez przemysłu, więc bez zarobku, i tracąc ojcowiznę, jeno zmieniały dziedziców i powinności. Wyludniły się gospodarstwa, lud w wielu miejscach jeszcze zbiedniał. Podniosły się w jego obronie wymowne głosy, głosy za rozwinięciem kodeksu w kierunku gospodarczym; pierwsze głosy w sprawie czynszowania, w przyszłości — uwłaszczenia. Zaczęto pojmować, że trzeba koniecznie znieść pańszczyznę i do układu dzierżawnego między dziedzicem a włościaninem wnieść zobowiązanie dania zamiast zobowiązania czynienia, wnieść zamiast robocizny — opłatę czynszową. Nie miało sposobu Ks. Warszawskie w krótkim swem trwaniu, pod ciągłą nawałnicą wojenną, jąc się tej wielkiej sprawy. Nie zdążył jej następnie rozwiązać sejm 1831 r. pośrodku zawieruchy rewolucyjnej. Ale jeszcze przed samą ostatnią katastrofą krajową, w duchu już zapoczątkowanym za Księstwa, miało podjąć się uczciwie i szczerze warszawskie Towarzystwo Rolnicze — niestety, zapóźno.

Wyprzedzała poniekąd i w tej sprawie arcyzawilej i arcydoniosłej usiłowania dalekiej przyszłości rozumna troska pierwszych ludzi porozbiorowych. Wstawiał się za realnymi potrzebami ludu Amilkar Kosiński, wstawiał się stary wielkopolanin Wybicki, co jeszcze przed ćwierć wieku był redagował Andrzejowi Zamojskiemu względne dla włościaństwa artykuły Projektu Praw — a już rwał się duszą ku potrzebom ludowym młody Lelewel i gorszył się na widok, jak opuszczone półwłóki do dworskiej przyłączano ziemi. Wszakże najmocniejsze akcenty wydobył wielki syn ludu, nadawca hrubieszowski, Stanisław Staszic: „Každy kto żyje w towarzystwie, rolnikowi życie winien... Cokolwiek inne stany uczynią dla wieśniaka, uczynią dla kraju... Gdziekolwiek rolnik shańbiony, tego kraju szlachcic w pogardzie“. Zaś zarazem swoją ognistą, zdrową, chłopską wymowę wręcz już obracając do ogółu: „Zamiast rozpraszać się po obcych stolicach — wołał Staszic — gromadźcie się w narodowe miasta. Tam działajcie na tę najtęższą sprężynę władz ludów: umysł narodowy“. Aż w końcu, z chłopskim, prostym i jędrnym prawdy instynktem, wiekopomne, po wszystkie czasy ważne i przewodnie, rzekł wyrazi: „Paść może i naród wielki; zniszczyć nie może, tylko nikczemny“.

Ale dosyć. Niedosyć, nie tyle zapewne, ilebym mógł, ilebym chciał, ilebym powinien powiedzieć, aby wyczerpać wszystkie zasługi tych postaci sternicznych, wyczerpać oraz wszystkie nauki, jakie nam oni zostawili w puściźnie. Ale o wyczerpaniu tych rzeczy tutaj i teraz nie może być mowy. Nie z wyczerpującem też, nie z wymierzonym, wyuczonem przychodzę słowem, ale z tem, które samo się ciśnie na tem miejscu, pośród tych okoliczności i czasów. Inne to zgoła, powtarzam, okoliczności i czasy, niż tamte przedstuletnie. Inne w nich zgoła, czysto pokojowe i czysto kulturalne zadania. Aliści te zadania dzisiejsze na swój sposób niemniej, jeśli nie więcej, poważne i ciężkie, niemniej, jeśli nie więcej, żywotne i śmiertelne, niż tamte z przed stulecia. Wtedy, przed stuleciem, było zagadnienie państwowe. Wtedy stało się wobec podziału Rzeczypospolitej, czyli, jak się wyraziłem, wobec zburzenia mieszkalnego gmachu państwowego. Teraz stoi się już wprost wobec bytowych zagadnień społecznych. Teraz nie chodzi już o utraconą formę mieszkalną, o utracony dach i mury państwowe. Chodzi o nagi byt fizyczny i moralny społeczeństwa. Chodzi o te dwie rzeczy rdzenne i istotne: po pierwsze, o samą ziemię, o tę glebę życiodajną, która grozi z pod nóg się usunąć, i powtórę o samo, utrzymujące przy życiu, jednolite samopoczucie społeczne, które grozi rozprysnąć się na swoje części składowe, rozlecieć się, rozpuścić na swoje pierwotne atomy. Opowiada legenda starożytna o Anteuszu, synu ziemi, niepokonanym, póki się stopą dotykał rodzielki, i którego dopiero, uniósłszy go z ziemi, mógł zdławić Herakles. Taką anteuszową istotą jest wszelka społeczność: niezmierzona pod żadnym herkulesowym uściskiem, póki na ziemi swojej wsparta, lecz od ziemi oderwana — bezsilna i śmiertelna. To jedno. To zwłaszcza dla tej wielkopolskiej dzielnicy niezmieranie dziś doniosłe. A teraz drugie, równie ważne, zwłaszcza dla dalszych kresów polskiej kultury. Opowiada Benvenuto Cellini o rozlicznych wymyślnych truciznach, praktykowanych w dobie Renesansu, i o jednej mianowicie, z nich wszystkich najsubtelniejszej, najskuteczniejszej, na którą nie było leku ani zbawienia. Ta najpierwsza trucizna Renesansu, najzjadliwsza i bez ratunku zabójcza, to był pył stłuczonego djamentu. Takim djamentem jest w swoim zjednoczeniu łączne, jednolite samopoczucie



powszechnej całości, drogocenny, bezcenny djament: ale ono także jak ów renesansowy djament, rozprysłe, rozbite na miazgę, na drobne plemienne pyły, staje się zabójczą trucizną, która wżera się we wnętrności społeczne, przenika je i rozdziera bez ratunku, śmiertelną sprawiając niemoc. Zaiste, wielkie to wszystko i fundamentalne sprawy; niesłychana ich waga, niezmierna ich zawiłość; i nietrudniej też, jeśli niełatwiej jeszcze, do nich nie dorosnąć, w nich się nie opatrzyć, w nich się pobłąkać, jak w tamtych minionych sprawach przedstuletnich. Lecz jeszcze przez to nie godzi się dopuścić do siebie obawy ani zwątpienia. Umiała młodsza o stulecie, dzielna przecie i jasna myśl polska, w przebytych ciężkich przeprawach znachodzić sobie przewodników, jakich jej było potrzeba: potrafi ona i w terażniejszej uciążliwej dobie znaleźć sobie, wydać z siebie, z samej siebie zrodzić wiernych i roztropnych sterników, i potrafi, w ślad za nimi, męska, silna, doświadczona, spokojna, dla tego i dla następnych pokoleń torować i ubezpieczać górną, a niemylną drogę postępu i rozwoju, wiodącą ku szczytom narodowych przeznaczeń.

---

## ANGLJA A POLSKA

### I.

Stara Anglja niewiele troszczyła się o dawną Rzpltę Polską. Był to dla niej przedmiot zbyt odległy, egzotyczny, wykraczający

Rękopis składa się z 4 oddzielnych części:

1. Wykończona I część,
2. Bruljony i szkice I części,
3. Szkic i początki II i III części (A. a. P.) oraz luźne przypiski i notatki.

Cały rękopis pochodzi z czasów pobytu w Montreux, pisany był przed zakończeniem wojny (na co wskazuje zwrot na str. 13: „dzisiejszego ces. niemieckiego”), prawdopodobnie łącznie z ogłoszeniem artykułu na ten sam temat w *Revue politique internationale*, mai—juin 1917, ale zarówno w porównaniu z tym artykułem, jak i przedmową do książki Eug. Wawrzkowicza „Anglja a sprawa polska 1813—15” jest to rzecz znacznie szerzej ujęta i dokładniej potraktowana.

Rekonstrukcja zupełna tych fragmentów w znaczeniu dokończenia pracy zaczętej jest niemożliwa, gdyż w celu dokończenia trzeba by napisać rzecz przewyższającą rozmiarami 4-krotnie niemal rękopis, t. j. prowadzić dalej rzecz rozpoczętą przez następujące momenty: rozbiory, czasy napoleońskie, kongres wiedeński, rok 1830—31, czasy emigracji, wojnę krymską, rok 1863—64. Dopełnienie tak znaczne obcego pióra, rzeczowo i stylowo inaczej ujęte, odbiegałoby znacznie od rozpoczętego artykułu.

Fragment pozostawiony w rękopisie jest jednakże tak cenny, że ogłaszamy go, ograniczając się przytem do tekstu I części i początku II do słów „i tem wielką oddała mu usługę”, gdyż dotąd tekst jest wykończony. Dalszą część naszkicowaną tylko i jeszcze nierozwiniętą, dajemy w dalszym ciągu w nawiasach i petitem.



poza właściwy widnokraż jej ówczesnej polityki zagranicznej. Ośrodkiem głównym tej polityki, jak wiadomo, pomimo przerw i zgód pozornych, była wtedy i na długo pozostała odnawiana ciągle rywalizacja z Francją. Ale stara Francja, przeciwnie, bardzo wcześniej i żywo zajmowała się Polską i wciągała ją w koło interesów swoich. Już za Franciszka I, potem za Henryka IV, usiłowała związać ze sobą Polskę ścisłym przymierzem; osadziła na jej tronie Henryka Walezego, a i później próbowała osadzić tam książąt Condé lub Conti. Zachowała też prawie do końca pewien wpływ polityczny na rząd i sejmowanie, a większy jeszcze kulturalny na społeczeństwo polskie. Jakkolwiek zaś ten stosunek Francji *ancien régime'u* do Rzpltej Polskiej, z wielu względów, w praktycznym swem zastosowaniu podlega nader surowej krytyce, to jednak, w samej zasadzie, znamionował on ze strony francuskiej bądź co bądź szersze, dalej sięgające pojęcie solidarności międzynarodowej. Brak takiego pojęcia, w tym przynajmniej stopniu, i stąd nierównie ciaśniejszy widnokraż międzynarodowy cechował natomiast ówczesną Anglię. Tą cechą psychopolityczną głównie też tłumaczy się stały naogół, z przygodnymi tylko wyjątkami, indyferentyzm jej względem Polski. Podobne stanowisko obojętne zajęła Anglja, jeszcze niedorozwinięta mocarstwowo, względem Rzpltej, będącej wtedy, u szczytu potęgi, jednym z najpierwszych państw europejskich. Musiało to *a fortiori* odbić się na późniejszej obojętnej postawie Anglii wielkomocarstwowej względem Polski upadającej.

Stosunki dyplomatyczne polsko-angielskie w XVI i XVII wieku, ilościowo dość ożywione, jakościowo pozostały bezpłodne, nosiły charakter przeważnie formalny. Wprawdzie ze strony polskiej niejednokrotnie zwracano się do Anglii w twardych przeprawach, jakie z groźnymi sąsiadami swymi przechodziła Rzplta. Zwracano się z Krakowa do korony angielskiej, jak i do innych współczesnych monarchów chrześcijańskich, z wyłączeniem ciężkich krzywd doznawanych od krwawej zachłanności Zakonu Krzyżackiego. Podobnież w późniejszym znów okresie, zaniepokojony rozmachem zdobywczym Iwana Groźnego, ostatni z Jagiellonów przed ostatnią z Tudorów prorocze swoje z tego powodu wynurzał obawy. „Nie możemy — pisał

Zygmunt August do królowej Elżbiety (z Knyszyna 1567) — dopuścić handlu z Moskwą nie tylko dla własnych interesów naszych, ale też ze względu na dobro religji i wszytkiej społeczności chrześcijańskiej“, albowiem gwałtowny wzrost zbrojnej potęgi moskiewskiej musi obrócić się „na wielkie pokrzywdzenie całego Chrześcijaństwa i to znacznie prędzej, aniżeli wielu dzisiaj przypuszcza“. Ze swej strony wkrótce potem mądry car Iwan Wasyljewicz, który dopiero co w nieszczęśliwej z Polską wojnie był odwołał się, w imię tajnych widoków na unję kościelną Moskwy z Rzymem, do pośrednictwa papieża Grzegorza XIII i cesarza Rudolfa II, z kolei, w imię powinowactwa wiary anglikańskiej a prawosławnej, odwołał się do Elżbiety, dopraszając się jej przymierza przeciw zwycięskiemu królowi polskiemu Stefanowi Batoremu. W tym celu wyprawiony do Anglii z poselstwem djak carski, Pisiemskij, na konferencji w Greenwichu (1583), ile tylko przez tłumacza wobec ministrów angielskich wysłowić się zdołał, jak najmocniej przed nimi oskarżał Polskę, jako sojuszniczkę i służebnicę papieża i cesarza rzymskiego.

W ogólności przecie ze strony angielskiej niebardzo wtedy reagowano na odgłosy pochodzące z dalekiej Sarmacji. W dodatku tymczasem ostatecznie zdobycie Anglii przez reformację a odzyskanie Polski przez katolicyzm jeszcze bardziej utrudniło głębsze porozumienie się obustronne. Niefortunnie wybrał się Jakób I, kiedy owoc swych rozmyślań teologicznych, swoje „*Basilikon Doron*“ posłał do Warszawy w upominku Zygmuntowi III Wazie. Pobożny król polski, wyczytawszy heretycki wywód swego kuzyna angielskiego, iż monarchowie niczyjej kościelnej nie podlegają jurysdykcji i są niby papieżami u siebie, tak się zgorszył i przeraził, że kosztowne dzieło rzucił do ognia, palącego się na kominku. W tym samym prawie czasie ukazały się w Krakowie łacińskie „*Rozmowy*“ kanonika sandomierskiego Cichowskiego (1615), gdzie Jakób I nazwany był Julianem Apostatą, cały dom Stuartów za herezję srodze karcony, i nawet sprawcy spisku prochowego (*Gunpowder plot*) wzięci w obronę. Natychmiast, imieniem obrażonego króla swego, poseł nadzwyczajny angielski w Warszawie, sławetny John Dickinson, do samego Zygmunta z mocnym wystąpił protestem, żądał spalenia tak niecnej książki publicznie na rynku krakowskim i surowego



ukarania zuchwałego jej autora. Wszakże król polski, w odpowiedzi na kategoryczne to żądanie, przez zręczne pismo kanclerskie wymówił się grzecznie, z uwagi, że w Polsce cenzura ksiąg duchownych nie do tronu, lecz do Kościoła należy.

Zacieśniły się nieco stosunki polsko-angielskie, nie bez wpływów natury kościelno-politycznej, za Karola I. Pośredniczył on przy rozejmie między Polską a Gustawem Adolfem szwedzkim (1629). Negocjatorem—rozjemcą był tu doświadczony sir Thomas Roe, który sam w Polsce bywał i w pismach swych życzliwie Polaków wspomina. Z niemniejszym też o Polsce szacunkiem odzywa się w swych relacjach inny współczesny poseł angielski, Francis Gordon, który w obozie polskim asystował świetnemu zwycięstwu Władysława IV pod Smoleńskiem. Równocześnie także i ze strony polskiej częste do Karola szły poselstwa od króla Władysława. I podobnie jak przedtem we Francji, na dworze Walezych, uczony Thuanus i jego współcześni podziwiali powagę, bogactwo i ukształcenie przybywających nad Sekwanę przedstawicieli Rzplitej, tak teraz w Anglii na dworze Stuartów podziwiano świetność i ogładę delegacji polskich, wspaniałość darów, szczególnie przybranych w cudne rzędy koni, przywożonych dla króla Karola, kosztowne stroje i bronie posłów i ich świty, piękne ich oracje łacińskie, całą postawę i zachowanie się roztropne, taktowne, poważne. „We wszystkim Angielczykowie bardzo nas chwalą — zapisuje z ukontentowaniem jeden z tych właśnie ówczesnych do Anglii wysłańców polskich — ...jedno, że żałują między fraucymerem, iż koszul nie mamy a głowy golimy... zgola *in summa* legacja nasza królewska bardzo *grata et iudicio omnium Anglorum* rządna *et splendida*“. Szczególniej zajmujące są zapiski podróże Jana Zawadzkiego, starosty świeckiego, który dwukrotnie od Władysława do Szkocji i Anglii posłował, przez Karola wielce był lubiany, i tak żywo i barwnie opisał nieszczęśliwego króla, wtedy jaśniejącego młodością, jak „pobożny, lubo w błędnej religii“, śpiewa psalmy po angielsku, albo jak „szybki nadzwyczaj w bieganiu“, zabawia się grą w piłkę w ogrodzie pałacowym w Edynburgu.

Z późniejszych elektów polskich oczywiście najwięcej stosunkowo zajmowano się w Anglii Janem III Sobieskim. Gościł on u siebie w Żółkwi przez parę miesięcy posła Karola II i niejedno-

krotnie bywał przedmiotem zabiegów dyplomatycznych dworu angielskiego. Lekarzowi przybocznemu Sobieskiego, Bernardowi O'Connor, który długie lata w Polsce strawił, zawdzięczamy też ciekawą „*History of Poland*“, ciekawszą zresztą pod względem obyczajowym, niż ściśle historycznym. Ze szczerą sympatją ten przyrodnik-observator maluje Polaków, jasnej przeważnie cery i włosów, silnej budowy, wytrzymałych, długowiecznych, mężnych, gościnnych, wesołych. Co zaś w sobie oni mają najlepszego, to, zdaniem doktora Anglika, tej głównie zawdzięczają okoliczności, że żyją wolni, albowiem „wolność, rozwelelając umysł, pokrzepia i ciało Polaka“. Z naciskiem podnosi też O'Connor niedość znaną na Zachodzie wysoką kulturę duchową polską. „Od pierwszej młodości poświęcają się naukom... Nie zbywało im nigdy na filozofach, mówcach, matematykach, dziejopisach i poetach... Dziś w żadnym innym kraju tak dobrze nie władają łaciną, jak w Polsce“. „Polacy — tak wyraża się wkońcu o charakterze narodowym — otwarci i prawi, łatwiej dadzą się oszukać, niż oszukają sami“. Zwycięstwo Sobieskiego pod Wiedniem, wywołując wszędy wielojęzyczną powódź rymotwórczą, i w Anglii dostarczyło pobudki ogromnemu, niestrawnemu poematowi Aleksandra Tylera (1685)<sup>1)</sup>. I dużo później jeszcze ten sam temat odsieczy wiedeńskiej, osobliwym odświeżony sposobem przez polską uchwałę kongresową wiedeńską, odnajdzie się w kunsztownym, wzorowanym na odzie Filicaji, sonecie Wordswortha (1816) „*Siege of Vienna raised by John Sobieski*“.

Pomimo bezpłodności i bierności w dziedzinie właściwych stosunków politycznych między Anglią a Rzpltą, dość wcześnie atoli wytworzyły się pewne wydatniejsze punkty styczne polsko-brytańskie w dziedzinie kulturalno-społecznej. Wprawdzie głównem źródłem tryskających z zewnątrz twórczych wpływów duchowych były dla Polski, jak i dla reszty Europy, w dobie Odrodzenia Włochy, a od XVII wieku Francja. Jednakowoż niejeden świetniejszy promień myśli angielskiej, zwłaszcza w za-

<sup>1)</sup> Aleksander Tyler ogłosił w 1685 ogromny poemat o Janie Sobieskim na 155 str. z pełną biografią jego.

*Or like those cherubins to Eden given  
With flaming sword to fence the tree of life,  
Great Sobieski's hand cut off the strife.*



kresie rozstrząsań o rzeczy publicznej, wrychle trafił do Polski; trafiali tam, acz niezbyt często, Fortescue, More (Morus), Bacon, Hobbes, Milton i nie pozostawali bez wpływu. Zaś zarazem i myśl polityczna polska, tak bujnie zwłaszcza w XVI rozkwitająca stuleciu, wnet znalazła drogę do Anglii: znaleźli tam posłuch Modrzewski, Marycki, Goślicki <sup>2)</sup> i inni, czytelników, wielbicieli, nawet tłumaczy angielskich.

Znaną jest również ruchliwa w Anglii czynność zgłośnego reformatora polskiego, Jana Łaskiego, który przy przedwstępnem ustaleniu organizacji Kościoła anglikańskiego pomagał Cranmerowi, a i kłócił się z nim na ostre, Polak uczony i bystry, choć burzliwy i gwałtowny, jak określił go Burnet. Z drugiej strony już w pierwszej połowie XVI wieku „papiści” angielscy, szczególnie bracia zakonni, uciekając przed gwałtem prześladowczym Henryka VIII, chętnie chronili się do gościnnej Polski. We wtórej połowie tegoż wieku Szkoci katolicy, uciekając przed kalwińską zawziętością Johna Knoxa i surowością pierwotnego presbyterjanizmu, tłumnie uchodzili do Polskiej Rzpltej, będącej wtedy siedliskiem najczystszej w Europie tolerancji religijnej i politycznej, bezpiecznem schronieniem wszelakich ofiar cierpiących za swe przekonania i wiarę. W mniejszych rozmiarach podobny wpływ prześladowanych za „papizm” lub rojalizm wychodźców z Anglii, Szkocji i Irlandji do Polski ponowił się w stuleciu następnem, za rewolucji i rządów purytańskich. Odtąd dość liczne kolonje tych bezdomnych zbiegów brytyjskich umieściły się i przetrwały po rozlicznych kątach zarówno Korony jak i Litwy. Dochowały się tam do dziś dnia niektóre zwłaszcza szlacheckie rody szkockie, zapędzone tak daleko przez przywiązanie do katolicyzmu albo Stuartów.

Rzplta polska, pomimo osławionej anarchicznej żyłki szlacheckiej, zawsze przenikniona była duchem głębokiego legalizmu, a i lojalizmu względem swych monarchów, i to nie tylko względem dynastycznej powagi Piastów i Jagiellonów, lecz nawet najsłabszych królów elekcyjnych. To też w tym samym okresie,

<sup>2)</sup> Goślickiego książka polityczna, wyd. po polsku 1568, po ang. Lond. 1598, potem 1607 i 1733. Jego połączenie zasad „loyalty and liberty”.

gdy w Anglii króla Stuarta wiedziono na szafot, Polska właśnie pod mizernym elektem Janem Kazimierzem dawała miarę wier-nego swego wytrwania przy Koronie. Owóż rzeczą jest wcale ciekawą, że wolna republika monarchiczna polska z przeraże-niem odżegnywała się od rewolucji angielskiej a szczególnie od ścięcia Karola I. Spółczesny sejm warszawski za Jana Ka-zimierza wyznaczył nawet zasiłek specjalny na rzecz rodziny po-zostalej po straconym królu angielskim, do czego też przez osobną konstytucję sejmową opodatkował zamieszkałych w Polsce An-glików i Szkotów. W następstwie zbiegali jeszcze do Polski, aż za czasów saskich, zbiedzeni jakobici, zawsze ze współczuciem i staropolską przyjmowani gościnnością. Wówczas to, jak wiado-mo, wnuczka króla Jana Sobieskiego pretendentowi Jakóbowi Stuartowi oddała rękę.

W bardziej realnej dziedzinie gospodarczej przez cały ten prze-ciąg czasu stosunki polsko-angielskie naogół słabem były tętnem. W każdym razie daleko słabszem, niż wypadałoby z natury rzeczy, t. j. z naturalnej wzajemności wymiennej pomiędzy wyższą wytwórczością angielskiego rękodzielnictwa i przemysłu, a rolnem i leśnem bogactwem Rzpltej polskiej. Najdawniejsze średnio-wieczne stacje i zakłady kupieckie angielskie w Polsce i na Litwie z biegiem czasu, zamiast rozwinąć się, zamarły. Po doszczętnem zgnieceniu krzyżactwa, handel zagraniczny Rzpltej zwracał się coraz wyłącznie w kierunku Holandji, poprzez główny przyrodzo-nych bogactw polsko-litewskich nadmorski wylot, autonomiczny Gdańsk. Działo się to w znacznej mierze dzięki bardziej przed-siębiórczemu duchowi kupieckiemu Stanów Generalnych, góru-jącemu znakomicie ponad ociężałą powolnością angielską. Doszło do tego, że czasowo eksport i import polski drogą wodną faktycz-nie został prawie monopolem odbiorców, dostawców lub po-średników holenderskich. Jednakowoż od rozbicia ich potęgi morskiej przez Cromwella, a zwłaszcza od Aktu Nawigacyjnego, ożywiły się bezpośrednio stosunki handlowe polsko-angielskie. Ustalił się i rozwinął wywóz polskiego drzewa masztowego i pszenicy do Anglii oraz przywóz cieńszych sukien i t. p. wyro-bów angielskich do Polski. Wszelako i nadal wzajemny bilans handlowy trzymał się wciąż na znacznie niższym poziomie, niżby się należało przy prawidłowem wyzyskaniu warunków i interesów



obustronnych. Rynek polski był ciągle uznawany w Anglii jako bardzo podrzędny, wyprzedzany nawet coraz więcej przez odleglejszy rynek rosyjski.

Koniec końcem, jak się rzekło od pierwszego słowa, dawna Anglja, czy to Tudorów, Stuartów, Republiki, Orańczyka, czy w następstwie Hanowerczyków, o Polskę piastowską, jagiellońską czy elekcyjną dbała bardzo mało albo nie dbała wcale. Z taką to tradycją i predyspozycją bierności i zobojętnienia w rzeczach polskich stanęła Anglja w XVIII wieku wobec śmiertelnego przesilenia państwa polskiego.

## II.

Pierwsze dotknięcie sprawy polskiej przez politykę angielską w XVIII wieku wyraziło się epizodycznie w jak najopłakańszym sposobie. Było to w czasie wojny o sukcesję austriacką, gdy po upadku Roberta Walpole'a objął rządy lord Carteret, późniejszy hr. Granville, głośny z talentów i erudycji przyjaciel Bentleya, a także ze zboczeń moralnych, napiętnowanych przez jego przeciwnika, Pitta Starszego. Carteret, wedle słów Fryderyka Wielkiego, nienawidził Francji, jak Hannibal Rzymu. Postanowił on za wszelką cenę oderwać od niej sprzymierzonego z nią wówczas króla pruskiego. W tym celu postanowił kupić go za cenę... polską. Wprawdzie neutralna Polska nic zgola z całą tą wojną nie miała do czynienia. Ale to bynajmniej nie wzruszało Cartereta. Wiosną r. 1742, za pośrednictwem posła swego w Hadze lorda Staira, wzamian za odstąpienie Francji, zaofiarował on potajemnie Fryderykowi „przyrost z drugiej strony“, t. j. z polskiej, a mianowicie „jeśli (Fryderyk) będzie uważał za stosowne rozszerzyć swoje granice od strony Prus polskich, to Jego Królewska Mość Brytyjska nie będzie mu stawiała przeszkód.“

Najtajniejsza ta propozycja, z wielkiem zajęciem przyjęta przez Fryderyka, nie mogła wówczas zostać urzeczywistnioną. Ale sam fakt wyniesienia jej z inicjatywy angielskiej jest niesłychaną, bolesną niespodzianką. Była to w gruncie rzeczy ani mniej, ani

więcej, jak tylko propozycja podziału neutralnej, niewinnej Polski, na trzydzieści lat przed rzeczywistym podziałem, pod adresem najgłośniejszego pruskiego inicjatora podziałowego, zrobiona przez naczelnika rządu angielskiego. Tem niecnem wystąpieniem swoim naraził Carteret honor narodu angielskiego i sam dowiódł, że słusznie nazwany został, przy innej okazji, przez Pitta „godnym potępienia, jedynym ministrem, który opił się trunkiem, o jakim głosi poeta, aż do zapomnienia nazwy własnego narodu“.

Po tym fatalnym epizodzie, dokonało się w następnym okresie wojny siedmioletniej pewne szczególniejsze zbliżenie polityczne pomiędzy rządem angielskim a opozycją polityczną polską. Nastąpiło wielkie „odwrócenie aljansów“ (*renversement des alliances*), t. j. sprzymierzenie się śmiertelnych dotychczas wrogów, Francji i Austrii z Saksonją i Rosją przeciw Prusom, z którymi natomiast sprzymierzyła się Anglja. Otóż odbiciem tej kardynalnej odmiany w Europie było „odwrócenie stronnictw“ w Polsce. Stronnictwo Potockich i spokrewnionych z nimi domów Radziwiłłów i innych, dotychczas trzymające ze zdetronizowanym królem Stanisławem Leszczyńskim, teściem Ludwika XV, i z Francją, opozycyjne i przeciwne dworowi polsko-saskiemu Augusta III, obecnie, pozostając francuskim, stało się dworskiem, królewskiem saskiem a wraz antypruskiem. Przeciwnie, stronnictwo Czartoryskich i spowinowaconych z nimi Poniatowskich i innych czyli t. zw. Familji, dotychczas dworskie, augustowskie, zamieniło się na opozycyjne, antysaskie, pozostając antyfrancuskim. W tym ostatnim zaś charakterze Czartoryscy, izolowani w kraju, jako opozycja, poszukali oparcia na zewnątrz w najtrwalszym żywiole antyfrancuskim, t. j. w Anglji, sojusznicze pruskiej. Zwrot ku Anglji dokonany wówczas na własną rękę przez głowy „Familji“, ks. Michała i Augusta Czartoryskich, był bardzo doniosły w skutkach. Nadał on całemu nastrojowi tego domu i jego powinowactwu-stronnictwu, Czartoryskim, Zamojskim, Lubomirskim, Sapiehom, kierunek anglo-filski na przeszło stulecie, pod względem kulturalno-politycznym. Narazie wyraziło się to w kształcie osobliwym: poseł angielski w Warszawie, przeznaczony do Petersburga, *chevalier* Williams, zaprzyjaźniony z Czartoryskimi, zabrał z sobą nad Nową ich



siostrzeńca, ładnego stolnika litewskiego Stanisława Augusta Poniatowskiego. Tam w Petersburgu, szukając w obronie Fryderyka, a przeciw cesarzowej Elżbiecie, sojusznicze francuskiej, oparcia w otoczeniu w. księcia Piotra, Williams zapośredniczył w stosunku miłośno-politycznym pomiędzy jego żoną Katarzyną a swym pupilem polskim, Poniatowskim. Tym sposobem Anglja zapośredniczyła w związku między domem Czartoryskich a Rosją Katarzyny II. Anglja przyczyniła się do tego, by Polska nie wzięła udziału w wojnie siedmioletniej przeciw Fryderykowi i tem wielką oddała mu usługę...

[Anglja<sup>3)</sup> w wojnie siedmioletniej nieobliczone usługi oddała Fryderykowi. On Jerzemu II oddawał (?): „Kochany wuj, którego niech wszyscy diabli wezmą“. A znienawidził zwłaszcza od odstąpienia go przez Anglję za Jerzego III i lorda Bute'a pod koniec wojny siedmioletniej.

Anglja<sup>4)</sup> w następnych latach pokojowych, w okresie obojętnym dla spraw kontynentu a zwłaszcza polskich wchodzących w okres.

Był (zimą 1767—68) w Warszawie słynny dyplomata angielski, James Harris, późniejszy earl of Malmesbury, widział rządy Repnina i upokorzenie Stanisława Augusta i Rzpltej, sprawę dyssydencką i przedzień konfederacji barskiej i opisał to.

Papież Klemens XIII pisał wtedy (1767) do monarchów europejskich okólnie: „Nie mam wojsk dla ratowania Polski... (ale) zaklinam Was na Pana i Zbawiciela Naszego: przyjdźcie w pomoc temu nieszczęśliwemu narodowi... Jeżeli cierpi jeden członek ciała złączonego w imię Chrystusa, cierpią wraz z nim wszystkie członki“<sup>5)</sup>.

Obojętność Anglji na tak ogromnej wagi sprawę kontynentalną jak podział Polski, liczącej wtedy około  $\frac{3}{4}$  miliona kilometrów kwadratowych, t. j. większej o połowę od dzisiejszego cesarstwa niemieckiego, musiała pomścić się prędzej czy później. Była ona bowiem zaprzeczeniem elementarnej logiki nowożytnych stosunków międzynarodowych. Była zaprzeczeniem elementarnej prawdy, iż te stosunki stanowią jedną nierozdzielnią całość organiczną; iż istnieje związek przyrodzony pomiędzy sprawami kontynentalnej a morskiej i zamorskiej potęgi w systemacie mocarstw cywilizowanych, iż w tym systemacie niepodobna zrobić na jednym punkcie wyłomu i to jeszcze tak olbrzymiego, jak podział Polski, ażeby nie wywrócić wzajemnej równowagi

<sup>3)</sup> Dopisek interlinea: „Teorja Carlyle'a. Słowa Wellsa, Mackintosh“.

<sup>4)</sup> Dopisek interlinea: „Fryderyk — podział“.

<sup>5)</sup> Dopisek: „To zebrane z listów Klemensa XIII 30. IV. i 767 do Ludwika XV, Karola III hiszpańskiego i Józefa II“.

wszystkich innych punktów wytycznych. Narazie wprawdzie Anglja nie dbała o skutki polskiego rozbioru, zajęta niebawem wielką walką kolonjalną amerykańską. Ale odosobnienie, w jakim znalazła się podczas tej wojny, odbiło się bezpośrednio na dalszem osłabieniu jej stanowiska w Europie. Katarzyna skorzystała z tego i, popierając wolność Amerykanów przeciw Anglji podczas wojny anglo-amerykańskiej, podjęła głośny projekt „zbrojnej neutralności“, zmierzający do przełamania przewagi morskiej W. Brytanji. Zarazem skryształizowała ostatecznie swój dojrzewający „grecki projekt“; kiedy Anglja straciła Amerykę, Rosja zdobyła Krym. Zbliżała się do Konstantynopola. Już w pierwszej wojnie tureckiej Katarzyny flota rosyjska Orłowa na morzu Śródziemnem. Teraz do drugiej wojny na wielką skalę; w. ks. Konstantyn, greckie mamki.... Projekt wyprawy do Indyj, opracowany przez ks. Nassau, admirała rosyjskiego. Rzeczy te nie pozostały obce. William Eton, wieloletni konsul angielski, odsłonił niebezpieczeństwo; zrozumiał je Pitt. Wtedy Pitt zwrócił oczy na Polskę. Wprawdzie Polacy walczyli z Anglją w Ameryce. Ale oni naprawdę za wolność: Kościuszko, Pułaski...]



## ZE STOSUNKÓW POLSKO-PRUSKICH

Nie było w Polsce upadającej powszechnego, wrogiego przeciw Prusom uprzedzenia. Nie było przeciw nim, mimo niejedną zapewne po temu, aż nadto wystarczającą pobudkę dziejową, powszechnego uczucia nienawistnej zawziętości i nieprzejednanego żalu. Takie zresztą uczucie nie leżało naogół w samej naturze charakteru narodowego polskiego. Dobywało się ono conajwyżej w wielkich doraźnych, przepisanych przez najwyższy obowiązek i nieodpartą konieczność, żywiołowych wybuchach samozachowawczych. Pozatem przecie nie miało nigdy stałej, pełnej władzy nad nastrojem powszechności polskiej względem jednego z najzaciętszych nawet, najtwardszych krzywdzieli sąsiedzkich. Ani też względem Prus.

Tak więc już w stuleciu XVIII, w dobie Rzpltej upadającej, zamiast takiego uczucia, występowała owszem w Polsce od czasu do czasu, w rozlicznych okolicznościach i sposobie, skłonność do polubownego z Prusami porozumienia, do politycznego z niemi skojarzenia się, do szukania w nich oparcia przeciw Rosji.

Raz po razie w tym mianowicie kierunku podejmowane były wtedy usiłowania. Leszczyński, ścigany przez Rosjan,

---

Artykuł drukowany w Nr. 37 „Tygodnika Ilustrowanego“ z 10. IX. 1910 r. w dobie szalejącej haki w zaborze pruskim, nowych kredytów osadniczych, zakazów językowych, przepisów wywłaszczających. Jest on jakby pewnem uzupełnieniem artykułów „Polska a Europa“ w „Uwagach“ prof. Askenazego (1924), str. 31—39. Do artykułu w „Tyg. Ilustr.“ dołączonych było 8 portretów królów pruskich i cesarzy niemieckich od Fryderyka Wilhelma I do Wilhelma II.

schronił się do Królewca, do Fryderyka Wilhelma I. Barzanie, gromieni przez Rosję, ofiarowali tron polski księciu pruskiemu Henrykowi, bratu Fryderyka II. Patrjoci Sejmu Wielkiego, zrzucając zawisłość od Rosji, zawarli przymierze obronne z Fryderykiem Wilhelmem II.

Trzykrotne te usiłowania, dotyczące trzech zkolei królów pruskich, zawiodły wszystkie z kretesem. Co więcej, wszystkie one przez tych królów przeciw Polsce były obracane. Insynuacja przedwstępnego podziału Polski, jako odszkodowanie za gościnę królewiecką, podsuniętą została Leszczyńskiemu przez Fryderyka Wilhelma I. Podział pierwszy Polski, jako uspokojenie rozruchu barskiego i jego skutków, wymędrkowany został przez Fryderyka II. Podział drugi Polski, jako nagroda za wydanie sprzymierzeńca polskiego, uskuteczniiony został przez Fryderyka Wilhelma II.

Pomimo tego ostatniego haniebnego zawodu, jeszcze w powstaniu Kościuszkowskiem, mierzącem w Rosję, zrazu raczej na neutralność, niż na nieprzyjacielskie Prus wdanie się liczono. I tym razem stało się inaczej, Prusy obległy a wnet potem, w trzecim podziale Polski, zajęły niezdobytą przez siebie Warszawę. Lecz znowuż, mimo to wszystko, a poniekąd właśnie dlatego, tłumiąc więcej niż uzasadnione rekryminacje, powodując się wyższą narodową racją stanu, jeszcze ze strony polskiej nie porzucono myśli pójścia ręka w rękę z Prusami. Nie odrzekła się emigracja polska w Paryżu rewolucyjnym pójścia z rządem pruskim, który, osiedliwszy się w stolicy polskiej, równocześnie usunął się z koalicji i zbliżał do Republiki francuskiej. Wydatni emigranci, jak Wybicki i inni, przemawiając fikcyjnie imieniem „Kościuszki do narodu francuskiego“, takiej mianowicie myśli restytucyjnej, opieranej na widokach pruskiego poparcia, dawali wyraz śmieie, choć z mocną już u swoich spotykali się opozycją a przez tajnych agentów rosyjskich w Paryżu piętnowani byli jako zaprzedańcy pruscy. Ze swej strony Prusy podobnym widokom skwapliwie dostarczały pokarmu i zachęty. Generał Madaliński był z honorami i pensją pruską ugaszczany w Magdeburgu; generał Dąbrowski przyjmowany w Berlinie na audjencji królewskiej i dopuszczany do rozwijania pomysłów zbrojnego, powstańczego odbudowania Polski przy pomocy pruskiej. Za



wiedzą i upoważnieniem królewskim, Antoni Radziwiłł, żonaty z Hohenzollernówną, prowadził korespondencję spiskową z emigracją polską, celem urzeczywistnienia podobnych pomysłów polsko-pruskich.

Za następnego panowania Fryderyka-Wilhelma III, tego samego zakroju zamierzenia polsko-pruskie, popierane przez niedoszłego elekta polskiego, starego księcia Henryka pruskiego przez księżnę Luizę z Hohenzollernów Radziwiłłową, przez wielu wybitnych statystów i wojskowych pruskich, a po części przez samego króla, były poważnie brane na uwagę ze strony polskiej. Przeznaczano wtedy koronę polską bądź księciu Ludwikowi-Ferdynandowi pruskiemu, bądź samemu Fryderykowi-Wilhelmowi III w postaci unji polsko-pruskiej. Była chwila, kiedy za wiedzą i zgodą królewską Radziwiłł układał projekty polskich pod egidą Prus legionów, a Łubieński polskiej z nadania Prus konstytucji. I jeszcze po runięciu potęgi pruskiej pod Jena, po dwakroć, w zdobytym Berlinie i na poboju pod Eylau, rozważana była przez Napoleona I-go myśl połączenia Prus i Polski pod wspólnym berłem Hohenzollernów.

Wszystkie te koncepcje polityczne znowuż nie dopisały, i ani nie doczekały się bezpośredniego wcielenia, ani też w pośrednim bodaj sposobie nie wyszły na pożytek interesom polskim.

Rokowania berlińskie z generałami i politykami emigracji polskiej nie przeszkodziły w niczem rozgospodarowaniu się na samych polskich dzielnicach Prus administracji wrogiej, złośliwej i szkodliwej. Rokowania polsko-pruskie przed- i po-jenajskie nie przeszkodziły nieprzyjacielskiemu nawskroś stanowisku Prus zarówno względem samego utworzenia Księstwa Warszawskiego, jakoteż dalszej jego egzystencji i przemian. Jednakowoż to wszystko wciąż jeszcze nie wywoływało bynajmniej ze strony polskiej jakiegoś odwetowego, nieprzejednanego nastroju ślepej nienawiści i zawziętości względem Prus. Jeden przykład niechaj starczy za inne: rząd pruski za wstępowanie do szeregów warszawskich wyznaczył sąd polowy i karę śmierci; natomiast rząd polski płacił pensję inwalidom pruskim w Księstwie Warszawskim, a nawet tych z nich, którzy niebawem w wojnie austriackiej okazali się winnymi zdrady stanu i współdziałania z nieprzyjacielem, co najwyżej wydalał z Księstwa z wypłatą

całomiesięcznego wsparcia. W upadku Księstwa Warszawskiego Prusy brały udział wpływowy i czynny; wybrawszy z niego cenny odłam terytorjalny, Poznańskie, przyłożyły się do osłabienia fundacji Królestwa Polskiego na Kongresie wiedeńskim. Przyczyniały się odtąd systematycznie do podkopania normalnego politycznego rozwoju Królestwa; wspomogły dzielnie zwalczenie przez Rosję rewolucji listopadowej; a po jej stłumieniu otworzyły wnet u siebie akcję represyjną w Wielkiem Księstwie Poznańskiem.

Pomimo tak ciężkich doświadczeń społeczeństwo polskie nie wyparło się zgola myśli wyciągnięcia dłoni pojednawczej Prusom. Zdawało się, że sposobna po temu pora nadeszła z objęciem rządów przez Fryderyka Wilhelma IV. Nastąpiła istotnie napozór nowa era odrodzenia się ducha narodowego polskiego w azylu poznańskim, pod skrzydłem orła pruskiego. Nadeszła wreszcie doba rewolucji marcowej; spotęgowały się rzekome widoki polsko-pruskie; największy ongi polski Prus przeciwnik, sędziwy Adam Czartoryski, stawiał się w Berlinie. Wnet jednak przysły pozory i złudzenia; reakcja na całej linii dotknęła w pierwszym rządzie spraw polskich, wraz z objęciem władzy a niebawem i tronu przez nowego pana, Wilhelma I.

Nie znaczyło to jednak wcale, aby i pod tem panowaniem nie było zupełnie momentów takich, kiedy ewentualność zbliżenia się do Prus brana była w rachubę ze strony polskiej. Między innymi, jeden z takich momentów, prowokowany przez Bismarcka, przypadł w czasie powstania styczniowego polskiego. Na dnie tkwiła tu atoli nie korzyść, lecz wprost już zabójcza strata polska, groźba rozpołowienia Królestwa Polskiego. Odtąd, przez dalsze ćwierćwiecze Wilhelma I, dokonało się już tylko otwarte, coraz dalej postępujące rozwinięcie nieprzyjacielskiej względem żywiołu polskiego akcji administracyjno-politycznej rządu pruskiego.

Po życzliwej zapowiadających się, lecz przelotnych rządach Fryderyka III, rozpoczęło się panowanie Wilhelma II od ponownego przyjaźniejszego Prus ku Polsce zwrotu. Główną zaś pobudkę przyczynową stanowił tutaj znowuż, jak swego czasu, równo przed stuleciem, w dobie Sejmu Wielkiego, zwrot ofensywny przeciw Rosji, uwydatniony w pierwszym roku tego pano-



wania. Znowuż, jakgdyby śladem przedstuletnich rokowań sprzymierzeńczych polsko-pruskich roku 1789, zdawało się rodzić wyraziste zbliżenie polsko-pruskie roku 1889. Raz jeszcze wtedy ze strony pruskiej ujawniona została daleko, bardzo daleko w tym duchu idąca łatwość. I raz jeszcze ze strony pruskiej nastąpiła raptownie likwidacja i tem gwałtowniejszy nawrót w przeciwnym kierunku nieprzyjacielskim, trwający ze spotęgowanym coraz impetem aż do dziś dnia.

Nie było w Polsce upadającej ani w porozbiorowej powszechnego, nieprzejednanego przeciw Prusom uprzedzenia. Nie było przeciw nim uczucia ślepej, zawzinającej się nienawiści, właściwej narodom małym, lecz obcej wielkiemu, jak polski, który ma prawo i moc nie przesądzać z góry na zawsze ani przyszłego losu własnego, ani przyszłego swego względem innych stosunku. Była, owszem, ponawiana, nieraz aż za daleko posuwana gotowość do uciszenia w sobie najmocniejszych, najsprawiedliwszych ku Prusom żalów czasowych, przez pamięć na nieśmiertelną przyszłość narodowego powołania. Aliści za każdym, bez żadnego dotychczas wyjątku, razem była ze strony Prus li tylko bądź niezdolność do należytego zrozumienia tej gotowości i należytego drugostronnego jej zadośćuczynienia, bądź też wręcz dążność do znieważenia jej na krzywdę charakteru i interesu narodowego polskiego.

## PROWOKACJA W PRZESZŁOŚCI

Jak wiadomo, wszystko już było. Niejedna nowość najnowsza, wydająca się za specyficzny wykwit doby społecznej, najniespodziewaniej okazuje się, przy bliższem w rzecz wejściu, starą jak świat. Taką samą, pomimo wszelkich najaktualniejszych pozorów, bardzo postarzałą, ba, wiekową, okazuje się również owa rzekomo najmłodsza córka czasów naszych, o której teraz tak głośno: prowokacja polityczna. Prezentuje się ona dziś, z zewnętrznego wyglądu i całego wzięcia się, nawskroś nowocześnie, łyska elektrycznością, huczy dynamitem, operuje najbardziej udoskonalonemi zdobyczami zniszczenia i sugestji, lecz pod tem wyświeżonem przybraniem stare, dobrze znajome ukrywa oblicze. I dzisiejsi mistrze w sztuce prowokatorskiej, jeśli łudzą się górnem poczuciem swego modernizmu, jeśli wmawiają sobie, iż w swoim zawodzie są artystami *extra modern style*, iż do swego fachu wprowadzili „nowy dreszcz“, nowe nieznane dawniej sposoby, iż są twórcami oryginalnej metody i koncepcji policyjnej, muszą przygotować się na srogie rozczarowanie i pogodzić się z tą gorzką, upakarzającą prawdą, iż są w istocie niczem więcej, jak tylko pospolitymi naśladowcami, kontynuatorami i następcami długiego szeregu takich samych, jak oni, poprzedników. Prowokacja, jak wszystko, ma swoje wieloliczne precedensa, swoją długą historję.

Nie mogło być inaczej. Odkąd istnieje ludzkość, istnieje też ucisk, istnieje dążność do zniesienia tego ucisku, istnieje



represja przeciw tej dążności, istnieją wszelakie, najrozmaitsze tej represji formy zapobiegawcze i niszczące, a wśród nich, na miejscu poczesnem, prowokacja.

Forma zapewne najohydniejsza, a mimo to z dawien dawna jedna z najbardziej rozpowszechnionych, ze szczególniejszem upodobaniem uprawianych. Faworyzowana mianowicie tyleż przez wzgląd na przypisywaną jej wyjątkową skuteczność, ile dzięki osobliwej swojej naturze, wyjątkowo giętkiej i niepochwytnej, stąd tem dogodniejszej dla praktyk nader różnolitych, a ze wszech miar wymagających bezwzględnej dyskrekcji. Przydatna naogół, jako narzędzie ciche, nie kompromitujące, a sprawne i nadwyzczaj wszechstronne, do całej, niezmiernie rozległej skali widoków i zamierzeń niejawnych, na użytek bądź tej naczelnej potęgi państwowej, pod której egidą bywa stosowaną, bądź też zwłaszcza samychże, używanych do jej zastosowania, organów wykonawczych.

W rzeczy samej, niepospolicie obszernem i urozmaiconem przedstawia się to dziejowe koło obiektów, a wraz i związanych z niemi potajemnych celów i dążeń wytycznych, gdzie w grę puszczana bywała prowokacja polityczna w wielkim stylu. Chodziło w niej to o zgubę danego ustroju państwowego, to zbiorowiska społecznego, to nawet pojedynczego możnego domu lub wydatnej postaci publicznej, a przytem mianowicie o stworzenie jawnego pretekstu do represji, dla osłonięcia tajnej intencji rabunku czy pomsty. Chodziło znów kiedyindziej o określone, przewidywane lub wyczuwane, lecz bądź zarodkowe dopiero, bądź dojrzewające, a represyjnie niedostępne zjawisko opozycyjno-wyzwoleńcze, które należało co rychłej i co gwałtowniej pchnąć na czynne tory spiskowo-rewolucyjne, aby tem łacniej w przedwczesnym zdławić je wybuchu. Chodziło innym jeszcze razem o to, aby podobne zjawisko, już dojrzałe i czynne, wewnętrznie doprowadzić do rozkładu i znieprawić w sobie samem, albo doprowadzić przez przesadę *ad absurdum* i zohydzić w opinji. Chodziło wreszcie w niezliczonych wypadkach, nie dających się podciągnąć pod żaden ogólniejszy wspólny mianownik, o żywotne interesy owych organów wykonawczych, nieących prowokację i z niej żyjących, interesy doraźne, przygodne, nie-miłosierne, a z reguły będące w rozbieżności zupełnej, w prze-

ciwieństwie biegunowem z rzeczywistymi interesami samej potęgi państwowej, z której ramienia oni swoją prowokatorską pełnili powinność.

Do wysokiego stopnia udoskonalenia doprowadzone było rzemiosło prowokacyjne już w Rzymie starożytnym doby Cezarów. Pełno w tym względzie ciekawych, sensacyjnych rewelacyj mieści zwięzła, a wymowna wykładnia Tacyty. Odsłonięte tu zostają mimochodem, zwłaszcza w lapidarnych jego Annalach, różnorodne najwstrętniejsze wzory klasyczne podziemnych machinacyj tego właśnie gatunku, roztoczony obraz istnej orgii prowokatorskiej. Zaś wśród występujących tam czynnie prowokatorów wielkiej miary, na których czele wszechwładny góruje Sejan, obok zawodowych agentów podrzędnych, nie brak również figur z najpierwszych domów rzymskich, wysokich dostojników państwowych, senatorów, nie brak i kobiet z najlepszego towarzystwa rzymskiego, a nawet i sam głęboki Tyberjusz niekiedy osobiście najwyszukańszym, najniebezpieczniejszym nie gardzi podstępem prowokacyjnym.

Ale niema potrzeby cofać się aż tak daleko, do świata starożytnego, po wybitne przykłady dziejowe prowokacji, skoro aż nadto mamy ich pod ręką w dobie nowożytnej i wśród bliskich bezpośrednio dotyczących nas stosunków historycznych. Rzecz mianowicie ze wszech miar godna uwagi, że nawet do wielkich i ofiarnych poruszeń narodowych polskich w ostatnich dwóch stuleciach, jak konfederacja barska, powstanie Kościuszkowskie, rewolucja listopadowa, nie omieszczały raz po razie sięgać brudne i jadowite wpływy prowokatorskie. Ta okoliczność, oczywiście, nie może oddziaływać bynajmniej na ogólny sąd historyczny o owych żywiołowych porywach narodu, ani też nie była zdolna do zwichnięcia ich i zbrukania, stanowiąc jedynie sztuczny, dodatkowy spólczynnik pochodny obok powodujących je właściwych, głębszych i przyrodzonych czynników przyczynowych. Bądź co bądź jednak, ten fakt, dotychczas bardzo mało znany, sam przez się jest nader znamienity i nauczający i zasługuje na baczne uwzględnienie i pamięć.

Już konfederacja barska, to ogromne skłębienie wypadków spiskowych, politycznych i wojennych, będące właściwie ciągle jeszcze jedną wielką niewiadomą, czekające po dziś dzień swego



ścisłego historyka, naprzeciw wielu wspaniałych przejawów poświęcenia patriotycznego i wysokiego napięcia ducha narodowego wystawia także długie, ciemne pasmo zdrady publicznej, kierowanej i karmionej z poza kordonu, a czynnej wewnątrz samych działań konfederackich, idącej powolnie na rękę wrogiej inicjatywie sąsiedzkiej wogóle, a prowokatorskiej w szczególności. Pod tym względem pierwsze skrzypce trzymały wtedy Prusy, w osobie niezrównanego w tych rzeczach mistrza, króla Fryderyka Wielkiego. Fryderyk, skojarzony podówczas najściślej z Katarzyną II, pochłoniętą przez wojnę turecką, założył sobie wyzyskać daną konjunkturę polityczną w ten sposób, aby przez nacisk, niedostrzegalnie wywierany na cesarzową, zmusić ją do zgody na pierwszy podział Polski.

Podniecanie, podtrzymywanie na duchu konfederacji barskiej miało, między innemi, w pierwszym rządzie służyć temu celowi. Nie zaniedbał też Fryderyk niczego w tym kierunku. Generalicja konfederacka potajemnie utrzymywana była z Berlina w nadziei interwencji ratunkowej z Zachodu, a nawet w uludnych widokach osadzenia brata Fryderyka, ks. Henryka Pruskiego, na tronie polskim. Po obozach konfederackich przewijali się poprzebierani po cywilnemu oficerowie i agenci pruscy, zachęcając do wytrwania w walce, podobno nawet udzielając skazówek strategicznych i dostarczając broni. A równocześnie w Petersburgu Fryderyk, cichy przyjaciel i instygator konfederacji, w najczarniejszych barwach malował niebezpieczeństwo konfederackie dla Rosji i Europy i, jako jedynego skutecznego środka do zażegnania tego niebezpieczeństwa, wzywał i żądał podziału Rzpltej. W całym tem postępowaniu wielkiego króla pruskiego, któremu godnie sekundowały w niniejszej jego robocie pewne oddane mu duszą i ciałem wpływowe czynniki rosyjskie, niepodobna nie rozeznąć wszelkich znamion typowych świadomej prowokacji politycznej.

Pokrewne całkiem w swem założeniu i intencjach, aczkolwiek na inną modłę stosowane i z innej wychodzące strony, dają się wykrywać znamiona w najtajniejszych obrotach akcji sąsiedzkiej z doby powstania Kościuszki. Świadek niepodjezrzany, a dobrze wtajemniczony w zakulisowe tej akcji sprężyny, były ambasador pełnomocny rosyjski w Warszawie, baron

Sievers, wnet po wybuchu powstania, w piśmie poufnem do cesarzowej Katarzyny, wręcz oskarżał pewne sfery petersburskie, a mianowicie wszechwładną wtedy partję faworyta Zubowa, o rozmyślne sprowokowanie wybuchu, lub przynajmniej o rozmyślne zaniedbanie wszelkich zarządzeń zapobiegawczych. Dawał on wyraźnie do zrozumienia, że w pewnych kierowniczych kołach nadnewskich poprostu życzo no sobie powstania, aby znaleźć pożądaną sposobność do zgniecenia go, do ponownego ostatecznego rozbioru Rzpltej, a tem samem do nowego, obfitszego jeszcze, niż przy dwóch poprzednich okazjach rozbiorowych, obłowienia się, w drodze wywłaszczeń przymusowych i konfiskat, na dobrach donacyjnych polskich. W aktach Archiwum Państwowego w Moskwie znajduje się sporo dokumentów, potwierdzających to oskarżenie Sieversa i istnienie wskazanych przez niego zamierzeń i praktyk prowokacyjnych. Wynika to, między innemi, z dochowanych w tem Archiwum ułamków sekretnej korespondencji polskiej Płatona Zubowa, gdzie mieszczą się posyłane mu zawczasu, już w ciągu 1793 i początku 1794 r., przez tajnych informatorów najdokładniejsze doniesienia z Warszawy, Wilna, Drezna, Paryża, Konstantynopola o przygotowaniach do planowanego dopiero powstania. Zaznaczyć należy, że śród tych informatorów nie brakło nazwisk polskich, które następnie odnajdują się na wybitnych nawet stanowiskach w czasie samej insurekcji; co zaś główna, ich doniesienia odznaczają się ścisłością drobnostkową, odsłaniają z zupełną precyzją najtajniejsze szczegóły przygotowań przedpowstańczych, podają długie listy imienne głównych działaczy, będących wtedy przeważnie pod ręką rosyjską, przez co znakomicie zyskuje na prawdopodobieństwie oskarżycielskie twierdzenie Sieversa, że powstanie można było ze strony rosyjskiej uprzedzić, lecz że tego nie uczyniono dlatego właśnie, że go sobie życzo no. I w tem tkwiła pomyłka w niniejszym rachunku prowokatorskim; życzo no sobie małej awantury wojskowo-rewolucyjnej, którą spodziewano się stłumić w mgnieniu oka; nie przewidywano, gdyż takich rzeczy nie przewidują, nie pojmują mózgi prowokatorskie — że gotuje się samorodne, żywiołowo powszechne powstanie narodowe.

Taką samą najdosłowniej była pomyłka tajnej roboty prowokacyjnej, poprzedzającej wybuch rewolucji listopadowej.



Pokazałem gdzieindziej, jaką rolę prowokacja polityczna odegrała w okresie Królestwa Kongresowego, i zaznaczyłem zarazem jej współudział, w osobach Nowosilcowa, Roźnieckiego i kompanji we wrześniu, a w końcu i w wybuchu 1830 r. I tutaj również pomyślono się o tyle, że zamiast burdy ulicznej, jakiej oczekiwano, aby pod pozorem jej represji zawiesić konstytucję Królestwa, utopić nadużycia własne, opanować W. Księcia Konstantego i przypodobać się Petersburgowi, wystrzeliło potężne poruszenie narodowe, ciężka wojna polsko-rosyjska, której wynik niejednokrotnie stawał się wcale wątpliwym. Dodać należy, że i tym razem w warszawskiej akcji prowokacyjnej dawała się dostrzegać czynna ręka pruska, w osobie pruskiego konsula generalnego w Warszawie, Schmidta, przyczem w grę wchodziły poniekąd te same pobudki, jakie ongi były kierowały akcją Fryderykową, z tą tylko odmianą, iż tym razem chodziło o podział Królestwa Polskiego między Rosję a Prusy, jak ongi Rzpltej.

Za daleko zaprowadziłoby tutaj wdawanie się w bliższe szczegóły, nigdzie bardziej kręte i zawile, jak w tych śliskich materiałach prowokacyjnych. Niniejsze uwagi najogólniejsze mogłyby same przez się niejedno dać do myślenia zarówno czynnym sprawcom, jak i biernym ofiarom prowokacji politycznej.

---

## SPRAWA DYSYDENCKA

1764—1766

Jednym ze społeczników walniejszych, poprzedzających i przygotowujących upadek państwa polskiego, jednym z gwoździ do trumny Rzpltej, była w stuleciu XVIII sprawa dysydencka. Albo raczej, tem ona wtedy uczynioną została. Gdyż wtedy dopiero rozmyślnie i celowo takie właśnie nadano jej przeznaczenie, do takiego przysposobiono ją użytku, wypaczając z gruntu pierwotną jej treść dziejową i duchową. Sprawa dysydencka dla Rzpltej XVI wieku była przedmiotem przede-wszystkiem wyznaniowym, była sprawą reformacji. W tem znaczeniu została nieodwołalnie rozstrzygniętą dla Polski w ciągu wieku XVII na rzecz katolicyzmu. Wskrzeszenie jej w wieku XVIII, pod względem ściśle dysydenckim, było fikcją. Pod fikcją t. zw. sprawy dysydenckiej tkwiła naprawdę i najistotniej dyzunicko-unicka. Pod tą zaś ostatecznie kryło się zagadnienie nietyle religijne, wewnątrz nurtujące, ile czysto polityczne, z zewnątrz narzucone: rozbiorowe.

Polska przedrozbiorowa była krajem różnowierców. Było w niej dysydentów właściwych 200 000, dyzunitów niespełna 600 000, obok miliona żydów. Na ludność ogólną 12 milionów nie byłby to jeszcze bynajmniej stosunek zatrważający, w porównaniu z pozostałą masą dziesięciomiljonową ludności kato-

---

Przedmowa do pracy M. Cecylji Łubieńskiej „Sprawa dysydencka 1764—1766”, Monografie w zakresie dziejów nowożytnych, tom XIII. Warszawa 1911.



lickiej. Ale w tym rachunku mieściła się jedna ogromna a niezmienne wątpliwa pozycja. Śród owych 10 milionów katolików było prawie 4 miliony unitów. Ta okoliczność kapitalna odrazu podważała cały rachunek, rzymskich katolików Polaków stawiała w mniejszości, groziła wywróceniem równowagi państwowo-narodowej.

Unja miała być pomostem, po którym wszystek Wschód a w szczególności słowiański, winien był wniść z powrotem do Kościoła. To była jej racja główna, jedyna. To była wielka koncepcja idealna Kościoła powszechnego. Lecz jako taka zawiodła ona w zupełności. Tem samem zaś stawiała w rozterce z realną w tej dziedzinie racją stanu polską. Ta wymagała prostu a nieodbitcie jednego z dwojga. Albo pełnej religijnej jednolitości i zespolenia ludów polsko-litewsko-ruskich w czystej, niezmaconej, niewątlonej wierze apostołskiej rzymskokatolickiej. Albo też przynajmniej rzeczywistego politycznego uobywatelenia i upaństwowienia prawosławia w obrębie dzierżaw Rzpltej. Pierwsze, niezawodnie skuteczniejsze i nieskończenie trudniejsze, przecie swego czasu zgoła nie było niepodobieństwem, jak świadczył ongi przykład magnaterji i szlachty rusko-litewskiej, jak bodaj jeszcze spółcześnie świadczy powrót masowy ludu na obrządek łaciński, nie grecki. Ale w każdym razie, jeśli nie pierwsze, to drugie było koniecznością absolutną. Unja, stąpając linią środkową, biegnącą pomiędzy obydwoma temi kierunkami, nie dopuszczała konsekwentnego podjęcia i uskutecznienia żadnego z nich. Nie ważyła się na pierwszy. Nie była w zgodzie z drugim. Sama zawiódłszy wielkie nadzieje Kościoła powszechnego, musiała ostatecznie wyniki zawodne zostawić w spadku Rzpltej Polskiej. Niedotrzymawszy jako zamierzenie uniwersalne, znalazła się zamkniętą w granicach Rzpltej; a nie mając sposobu wykroczyć poza wschodnie jej krawędzie, pozostała wewnątrz niej, jak roślina egzotyczna w cieplarni, skazana na zagładę, skoro tylko runą rozbite przez mocą cieplarniane ściany i skoro wówczas na nią samą uderzą niemiłosierne wichry wschodnie, mroząc ją i wyrywając z korzeniem.

Sprawy dyzunickie w Polsce wieku XVIII najściślej spletały się z unickimi. Unici polscy w pewnej zaledwie części

doszli do istotnego nierozzerwalnego zjednoczenia duchowego z Kościołem. W przeważnej większości byli z nim zjednoczeni w powierzchownym, jeno, połowicznym, niegruntownym sposobie, gdy natomiast tysiączne węzły tradycji, obyczaju, krwi, życia codziennego, łączyły ich po staremu z rozsiadłymi wśród nich dyzunitami. Ten ostatni, nierównie mniej liczny, lecz wciąż nader znaczny, półmilionowy zgórą żywioł prawosławny w Polsce pozostał potężnym lewarem, zdolnym zawsze w dłoni nieprzyjacielskiej wzruszać i zachwiewać do głębi tamtą większą liczebnie, lecz nierównie mniej odporną masę blisko czteromilionową unicką. A zarazem, co najgłówniejsza, tędy, przez dyzunitów polskich, wywierane było pośrednio na ich pobratymców unitów przemożne ciążenie, wychodzące z poza kordonu, od zwartego ogromu powszechności prawosławnej, ześrodkowanej w ościennem imperjum rosyjskiem. Tem więcej oczywiście zależało na tem, aby ustalić i stosować w Polsce politykę dyzunicką mocną i energiczną, a roztropną i życzliwą, zmierzającą konsekwentnie do bezwzględnego wyodrębnienia i wyzwolenia dyzunji polskiej od wszelkich wpływów obcych, do zupełnego pozyskania, zdobycia, ubezpieczenia jej po wszystkie czasy dla Rzpltej.

Niestety, nie doszło zgoła do urzeczywistnienia najprostszych nawet w tym kierunku wskazań kościelno-politycznych. Jednem z takich wskazań elementarnych było zniesienie zawisłości hierarchicznej kleru prawosławnego polskiego od władzy patriarchalnej i synodalnej moskiewskiej, w drodze chociażby bezpośredniego poddania go kompetencji patriarchatu konstantynopolańskiego. Lecz ta myśl zbawienna, popierana jeszcze przez Władysława IV, pokrzyżowana przez przeciwnie ustawy fatalne — w rodzaju konstytucji sejmowej 1676 r., zakazującej *sub poena colli et confiscatione bonorum* wyznawcom religji greckiej, iżby relacji więcej do patriarchy konstantynopolańskiego nie mieli, jako pod nieprzyjacielem Krzyża św. mieszkającego, — niszczyła z kretelem, by zostać podjętą nanowu dopiero pod sam koniec, kiedy już było zapóźno, przez Sejm Czteroletni. Jakże zaś byłaby mogła znakomite oddać usługi, o tem przybliżone powziąć można pojęcie choćby z ułożonego wtedy, w październiku 1790 r., późniejszego listu paster-



skiego patriarchy konstantynopolańskiego do „wszystkich prawowiernych i prawdziwych chrześcijan tak duchownych jako i świeckich J. K. M. i Najjaśniejszej Rzpltej Polskiej tudzież W. Księstwa Litewskiego poddanych, którzy wyznajecie obrządku święte i wierzyacie w naukę ewangeliczną naszego kościoła wschodniego, wspólnej macierzy naszej, oraz w przykazania i ustawy siedmiu synodów powszechnych“. „Z przerażeniem odebraliśmy wiadomość — tak odzywał się tu patriarcha, jako głowa kościoła wschodniego prawosławnego, do greków dyzunitów w Polsce, podżeganych wtedy przez Potemkina do drugiej hajdamaczyzny, — że nasi duchowni przełożeni wykonali przysięgę, przez którą obowiązali się być posłusznymi obcemu mocarstwu i pełnić te rozkazy, które widocznie miały w celu poruszenie ludu do nieposłuszeństwa i buntu przeciw władzy prawnie panującej, jako też wzniecanie niesnasek w własnej ojczyźnie, co tym cięższym i ogromniejszym przed Bogiem jest występkiem, że bezbożność posunięto aż do używania na złe przez obmierzłą hipokryzję Jego imienia... Jest dawne nieodzowne prawo kościelne, do nas duchownych ściągające się, które wyraźnie nam przepisuje, abyśmy się samymi tylko duchownymi rzeczami zajmowali, a nigdy w żaden sposób nie udawali się do spraw politycznych, ponieważ *nemo potest duobus dominis servire, Deo et mamonae*... (Nakazuje się tedy) wszystkim wogóle duchownym (prawosławnym), tak wyższym jako i niższym, aby tymże samym sposobem, jak cześć Bogu oddają, zachowywali posłuszeństwo i powolność rozkazom J. K. M. i Najjaśniejszej Rzpltej Polskiej, za których jedynie jako za prawną zwierzchność waszą winniście modły zanosić do Wszechmocnego Boga, a nie za obcych monarchów, jakoście przedtem czynili; pilnie na to zważając, abyście inakszem postępowaniem nie stali się przestępcami św. Ewangelji, ustaw Apstołów i śś. Ojców i naszych nakoniec przestroż i napomnień pasterskich i synodalnych...“.

To wszystko miało przyjść po niewczasie. Pomścić się srodcze musiało zaniedbanie niesłychane, prawie niepojęte. Kiedy w następstwie, po ostatnich rozbiorach, Prusy dostaną pod swoje berło trochę ludności prawosławnej w Białostockiem, w te pędy oderwą ją w zupełności od kompetencji eparchjalnej, śluckiej i synodalnej petersburskiej i poddadzą wprost najwyż-

szej władzy duchownej patriarchatu konstantynopolańskiego. W imię samej zasady udzielności i porządku, dla kilku tysięcy swoich nowych poddanych prawosławnych, przeprowadzą Prusy natychmiast inowację prostą i konieczną, jakiej w imię najżywotniejszych interesów swoich, dla kroci odwiecznej swojej ludności prawosławnej, nie umiała w ciągu stuleci skutecznie Rzplta. Nie umiano naogół w Polsce — pomimo niektórych doraźnych na rzecz religii greckiej dodatkowych uchwał sejmowych — wytworzyć i wprowadzić w wykonanie owej tak nieodbycie potrzebnej, dyktowanej przez najprostsze wymagania samozachowawcze, własnej celowej polityki dyzunickiej. Wyrzekając się zaś w tym arcyważnym przedmiocie inicjatywy własnej, doczekano się obcej, ościennej, której właśnie za wszelką cenę należało zapobiec; pozwolono na traktatowe wstawienictwo gwarancyjne sąsiedzkie przeciw „uciśnieniu“ polskich cerkwi, episkopij, monasterów, archimandryj, ihumeństw, bractw i wszystkich ludzi błahoczystej grecko-ruskiej religii; w zaślepieniu samobójczem, a bez żadnej jeszcze wtedy, czasu paktów Grzymułtowskiego, konieczności ulegania przymusowi fizycznemu, pozwolono na tak niesłychanie doniosłe, nieobliczalne w dalszych następstwach, wdanie się mocarstwa prawosławnego *par excellence*, w charakterze obrońcy, poręczyciela, superarbitra, do najdrażliwszej materji kościelno-politycznej, stanowiącej czysto wewnętrzną, udziałną sprawę państwa i narodu polskiego. A było to tem bardziej godnem ubolewania, tem bardziej nieuzasadnionem i wręcz niedorzecznem, że wszak nasamprzaw w państwie i narodzie polskim, przy braku jakichkolwiek instynktów zawziętości religijnej, przy najpiękniejszych tradycjach tolerancji wyznaniowej, istniały wszelkie dane do istotnego prawno-politycznego przygarnięcia dyzunji; że następnie sam kościół prawosławny, będąc w Rosji owoczesnej pod bezwzględnym uciskiem władzy świeckiej, w beznadziejnym z nią zatargu, w zupełnem od niej poddaństwie, tem snadniej nadawał się do takiego przygarnięcia w Rzpltej. W świetle tego dziejowego paradoksu — Piotr, niweczący patriarchat prawosławny rosyjski, albo Katarzyna, sekularyzująca majątek cerkwi prawosławnej rosyjskiej, protektorami prawosławia polskiego, — dopiero z całą, w oczy bijącą jasnością występują ciężkie błędy



kościelno-polityczne, popełnione przez Rzpltę w rzeczach dyzunickich.

Te błędy podwójnie były doniosłe, podwójnie opłakane, gdyż taki lub inny obrót tamtoczesny owych rzeczy dyzunickich koniec końcem decydował zarazem o losie przyszłym unickich. Ale tutaj właśnie, w nierozłącznym splocie obu spraw, tkwił fatalny *circulus vitiosus*. Jedynie dobra polityka względem dyzunji mogła zabezpieczyć byt unji. Ale samo środkujące położenie unji stawało na przeszkodzie takiej polityce.

Położenie unji w stuleciu XVIII, u kresu spokojnego jej rozwoju a w przededniu okrutnych czekających ją ciosów, pomimo zasadniczego zjednoczenia i zrównania z obrządkiem łacińskim, pomimo nieprzerwanych prawie do końca ilościowych postępów misyjnych, przecie pod względem jakościowym, ściśle faktycznym, zarówno kościelno-duchowym, jak polityczno-społecznym, pozostawiało wiele do życzenia. Duchowieństwo unickie, od episkopatu aż do braci zakonnej i parochów, dalekiem było, w stosunku do łacińskiego, od tej istotnej równości apostolskiej, jaka odpowiadałaby pierwotnej myśli jednoczącej Kościoła. Żyło ono i działało w warunkach niezadowalających, niejasnych, nieustatkowanych, przebywało naogół w rzeczywistości na niższym od posłannictwa swego poziomie, jakgdyby w stanie jakiejś nieokreślonej, a niemniej bardzo wyraźnej i dotkliwej *diminutio capitis*. Odbijało się to szkodliwie na jego powadze, poniekąd na samej nawet egzystencji, wywołującej zjawiska anormalne, rozgoryczenie wydalonych z Senatu biskupów, zatargi rozkładowe w łonie bazylianów, fatalne obsadzenie parochij, przeważnie niby dziedzicznym, przez popowiczów, sposobem, niemal zawsze przez osoby małego powołania duszpasterskiego, wobec zupełnej prawie niemożności innego wyboru, skoro powszechnie „*certos proventus ex beneficiis* nie mają, akcydensa mizerne, w roli szukają chleba“, żyją z posagów żoninych, roboty gospodarskiej własnej, żony i dzieci. W połowie wieku XVIII, w dobie najwyższego liczebnie wzrostu unji w Polsce, poprostu trudno, prawie niepodobna było o godnych kandydatów do stanu duchownego. „Skądże na tych subiekta mieć będą ichmość ks. biskupi? — żałośnie zapytuje pismo unickie, skreślone w otwierającej się właśnie chwili przełomowej,

po wstąpieniu na tron Stanisława Augusta, w 1764 r. — nie z szlachty, bo ci naprzód widząc dotychczas dość, aż zanadto poniżony i coraz na większe a większe uciemiężliwsze wzgardy przychodzący stan duchownych unickich, jak od najgorszej rzeczy, honorowi ich ubliżającej, stronić od niego będą; powtórę, widząc i doskonale wiedząc wielką szczupłość fundacji parochij ruskich, w stanie świeckim dalszego szczęścia z honorem dla siebie szukać, jak do kapłańskiego, ze wszech miar obrzydnego, zabierać się; nie z chłopów, bo ci *adstricti glebae* i przez prostotę do tak wysokiego charakteru i funkcji, sumienie ciężkimi obowiązkami obligującej, niesposobni...“ Oczywiście zaś widok podobnych niepomysłnych warunków wewnętrznych bytowania unji nie mógł bynajmniej na pozostały w Rzpltej, bądź co bądź znaczny jeszcze a najoporniejszy żywioł dyzunicki oddziaływać zachęcająco, przyciągająco, jakby to zapewne, z tego punktu widzenia, nierównie snadniej nawet potrafił swego czasu czysty, niezmieszany katolicyzm rzymski. A zarazem duchowieństwo unickie, nie będąc w pożądaney harmonji z górującem nad niem łacińskiem, stawało w stosunku wręcz wrogim, nieprzejednanym do dyzunickiego, ponad którem dzierżyło samo i zachować sobie życzyło, życzyć z natury rzeczy musiało stanowisko wywyższone.

Nadomiar dla tych wszystkich, tak zawile i rozbieżnie układających się stosunków, podczas nadchodzącego już w drugiej połowie wieku XVIII klęskowego ich przesilenia, brakło należytej korektywy ze strony dwóch najbardziej powołanych do tego czynników: episkopatu łacińskiego i magnaterji kresowej. Pierwszy z nich, z nielicznymi zaszczytnymi wyjątkami, przechodząc podówczas, w opłakanej dobie Podoskich, Ostrowskich, Młodziejowskich, Siostrzeńcewiczów *e tutti quanti*, okres głębokiego upadku, skąd dopiero w następny stulecie miał się odradzającym wydobyć wysiłkiem, nie okazywał wtedy bynajmniej ani właściwego zrozumienia, ani serca dla unji. Drugi, również w przeważnej większości naówczas moralnie i politycznie do gruntu zdegenerowany, nie był zgoła przygotowanym ani uzdolnionym już nietylko do użytecznego pokierowania, lecz nawet do rozumnego przejścia się i zainteresowania sprawą unicką, cóż dopiero dyzunicką. A jednakowoż mimo to i wtedy



znajdowali się statyści pierwszorzędni, czuwający na posterunkach naczelnych Rzpltej, jak dwaj ówcześni kanclerze koronny i litewski, Michał Czartoryski i Andrzej Zamojski, którzy z doskonałą świadomością uprzytomniali sobie całą wagę i grozę obu tych spraw a w szczególności dyzunickiej, i wznosili się w ich pojmowaniu do szczytnych zasad tradycyjnego ducha tolerancji i rzetelnego rozumu stanu polskiego. „*Żebyś abhinc* w djecezji swojej — takie mądre i silne zalecenie biskupowi unickiemu przemyskiemu, Atanazemu Szeptyckiemu, pisał w 1765 r. Zamojski — dał bacność na swoje kapłany i lud utrzymywał od pokazywania nienawiści ku dyzunitom, a tembardziej od prześladowania ich, przymuszania do unji, cerkwie bezprawnie imże odbierać nie dozwalał i na miejsce upadających stawiać innych albo reperować konserwacji potrzebujących nie bronił... Wszakże wiara nasza święta dość ma powabów i słodkości jarzma Chrystusowego i dobrowolne tylko ofiary przyjmować zaleca; na cóż dobroć i doskonałość jej kazić nieporządną o nią żarliwością?”.

Aliści w tym samym czasie już były przy robocie przemożne wrogie siły obce, nie dopuszczając spokojnego, organicznego uzdrowienia wewnętrznego stosunków wyznaniowych polskich, lecz wprost przeciwnie, przez gwałtowne, mechaniczne z zewnątrz targanie, zmierzając rozmyślnie do zjątrzenia ich i zatrucia, w ostatecznym zaś wyniku do wyzyskania na pożytek własny a zgubę Rzpltej. Raz po razie dawniejszemi jeszcze napoczykana czasy, nareszcie w porze sposobnej dojrzała przemyślna ta robota, odkąd ześrodkowaną została w sprzymierzonych rękę Fryderyka II i Katarzyny II. Odtąd, od początku panowania Stanisława-Augusta, weszła sprawa t. zw. dysydencka w ostre stadjum przełomowe. Miarę istotnego charakteru i dążności otwierającego się przesilenia dawało już samo użyte do niego narzędzie główne, Jerzy Koniski, który niedarmo trzymał do chrztu przyszłego feldmarszałka Paskiewicza ks. Warszawskiego, tym sposobem symbolicznie niejako wychylając się z rozkładowych robót wyznaniowo-kościelnych wieku XVIII aż do ośrodka niweczących działań wojenno-politycznych XIX. W rzeczy samej, cała owa akcja, podejmowana wtedy spółem przez króla pruskiego i imperatorową rosyjską pod znakiem czystej, bezinte-

resownej zasady tolerancji religijnej, pod hasłem ludzkiego, platonicznego współczucia dla krzywdzonych przez Kościół w Polsce panujący współwyznawców swoich, czy to protestanckich czy unicko-dyzunickich, miała wyłącznie na widoku nawskroś realistyczne, protekcyjne i zaborcze cele polityczne, nie dbając oczywiście bynajmniej o rzekomą, wysuwaną przed światem dla pozorów zasadę tolerancyjną i równie mało dbając o istotne dobro rzekomych współwyznawczych swoich pupilów. Fryderyk II poprostu nie życzył sobie wcale równouprawnienia dysydentów-ewangelików w Polsce, o które tak ostentacyjnie się upominał; obawiał się, że powstrzymałoby ono emigrację żywiołów dysydenckich do Prus, na której wiele mu zależało; obawiał się wogóle, aby w Polsce nie było za dobrze owym kochanym dysydentom, których on kochał nie poto, aby im pomóc, lecz aby ich zabrać. W najpoufniejszych instrukcjach, posyłanych z Berlina rezydentowi pruskiemu w Warszawie, Benoitowi, odkrywał Fryderyk to najtajniejsze życzenie swoje niedojścia tolerancyjnych, napozór oficjalnie przez siebie popieraných projektów prawodawczych na rzecz dysydentów i zalecał sekretne użycie „wiadomych ludzi“, to jest zaprzędanych sobie posłów, celem obalenia tychże projektów. Równocześnie z Petersburga, imieniem Katarzyny, ówczesny kierownik jej polityki, zimny realista Panin najpoufniej oświecał ambasadora rosyjskiego w Warszawie, Repnina, że cała akcja dysydencko-dyzunicka podjęta została przez imperatorową „nie w myśli rozpowszechnienia w Polsce wiary naszej i protestanckiej, lecz w myśli pozyskania dla nas tym sposobem raz na zawsze nowej i trwałej partji... dzięki przyswojonemu nam na wieczne czasy protektoratowi“; zastrzegał się stanowczo przeciw wszelkiej istotnej poprawie doli ludności prawosławnej w Polsce, — którą zresztą w tejże korespondencji poufnej tenże Panin nazywał pogardliwie „podli spółwyznawcy nasi“ (*podłyje nasi edynowiercy*), — gdyż przyczyniłoby się to tylko do większego jeszcze wzmożenia dotychczasowej, bardzo już znacznej emigracji i stałego zbiegostwa włościan rosyjskich do Rzpltej; oświadczał się w szczególności przeciw popieraniu unitów, których uważać należy „zgoła za odszczepieńców od wiary naszej“ (*otnjud’ otszczepienicy*); kategorycznie zabraniał projektowanego wpro-



wadzenia dwóch biskupów unickich do Senatu polskiego, co byłoby nadzwyczaj „przykrem” (*prikro*), i przepisywał, wobec podobnej „przykrej” ewentualności, raczej zrzec się zupełnie postawionego pierwotnie przez Rosję postulatu wprowadzenia do Senatu biskupa prawosławnego białoruskiego; w ogólności nakazywał ograniczać się jeno do pozornej, starannie unikać rzeczywistej, skutecznej pomocy dla wszelkiego gatunku dysydentów polskich, którzy łatwo stać się mogą „z protegowanych dzisiejszych spółzawodnikami w przyszłości: albowiem pomiędzy towarzystwami politycznymi w pewnym znaczeniu nie masz miejsca ani dla żalu za doznane krzywdy, ani dla wdzięczności za minione dobrodziejstwa”. Z takich to nielitościwie trzeźwych wychodząc założeń, pod maską humanitarnej obłudy takie twarde, prostolinijne kryjąc dążenia przemocy i zaboru, wtargnęła sprzymierzeńcza interwencja ościenna do arcytrudnych już z samej swojej natury, do aż nadto już w samych sobie powikłanych, skołatanych, zaognionych spraw dysydenckich polskich, aby wziąć je w ręce po swojemu i ukuć z nich broń zabójczą, która niezadługo, krwawem hajdamackiem znaczona piętnem, ugodzi w samo serce konającej Rzpltej Polskiej i jeszcze przez lat półtorasta, aż do dnia dzisiejszego, nie przestanie godzić w serce dźwigającego ciężkie brzemie swoich przeznaczeń narodu polskiego.

---

## KOŚCIÓŁ KATOLICKI A KATARZYNA II

(1772—1784)

Podział Polski, pojęciowo zamknięty w sobie moment polityczno-dziejowy, przecie rzeczowo, w czynnościach i skutkach podziałowych, dwie zgoła odrębne wystawia strony: sprawę rozbioru terytorjum, oraz rozkładu organizmu Rzpltej Polskiej. Pierwsza sprawa, rozstrzygnięta przez czyn dokonany samychże podziałów, łamiąc doraźnie zewnętrzną postać państwa polskiego, pozostawiała wszakże widoki doraźnej zzewnątrz restytucji w przyszłej sposobnej po temu okoliczności i porze. Druga natomiast, dopiero z chwilą podziałową napoczynana, na dłuższą z konieczności obliczoną metę, zmierzając do kolejnego przekształcenia samej wewnętrznej istoty ustroju społeczno-narodowego polskiego, w miarę swoich postępów podcinała widoki ewolucyjnego kiedykolwiek odrodzenia nawewnątrz, zamykała nieodwołalnie, grzebała przyszłość. Ta wtóra operacja pochodna, będąc tamtej pierwotnej i przyczynowej wynikiem jeno i rozwinięciem, mniej napozór od niej pokaźna i uderzająca, bo nie z wierzchu ani raptem, lecz w rdzeniu i stopniowo dokonywana, właśnie jednak dlatego głębsze jeszcze poniekąd od tamtej i nie-równie donioślejsze posiadała znaczenie.

Nauka historyczna a wraz i świadomość publiczna polska z obu rzeczonych procesów dziejowych zaledwo pierwszy, ze-

---

Przedmowa do monografii Macieja Loreta „Kościół katolicki a Katarzyna II”, Monografie w zakresie dziejów nowożytnych, tom XII. Warszawa 1910.



wewnętrzny, lepiej i jaśniej rozeznawać, trzeźwiej i bardziej przedmiotowo zdawać sobie z niego sprawę zaczyna. Jak w rzeczywistości, nie wedle takiej lub innej, ułożonej *ex post* tezy historjograficznej, lecz realnym trybem społecznych wydarzeń, doszło do podziałów Polski; jak dalece górujące w tem zjawisku fatalne czynniki międzynarodowe spletały się z opłakanymi społecznymi domowemi i przez nie warunkowane były; w jakim stosunku rozłożyć należy płynące z jednych a drugich przesłanki musu a winy, i, co za tem idzie, w jakim postawić wnioski poczytalności swojej a obcej; jakiemi sposoby dzieło podziałowe dyplomatycznie, politycznie i demarkacyjnie poczęte, prowadzone i uskutecznione zostało, — to są wszystko przedmioty znaczne, zawile i trudne, do których ledwo przystępuje na własną rękę samodzielne badanie polskie i z któremi spełna uporać się niełatwą będzie dlań rzeczą. Ale gorzej jeszcze ma się z owym drugim procesem wewnętrznym, o jakim mowa. Ów proces arcyważny, otwierający się na pierwszym podziale, a odtąd, od półtora blisko wieku coraz szersze i głębsze zataczający kręgi, odrabiający, przez przeciąg tego półtorastoletniego nieprzerwanego swego trwania, we wręcz przeciwnym kierunku, całą uprzednią odwieczną robotę ustrojową polską, niezamknięty w istocie aż do dziś dnia, sprawił albo gotuje nie proste już tylko gwałtowne oderwanie samych zabranych przez rozbiory dzielnic państwowo-terytorjalnych, lecz zupełną, ze szczerem i na zawsze, niepowetowaną zatrutę wrośniętej w nich starodawnie, a teraz usuwanej bezwzględnie, albo przynajmniej podważanej i osłabianej, podwaliny zasiedlenia się, zagospodarowania i posiadania społeczno-narodowego, w pierwszym rządzie na najmniej odpornych kresach, w Kraju Północno- i Południowo-Zachodnim, Prusach Zachodnich, Galicji Wschodniej, poniekąd zaś z kolei, w miarę możliwości, równie i w rdzennych ośrodkach b. Rzpltej. Ze stanowiska racji stanu mocarstw podziałowych była to dla nich niewątpliwie sprawa wagi kardynalnej, była właściwą dopiero treścią i sankcją bezpośrednią faktu podziałowego. Została też przez nie podjęta natychmiast po załatwieniu się ze stroną techniczną podziałów i prowadzona odtąd niezmordowanie, z konsekwencją żelazną, a w znaczeniu i sposobie jaknajwszechstronniejszym. Ta akcja, odrazu jaśnie ustalona w swych liniach wytycznych, a krok za

krokiem urzeczywistniana w systematycznym zastosowaniu praktycznym, ogarnęła odtąd, w rzeczy samej, jaknajwszechstronnej wszelkie bez wyjątku główne dziedziny życia społeczno-narodowego w dzielnicach rozbiorowych wogóle, a pierwszorozbiorowych, bo kresowych, w szczególności, czy to w zakresie materialnym czy moralnym, gospodarczym i prawnym, administracyjnym i stanowym, wychowawczym i kościelnym, w jednako-  
wym naogół duchu i sensie, choć w rozmaitym stopniu i tempie, stosownie do rozmaitych okoliczności i warunków w każdej poszczególnej dziedzinie i dzielnicy.

Owóż cała ta następcza, przychodząca tuż po fakcie mechanicznego wcielenia podziałowego, rozległa i wnikliwa czynność organicznego wchłaniania podziałowego, jakkolwiek skroś jednolita w celowym swoim rozmachu i napięciu, różniczkowała się przecie przedmiotowo i czasowo na mniej widoczne, nieraz prawie niedostrzegalne, bo rozrzucone i ciągłe, a tem skuteczniejsze składniki: i dlatego pozostała też jaknajmniej znaną. Wiemy zaledwo, jak Polskę podzielono między trzy mocarstwa ościenne, ale jak ją z nimi jęto spajać, jednoczyć, utożsamiać, — o tem, z wyjątkiem dorywczych jenogdzie niegdzie wiadomości, żadnego naprawdę w całości, konkretnego, porządnego, ścisłego nie mamy pojęcia.

Wytworzenie sobie takiego pojęcia na dokładnej podstawie źródłowej jest bez wątpienia potrzebą pod każdym względem, naukowym zarówno jak publicznym, wręcz nieodbitą. Punkt wyjścia stanowić przytem winien oczywiście sam początek onego procesu, przypadający zaraz po pierwszym podziale i będący zasadniczo i praktycznie wskaźnikiem i wzorem, będący tu momentem genetycznym wszystkiej podejmowanej następnie w tym samym kierunku roboty. O ile zaś nadto chodzi w szczególności o pierwotną dzielnicę polsko-rosyjską, to znowuż z rozlicznych dziedzin, na jakie rozciągała się ta robota, miejsce najwydatniejsze należy się dziedzinie kościelnej.

W istocie, nazajutrz po dopełnionym rozbiorze, a z chwilą przystąpienia każdego z trzech państw rozbiorowych do owej operacji wchłaniającej względem odpowiednich swoich nabytków, w odmiennem zgoła położeniu znalazła się Rosja, aniżeli Prusy i Austrja. Te dwa ostatnie mocarstwa, rozrządzając wyższą



kulturą prawno-państwową i udoskonalonym aparatem administracyjnym, mogły natychmiast i bezpośrednio zużytkować tę swoją przewagę na wziętej ziemi polskiej w stosownych dziedzinach zarządu, sądownictwa, gospodarstwa i wychowania publicznego, a jakkolwiek nie zaniedbywały również i kościelnej, to raczej w dopełniającym do tamtych sposobie. Przeciwnie, Rosja ówczesna, samą siłą fizyczną przodując w dziele rozbiorowem, biorąc górę i nad dzieloną Rzpltą i nad dwiema potęgami spóldzielczemi, lecz niższa i od tamtej i od tych obu pod względem swego niedorozwinięcia kulturalnego, prawnopolitycznego i administracyjnego, nie mogła zrazu nadążyć na tej drodze i musiała, wprost naodwrot, nie zaniedbując zresztą i owych dziedzin, na których ześrodkowały się głównie asymilacyjne wysiłki pruskie i austriackie, punkt ciężkości analogicznych usiłowań własnych obrócić na kościelną.

Za takim mianowicie specyficznym obrotem dążeń jednoczących Rosji w obrębie pierwszego już jej działu polskiego przemawiała jedna nadomiar okoliczność kapitalna, stanowiąca sama przez się więcej niż kompensatę przewag Prus i Austrii pod względem wyższej ich dojrzałości i sprawności państwowo-administracyjnej — t. j. szczególnie pomyślne dla owych dążeń ustosunkowanie wyznaniowe ludności na zabranych przez Rosję ziemiach Rzpltej. Było tu, w granicach pierwszorozbiorowej dzielnicy rosyjskiej, około 100 000 łacinników, 800 000 unitów, 300 000 prawosławnych. Z samego już takiego stosunku ilościowego wynikało dla ówczesnego rządu rosyjskiego proste i dobitne wskazanie jego polityki kościelnej na tych ziemiach. Wprawdzie do Kościoła katolickiego należała tym sposobem właściwie znakomita większość przyłączonej ludności, do 900 000 dusz, ale istotna, niewzruszona w tem zawartość mieściła się naprawdę głównie w liczbie owych stukroć katolików obrządku łacińskiego, kiedy natomiast ósmkroć katolików obrządku greckiego stanowiło żywioł nieustatkwany religijnie a tem bardziej narodowościowo i pod obydwoma względami w wysokim stopniu podatny dla wpływów konwersyjnych, pociągany tędy z dawna ciśnieniem pokrewnych sobie z krwi, stanu i ducha masy trzechkroć prawosławnych, a odcięty teraz od oddziaływania katolickiej Rzpltej i poddany bezpośredniemu oddziaływaniu olbrzymiego imperjum

prawosławnego i potężnej władzy rządowej rosyjskiej. Na tem też odtąd polegało tutaj sedno rzeczy: na takiej orjentacji kościelno-politycznej rządu i takiej z jego ramienia organizacji Kościoła katolickiego w dzielnicy rozbiorowej rosyjskiej, aby, przecinając nazewnątrzą węzły łączące go z Rzpltą i rozluźniając łączące go z Rzymem, spowodować nawewnątrzą osłabienie i zanik węzłów łączących obadwa obrządku łaciński i grecki w łonie samego Kościoła polskiego i tym sposobem przygotować co rychlejsze zupełne oderwanie unji od katolicyzmu i polskości, oraz pozyskanie jej dla cerkwi i państwowości rosyjskiej.

Pod znakiem powyższej idei przewodniej począł się i ukształtował stosunek Kościoła katolickiego a Katarzyny II, we wstępnym zaraz, a decydującym dla dalszej przyszłości, okresie 1772—1784 r., t. j. od pierwszego podziału Polski aż do utworzenia pierwszej metropolji katolickiej pod berłem rosyjskiem. Przystępując do zbadania doniosłego tego przedmiotu, autor monografji niniejszej, który niepoślednie swoje uzdolnienie badawcze poświęcił z zupełnem oddaniem się umiłowanym studjom specjalnym nad nowoczesnemi dziejami Kościoła w Polsce, miał do pokonania zadanie żmudne i drażliwe. Żmudne — gdyż, nie mając żadnych właściwie, w znaczeniu ściśle naukowem, poprzedników na tem niemal zgoła nietkniętem polu badania, wszędzie prawie musiał sięgać wprost do źródeł archiwalnych, których wydobyć, a nawet sama przystępność była połączoną z pewnemi utrudnieniami natury technicznej. Drażliwe — gdyż przedmiot, sam przez się bardzo poważny, nastroczał nadomiar co kroku szczegóły nad wyraz smutne i opłakane, pod kątem widzenia najprostszych, najprawowitszych postulatów moralno-dziejowych ze stanowiska tyleż interesu Kościoła co i Polski.

Wynikało to poniekąd z samej natury rzeczy, wynikało między innemi z tego fatalnego zbiegu okoliczności, iż okres pierwszego podziału Polski był zarazem epoką jednego z najostrzejszych przesileń, przez jakie wtedy przechodził Kościół powszechny. Jeden z wydatnych momentów tego przesilenia, kasata zakonu oo. jezuitów, miał też w kierunku nader niepomysłnym odbić się na przebiegu niniejszego wstępnego stadium sprawy kościelno-politycznej w Rosji za Katarzyny II. Autor sposobem ściśle przedmiotowym, poruszając dotkliwe te kompli-



kacje podczas doby najmniej przezroczystej w wielostronnych dziejach Towarzystwa Jezusowego, bo obejmującej okres jego istności i działania wręcz zaprzeczony przez najwyższą w Kościele władzę, ograniczył się do czysto rzeczowego stwierdzenia tego stosunku faktycznego i płynących stąd niepożądanych konsekwencji dla ówczesnej niezdrowej postawy Towarzystwa względem Stolicy Apostolskiej oraz spraw polsko-rosyjskich. Podobnie, bez żadnych zgóry powziętych uprzedzeń, ale też nigdzie pod korcem przykrej nie chowając prawdy, tej najlepszej win i błędów lekarki, nakreślił haniebne albo marne rysy takich, jak metropolita Siestrzencewicz, znikczemniałych i występnych, albo też tylko niedorastających wysokiego swego powołania i ciężkiej tamtoczesnej Kościoła i kraju potrzeby, grzeszących słabością lub obojętnością, dostojników duchownych. Z tem większem natomiast zamięłowaniem zatrzymał się nad wizerunkiem takiej, jak metropolita Smogorzewski, czystej i pięknej postaci, wiernego syna Kościoła i Rzpltej. Razem dał pracę spokojną i staranną, która, utrafiając w nagłą na tem właśnie polu potrzebę naukową, — podobnie, jak to czyni w całkiem równoległym zakresie dla dzielnicy rozbiorowej austriackiej nowe szacowne dzieło ks. Chotkowskiego o Historji politycznej Kościoła w Galicji 1772—1780, — stanowić będzie solidny punkt oparcia dla dalszych poszukiwań nad dziejami kościelno-politycznemi ziem polskich pod berłem rosyjskiem.

Rzecz prosta, autor, zmuszony przeważnie po raz pierwszy dopiero torować tutaj ścieżki naukowemu badaniu, nie miał sposobu wyczerpać wszystkich, nastroczających się po drodze, spraw i zagadnień i wiele z nich, niektóre nawet bardzo wydatne, musiał pozostawić na uboczu. Do takich przedmiotów poszczególnych, które domagałyby się całkiem odrębnego roztrząsania monograficznego, między innemi należą niezawodnie rzeczy bazylijańskie w kordonie rozbiorowym rosyjskim. Dzieje nowoczesne zakonu św. Bazylego W., wysoce interesujące w opłakanych, tragicznych niekiedy, a tak ciemnych, zakrytych, mało lub źle wiadomych istotnych perypetjach swoich, stykających się w pewnych punktach kapitalnych z subtelną działalnością oo. jezuitów, te dzieje stopniowej, przymusowej, nieuchronnej dekadencji zakonu, to są naprawdę dzieje upadku unji. Był też

pierwszy zaraz podział Polski widomym znakiem bazylikańskiej zaguby, tam mianowicie, gdzie wtedy nasampierw pod obce panowanie odeszły klasztory bazylikańskie, t. j. w Galicji i na Białej Rusi. Wiadomo, że wnet wszystkie główne i zasobniejsze z tych klasztorów galicyjskich od rządu austriackiego na skarb zabrano, że nawet starożytną cerkiew Świętojurską we Lwowie z całym placem klasztornym oddano fałszywemu opiekunowi a zawziętemu w istocie prześladowcy zakonu, „zawsze — jak w leżącej przed nami, a pochodzącej z powierzonych nam cennych papierów bazylikańskich, poufnej kronice klęsk zakonnych, cichej skardze spisywanej dla potomnych w sekrecie mniszej celi, z gorzkim wyrzutem stary społeczny żalił się superior, — przeciw Bazylijanom godzącemu“, biskupowi lwowskiemu, późniejszemu metropolicie Leonowi Szeptyckiemu, dzięki usilnym jego tajnym w Wiedniu staraniom a możliwym i szkodliwym tam protekcjom. Ale gorzej jeszcze dziać się miało zakonowi na Białorusi, gdzie los jego nierozłącznie był związany z ułożoną już zgóry sprawą podważenia i zniesienia unji. Wprawdzie odeszły do Rosji klasztory bazylikańskie narazie zostawiono pod zarządem prowincjała litewskiego a naczelnem władaniem protoarchimandryty-generała zakonu. Ale wnet ciężkie zaczęły się kłopoty i uciśnienia, zwłaszcza odkąd zacny Smogorzewski w 1779 r., pozmarłym Szeptyckim obejmując metropolję ruską, odjechał arcybiskupstwo połockie, odmawiając powrotu, by pozostać w Rzpltej, i gdy po nim rządy duchowne na Białorusi oddała Katarzyna w uległe ręce Lissowskiego. Napróżno kapituła generalna, odprawiona w Torokanach w 1780 r. pod osobistą prezydencją Smogorzewskiego, a przy udziale wszystkich zebranych zagranicznych superiorów wokalnych, na długich, dwumiesięcznych obradach podjęła usiłowania ratunkowe, poprawiła i zatwierdziła kodeks konstytucyj bazylikańskich, obrała protoarchimandrytą dzielnego Józefa Morgulca, późniejszego opata mieleckiego, zaprowadziła nowy podział prowincjonalny, z nową osobną prowincją białoruską. Nie mogło to powstrzymać ciosu, jaki niebawem w zakon uderzył, kiedy Ukazem Katarzyny ze stycznia 1785 r. — „czyli z samego tylko, jak pisze kronikarz bazylikański, krajowego rządu woli, czy też z intryg tamecznych naszych mnichów, co pewniejsza“ — po raz pierwszy od istnienia zakonu bazylijanie białoruscy wyłą-



czeniu zostali od władzy generalskiej protoarchimandryty i poddani zwyczajnej władzy djecezejalnej miejscowej, a tem samem prowincja białoruska od ciała zakonu oderwana. Okazały się fatalne tego skutki na następnej kapitule generalnej w Żydyczynie, w 1788 r., już za śmiertelnej Smogorzewskiego choroby, gdzie nie stawiał się, pod surowym Katarzyny zakazem, żaden przedstawiciel zakonny z Białorusi, a gdzie natomiast z natchnienia Lissowskiego na obrady kapitulne wyniesioną została „kwestja“ znamienna: iż „byłoby zgodniej dla unickiego wyznania na Białejrusi z wyznaniem religji tam panującej, aby skasować święta *Corporis Christi* i św. Józafata“. Wprawdzie zaraz jednomyślnie orzekła kapituła, że „o tem rezonować nie jest jej przedmiotem, a gdyby tak stało się, byłoby wprost z wielkim przesądem dla unickiego wyznania“ i nawet nie dopuściła wpisania tego wniosku do akt kapitulnych, — bądźcobądź jednak, była to już zapowiedź wyraźna tych następstw klęskowych, jakie najbliższa gotowała przyszłość. Niepodobna, niestety, na tem miejscu wdawać się w szczegółowe wyluszczenie tej tak doniosłej i zajmującej materji bazyljańskiej, która, jak się rzekło, zasługiwałyaby zewszecchniar na opracowanie samoistne, i, jak tuszyc należy, niedługo na nie czekać powinna.

Autor monografji niniejszej, nie mogąc zbaczać ku podobnym, ważnym niezawodnie lecz raczej specjalnym materjom, mając sobie wyznaczony cel zarazem powszechniejszy rzeczowo a chronologicznie ściślejszy, t. j. nakreślenie dróg wytycznych polityki kościelnej Katarzyny II i stosunku do niej Stolicy Apostolskiej między pierwszym rozbiorem Rzpltej a założeniem archidiecezji mohylowskiej, oparł się w swoich poszukiwaniach, obok archiwów krajowych, jak zbiory X. X. Czartoryskich i Ossolińskich w Krakowie i we Lwowie, przeważnie na najgłówniejszych a nader w tej mierze obfitych źródłach Archiwum Watykańskiego. Nie mógł, niestety, dla powodów od siebie niezawisłych, uzupełnić swoich studjów watykańskich przez osobiste zbadanie równoległych zbiorów archiwalnych rosyjskich w Moskwie, Wilnie, Kijowie, lecz, ile tylko się dało, zastąpił te braki przez wyzyskanie odpowiednich materiałów na podstawie wyczerpującego uwzględnienia istniejących w tym zakresie publikacyj źródłowych.

(Pewne uzupełnienia ze starych druków rosyjskich i polskich daje do Loreta Henryk Mościcki w swych „*Dziejach Porozbiorowych Litwy i Rusi*“, rozdział I „Białoruś pod berłem Katarzyny II“. Daje on charakterystykę kleru ówczesnego (Massalskiego, Smogorzewskiego, Siestrzencewicza, Konisskiego i in.) i działalności jezuitów na Białejrusi, opisuje utworzenie „biskupstwa białoruskiego“ i arcybiskupstwa mohylowskiego, pobyt Katarzyny w Połocku i Mohylowie i przesadzanie się jezuitów w kulcie dla niej, otwarcie przez nich nowicjatu i drukarni w Połocku, wreszcie opisuje walkę z Unią i „nawrócenie“ się na prawosławie 117 116 unitów po pierwszym rozbiórze, do r. 1784. Ciekawa jest strona ilustracyjna: portrety Siestrzencewicza, Konisskiego, Melchizedecha Znaczk-Jaworskiego, Wiktora Sadkowskiego, Smogorzewskiego, Rostockiego, Massalskiego, Czerniewicza, widok zewnętrzny i wewnętrzny kolegium jezuickiego w Połocku, reprodukcja medalu Katarzyny II na pamiątkę rozbioru Polski z napisem w otoku: „Ottorżennaja wozuratic“. Przypisek wydawców).

---



## DAUDIBERT CAILLE (1796)

O mizernym tym awanturniku zaprzyszłowiecznym i pociesznej jego awanturze parysko-berlińskiej głucho było dotychczas w dziejach. Jednakowoż pan Daudibert Caille dziś właśnie ma słuszne prawo żądać, aby ciemna jego figura i tragikomiczna przygoda wydobyte zostały z niepamięci. Ma on obecnie pewien tytuł do aktualności. Ma jedyną bodaj okazję wejścia teraz do historii, teraz albo nigdy. Albowiem — rzecz zgoła nieznana ani historykom ani historykom niemieckim, francuskim a zapewne i marokańskim — pan Charles Etienne d'Audibert Caille to był swego czasu, ani mniej ani więcej, jeno najpierwszy urzędowy przedstawiciel dyplomatyczny Prus w Marokku. Mógł on powołać się na autentyczny „patent“ Fryderyka Wielkiego z dnia 9 marca 1784 r., mianujący go „konsulem generalnym Jegomości Króla pruskiego w państwach Jegomości Cesarza marokańskiego“. Trudno chyba o aktualniejszą godność w chwili obecnej, kiedy w gabinetach mocarstw i na szpaltach dziennikarskich o niczem innem niema mowy, jak o Tangerach, Fezach i Agadirach. I niezgorszy dowcip historyczny tkwi w samym tym zabawnym szczególe, iż taką godność w krainie afrykańskiej, o którą niedawno toczył się zażarty djalog pomiędzy p. de Selves a p. Kiderlen-Waechterem, o którą udzierają się z sobą

---

Szkic drukowany w „Tygodniku Ilustrowanym“, 1912, II, Nr. 38, str. 786—7. Por. *Napoleon i Polska*, Warsz. 1818, I, 133—5; materiał źródłowy wskazany tamże, 270—4.

Francja i Prusy, piastował ongi najpierw Francuz rodowity imieniem największego korowanego Prusaka. Aliści dla nas pozatem inny jeszcze dowcip dziejowy kryje się tutaj w tej bardziej jeszcze nieoczekiwanej okoliczności, iż przedmiotem właściwym szczególniejszej afery przedstuletniej, w której rolę główną odegrał ten dziwaczny dygnitarz francusko-prusko-marokański, była — Polska.

Rzecz działa się w czasie, gdy dopełniał się trzeci, ostateczny rozbiór Rzplitej polskiej. Rozbiór ten, jak wiadomo, ułożony był pierwotnie samowtór między Rosją a Austrią, poza plecami Prus, które później dopiero doń przystąpiły, zaskoczone przez fakt dokonany, ale zarazem, mocno niezadowolone z wyznaczonego sobie działu, zawzięcie targowały się o nową demarkację podziałową, zwłaszcza od strony austriackiej, gdzie między innemi zawzięcie dopominały się dla siebie Krakowa. Równocześnie niemal z wynikłemi stąd zatargami z Rosją i Austrią Prusy, po wystąpieniu swoim z koalicji i zawarciu oddzielnego pokoju bazylejskiego z Francją, były stanęły na stopie przyjacielskiej, prawie sprzymierzeńczej względem Republiki francuskiej. A na tej Republice, wciąż niepokonanej i naprzód pracę, opierały się wszak podówczas główne widoki emigracji powstańczej polskiej, która, po upadku insurekcji Kościuszki, swoją kwaterę główną założyła w Paryżu rewolucyjnym a przez liczne kanały tajemne utrzymywała ścisłą styczność z ujarzmionym, rozdartym krajem.

Owóz, wśród takich warunków powstała w kraju a poczęści i na emigracji śmiała myśl odnowienia, choć na inną poniekąd modłę wedle zmienionych okoliczności, niedawnej, z przed lat kilku, koncepcji Sejmu Czteroletniego, myśl zbliżenia się do Prus, sprzężnięcia się z Prusami, celem wygrania ich na rzecz Polski przeciw dwom pozostałym mocarstwom rozbiorowym, a to mianowicie przy pośredniczącym poparciu dyplomatycznym a bodaj i czynnym współudziale zbrojnym Francji republikańskiej. Próby, z różnych stron w tym kierunku wszczynane, znalazły sobie niebawem wyraz dobitny w wystąpieniu tajemnym generała Henryka Dąbrowskiego, który, wybierając się na Zachód po robotę legionową, wypracował nasamprzód formalny projekt wspólnej akcji powstańczo-wojennej polsko-pruskiej,



skierowanej przeciw Rosji i Austrii, przesłał go we wrześniu 1795 r. na ręce posła francuskiego przy dworze berlińskim, Caillarda, dla przedłożenia go rządowi pruskiemu, następnie zaś w marcu 1796 r. osobiście zjawił się w Berlinie i ustnie rozwijał ten projekt niezwykle na cztery oczy na audjencji poufnej przed królem Fryderykiem Wilhelmem II. Wszelako te usiłowania, podejmowane przez Dąbrowskiego, Wybickiego i innych wybitnych patriotów, nie wzięły skutku, spotykając się z ostrożną wstrzeźliwością Prus, które nie zrywając bynajmniej tych nici tajemnych, nawiązanych z republikanami francuskimi i polskimi, równocześnie prowadziły dalej swoje natarczywe targi demarkacyjne ze współnikami rozbiorowymi, dworami petersburskim i wiedeńskim. Z drugiej zaś strony, w łonie samego społeczeństwa polskiego, te usiłowania spotykały się zrazu z najbezwzględniejszym potępieniem, z gwałtowną opozycją t. zw. jakobinów polskich, trzymających prym w głównym ościennym ośrodku emigracyjnym, t. zw. Deputacji polskiej w Paryżu. Ta opozycja poczęści wcale słusznie ostrzegała przed zdradliwą polityką pruską, przed śliską drogą paktów berlińskich, gdzie dopiero co tak okrutnie potknął się Sejm Czteroletni. Lecz, obok tych pobudek ideowych, jakobini polscy w znacznej mierze sprzeciwiali się projektowanej nowej akcji polsko-pruskiej także i dla pobudek czysto konkurencyjnych dla tego głównie powodu, iż sami w jej zapoczątkowaniu kierowniczego nie mieli udziału. Nie wahali tedy tych swoich współbraci, choćby i najzasłużeńszych patriotów, ale konkurentów w ratowaniu ojczyzny, piętnować jako zdrajców sprawy narodowej, a nawet oskarżać ich przed rządem francuskim jako „Prusaków“, zaprzędanych dworowi berlińskiemu.

Mimo to wszystko, pomimo rezerwy rządowej pruskiej i krzyków „jakobińskich“ polskich, napoczęta konferencja polsko-pruska nie schodziła z porządku dziennego, a co więcej, znalazła poniekąd uznanie i pewne poparcie ze strony Dyrektora i ministerjum francuskiego. Dąbrowski, przybywszy do Paryża, przedstawił jesienią 1796 r. dyrektorowi Rewbellowi i ministrowi spraw zagranicznych Delacroix stosowne memorjały, rozwijające szczegółowo tę samą myśl odbudowania Polski przeciw Rosji i Austrii przy politycznym i militarnym współudziale

Prus. Niedosć na tem, wszedł on w stosunek bezpośredni z posłem pruskim w Paryżu, Sandozem, któremu doręczył 29 października 1796 r. obszerną notę, górującą w projekcie zwołania odroczonego przed czterema laty Sejmu Wielkiego z marszałkiem Stanisławem Małachowskim i Kazimierzem Nestorem Sapiehą. na czele, celem podniesienia Rzplitej polskiej pod egidą pruską.

Taki obrót rzeczy uderzył najmocniej dotychczasowych nieprzejeđnanych przeciwników inicjatywy, zazdrośnie strzegących berła reprezentacji polskiej „jakobinów“ emigracyjnych. Zaniepokojeni do żywego, iż sprawa porozumienia polsko-pruskiego może zostać urzeczywistnioną wbrew nim i bez nich, a tem samem w ręce jej inicjatorów może przejść kierunek całej związanej z nią wielkiej akcji narodowej, postanowili oni zawczasu uprzedzić podobną ewentualność i sami w swoje ręce wziąć tamtą inicjatywę, potępianą przez nich póty, póki przez innych była prowadzona. W tym celu oni z kolei skomunikowali się obecnie z ministrem Delacroix, proponując wysłanie do Berlina umyślnego tajnego wysłańca, który, mając od nich, t. j. od Deputacji, stosowne pełnomocnictwo oficjalne, rozpocząłby na tej zasadzie rokowania poufne z rządem pruskim. Delacroix chętnie udzielił na to zgody, poczem, za wspólnem porozumieniem, wybrany został do tej drażliwej misji były konsul generalny pruski w Marokku, Audibert Caille. Wybrany on został właśnie ze względu na swoje dawniejsze stosunki agenta dyplomatycznego pruskiego; był utrzymywał poprzednio korespondencję z byłymi ministrami pruskimi Hertzbergiem i Finckensteinem; potem, po opuszczeniu konsulatu w Marokku, włącząc się po Hiszpanji, poznał się osobiście z obecnym posłem pruskim w Paryżu, Sandozem, był też polecony do misji niniejszej przez swego przyjaciela, obecnego szefa Trzeciego wydziału politycznego we francuskiem ministerjum spraw zagranicznych, Derchégo; chętnie też został akceptowany przez Deputację polską.

Deputacja polska w Paryżu, a mianowicie działający w jej imieniu trzej wybitni emigranci „jakobińscy“; Djonizy Mniewski, „senator polski“, Gabrjel Taszycki, „generał-major armji polskiej“, i Franciszek Dmochowski, „członek departamentu edukacji narodowej“, doręczyli „obywatelowi Karolowi Stefa-



nowi Audibert Caille“, byłemu konsulowi generalnemu pruskiemu w Marokku, trzy akty pełnomocne, datowane, albo raczej zapewne nieco antydatowane w Paryżu 30 września i 2 października 1796 r. Występowali oni tutaj, jako „wybrani i upoważnieni przez swych współobywateli“, mocą uchwał 22 sierpnia 1795 r. oraz 23 i 28 lipca 1796 r., do „prowizorycznego wykonywania władzy narodowej i rokowania z zaprzyjaźnionemi mocarstwami względem przywrócenia bytu drogiej naszej ojczyźnie“. Na tej podstawie wyznaczali obecnie, jako pełnomocnika swego do rokowania z Jegomością królem pruskim, „obywatela Daudibert Caille, męża nader roztropnego, zaszczyconego wielokrotnie zaufaniem rządu francuskiego, jak również i Wielkiego Fryderyka, który mianował go w r. 1784 konsulem swoim w cesarstwie marokańskim“. Upoważniali wysłańca do porozumiewania się z monarchą i rządem pruskim względem podniesienia całej Polski przeciw Rosji i Austrii, do zawarcia odpowiednich układów, oraz do zobowiązania się, iż w takim razie, on, obywatel „Daudibert Caille, w rzeczonym (pełnomocnym) charakterze swoim zobowiązałby (*engagerait*) naród polski do ogłoszenia królem polskim księcia domu panującego pruskiego“. Prócz tych wspaniałych umocowań, były konsul pruski w Marokku zażądał jednak innych jeszcze poręk, na jakich zapewne więcej mu zależało, niż na odbudowaniu Polski: wziął od Deputacji nieco gotówki, zobowiązanie wypłacania mu po 1 500 lirów miesięcznie przez cały czas trwania jego misji oraz ponadto 3 300 jednorazowej bonifikacji. Późatem dostał jeszcze wprost od francuskiego ministerjum spraw zagranicznych 5 760 lirów na drogę. Tak zaopatrzony, zgłosił się jeszcze na wyjeździe do Sandoza, uprzedził go o swej wyprawie do Berlina — choć podobno nie przyznał się do istotnego celu wyprawy — poczem, w początku listopada 1796 r., w towarzystwie „sekretarza“, niejakiego Marabouille’a, opuścił Paryż, udając się, na Wesel, do Berlina.

Daudibert Caille przybył do Berlina 9 listopada 1796 r. z rana, stanął w hotelu Stadt Rom i tegoż dnia zwrócił się listownie do pruskiego ministra spraw zagranicznych, hr. Haugwitza, żądając widzenia się, gdyż ma „uczynić propozycje największej wagi dla sławy i interesu Jegomości króla pruskiego“.

Tegoż dnia był również u posła francuskiego w Berlinie, Caillarda, któremu jednak uczynił tylko „połowiczne wynurzenie“ (*demi-confidence*) o swojej misji. Nazajutrz zgłosił się do niego agent przysłany od Haugwitza dla bliższego wybadania go. Nie mogąc doczekać się żądanej audjencji, Daudibert Caille po paru dniach posłał Haugwitzowi w kopji swoje niezwykle pełnomocnictwa, otrzymane od Deputacji polskiej w Paryżu. Haugwitz 14 listopada doniósł królowi Fryderykowi Wilhelmowi II o tej, jak wyraził się, „efronterji“, zasługującej na najsurowszą odprawę. „Ten Audibert, o którego pięknej misji mi donosisz — odpisał król Haugwitzowi nazajutrz, 15 listopada — to widocznie jest warjat (*fou*) i masz słuszość zupełną, że należy go wypędzić“. Niezwłocznie też przedsięwzięte zostały odpowiednie zarządzenia. Z polecenia Haugwitza tegoż dnia 15 listopada o 4 po południu dyrektor policji berlińskiej i prezydent miasta, radca wojenny Eisenberg, stawili się w Hotelu Rzymskim i zakomunikowali Daudibertowi rozkaz, aby natychmiast w towarzystwie urzędnika policyjnego opuścił Berlin i wyniósł się za granicę pruską. Niefortunny emisariusz oczywiście próbował bronić się; powołał się na posła francuskiego, Caillarda; lecz sprowadzony w tejże chwili z poselstwa sekretarz legacyjny Dodun, nie tylko odmówił wzięcia w obronę tego podejrzanego kompatrjoty, ale nawet wyparł się wszelkiej z nim znajomości. Skończyło się na tem, że tegoż dnia Daudibert razem ze swoim „sekretem“ Maraboullem, w asystencji agenta policyjnego wyekspedjowany został z Berlina i nie oparł się aż w Altonie. Epilogiem tej afery były długoletnie jeszcze natarczywe pretensje o odszkodowanie pieniężne, z jakimi nacierał on następnie na swoich mocodawców, Deputację polską w Paryżu.

Rząd pruski uznał za rzecz dla siebie najpilniejszą zrzucić z siebie wszelką odpowiedzialność za misję Daudiberta. Już 18 listopada 1796 r. pospieszył Fryderyk Wilhelm II w piśmie gabinetowem do posła swego w Petersburgu, generała Tauentziena, ostentacyjnie umyć ręce wobec Rosji z powodu tej misji i związanego z nią projektu odbudowania Polski przy pomocy Prus. „Projekt podobny — pisał król pruski — mógł powstać jedynie w głowie umysłowo pomieszanej... i zasługuje na głęboką pogardę“. Jednocześnie polecił zakomunikować rządowi peters-



burskiemu w odpisie pełnomocnictwa paryskie Daudiberta, „niedorzeczne piśmidła (*absurdes pancartes*), jako zwyczajne curiosum“. W tym samym duchu pisał król równocześnie do posła swego w Wiedniu, Lucchesiniego, dla oczyszczenia się przed Austrią.

Wreszcie o całej tej aferze ministerjum pruskie, hr. Haugwitz, Finckenstein i Alvensleben, wystosowali notę zbiorową do Sandoza do Paryża, wyrażając przekonanie, „iż rząd francuski nie miał najlżejszego udziału w tej śmiesznej wyprawie“ (*cette ridicule équipée*). W rzeczywistości było inaczej, o czym zapewne dobrze wiedzano w Berlinie; z obu stron uznano za właściwe udać, że zaszło nieporozumienie. Jednakowoż ze strony francuskiej poufnie dano do zrozumienia, że bezwzględność, z jaką w Berlinie postąpiono sobie z Daudibertem sprawiła w Paryżu przykre wrażenie. Żadnych skutków dalszych incydent ten nie miał, mieć nie mógł. Deputacji polskiej w Paryżu pozostał niesmak, kłopoty i ta osobliwsza zasługa, iż odbudowania Polski, którego nie chciała powierzyć Dąbrowskim i Wybickim, chciała dokonać przez najpierwszego konsula generalnego pruskiego w Marokku.

---

## Z PRZESZŁOŚCI CZARNOGÓRZA (1806)

Dziwnemi drogami chadza nieraz fortuna dziejowa. Najdziwniejszemi podobno w onym tak rozległym a tak różnolitym świecie słowiańskim, gdzie teraz podobno swojej straconej fortuny dosługiwać się mamy. Zdegradowana, wyrodna córka słowiańska, Polska, ongi w tym świecie na miejscu najpierwszem, dziś kłopotać się musi, aby jej dozwolono koczować na wozie Drzymały albo zachować kąć łaskawy obok artelu w magistracie warszawskim<sup>1)</sup>. Wywyższone, cnotliwe dziecię słowiańskie, Czarnogórze, w tym świecie zawsze na miejscu ostatniem, dziś przywdziewa koronę królewską.

Wchodzić w głębie dziejów czarnogórskich zgoła przekracza nasze kompetencje. Między innemi już dla tej przyczyny, że należą one nietylko do historii, ile do poezji. Te dzieje nie są też dokumentnie wiadome nikomu z historyków europejskich, z wyjątkiem czarnogórskich. A to znowuż dla tej przyczyny, że ci rdzenni montenegryńscy dziejopisowie są urodzonymi poetami. I od nich to niemal wyłącznie, z drugiej dopiero ręki, od tych wymownych Andryczów, Włodowiczów, Gopcewiczów, Medakowiczów, czerpiemy w Europie wszystką niemal wiedzę naszą o arcywspaniałej, arcysławnej przeszłości czarnogórskiej. Od nich, na ich wiarę, i ich obfitych, barwnych raczej niż skromnych, a wszędzie nadzwyczajnych opowieści, informujemy się o tym niezrównanym, nieprzerwanym łańcuchu prześwieitnych, nad-

„Tygodnik Ilustrowany“, Nr. 402 z 1910 r., str. 802.

<sup>1)</sup> Głośna była wtedy, w 1910 r., sprawa tworzenia artelu do robót miejskich z robotników, sprowadzanych z Rosji.



ludzkich czynów heroizmu, jaki w szeregu stuleci wystawia historia Czarnogórze. Dowiadujemy się o akcjach, w niemy podziw wprawiających, gdzie garstka niezwycięzonych Czarnogórców, w kilkunastu lub kilkudziesięciu lub co najwyżej w kilkuset, wycina w pień pięćdziesiąt tysięcy, sto tysięcy, ba! trzysta tysięcy tureckiego janczarstwa. Słyszymy o bohaterach takich, że w porównaniu z nimi Leonidas i Scypion, Roland i Cyd, Ryszard Lwie Serce i Bayard, Sobieski i Karol Szwedzki, Ney i Poniatowski, wydają się nędznym pomiotem zajęczym. Oglądamy ponadto tych góralskich Tytanów, jak łączą najgórniejsze męstwo z najszczytniejszą cnotą, z prostotą patriarchalną, z wzruszającą czystością i niewinnością obyczajów pierwotnych. Te rzeczy nie ulegają najmniejszej wątpliwości. Tak mianowicie donoszą jednogłośnie o Czarnogórcach źródła najpewniejsze, bo pochodzące od samychże Czarnogórców.

Co prawda, istnieją także pewne doniesienia nieco odmiennej treści, pochodzące ze źródeł obcych: tureckich, weneckich, francuskich, rosyjskich, austriackich. Płyną one naogół dosyć skąpo, znamionują widoczny brak należytego zainteresowania dla całej znamienitej egzystencji dziejowej Czarnogórze, i tem samem, ilościowo nawet, odbijają rażąco od bogatych eposów historycznych rodzinnego czarnogórskiego pióra. A już zgroza powiedzieć, jak bardzo odbijają jakościowo, swoim niedelikatnem, niesympatycznem i niezawodnie nawskroś potwarzem traktowaniem sławnych dziejów Czarnogórze. Jeśliby wierzyć tym detraktorem cudzoziemskim, wśród których, niestety, najboleśniejszych rewelacyj dostarczają niektóre sprawozdania urzędowe dawniejszych, od XVIII wieku, agentów rosyjskich w Czarnogórze — możnaby wytworzyć sobie przykre złudzenia, jakoby tam, w nieprzystępnym zakątku bałkańskim, zamiast wielkiego, bohaterskiego narodu czarnogórskiego, kwiatu i chwały Słowiańszczyzny, było tylko jakieś, mieszanej krwi serbsko-albańskiej, ciemne, chytne, dzikie plemię pastuchów góralskich, a zamiast przedziwnych cudów męstwa i wzorów cnoty, były tylko odwieczne wyprawy i utarczki rozbójnicze z sąsiadami, umowy najmickie z Wenecją, wyprasane kornie a naprzemiany datki z Wiednia i Petersburga, wymuszane gwałtem okupy od ludności okolicznej, porywane stada baranie, obcinane głowy i kiesy, wewnętrzne

zatargi, denuncjacje i bijatyki, słowem obraz zgoła niepodobny do tamtej, odmalowanej przez samychże Czarnogórców, najwiarogodniejszej podniosłej rzeczywistości dziejowej. Dość powiedzieć, że kiedy w dobie napoleońskiej Francuzi, po zajęciu Dalmacji, zostali sąsiadami Czarnogórza, Napoleon I poważał się rozkazać marszałkowi Marmontowi, aby dzielnych Czarnogórców traktował jako zwyczajnych zbójów przydrożnych i chwytyanych poprostu obwieszał, — zarządzenie, które zapewniło wtedy spokój, ale aż nadto świadczyło o zupełnem zapoznaniu istotnego charakteru i godności narodu czarnogórskiego.

Skonfudowanie podobnych niewątpliwych potwarzy pozostawić należy oczywiście historykom czarnogórskim, władającym równie sprawnie piórem, jak ich przodkowie kandżarem. Na tem miejscu chcielibyśmy tylko podać wzmiankę o pewnym epizodzie historycznym, gdzie ze sprawami czarnogórców wypadło zetknąć się mężowi stanu polskiego, Adamowi ks. Czartoryskiemu, w czasie piastowania przez niego kierownictwa rosyjskiem ministerjum spraw zagranicznych.

Jak wiadomo, Czarnogórze, rządzone pierwotnie przez szczególniejszego rodzaju teokrację wojenną, elekcyjnych swoich władyków, wcześniej weszło przez nich w nader zażyłe stosunki religijno-politycznej zawisłości od Rosji. Zwłaszcza zaś, odkąd z początkiem XVIII wieku utrwaliła się na stolcu metropolitalnym, zrazu elekcyjnie jeszcze, potem, ze stryja na synowca, sukcesyjnie, rodzina hercegowińska władyków Niegoszów, te stosunki zacieśniły się na stałe. Jeździli odtąd władcy obowiązkowo do Petersburga i Moskwy, brali stałe zasiłki rządowe rosyjskie, skromne wprawdzie, bo jeszcze za Elżbiety Piotrówny tysiąc rubli srebrem rocznie wynoszące. Aliści zepsuła się ta piękna harmonja za Katarzyny II. Objął wtedy rządy w Czarnogórze „cesarz wszechrosyjski Piotr III“, t. j. osobliwy awanturnik swojskiego chowu, Stefan Małyj, podający się za uratowanego od zguby małżonka Katarzyny i uznany za takiego przez Czarnogórców. Dzięki niemu Czarnogórze odmówiło wzięcia udziału w pierwszej wojnie tureckiej Katarzyny. Daremne były wszelkie starania cesarzowej, aby skłonić Czarnogórców do wydania w jej ręce samozwańca. Wprawdzie w końcu drażliwa ta kwestja została załatwiona w ten sposób, że pozyskany wierny lirnik



pseudo-cesarza, spoiwszy go, ubił toporem i ujechał z uciętą jego głową. Ale cały ten niemiły incydent pociągnął za sobą skutki opłakane, gdyż pozbawił Czarnogórców łaski imperatorowej, oraz wypłaty tysiącrublowego subsydjum.

Napróżno tę klęskę narodową usiłował zażegnać archimandryta-koadjutor, Piotr Piotrowicz Niegosz, późniejszy niebawem władca, mąż do wielkich powołany przeznaczeń, przez pół wieku sternik losów Czarnogórze, „Wielki Władca” za życia, a po śmierci kanonizowany oficjalnie przez jednomyślną uchwałę narodu czarnogórskiego, wedle przejętej tam praktyki kanonizacyjnej w drodze głosowania powszechnego, słynącego odtąd pod imieniem „Świętego Piotra”. Jeździł on napróżno do Petersburga, był tam odpalony przez Potemkina, podkopywany przez własnego rodaka, ówczesnego faworyta, Serba Zorycza, nie był nawet przyjęty przez Katarzynę, i z rozpaczy udał się do Wiednia, dla ułożenia tam tajnej umowy subsydjalnej, mającej oddać Czarnogórze w bezpośrednią od Austrii zawisłość. Smutne te stosunki zostały wprawdzie chwilowo naprawione dzięki szczodrości Pawła I, który w myśl swojej zasady wytycznej czynienia naopak swej poprzedniczce, nakazał wypłacać „narodowi czarnogórskiemu, na „dowód łaski Naszej, corocznie dukatów tysiąc”. Aliści niebawem nowa przyszła klęska. Po objęciu tronu przez Aleksandra I, władca Piotr dla złożenia mu powinno go hołdu wyprawił do Petersburga archimandrytę Wukoticza, który atoli przy tej sposobności wniósł do cesarza i do świętobliwego Synodu doniesienie, jakoby jego władca otrzymane z Rosji kosztowności cerkiewne spieniężał i wraz z wypłacanym mu zasiłkiem na własny obracał użytek. Skutkiem tego, na mocy uchwały świętobliwego Synodu i Ukazu Najwyższego (z października 1803 r.), postanowiono pozbawić Wielkiego Władę dostojności metropolitalnej, wsadzić go na jeden z okrętów rosyjskich w Catarro i posłać na Sybir. Wykonania tej drażliwej misji, przy pomocy Wukoticza, podjął się drugi wybitny Czarnogórzec, Iwelicz, używany w służbie dyplomatycznej rosyjskiej. Na szczęście, uważny władca Piotr, ostrzeżony zawczasu, nie skorzystał z uprzejmego zaproszenia Iwelicza do obejrzenia owego okrętu rosyjskiego, a natomiast posłał do Petersburga obszerne wyjaśnienie, skąd wynikało, iż archimandryta Wuko-

ticz, który tak niegodnie zdradził jego zaufanie, był uprzednio w Wenecji skazany sądownie za kradzież, oraz że jego oskarżenia przeciw władcy były złośliwą potwarzą, pozbawioną wszelkiej podstawy. Bądź co bądź, ta odmowa metropolity zastosowania się do zapadłych w Petersburgu ukazów, wywarła tam wrażenie niemiłe. Wynikało stąd fatalne przesilenie polityczne, powodując zupełne narazie zerwanie pomiędzy Czarnogórzem a Rosją, a tem samem grożąc podpadnięciem Czarnogórza w niezdrową sferę szkodliwych wpływów austriackich albo francuskich.

W tym to czasie kierunek polityki zagranicznej rosyjskiej przeszedł w ręce Adama Czartoryskiego. Owóż jednym z punktów walnych programu politycznego Czartoryskiego, jako ministra rosyjskiego, było wszechstronne zajęcie się Rosji sprawą słowiańską. Należy tu powiedzieć ogólnie, — gdyż ten przedmiot gdzieindziej szczegółowo wyłuszczoney będzie, — że w polityce słowiańskiej Czartoryskiego wiele było stron śliskich, słabych i błędnych. Choć natychmiast z naciskiem dodać należy, że te strony, krytyce podlegające, innej zgola były natury, aniżeli nowoczesne pomysły słowiańskie, poniżej wszelkiej krytyki będące. Żeby te pomysły statystów nowoczesnych stawiać w paragon z tamtymi zamierzeniami Czartoryskiego, o tem wcale nie może być mowy. Byłaby to dla niego zbyt wielka krzywda i despekt. On sprawę słowiańską pojmował jako corollarium sprawy polsko-rosyjskiej, a nie naodwrot. On przez rozwarte na oścież wrota sprawy polskiej pragnął wyprowadzić słowiańską. Ale on nie myślał sprawy polskiej przeszwarcować przez komin słowiańskiej, kędy mogłaby ona tylko zbrukać się, lecz nigdy precisnąć. On te rzeczy brał od głowy a nie od ogona. Owóż Czartoryski, obok układnych z Aleksandrem głównych, zasadniczych zamierzeń polskich, informując również cesarza w materjach słowiańskich, między innemi zwrócił mu w szczególności uwagę na Czarnogórze.

„Ze względu na samo położenie geograficzne Czarnogórza, Bośni i Hercegowiny — pisał Czartoryski w obszernym memorjale, złożonym Aleksandrowi I — wydaje się nieodzownem zaopiekować się z troskliwością największą losem ludów chrześcijańskich, tam zamieszkałych, a okazujących oddawna, skutkiem pochodzenia swego i wyznania wiele przywiązania do Rosji... Na dworze petersburskim ciąży poniekąd obowiązek zajęcia się



ich losem, w obecnej zwłaszcza dobie..." Wyróżniał przy tem ks. Adam i na pierwszym stawiał miejscu Czarnogórze. „Między temi ludami — pisał — zasługują Czarnogórcy na osobliwsze nimi zainteresowanie się i troskliwość. Nie mając innych środków obrony prócz swego męstwa, ducha swobody i przyrody swego kraju, Czarnogórcy potrafili zachować po dziś dzień swoją niepodległość, pomimo licznych najazdów tureckich oraz intryg... dworu wiedeńskiego, zmierzających do zburzenia tej egzystencji politycznej, jaką Czarnogórcy sami sobie stworzyli". Wreszcie uznał Czartoryski za wskazane wziąć energicznie w obronę samego władykę Piotra, będącego wtedy, po rzeczonym przykrem intermezzo, nienajlepiej zapisanym w Petersburgu. „Uczucia osobiste obecnego metropolity Niegosza — twierdził Czartoryski — i jego przywiązanie do Rosji nie mogą podlegać żadnemu podejrzeniu... Umiał on nie tylko oprzeć się wszelkim intrygom dworu wiedeńskiego, który wszelkimi sposoby usiłował przeciągnąć go na swoją stronę, lecz świeżo właśnie dał dowód nie-dwuznaczny swego do Rosji przywiązania, wzywając naród czarnogórski do złożenia uroczystej przysięgi na wierność W. C. M. i dopraszając się nowej organizacji pod wyłączną protekcją rosyjską".

Wdanie się życzliwe Czartoryskiego wywołało skutek pomyślny. Władzka Piotr odzyskał zaufanie i wypłatę zawieszonych subsydjów, odegrał rolę wydatną w dalszej polityce wschodniej Aleksandra I, utrzymał się następnie w łasce Mikołaja I i utrwalił gruntownie, dla przyszłych pokoleń, niczem odtąd niezmaconą, ciągnącą się do dziś dnia, harmonję rosyjsko-czarnogórską. Położoną w tym względzie przez Czartoryskiego ważną zasługę umiał też wdzięcznem sercem ocenić metropolita czarnogórski, póki polski jego dobroczyńca piastował wpływową godność ministerjalną w Petersburgu. Tej wdzięczności zachował się dowód namacalny pod postacią szeregu najpowolniejszych listów jego do Czartoryskiego. Te listy w tej chwili leżą przed nami w oryginale, i samym charakterystycznym tonem swoim, w obecnej właśnie chwili, szczególniejsze wywołują wrażenie i do rozlicznych mogłyby zachęcać refleksyj.

„Jaśnie Oświecony Książę, Miłościwy Panie, Adamie Adamowiczu — pisał Wielki Władzka Piotr Święty Niegosz do

Czartoryskiego w październiku 1806 roku — za okazane przez Światłość Waszą mnie i narodowi, władzy pasterskiej mojej powierzonemu, najgorliwsze wstawiennictwo i życzliwość (*usierdniejsze chodatajstwo i blagożelanje*) pozostajemy obowiązani na wieki wieków wdzięcznością najczulszą. Dopraszam się najuniżeniej (*wsienizajsze*) Światłości Waszej, abyś i nadal za pomyślnością narodu tego przed Najjaśniejszym Cesarzem wstawić się raczył. Nader bowiem potrzebne jest dla nas wstawienictwo i pośrednictwo Światłości Waszej, bez którego my udoskonaleni być nie możemy (*biez kojewo my usowierszenstowany byt'nie mozem*). Prosząc tedy najpokorniej Światłość Waszą, iżbyś był wstawiennikiem dobrym, mam honor pozostawać z najgłębszym wysoko-poważaniem na życie moje (*s głuboczajszym wysokopoczitanjem po wiek moj*), Światłości Waszej, Miłościwego Pana sługa najpokorniejszy, metropolita czarnogórski, Piotr Piotrowicz Niegosz“.

Inne pisma z interesującej tej korespondencji na innem ogłosimy miejscu. Tymczasem epizod niniejszy ofiarujemy bezinteresownie nowoczesnym statystom słowiańskim, w tej ufności, że z powyższych dawniejszych zasług słowiańskich męża stanu polskiego potrafią oni niechybnie misterną sztuką dyplomatyczną wykrzesać nowe skuteczne argumenty na rzecz pomyślnego rozwiązania sprawy polsko-rosyjskiej wogóle, a kwestji artelu miejskiego warszawskiego w szczególności.



## WIDOKI POLSKO-GALICYJSKIE ROSJI W 1809 R.

Wiadomo, że Aleksander I, na pierwszą wieść o postępach wojsk polskich pod ks. Józefem Poniatowskim w Galicji, pchnął tam natychmiast w jego ślady silny, dwakroć liczniejszy od całej operującej armji Księstwa Warszawskiego, korpus rosyjski pod ks. Sergjuszem Golicynem. Wiadomo również, że od tej chwili, t. j. od wkroczenia Rosjan do Galicji, 3 czerwca 1809 r., aż do końca wojny jednym z dążeń naczelnych rosyjskich było zabezpieczenie sobie wyłączne i możliwie zupełne zdobyczy galicyjskiej. Nie są jednak należycie wiadome premissy głębsze ówczesnych w tym kierunku krętych zamierzeń i działań rosyjskich. Zyskują one wiele na jasności w świetle poniższych, nieznanych dotychczas w brzmieniu autentycznym, świadectw poufnych.

„Najjaśniejszy Panie! — pisał Golicyn, w dwa tygodnie niespełna po wtargnięciu do Galicji, ze swej kwatery głównej w Lublinie, do Aleksandra d. 16 czerwca 1809<sup>1)</sup> — Gorliwość prowadziła pióro moje przy nakreśleniu załączonego przy niniejszem pisma. Szczęśliwym poczytywać się będę, jeśli myśli moje zaszczycone będą słabą bodaj uwagą Waszej Cesarskiej Mości“. Wspomniany załącznik brzmiał: „Zwracając baczenie moje na

---

Art. ogłoszony w „Księdze Pamiątkowej Uniwersytetu Lwowskiego“, Lwów, 1912.

<sup>1)</sup> Golicyn do Aleksandra (kwatery główna) Lublin 4/16 czerwca, otrzymane w Petersburgu 11/23 czerwca 1809, Arch. spr. zagr., Petersb. Campagne Autriche, expéd. Nr. 340. Por. Bogdanowicz, Hist. panow. Aleks. I., II (1869), 444; Askenazy, Ks. Józ. Poniatowski (1905), 176.

utrzymanie w spokoju mieszkańców Galicji i zabezpieczenie wszystkiemu, co mogłoby rozdmuchać tlejącą pod popiołem iskrę powstańczą, znajduję jeden tylko i to najpewniejszy sposób do uspokojenia umysłów oraz do przywrócenia, wbrew wszelkiej przeciwnej polityce, posłuszeństwa i ciszy w całej byłej Polsce. Ani jednego niema Polaka, któryby nie marzył (*bredił*) o odbudowaniu swojej ojczyzny, co zresztą całkiem jest naturalnem, któż bowiem nie pragnąłby, aby ta ziemia, na której się urodził, należała do jednej władzy, uznawanej już przez przodków? Królestwo polskie, podzielone między trzy mocarstwa, pozostawiło w łonie (*niedrie*) swojem wielu dość znacznych obywateli, którzy skutkiem owego podziału ucierpieli zarówno pod względem majątkowym, jako też osobistych zaszczytów swoich. Wielu opuściło nawet swą ojczyznę i w nadziei odbudowania jej poświęciło i poświęca obcemu mocarstwu, utrzymującemu ich w tej nadziei, nie tylko grosz ostatni, ale i życie. Ci wszyscy używają rozlicznych sposobów, aby upewnić lud o urzeczywistnieniu gorącego ich pragnienia, skutkiem czego przy najmniejszej okazji wybuchają bunt.

„By doprowadzić do równowagi wszystkie umysły, by ustalić wszędzie spokojność, do tego koniecznie potrzebny im jest król, wszakże nie król śród nich samych obierany, który mógłby zostać wasalem jakiegokolwiek silnego mocarstwa, lecz władca, który z dostojństwa i wpływu swego w całej Europie posiadałby wszelkie sposoby do zapewnienia szacunku temu królestwu. Staralem się poznać opinię powszechną mieszkańców tego kraju. Zaprawdę wszyscy dobrze myślący Polacy łakną (*żażdut*) tej chwili, kiedy królem ich proklamowany będzie Aleksander cesarz wszechrosyjski.

„Nie wchodząc w odleglejsze widoki polityczne, zdałoby się wedle mego pojęcia: czemu by nie przyjąć godności ofiarowanej jednomyślnie przez cały naród?, a to tembardziej, że w ten sposób zapewnia się pomyślność dość obszernego królestwa, stawającego się, pod inną tylko formą, niczem innem, jak prowincją rosyjską. Nie widzę też, aby i w przyszłości mogła jakkolwiek wyniknąć stąd szkoda, jeżeli Monarcha, przyjąwszy godność króla polskiego, postanowi na wieczne czasy: iż hosudarowie rosyjscy są urodzonymi królami polskimi, uprawnionymi do



wyznaczania w zastępstwie swoim, do zarządzania tem królestwem, namiestników, rządzących imieniem i umocowaniem hosudarów wszechrosyjskich.

„Królestwo rzeczzone zostałyby złożone z wszystkiej byłej Polski, wyłączając wszakże Białoruś oraz ziemie, wchodzące w skład gubernji kijowskiej i podolskiej.

„Bez żadnego wątpienia to królestwo mogłoby utrzymywać 100 000 wojsko i wszystkich urzędników potrzebnych do jego administracji, ponadto zaś oddawać znaczną część dochodów swoich do skarbu cesarskiego.

„Jeśli by powyższe nakreślone w krótkości myśli mogły zostać zaszczycone uwagą Najwyższą, w takim razie, ponieważ od czasu ostatniej rewolucji cieszę się zaufaniem Polaków, mógłbym spożytkować cały wpływ swój na urzeczywistnienie tej sprawy, działając przytem, jak rozumie się samo przez się, skrytymi wielce sposoby, i zdaje się, że uzyskałbym wyznaczenie Deputacji celem dopraszania się tej łaski u Waszej Cesarskiej Mości“.

Golicyn do tych doniosłych wynurzeń czuł się upoważnionym przez tajne instrukcje, otrzymane przed wkroczeniem do Galicji, a zalecające mu wyraźnie zagarnięcie tej dzielnicy w jak najszerszym zakresie. Słusznie więc mógł przypuszczać, świadom zresztą planów puławskich Aleksandra z 1805 r., iż utrafił obecnie w sedno jego intencji. Prócz tego, jak się zdaje, bardzo brał w rachubę ludność wschodnio-galicyską ruską, był też podobno zachęcany przez pewne miejscowe wpływy magnackie, a w końcu najpewniej sam dla siebie rezerwował godność pierwszego w przyszłości namiestnika rosyjskiego w Polsce. Jednakowoż projekt jego, jakkolwiek silne widocznie wywarł wrażenie na Aleksandrze, został na razie uchylony przez cesarza. Pismo Golicyna nadeszło do Petersburga 23 czerwca, rozważane było przez dni kilka, poczem wywołało odpowiedź odmowną wprawdzie, lecz z treści swej i sposobu motywowania ze wszech miar dającą do myślenia. Zredagowana przez ministra spraw zagranicznych, ks. Mikołaja Rumiancewa, poprawiona własnoręcznie przez Aleksandra i opatrzona sakramentalną jego dekreacją: „tak ma być“ (*byť po siemu*), przekazana następnie ministrowi wojny hr. Aleksemu Arakczejewowi do wyekspedjowania na ręce Golicyna, odpowiedź ta może być uważana za

wyraz autentyczny, przynajmniej na niniejszą właśnie chwilę, tak zmiennej, umykającej się, prawie niepochwytnej myśli rzeczywistej Aleksandra w sprawie polsko-galicyjskiej.

„Najjaśniejszy Pan — głosiła ta rezolucja, imieniem cesarskiem przez Rumiancewa za pośrednictwem Arakczewja udzielona Golicynowi na powyższe jego pismo <sup>2)</sup> — z przychylnością raczył przyjąć wykład myśli JOPana w przedmiocie przywrócenia (*wozstanowlenja*) byłego królestwa Polskiego i przyłączenia go na wieczne czasy do cesarstwa rosyjskiego. Znajdując w tym projekcie nowy dowód gorliwości Pańskiej dla Monarchy i Ojczyzny, Jego Cesarska Mość rozkazał mi wyłuszczyć JOPanu z otwartością zupełną uwagi następujące.

„Jakkolwiek zachęcającem wydaje się nabycie Polski w całkowitym jej obszarze, jednakowoż Jego Cesarska Mość, nie dając się porwać blaskiem takiego nabytku, raczy szczególniejszą kierować uwagę na skutki takiego kroku dla samejże Rosji. Owóż pod tym względem narzucają się same przez się rozmyślenia następujące: W razie przywrócenia Królestwa Polskiego w składzie jego pierwotnym, czyliż nie powinny odejść od Rosji rozliczne prowincje, uprzednio do Polski należące? czyliż można polegać na stałości narodu polskiego? i czyliż, pod samym pozorem ich pragnień polskich zjednoczenia się obecnie pod berłem Jego Cesarskiej Mości, nie kryje się raczej zamysł tem dogodniejszego odzyskania przypadłej nam w udziale części Polski, a następnie zupełnego oderwania się od nas? Lecz gdyby nawet do tego nie doszło, to czyliż nie istnieją żywe, naoczne przykłady, wykazujące, jak słabym i niepewnym bywa związek między państwami, zostającymi pod jedną władzą, lecz różniącymi się nazwą i prawodawstwem, i to bez względu na dawność czasu, która, zdawałoby się, winna była zjednoczyć je niepodzielnie i nierozłącznie po wszystkie wieki we wszelkich okolicznościach. Czyliż jawnym tego dowodem nie są same Węgry, którym wprawdzie niejednokrotnie zawdzięczała Austrija swój ratunek, a przez które jednakowoż też sama Austrija w rozmaitych doniosłych dla siebie okolicznościach bywała nieraz zawiedziona

---

<sup>2)</sup> Rumiancew do Golicyna, Petersburg, 15/27 czerwca 1809, Campagne Autriche, expédition Nr. 9, Arch. pet. j. w.



w oczekiwaniach swoich i z zupełną traktowaną obojętnością? Najdobitniejszego potwierdzenia tej prawdy dostarcza przykład Irlandji, która dla nieprzyjaciół Anglii we wszystkich wojnach najpierwszą była podporą przez powstania mieszkańców swoich i której administracja jest powodem kłopotów nieustannych rządu wielkobrytańskiego, aczkolwiek długi już szereg wieków minął od czasu przyłączenia jej do Anglii. Wprost przeciwnie natomiast widzimy w ojczyźnie naszej całe prowincje, jak na przykład wszystka Białoruś, które weszły w skład cesarstwa od tejże Polski, a które w krótkim przeciągu czasu zapomniały i języka swego i pochodzenia, i pod każdym względem stały się rosyjskimi. Niema powodu nie żywić nadziei, że inne prowincje polskie, przyłączone następnie do Rosji, pójdą za tym przykładem spółrodaków swoich, zwłaszcza zaś, skoro wygaśnie to pokolenie, w którego oczach dokonały się ostatnie wypadki i któremu jeszcze marzy się blask tronu udzielnego.

„Przywrócenie Królestwa Polskiego i przyłączenie go do cesarstwa rosyjskiego będzie miało ten skutek oczywisty i bezpośredni, że związek między mocarstwami, które od podziału Polski są z samej natury rzeczy zainteresowane obecnie w udzielaniu sobie wzajemnego poparcia, zostanie wówczas zniszczony w zupełności.

„Takie są przyczyny, dla których Jego Cesarska Mość, zadowolając się przypadłą nam od byłej Polski dzielnicą, pragnie raczej zachować ją w stanie jej teraźniejszym i nie raczy uznawać za pożyteczne dla cesarstwa przyłączenie Polski w poprzednim jej składzie, nie mówiąc już o tem, jak dalece byłoby niezgodnem z honorem, godnością ani też z bezpieczeństwem Rosji, gdyby do pomysłu przywrócenia Królestwa Polskiego wejść miało połączenie z niem kraju białoruskiego oraz części przeznaczonych do składu gubernij kijowskiej i podolskiej.

„Z tem wszystkiem atoli, przy ogólniejszem wejrzeniu na obecną sytuację europejską, której dotychczas niepodobna nazwać inaczej, jak problematyczną (*gadatelny*), oraz w oczekiwaniu dalszego wyjaśnienia się wypadków z większą jasnością i dokładnością, Jego Cesarska Mość, biorąc z jednej strony na uwagę przełożenie JOPana, iż podchlebiając nadziejom Polaków na przywrócenie ich ojczyzny i powszechnemu ich pragnieniu

dostanie się pod berło Najjaśniejszego Pana, można utrzymać ich w spokojności i ustalić wśród nich ciszę i posłuszeństwo, z drugiej zaś strony, że w przeciwnym razie, gdyby nadomiar udało im się w ciągu wojny niniejszej okazać ważne usługi Francji, zwróciliby się oni do cesarza Napoleona z żądaniem utworzenia oddzielnego państwa z księstwa warszawskiego oraz obojga księstw galicyjskich, co dla nas nader byłoby niedogodnem<sup>3)</sup> — zezwala, aby JOPan, przeświadczwszy się wprzód w jak najpełniejszym sposobie, iż magnaci warszawscy i galicyjscy mają prostą i mocną wolę wstąpienia pod berło Najjaśniejszego Pana, uczynił im pod ręką i z własnego swojego na pozór natchnienia stosowną insynuację, iż, jeśli oni rzeczywiście pragną z wielkiego księstwa warszawskiego oraz księstw galicyjskich ustanowić państwo oddzielne pod nazwą królestwa polskiego i powierzyć jego berło na wieczne czasy Najjaśniejszemu Panu i jego następcom, to Pan prawie jesteś pewien, że taki ich krok i odpowiednie przełożenie nie okazałyby się nieskutecznymi i że Pan ze swej strony podejmujesz się zostać gorliwym wstawiennikiem (*chodatajem*), przyrzekając donieść o takowem ich pragnieniu Najjaśniejszemu Panu i wyprosić najłaskawszą Jego zgodę, aby im dozwolonem było wyprawić w tym celu deputację do Najwyższego Dworu“<sup>4)</sup>).

W jaki sposób Golicyn usiłował odtąd, latem t. r., już po bitwie pod Wagram i zawieszeniu broni, stosować się w Galicji do inspirowanej mu w powyższych wskazaniach cesarskich, tak niezmiernie śliskiej i dwulicowej metody postępowania, szerzyć dwuznaczne „insynuacje“, podsuwać wysłanie „deputacji“ do Petersburga, słowem rozdwajać i obłąkiwać miejscową opinię publiczną polską — w to wchodzić na tem miejscu niema potrzeby. Stwierdzić natomiast należy, że wobec przedłużającego się przesilenia, wynikłego skutkiem obstrukcji rozmyślnej w austro-francuskich rokowaniach pokojowych altenburskich, Golicyn, przeświadczwszy się o małej skuteczności przepisanych mu

<sup>3)</sup> Sześć ostatnich słów wpisał Aleksander własnoręcznie do minuty zamiast słów pierwotnych: „czemu trudno byłoby sprzeciwić się“.

<sup>4)</sup> *In fine* dopisano ręką Rumiancewa: „Proszę JOPana, odłączyć depezę niniejszą od innych, chować ją pod własnym kluczem Pańskim“.



z Petersburga obosiecznych działań czysto dylatoryjnych, uznał za stosowne jesienią t. r. wrócić ponownie do swoich pierwotnych śmielszych przełożeń czerwcowych, dotyczących zaboru całej Galicji i utworzenia królestwa polskiego pod berłem rosyjskiem.

„Najjaśniejszy Panie! — pisał Golicyn do Aleksandra z Tarnowa w połowie września <sup>5)</sup> — Zapatrując się na czasy obecne i rozgrywające się wypadki nadzwyczajne okiem rzetelnego syna ojczyzny, dla którego świętą jest rzeczą sława Monarchy i pomysłność Rosji, rozmyślałem o sposobach zabezpieczenia Rosji od złej mocy zewnętrznej, tak bardzo dziś rozpanoszonej w Europie. Mniemałem wprawdzie, że Rosja, państwo obszerne i silne, rozrządzające wielką obfitością środków, zawsze potrafi siłą odeprzeć spiknięte przeciw niej potęgi; mimo to jednak przyszło mi na myśl, czyli nie możnaby takiej wynaleźć rzeczy, aby wrogów Rosji pozbawić wszelkiej możności szkodenia jej najprzemysłniejszym nawet sposobem; zarazem zaś sądziłem, że póki była Polska pozostanie w obecnem położeniu swoim, póty będzie ona ciągłym kamieniem obrazy i jabłkiem niezgody. Wrogowie nasi korzystać będą dla swoich celów z rozpalonej wyobraźni Polaków, a Rosja wiecznie z tej strony będzie nieubezpieczona. Jedno tylko rozwiązanie przedstawiało się umysłowi mojemu: aby Polskę na wieczne czasy przyłączyć do imperjum rosyjskiego.

„Miałem szczęście kilka miesięcy temu przełożyć najpoddańsze zdanie moje w tym przedmiocie pod rozpoznanie Waszej Cesarskiej Mości, i ile mi wiadomo ze skierowanej do mnie w tej mierze odezwy ministra spraw zagranicznych, Wasza Cesarska Mość, przyjąwszy przełożenie moje z właściwem Sobie miłosierdziem, raczyłeś wyrazić niejakiem sposobem (*niektórym obrazem*) <sup>6)</sup> zgodę Najwyższą na przywrócenie pod berłem Waszej Cesarskiej Mości królestwa polskiego, składać się mającego

<sup>5)</sup> Golicyn do Aleksandra, kwatera główna, Tarnów 5/17 września 1809, Campagne Autriche, expedition Nr. 45 Arch. pet, j. w.

<sup>6)</sup> Nieokreślony ten zwrot daje się również przetłumaczyć: „w niejakej mierze“, „w niejakiem stopniu“; widocznie Golicyn przybierał pozór, jak gdyby w krętem piśmie Rumiancewa wyczytał nie tyle odmowę, ile „niejaką“ zgodę cesarską, aby mieć tytuł do niniejszego ponownego swego wystąpienia.

z obojga Galicji oraz księstwa warszawskiego, byleby tylko oni (Polacy) własną swoją w tym względzie wyrazili zgodę.

„Nie spuszczając tedy niczego z uwagi, starałem się wyba-  
dać opinię publiczną tego narodu, podniecając przytem wszel-  
kimi sposoby płomiennie ich pragnienie przywrócenia królestwa  
pod władzą Waszej Cesarskiej Mości. Obecnie pragną tego nie  
tylko wszyscy dobrze myślący obywatele, ale i wojsko gotowe  
jest złożyć przysięgę wierności Waszej Cesarskiej Mości, skoro  
tylko raczysz przyjąć godność króla polskiego. Mam o tem wia-  
domość od wielu wyższych oficerów armji polskiej, a jest to  
w rzeczy samej wielce prawdopodobnem, jeśli bowiem sprawy  
tego narodu nie ulegną zmianie, to armję warszawską czeka per-  
spektywa San-Dominga, Hiszpanji lub czegoś podobnego.

„Starałem się i starać się nie przestanę skłonić ich do wy-  
prawienia deputacji do Waszej Cesarskiej Mości. Wstrzymuje  
ich obawa otrzymania odmowy, oraz groźba skutków fatalnych,  
z zemsty za krok podobny dla nich wyniknąć mogących. Twier-  
dzą oni, że raz już oddawali siebie Waszej Cesarskiej Mości,  
ale błaganie ich wysłuchane nie zostało. Wybacz mi, Najmiło-  
ściwszy Panie, że ośmielę się wyrzec, iż jeśli do planów Waszej  
Cesarskiej Mości wchodzi korona polska, to epoka terażniejsza  
najspodobniejszą do tego jest porą. Należy skorzystać z chwili  
i z opinji publicznej. Złym może jestem politykiem i nie widzę  
rzeczy w należytem świetle, ale będąc prawdziwie przywiązany  
do Waszej Cesarskiej Mości, mniemam, że nie może to również  
sprzeciwiać się związkom politycznym z innemi mocarstwami  
europejskimi, gdyż jeżeli cesarz Francuzów może być królem  
Włoch, to któż wzbroni Monarsze rosyjskiemu być królem pol-  
skim, a to tem bardziej, gdy nie ręką zbrojną sięgnie On po tę  
koronę, lecz przyjmie ją składaną sobie przez sam naród, pra-  
gnący płomiennie zostać poddanym Cara tak miłosiernego“.

„Zdaniem mojem należałoby skorzystać z odbywającego się  
obecnie kongresu względem pokoju między Francją a Austrią.  
Gdybyś wasza Cesarska Mość raczył posłać tam osobę zaufaną  
z oświadczeniem bezwarunkowem (*niepremiennym przedło-  
nieniem*), że życzysz sobie dla zabezpieczenia Rosji przyjąć godność  
króla polskiego, przyłączając to królestwo na wieczne czasy do  
państwa rosyjskiego, to prawie niechybnie ręczyć mogę, że wola



Waszej Cesarskiej Mości zostałyby przyjęta bez zastrzeżeń (*bezotgoworoczno*), gdyż ile mi wiadomo, cesarz Napoleon w takim znajduje się położeniu, że na wszystkie propozycje zgodzić się musi, jeśli nie zechce zerwać tak nieodbitcie mu potrzebnego sojuszu z Rosją, zaś cesarzowi austriackiemu, który widocznie, jak wątpić niepodobna, oboje Galicyi utracić musi, daleko przyjemniej będzie widzieć te ziemie w prawem władaniu Waszej Cesarskiej Mości, aniżeli oddać je w ręce któregokolwiek z członków rodziny cesarza Napoleona. Prócz tego Wasza Cesarska Mość wypróbujesz zarazem w ten sposób wierność sojusznika Swego, który, jeśli nie działa przeciw pożytkowi Rosji, to powinien bez wątpienia zgodzić się na takie ze wszech miar sprawiedliwe żądanie“.

Nalegania Golicyna nie mogły wziąć skutku, przychodziły zresztą zapóźno. Powyższe pismo jego tarnowskie nadeszło do Petersburga w końcu września, a tymczasem już w początku października dobiegła pomyślnego kresu pacyfikacja schönbrunńska.

---

## O SPRAWIE POLSKIEJ W R. 1812

W r. 1796, w chwili gdy były jeszcze w biegu czynności demarkacyjne trzeciego, zupełnego Polski podziału, na dwóch krańcach Europy o konającej Polsce toczyły się dwie rozmowy ważne. W pałacu nadnewskim przed Polakiem zakładnikiem wynurzył się W. ks. Aleksander. W obozowisku lombardzkim Polak żołnierz odwoływał się do generała Bonapartego. W. Księżę, wszczynając rzecz z własnego natchnienia, odkrywał, iż „boleje nad Polską, pragnie ją widzieć szczęśliwą“, gotów zostać jej wskrzesicielem. Generał, zagadnięty skierowanym do siebie apelem, rzekł: „Cóż mam odpowiedzieć? cóż obiecywać?... Podział Polski jest dziełem niecnem, które utrzymać się nie może... Ale... Polacy nie powinni polegać na pomocy obcej... Wszystkie głoszone im piękne słowa nie doprowadzą do niczego... Naród, ujarzmiony przez sąsiadów, nie może podnieść się inaczej, jak z bronią w rękę“.

Rozmowa, wtedy napoczęta równolegle między Polską a Aleksandrem i Napoleonem, doprowadziła w końcu między nimi obydwoma do rozstrzygającej rozprawy 1812 r. W tamtym kilkunastoletnim dIALOGU podwójnym tkwiła już *implicite* istota główna tego epilogu.

W owej chwili początkowej aż do 1801 r. Aleksander był jeszcze niczem. Bonaparte już przebywał pierwszy etap swego

---

*O sprawie polskiej w r. 1812, odczyt wygłoszony na publicznem posiedzeniu Akademii Umiejętności dnia 23 maja 1912 r., Kraków 1912. — Tutaj tekst niezmienny.*



do Polski stosunku. Był tu zrazu stroną bierną. Sułkowski, Dąbrowski, legjoniści do niego przyszli. On ich, jak Aleksander, nie szukał. Myśl legjonową przyjął nieufnie, zrealizował wyłącznie po wojskowemu. „Czuje on nieszczęście nasze, — pisał Dąbrowski — życzy nam dobrze“, ale w „dyplomatykę“ o odbudowanie Polski wdawać się nie chce; trzeba o tem gadać w Paryżu, w dyrektorjacie. Niebawem, kiedy dopiero ekwipowali się legjoniści, ruszył bez nich na Wiedeń i zawarł rozejm w Leoben. Wzruszająca jest ufność, jaką doń mimo to żywiono. „Ociec“, „tatulo“, nazywa go Wybicki, „Bonapart *en avant*, a my galopem staruszki za nim“, do Polski. Ale tej *spes contra spem* tych kochanych, ofiarnych wygnańców on żadnym fałszem nie niecił. Nie pozwolił na wyprawę legjonową do kraju, i dobrze zrobił: byłaby niechybnie skończyła się rzezią jak wołoska, jak później partyzanckie polistopadowe. Podczas rokowań pokojowych w Passeriano Kniaziewiczowi, przybyłemu z mową o nowej w Polsce rewolucji, zamknął usta pytaniem; „jakie są wasze środki i resursa?“; i jeszcze w sam przeddzień podpisania pokoju w Cambrano wezwał do siebie Dąbrowskiego i jasno przełożył mu konieczność pacyfikacji. Poczem oddalił się, umywał ręce, zostawiał dwie silne i zabezpieczone legje, sam bez nich rzucił się w ryzyko egipskie. Wróciwszy w półtora roku, znalazł legje rozbite przez Trebbię i Mantuę. Zastał Kościuszkę, z którym przecie, zwłaszcza po zamachu konsularnym, nie mógł dojść do ładu; witany natomiast jak zbawiciel przez Kniaziewicza i Dąbrowskiego, wspomógł ich dzielnie w stworzeniu legji nadunajskiej, wznowieniu włoskiej. Sam zresztą znowuż bez nich odprawił kampanję pod Marengo i zaraz wszczął rokowania pokojowe z Austrią, zamknięte traktatem lunewilskim. Z kolei szedł do pokoju z Rosją, do przyjaźni z Pawłem. Wtedy nasamprzaw pomyślał o rozwiązaniu sprawy polskiej przez oddanie jej w ręce Rosji. Wybadywał w tym względzie Kościuszkę, oczywiście daremnie. Inni byli skłonniejsi; niektórzy, i to bardzo zasłużone głowy emigracji, już wołali: „niech żyje Bonaparte, niech żyje Paweł I..., niech kogo chcą zrobić królem polskim, aby Polska była i my jej dziatwa z nią szczęśliwa“. Nagle, z zamordowaniem Pawła, wystąpił na widownię Aleksander.

Aleksander I zaczął od powołania Adama Czartoryskiego, powierzenia mu polityki zagranicznej rosyjskiej i edukacji narodowej polskiej. Lecz zarazem poza jego plecami sam zawarł pierwszy swój traktat międzynarodowy, pokój 1801 r. z Bonapartem, gdzie mieścił się artykuł zabójczy dla emigracji polskiej we Francji, wzbraniający jej wszelkich nadal przeciw Rosji działań. Ten to artykuł feralny był wyrokiem śmierci legionów, powodem istotnym wyprawienia ich na S. Domingo. Był dojrzałym odrazu znakiem stałej odtąd dążności Aleksandra: do wyparcia się Polski przez Napoleona. Dopełniwszy na własną rękę tego aktu polityki realnej, dopiero po programową do Czartoryskiego zwrócił się cesarz. Wyłożył ją ks. Adam w rzeczy najpoufniejszej „O systemacie politycznym, jakiego winna trzymać się Rosja“. Za przeciwników naturalnych Rosji uznawał Austrię i Prusy, sprzężone przez błąd największy polityki rosyjskiej, podział Polski. Austria, pokątnie inspirowana przez Prusy, sięgnąć może od Galicji po Wołyń, Podole, Ukrainę, od Węgier po Bośnię i Czarnogórze. Celem zaszachowania Austrii zalecał zajęcie się Słowianami południowymi, federację na Bałkanach, poparcie zjednoczenia Włoch. Głównego atoli wroga wskazywał w Prusach, sięgających z Warszawy po część Litwy, Żmudź, Kurlandję. W konkluzji radził: odebranie Prusom Warszawy z całą ich dzielnicą polską oraz skupienie Polski przy Rosji, bądź przez unję pod Aleksandrem, bądź najlepiej przez „reintegrację“ pod W. Ks. Konstantym, — który zresztą, nawiasem, już wtedy za przykładem cesarza kochał się w Polce, Helenie Lubomirskiej z Równego i chciał z nią się żenić; są listy jego do niej i jej matki z Sosnowskich, w której kochał się Kościuszko, jest i portret jego dla tych pań pędzla Orłowskiego: młody Konstanty Pawłowicz w stroju krakowskim, tylko mu kosę na sztorc dać do ręki. Rdzeń całej koncepcji Czartoryskiego był w tem, że on chciał ją urzeczywistnić nie przez walkę Aleksandra z Napoleonem, lecz przez obustronne za cenę Polski ich porozumienie ponad głową Austrii i Prus. Rzecz, aprobowana przez Aleksandra, dojrzała w r. 1805, wobec trzeciej koalicji. Cesarz stanął w Puławach, gdzie w hołdzie wskrzesicielowi mieli jednoczyć się wszyscy, gdzie czekał Potocki Ignacy, dokąd spieszył z Białocerkwi Branicki Ksawery, dokąd wołano z Warszawy Ponia-



towskiego Józefa. Wygotowane już były dwa manifesty: wypowiadający wojnę Prusom i ogłaszający Królestwo Polskie pod Aleksandrem. W ostatniej chwili on się cofnął. Zamiast z orężem do Warszawy poszedł z różdżką oliwną do Berlina, zaprzysiął sojusz z Prusami u trumny Fryderyka Wielkiego. Późem pospieszył na Morawy, na Austerlitz. Nastąpiła czwarta z kolei koalicja i porażka Prus pod Jeną. Przez powalone Prusy droga na Zamek warszawski, kędy Aleksandra prowadził Czartoryski, otwierała się przed Napoleonem.

Napoleon po zniesieniu legji nie tykał się Polski. Użycia jej już w kampanji 1805 r., sprowokowania powstania, doradzał Murat, mierzący do korony polskiej. Obiegała wtedy odezwa „Wielkiego Napoleona do obywateli Sarmatów“, nędzny falsyfikat domorosłych spiskowców. Niczego w tym kierunku on wtedy nie uczynił. Prowokacyjne, nikczemne a małostkowe, nie jego to były sposoby. Dopiero w kampanji następnej, zmuszony po Prusach rozprawić się z Rosją, chwycił za broń polską. Czynił to z musu, z dużą zresztą nieufnością. Wezwawszy Kościuszkę, odebrał od niego odmowę i przypisał ją wpływom Aleksandra i Czartoryskiego. Stał wreszcie na ziemi polskiej — w Międzyrzeczu, na miejscu, gdzie potem chciał pomnik wznieść Dąbrowski — zjechał do Warszawy. Nie głaskał, nie łudził, mówił rzeczy twarde, brutalne, żądał 40 000 zbrojnych i chleba. Odbił swą „pierwszą kampanję polską“, nadzwyczaj ciężką, nadzwyczaj niepopularną i w Paryżu i w armji francuskiej, był chwilowo po Ilawie, o włos od zguby, odegrał się pod Friedlandem, i przystanął nad Niemnem, wyciągnął rękę w Tylży do Aleksandra.

Aleksander już w tej kampanji rozpętał wszystkie moce nacjonalizmu i ortodoksji rosyjskiej. Wypuścił straszny od Synodu manifest, ogłaszający Napoleona Antychrystem, potworem apokaliptycznym, arcydzieło redakcji liberała Nowosilcowa, który wynalazł u św. Jana słowo o „królu aniele przepaści..., któremu imię Apollion“, Napoleon. Pojawiły się ziejące nienawiścią ku wszystkiemu co europejskie, „wszystkiej drjani zamorskiej“, „Mowy z czerwonego ganku Kremlńskiego“ Siły Sidorowicza i Siły Andrejewicza, których autorem był Rostopczyn. Ukazały się zrobione na urząd odezwy „Kozaka zapo-

roskiego Twerdowskaho“: „*pohanyj synu Bonapart..., kołys' takijże byw Kostiuszka!*“ A tu zgłaszał się idealista Czartoryski i przekładał znów po dwakroć, zimą 1806 i wiosną 1807 r., swą myśl odbudowania Polski. Aleksander wchodził w rzecz, ścigał Polaków do swej kwatery, odchęcał ich tedy od francuskiej, od dywersji na swoich tyłach, aż wreszcie sam zagniony został do kapitulacji w Tyłży. Tutaj z Napoleonem doszedł do doraźnego w sprawie polskiej kompromisu, wcielonego w okrawku Polski bez nazwy Polski, w Księstwie Warszawskim. Wprawdzie miał sobie tutaj ofiarowane od Napoleona rozwiązanie odmienne, to samo na inny sposób, jak ofiarowane od Czartoryskiego, koronę polską. Ale on odmówił, nie ważył się. Bał się różnych rzeczy, a przedewszystkiem bał się samejże Rosji.

Kompromisowy twór tyłżycki winien był zginąć z kretesem już czasu najbliższej wojny austriackiej 1809 r. Aleksander, fałszywy sojusznik napoleoński, przez wodza rzekomych swych posiłków, Golicyna, wznawiał u Sanguszków w Tarnowie scenę odegraną u Czartoryskich w Puławach. Cudem prawie z opresji wyratowało się Księstwo Warszawskie, uchyliło pokusę rosyjską, samo prawy sobie odbój wywalczyło galicyjski, ubezpieczony w pokoju schoenbruńskim. Odtąd wojna o Polskę między sprzymierzeńcami tyłżyckimi była nieuniknioną, była jeno kwestją czasu. Aleksander, zakosztowawszy Galicji a ledwo kęs z niej uniósłszy, we wzroście Księstwa widział wtórny etap wskresicielski a widział bliską już zapowiedź trzeciego, utraty Litwy i Rusi, skoro nadomiar za pokojem schoenbruńskim poszło małżeństwo austriackie Napoleona. „Zdawało się, — lapidarnie głosił dogorywający w Tulczynie, we wrogim Tulczynie, stary, budzący się z półobłąkania Trembecki — że postać miała zginąć nasza. Lew ją kłęb, słoń ogromem, wół rogiem odstrasza. Ale ten, co z natury powziął rozum w podział, zjadł woła, siadł na słońcu, lwią się skórą odział“. Po rozdarciu Prus, najgroźniejszym właśnie w rzeczy polskiej wydał się Aleksandrowi Napoleon, odkąd ślubnym habsburskim okrył się związkiem. W samej rzeczy wnet po tym ślubie mądry Austriak-rzeczoznawca, Radetzky, radził w „szczerym i wiecznym z Francją sojuszu“ obrócić się przeciw Rosji i wykazywał dobitnie, iż „odbudowanie Polski może być tylko pożytecznem dla Austrii“. Nie brakło



zresztą i austriackich do korony polskiej kandydatów, jak arcyksiążę palatyn, Maksymiljan, Ferdynand albo Karol. Aleksander zawczasu troskał się o zabezpieczenie groźbie od strony austriackiej. Pomyślał mianowicie w tym celu o hasłach słowiańskich. Były one wówczas odmiennie tykane przez Czartoryskiego i Potockiego Jana po stronie Aleksandra, a przez Aleksandra Sapięgę po stronie Napoleona, który był wszak od Schoenbrunnu wielkim monarchą południowo-słowiańskim, odbierał zgłoszenia wiernopoddańcze od władzy czarnogórskiego i Karageorgja serbskiego, ale ze słowianstwem naogół się nie liczył a już bynajmniej w Polakach Słowian nie szukał — bo też naprawdę nie byłby jeszcze znalazł. Taki nawet późniejszy marzyciel związku „wszystkich słowiańskiego szczepu gałęzi“ a srogi „Gaulolatynów“ pogromca, Staszic, teraz jeszcze był zapalonym napoleonistą i żądał dla Polski „króla-bohatera“, Murata. W dobie wyprawy moskiewskiej conajwyżej bezimienne natchnienie płatnego wileńskiego rymopisa śmiało słowiańską pieśni kadeckiej odzywać się parafrazą: „Święta miłości wiary, cara i ojczyzny, Tyś zabytek odwiecznej Słowianów puścizny... Sam tylko Aleksander monarcha Słowaków, rosyjski imperator oraz król Polaków“. Na to w Polsce nie było oddźwięku. Lecz Aleksander słowianstwem godził głównie w Austrię, na którą wprost słowiańską gotował nawalę w samym przededniu wojny moskiewskiej, podniesienie Serbji i Czarnogórza, uderzenie na Bukowinę, „zdobycie Bośni, Dalmacji, Chorwacji“, wzniesienie niepodległego „carstwa“ południowo-słowiańskiego, jak brzmiały instrukcje jego wileńskie dla Czyczagowa, wodza armji nad-dunajskiej, gdzie zresztą pełno było Polaków, których więcej zginęło wtedy w służbie rosyjskiej na Bałkanach i Kaukazie, niż we francuskiej na Apeninach i w Hiszpanji. Rzecz nie wzięła skutku, gdyż Austrija, sprzymierzywszy się z Napoleonem, tajnej poręki przeciwnej udzieliła „p. Reigersberg“, jak nazywa się kwatera główna Aleksandra w korespondencji sekretnej, biegnącej tam przez całą wyprawę moskiewską od „p. Riedmüller“, t. j. od Burgu, przez Galicję i forpoczty; gdyż wodzowi swemu na Wołyniu, Schwarzenbergowi, wzorem ongi Golicyna, wykretną przepisała nieczynność; gdyż starannie zakneblowała Galicję; gdyż wzdrygnęła się przed odrodzeniem Polski. Tak

więc środki zaradcze słowiańskie przeciw Austrii okazały się zbyt słabymi: ale zawczasu porządnie wygotowane, wycelowane one były.

Bezpośrednią akcję zaradczą wcześniej jeszcze rozwinął Aleksander w samej Polsce, w zwięzszonem Księstwie, w nowiej zwłaszcza jego połaci poaustriackiej, mieszczałej wszak to, co się dziś zowie Chełmszczyzną a co z galicyjskich, zamojskiego, lubelskiego, siedleckiego weszło cyrkulów. Bystry Prusak, Zerboni, późniejszy wielkorządca poznański, siedząc w 1811 r. w Warszawie a mając na swym żołdzie ministra policji Księstwa, stwierdzał wyraźnie, iż właśnie pod naciskiem departamentów pogalicyjskich rosną w Księstwie wpływy rosyjskie. Wtedy też wyszła od Aleksandra, przez Czartoryskiego i Zamojskiego, nowa próba kusicielska, przyczem z mgły dobroczynnej przynajmniej jakaś uchwytka wyłoniła się oferta cesarska: linja Dźwiny, Berezyny, Dniepru granicą, Białoruś i Ukraina przy Rosji, pięć gubernji, grodzieńska, wileńska, mińska, wołyńska, podolska, z białostockiem do Polski — myśl późniejsza kongresowa. Kiedy ponętne te pokusy rozbiły się o Warszawę, dalsze odtąd przez cesarza ześrodkowane zostały w Wilnie, za pośrednictwem Ogińskiego i towarzyszy, jeszcze bardziej obosieczne i bałamutne. W ogólności w całym ujmowaniu tych rzeczy przez Aleksandra dają się rozemnić, acz niezawsze ściśle rozgraniczyć, tak są płynne, zlewne, trzy rodzaje, trzy fazy: pierwsza, z Czartoryskim 1796, do 1805 r., samozłudne igranie pięknem myśli własnej; druga, z Czartoryskim, Sanguszką, Ogińskim 1806, 1807, 9, 11, 12 r., świadome, celowe z musu tumanienie; trzecia, na serjo, w dobie kongresowej. Wszystką akcją polską Aleksandra przed samą wojną 1812 r. do drugiego, tumaniającego należała gatunku. Ciągnął ku sobie miodem obietnic a wraz zaganiał batem represji; podejrzaną szlachtę sekwestrem i konfiskatą gnębił, nieszlachtę oddaniem w żołdacy i zesłaniem, a wraz wysłuchiwał łaskawie projektów konstytucyjnych przysługującego W. Księstwa Litewskiego, przysługującego Królestwa Polskiego. Imał się zaś tych sposobów twardych i zdradnych nie dlatego zgola, iżby Polsce źle życzył, iżby żywił do niej nienawiść. Owszem, miał do niej po dawnemu pewną raczej sympatję, pewien pociąg ludzki i cywilizacyjny. Ale on się bał. Bał się



różnych rzeczy, Francji, Austrii, wojny, Napoleona, ale nade wszystko, najmocniej bał się Rosji.

Rosji i Rosjan aż nadto miał powodu trwożyć się Aleksander. Dźwigał śmierć Pawła a przynosił Austerlitz i Friedland. Za śmierć Piotra III okupiła się Katarzyna potrójnym Polski podziałem, zaborem Krymu, szeregiem sukcesów ciągłych; gdyby raz potknęła się mocniej, byłaby zginęła niechybnie i prędzej bodaj z ręki Nikity Panina niż Pugaczewa. Aleksander jeszcze się nie okupił. Jeszcze samowładcą naprawdę on nie był; zostanie nim dopiero po wyprawie moskiewskiej, po triumfalnym z Paryża powrocie, i wtedy zaledwo będzie mógł ważyć się na okrojone Królestwo Polskie. Ale teraz jeszcze przekładał mu prawdopodobny sekretarz stanu Sperański, że „w Rosji nie masz wcale monarchji“, lecz jest władniejsza od monarchy potęga, *mixtum compositum* najzatwardziałyzych tradycyj odwiecznych moskiewskich i praktyk przedstuletnich petersburskich, czynników bojarsko-pańszczyźnianych a urzędniczo-biurokratycznych, sprzęgniętych spólnotą ducha i interesu. Te żywioły pospołu czuły się zagrożonymi przez Napoleona jako człowieka Zachodu, przez idące od niego do projektów reformy Sperańskiego powiewy ustawodawcze i uwłaszczające, przez narzuconą od niego, dotkliwą zwłaszcza dla wielkich właścicieli ziemskich, blokadę kontynentalną, wreszcie — przez widmo powstającej z jego ręki Polski. A byli to też niepomahu statyści, donatarjusze, urzędnicy, związani osobiście z zaborem polskim, nowi wielcy posesjonaci i biurokraci rosyjscy w t. zw. dziś Kraju Północno-Południowo-Zachodnim. Owóż wszystka ta ogromna moc wstecznictwa, już raz spuszczone ze smyczy przed Tylżą, rwała teraz pęta tylżyckie, parła niewstrzymanie do wojny i nakazywała ją Aleksandrowi. Nacjonalizm rosyjski w zaczepnej, wręcz rewolucyjnej postawie podnosił się przeciw tronowi, groził „uderzeniem na Petersburg“ w odezwie „Rostopczyzna i Moskwichów“ do cesarza, wymuszał na nim zesłanie Sperańskiego, narzucał nienawistnych mu ludzi do rządu, wnet wstrętnego mu Kutuzowa narzuci na wodza, samego monarchę brał w kuratelę, przez zamach stanu skryty i niekrwawy, lecz zdolny każdej chwili ponurą tradycyjną potoczyć się koleją, obejmował w istocie dyktaturę przedwojenną i wojenną. Zaś sprężynę jedną z naj-

skuteczniejszych, najpopularniejszych stanowiła tu żywiołowa nienawiść do Polski. Dostojny głosiciel żądań reakcji, uczony Karamzin, w surowej admonicji, złożonej przed wojną cesarzowi, o „Rosji starożytnej i nowoczesnej“, nietylko za skrajem starorosyjskiem oświadczał się zacofaństwem, bronił świętej pańszczyzny, twierdził, że Rosji nie trzeba konstytucji lecz 50 tęgich gubernatorów, potępiał nawet w czambuł reformy Piotra Wielkiego, lecz zarazem wypominał Samozwańca „kato-lika“, „chytne plany Zygmuntowe“, „Polaków... tyranizujących Moskwę imieniem Władysława“, wielbił zasługi rozbiorowe Katarzyny, „niechaj cudzoziemcy — wołał — oplakują podział Polski, myśmy wzięli swoje“, a gromy ciskał na nieczne dzieło tyłżyckie, albowiem „Polska pod żadną postacią, żadnem mianem być nie może..., i lepiejby zgodzić się, iżby Napoleon wziął Śląsk, sam Berlin, niżli uznać Księstwo Warszawskie“. A Karamzin, wysługujący się teraz Rostopczynowi i ultrasom moskiewskim, to był wszak niedawny liberał, uczeń Roussa, mason, ba, republikanin. Od liberalizmu rosyjskiego do nacjonalizmu jakże bliska prowadziła droga, kędy już przebierał się inny głośny liberał, rzekomy przyjaciel Czartoryskiego i Polski, Nowosilcow. Zresztą liberał rzetelny, Sperański, wróg Czartoryskiego, pospołu z Aleksandrem prowadzący na lód Ogińskiego i kompanje, równie był dalekim od sprzyjania Polsce, jak pokrewni mu duchem późniejsi mężowie postępowi Komitetu Urządzającego. Ale napróżno znów Czartoryski szukał przeciw Sperańskiemu oparcia u górnej magnaterji rosyjskiej, z polską potargowicką styczność mającej, lecz oddającej się koniec końcem pod skrajną komendę nacjonalistyczną i antypolską. „Radziby — tak już pośród wojny postrzegła się o tych nawet arystokratycznych przyjaciółach rosyjskich Szczęsnowa Potocka — widzieć nas wszystkich osiedlonych na Syberji a siebie w Polsce“. Tak samo było na dworze, gdzie, z wyjątkiem jedynej bodaj młodej cesarzowej, Elżbiety Aleksiejówny, przeciw Polsce byli wszyscy, i cesarzowa wdowa, Marja Teodorówna, i W. Ks. Konstanty, wypierający się teraz swego w Tylży udziału, i W. Ks. Katarzyna Pawłówna, forytowana przez projektowiczów litewskich na namiestnikową Litwy, nawet królowę polską, a przez reakcjonistów rosyjskich, na wypadek strącenia Ale-



ksandra, przeznaczona na sukcesorkę po bracie, nową Katarzynę II. Tak samo było w piśmiennictwie, gdzie pierwsze jaskółki prasy periodycznej „Goniec Europejski“ w Petersburgu i „Rosyjski“ w Moskwie, jednakowo wrogim z gruntu, różnym ledwo w odcieniach, względem Polski odzywały się głosem. To było żywiołowe, powszechne, w tem łączyli się wszyscy, na to nie było sposobu. Próżny tu był wszelki apel w imię rozumu stanu, a już najdaremniejszy w imię sumienia i popełnionej krzywdy. Przeciwnie, jakgdyby wedle słowa Seneki, *pertinaciores fecit iniquitas irae*, jakgdyby zawziętości nieprzejednanej jeszcze krzywdzicielska przydawała samowiedza. Pod takim to nieprzejednanego postanowienia znakiem zstępowała Rosja w szranki wielkiej wojny z Napoleonem.

Napoleon w tę wojnę nielekkiem wchodził sercem. „Wiem — mówił w r. 1809 do Ignacego Potockiego — że odbudowanie Polski przywróciłoby równowagę w Europie, ale... wojna w kraju waszym trudna dla moich Francuzów, ...mają oni wstręt do kampanji północnych, słowem, nie chcę ściągnąć na siebie walki wieczystej z Rosją“. „Bądźcie roztropni — mówił w r. 1810 do Stanisława Zamojskiego — ...jesteście szalone pałki, chcecie pokłócić mnie z Rosją — tu nagle, jakby tknięty wspomnieniem krwawych śniegów Hławy i przeczuciem Berezyny, wstrząsnął się i rzekł — nie ogląda się po dwakroć krainy umarłych, *on ne voit pas deux fois le rivage des morts*“. „Gdyby chcieli tego (Rosjanie) — mówił w r. 1811 do Józefa Poniatowskiego — dałbym Polskę W. Ks. Konstantemu, lecz po dwóch tygodniach on (Konstanty) musiałby prosić mnie o posiłki przeciw Rosji“. Gotów był do ustępstw najdalszych, prowadził beznadziejne rokowania z Aleksandrem, aż zaskoczony niemal jego ofensywą w Księstwie, musiał wreszcie podjąć własną na Litwie. Podejmował ją z ogromnym aparatem militarnym a w połowicznym nawskroś sposobie politycznym. Zabierał Austrię układem mieszczącym cesję tajną lecz gwarancję jawną Galicji. Zamiast znowu ukazać się osobiście w Warszawie, posłał tam zastępcę, nie żołnierza nawet, lecz księdza-bałamuta. Zamiast pchnąć razem wszystką rozrządzalną siłę zbrojną polską, dyzlokował ją, rozstrzelił, zobojetnił. Oparciem się z południa na niepewnych posiłkach austriackich wyrzekał się z tej strony akcji powstań-

czej. Wyrzekał się naogół zrewolucjonizowania od siebie powszechności zaboru rosyjskiego. Czynił to wszystko świadomie, z umysłu, by zachować swobodę działania w miarę okoliczności. Warował sobie możność uczynienia czegoś pośredniego, co niekoniecznie równałoby się bezwzględnej *restitutio in integrum* w postaci przedrozbiorowej i przyparciu Aleksandra do muru, lecz w jakimś kształcie kompromisowym, dopełniającym Tylżę i Schoenbrunn, zostawiałoby otwór do zgody i sankcji monarchy rosyjskiego. Nadawał całej wyprawie piętno nietyle pojedynku wojennego o Polskę, ile zbrojnej o Polskę negocjacji. I tu prze rachował się, pomylił z gruntu politycznie a stąd i militarnie. Nie pojął, że o żadnem rozwiązaniu polubownem nie mogło tu być mowy, że Aleksander nigdy nie wybaczył ani Tylży ani Schoenbrunn, że wybaczyć nie mógł, gdyż za nim stała i parla go niewybaczająca, nieprzejednana Rosja, że ona nie dozwalała mu folgi ani kompromisu, że szła na przebój, narodowo, bezwzględnie, i że tak samo na nią iść było potrzeba.

To był błąd straszny. Ale czyliż dla zabójczego tego błędu cesarskiego nie była jeszcze możliwą na miejscu swoista korektywa polska? Czyliż tedy mianowicie nie zdawał się mimo woli wskazywać sam Napoleon, kiedy zaraz na wstępie frasobliwie odzywał się w Wilnie do deputacji warszawskiej: „W tych krainach odległych i obszernych przedewszystkiem na wysiłku jednomyślnym okrywającej je ludności budować winniście widoki pomyślności waszej... Niechaj Litwa, Żmudź, (Białoruś), Wołyń, Ukraina, Podole tego samego okażą ducha, jaki oglądałem w Wielkopolsce, a Opatrzność uwieńczy powodzeniem świętość sprawy waszej“. Czyliż samorzutny, jednolity poryw narodowy, jak świeżo 1809 r. w Galicji, tak teraz na Litwie i Rusi nie był mocen sprostować najlepiej, unieść z sobą obłędnych założeń Napoleona, ocalając i jego i Polskę? Odpowiedź przy największej polskiej spoczywała dzielnicy, której postawa więcej niż kiedykolwiek teraz o losie stanowiła całości.

Polska w tej chwili ilościowo taki przedstawiała widok: skurczony zabór pruski mieścił ponad milion mieszkańców i 600 mil kw., około  $\frac{1}{20}$  obszaru Rzpltej; austriacki — ponad 3 miliony i 1200 mil kw., około  $\frac{1}{12}$ ; te dwa ułamki nie wchodziły w rachubę. Księstwo Warszawskie, wyrosłe na ostatnich dzia-



łach pruskich i austriackim, zawierało 4 miliony mieszkańców i 2800 mil kw., około  $\frac{1}{5}$  Rzpltej. Rosja, utrzymawszy w garści wszystkie trzy swoje działy z przydatkiem białostockim od Prus i tarnopolskim od Austrii, dzierżyła przeszło 8 milionów mieszkańców i półdziewiąta tysięcy mil kw., z górą  $\frac{2}{3}$  Rzpltej. Rzecz więc szła między tym ogromem a Warszawą. Tam była masa, tu był duch.

Niezawodnie, że w zaborze rosyjskim duch znacznie osłabł. Część Litwy, klinem górnym Księstwu najbliższa, dodatni stanowiła wyjątek, dla powodów głębszych. Kordon wschodni Księstwa, do dziś dnia niezmieniony jeszcze Królestwa, to był z wstawką białostocką kordon ściśle trzeciopodziałowy. Otóż, gdy drugopodziałowy, jeszcze od bezsilnej Rzpltej, stał na zasadzie etnograficznej, ten przeciwnie już od silnych Prus i Austrii oparty przez Rosję na zasadzie militarnej, biegnąc linią Niemna i Bugu, zagarniał zwartą ludność rdzennie polską, zwłaszcza gęsto rozsiadłą w zaniemeńskiej połaci południowej województwa trockiego, od Grodna do Kowna, w zachodniej części województw wileńskiego, nowogrodzkiego, brzesko-litewskiego, do czego od Tylży doszli Podlasiacy białostoccy. W tym promieniu jeszcze działa się dobrze: stąd młodzież zaścianków szlacheckich „skakała kryć się w Niemnie... Opuszczała rodziców i ziemię kochaną, I dobra, które na skarb carski zabierano“; tutaj wiernie trwali mężowie i starcy doby Majowej i insurekcyjnej. Ale im dalej, tem było gorzej; w promieniu szerszym, sięgającym pierwszego podziału, widomie przygasała pamięć i otucha. Wzwyuczajano się po czterdziestoleciu do rządów rosyjskich. Zachowano Statut, sądy i marszałków obieralnych, podatki niewiele podwyższone. Zyskiwano na wprowadzonym przez rząd i donatarzuszów rosyjskich obciążeniu włościanina, na wzroście robocizny, przekształconej z podymnej na poduszną. Z trwogą natomiast zapatrywano się na niepomierne wymogi skarbowe Księstwa, na usamowolnienie kodeksowe chłopu warszawskiego. Uginano się od Tylży pod pierwszym dzielonym z Księstwem darem napoleońskim, blokadą kontynentalną, przecinającą wywóz masztów, klepek, smoły, żywicy, potażu, konopi litewskich, a bydeł i zbóż ukraińskich. Wiedziano o odmowie Kościuszki, danej Napoleonowi i z nią się liczone. Nieruchomość Litwy

w poprzedniej kampanji, gdzie zdobyto się tylko na spóźnioną i gołosłowną deputację tajną litewską do Tylży, była jednym ze spółczynników, iż Napoleon po Friedlandzie nie przekroczył Niemna. Dlatego też teraz prawil Litwinom ksiądz bernardyn, że „niedość gościa czekać, niedość i zaprosić... Napoleon, sam wszystkich pobiwszy nareszcie, powie: Obejdę się ja bez was, kto jesteście?“ Dochodził zadawniony separatyzm litewski; wnet upominać się będą u Napoleona o odrębne od warszawskich władze konfederackie, aż im znecierpliwiony rzeknie: „sam waszym jestem regimentarzem“. Dochodził zamęt, sprawiony przez obosieczne Ogińskiego z bracią roboty, styczne w gruncie z dawnym Kossakowskich zamysłem podstawienia na miejsce starej z Koroną — nowej z carstwem unji; lepsza teraz intencja nie zmieniała pewnika, iż czuciem zbiorowem targać bezkarnie nie wolno; przygotowany przez tych ludzi wjazd triumfalny Aleksandra do Wilna tuż przed wjazdem Napoleona — to się ciężko mścić musiało.

Najgorzej było na Rusi. A na niej zależało tak wiele. Stąd przyszła zguba Rzpltej, tu teraz mogło być ocalenie. Tu był klucz do Litwy i reszty Galicji. Tędy zresztą szedł także szlak jedyny do kozaczyzny. Kozacy nie byli zadowoleni z Aleksandra: łamano z Petersburga ostatnie samorządne ich poręki, rozgospodarowano się w kancelarji wojskowej atamańskiej, zabierano ziemie staniczne, osiedlano nienawistnych kolonistów „Moskalów“. Onego już czasu, za insurekcji, chadzali od Dońców tajni wysłańcy do „pana Kostiuszki“, którego oni potrosze mieli za swego, i do którego obecnie, już po wzięciu Paryża, stawia się z respektem powinnym stary ataman Płatow, tak wślawiony w kampanji moskiewskiej, a przecie przez cały jej przeciąg bacznie miany na oku przez Kutuzowa, podejrzrywany o zdradę, pod sekretnym trzymanym dozorem. Przez województwa ruskie prowadziła również droga powrotna wojsk rosyjskich z nad Dunaju. Pod każdym więc względem ta najbogatsza dzielnica kresowa Rzpltej wyjątkowego teraz była znaczenia. Ale przystęp do niej był najtrudniejszy duchowo. Do niej to głównie wyciągała teraz dłoń Konfederacja Generalna warszawska, oddając niepamięci wszelkie w „przeszłości powody do... rozdziału (i)... niezgody pomiędzy jednoczącą się rodziną“. Siła wciąż



w tej stronie była przy przeżytkach i epigonach onej fatalnej przeszłości targowickiej, starej partji rosyjskiej. Tutaj wciąż większość była Potockich, nie wyłączając niepospolitego Jana; tutaj wszyscy niemal Lubomirscy. Stara hetmanowa Branicka, główna w Wiedniu sprężyna zneutralizowania Austrii, osobiście wstrzymała Schwarzenberga od przekroczenia Styru. Stary hetman Ksawery, zjechawszy na kontrakty przedwojenne kijowskie, „nie jestem Francuzem ani Moskałem, — tłumaczył pytającej go, co poczynąć, szlachcie, — bom się Polakiem urodził, nie jestem Polakiem, bo Polski niema“, radził tedy obojętność. Dalej szedł syn Szczęsnego, Stanisław, gotując po staremu na Ukrainie i Wołyniu konfederację przeciw Generalnej warszawskiej. Na tyłach wojsk polskich, ciągnących na Moskwę, młody Witt, syn pani Szczęsnowej, najeżdżał lubelskie i siedleckie na czele kozaków nadwornych tulczyńskich i białocerkiewskich. A wielu poza tem było szkodników lub zbłąkanych skali najrozmaitszej, których próżnoby wyliczać.

A jednak, pomimo warunków tak niepomyślnych i ciężkich, na tych kresach Rzpltej była, żyła Polska. W cichości i męce czekało tu wyzwolenia, pracowało dla Polski niemało wiernych jej synów. Urzędnik do szczególnych poruczeń sekretnych w guberniach polskich południowych, radca stanu Arkadiusz Stołypin, donosił ciągle przed wojną o nader czynnej w tych stronach robocie tajnej patryotycznej, o „najniebezpieczniejszym ze wszystkich... przez chytróść umysłu swego“ Czackim Tadeuszu, o Chodkiewiczu Aleksandrze, Kniaziewicz, Tarnowskim i innych podobnie myślących. Wielu z nich z chwilą wybuchu wojny pospieszyło krew oddać sprawie narodowej. A i w kołach mniej gorliwych, czy bardziej zaćmionych wciąż tliło się niewygasłe dla tej sprawy uczucie, które w młodszym zwłaszcza pokoleniu niewstrzymanem przez żadne względy wnet wystrzeliło płomieniem. Stanęli z narodem, obok Józefa Poniatowskiego, Ludwika Paca, Aleksandra Sapiehy, Konstantego Czartoryskiego, Radziwiłłów Dominika i Michała, również i syn konsyljarza targowickiego Eustachy Sanguszko, i syn Szczęsnego Włodzimierz, i synowie Jana, prości, ku zgorszeniu starego Dobrzyńskiego Maćka, żołnierze, Artur i Alfred Potoccy. I nie samej tu jeno szukać reassekuracji, gdyż był niezawodnie i prosty poryw ser-

deczny. Nie szukać naogół w tych rzeczach samej winy osób, ale najgłówniej nieszczęścia kraju. „Położenie Polaków — jak z goryczą piołunową żalił się ks. Józef — jest bezprzykładne w dziejach; ich klęską jest mianowicie, iż są skazani chować w sercu niby dwa naraz sumienia“. Klątwa najstraszniejsza: rozdarcie psychiczne po fizycznym, rozbiór dusz po rozbiórce ziemi. A jeśli byli i winni, — wieleż ofiar zgola bezwinnych, poniewolnych, niewymownie żalonych. Kiedy pierwszego, w pochodzie na Moskwę, regularnego rosyjskiego ubito żołnierza, w jego tornistrze znaleziono książkę do nabożeństwa polską. Pod zielonym armijskim mundurem rosyjskim, przebite lancą polską, krwawiło się biedne, czyste serce polskie.

Litwa, nie mając w Rusi oparcia, sama rozpołowiona, w czterech ledwo departamentach, białostockim, grodzieńskim, wileńskim, mińskim, istotnie przez Napoleona urządzona, dała mu wszystkiego do 19.000 ludzi, skąd część tylko, ekwipowana późno i z biedą, mogła w głównej uczestniczyć wyprawie. Ten odłam szczupły a najtęższy Litwy sprawił się bez zarzutu, wytrwał i w pogromie, piękną złożył z siebie ofiarę. Większą, całopalną złożyło Księstwo Warszawskie; wystawiło do 80 tysięcy linjowego żołnierza na wyprawę moskiewską, a razem z zadatkami na lipską, zakładami i gwardjami, do 100 tysięcy; dało krew ogromnej większości tych ludzi i drogą głowę ks. Józefa. Korona ścisła, przy Warszawie, Krakowie, Poznaniu, zrobiła wszystko co mogła; zaświeciła wzorem wysiłku, jaki raz jeszcze po dwudziestoleciu przy samej podjeździe Warszawie; wzorem przodowniczym dla młodszej braci litewsko-ruskiej, godnym swego w ofierze starszeństwa. Poważnie stanęła w dziejach powszechnych przy prowadzącym ją wielkim człowieku, którego błędu udźwignąć nie zdołała.

Nigdy większym jak wtedy, pomimo tego błędu, nie był Napoleon. Pomylił się, nie oszukał. Chybił w sposobie, w kształcie, nie w treści rdzennej zamierzenia. Kiedy zapowiadał światu „otwierającą się wtórą kampanję polską“, kiedy w czapce i płaszczu ułańskim polskim przeprawiał się przez Niemen i napotkanemu na progu Litwy księdzu mówił: „winienesz modlić się za mnie jako Polak i jako katolik“, — nie kłamał, mówił prawdę. Chciał Polski, — zapewne nie przez czułość dobroczyńcy, —



uchowaj Boże narody słabe od miłosierdzia potężnych, — lecz przez wysoką rację stanu Europejczyka, w przeświadczeniu, iż „bez odbudowania tego królestwa Europa z tej strony pozostaje bez granic (*sans frontières*)“, iż „czy na tronie polskim zasiędzie król pruski, arcyksiążę austriacki, czy ktobądź inny“, zawsze nieodzowna przywrócić ten „klucz sklepienia“ (*clef de la voûte*) domu europejskiego dla dobra i bezpieczeństwa powszechności tego domu mieszkańców. Tej prawdzie on po wsze czasy oddał świadectwo, nie czczem słowem, lecz czynem ogromnym; cokolwiekbądź, on to wtedy postawił sprawę polską, jak nikt przed nim od śmierci Rzpltej, jak nikt po dziś dzień; on to wielkość tej sprawy zademonstrował Europie w potokach krwi jej własnej, w gromach burzy i zniszczenia, we własnym swoim upadku, i w poświęceniu narodu polskiego, jego to ręką, przez legjony i Księstwo, trójpodziałowemu wydartego bagnisku i rzuconego w śmiertelną próbę niniejszą. Naród wytrzymał: stratę materjalną odrobił, zysk moralny zachował i do swej wieczystej spuścizny dziejowej, jako wkład szacowny przeszłości, ważny na przyszłość wniósł rok 1812.

---

## POWRÓT NAPOLEONA Z MOSKWY

Według zapisek Wąsowicza

Porucznik trzeciego szwadronu szwoleżerów polskich gwardji cesarskiej, Stanisław Wąsowicz, od początku kampanji moskiewskiej znajdował się w otoczeniu najbliższym Napoleona. 2 czerwca 1812 roku przybył z nim do Torunia, 8 do Gdańska, wyprzedzwszy go następnie 9 w Elblągu, 10 w Królewcu, dopuszczony 22 do stołu cesarza w Żygieńcu, został detaszowany jako tłumacz polowy do jego boku (*interprète près de l'Empereur*). 24 towarzyszył mu przy przejściu Niemna, 25 stanął z nim w Kownie. 28 w Wilnie. Tutaj, w Wilnie, rozkazem 4 lipca został na stałe w charakterze oficera ordynansowego i tłumacza, „zaliczony do Domu wojskowego J. C. M. i Jego osoby“ (*attaché à la Maison*

---

Tygodnik Ilustrowany, 1911, II, 996—8 (Nr. 50). (Prz. wyd.)

Za podstawę służą: 1. *Agenda ou tablettes de poche pour l'année 1812* (à Paris, 1812, ans XX et XXI), t. j. kalendarzyk kieszonkowy, który przez cały przeciąg kampanji miał przy sobie Wąsowicz i gdzie ściśle spółcześnie jak najkrótsze notaty zapisywał ołówkiem z dnia na dzień; oraz 2. własnoręczny jego pamiętnik *Rélation de mon voyage avec l'Empereur Napoléon*, pisany *fracta pagina* jego ręką, a obok kopjowany z pewnemi zmianami stylistycznemi ręką pani Anny z Tyszkiewiczów Potockiej-Wąsowiczowej. Zaznaczam, że wiadomość o tym ostatnim, będącym obecnie w mojem posiadaniu dokumencie, podana świeżo przez Schuermansa, *Itinéraire génér. de Napoléon* (Paris, 1911), 373, jest nieścisła; cały pamiętnik w oryginale pisany w języku francuskim, nie polskim. Por. Bourgoing, *Souvenirs militaires* (Paris, 1864), 229, sq. (Prz. Ask.) Por. też Caulaincourt, *Mémoires*, Paris 1933, II, 199—212, 259—75, 282—9, 323—6, 333—9, 346—53. (P. w.).



*militaire de S. M. I. et à Sa personne*). Wyszedł z cesarzem z Wilna w nocy 16, był z nim 19 w Głębokiem, 25 w Ostrownie, 28 w Witebsku aż do 13 sierpnia, nazajutrz 14 pod Krasnem, 16 pod Smoleńskiem, skąd 25 z nim wyszedł, 28 w Stawiszczach, 30 w Wiaźmie, 31 w Czatach, 1 września w Gzatsku, 5 pod Borodinem, 9 pod Możajskiem, 14 w Moskwie. Wyszedł z cesarzem z Moskwy 19 października w drogę powrotną, 25 był przy nim podczas niespodzianego ataku kozaków na trakcie kałuskim, 27 w Wereji, 28 w Uspienskiem, 9 listopada zpowrotem w Smoleńsku, 15 w Krasnem, 17 w Ladach, 18 u ks. Franciszkowej Lubomirskiej w Dąbrownie, 19 po przejściu Dniepru w Orszy, 26 pod Studzianką, 27 przy przeprawie przez Berezynę, 28 w bitwie nad Berezyną. Nazajutrz stanął z cesarzem u Tyszkiewiczów w Kamieniu, 30 u Dominika Tyszkiewicza w Pleszczenicach, 1 grudnia u Bohdanowicza w Stajkach, 2 u Wołodkiewicza w Sieliszczach, 3 u Ogińskiego Michała w Mołodecznej, 4 na noclegu u Kocięła w Bienicy.

Wyruszywszy nazajutrz, 5 grudnia, w sobotę o 9 rano z Bienicy, Napoleon tegoż dnia o 2 po południu przybył do Smorgoń, gdzie sam ze sztabem naczelnym stanął we dworze Przeciszewskiego; gwardja, „wciąż jeszcze piękna“, rozlokowała się w miasteczku. Polacy, będący w otoczeniu cesarskim, a trzymający się zazwyczaj razem, oddzielnie od Francuzów <sup>1)</sup>, zdążyli jeszcze wśród powszechnego rozgardjaszu zdobyć dla siebie nędzną karczmę, gdzie zaraz roztasowali się i rzucili się chciwie na znalezione tam „na szczęście“ (*par un bonheur extrême*) resztki wiktuałów, byli bowiem zupełnie wyczerpani z głodu. Śród tych zbiedzonych głodomorów polskich, oprócz Wąsowicza, znajdowali się w tej chwili w karczmie smorgońskiej między innymi: Eustachy Sanguszko, Dominik Radziwiłł, Ludwik Pac, Wincenty Krasiński, Józef Kossakowski. Ściemniało już zupełnie, kiedy nagle wezwano Wąsowicza do cesarza. Pierwsze słowa Napoleona były: „Czy masz buty futrzane?“ Wąsowicz odparł, iż „nie ma żadnych“, gdyż w istocie był prawie bosy. Cesarz rzekł: „Każe ci dać skórę niedźwiedzią; weź swój płaszcz, każ

<sup>1)</sup> „Nous autres Polonais attachés à la Maison de l'empereur, nous faisons presque toujours une coterie à part et logions ensemble autant que possible“ (Prz. Ask.).

sobie dać jeść; pojedziemy natychmiast z Caulaincourtem do Wilna; ale śpiesz się i nikomu nie gadaj słowa". Wąsowicz pobiegł do karczmy po płaszcz; po chwili, gdy wrócił do kwatery cesarskiej, zastał już przed bramą zaprzężoną karetę i małe sanki. Po śpiesznie spożytym obiedzie natychmiast ruszono w drogę. Była godzina 8 wieczór. Wąsowicz jechał przodem w saniach z berejterem (*piqueur*) cesarskim, Amaudru; dalej szły trzy karety: w pierwszej znajdował się cesarz z wielkim koniuszym Caulaincourtem ks. Vicenzy i mamelukiem Roustamem na koźle, w drugiej wielki marszałek Duroc ks. Friaulu i adjutant cesarski, generał Mouton hr. Lobau, w trzeciej pułkownik szaserów konnych gwardji generał hr. Lefebvre-Desnouëttes z kamerdynerem cesarskim i dwoma służącymi. Wąsowicz, nie wtajemniczony przez cesarza, myślał pierwotnie, że idzie tylko o dotarcie do Wilna; dopiero w drodze objaśnił go Amaudru, że cesarz udaje się prosto do Paryża.

Wyprzedziwszy w lekkich swych saniach ciężkie pojazdy cesarskie, Wąsowicz na godzinę przed nimi przybył do Oszmiany. Zastał tu wśród nocy obozujący w pełnem uzbrojeniu oddział piechoty niemieckiej pod komenderującym w mieście generałem wirtemberskim, a zarazem oddział szwoleżerów gwardji i lansje rów 7-go pułku nadwiślańskiego, świeżo prowadzonych z Gdańska do armji przez szefa szwadronu, Seweryna Fredrę, pod dowództwem pułkownika Ignacego Stokowskiego, na wypoczętych koniach, w dzielnej postawie. „Choć noc była bardzo ciemna — opowiada Wąsowicz — lecz przy świetle ogni biwakowych (jeźdźcy polscy) świetny (*superbe*) wystawiali widok, jakgdyby z innego przybywali świata". Wirtemberczyk, uprzedzony o oczekiwanem przybyciu cesarza, oświadczył, że o dalszej jeździe mowy być nie może, gdyż co chwila oczekiwać należy ataku przeważających sił rosyjskich, 6.000 kozaków z artylerją, znajdujących się w pobliżu. Wtem nadjechały pojazdy cesarskie. Była godzina 1 po północy. Napoleon w swej karecie spał snem głębokim. Wąsowicz obudził go i doniósł o stanie rzeczy. Cesarz nie okazał zaniepokojenia (*ne parut pas troublé*); spytał tylko, czy jest kawalerja, a usłyszawszy, że jest 200 Polaków, rzekł: „To dobrze (*c'est bon*), otwórz, wysiądę". Zaczęto się naradzać. Wszyscy obecni generałowie stanowczo oświadczyli się przeciw konty-



nuowaniu podróży w nocy, wobec tak blizkiego niebezpieczeństwa. Cesarz, wbrew tym ostrzeżeniom, postanowił ruszyć dalej. Wyznaczył do eskorty swojej setkę lansjerów, kazał im sięść na koń, Stokowskiemu polecił trzymać się tuż przy drzwiczkach swojej karety. „Jeśli będziemy atakowani, — odezwał się — Polacy są odważni, potrafią mnie obronić“. Kazał przeprządz, Roustamowi przesiąść do sanek, do swojej karety na kozioł wziął generała Lefebvre-Desnouëttes i Wąsowicza. Sam siadłszy do pojazdu, zawołał do lansjerów eskorty: „Liczę na was wszystkich, naprzód! Uwaga na prawo i lewo“. Wąsowiczowi podał parę pistoletów i rzekł: „Na wypadek niechybnego niebezpieczeństwa (*danger certain*), zabij mnie raczej, ale nie daj mnie wziąć żywcem“. Wąsowicz poprosił o pozwolenie przetłumaczenia tych słów po polsku lansjerom. Ci, wysłuchawszy słów cesarskich, okrzyknęli się jednym głosem: „Damy się prędzej porąbać, niż pozwolimy zbliżyć się do cesarza“. Ruszono w drogę. Była godzina 2 po północy.

Świeże konie rączyły ruszyły kłusem. Cesarz wkrótce usnął. Spał spokojnie, jak u siebie w Tuilerjach, jak tylekroć przy grzmocie dział na polu bitwy. Nikt prócz niego nie zmrużył oka. Na koźle karety cesarskiej Lefebvre-Desnouëttes i Wąsowicz czuwali z palcem na cynglu. Niebo było zupełnie czyste; księżyc w pełni jasne rozlewał światło. Ta okoliczność znacznie zwiększała niebezpieczeństwo, gdyż w białym, śnieżnym polu ostrą linią odcinał się ciemny korowód pojazdów i eskorty, a zewsząd dookoła na daleką odległość świeciły ogniska placówek nieprzyjacielskich. Mróz trzaskający dochodził 35 stopni Celsjusza; dał silny wiatr. Już o parę mil za Oszmianą połowa lansjerów polskich pozostała w tyle. Kiedy o świcie 6 grudnia dojechano do Równopola, było ich już tylko 36; reszta bądź zginęła po drodze od mrozu, bądź dostała się w ręce kozaków. Ta pierwsza noc była najcięższa i najstraszniejsza.

W Równopolu zlurowani zostali Polacy przez oddział gwardji neapolitańskiej pod dowództwem ks. Rocca-Romana, który objął konwój aż do stacji następnej w Miednikach. Tutaj oczekiwał przybyły z Wilna minister spraw zagranicznych Maret ks. Bassano, wsiadł na miejsce Caulaincourta do karety cesarza i towarzyszył mu aż do Wilna, zdając po drodze raport ze spraw

swego wydziału. Dla ostrożności przed samem Wilnem odesłano zpowrotem eskortę, okrążono miasto i zatrzymano się około wpół do jedenastej przed południem na przedmieściu dla spożycia śniadania. Tutaj cesarz oświadczył swą wolę obrócenia dalszej drogi powrotnej nie przez podejrzane, zabierające się już do odstępstwa Prusy, lecz przez Warszawę i Drezno. „Żywię zaufanie zupełne — rzekł — do ludności polskiej, a rad będę ujrzeć przyjaciela mego, króla saskiego“.

Po godzinnym ledwo wypoczynku puszczono się w dalszą drogę. Zatrzymano się dopiero wieczorem w Rumszyszkach, gdzie cesarz zjadł obiad i zostawił sto napoleondorów. Nazajutrz, 7 grudnia, ominąwszy szczęśliwie podjazd kozacki, dojechano do Kowna. Po przeprzeżu i śniadaniu przeprawiano się przez Niemen; tegoż dnia przed wieczorem, zboczywszy nieco z drogi, dojechano do Marjampola, gdzie cesarz był na obiedzie u Mikulicza i zostawił 150 napoleondorów, poczem dalej ruszono w kierunku Sejn. 8 grudnia przed południem zatrzymano się na śniadaniu w Sejnach, wieczorem na obiedzie w Augustowie. Droga stawała się coraz uciążliwszą z powodu wielkich zasp śnieżnych. 9 grudnia z rana do Grajewa dotarła już tylko karetka cesarska i sanie; dwa pozostałe powozy utkwiły w drodze. Okazało się niepodobieństwem wlec się dalej po głębokim śniegu ciężką karcą cesarską. Na szczęście udało się Wąsowiczowi zdobyć wygodny powóz (*berline*), umontowany na łyżwach; właścicielowi, który ofiarował go darmo, cesarz, nie przyjmując podarunku, rozkazał wypłacić 1000 dukatów<sup>1)</sup>. Do tego ekwipażu wsiedli obecnie z cesarzem Caulaincourt i Wąsowicz; Roustam umieścił się na koźle<sup>2)</sup>, Lefebvre-Desnouëttes podążył z tyłu na świeżych saniach. Wieczorem tegoż dnia dojechano na obiad do Łomży. Nazajutrz przez Maków dojechano do Pułtuska, gdzie krótko zatrzymano się na śniadanie i skąd wprost już ruszono do Warszawy.

Tegoż dnia, 10 grudnia w czwartek po południu, przejeżdżając most praski, stanął Napoleon w Warszawie. Cesarz

<sup>1)</sup> Właścicielem był Wilczewski, brat podprefekta szczuczyńskiego, nie Wybicki, jak mylnie podają relacje francuskie. Zob. Watzdorff do Senffta, Warsz., 12 grud. 1812, Arch. Drezd. (P. w.).

<sup>2)</sup> Zdaje się mylne; Roustam jechał innymi saniami i został w tyle: *Mémoires de Roustam, Revue Rétrospective*, VIII, 157 (P. w.).



zaraz za mostem wysiadł z pojazdu. Miał na sobie wielką, otulającą go całkowicie szubę, krytą aksamitem zielonym, tego samego koloru szeroki kołpak albo raczej kaptur futrzany, spadający na twarz, był prawie nie do poznania. Niepoznany też przez nikogo z przechodniów postępował przodem z Wąsowiczem. Caulaincourt i Lefebvre-Desnouëttes trzymali się z tyłu w pewnym oddaleniu. Cesarz szedł Krakowskim Przedmieściem, następnie skręcił na Trębacką i stamtąd bocznem wejściem wszedł do Hotelu Angielskiego. Tutaj zaraz sprowadzony został przez Caulaincourta z pobliskiego pałacu Brühlowskiego ambasador francuski w Warszawie, ks. Pradt, arcybiskup mechliński; po krótkiej rozmowie odesłał go cesarz, spożył obiad, poczem przyjął jeszcze prezesa Rady ministrów Księstwa Warszawskiego, Stanisława Potockiego, i ministra skarbu, Tadeusza Matuszewica. Tegoż dnia o 7 wieczorem puścił się w dalszą drogę.

Nazajutrz, 11 grudnia, zatrzymano się na śniadaniu w Kutnie, na obiedzie w Łęczycy w Hotelu Saskim. 12 grudnia dojechano późnym wieczorem do Głogowa, gdzie zatrzymano się u tamecznego komendanta francuskiego. W nocy z 13 na 14 grudnia o 2 przybył cesarz do Drezna i stanął w pałacu ambasadora francuskiego, Serry, przy Pirnastrasse. Wąsowicz, posłany do zamku królewskiego, zbudził Fryderyka Augusta i sprowadził go do Napoleona. Cesarz i król uściskali się serdecznie. Napoleon z całą otwartością stwierdził ogrom doznanej klęski, nie ukrywając własnych popełnionych błędów<sup>1)</sup>. Prosił następnie króla o udzielenie Wąsowiczowi orderu wojskowego polskiego, jako „oficerowi, służącemu mi z równym honorem jak roztropnością“<sup>2)</sup>. 14 grudnia, o 8-ej z rana, w nowym, wygodnym po-

1) „Après lui avoir parlé beaucoup avec franchise sur les détails de cette malheureuse campagne et lui avoir peint la vraie misère et la ruine de son armée, il lui avoua à plusieurs reprises les fautes qu'il avait faites“ (P. Ask.).

2) „Il l'a bien mérité, c'est un officier qui me sert avec autant d'honneur que d'intelligence et dont je suis très content“. W rzeczy samej już 21 grudnia order został doręczony Wąsowiczowi z polecenia Fryderyka Augusta w Paryżu przez posła saskiego Riviéra. Wkrótce potem, 29 grudnia, Wąsowicz posunięty na kapitana. Poprzednio, jeszcze w czasie kampanji, 8 października był otrzymał legję honorową (P. Ask.).

wozie króla saskiego ruszono dalej i zatrzymano się dopiero w Lipsku, w oberży na przedmieściu. Wąsowiczowi zlecono udać się do miasta, dla zakupienia w księgarniach romansów, gdyż była to „jedyna lektura cesarza w jego podróżach”<sup>3)</sup>. Sprowadzono konsula francuskiego, Theremina, którego cesarz wypyttywał szczegółowo o Lipsk i jego mieszkańców, przepisując starać się o utrzymanie z nimi stosunków jak najlepszych, jakgdyby „miał przecucie, że będzie ich potrzebował”. Popędzono dalej w nocy przez Weimar, gdzie nazajutrz 15 grudnia z rana na pocztę pił kawę, a sprowadzonemu posłowi francuskiemu przy dworze weimarskim, Saint-Aignanowi, polecił przeprosić księcia weimarskiego, „a szczególnie księżnę”, Marję Pawłównę, rodzoną siostrą cesarza Aleksandra, że nie może się z nimi widzieć. Wieczorem tegoż dnia zatrzymano się w Erfurcie. 16 grudnia, po krótkim postoju w Hanau, przeprawiwszy się łódką przez Ren, stanął cesarz o 10 wieczór w Moguncji, już w granicach cesarstwa. Tutaj widział się z komendantem twierdzy, starym marszałkiem Kellermannem, hr. Valmy, odmówił jednak przyjęcia ofiarowanej przez niego eskorty. „Skoro z całą głową — rzekł — przedostałem się przez Prusy i Niemcy, nie stracę jej we Francji”<sup>4)</sup>. Odtąd, czując się na ziemi francuskiej, stał się widocznie weselszy, rozmowniejszy, opowiadał o swej młodości, miłostkach, pierwszych swoich początkach jako prostego oficera artylerji. Odtąd też podróż z nadzwyczajną odbywała się szybkością, gdyż teraz prawie wszędzie poznawano go na stacjach pocztowych. 17 grudnia zatrzymano się na śniadaniu w Saint-Avoid, na obiad w Verdun.

Ostatniego dnia podróży, 18 grudnia, w piątek przed południem dojechano do Château-Thierry, gdzie cesarz przebrał się, zrzucił frak zielony szaserów konnych, zwyczajny swój strój w czasie kampanji, i włożył mundur grenadierów gwardji. Na następnej stacji w Meaux złamał się powóz; wypadło wziąć t. zw. *chaise de poste*, to jest prosty dwukołowiec; nie było już nawet

---

<sup>3)</sup> „J'étais encore chargé de lui acheter des romans, car c'était la seule lecture de l'Empereur dans ses voyages” (P. Ask.).

<sup>4)</sup> „Si j'ai parcouru la Prusse en gardant ma tête sur mon cou, je ne la perdrai pas en France”. Pamiętać należy, że było to świeżo po odkryciu spisku generała Maleta w Paryżu (P. Ask.).



czem opłacić pocztę; fundusz cesarski podróżny wyczerpany był do cna; cesarz, Caulaincourt, Wąsowicz i Roustam złożyli wszystko, co mieli przy sobie: było tego 80 franków. Ale oto już mijano rogatki Paryża; zajechano pędem przed Tuilerje. Gwardzista, stojący na warcie przed bramą pałacową, bagnetem wzbronił wejścia podejrzanym nieznajomym. Na zapewnienie Wąsowicza, że to cesarz, roześmiał się stary wiarus: „Wolne to żarty. Dziś czytałem w Monitorze, że cesarz jest w Smoleńsku. Zresztą — dodał — zwróćcie się do kapitana, gdyż bez jego rozkazu nie wpuszczę, choćby to był sam cesarz“. Zjawił się kapitan, na widok cesarza rozwarły się wrota, wszczęło się w pałacu nieopisane zamieszanie, które cesarz wnet uśmierzył, aby nie budzić spoczywającej już cesarzowej Marji Luizy; a działo się to właśnie w wilgę dnia jej urodzin. Napoleon sam udał się do jej apartamentów.

Była godzina wpół do dwunastej w nocy. Cała podróż ze Smorgoń do Paryża trwała dni trzynaście.

---

## APETYTY PRUSKIE

Było to w r. 1813. Rosja, odbiwszy wyprawę moskiewską Napoleona, w ślad za zdziesiątkowaną Wielką Armją francuską pchnęła wojska swoje ku Zachodowi i zajęła niemi nasampierw całe Księstwo Warszawskie. Było ono wtedy niewątpliwie zdobyczą wojenną rosyjską. Ważyła się wprawdzie dopiero sprawa arcydoniosła: co się z Księstwem stanie, czy będzie ono pochłonięte, zdeptane, rzucone na pastwę nienawiści i dzikości, poddane wcieleniu i konfiskatom, czy też będzie obrócone na podwalinę jedynie zdrowej koncepcji politycznej, Królestwa Polskiego przy Rosji? Ale tyle nie ulegało wątpliwości, że Księstwo było w tej chwili wyłącznie w ręku samej Rosji, okupowane przez armję rosyjską, rządzone z Warszawy przez ustanowiony tam z ramienia Aleksandra I Rząd Tymczasowy oraz generał-gubernatora rosyjskiego. Tam to sprawa przyszłych losów kraju ważyła się właściwie między Rosją a Polską. Owóz do tej sprawy odrazu wmieszały się Prusy.

Prusy, zdawałoby się, w owej chwili żadnego zgoła nie miały realnego ani moralnego tytułu do jakichkolwiek uroszczeń zdobywczych. Wczora dopiero złamane przez Napoleona, były się z nim sprzymierzyły i pospołu z nim ruszyły na Rosję. Były politycznie, materjalnie, militarnie zrujnowane i skompromitowane ze szczerem, były niczem. Straciły wszystko: objętość terytorjalną i ludnościową, równowagę skarbową, zbrojność, tradycję sławy Fryderykowej, tradycję przyjaźni rosyjskiej, —



lecz zachowały rzecz jedną: apetyt zdobywczy i to szczególnie na ziemi polskie. Wstając dopiero co z nicości, dopiero co otrząsając się ze swojej roli sojusznika Napoleona przeciw Rosji i przechodząc do roli sojusznika Rosji przeciw Napoleonowi, w tem samem mgnieniu już wyciągały długie ręce po ziemię warszawskie, będące w niewątpliwem Rosji posiadaniu. A czyniły to z natręctwem, butą, bezceremonialnością, poprostu nadzwyczajną, uderzającą nie tylko Polaków, lecz wprawiającą w zdumienie nawet miejscowe władze rosyjskie. Żywe, kapitalne wcielenie tych rozbudzonych tak nagle apetytów pruskich, obok wielu świadectw pokrewnych, stanowi pan szambelan von Troschke i jego ówczesne przeprawy.

W początku października 1813 r. naczelnik obłastny departamentu bydgoskiego, radca kolegjalny Merder, doniósł generał-gubernatorowi warszawskiemu, senatorowi Łanskojowi, iż w departamencie pojawił się jakiś pruski szambelan i baron v. Troschke, który objeżdża kraj, wydaje proklamację, zbiera broń i rekruta dla rządu pruskiego, wprowadza komendy pruskie, rekrutujące prowiant i ludzi, słowem, pod nosem władz cywilnych i wojskowych rosyjskich gospodaruje całkiem jak u siebie. Do raportu dołączone były dowody. A więc odpis paszportu, wydanego owemu Troschkemu przez kanclerza pruskiego, ks. Hardenberga, gdzie mieściło się upoważnienie do zbierania w Księstwie Warszawskiem „wszelkiego rodzaju broni i montur, jakoteż młodych ludzi zdatnych do służby wojskowej“. A więc skargi obywateli polskich, napadniętych w swoich dworach przez oddziały pruskie, dopełniające czynności rekwizycyjnych. A więc wreszcie drukowaną proklamację w języku niemieckim, obwieszczającą, iż „Ja, Karol-Antoni-Ferdynand baron cesarstwa (*Reichsfreiherr*) von Troschke, oberoficer armji pruskiej i rzeczywisty szambelan Króla JM. pruskiego, właściciel Orła Czerwonego i innych orderów“, wzywa wszelakich mieszkańców Księstwa Warszawskiego do zaciągnięcia się do szeregów pruskich oraz do dobrowolnych dostarczeń w naturze lub gotowiznie na rzecz rządu pruskiego. Wszystko to chyba dość było niezwykłym. Niezwykłym był *toupet* niewiomego zagranicznego wysłańca, operującego w ten sposób w cudzym kraju. Zanim jednak jeszcze nadeszła do Warszawy powyższa

relacja oszołomionego naczelnika departamentu bydgoskiego, dzielny szambelan pruski już zdążył przenieść pole swej działalności do sąsiedniego departamentu poznańskiego.

Objechawszy nasampierw pomniejsze miasteczka i kolonie niemieckie w tym departamencie i poczyniwszy wszędzie stosowne imieniem rządu pruskiego zarządzenia, v. Troschke przybył do Poznania. Tu zgłosił się do miejscowego komendanta rosyjskiego, pułkownika Bułgarina, oraz do obłastnego naczelnika departamentu poznańskiego, radcy kolegijskiego Mikłaszewicza, przedstawił się jako „generał i minister pruski“, oświadczył, iż ma upoważnienie piśmienne od cesarza Aleksandra I i wodza naczelnego armij rosyjskich, Barclaya de Tolly, zażądał dla siebie koni i odwachu honorowego z 30 żołnierzy rosyjskich przed swoją kwaterą. Zaczął rozdawać swoje proklamacje, zbierać składki, broń i ochotników, wzywać do siebie mieszkańców miasta i okolicy. Między innymi, wezwał też do siebie podrabina synagogi poznańskiej, Michała-Jakóba Peyzera, miał z nim wcale charakterystyczną rozmowę, zaprotokółowaną następnie w zeznaniu Peyzera przed zastępcą prefekta poznańskiego, Moszczeńskim, wygrażał Żydom poznańskim za ich zachowanie się wobec władz polskich i rosyjskich, krzyczał, że „Żydzi winni temu, iż tutejsza ulica, dawniej Wilhelmską zwana, nosi nazwisko ulicy Napoleona“, kazał podrabinowi przełożyć swoją proklamację starszym Kahału poznańskiego i skłonić gminę żydowską poznańską do posług dla rządu pruskiego. Obłastny naczelnik i komendant, zaniepokojeni tą gospodarką samowolną Troschkego w powierzonym im mieście, wezwali go do siebie, celem zażądania od niego wyjaśnień. Okazało się wtedy, że Troschke owych upoważnień Aleksandra i Barclaya, na jakie się powoływał, przedstawić nie mógł; tłumaczył się, iż je spalił. Okazało się również, że swoje proklamacje, datowane rzekomo z Prus, kazał on potajemnie wydrukować w liczbie 300 egzemplarzy w drukarni poznańskiej Deckera, z fałszywym miejscem datowania. Wobec tego władze rosyjskie uznały za konieczne opieczętować papiery Troschkego i wyprawić go pod eskortą do Warszawy do dyspozycji generał-gubernatora Łanskoja. Ale Prusak nie stracił bynajmniej kontenansu. Oświadczył on komendantowi Bułgarinowi, iż on „nie zna służby“,



a naczelnikowi Mikłaszewiczowi rzekł, „uderzając po swojej szpadzie, iż on nie potrzebuje słuchać się władzy rosyjskiej“, chciał też pierwotnie siłą sprzeciwić się opieczętowaniu papierów swoich. Z największą też trudnością czynność ta została dokonana i sam Troschke wraz z papierami odesłany do Warszawy. „Gdybym go nie wysłał do W. Ekscelencji — pisał z tego powodu strapiiony Mikłaszewicz do Łanskoja — nie byłoby prawie sposobu pomiarkować (*uniat'*) go..., gdyż osobiście tak jest bezczelny“ (*liczno tak dierzok*).

W Warszawie zaczęły się nowe kłopoty z Troschkem. Po bliższem zbadaniu rzeczy okazało się, że był istotnie baronem, szambelanem, bogatym obywatelem śląskim, który z własnej ochoty, a za cichą zgodą kanclerza pruskiego, podjął się owej drażliwej misji rekognoskującej i rekwirującej na ziemiach polskich. Wobec Łanskoja stawiał się równie hardo, jak wobec jego podwładnych, żądał „wolnej kwatery stosownej do mojej rangi“, podwód na 14 koni, natychmiastowego wydania sobie paszportu i pozwolenia na wyjazd, groził skargami przed swoim królem, a nawet przed cesarzem Aleksandrem za swoje zatrzymanie i t. d. Łanskoj widział się z nim osobiście i od razu rozpoznał w nim nieuprawnionego, samozwańczego obcego agenta, a jednak obchodził się z nim z całą delikatnością, aczkolwiek — jak donosił generał-gubernator w ostrożnych słowach zarządzającemu Kancelarją cesarską, wszechwładnemu Arakczejewowi, którego stosunki pruskie były znane — „z rozmów moich z p. Troschke ani też z papierów, przez niego okazywanych, niczego zasadniczego (*osnowatielnawo*) wymiarkować nie mogłem“. Zaczęły się też wnet do generał-gubernatora warszawskiego sypać wpływowo wstawiennictwa za zacnym v. Troschkem, przychodziły reklamujące go pisma od gubernatora wojennego wrocławskiego, generała v. Gaudy, od gubernatora prowincji śląskiej Merckla, wreszcie przyszło pismo od Arakczejewa, zalecające względność dla dobrze myślącego i dobrze urodzonego Prusaka. Skończyło się na tem, że wszystkie sprawy Troschkego zostały pущczone w niepamięć, a sam on triumfalnie opuścił Warszawę <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Dzieło generał-gubernatora Gercogstwa Warszawskiego Łanskiego, n-o 2088, O Kammergerie Troszkie: Łanskoj do Aleksandra I, Warsz.

Tak działo się w r. 1813. Czy dzisiaj, po minionych stu latach, te rzeczy zasadniczej uległy odmianie, o tem raczej powątpiewaćby można.

---

25 paźdz./6 listop. 1813; załączony raport koleżsk. sowietnika Mikłaszewicza do Łanskoja, Poznań, b. d. i pismo zast. prefekta departamentu poznańskiego Moszczeńskiego do Mikłaszewicza, Poznań b. d. (Arch. Akt Dawnych) (Prz. Ask.).

---



## ZJAZD W PUŁAWACH W R. 1814

Bywają zjazdy a zjazdy. Dziś podobno, celem podźwignięcia sprawy polsko-rosyjskiej, zjeżdżać się nam zaleca z Jego Sijateliństwem, hr. Bobryńskim, na łaskawem komornem czeskim czy bułgarskim, w Pradze czy bodaj aż w Sofji. Onego czasu, przed stuleciem niespełna, zjeżdżaliśmy się na własnych śmieciach, u siebie w domu, w Puławach, z Aleksandrem I.

Jesienią roku 1814 zgromadzić się miał w Wiedniu wielki Kongres mocarstw, na którym winna była dokonać się, w spadku po Napoleonie, powszechna rekonstrukcja Europy, a zarazem, na miejscu naczelnem, winna była znaleźć rozwiązanie sprawa polska. Zarówno pod pierwszym względem, ogólnoeuropejskim, jakoteż zwłaszcza pod drugim, specyficznie polskim, rola przewodnia na Kongresie przypadała głównemu sukcesorowi potęgi napoleońskiej, a zarazem predestynowanemu królowi polskiemu Aleksandrowi I.

Szkic p. t. *Zjazd w Puławach* drukowany był w „Tygodniku Illustrowanym” 1910 r., nr. 35. Wyraża tu na wstępie aluzję do ówczesnych prób polityki „neosłowiańskiej”, kongresów w Pradze, w lipcu 1908 i w Sofji, w lipcu 1910 r. (gdzie Polacy nie brali już udziału). Ostrze tej aluzji redakcja „Tygodnika” starała się stępić i zasłonić własnym, następującym dopiskiem:

„W chwili, gdy numer ten oddajemy pod prasę, Poznań, prastary gród piastowski, o który niegdyś nie ośmieliły się pokusić żelazne zastępy niemieckie Henryka II i Fryderyka Barbarossy, podejmuje w swych murach trzeciego z kolei cesarza zjednoczonych Niemiec. Nie od rzeczy więc będzie przypomnieć dziś inne odwiedziny na ziemi naszej, w innych okolicznościach dziejowych i w innym nastroju, piórem znakomitego historyka opowiedziane”.





*Litografja. Tow. opieki nad zabytkami, Warszawa*

*Aleksander I*  
*w mundurze polskim, z ręką na konstytucji Królestwa Polskiego*



Rzeczą było najoczywściej dla samejże Rosji potrzebną i ważną, aby Aleksander, udając się z Petersburga do Wiednia na tak doniosłe obrady kongresowe, zatrzymał się po drodze na ziemi polskiej i tutaj zawczasu osobiście z miejscowem zetknął się i porozumiał społeczeństwem. Zrozumiano to w Petersburgu, gdzie wtedy, pomimo świeżych bezprzykładowych sukcesów rosyjskich a okrutnych klęsk polskich, dobrze zdawało sobie sprawę z tej głębszej konieczności dziejowo-politycznej, iż zwycięska Rosja z pobitą Polską bądź co bądź liczyć się musi, że jej poprostu zbrutalizować, pogwałcić, choćby i mogła, przecie nie powinna, a to przedewszystkiem w dobrze pojętym interesie własnym. Zaraz też, w początku września tegoż roku, dano znać z Petersburga do Warszawy, że cesarz drogę do Wiednia zamierza obrócić na Puławy i że pragnie spotkać się z przedstawicielami ogółu polskiego.

Zjazd ten puławski r. 1814 z rozlicznych względów był interesujący. Strona czysto polityczna, dotycząca ówczesnego położenia Księstwa Warszawskiego i trwającej w niem okupacji rosyjskiej, a przedewszystkiem związana bezpośrednio z precedensami Kongresu wiedeńskiego, na innem miejscu wyłuszczone będzie. Ale i strona czysto zewnętrzna, towarzyska — jakkolwiek nigdy tego rodzaju objawów formalnych, choćby najbardziej ujmujących, przeceniać nie trzeba, lecz liczyć się z ukrytym pod niemi stanem faktycznym — nie pozbawiona jest pewnego znaczenia sympatycznego, a nawet, w sensie porównawczym, mogłaby się wydać wcale nauczającą. Porównać wartoby dziś, kiedy pierwszy lepszy dygnitarz ministerjalny, poselski czy gazeciarski sprawia sobie tanią satysfakcję ciskania ordynarnej obelgi bezbronnemu społeczeństwu polskiemu, — jak onego czasu to społeczeństwo, choć i wtedy z wytrąconą z ręki bronią stało pod obuchem fizycznej przemocy, było bądź co bądź w zetknięciu osobistem traktowane przez zwycięskiego, najpotężniejszego podówczas w Europie monarchę.

Aleksander I-szy wyjechał z Petersburga w środę 14 września roku 1814, o godzinie 6 wieczór i, po kilkugodzinnym tylko popasie w Wilnie, stanął w poniedziałek, 19 t. m. o 11 zrana w Brześciu. Tutaj oczekiwała go wyprawiona z Warszawy, imieniem Księstwa Warszawskiego, deputacja cywilna, z senatorem-

kasztelanem Onufrym Kickim, oraz wojskowa, z generałem Antonim ks. Sułkowskim na czele. W odpowiedzi na pozdrowienie deputacji wygłosił monarcha życziwą, krótką zresztą i bardzo ogólną, w nader elastycznych zwrotach, przemowę, w której wyraził, „iż wielkie dzieło jego nie jest jeszcze ukończone, los Polski niezupełnie jeszcze ustalony; gdy będzie widział Polaków szczęśliwych, znajdzie w tem... największą dla siebie nagrodę za wszystkie prace i trudy podjęte“. Z Brześcia tegoż dnia przed wieczorem zjechał na obiad do Konstantego Czartoryskiego do Międzyrzecza, gdzie był oczekiwany przez feldmarszałka Barclaya de Tolly. Stąd na noc udał się do Kocka, aby nazajutrz w południe stawić się w Puławach. W pałacu puławskim zgromadził się tymczasem cały dom Czartoryskich, oprócz tylko głowy domu, starego, schorowanego księcia generała ziem podolskich, który, być może także dla innych jeszcze niż sam wiek i zdrowie, powodów, ze względu na podejrzliwość dworu wiedeńskiego, jako poddany i feldmarszałek austriacki, wolał pozostać w Sieniawie. Zebrało się też liczne grono pań: stara księżna Izabela Czartoryska z córkami, księżną Wirtemberską i Stanisławową Zamojską, wojewodzina wileńska Michałowa Radziwiłłowa, Rozalja Rzewuska, Zofia Matuszewicówna i wiele innych. Z panów, oprócz Adama i Konstantego Czartoryskich i ich szwagra Zamojskiego, stawili się: Antoni Radziwiłł, niebawem namiestnik przyszłego W. Księstwa Poznańskiego, a wtedy jeszcze kandydat na senatora-wojewodę przyszłego Królestwa Polskiego, minister skarbu Księstwa Warszawskiego Tadeusz Matuszewic z synem, głośnym później dyplomata rosyjskim, Maciej Jabłonowski, Aleksander Linowski, J. K. Szaniawski, oraz generałowie: Antoni Sułkowski, Wincenty Krasiński i Franciszek Paszkowski. Było razem osób około 70.

We wtorek, 20 września, przed samem południem zjechał do Puław Aleksander, poprzedzony przez ks. Adama, który był wyjechał na jego spotkanie. W pięknej alei pałacowej zgromadziły się tłumy okolicznego ludu wiejskiego, przed bramą stanęły kahały lubelski, puławski, kazimierski wraz z deputacją od kahału warszawskiego, w dziedzińcu czekała deputacja miasta Warszawy. Cesarz ukazał się w pojeździe otwartym, w towarzystwie generał-adjutanta Wołkońskiego, za nim je-



chał lekarz przyboczny, Anglik Wylie, i służba; przybyli również z cesarzem feldmarszałek Barclay de Tolly i Nowosilcow. Monarcha, powitany u schodów przez rodzinę Czartoryskich, uściśkał serdecznie książąt i Zamojskiego, ucałował rękę księżny Izabeli i, podawszy jej ramię, udał się na górę, gdzie w t. zw. złotej sali przyjął deputację miasta Warszawy. Nastąpiły dalsze prezentacje, poczem cesarz udał się do przeznaczonego sobie pokoju na naradę z ks. Adamem i Nowosilcowem, następnie zeszedł do księżny i dam. Obiad podano przy stole cesarskim na osób 36 i obok przy drugim na 42 osób, przyczem cesarz wyraźnie zastrzegł, że „żadnej różnicy w osobach, które mu były prezentowane, czynić nie każe, i dozwala, aby kto chciał, siadał u stołu“. Podczas obiadu pito zdrowie monarchy, który odpowiedział, wznosząc zdrowie księżny gospodyni. Po obiedzie, złożywszy wizytę w apartamencie księżny Wirtemberskiej, cesarz znów wziął do swego pokoju na naradę ks. Adama i Nowosilcowa, tym razem przy udziale Barclaya do Tolly. O 9 wieczór zeszedł na dół do księżny Izabeli na herbatę, gdzie zebrali się najwybitniejsi goście; przed północą udał się na spoczynek. Ponieważ nie miał ze sobą żadnej zgoła eskorty, „przeto strzegąc od wypadku, na złotej sali — obok sypialni cesarskiej — siedział całą noc majordom Pawłowski, a pod oknami pilnowało czterech ludzi pałacowych“: nigdy zapewne w życiu Aleksander I nie miał tak skromnej straży i nigdy może nie spał bezpiecznie.

Nazajutrz, w środę 21 września, cesarz wstał o 7 rano, ubrał się po cywilnemu we frak angielski, i, po dłuższej konferencji z Barclayem, Nowosilcowem i ks. Adamem, zeszedł o 10 do księżny generałowej, gdzie już zebrane były panie; w ich towarzystwie udał się następnie na przechadzkę po pięknym parku pałacowym, obszedł Sybillę, domek gotycki, groty, z zajęciem oglądał zebrane tu cenne pamiątki, zwłaszcza narodowe. „Przechodził w tym momencie pułk kozaków przez Puławy, lecz (cesarz) nie tylko ich nie chciał widzieć, ale nawet rozkazał, aby dalej śpiesznie postępował“. Do parku wszystkich wpuścić kazał bez różnicy stanu; brał osobiście petycje, jakie mu licznie były podawane, między innemi także przez włościan i żydów, i oddawał je generał-adjutantowi Wołkońskiemu. Śniadanie na pokojach księżny „jadł smaczno i w przedziwnym humorze“.

Do Konstantego Czartoryskiego — którego położenie, jako dawniejszego, z musu, oficera rosyjskiego, a potem, z własnego wyboru pułkownika armji polskiej, w szeregach napoleońskich, mogło obecnie poniekąd być drażliwem — odezwał się: „Kochałem cię zawsze, ale szanuję cię jeszcze więcej, odkąd walczyłeś za ojczyznę“. O pierwszej z południa poszedł do siebie na górę, na parogodzinną znowuż naradę z ks. Adamem i Nowosilcowem; następnie kazał do gabinetu swego przywołać jeszcze Zamojskiego, Matuszewica i Linowskiego. Szczegółowe sprawozdanie z tej interesującej narady, która trwała aż do 5 po południu (*Précis*), ręką Matuszewica spisane, na innem miejscu ogłoszone będzie<sup>1)</sup>. Na obiedzie, gdzie cesarz ukazał się w mundurze, znów wznoszono jego zdrowie, na co on odpowiedział w słowach serdecznych, pijąc zdrowie całego obecnego zgromadzenia polskiego. Rewizytował po obiedzie księżnę Izabelę Wirtemberską, panią Zamojską i ks. Adama w ich pokojach. Wieczorem, po krótkim u siebie wypoczynku, przed 10 zeszedł na herbatę do księżny Izabeli; tu w licznym towarzystwie parę godzin na swobodnej spędził gawędzie, mówił o minionej ciężkiej kampanji, wspominał czasy młodzieńcze, pierwsze zbliżenie się przyjacielskie z ks. Adamem w Petersburgu i t. d. O wpół do 12 pożegnał się, zakazując, aby go odprowadzano. Wrócił do siebie i kazał do gabinetu swego wezwać generałów: Sułkowskiego, Krasińskiego i Paszkowskiego, z którymi aż po północ życzliwie o losach armji polskiej się naradzał. O północy zaprzężono pojazdy, zapalono kagańce od pałacu aż do Wisły. Wyekspedjowawszy jeszcze kurjera do Petersburga, Aleksander o wpół do 2 po północy siadł do powozu; „a nie zastawszy nikogo — jak był wyraźnie nakazał — znać było po nim nie tylko zadziwienie, ale i nieukontentowanie“. Kiedy jednak dojechał do Wisły, miłą miał niespodziankę, gdyż, wbrew zakazowi, czekała go tu oczywiście cała rodzina Czartoryskich i wielu z gości. Ozwały się w ciszy nocnej głośne wiwaty na cześć Aleksandra, który widocznie był bardzo zadowolony z tej uprzejmej siurpryzy pożegnalnej, a z wielką żegnając się serdecznością, pokazał zebranym kokardę białą, jaką nosił przypiętą do kapelusza: „Od cza-

<sup>1)</sup> Zob. „Miscellanea i dokumenty“, str. 369.



su — rzekł — jak mam ukontentowanie dowodzić Polakami i nimi się interesować, dołożyłem do kokardy mojej kolor biały“. Znów ozwały się głośnie wiwaty; cesarz ruszył dalej na Chodczę do Krakowa, gdzie na krótki tylko zatrzymał się postój; stąd na Berno morawskie obrócił drogę do Wiednia. Nazajutrz wyjechali w ślad za nim z Puław ks. Radziwiłł i Szaniawski, 23 września ks. Adam Czartoryski również pośpieszył do Wiednia, gdzie miał zostać prawą ręką Aleksandra w zawziętej walce kongresowej o założenie, rozgraniczenie i urządzenie Królestwa Polskiego.

## ZAŁOŻENIE KRÓLESTWA POLSKIEGO W 1815 R.

Dn. 8 lutego 1813 r. o godzinie 4 popoł. deputacja stołecznego miasta Warszawy, z przedstawicieli municypalności, władz prefekturalnych, kupiectwa i duchowieństwa, stawiała się na rozkaz z chlebem i solą w obozie rosyjskim pod Mokotowem. Ten sam urzędnik, co niegdyś w 1794 r. przynosić musiał klucze miasta Suworowowi dla cesarzowej Katarzyny II, składał je obecnie Miłoradowiczowi, przesłane natychmiast do kwatery głównej do Płocka na ręce cesarza Aleksandra I. Tragedja dziejowa na pozór była ta sama. Ale inną była jej istota. Dzieje postąpiły naprzód wbrew najmocniejszej ludzkiej przemocy. To nie była repetycja, to była niezawisłe od szczerości lub nieszczerości aktorów, rdzenna postępową odmianą akcji historycznej. Inną już była nawet sama scenerja. Wystrzegą się tym razem Rosja brutalnej roli prostego zdobywcy, unikała okropnych reminiscencji zesłowiecznych, cofała się przed okrwawionem widmem strony praskiej, okrążała dokoła Warszawę, przychodziła z rozmysłu od rogatki mokotowskiej i wolskiej, nie scytyjskim Suworowowskim, lecz europejskim, Napoleońskim traktem, nie od północy, lecz od Zachodu. Poprzednio, przed niespełna dwudziestoleciem, zdobyta szturmem i rzezią stolicę Rzpltej Rosja

---

Za podstawę przyjęto tekst rękopiśmienny tego szkicu, zapewne z 1906 r., z późniejszymi, licznymi poprawkami, oraz śladami cenzorskiego ołówka; rzecz była drukowana w formie okaleczonej przez cenzurę w Tygodniku Ilustrowanym, 1906, nr. 18-22. Ustęp końcowy odrzucono, zgodnie z zaznaczoną na rękopisie intencją autora.



po krótkiem władaniu była wydała Prusakom: teraz sadowiła się tutaj na stałe, zakładała Królestwo Polskie. Sprawa polska w nową wstępowała fazę.

Rozwiązanie sprawy polskiej przez trzy podziały, dokonane w ciągu ćwierćwiecza 1772—1797 r. okazało się zgola nietrwałem. Było ono, pomimo już wszelkich względów prawno-moralnych, pod względem czysto logicznym oparte na fikcji. Przyroda i dzieje stworzyły Polskę: papier traktatowy 1797 r., zamykający podziały, orzekał, że Polski odtąd niema i nie będzie, że samo jej imię odtąd i po wszystkie czasy zgładzone zostaje z oblicza ziemi: *dès à présent et pour toujours supprimé*. Nagie fakty wnet zadały kłam temu orzeczeniu. Przyszedł czwarty i piąty podział, powstało Księstwo Warszawskie. Sprawa polska w całości musiała zostać wznowioną od zarania XIX w.; nie zamknięta nigdy dla Polaków, ani dla Europy, została otwartą dla samychże mocarstw rozbiorowych, a przede wszystkim dla naczelnego wśród nich, dla Rosji.

Sprawa polska zajmowała cesarza Aleksandra I przez cały niemal przeciąg jego panowania. Przeświadczony zawczasu o niepodobieństwie utrzymania odziedziczonej fikcji podziałowej, rozważał on kilkakrotnie rozległe plany odbudowania Polski. Czynił to przed każdym wielkiem przesileniem swoich rządów, swego państwa i Europy, w tem trafnem poczuciu, że sprawa polska jest to sprawa europejska, i że od niej losy Rosji są zawisłe. Naprzód, jesienią 1805 r., przed Austerlitzem, myślał o odebraniu dzielnicy pruskiej i ogłoszeniu się w Warszawie królem polskim przy przywróconej Konstytucji 3 Maja. Potem, zimą 1806 i wiosną 1807, przed Friedlandem, z pewnemi modyfikacjami, powracał do tej myśli, tym razem planowanej głównie na podstawie bezpośrednio rozrządzalnych gubernij zachodnich, przez obwołanie się królem polskim w Wilnie. Następnie, latem 1809 r. przed Wagramem, otwierał ogólnikowo widoki odnowicielskie, tym razem ze szczególnem uwzględnieniem dzielnicy austriackiej. Dalej, zimą 1810/11, przed wyprawą moskiewską, ofiarował się stworzyć Królestwo Polskie z Księstwa Warszawskiego oraz prowincyj zachodnich, prócz Białorusi, z granicą Berezyny, Dźwiny i Dniepru. Nareszcie, w chwili obecnej, zająwszy Księstwo, stanął przed koncepcją

całkiem konkretną: konstytucyjne Królestwo Polskie, oparte zrazu na Księstwie, (a w bliższej lub dalszej przyszłości na przyłączonych doń pięciu guberniach litewskich: grodzieńskiej, wileńskiej, mińskiej, wołyńskiej, podolskiej, z obwodem białostockim). Teraz też, przy walnem przeobrażeniu stosunków światowych na Kongresie Wiedeńskim 1814/15 r., zwycięzca i arbiter Europy miał czynem rozstrzygnąć to wielkie zagadnienie polskie, którego po tylekroć imał się myśla.

Aliści między czynem a myślą daleka była droga — i trudna. Troiście trudna: ze względu na Europę, na Rosję, na naturę samego Aleksandra.

Koncepcja polska cesarza stała na podwójnem założeniu terytorjalnem: Księstwa i Litwy, a stąd rodziła podwójną trudność polityczną: od Europy i od Rosji.

Europa, z którą obecnie szedł ramię w ramię Aleksander przez pobojowisko lipskie do zdobytego Paryża, a z którą zarazem miał targować się o Polskę na kongresie Wiedeńskim, to była Europa stara, zaprzeszłowieczna, zmartwychwstająca na gruzach rewolucyjnej i napoleońskiej. Nie zapomniała ona niczego, nie nauczyła się niczego, żyła starym trupim duchem zaprzeszłowiecznym, to też w sprawie polskiej dopominała się wręcz powrotu do uświęconej zasady podziałowej i sprzeciwiała się stanowczo tamtej odnowicielskiej koncepcji. Sprzeciwiała się przez ślepotę, obawę, chciwość i nienawiść. A więc mocarstwa zachodnie, Francja i Anglja, sprzeciwily się przez ślepotę. Nie pojęły one tej prostej prawdy, że w tym wypadku więcej znaczyło mniej, *pars maior toto*, że dać więcej Polski do Rosji znaczyło tę Polskę lepiej ubezpieczyć od imperjum a tem samem i Europę i samą przyszłą kulturę rosyjską lepiej ubezpieczyć od dotychczasowej Rosji imperjalistycznej i zaborczej. Sprzeciwiała się następnie Austria przez obawę. Obawiała się nietylko o Galicję, lecz o wszystkie pod swoim berłem narodowości słowiańskie, obawiała się o Wschód, dotąd Rosja pogodzona z Polską mogłaby znów skierować swe kroki, obawiała się uznania wolnego narodu polskiego w chwili, gdy sama zabierała się pod swe jarzmo ugiąć nieszczęśliwy naród włoski. Wreszcie, przez chciwość i nienawiść sprzeciwily się Prusy. Prusy napozór dały się kupić Aleksandrowi dla jego widoków polskich za sowitą nagrodę, t. j.



za Saksonję, wzamian za swój dawny udział w Księstwie Warszawskim. Ale zastrzegały sobie zaraz zwrot w naturze takiej części Księstwa, która stanowiłaby łącznik między Prusami Wschodniemi a Śląskiem. To jedno już zapowiadało dotkliwie okrojenie przyszłego Królestwa Polskiego, zarwanie Poznania, Bydgoszczy, Torunia. Lecz w rzeczywistości miały Prusy w odwodzie inną jeszcze, nierównie rozleglejszą kombinację, t. j. granicę Knesesebecka, jednego z ówczesnych swoich negocjatorów z Aleksandrem, t. j. granicę Pilicy, Wisły i Narwi, zarywającą, oprócz Poznańskiego, nadomiar całą dzisiejszą gubernję kaliską i piotrkowską, większą część warszawskiej, połowę łomżyńskiej. Otóż wraz w obu tych kierunkach manewrowały Prusy. Godziły się one napozór na zamysły Aleksandra i obiecywały uszczuplić ów płat łączący, ujmowany z Polski, byle zyskać tem gorliwsze poparcie Rosji dla swych uroszczeń saskich; — a zarazem przed mocarstwami zachodniemi denuncjowały polską politykę cesarza, przyrzekały pomiarkować swe pretensje saskie w miarę większych zwrotów warszawskich. Niedosć na tem. Prusy pod adresem Polaków oświadczały się z gorącą sympatją dla ich dążeń do niepodległości i zachęcały ich, podniecały ich nadzieje; a zarazem na wszelki sposób szkodziły Polsce u Aleksandra, najmocniej odradzały mu odnowę, zalecały proste wcielenie, denuncjowały gotujące się rzekomo przeciwko niemu nowe powstanie polskie. Pruski generał komendujący w Prusiech Wschodnich, Zachodnich i Litewskich, v. Bülow, posyłał do Warszawy, do dowódcy armji okupacyjnej rosyjskiej, przyjacielskie denuncjacje na obywateli, księży, urzędników warszawskich, mających napaść znienacka na załogi rosyjskie, spalić magazyny, podnieść sztandar insurekcji i sprawić jakieś nowe nieszpory sycylijskie. Nadprezydent pruski z Królewca takie same ostrzeżenie słał uczynnie do policji rosyjskiej w Warszawie, donosząc, że Polacy się zbroją, szykują już buty, siodła, nawet trąby powstańcze. Z królewskiego ministerjum policji w Berlinie zasypywano podobnemi donosami władze cywilne i wojskowe w Warszawie, podawano nazwiska i adresy rzekomych przyszłych powstańców polskich.

Owóz w obu tych kierunkach jednocześnie manewrowały Prusy. Cel Prus był jasny: dostać w każdym razie najwięcej

z Saksonji i wraz najwięcej z Księstwa; jeśli się tylko da, całą Saksonję i granicę Knesebeckowską; okroić w każdym razie jak najsilniej przysze Królestwo Polskie; jeśli się tylko da, zadusić je przed urodzeniem.

Tak więc naprzeciw — opór jawny trzech wielkich mocarstw: Austrii, Anglii, Francji, dochodzący aż do tajnego między niemi sojuszu, aż do groźby wojny z Rosją o Polskę, przeciw Polsce. A znów pod samym bokiem — połowiczna zgoda Prus, w najwyższym stopniu podejrzana, idąca w parze z ich krecią robotą antypolską. Taki był wtedy stan sprawy Królestwa od strony zewnętrznej, europejskiej.

Położenie od wewnętrznej strony, rosyjskiej, nie było bynajmniej pomyślniejsze. Naczelną w społeczeństwie rosyjskiem potęgą był wtedy i na długą jeszcze metę pozostał żywioł starorosyjski, a międzynarodowy, nacjonalistyczny a reakcyjny, *mixtum compositum* najbardziej zatęchłych odwiecznych tradycyj moskiewskich i najbardziej skostniałych stuletnich praktyk petersburskich, bojarsko-pańszczyźnianych i oligarchiczno-biurokratycznych. Ta ogromna moc wstecznicstwa z równą zaciekłością i wstrętem powstawała przeciw wszelkiej reformie wewnętrznej imperjum i przeciw wszelkim ustępstwom dla Polski, powodując się w obu kierunkach przedewszystkiem brutalnym nakazem interesu własnego. Naprzód chodziło tym ludziom o zachowanie swojej władzy i dochodów w rządzie i administracji państwowej. Następnie, byli to w znacznej części bądź nowego autamentu posesjonaci b. Rzpltej, z bogaceni na ponawianych potrzykroć konfiskatach w prowincjach polskich, donatarjusze niezmiernych włości, owego miljona tylko samych dusz męskich, rozdanych przez Katarzynę II w trzech podziałach, bądź też działacze cywilni i wojskowi, siedzący w tych prowincjach na tłustych prokonsularnych urzędach, a wszyscy nadzwyczaj w tem zainteresowani, ażeby tam w Kraju Północno i Południowo-Zachodnim został utrzymany bez żadnej zmiany pierwotny system czysto zdobywczy, będący źródłem i poręką ich stanu posiadania, władania i wyzysku. Te to żywioły w przededniu wojny w 1812 r., kiedy Aleksander z zaufanym doradcą Sperańskim zajmował się nieziszczonemi projektami reformatorskimi dla Rosji i autonomicznemi dla Litwy, postawiły swoje veto stanow-



cze, narzuciły cesarzowi swoją wolę przez jedyny w swoim rodzaju zamach stanu tajemny, niekrwawy, a przecież wysoce znamienny, podały przez patriotycznego Rostopczyna groźne ultimatum od „prawdziwych Rosjan“ od „Moskwitjan“, dopraszając się wierno-poddancko, aby raczył ich usłuchać, bo inaczej — bo inaczej oni pójdą na Petersburg, pójdą na niego. On uległ, Sperańskiego poświęcił i zesłał, reform się wyparł, reakcjonistów poszedł do steru, ale im tego nie zapomniał.

Wtedy pojąć musiał słowa Sperańskiego, położone do jego zapiski programowej, iż w Rosji naprawdę „nie masz monarchji“, gdyż jest tylko sekwestrująca ją na swoje dobro potęga oligarchiczno-biurokratyczna. Wtedy uświadomić sobie także musiał głębszą doniosłość własnych, tak chwiejnie piastowanych zamierzeń reformatorskich względem Rosji i regeneracyjnych dla Polski, oraz zachodzący pomiędzy nimi głębszy związek organiczny. Uzmysłować sobie musiał jaśniej niż kiedykolwiek, że te zamierzenia z samej swej istoty nie były zgoła dowolną funkcją jego zachcianki i łaski filantropijnej, lecz rodziły się z nakazu niezawisłej racji stanu wyzwolenczej, wyłaniającej się odrębnie z nieprzedawnionych praw Polski, a warunkującej zarazem przyszłą postępową ewolucję Rosji. Wtedy ustalić się w nim musiała ta myśl, ta potrzeba, którą później wyrazi na cztery oczy przed Tadeuszem Kościuszką, a później przed W. Ks. Konstantym: mieć z Polski „swoje Węgry“. I tutaj, pod obuchem majoryzującej go reakcji, był punkt wyjścia tego osobliwego zwrotu, który bezpośrednio spokrewni i powiąże Aleksandra z tworzącymi się za jego wiedzą i milczącą aprobatą pierwszymi zaczątkami późniejszej organizacji Dekabrystów, a nawet pierwszej tajnej organizacji narodowej Łukasińskiego i towarzyszy.

W tem wszystkim przebijała się jedna bardzo prosta prawda: iż nieprzyjaciele naprawy Rosji musieli być nieprzyjaciółmi odnowy Polski. Nie mogło być inaczej. Rozbiory stały na bezprawnej zasadzie wcielenia, odnowa stać mogła tylko na legalnej zasadzie konstytucyjnej. Zaś prawny związek z Królestwem konstytucyjnem pociągał za sobą konieczność liberalnej reformy Cesarstwa. Tym sposobem sprawa polska wносиła do samego wnętrza Rosji zagadnienie ustawodawcze. Już dawniej, przed

dziesięcioleciem, Polak-zakładnik w Petersburgu, ks. Adam Czartoryski, pierwszy przy młodym Aleksandrze przedstawiciel praw dziejowych narodu polskiego, został przed nim również rzecznikiem praw ludzkich narodu rosyjskiego. Najpierwszy też zarys konstytucji rosyjskiej został już wtedy, przed stuleciem, w 1804 r. zredagowany przez tego Polaka. A później znowuż, pierwszy pełny projekt konstytucji rosyjskiej ułożony będzie tu w Warszawie pod okiem samego Aleksandra, spisany niemal dosłownie z konstytucji Królestwa. Tak to, szczególnem losów zrządzeniem, od zabranych więźniów do zwycięskich niewolników przychodziła dobra wieść swobody. Tak, mocą wyższego, dobroczynnego odwetu, *Graecia capta ferum victorem cepit*, ujarzmiona Grecja wygórowała nad przemożnym Rzymem, przynosząc mu najcenniejszy owoc kultury, podając ideę wolności. A jeśli ją w końcu odepchnięto, jeśli gliniana konstytucja Królestwa rozbić się musiała w końcu o żelazny absolutyzm Imperjum, ucierpiała na tem zapewne okrutnie Polska, lecz straciła zarówno, straciła nieskończenie na duchu i ciele, straciła na czasie całe długie, nekające stulecie — Rosja.

Jakkolwiekby, w niniejszej dobie przełomowej między 1813 a 1815 r., nazajutrz po wyprawie moskiewskiej, po rozbiciu Zachodu i Francji, po przegnaniu Polaków z Kremla do Warszawy, żywioł nacjonalistyczno-reakcyjny miał w Rosji górę na całej linii, ziejąc nienawiścią ku wszystkiemu, co zachodnie, a zwłaszcza co polskie. Nie chciano tu słyszeć oczywiście o ustępowaniu bodaj piędzi Litwy, a powstawano gwałtownie przeciw ustanowieniu Królestwa na samem terytorjum Księstwa Warszawskiego. Upominano się po dawnemu o nagrody i zyski namacalne dla zwycięzców, t. j. o proste wcielenie zajętych ziem warszawskich, ze zwykłemi skutkami konfiskat i rządów zdobywczych. Takie było zdanie feldmarszałka Kutuzowa i całej generalicji. Takie sfer urzędniczych, faworyta cesarskiego Arakczewja (który chciał zacząć od konfiskaty całej Radziwiłłowszczyzny na rzecz kawalerów orderu św. Jerzego i Włodzimierza), kanclerza Rumiancewa, komendanta Moskwy Rostopczyna, sekretarza państwa Szyszkowa, prezesa Rady Państwa i Komitetu ministrów Sałtykowa, prezesa Komisji Prawodawczej Łopuchina, wszystkich, słowem, wybitniejszych dostojników i sta-



tystów. Takie — cesarzowej matki, Marji Teodorówny, w księżen i dworu. W. ks. Konstanty żądał poprostu, aby nad Wisłę posłać gubernatorów i wicegubernatorów, postawić na czele wielkorządcę Rosjanina „*et gouverner à la russe*“. Łopuchin na głos wołał: „jeśli cesarz przywróci Polskę, nie radzę mu wracać do Petersburga“. Nawet ówczesny najcelniejszy przedstawiciel umysłowości rosyjskiej, Karamzin, w podawanych cesarzowi fatalnych memorjałach, gdzie dowodził, że Rosji „nie trzeba żadnej konstytucji, starczy 50 dobrych gubernatorów“ i oświadczał się przeciw usamowolnieniu włościan rosyjskich, równo cześnie ze mściwych przesłanek historycznych wywodził potępienie wszelkich ustępstw dla Polski i jako jedyne panaceum dla sprawy polsko-rosyjskiej stawiał dzieło rozbiorowe Wielkiej Katarzyny i szturm Pragi. W podobnym duchu oświadczała się opinia publiczna za pośrednictwem stawiającej wtedy pierwsze kroki prasy rosyjskiej. Zaraz w pierwszym numerze ówczesnego „Syna Ocieczestwa“ ukazała się ohydna piosenka żołnierska przeciw Polsce, zapowiadająca za wzięcie Kremla krwawy odwet w Warszawie. Jednem słowem — od góry do dołu wiał ze strony rosyjskiej ostry wiatr uprzedzenia i nieprzyjaźni, zdolny, jeśli nie odrazu zdmuchnąć i zabić doszczętnie, to przynajmniej zważyć a w znacznej mierze zmarnować kielkujące intencje Aleksandra w sprawie polskiej.

Były tedy poważne trudności od Europy, były od Rosji — ale były nadomiar inne, w samej naturze psychicznej Aleksandra leżące, w owych skrajnych sprzecznościach, w jego samotnej duszy ukrytych. Odgadł go zdaleka poeta, odgadł w tej dobie kongresowej lord Byron, kiedy w nielitościwych stancach pokazał go, jak naprzemiany to rozplywa się łagodną, liberalną rosą, to znów ścina twardym, samowładnym lodem, jak kokietuje z wolnością, postępem, narodami, nawet Niebem, jak szlachetnie przywraca wolność Polakom, pod warunkiem, aby z niej nie wazyli się czynić użytku. Była istotnie w Aleksandrze i szlachetna ambicja i przenikliwy rozum; pociągało go do rzeczy szlachetnych i rozumnych. Ale był też i rządził najczęściej ślepy, posępny instynkt bezpośredniej, bezwzględnej władzy. Na samem dnie jego autokratycznej duszy spoczywała ta najtajniejsza tendencja, aby własne autokratyczne chcenie zazdrośnie, jaknajdłużej utrzy-

mać w stanie potencjonalnym, aby strzałę własnej decyzji utrzymać jaknajdłużej na napiętej cięciwie swojej woli samowładnej, bo raz wypuszczona utraci swoją od niego zawisłość. Z takiej tendencji wrodzonej, skoro nadto dochodził do niej, jak obecnie, uzasadniony niepokój wobec piętrzących się zewsząd trudności, wynikać musiała niebezpieczna chwiejność i dwulicowość polityki polskiej cesarza. Miał on ulubione przysłowie: „7 razy odmierzyć, dopiero za ósmym ukroić“, — albo też nie ukroić wcale. Odrzucał też w zgola odmiennej postaci objawiła się obecnie teoria i praktyka cesarza w rzeczach polskich. Chciał w teorii konstytucyjnego Królestwa Polskiego. Ale tymczasem w praktyce ścisnął nielitościwie Księstwo Warszawskie, oddał je pod ferulę nieograniczonych, nieodpowiedzialnych rządów cywilno-wojskowych. Dozór naczelny nad krajem powierzył w ręce żołnierskie Kutuzowa, potem Arakczewowa. Administrację oddał Radzie Najwyższej Tymczasowej pod nieprzyjaznym generał-gubernatorem rosyjskim, a przy wybitnym udziale człowieka, który miał zostać złym duchem kraju — Nowosilcowa. Władze polskie zostawiono, ale zalano kraj urzędnikami rosyjskimi z kompetencją wyjątkową. Zapanował wszechwładnie ucisk i wyzysk policyjno-militarny. Aleksander pozwalał na wszystko, a nie sankcjonował. Rzecz nadzwyczaj godna uwagi, że kiedy następnie Rada Najwyższa zwróciła się do niego po dekret, zatwierdzający jej wieloliczne czynności, cesarz wręcz odmówił, tak, że ten rząd przeszło dwuletni w kraju naszym nie uzyskał nigdy sankcji monarszej.

Śród takich warunków było rzeczą niezbędną, aby Polska przy cesarzu miała swego rzecznika i obrońcę. Został nim Adam Czartoryski. Z własnego popędu, niewezwany, zaraz w 1813 r. podwakroć biegał on do kwatery cesarskiej, i za każdym razem nie najmilej przyjęty, wracał bez rezultatu, „w zupełnej melancholji“. Zgasły już oddawna gorące porywy młodzieńcze, jakie ongi łączyły tych dwóch ludzi tak różnych. Potworzyły się między nimi dyskretne, a niezmiernie drażliwe rozdźwięki osobiste. Stała się smutna postać dostojnej, a nieszczęśliwej kobiety. Pogłębiły się zarazem zasadnicze rozdźwięki polityczne z doby Księstwa Warszawskiego i napoleońskiej. Wiedział już Czartoryski, że nie tyle do serca ile do głowy cesa-



rza odwołać się może, że nie tyle z jego obietnicą, ile z racją stanu liczyć się winien, że na wszelkie od niego niespodzianki przygotowanym być musi. Dla dobrowolnego rzecznika Polski teraz właśnie spoczywało tu niebezpieczeństwo wielkie. Idąc cesarzowi na rękę, a nie będąc pewnym jego ostatecznej decyzji pomyślniej, ryzykował swój honor obywatelski. dostał się też w tym czasie pokilkakroć na drogę nadzwyczaj śliską i popełnił kilka kroków zgoła fałszywych. Ale założyć rąk nie mógł, bo w tej służbie dla swoich niktby go zastąpić nie potrafił. Pragnął przynajmniej pokryć swą odpowiedzialność, obejrzał się za mandatem i myślał znaleźć go w deputacji, w adresie poddańczym od narodu. Ale w narodzie znalazła się odmowa. Odmówiły niezawisłe Rady departamentowe. Kraj był wzięty siłą, lecz wciąż jeszcze z prawa miał konstytucję warszawską i prawego władcę, księcia warszawskiego. Nie chciano też, oddając się zgóry na łaskę cesarza, łamać przysięgi, zejść z prawnego stanowiska. „Jest Król, jest Konstytucja — takiej ostrej odmowy udzieliła Rada siedlecka — zatem Rada departamentowa dopuściłaby się bezprawia, plamiącego Naród w oczach świata, gdyby zezwoliła na krok do niej nienależący“. „Bracia i synowie nasi — tak w podobnej odprawie mówiła Rada lubelska, ukazując trupa Poniatowskiego — te to krwawe ofiary powinności poznają, że życie ich cenić umiemy, a honoru przez nich zasłużonego niestałością naszą nie obrażamy“, obstawiamy przeto „w poważnem i spokojnem ponoszeniu wszelkich wypadków“. To było jedynie trafne. Zapewne: z jednej strony był zwycięski monarcha, z drugiej — podbity naród; lecz właśnie dlatego nasampierw winien był zdeklarować się monarcha; naród wieczny, ma czas. Nie trzeba było wtedy narodowego zgóry zadatku, kapitulacyjnego adresu, ani deputacyj, nie trzeba, nie wolno było skazać lub choćby tylko narazić tej rzeczy tak lotnej, tak czulej, tak łatwo ranionej, tak trudno uleczałnej, a tak drogocennej; sumienia narodowego, powagi narodowej. „Poważne i spokojne ponoszenie wszelkich wypadków“, to była istotnie jedyna postawa, bezbronnemu narodowi w takiej chwili przechodniej właściwa.

Ale tembardziej niezbędnym był rzecznik. Tylko — bez formalnego mandatu. Naród takich mandatów w takim wyjąt-

kowem położeniu nie wydaje, bo sam musi zawsze mieć ręce wolne. I właściwie w podobnym wypadku nie mandatarjuszów z pełną mocą potrzeba narodowi, ale sług godnych, ofiarnych, działających *sub spe rati*, a na podstawie jedynego w tym razie dopuszczalnego mandatu: wielkiego sumienia obywatelskiego i rzetelnej krajowej zasługi. Takim też został teraz Czartoryski. Po raz trzeci w początku 1814 r. udał się do cesarza, odprawiającego kampanję francuską. Tym razem z lepszym trafił doń skutkiem. Pozostał przy jego boku w Paryżu i Londynie, towarzyszył mu następnie w Wiedniu. Z czujnością i gorliwością niezmordowaną przekładał mu sprawy narodowe, zarówno w zasadniczym jak i aktualnym zakresie. Wstawiał się za wojskiem polskim, przyjął też i uznanem przez cesarza i odesłaniem do kraju *tambour battant*. Uzyskał doniosłe ulgi administracyjne i finansowe dla Księstwa Warszawskiego i Litwy. Uzyskał wreszcie po długich i trudnych konferencjach z cesarzem, ukaz powierzający opracowanie przyszłego zarządu cywilnego w kraju polskiemu Komitetowi Reformy.

W całej niniejszej akcji Czartoryskiego ponad wszelką pochwałę jest jego rozumna troskliwość o sprawy główne: terytorjalną (nie przestawał się upominać o pięć gubernij i o Białostockie), kulturalną i ustawodawczą. Natomiast podnieść należy pewne błędy zasadnicze. Nie znał Księstwa Warszawskiego, a względem jego instytucyj żywił uprzedzenie, jako Litwin i antagonistą Napoleona. Stąd stanął w stosunku negatywnym, a poniekąd i wstecznym do prawodawstwa i administracji warszawskiej i taki też nastrój narzucił Komitetowi Reformy. Komitet, obradujący pod prezydencją Nowosilcowa, miał sobie między innemi wprost zalecone zniesienie całej kodyfikacji napoleońskiej. Zaslugą jest niepożyta ówczesnych światłych prawników warszawskich, że tego nie dopuścili. Zamiast przyłożyć rękę do zburzenia prawodawstwa francuskiego, do czego ich powołano, wzięli je energicznie w obronę. Uczynił to znakomity prokurator naczelny Wyczechowski w świetnej Opinji, gdzie solidaryzując się nietylko z francuskim prawem o rzeczach, lecz też o osobach, stwierdzał, że właśnie dlatego, iż jest ono „wyływem nowych wyobrażeń filozofji i skutkiem Rewolucji francuskiej“, winno być zachowane; w podobnym duchu po-





Mal. Monnier, 1806

*Cesarzowa Elżbieta (1779—1825)*



stępowym oświadczył się wytrawny sędzia apelacyjny Bieńkowski w gruntownych Uwagach; do tego samego wniosku w wyczerpującym memorjale przyłączył się uczony profesor romanista Bandtkie. Zapewne, że Czartoryski, obok uprzedzeń, miał też na myśli przez zniesienie Kodeksu zbliżyć Litwę z Księstwem Warszawskiem. Ale to był miecz obojętny. Droga zbliżenia winna była iść naodwrot, ze Wschodu ku Zachodowi, w kierunku tego europejskiego postępu, którego widomym znakiem, którego jedną z dźwigni był dla tego kraju Kodeks francuski, będąc zarazem tym silnym cementem, tą umacniającą sypkie grunta rośliną, która przez rozrosłe z niej silne konary cywilne, hipoteczne, kredytowe, zespaja tę wyspę ziemi koronnej i oderwaniu integralnych jej części aż po dziś-dzień najskuteczniej zabiega.

Prace nad reformą cywilną musiały przed wszystkim innem spotkać się ze sprawą najwyższej wagi, ogromu, ale i trudności: włościańską. Wcześniej, zaraz wiosną 1814 r., podniósł się w tej sprawie głos najszanowniejszy i najpierwszy — Tadeusza Kościuszki. W piśmie własnoręcznem do Aleksandra położył on na samem czele, narówni z kwestją samego bytu narodu, kwestję bytu włościaństwa polskiego, żądając reformy nieodwłocznej, w terminie nie dłuższym nad jedno dziesięciolecie. Były Naczelnik powstania narodowego występował tu jako nieprzedawniony Naczelnik narodu. Z tego to najpewniej pierwszego poczęcia Kościuszki, zajął się zkolei Czartoryski, Rada Tymczasowa i Komitet Reformy prawno-społeczną dołą włościanina w ogólności, w szczególności zaś sprawą czynszowania i uwłaszczenia. Póki ten lud włościański — głosiła odezwa Czartoryskiego — „smutna niedola uciskać będzie“, „póki stan właścicielski, stan szlachecki sam swemi rękami przy pomocy Rządu z korzeniem nie wyrwie z ziemi polskiej tych fałszywych zasad, z których cała podległość i nędza włościan swój biorą początek“, „póty nas Europa o nałogi anarchiczne i winy obrażonej ludzkości oskarżać nie przestanie“. „Trzeba zacząć, trzeba postawić krok pierwszy i pewny do zbawiennej odmiany włościanów; na tej tylko drodze trafi Naród polski do dobrego bytu i swojej wewnętrznej szczęśliwości“. W przedmiocie tak ważnym uznano za właściwe zasięgnąć opinii całego kraju.



Na szczegółowy kwestjonarjusz urzędowy rozesłany w tej mierze jesienią 1814 r. do obywatelstwa i władz, nadeszły odpowiedzi nader liczne i ciekawe. Mieściły one sporo wskazówek pożytecznych, dawały bez żadnego wyjątku wyraz życzliwości dla potrzeb ludu, lecz przeważnie wyraz niedostateczny, niekiedy wprost platoniczny, sposobem filantropijnych półśrodków, omijając jądro sprawy. Można powiedzieć naogół: nie były na wysokości zagadnienia. Najgorzej pod tym względem przedstawiały się responsa departamentów po-austriackich, zwłaszcza ze stron krakowskich i kieleckich. Przeciwnie, z departamentów po-pruskich niejeden głos w wyższym obywatelskim odzywał się duchu. Tak już na samem czele prezydent m. Warszawy, stary Węgrzecki, po swojemu, t. j. po dziwacku, ostro domagał się gruntownej naprawy ciężkiej doli chłopskiej, wbrew „dawnym błędom i uprzedzeniom pod tytułem staropolskości“. Dobitnie i węzłowato mówił za uwłaszczeniem sędzieja pokoju z Łomżyńskiego, Dąbrowski, powołując się na argumenta żywe: ma w sąsiedztwie chłopa kowala w Świecku, trzymającego w zastawie dobra szlacheckie, drugiego chłopa szewca w Rzędzianach, żonatego z dobrą szlachcianką, obu gospodarzy przykładowych. Ks. Ladoch z Poznańskiego, od lat 20 na wsi siedzący i orzący pospół z chłopem, prostą i mocną za ludem zakładał obronę. Podobnież — choć nieco dyplomatyczniej, odzywał się Sąd Apelacyjny warszawski, rozliczne z Bydgoskiego i Kaliskiego głosy. To były głosy sumienia i mądrości obywatelskiej. Niestety, nie miały tym razem żadnego praktycznego skutku. Skończyło się na kwestjonarjuszu. Sprawa urządzenia włościan jeszcze przez okrągłe pół wieku miała czekać swojej kolei i wreszcie zostać rozwiązana w 1864 r. nie „swemi rękoma“ jak nawoływał Czartoryski w 1814 r., lecz cudzemi. Ale sama inicjatywa niniejsza pozostaje wysoce znamiennej. Przychodząc bezpośrednio z ramienia Kościuszki, jako echo powstańczego Uniwersału połanieckiego, utrzymuje ona ciągłość pomiędzy tamtym testamentem umierającej Rzplitej polskiej, a niniejszą dobą zaranną rodzącego się Królestwa Polskiego. Przychodziła obecnie w chwili narodzin Królestwa, a odezwie się ponownie w chwili jego agonji, na wiosennych rozprawach Sejmu rewolucyjnego 1831 r. Był w tem znak nowych czasów. Był wyraz

instynktu samozachowawczego, tryskającego z tej wielkiej nowożytnej prawdy, że do ratowania sprawy narodowej powołany jest odtąd nie sam naród szlachecki, ale naród całkowity, zaś nasamprzód lud włościański. Włościanstwo, nie będące, oczywiście, wszystkim w narodzie, nie w sensie chłopomańskim jakiejś nieomyłnej, nadprzyrodzonej potęgi, jakiejś „potęgi i basta“, nie będące samo przez się kierowniczym mózgiem narodu, ale będące jego kręgosłupem, będące fundamentem jego życia, niewyczerpanym zasobem statecznej siły żywiołowej, defensywnej, najsposobniejszej nie tylko do chwilowego wysiłku zbrojnego, lecz przede wszystkim do mozolnej, codziennej a wieczystej walki pokojowej, twarda opoka, o którą połamia się najostrzejsze zęby akcji wynaradawiającej i wywłaszczającej, jak w samym Królestwie, tak w częściach od Królestwa oderwanych, w Poznańskiem i aż gdzieś na Śląsku, wśród warunków najgorszych, aż po dzień dzisiejszy. W tem też znaczeniu retrospektywnem, tamta samorzutna, choć narazie bezpłodna inicjatywa w sprawie włościańskiej, zjawiająca się tutaj, przy kładzeniu pierwszych dopiero fundamentów pod nową budowę Królestwa Polskiego, stanowi bądź co bądź dodatni moment narodowego uświadomienia.

W tym samym czasie wynurzyła się również inna sprawa, mniejszej oczywiście wagi, lecz na swój sposób też bardzo ważna: żydowska. Żydzi na terytorjum Księstwa Warszawskiego stanowili przeszło 10% ludności. Teraz, wnet po objęciu kraju przez Rosję, a jeszcze przed ustaleniem jego losów, rozpoczęli oni, t. j. ówczesni kahalni ich przewodcy, akcję na własną rękę. Zwrócili się do Nowosilcowa, kupili go, przez niego trafili do w. ks. Konstantego, stąd do samego Aleksandra. Wyprawioną została poufna deputacja z 3 przedstawicieli warszawskiej gminy starozakonnych, która uzyskała audjencję u cesarza w Paryżu i Petersburgu, potem za pierwszej jego bytności w Warszawie. Ci 3 deputaci złożyli cesarzowi adres i petycję w języku francuskim. Przedstawiali bolesną nędzę ludu izraelickiego, dopraszali się zniesienia rozlicznych nader uciążliwych ograniczeń religijnych, podatkowych, mieszkaniowych, przemysłowo-handlowych. Osobno wniesiono petycję od 26 postępowych rodzin żydowskich w Warszawie o przyznanie im pełnych praw obywatelskich. Nie ulega



wątpliwości, że stan ówczesny Żydów polskich był okropny, że ten lud był pogrążony w nędzy, ciemnocie i pogardzie i koniecznie domagał się naprawy, a właściwie ratunku. Wszystkie niemal te prośby były całkiem słuszne. Ale obrana droga i forma były fatalne. Powoływano się w tych suplikach na wyjątkowe „przywiązanie Żydów do Rosji, które im (tutaj, w Polsce) poczytywane jest za zbrodnię“, dopraszano się „przyrównania do szczęśliwych Żydów rosyjskich“, wystawiano szczęśliwość Żydów niemieckich, a oskarżano osobliwy ucisk polski. To wszystko było złe. Co więcej, — było zewszeczmiar nieroztropne. Nowosilcow wziął pieniądze od żydów, poparł ich narazie, ale wnet potem w tajnych swoich relacjach będzie ich zaciekle denuncjował u cesarza; W.Ks. Konstanty (który, jak wiadomo, zwykł był mawiać, że dwojaki gatunek ludzi ma on w szczególnem obrzydzeniu: Żydów i uczonych — z połączeniem obu tych abominacyj, z uczonym Żydem, na szczęście jeszcze wtedy nie przychodziło mu spotykać się) będzie ich później prześladował okrutnie przez cały czas trwania Królestwa Kongresowego, a cesarz Aleksander (skoro tylko obecnie, na kongresie Wiedeńskim, załatwi z Rothschildem pożyczkę) o nich zapomni. Zaś kraj, z którym po wieki żyć im przeznaczono, weźmie im za złe ich akcję separacyjną i na pierwszym zaraz sejmie Królestwa przeciw nim się obróci. A przecież w tym samym czasie, kiedy oni ze swemi petycjami chodzili do cesarza, — w tym kraju, obok ślepych, fanatycznych wrogów żydostwa, nie brakło też światłych obywateli, którzy w duchu haseł Wielkiego Sejmu, najczystszych zasad tolerancji oraz przewidującego rozumu stanu, zapatrywali się na sprawę żydowską. Tak więc w tej samej porze Czartoryski wśród tylokrotnych swych zatrudnień znalazł czas na własnoręczne obszerne „Uwagi“ tyczące się „starozakonnych“, zamykające się na wniosku, że należy dopuścić ich „do wszystkich praw obywatelskich,.... usuwać to wszystko, co żydów drażni i uniża, od innych obywateli odłącza, a przeciwnie, udzielić im to, co ich przybliżyć, połączyć, i tak zjednoczyć z chrześcijańskimi mieszkańcami może, aby (wyjawszy opinii względem Najwyższej Istoty, którą Rząd każdy sprawiedliwy szanuje), żadna różnica istotna między jednegoż państwa poddanymi nie zachodziła“.

W tym samym przychylnym duchu oświadczały się ówczesny tymczasowy minister spraw wewnętrznych Sobolewski, były minister sprawiedliwości Łubieński, księża kanonicy Łętowski i Szaniawski, prezydent Węgrzecki, wreszcie człowiek wtedy jeszcze nieznany, a w najszlachetniejszym pojęciu znaczący, major Walerjan Łukasiński, który, wśród niebezpiecznych pierwszych swoich robót patriotycznych, wcześniej obrócił serdeczną troskę, nie na bogaczy wprowadzając żydowskich, ale na tę czarną, nieszczęśliwą, wyniszczoną i niszczącą biedotę żydowską, z której chciał uczynić zdrowych obywateli polskich. Był więc punkt oparcia w kraju samym, i tutaj też należało przyłożyć dźwignię, nie po Paryżach i Petersburgach ozłocone obnosić skargi, nie sztukami i daleką chodząc protekcją, ale u siebie, we własnym domu żydowskim uczynić porządek i z własnym polskiem porozumieć się społeczeństwem.

Ważyla się tymczasem sprawa polska na kongresie Wiedeńskim wśród burz ustawicznych. Opierały się naprzód mocarstwa samej idei nowego Królestwa, potem największe czyniły trudności celem możliwego okrojenia jego terytorjum. Pomiędzy złą wolą Austrii, Anglii, Francji, a złą wiarą Prus, trzeba było krok za krokiem wywalczać każdą prawie milę kwadratową, wytargowywać każdy niemal tysiąc głów polskich. Była chwila, kiedy o mały włos nie doszło do zerwania zupełnego tych targów, do nowej wojny o Polskę. Nareszcie, wiosną 1815 r. po niezmiernych trudnościach doszło do ładajakiego kompromisu, na podstawie ustępstw bardzo ciężkich. Wypadło poświęcić około 1/4 Księstwa Warszawskiego, t. j. całe obecne Poznańskie, a nawet nieco więcej, oraz Kraków z okręgiem, zgodzić się na dzisiejsze kuse, ułamkowe granice Królestwa, z ludnością ówczesną niespełna 3 milionów. Na dniu pamiętnym 3 Maja 1815 r. podpisane zostały traktaty, stanowiące Konstytucyjne Królestwo Polskie. Warował jednak Aleksander nadanie Królestwu w przyszłości „takiej rozciągłości wewnętrznej, jaką za stosowną uzna“, t. j. warował jego rozszerzenie od wschodu, ewentualnie przyłączenie części Litwy, w pierwszym rządzie Białostockiego. Ogłoszoną została niebawem w Warszawie z wielką świetnością ustawa nowego Królestwa, dany mu nowy Rząd



Tymczasowy polski, nakreślone liberalne Zasady ogólne przyszłej Konstytucji, mającej ostatecznie być jego ustalić.

W połowie listopada 1815 r., w niedzielę z południa, odbył się uroczyste pierwsze wjazd Aleksandra I do Warszawy. Monarcha w mundurze polskim, z orderem Orła Białego, wjechał konno, od rogatki Mokotowskiej, Alejami Ujazdowskimi, bramą tryumfalną na placu odtąd zwanym Aleksandra, przez ustrojone świątecznie ulice, wśród bicia dzwonów, witany serdecznie przez wyległe gęsto tłumy, wojsko, władze, duchowieństwo, — przed Bernardynami na Krakowskim odebrał błogosławieństwo biskupie, — stanął kwaterą na Zamku Królewskim. Najgłośniejszą sprawą, rozstrzygniętą w czasie tego pierwszego 3 tygodniowego pobytu, było nadanie zapowiedzianej karty konstytucyjnej. Było kilka długich projektów ustawodawczych, opracowanych w Warszawie, w rozwinięciu pierwotnych ogólnych Zasad konstytucyjnych. Ale Aleksander już zdążył poniekąd oddalić się od liberalizmu tych zasad. Ostatecznie złożony został teraz monarsze przez Czartoryskiego nowy, zwięzły projekt konstytucyjny. Aleksander osobiście zajął się jego rewizją. Poczynił na nim własnoręcznie ołówkiem liczne i obszerne zmiany, nadzwyczaj znamienne, bardzo wnikliwe, głęboko obmyślane, i głęboko też wrzynające się w sam rdzeń, w samego ducha ustawy, tworząc w niej szczerby rozległe, kędy w przyszłości mogłaby wtargnąć swobodnie jego wola samowładna. Należy stwierdzić, że te ograniczające, ścieśniające modyfikacje wprowadził król osobiście, że zatem niepodobna zrzucić ich na osobistości drugorzędne, na W. Ks. Konstantego albo Nowosilcowa, lecz że sam król odpowiedzialność za nie ponosić musi. Uskutecznienie tych zmian powierzył monarcha, z odejściem Czartoryskiego, Sobolewskiemu, poczem położył swój podpis na Karcie Konstytucyjnej, zawieszając jej ogłoszenie aż do swego wyjazdu z Warszawy. Z tem wszystkiem, Konstytucja, jak na okoliczności i czas, była dziełem cennem. Ubezpieczała, przynajmniej w teorii, naczelne prawa człowieka i obywatela, wywalczone przez Wielką Rewolucję. Pod wieloma względami, zwłaszcza pod wyborczym, stanowiąc zasadę wyborów bezpośrednich przy umiarkowanym cenzusie, była najliberalniejszą ze wszystkich ustaw sobie współczesnych. Przewyższała pod tym względem

zarówno Anglię jak i Francję restauracyjną. Dawała Królestwu, przy 3 milionowej ludności, około 100 tysięcy bezpośrednich wyborców, t. j. w stosunku do zaludnienia prawie 10 razy tyle, ile wtedy miała Francja przy plutokratycznym censusie swej świeżej Charte 1814 r., a dawała Królestwu przeszło 300 razy tyle bezpośrednich wyborców niż mamy dziś, po upływie stulecia, na podstawie aktów konstytucyjnych 1905/6 roku. Co zaś najważniejsze, Konstytucja Królestwa wszelkim sposobem zabezpieczała narodowość, czyniąc język polski jedynym prawnym organem, obywatela polskiego jedynym prawnym podmiotem życia publicznego, warując polskość sądownictwa, zarządu, oświaty i zachowując broń polską.

Obrzęd ogłoszenia Konstytucji, wstrzymany jeszcze przez 3 tygodnie po wyjeździe Aleksandra, aż do wyjścia ostatnich wojsk rosyjskich z kraju, odbył się w samą Wilję 1815 r. a zarazem w dzień urodzin Aleksandra, w wielkiej sali senatorskiej na Zamku Królewskim. Stąd poważnym pochodem udano się do Katedry św. Jana, gdzie złożona była przysięga Aleksandrowi, dla wysłuchania nabożeństwa i dziękczynnego *Te Deum*. Wieleż dziękczynień, wieleż przysięg w najbliższej tylko przeszłości słychniwały te stare farne mury. Przysięgę na Konstytucję 3 maja. Na Najjaśniejszą Konfederację Targowicką. Na władzę pełnomocną Najwyższego Naczelnika. Na Fryderyka Wilhelma III i dom Hohenzollernów. Na Fryderyka Augusta IV i dom Wettynów. Teraz wreszcie na Aleksandra I i dom Romanowów. To wszystko zaledwo w ciągu paru dziesięcioleci, zanim nawet jedno bodaj zmęczone pokolenie zdążyło zejść pod ziemię. Cóż sądzić o porządku światowym, który gwałtem do podobnych prowadził potworności, który w tak niesłychanej kolei prowadził do przymusowego poniżenia najświętszych rzeczy ludzkich i boskich? Obecnie inny nareszcie, zdawało się nastawał porządek. W jakiej mierze istotnie na inne, zdrowsze nawróci tory i na nich w zdrowiu się utrwali, — o tem żywe doświadczenia dziejowe same tylko orzec mogły i niebawem niemiłosiernie orzekły.



## FRYDERYK GENTZ A POLSKA

(1794 — 1831)

Na przełomie XVIII i XIX wieku, w zmałconej dobie przejścia a zarazem walki na śmierć i życie pomiędzy starym a nowym porządkiem wszechrzeczy, ze strony *ancien régime*, zagrożonego w powszechnej swojej istności, obalonego doszczętnie we Francji, lecz broniącego się zawzięcie w Europie, pomimo pewnych ustępstw przymusowych statecznie nawracającego od rewolucji do restauracji, raz po razie przechodzącego od obrony do odboju, zmobilizowano w tych ciężkich zapasach nie tylko wszystką rozporządzalną siłę fizyczną, lecz spróbowano również — w pewnej mierze obejrzeć się za sukursem duchowym. Ów czynnik duchowy, tak lekceważony dotychczas przez sceptycznych i realistycznych nawskroś polityków starej daty ze szkoły Fryderyka lub Katarzyny, Choiseula lub Kaunitza, objawił wszak aż nadto namacalnie zawartą w sobie niezmierną moc twórczą i druzgocącą, i nie tylko w zakresie społeczno-państwowym, ale również i w dziedzinie stosunków międzynarodowych okazał się potężniejszym od czynników czysto materialnych, z jakimi w tej dziedzinie dotychczas wyłącznie liczyć się miano w zwyczaju. To też żałosna po niewczasie skarga stereotypowa: *c'est la faute à Voltaire, c'est la faute à Rousseau*, nie schodząca z ust zaskoczonej przez swą nagłą ruinę emigracji francuskiej,

---

Przedmowa wydawcy do pracy Emila Kipy *Fryderyk Gentz a Polska*, Monografie w zakresie dziejów nowożytnych, tom XV, Warszawa 1911.

powtarzaną bywała na rozmałą nutę również i w gabinetach mocarstw koalicyjnych. Ustaliło się tam niebawem przeświadczenie, iż, niezawisłe od akcji dyplomatyczno-militarnej, wartoby też na swój sposób pomyśleć i o polityczno-duchowej, że naprzeciw wielkich chorążych myśli rewolucyjnej opłaciłoby się wystawić bodaj małych agentów myśli restauracyjnej. Takich agentów wnet zewsząd jęto werbować, a gdy sowitej dla nich nie szczędzono nagrody, wnet do tej nowej służby liczni zbiegać się poczęli ochotnicy. Śród nich jednym z najwybitniejszych, najruchliwszych, najgłośniejszych swego czasu, a naprawdę z nich wszystkich okaz najciekawszy tyleż ze stanowiska dziejowopolitycznego, ile z ogólnoludzkiego, psychologicznego punktu widzenia, był niewątpliwie Fryderyk Gentz.

Napoły literat, napoły polityk, w gruncie rzeczy postać zaledwo drugorzędna i w literaturze i polityce, Gentz mimo to ściągnął na siebie nierównie więcej uwagi, niż wielu spólczesnych mu, pokrewnego naogół zakroju, a nieskończenie górujących nad nim pisarzów i mężów stanu. O Humboldtzie albo de Maistrze, o Hardenbergu albo nawet o samym Metternichu, ani w przybliżeniu tyle nie pisano, co o Gentzu. Istnieje o nim, i do dziś dnia wciąż się pomnaża, cała obszerna literatura edytorsko-biograficzna. Dawniejszemi już czasy, prawie nazajutrz po jego śmierci, wydaniem ogromnej po nim spuścizny piarskiej, dziennikowej i listownej, oraz oświeceniem jego żywota i działalności, w wielotomowych poczęści publikacjach, zajęli się Varnhagen, Schlesier, Prokesch-Osten, Mendelssohn-Bartholdy, Schmidt-Weissenfels, Klinckowström i in. Od niedawna, po dłuższej przerwie, raz jeszcze w piśmiennictwie naukowym niemieckim wznowiła się i we wzmożonym tempie trwa obecnie istna gorączka „gentzowska“. Obok najnowszych rozległych prac źródłowych, podjętych nad Gentzem przez przedwcześnie zmarłego kolegę naszego z czasów uniwersyteckich getyngeskich, ś. p. Wittichena (znanego z uczciwych swych badań nad przymierzem polsko-pruskim), pojawiły się i bez przerwy ukazują się coraz nowe, poczęści wcale cenne i z pod pierwszorzędnego pióra, przyczynki do życiorysu i działalności Gentza, ogłaszane przez pp. Fourniera, Beera, Sterna, Bailleugo, Guglię, Kircheisena, Doerriesa, Spiessa, Zahna i wielu innych.



Jest to wprost powódź dokumentów i studjów, zapewno nie-  
zawsze jednakowo ważnych ani nawet potrzebnych, lecz bądź  
co bądź dobitnie świadczących o nadzwyczajnem zaintereso-  
waniu, jakie dziś jeszcze budzi ten literacko-polityczny miesza-  
niec, który ani jako literat, ani jako polityk nic nadzwyczajnego  
nie wyobrażał i nie sprawił, który pod względem intelektual-  
nym nie miał w sobie nic rzeczywiście imponującego, pod wzglę-  
dem moralnym tyle miał wręcz odpychającego, a który z tem  
wszystkiem, po kilkudziesięciu jeszcze leciech, gdy już ani śla-  
du nie pozostało z usiłowań jego i używających go potęg, nie  
przestaje wywierać takiej siły przyciągającej na badaczów  
nowoczesnych.

Sekret tego zjawiska spoczywa niezawodnie w pewnych,  
szczególnie zajmujących stronach dość niezwyklego zagadnienia  
psychologicznego, jakie, przy bliższem wejrzeniu, przedstawia  
błyskotliwa indywidualność Gentza. Typ intelektualisty-za-  
przańca, kondotjera pisarskiego, oddającego siebie, swoje prze-  
konania i swój talent pisarski na usługi możnej sprawy, czynił  
on to z przeraźliwie jasną świadomością całej lichoty tej spra-  
wy i swych chlebobawców, a zarazem całej lichoty własnych  
pobudek i poczynań w przyjętej na siebie służbie. Jeden z ojców  
nowożytnego dziennikarstwa politycznego, w specyficznem,  
urzędowem i półurzędowem znaczeniu słowa, prototyp „gadzi-  
nowca“, zdawał on sobie jaknajdokładniej sprawę, im wyżej  
podnosił się na szczeblach wygody życiowej i rozgłosu, iż równo-  
cześnie spadał moralnie pod względem duchowym i obywatel-  
skim, jako człowiek i publicysta. Tej okrutnej samowiedzy  
dawał on wyraz w jedynym swego rodzaju dokumencie, we  
własnoręcznym, poufnym, dla samego siebie przez lat kilkadzie-  
siąt prowadzonym dzienniku, gdzie ten cynik i epikurejczyk,  
doradca monarchów i ministrów, prawa ręka Metternicha, jak  
gdyby ulegając mimowoli jakiemuś tajnemu kategorycznemu  
imperatywowi własnego sumienia, składał z dnia na dzień naj-  
dobitniejsze, najbardziej kompromitujące i bezlitosne świade-  
ctwo marności i nędzy moralnej swojej i protektorów swoich.  
W tym niezmiernie nauczającym dzienniku, uzupełnionym po-  
części przez rozległą korespondencję, z którym pewne pokre-  
wienieństwo posiada chyba tylko ohydny dzienniczek Bajkowa, osła-

wionego pomocnika Nowosilcowa, w formie mniej brutalnej, bardziej wyszukanej i subtelnej, a tem dotkliwszej, obnażony został proces rozkładowy, dokonywujący się w głowie i sercu duchowego sprzedawczyka, — nie samego tylko Gentza, lecz całego typu ludzi podobnego zakroju i kariery. Rzecby można, że on jeden, najbardziej może z nich utalentowany i fortunny, ich wszystkich zdemaskował raz na zawsze, — i przez to właśnie tak wyjątkowo stał się interesującym. Dygnitarz poważny, namaszczonego obrońca tronu i ołtarza, okazuje się skończonym niedowiarkiem politycznym i religijnym, pospolitym sybarytą, szukającym szczęścia w winie, grze, kobietach, szukającym przedewszystkiem pieniędzy, niezbędnych do zaspokojenia tych potrójnych potrzeb najgłówniejszych. Okazuje się zarazem typowym snobem literackim, który, dostawszy się dzięki swoim talentom pisarskim do t. zw. wielkiego świata, gdzie te jego talenty są potrzebne do interesów politycznych i odpowiednio opłacane, traci zupełnie głowę, godność, nawet poczucie dobrego smaku i pospolitej śmieszności, wspinając się do płaskich wyżyn pańskości a tem samem do lokajskiego osuwając się poziom. Co zaś w tem wszystkiem najkapitałniejszego, to owa czysto literacka autokrytyka, którą Gentz, niby pochodnię, zabierał ze sobą po najskrytszych manowcach, sam oświetlając dobrowolnie najwstydlwsze swoje mizerje. *Meliora probare, deteriora sequi*, to było jego hasło; a ilekroć w myśl tej zasady najświadomiej jaką nową popełnił nikczemność, wystarczało mu zupełnie, że ją sumiennie do dziennika zapisał i należycie potępił. Zapisywał tu jako „nader godne uwagi“ (*sehr merkwürdig*), iż jednocześnie wypadło mu wziąć pieniądze od lorda Carysforta za pamflet angielski przeciw Prusom i od hr. Haugwitza za pamflet pruski przeciw Anglii. Zapisywał najdokładniej kubany brane z Londynu, Berlina, Petersburga, Wiednia, od przełożonych gmin żydowskich, od Rothschildów, od wielkich panów i pań, za wysługi publiczne i prywatne najrozmaitszego gatunku. Zapisywał noce, spędzone na hazardzie, wybryki rozpusty, nawet zboczenia przeciwne naturze, a tuż obok, w tym samym wierszu, wyszczególniał powierzane sobie, i w przerwach między temi dystrakcjami sporządzane, doniosłe prace publicystyczno-polityczne, manifesty nawołujące do walki z niecną



uzurpacją napoleońską, odezwy w imię najświętszych tradycji i haseł, memorjały w sprawie przywrócenia pogwałconej równowagi międzynarodowej i uzdrowienia zarażonej chorobą wieku opinii publicznej europejskiej, akty oskarżenia przeciw winowajcom tej zarazy, trucicielom ducha pokoleń nowożytnych. I nic znowuż zabawniejszego, jak kiedy sam przed sobą, w dziennikowym monologu, z dziwnie bezwstydną prostotą wypierał się tych oficjalnych, obowiązkowych pojęć, kiedy np. pocichu stwierdzał wielkość Napoleona i mizerotę jego przeciwników, albo kiedy na stronie piętnował zimny i chciwy cynizm uczestników kongresów wiedeńskich i świętych przymierzy, albo kiedy w tej samej chwili, gdy dopominał się publicznie najsurowszego zakazu szkodliwych pism Heinego, *privatissime* wyznawał, iż „nie może wprost oderwać się“ od „szatańskiego“ poety i w sekrecie „po dwadzieścia pięć razy“ odczytuje jego wiersze.

Wpływowy publicysta, będący przez lat kilkadziesiąt dla opinii europejskiej głównym *porte-voix* polityki koalicyjnej i restauracyjnej, miewał też w tym swoim charakterze urzędowym i półurzędowym wielokrotnie do czynienia ze sprawą, która dla onej polityki, w rozlicznych jej odmianach pod koniec XVIII i początek XIX wieku, tak wydatne posiadała znaczenie, ze sprawą polską. Ten Szlązak, urodzony w 1764 a zmarły w 1832 r., patrzył się zbliżka na upadek Polski, na trzykrotne jej próby odrodzenia za Kościuszki, Księstwa Warszawskiego, Rewolucji listopadowej, i sporządzał z urzędu nekrologi dla niej i apologie dla jej grabarzy. Wydało się pożądanem, wśród powodzi współczesnej literatury o Gentzu, zająć się również źródłowem oświeceniem tej mianowicie poszczegółnej strony jego działalności publicznej. I ujawniły się przytem rzeczy wcale ciekawe. Ukazał się początkujący Gentz, jako jedno z narzędzi haniebnej gospodarki sławetnego Hoyma i towarzyszków, w służbie administracyjnej pruskiej na świeżo zabranych ziemiach polskich. Ukazał się następnie jako giętki djalektyk, mający, w tonie pozornego współczucia i humanitarnej nagany, wyperswadować współczesnej opinii publicznej niemieckiej niepożądane jej sympatje dla czystej ofiary i tragicznego nieszczęścia Kościuszki. Ukazał się dalej jako oddany rzekomo doradca i korespondent Adama Czartoryskiego za jego ministerjum ro-

syjskiego, ba, nawet na profesora uniwersytetu wileńskiego proponowany księciu-kuratorowi, od którego jedną ręką pobiera natrętnie wypraszone zasiłki pieniężne, gdy równocześnie drugą skwapliwie podaje do pomocy podziemnym machinacjom najzawziętszych wrogów polskiego męża stanu. Ukazuje się potem jeszcze jako gładki polityczny stylista, usiłujący w okrągłych a nieszczerych frazesach sformułować i wytłumaczyć oportunistyczną taktykę Kongresu wiedeńskiego w tak spornej a ostatecznie tak sfuszerowanej sprawie repartycji polsko-saskiej i założenia Królestwa Polskiego, — przyczem zresztą, w sekretnym dzienniku, obok udziału swego w poważnych pracach kongresowych nad losem Europy i Polski, nie przepomina pod tą samą datą wypisywać społecznych swoich perypetyj „sercowych“ z młodym kamerdynerem. Ukazał się nareszcie jako dyplomatyczna *mouche du coche* w dobie rewolucji listopadowej, kiedy, pośród chwiania się szali wypadków na terenie wojny polsko-rosyjskiej, tyle na decyzji Austrii zawisło, daleko więcej w gruncie rzeczy, niż na decyzji Francji, której platoniczne sympatie nieskończenie mniej zaważyć tu mogły, aniżeli interwencja ościennej potęgi habsburskiej. Gentz oczywiście, wraz ze swoim protektorem Metternichem, był naprawdę od początku do końca przeciwnikiem jakiegokolwiek skutecznego wdania się ratunkowego czy to Paryża, czy też tem mniej Wiednia; co więcej, jako płatna kreatura domu Rothschildów, zaangażowanego świeżo w szeregu ogromnych pożyczek państwowych, między innymi rosyjskiej, a stąd zainteresowanego najżywiej w utrzymaniu pokoju powszechnego i corychlejszem zwycięstwie Rosji, musiał on w tym samym gardłować duchu. Ale pomimo to, z właściwą sobie dwoistością myślenia, pozwalał on sobie na niewinne kokietowanie ze sprzyjającymi Polsce prądami, występującymi wtedy w opinii wiedeńskiej a nawet po części w pewnych kołach dworskich w Hofburgu, i tem aż dał powód, że do niego to, starego w rzeczach polskich szkodnika, zwrócono się podówczas ze strony rewolucyjnej polskiej, w złudnej nadziei, aby za jego pośrednictwem wpłynąć na postanowienia gabinetu wiedeńskiego. Ponieważ na te próżne starania wiedeńskie dość znaczną w Warszawie przeznaczono kwotę, mogło więc i tą szczególną, rewolucyjną drogą wpłynąć co nieco do zasilanej tyloma



najrozmaitszemi drogami, a wiecznie suchej, dziurawej kieszeni starego Gentza. Nie obeszło się przytem bez epizodu z wyższej komedji: kochliwy do deski grobowej 65-letni Gentz był wtedy ognistym kochankiem tytularnym słynnej tancerki, 19-letniej Fanny Elssler, której wypadło w sprawie naszej odegrać *sui generis* rolę polityczną; a mianowicie młody, 25-letni ks. Konstanty Czartoryski miał sobie, wedle dochowanej tradycji ustnej, powierzona misję pozyskania ładnej baletnicy, celem pozyskania przez nią Gentza, celem pozyskania przez niego Metternicha, — skomplikowaną misję, z której pierwszego jedynie, przyjemniejszego etapu udało mu się w zupełności wywiązać.

WOLNOŚĆ DRUKU  
W KRÓLESTWIE KONGRESOWEM  
1815—1830

Ta książka mówi o wolności druku, uroczyście zawarowanej konstytucyjnemu Królestwu Kongresowemu. Ale była ona poręczona Królestwu Polskiemu, niewzruszalnie sprzężonemu z ówczesnem Cesarstwem Rosyjskiem. Tem samem badanie niniejsze stało się książką o niewoli druku, o cenzurze. Nie mogło być inaczej, skoro skrawek państwowy pobitej Polski, z jej tradycją „*libertatis sentiendi*“, dostał się pod wpływ i władzę państwowego ogromu zwycięskiej Wszechrosji, z jej tradycją „*słowa i diela*“. Taki stosunek, w ognistych mowach bankietowych i czułych artykułach dziennikarskich, może być idealizowany najdowolniej, wystawiany jako sielankowe zamknięcie bratobójczego sporu, nawet jako dozgonne śluby długo rozłączonej i nareszcie skojarzonej na zawsze pary kochanków, a w każdym razie jako rękojmia niezakłóconej nadal ery pojednania, miłości i szczęśliwości zobopólnej. Prawda zgoła odmienne, surowsze ukazuje oblicze. W najlepszym razie podobny związek przymusowy dwóch tak rdzennie różnych duchem narodów, musiał pociągnąć za sobą wielorakie ostre tarcia obustronne, w szczególności zaś nadmierne i z biegiem czasu coraz bardziej rosnące

---

Przedmowa do monografji Natalji Gąsiorowskiej „*Wolność druku w Królestwie Kongresowem, 1815—1830*“, Monografje w zakresie dziejów nowożytnych. Wydawca Szymon Askenazy, XXIII tom. Warszawa 1916. Drukowana nadto w Świecie, r. 1916.



ciśnienie kolosu rosyjskiego na ułomek polski. Żadne formuły teoretyczne niezdolne były sprostować takiego faktycznego stosunku, i nawet znaczne ustępstwa w literze konstytucyjnej nie potrafiły wyrównać rażącej niespółmierności sił a stąd stanowczego przeważenia szali po stronie rosyjskiej. Polska okaleczona i podwładna nie mogła żadną miarą podnieść ku sobie Rosji, nieskończenie przemożnej stanowiskiem i ciężarem gatunkowym. Tedy naodwrot, musiała Rosja ściągnąć ku sobie Polskę. To proste prawo fizyczne ujawniło nieuniknione swe skutki w rozlicznych kierunkach wzajemnego oddziaływania i współżycia politycznego, przez krótki przeciąg trwania Królestwa Kongresowego. Znalazło ono sobie, między innemi, zastosowanie bezwzględne w dziedzinie wolności słowa drukowanego.

Oczywiście przewaga państwowości rosyjskiej w sposób szczególnie dotkliwy uwydatniła się w tej właśnie dziedzinie, gdzie godziła w tak żywotny i wrażliwy nerw piśmienniczy myśli narodowej polskiej. Wpływy obce musiały tu sięgnąć tem głębiej, iż wobec istniejącej bądźco bądź w poręczeniu konstytucyjnym przeszkody do nałożenia z zewnątrz kagańca, wypadło z konieczności uciekać się do pośredników swojskich, wnosząc rozkład wewnątrz samego społeczeństwa. Tą drogą okólną poszedł w sprawie cenzuralnej Nowosilcow, zły duch Królestwa Kongresowego a wyborny znawca ludzi, rzeczy i słabości polskich. Zaczął on od budzenia wśród ogółu polskiego, a zwłaszcza duchowieństwa, nienaturalnych i nieuzasadnionych obaw przed wolną prasą i piśmiennictwem rodzimem. Tu jednak zderzył się z poważnym i wpływowym przeciwnikiem, głową oświecenia publicznego w Królestwie, ministrem Stanisławem Potockim. Potocki miał zresztą do powetowania własną w tej sprawie pierwotną słabość i ustepliwość, zaskoczony zrazu i pociągnięty w kierunku niekonstytucyjnym przez przebiegłą taktykę Nowosilcowa. Z tem większą przeto żywością i energją, postrzegłszy się na niej, zahamować ją postanowił. Przeciw wyssanym z palca zmorom wywrotowym, a naprawdę pospolitym pretekstem, mającym upozorować dokonywane już lub planowane gwałty cenzuralne, z mocnym i zręcznym wystąpił protestem. Na fałszywe postrachy





*Książę Aleksander Lubecki*



Nowosilcowa, brane gdzieś z zagranicy, głównie z Francji opozycyjnej, odpowiadał prostem powołaniem się na spokojny, umiarkowany nastrój, właściwy społecznej umysłowości polskiej. „Któż u nas — zapytywał — bluźni przeciw Bogu? Któż obraża monarchę? Kto znieważa rząd? Kto narusza spokojność publiczną? Powstająca dopiero literatura więcej zachęcenia niż karcenia potrzebuje“. Do najwymowniejszych za swobodą druku głosów europejskich, zaliczyć można te piękne, skierowane przeciw zamachom Nowosilcowa, urzędowe memorjały ministerjalne, gdzie, przechodząc dzieje ludów cywilizowanych a kończąc na polskich, wybitny statysta polski a umysł wysokiej kultury wypowiadał się w obronie wolnej myśli, słowa i pisma. Ale tem stanowiskiem swoim Potocki, w wielu innych też sprawach poróżniony z Nowosilcowem, naraził mu się z kretesem. Nowosilcow odtąd przedsięwziął nieodwołalnie obalić go i zgubić. Sam może nie potrafiłby tego dokonać z magnatem i wysokim dostojnikiem rządowym polskim, dobrze położonym u monarchy, Aleksandra I. Postanowił tedy użyć w tym celu pomocy — polskiej. Poprzednio już podobnież był użył tegoż samego Stanisława Potockiego do podważenia u tronu i odsadzenia od władzy nienawistnego sobie Adama Czartoryskiego. Obecnie, do wywrócenia znienawidzonego z kolei Potockiego, użył pomocy rzymsko-katolickiego episkopatu Królestwa. W dobie porozbiorowej zdarzyło się, niestety, aż potrzykroć, iż episkopat polski przeciw przodującym polskim zwracał się, albo raczej zwracany bywał, statystom. To były trzy najsmutniejsze poniekąd, bo domowe, zatargi kościelno-polityczne, z ministrem wyznań i oświecenia, Stanisławem Potockim, z naczelnikiem rządu cywilnego, Aleksandrem Wielopolskim, z namiestnikiem galicyjskim, Michałem Bobrzyńskim. Niezawodnie, we wszystkich trzech wypadkach, pewne błędy lub przynajmniej niezręczności, zarówno treści ogólniejszej, jakoteż w szczególności względem duchowieństwa, były popełniane ze strony tych mężów stanu. Ale walka, wydana im przez episkopat, we wszystkich trzech wypadkach, najniezawodniej nie wyszła na pożytek ani kraju, ani Kościoła. A to, między innemi, już dla tego prostego powodu, iż wkraczając na teren tego rodzaju walki czysto politycznej,

nieprzysposobiony do niej, bo innemu wszak, wyższemu powołaniu poświęcony, episkopat polski, chcąc niechcąc musiał stawać się powolnym narzędziem w ręku postronnych czynników świeckich. W wypadku niniejszym objawiło się to w postaci jaknajbardziej dotkliwej i pożałowania godnej. Gdyż jakiegokolwiek, najsurowsze bodaj zarzuty zechcianoby wytoczyć przeciw rządowej i choćby nawet pisarskiej działalności Potockiego, zawsze rzeczą bolesną i niczem niedającą się usprawiedliwić pozostanie fakt, iż od biskupów polskich, przeciw ministrowi polskiemu, podawane były, z natchnienia rosyjskiego komisarza, Nowosilcowa, memorjały oskarżycielskie na ręce rosyjskiego bądźcobądź, monarchy, Aleksandra.

Po utraceniu Potockiego, w osobie jego następcy, osławionego „ministra zaciemnienia publicznego“, Stanisława Grabowskiego, i haniebnej pamięci naczelnika cenzury, Kalasantego Szaniawskiego, znalazł Nowosilcow, jak wiadomo, sprawnych pacholców i dozorców zakneblowanej prasy i literatury polskiej. Rzeczą jest ze wszechmiar znamioną, jak mocno wryła się w pamięci piśmiennictwa naszego, nacechowana piętnem wyjątkowej ohydy, ta dziesięcioletnia niewola cenzuralna warszawska doby kongresowej. A to nie dlatego, iżby ona przedmiotowo była najcięższą, lecz dlatego, że podmiotowo była najobrzydliwszą. Miewaliśmy później cenzurę w nierównie pospolitszym kształcie i ostrzejszym gatunku, tę zwłaszcza, jaka nastąpiła po stłumieniu powstania styczniowego i przetrwała aż do doby najnowszej. Ale tę obcą cenzurę brutalną i prostacką jeszcze łatwiej stosunkowo można było znosić. Były też na nią poniekąd, w najgorszej potrzebie, jakieś doraźne lekarstwa i sposoby, czasem protekcja, rubel albo nawet butelka, czasem zręczność, kontrabanda albo nawet impozycja. Samo jej prostactwo podawało ją w pogardę, okrywało śmiesznością, a przedewszystkiem trzymało ją, jak nieczystą pianę, na samej jeno powierzchni, nie dozwalało jej przenikać w głąb narodowego życia umysłowego. Owóż nieskończenie gorszą od prostackiej policyjnej, jest przemądra polityczna cenzura. Cenzura samodzielna, samorzutna, ambitna, z pretensją do rozumu stanu, do sternictwa, do przenikania wewnątrz ducha



publicznego, do przerabiania go i pokierowania wedle swego widzimisie, wedle założonej programowo myśli i woli własnej. Taka właśnie maskarada policjantów cenzuralnych, poprzebieranych za polityków, uczyniła cenzurę warszawską Nowosilcowa i kompanji tak pamiętnym, wprost nie do zniesienia, odstraszającym po wszystkie czasy, przykładem duchowego pogwałcenia, i, co więcej, duchowej demoralizacji.

## KOMPANJA KRYMSKA MICKIEWICZA

Z wielkiem zajęciem przeczytałem nadzwyczaj zajmujący artykuł p. Filosofowa, świadczący o nader głębokiem, subtelnem i wprost niezwykłym u nie-Polaka wyczuciu dotyczących Mickiewicza zagadnień psychicznych.

---

Dmitrij Filosofow ogłosił dłuższy artykuł w nr. nr. 11—13 i 17—20 „*Mołwy*“ p. t. „*Prof. Juljusz Kleiner i „Droga do Rosji“*“, z okazji świeżo wydanego dzieła prof. Kleinera o Mickiewiczu. Nawiązując do broszury prof. Wacława Lednickiego „*Droga do Rosji*“, Filosofow zwraca uwagę na zaniedbanie przez polskich uczonych studjów nad rosyjską epoką Mickiewicza. Wszystkie liczne i bezcenne materiały archiwalne, wydane po rewolucji 1905 r., uchodzą uwagi polskich uczonych. Filosofow wykazuje również szereg błędów i zaniedbań w dziele prof. Kleinera. Zdumiewająca jest, powiada Filosofow, uporczywa nieznajomość, jaką zdradzają polscy uczeni, nie tylko badań puszkinistów rosyjskich, którzy Odesę tej epoki i jej towarzystwo, nie wyłączając kompanów krymskich Mickiewicza (m. in. Sobańskiej i gen. Witta), do gruntu opracowali, ale też danych, przytoczonych przez prof. Askenazego w II wyd. „*Łukasiewskiego*“. Wynika z nich, że na dalsze losy Mickiewicza i możność jego wyjazdu zagranicę wywarł niewątpliwy wpływ raport policyjny gen. Witta do cesarza, przedstawiający poetę jako niewinnego baranka. Temuż raportowi zawdzięczał zapewne Mickiewicz, iż nie został wplątany do procesu dekabrystów, pomimo że bunt dekabrystów wybuchł w 6 tygodni po powrocie Mickiewicza z Krymu a Mickiewicz przyjechał do Odesy z listami polecającemi Rylejewa i Bestużewa. — „*Wiadomości Literackie*“ w nr. 6 z dn. 11. II. 1934 r. streściły wywody Filosofowa a zarazem redaktor ich, p. Mieczysław Grydzewski, zwrócił się w sprawie tego artykułu do prof. Askenazego, który udzielił mu wyjaśnień, wydrukowanych w tymże numerze „*Wiadomości Literackich*“, które obecnie przedrukujemy.



Ograniczam się do paru uwag rzeczowych o podróży krymskiej. Próżno z jej powodu aż przedstuletnie skądbądź literackie ściągać precedensa, dyliżansowy zdroj kastalski pastora Sterne'a, domowy spacer generał-majora de Maistra, lub niepokoić smutny cień Radiszczewa. Wycieczki na półwysep taurycki były w tym czasie rzeczą dość zwyczajną. Nieco wcześniej jeździła tam z liczną świtą urzędowa faworyta carska, Czetwertyńska-Naryszkinowa, z córką swoją i rzekomo cesarza (a naprawdę pono jego adjutanta Ożarowskiego). Zaś spółcześnie niemal z pobytem tam Mickiewicza, na przedśmiertną do Krymu wyprawę, pod koniec września 1825 r., zjechał z małżonką sam cesarz. Wedle wszelkiego też prawdopodobieństwa, właśnie w związku z tą podróżą carską generał-lejtnant Witt, dowódca korpusu rezerwowego w Elizawetgradzie i kurator liceum odeskiego imienia Richelieugo, piastując tajny nadzór policyjny w gubernjach południowych, przedsięwziął tegoż lata, tuż przed przybyciem cara, poufny ochronny objazd taurycki, osłoniony dla niepoznaki pozorem towarzyskiej wycieczki.

Uczestniczyli w niej — jak powszechnie wiadomo, chociażby z „Żywota Adama Mickiewicza“ przez syna Władysława (w nowem pięknem wydaniu Poznańskiego Towarzystwa Naukowego) — Witt, Hieronimostwo Sobańscy, Henryk Rzewuski, Boszniak i „niedobry do tej kompanji“ Mickiewicz. Tak wyraziłem się w „Łukasimskim“, w przypisku do społecznych spraw spiskowych polsko-rosyjskich, tędy incydentalnie do niniejszej pociągnięty dyskusji.

Kompanja w rzeczy samej była nieciekawa. Jan Witt, syn Szczęsnej Potockiej z pierwszego jej małżeństwa, był jednym z najwyszukańszych, pod dobroduszną ogładą, łotrów. Wypędzony z wojska przez w. ks. Konstantego za tchórzostwo pod Austerlitzem, zręczny karjerowicz i dworak, szpieg z zamiłowania, krewniackimi poparty wpływy, wtarł się do łask Aleksandra, był używany do pokątnych przeciw Napoleonowi i Księstwu Warszawskiemu robót, następnie zaś w pokrewnej dziedzinie na niniejsze służbowe awansował stanowisko. Odegra później rolę złowrogą przy upadku rewolucji listopadowej i obejmie sprawy wewnętrzne w Warszawie za Paskiewicza. „Syn generała polskiego, z matki Greczynki, — mówi o nim w „Literaturze

słowiańskiej“ Mickiewicz, — nie wiedział nawet, do jakiego narodu należał, jaką religję wyznaje“. On też pierwszy, jako nadpolicjant kresów południowych, wziął na spytki jadącego do Odesy Mickiewicza. Mickiewicz i Jeżowski — pisał Franciszek Malewski do siostr Marji i Zofji z Petersburga, 23 stycznia 1825 r. — „jadą ze mną do Elizawetgradu, gdzie muszą czekać na rozporządzenie generała Witt... Trzeba, aby Zosia nauczyła się piosenki „*Jean de Paris*“ i aby ją śpiewała“ (tak zwano urodzonego w Paryżu Jana Witta). Przystojny generał, kobieciarz zawołany, żył wtedy od dość dawna z Karoliną z Rzewuskich Hieronimową Sobańską. Pani śliczna, pusta, bardzo łatwa, wyrachowana, przewrotna, warta absolucji za trochę rozkoszy danej poecie. O prostackim Hieronimie Sobańskim, nie wchodząc w szczegóły, starczy stwierdzić, że był bardzo wyrozumiałym mężem. „Człek źle wychowany, dzik, pijak, że nie powiem więcej“, tak w „Konfederatach barskich“ Mickiewicza żali się na małżonka „hrabina Karolina“, chroniąc się pod skrzydła rozkochanego „generał-gubernatora“ Witta, „opiekuna mego“.

Co się tyczy brata pani Sobańskiej, Henryka Rzewuskiego, aż nadto wiadomo, jak niski był poziom moralny tego świetnego pisarza. Cynik skończony, został płatnym fagasem przy Paskiewiczu, przez którego był używany w różnych bardzo śliskich misjach. Nie tykając nader drażliwych finansowych, ograniczę się do wskazania dla przykładu pewnej misji politycznej, celem skuszenia Chłopickiego do przybycia z Krakowa do Warszawy do Paskiewicza.

W tej to sprawie pisał własnoręcznie Rzewuski do Lucjana Siemieńskiego z Warszawy 3 sierpnia 1849 r.: „U nas tu nic nowego. Księżę Namiestnik wyjechał na kilka niedziel na przegląd korpusów, któremi dowodzi. Tęskno nam bez niego, a zwłaszcza mnie, przywykłemu codziennie stawić się przed Nim. Kiedy opowiadałem przed Nim rozmaite szczegóły mojego pobytu w Krakowie, gdy Mu oświadczyłem, że widywałem generała Chłopickiego, on mnie powiedział: „Proszę cię... namów go, żeby mnie nawiedził. Przyjmę go z otwartymi ramionami. Będziemy z nim mówili o naszym rzemiośle, zaprosz go w moim imieniu do Warszawy“... Bądź łaskaw wyrozumieć go, czy taki list ode mnie przyjąłby łaskawie i czyby determinował się choć



na dni kilka przyjechać do Warszawy, skoro Książę do niej powróci". Działo się to w chwili rozgromienia przez wojska Paskiewicza bronionej przez Dembińskiego i Bema rewolucji węgierskiej.

Pozostaje najmniej znany Boszniak. Tak mało znany, że nawet uczony historyk rosyjski, generał Szylder, — zacny przyjaciel, wspomagający mnie w pierwszych nad Nową pracach archiwalnych, autor znakomitej źródłowej biografii Aleksandra I, wydanej w 1898 r., — przedstawiając najpierwsze wykrycie spisku przyszłych dekabrystów latem 1825, przypisywał je podawnemu denuncjacji listownej podoficera pułku ułanów ukraińskich, Anglika rodem, Sherwooda, wyekspedjowanego następnie, na rozkaz cesarski, przez Wittę do dowódcy kolonii wojskowych, generała Arakczajewa, a stamtąd do Petersburga. Owóż Mickiewicz lepszą w tej mierze od Szyldera posiadał wiadomość. „Witt przed doniesieniem Sherwooda — mówi w „Literaturze słowiańskiej“ — miał już o spisku wiadomość, podaną sobie przez jednego agenta, którego żadne pismo urzędowe, żadne zdanie sprawy ze śledztwa nie wymienia. Zdrajca ten, przebieglejszy od samego nawet szpiega w romansie Coopera, nazywał się Boszniak... Uchodził za literata i pod tytułem naturalisty towarzyszył wszędzie Wittowi“. Jest to „doktor, agent dyplomatyczny moskiewski, chód bojaźliwy, spojrzenie skośne, ubranie napół cywilne a wojskowe, w peruce, okularach, wielka teka pod pachą“, z „Konfederatów barskich“, szpiegujący wielomównych, lecz zbyt ostrożnych Polaków. „A że dla Ekscelencji (Wittę) Pani Hrabina (Karolina) wiele ma przyjaźni, Przeto byłoby może arcyprzydatnie... Gdyby na siebie wzięła otrzymanie. Choćby jednego tylko wyjaśnienia, jednej poszlaki, Gdyby chciała mnie do tego użyć, lub się radami moimi posłużyć“. Aleksander Karłowicz Boszniak, ur. 1786, major opołczenia 1807, urzędnik departamentu spraw wewnętrznych 1808, potem sekretarz przyboczny i agent zaufany Wittę, wysłany był przez niego w kwietniu 1825 r. dla wyśledzenia konspiracji wojskowej rosyjskiej. Potrafił też istotnie wlot zyskać sobie zaufanie wybitnych jej działaczy; sam został członkiem Towarzystwa Południowego; miał nawet czelność ofiarować im przystąpienie Wittę, pragnącego jakoby tym sposobem „przywrócić sobie reputację przez Towarzystwo“, na co z zachwytem zgodził się Pestel, czemu jednak sprzeciwili

się podejrzliwi Wołkoński i Juszniewski; poczem już w maju t. r. zdał pierwszy szczegółowy raport Wittowi. W następstwie, po katastrofie dekabrystów, był dla pozoru pociągnięty do petersburskiego w ich sprawie śledztwa, jako członek związku, poczem otrzymał od Mikołaja pensję dożywotnią 5 tys. rb., zrobił karierę, został po wojnie tureckiej wiceprezesem Dywanu Mołdawsko-Wołoskiego przy hr. Kisielewie, żonatym z Szczęsną, przyrodną siostrą Witta. Skolei, podczas wojny polsko-rosyjskiej znajdował się znowu przy boku swego protektora Witta. Wtedy to zamordowali go, mszcząc się za wydanie dekabrystów, oficerowie rosyjscy, przyczem za jednym zamachem zgładzono stangreta i kamerdynera Boszniaka. Wiadomość tę znalazłem dawniej w aktach kwatermistrzostwa rosyjskiego w petersburskim Wojenno-Uczonom Archiwie. Zabójstwo Boszniaka zostało dopiero przed kilku laty ujawnione w urzędowym wydawnictwie sowieckim „*Materjały po istorji diekabristow*“ pod redakcją Pokrowskiego (t. VIII, Leningrad 1925). Przy ostatecznem urzędowem ustalaniu personaljów osób, które znajdowały się w Związkach Południowym i Północnym, prowokator Boszniak zyskał taką notę: „Służąc w czasie wojny polskiej 1831 r. z pożytkiem dla ojczyzny, nieoczekiwanie, wraz ze stangretem i kamerdynierem, został w czasie podróży sposobem zbrodniczym zastrzelony za wykrycie spisku w r. 1825“. Dodać należy, że niezawisłe od swej roli politycznej Boszniak zajmował się z upodobaniem literaturą. W r. 1830 wydał w Moskwie drukiem romans w czterech częściach „*Jakób Skupałow*“, oraz „*Dniewnik zapisok o putieszestwii w raznych obłastjach Zapadnoj i Połudiennoj Rossiji*“. Tego ostatniego utworu, niestety, nie miałem w rękę, a interesuję się nim w przypuszczeniu, że być może zawiera swoisty opis podróży krymskiej.

Los Mickiewicza w taką rzucił kompanję. Na to nie było rady. To go nawet może od ostatecznej uchroniło zguby. W kilka miesięcy po podróży krymskiej, wraz z klęską dekabrystów, nastąpiła również katastrofa naszego Towarzystwa Patryotycznego. Stało się to, w związku bezpośrednim z wywiadem Witta, w styczniu 1826 r. Aresztowany był przez niego osobiście w Kijowie ks. Antoni Jabłonowski, dobry przyjaciel pani Sobańskiej, który, zawieziony do Petersburga, wydał przed Mikołajem kilkudziesię-



sięciu Polaków należących do warszawskiego Towarzystwa Patriotycznego (między innymi Emira Rzewuskiego) i odsłonił rokowania tegoż Towarzystwa ze Związkiem Południowym rosyjskim. Następnie, wysłany do Warszawy na śledztwo, wydał i tu mnóstwo osób. Wtedy to został spoliczkowany podczas konfrontacji przez porucznika Sabińskiego, który powiesił się tejże nocy w celi u Karmelitów na krawacie.

Dostojna kompanja krymska, podczas tych niebawnych tragicznych w Petersburgu i Warszawie przepraw, być może, osłoniła Mickiewicza. On sam siłą rzeczy już wtedy pod wallenrodycznym znalazł się przymusem.

## WIKTOR HUGO A POLSKA

Wielki poeta, którego stuletni jubileusz obchodzi dziś uroczyście Francja i Europa, wielkie swoje serce zawsze otwierał na ścieżaj dla spraw i rzeczy polskich. Niejedno szczytne w tym względzie świadectwo złożył we wspaniałem swoim dziele poetyckiem. Tam poszukiwać tych świadectw i we wdzięcznej utrwałać je pamięci jest rzeczą naszych badaczy literatury, jest ich obowiązkiem. Ale duch tej miary, jak Wiktor Hugo, był nie tylko zjawiskiem literackiem, lecz był także wybitnem zjawiskiem historycznem. To też w ścisłym naszym zakresie historycznym poczuwamy się do obowiązku uwydatnienia pewnych szczegółów, pewnych rysów, bliżej nas obchodzących w tej szlachetnej postaci. Mamy właśnie pod ręką najnowszy, autentyczny zbiór przemówień i wystąpień publicznych Wiktora Hugo. Wydaje się ze wszech miar stosownem, w obecnej chwili jubileuszowej, wydobyć stąd niektóre momenty, ściślej związane z przedmiotami dzisiejszemi treści polskiej.

---

Jest to recenzja Askenazego z 4-tomowego wydawnictwa zbiorowego dzieł Wiktora Hugo, obejmującego „*Actes et paroles*” za lata 1841—70. Omawia w niej profesor lwowski stosunek Wiktora Hugo do Polski, a szczególnie mowę jego w senacie francuskim z powodu rzezi galicyjskiej w 1846 r. Recenzja ta, przeznaczona w 1902 r., w 100-letnią rocznicę urodzin francuskiego poety, dla „*Biblioteki Warszawskiej*”, została całkowicie skreślona przez cenzora w korekcie czerwonym atramentem i w druku się nie ukazała. Szczególnie pastwił się cenzor nad drugą połową mowy poety, poczynając od tego ustępu, gdzie Hugo mówi, że tylko dwa narody w cywilizacji europejskiej odgrywały rolę bezinteresowną: Francja i Polska.



Wiktor Hugo, już pod koniec Restauracji otrząsnąwszy się z pierwotnych legitymistycznych zapalów, rozgrzany natomiast dla nowych haseł rewolucji lipcowej, od początku mieszczańskiej monarchii lipcowej, która na swoje dobro zlikwidowała rewolucję, stanął na stopie wojennej względem rządu Ludwika-Filipa. Cenzura orleańska kładła zakaz po zakazie na burzliwych tragediach młodego poety. Poeta, w burzliwszych jeszcze przemówieniach sądowych przed Trybunałem cywilnym paryskim — w słynnej zwłaszcza mowie z powodu zakazu „*Le roi s'amuse*” — nie tylko skarżył i zwał cenzuralne wyroki, lecz nadto piętnował nielitościwie wszystką politykę rządu. Zaś, obok wewnętrznej, francuskiej, jeszcze gwałtowniej piętnował zagraniczną, europejską politykę Ludwika-Filipa. Naprzeciw tej małostkowej, hipokryckiej, trwożliwej polityki Orleansa, wystawiał w lapidarnych, poetyckich wyrazach, niezatartą jeszcze w pamięci Francji i świata wielką, imponującą, odnowicielską politykę Napoleona. „On także wydawał despotyczne dekrety o Komedji Francuskiej. Ale jego teatralne dekrety datowane były z Moskwy”. Ostrożny rząd orleański uznał za najwłaściwsze ugłaskać wojowniczego romantyka. Podano mu gałązkę oliwną pod postacią parowskiego dyplomu. Zamiast nazbyt krasomówczego wieszczą, spodziewano się mieć odtąd milczącego dyskretnie para Francji. Omylono się jednak w rachubie. Przy najpierwszej nadarzonej okazji gorące serce poety odrazu wzięło na kiel, i porwało chłodną głowę parowską.

Owóż tę mianowicie okazję, a zarazem pierwsze przemówienie Wiktora Hugo we francuskiej Izbie parów wywołała sprawa polska. Było to w 1846 roku. Niesłychane wypadki galicyjskie w lutym tego roku poruszyły do głębi europejską opinię publiczną. Niesłychany pomysł Metternichowski w całej objawił się ohydzie. Francuskim ministrem spraw zagranicznych był wtedy Guizot. Uczony minister-historyk, a przede wszystkim posłuszny wielbiciel pani Lieven, jeden tylko pozostał całkiem ślepy i głuchy na zajścia galicyjskie. On nie chciał o nich nic wiedzieć, a tem bardziej nie chciał urzędownie ich tykać. Byłby wolał najlepiej przejść nad nimi prosto do porządku dziennego. Na nieszczęście, trudno było zamknąć usta wszystkim członkom parlamentu. Przy rozprawach nad budżetem wydatków tajnych, szlachetny Mon-

talember w mocnych słowach podniósł rzeczy galicyjskie. Poparł go książę Ney. Guizot w swojej zręcznej odpowiedzi na interpelację spróbował wywinąć się po ministerjalnemu. Tłómaczył obszernie, że nie wypada wtrącać się do obojętnych spraw cudzych, że należy „powstrzymywać swoje uczucia dla dobra uprawnionych interesów własnego kraju“, że lepiej dać całkiem pokój Austrii, Metternichowi i wogóle Polakom, gdyż w ten sposób, siedząc cicho, wyświadczy się im największą przysługę i okaże się „najwięcej powagi, moralności, a nawet ludzkości“. Wtedy to, po tym dyplomatycznym wywodzie Guizota, na sesji 19 marca 1846 roku, nagle najniespodziewaniej, z mównicy Izby parów zabrał głos Wiktor Hugo. Jeśli Montalembert przemawiał w duchu najprostszych nauk chrześcijańskich, jeśli Ney poruszył strunę napoleońską, — Wiktor Hugo odezwał się w imię rdzennych tradycji francuskich i europejskich. „Powiem słów niewiele. Ulegam nieprzepartej sile, która ciągnie mnie na tę mównicę. Sprawa, wyniesiona przed wasze zgromadzenie, nie jest to sprawa zwyczajna. Z wewnętrznej swojej istoty góruje ona wysoko ponad ogółem sporów politycznych. Czyliż nie czujecie wszyscy, że ta sprawa posiada swoją samoistną wielkość, sobie tylko właściwą? Albowiem chodzi tutaj o samą cywilizację, którą poniżono przez pewne czyny, dokonane gdzieś w zakątku Europy.... Upewniają nas, że nie płacono chłopom galicyjskim; wypierają się tego. Lecz tyle pewna, że ich prowokowano, że ich zachęcano... Odczuwam w sobie szlachetne poruszenie wszystkiej Francji. Niepodobna, ażeby stamtąd zwracano się do nas napróżno. Dwa tylko narody, w ciągu czterech wieków, odgrywały w cywilizacji europejskiej rolę skroś bezinteresowną: Francja i Polska. Zapamiętajcie to sobie, mości panowie. Francja rozpraszała mroki, Polska odpierała niebezpieczeństwo. Francja szerzyła ideje, Polska trzymała straż na kresach. Jeżeli naród francuski był misjonarzem cywilizacji europejskiej, naród polski był jej rycerzem... Takie rzeczy, moi panowie, nie mogą zatrzeć się w pamięci Europy. Naród, który trudził się dla innych narodów, jest jak mąż cnotliwy, który znój własny przynosił w ofierze dla dobra bliźnich: należy mu się z prawa życzliwość i wdzięczność powszechna, należy się szacunek w nieszczęściu; i chociażby taki naród, nie rządząc się nigdy egoizmem, idąc zawsze za górnym



popędem szlachetnym swoich instyktów, zesłał i zmałał politycznie, przecież na wieki pozostaje wielkim narodem... Niechaj tedy przemówi Francja, a Europa niechaj słucha i rozważy. Onga klątwa Rzymu mocną była wyłączać mocarstwa z rzędu świata religijnego. Niechaj dziś potępienie Francji wydali winnych z towarzystwa uspołecznionej ludzkości”.

Rzecz prosta, te piękne antytezy, te gromy poetyckie nie wywróciły Guizota, nie zniweczyły Metternicha. Gabinet francuski pozostał ściśle neutralnym w sprawie galicyjskiej. Rząd wiedeński spokojnie dokonał wcielenia Rzpltej krakowskiej. Bądź co bądź jednak donośny głos z paryskiej mównicy parowskiej nie przebrzmiał bez echa. Z korespondencji Metternicha przekonać się można, jak niemile dotknęły kanclerza austriackiego niedelikatne rozprawy francuskie. Z drugiej strony, w kilka dni zaraz po tych rozprawach, pod bezpośredniem ich wrażeniem, Guizot w depeszy z dnia 23 marca 1846 roku do hr. Flahauta, ówczesnego posła francuskiego w Wiedniu, upoważnił go przynajmniej do wydawania paszportów Galicjanom, szukającym schronienia we Francji. Zaś po nieco dłuższym namyśle, a oczywiście już po niewczasie, w depeszy z 3 grudnia tegoż roku do tegoż posła, uczony dziejopis „*Cywilizacji europejskiej*“, a lichy kierownik polityki francuskiej, jakim był Guizot, zdobył się na formalny, zgoła zresztą nieskuteczny protest przeciw wcieleniu Krakowa. Wiktor Hugo odąd niejednokrotnie jeszcze zabierał głos publicznie w rozlicznych okolicznościach, bezpośrednio nas dotyczących. Sam już będąc na wygnaniu, po zamachu grudniowym Napoleona III, na dorocznych polskich bankietach zazwyczaj piękne wygłaszał przemówienia, albo też serdeczne posyłał akcesy. Po raz ostatni odezwał się przed czterdziestu paru laty, podczas ciężkich przejęć krajowych, w tym samym niezmiennie duchu sympatycznym, silnym i podniosłym. Dziś, w setną rocznicę jego narodzin, można pochylić głowę nie tylko przed wielkim poetyckim genjuszem francuskim, lecz także przed wielką i czystą duszą europejską Wiktora Hugo.

## Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

Wypadki rosyjskie 1905/6 r. — jakże niedawna to przeszłość, a jakże dziś wydaje się daleką. Zaś bardziej jeszcze od samych wypadków wydaje się dziś odległą psychika owoczesna. Wbrew zasadzie, iż „historja nie zna przeskoków“, *historia non facit saltus*, możnaby zaiste mniemać, że w tem właśnie przesileniu wyjątkowym, nastroje publiczne w Rosji raptownemi zmieniały się skokami. Dotyczy to, między innymi, również i nastrojów w sprawie polskiej. Tem bardziej byłoby pożądanem, aby spostrzeżenia i doświadczenia, poczynione podówczas przez świadków najpowołanszych, t. j. czynnych przedstawicieli politycznych naszych, działających onego czasu na terenie rosyjskim, zostały zachowane w postaci autentycznej, dla własnej pamięci i nauki naszej. Niechaj narazie wolno będzie zgoła niepowołanemu, przygodnemu zupełnie świadkowi, zapisać na tem miejscu jeden drobny, lecz symptomatyczny epizod.

---

Artykuł drukowany w dwóch numerach „Tygodnika Ilustrowanego“ 24 i 25 z dn. 12 i 19. VI. 1909 r., omawia zapiskę (*notice*), złożoną przez prof. Askenazego w końcu 1905 r. na ręce gen.-adjutanta gen. piechoty Ottona von Richtera, członka Rady Państwa i zarządzającego wydziałem prośb na imię Najwyższe. Zapiska ta była jakby uzupełnieniem wydanych w tymże roku przez Askenazego „*Uwag z powodu listu Polaka do ministra rosyjskiego*“, Kraków 1905 (wyd. franc. „*Observations à propos de la lettre d'un Polonais à un ministre russe*“, Paris 1905). Zwracała głównie uwagę na przedstawicielstwo polskie do Dumy i na sprawę szkolną w Królestwie. Przyczyniła się do pomyślnego wówczas rozstrzygnięcia kwestji mandatów poselskich z Królestwa.



Pod koniec lata 1905 r. bawiłem w Petersburgu; rozpoczynając w archiwach tamecznych studia źródłowe nad *Łukasimskim* i *Założeniem Królestwa Polskiego*. Śród wielu światłych i życzliwych Rosjan, którzy w niełatwych tych poszukiwaniach z chętną przychodzili mi pomocą, najskuteczniejszego poparcia doznałem wtedy ze strony generał-adjutanta Ottona v. Richtera. Przy pierwszym widzeniu się powiedział mi: „żywię oddawna szczerze sympatje dla Polski, mam nawet dla niej obowiązki, gdyż właściwie — dodał z uśmiechem — jestem dzieckiem waszej rewolucji listopadowej“. Objął mnie mianowicie, że urodził się w Warszawie, w 1830 r., na krótko przed wybuchem rewolucji. W rzeczy samej, ojciec jego, generał-lejtnant Borys v. Richter, rodem ze starej szlachty inflanckiej, był za Królestwa Kongresowego dowódcą gwardji rosyjskiej, konsystującej w Warszawie; ceniony przez W. Księcia Konstantego, cieszył się on zarazem zasłużonym szacunkiem w towarzystwie warszawskim i kołach wojskowych polskich; wieczorem 29 listopada 1830 r., znajdując się na przedstawieniu w Teatrze Narodowym, został uwięziony przez młodzież rewolucyjną. Generał-adjutant Richter z wysokiem uznaniem wspominał o rycerskiej uprzejmości, okazanej wtedy jego ojcu i całej rodzinie w czasie niewoli przez władze rewolucyjne polskie, a w szczególności przez dyktatora Chłopickiego, oraz prezesa Rządu Narodowego, Adama ks. Czarotorskiego.

Sam on służył pierwotnie, za cesarza Mikołaja I, w huzarach gwardji, uczestniczył w kampanjach węgierskiej i sewastopolskiej i w walkach na Kaukazie. Za cesarza Aleksandra II, jako flieladjudant i naczelnik sztabu gwardji, był wysłany w 1866 r., podczas wojny prusko-austrjackiej, w misji poufnej, z pismem odręcznem monarchy do cesarza Franciszka-Józefa; w 1871 r. został generał-adjutantem i dowódcą dywizji, w 1879 roku dowódcą korpusu. Za cesarza Aleksandra III, mianowany generałem piechoty i członkiem Rady Państwa, był od 1881 r. komenderującym Główną Kwaterą J. C. M., a od 1883 r. zarządzał wydziałem prośb na imię Najwyższe; na tem ostatniem stanowisku często kroć szlachetnem odznaczył się wstawienictwem za nieszczęśliwymi petentami polskimi w trudnej owoczesnej dobie. Odtąd zaliczony był do generał-adjutantów, asystujących przy

osobie Najjaśniejszego Pana, powszechnem otoczony poważaniem dla nieskazitelnego charakteru i światłego sposobu myślenia. Pomimo podeszłego wieku niezmiernie uczynny, interesujący się żywo przeszłością dziejową, dzięki rozległym swoim stosunkom ułatwił mi on w istocie przystęp do niektórych najważniejszych, a dotychczas zamkniętych przede mną zbiorów archiwalnych petersburskich.

Na parę dni przed wyjazdem udałem się, razem z bawiącym wtedy w Petersburgu ś. p. Adamem ordynatem Krasińskim, do generała Richtera, by podziękować mu za doznaną pomoc. Rozmowa zeszła wnet na grunt bardziej aktualny od moich badań przedstuletnich, a mianowicie na palącą wówczas sprawę zakwestjonowania, przez pierwotny manifest o Dumie Państwowej, ilości mandatów poselskich, a nawet samego terminu czynności przedstawicielskiej Królestwa Polskiego. Hr. Krasiński rozumnie i pięknie, we właściwym sobie tonie szlachetnym, oświecił tę sprawę arcyważną. Zapytany zkolei przez gospodarza, co myślę w tej materji, mogłem oczywiście tylko potwierdzić trafne wywody ordynata; zarazem jednak dałem się pociągnąć przez sam przedmiot do wyluszczenia szeregu cisnących się na usta uwag ogólniejszych o położeniu naszym w powszechności i całym dotychczasowym zakroju polityki polskiej rządu. Być może, nieco się uniosłem; pamiętam, że na wychodnem ordynat wyraził mi obawę, czyli życzliwego gospodarza bądź co bądź nie mogły urazić tak gorzkie, niestety, wynurzenia.

Wyznać muszę, że również nie byłem wolny od podobnej obawy, kiedy we dwa dni potem, w przeddzień wyjazdu z Petersburga, odebrałem kartkę od generała Richtera, proszącą o przybycie do niego tegoż dnia między 6—7 popołudniu. Zastałem generała samego. Powiedział mi, że to, co usłyszał zeszłym razem, dało mu do myślenia; że te rzeczy, dla nas widocznie zwyczajne, są przecie mniej znane w Petersburgu; że powinnyby jednak, jego zdaniem, być dokładnie wiadome i uwzględnione „w miejscu wyższem“, „miarodawczem“ (użył kilkakrotnie wyrażenia: „*en lieu supérieur*“, „*lieu compétent*“), do czego mianowicie pragnąłby przyłożyć się osobiście. „Ale — dodał — jestem człowiek stary, i wielu powołanych tu przez pana szczegółów, na których zależy najwięcej, moja stara głowa nie zapamięta.“



Wyraził tedy życzenie, abym poprzednie uwagi ustne złożył w formie zapiski, którą on mógłby niezwłocznie przedstawić w owym „miejscu kompetentnem”; prosił przytem o taką samą w tej zapisce, jak i w poprzedniej rozmowie, otwartość zupełną, ręką słowem za wszelkie skutki. Podkreślił zarazem z naciskiem własne najlepsze dla Polski życzenia; oświadczył, że zarówno w odbytych kampanjach, jakoteż w czasie pokoju, jako dowódca dywizyjny i korpuśny, w podkomendnych sobie Polakach nauczył się cenić najwyborniejszy materiał żołnierski i oficerski; wreszcie wyraził przekonanie, że sanacja sprawy polskiej w duchu liberalnym pierwszorzędnej jest wagi dla całej polityki wewnętrznej i zewnętrznej Rosji, i że w tej sprawie, jak każdej innej, „służąc prawdzie i sprawiedliwości, spodziewa się najlepiej służyć swemu monarsze i Rosji“ (*„c'est ma conviction intime, que dans votre affaire, comme en toute chose, je ne saurais mieux servir la cause de mon Empereur et de la Russie, qu'en servant celle de la justice et de la vérité“*).

Odpowiedziałem, że z powodu wyjazdu, którego odłożyć nie mogę, niepodobna mi służyć żądaniem pismem natychmiast, że jednak nadeślę je niezwłocznie z Warszawy. Zastrzegłem zresztą, że będzie to w każdym razie li tylko wyraz czysto osobistej opinii prywatnego człowieka, nie zajmującego się polityką i nie mającego zgoła żadnego tytułu do przemawiania w czyjemkolwiek innem, jak własnem, imieniu. Istotnie, zaraz po powrocie do Warszawy, w końcu sierpnia t. r., nakreśliłem żadaną zapiskę (*notice*) i posłałem na ręce generała Richtera, przy liście, stwierdzającym wyraźnie, że czynię to, stosując się do jego życzenia (*„me conformant au désir exprimé par V. E.“*), a nie z własnej, niepowołanej inicjatywy.

Zapiska na wstępie podkreślała fakt, iż ze strony rządu, w istniejącem przesileniu państwowem, „sprawa polska wogóle, a Królestwa Polskiego w szczególności, zostaje rozmyślnie odsuwana na plan dalszy. Zostaje zniwelowana do pojęcia jednej z wielu, przeciętnej kwestji administracyjnej. Rzuconą między rozliczne kwestje „kresowe“, „inorodcze“, finlandzką, ormiańską, łotyską, żydowską i t. d., stawianą spólrzędnie z niemi, albo nawet na szarym poza niemi końcu.

„Jest to błąd zasadniczy. Co gorzej, jest to szkodliwa i niebezpieczna fikcja. Sprawa polska, jak była zawsze, tak obecnie, w wyższym jeszcze, niż kiedykolwiek stopniu, przedstawia się dla Rosji, jako pierwszorzędna, całkiem *à part* sprawa polityczna. Taką jest ona na mocy wszystkich swoich starodawnych precedensów. Taką zwłaszcza na mocy przewidywanej przyszłej ewolucji międzynarodowej. Taką wreszcie na mocy prostego faktycznego stanu rzeczy.

„Cała Finlandja ma dwa i pół miliona mieszkańców, rozrzuconych na przestrzeni blisko 300.000 wiorst kw. Królestwo Polskie ma przeszło 11 milionów mieszkańców, siedzących zwartą masą na 111.000 wiorst kw. Czyli ma ludność 4 razy większą, gęstość zaludnienia 12 razy większą. Helsingfors ma 80.000 mieszkańców, Warszawa blisko 800 tysięcy.

„Sucha linja pograniczna Rosji Europejskiej wynosi ogółem 4.000 wiorst; z tego połowa, około 2.000 wiorst, przypada na Królestwo Polskie i przyległe, dawniej polskie, gubernie północno- i południowo-zachodnie. Nadto, kiedy pozostała demarkacja dotyka sąsiadów drugorzędnych (Rumunji, Szwecji, Norwegji), tutaj dotyka ona najpotężniejszych, Prus i Austrii...

„Przeszło 10 proc. ogólnego składu armji rosyjskiej, zgórą 100 tys. ludzi na stopie pokojowej, 300 tys. na wojennej, stanowią katolicy, t. j. Polacy. Samo Królestwo Polskie daje corocznie około 25 tys. wyborowego rekruta. Dochody państwowe z Królestwa wynoszą corocznie około półtora miliona rubli...

„Naród polski liczy dziś ogółem przeszło 20 milionów. Z tego prawie  $\frac{2}{3}$  są pod berłem rosyjskiem. Naród ten, fizycznie, materialnie i duchowo, znajduje się obecnie, pomimo najcięższych warunków bytu, w stadjum rosnącej żywotności i stałego rozwoju. Krzepki i jędrny, dostarcza doskonałego robotnika i żołnierza, płodny, wedle brutalnej skargi kanclerza niemieckiego, „jak króliki“, a mocno odporny na zdrowiu, przy jednej z najwyższych w Europie stopie urodzeń, a umiarkowanej śmiertelności, rozmnaża się w wyjątkowo pomyślnym stosunku. Pracowity i obrotny, rośnie szybko w zamożność, i to w najszerzych swych warstwach: bogaci się szczególnie w stanie włościańskim, postępującym zarówno w samowiedzy narodowej i gospodarczej i z coraz poważniejszymi funduszami przystępującym do



parcelacji; bogaci się w stanie mieszczańskim na solidnej i energicznej przedsiębiorczości wytwórczej i handlowej, zwłaszcza na intensywnym przemyśle fabrycznym, reprezentującym dziś w Królestwie Polskiem produkcję roczną wartości przeszło pół miljarда rubli. Wreszcie, przy coraz pełniejszym zespoleniu wszelkich warstw i stanów w jednolitem poczuciu narodowym, nie uрониwszy nic z nabytków wielowiekowej kultury, na wysokim poziomie utrzymując piśmiennictwo i naukę swojską, dotrzymuje kroku Europie i zachowuje miejsce naczelne wśród Słowiańszczyzny zachodniej.

„Naród ten jest, jak był, jednym z kilku wielkich narodów rodziny europejskiej. Jest kluczem do Zachodu. Jest kluczem do Słowiańszczyzny. Dziś, jak przed 90 laty, jak w chwili przejścia Warszawy pod berło rosyjskie, jest to dla Rosji z tej strony, wedle wyrażenia Napoleona I, „klucz sklepienny“ (*„la clef de voûte“*).“ A sercem tego narodu jest Królestwo Polskie...”

Po tych uwagach wstępnych wyrażony był pogląd na zawodne widoki poprawy w rządzeniu Królestwem w ciągu ostatniego dziesięciolecia, pod kilkoma zmieniającymi się rychło, a bez żadnych śladów rzetelnego postępu, naczelnikami kraju: hr. Szuwałowem, ks. Imeretyńskim, generałami Czertkowem i Maksymowiczem. Zkolei uwydatnionem zostało zupełne zlekceważenie, albo raczej pominięcie sprawy polskiej w tych nawet najogólniejszych nowatorskich zamierzeniach rządowych, jakie weszły na porządek dzienny pod przymusem wynikłego po ostatniej wojnie przesilenia. W tem miejscu dotknięte zostały świeże przeszkody, stawiane od pierwszego już kroku prawidłowej realizacji praw przedstawicielskich Królestwa.

„Manifest o Dumie Państwowej, przewidując pozytywnie udział 50 gubernij wewnętrznych i zachodnich, oraz obwodu Wojska Dońskiego przed połową stycznia 1906 roku i określając dla nich stałą cyfrową normę elektorską — udział Królestwa natomiast, pod względem terminu i normy liczebnej pozostawił w zawieszeniu. Co więcej, zapowiedziane zostały w tej mierze „osobne przepisy“ dla Królestwa, stawianego tu w położeniu wyjątkowem, a mianowicie stawianego imiennie na jednej linii z obwodem Uralskim, Turgajskim, Syberją, Kaukazem, Krajem Stepowym i Turkiestańskim, oraz „koczującymi inorodca-

mi". Samo takie zestawienie ludności Królestwa, w doniosłym akcie ustawodawczym, narówni z Czukczami i Samojedami mogłoby nie wydawać się zbyt szczęśliwym natchnieniem polityki nowatorskiej... Udział w Dumie dla Królestwa nie jest celem, lecz dopiero jednym z najpierwszych środków do poprawy swoich ciężkich warunków bytu. Leży on conajmniej tyleż w interesie państwa, co Królestwa. Tem bardziej winien być oparty na zasadzie absolutnej sprawiedliwości, a więc równoczesności i równomierności bezwzględnej...

„50 wspomnianych gubernij Cesarstwa z obwodem Dońskim liczą około 100 milionów mieszkańców i otrzymują 412 posłów, wedle stopy przeciętnej 1 na 250 tysięcy ludności. Królestwo z ludnością przeszło 11 milionów, winnoby tedy otrzymać conajmniej około 40 posłów. Tak wypadłoby z samego stosunku gęstości zaludnienia, wyższej w Królestwie w przecięciu 4—5 razy, niż w rzeczonych gubernjach Cesarstwa... Gubernja ołoniecka, z ludnością przeszło 25 razy mniejszą od Królestwa, otrzymuje 3 posłów; permska, z gęstością zaludnienia przeszło 10 razy mniejszą, niż w Królestwie, otrzymuje 13 posłów; miasta Astrachań i Samara, z ludnością 6—7 razy mniejszą od Warszawy, otrzymują po 1 pośle. Stosunki te występują sposobem bardziej jeszcze rażącym, jeśli uwzględnić liczbę wyborców z tytułu podatku mieszkaniowego...

„Należałoby tu zresztą, być może, brać również w rachubę niektóre inne, dalsze zapewne, lecz nieobojętne względy moralno-polityczne. Królestwo posiada podobno to, czego brak wyprzedzającym je urzędownie 50 gubernjom wraz z obwodem Dońskim: posiada, obok dawniejszych przedstuletnich tradycyj parlamentarnych, bliższą tradycję 15-letnich liberalnych urzędzeń reprezentacyjnych już pod berłem rosyjskiem Aleksandra I i Mikołaja I. Posiada zarazem, tuż o miedzę, współczesny żywy przykład reprezentacji ziem polskich w przedstawicielstwie centralnem Austrii, Niemiec, Prus. Około 4 milionów Polaków galicyjskich posyła do *Reichsrathu* wiedeńskiego 70 posłów. Około 3 milionów Polaków poznańskich posyła do parlamentu niemieckiego 15 i do Sejmu pruskiego 13 posłów polskich. Jakkolwiek zaś odmienne byłyby tam stosunki, niepodobna przecież całkiem



ignorować skali porównawczej, jaką stąd wysnuwać sobie musi opinia publiczna Królestwa...”

W dalszym ciągu systematyczne usunięcie Królestwa poza nawias wszelkiej specyficznej dlań akcji reformatorskiej w społecznym programie politycznym rządu poddawane było bliższemu oświeceniu. Wskazane zostało, że nawet akt tak dobroczynny, jak ogólny edykt tolerancyjny, wydany był przede wszystkim ze względu na wielomilionową masę starowierców rosyjskich i poniekąd tylko przygodnie (*„incidemment, pour ainsi dire”*), wyszedł także na dobro unitów Królestwa. Z powodu świeżych ulg specyficznych dla innych części państwa, czy to w prawie poborowym finlandzkim, czy w majątku kościelnym ormiańskim, czy w niemieckiej szkole nadbałtyckiej, zaznaczonem zostało, że Królestwo wita z sympatją każdą taką folgę dla innych i dalszego słusznego uwzględnienia ich potrzeb szczerze im życzy, że atoli nie może ono nie odczuwać z głęboką goryczą, iż, samo w największej będąc potrzebie, najmniejszego nie doznaje uwzględnienia, i to w sprawach najbardziej nawet palących.

Jako najnaglejsza sprawa tego rodzaju, została tutaj wskazana sprawa szkolna w Królestwie. „Sprawa ta, poza obrębem (*„sans préjudice”*) ogólniejszych potrzeb Królestwa, jako całości politycznej i administracyjnej, jest dziś dla niego zagadnieniem najżywotniejszym, a rozwiązanie jej w szerokim duchu reformatorskim będzie probierzem mądrości całej dalszej dyrektywy państwowej w sprawie polskiej. Polegać ono może jedynie na przywróceniu społeczeństwu polskiemu w Królestwie szkoły, jaką miało u siebie od wieków, jaką zachowało jeszcze pod berłem rosyjskiem, aż do poprzedniego pokolenia, szkoły, każdemu wielkiemu kulturalnemu narodowi niezbędnej i przykazanej przez niepisane prawo przyrodzone i publiczne, pełnej szkoły polskiej, od początkowej, przez średnią, aż do wyższej, z należytem w niej uwzględnieniem wykładu języka, piśmiennictwa, prawa i historii rosyjskiej...”

Następowało szczegółowsze rozważenie kwestji szkolnej, poczem pokrótce jeszcze poruszone były niektóre najogólniejsze materje pokrewnej natury. Wreszcie dotknięte zostały powody i wpływy faktyczne, tamujące dotychczas wszelką skuteczną

poprawę stanu rzeczy w Królestwie, a co za tem idzie, wszelką istotną poprawę stosunków polsko-rosyjskich. Śród tych wpływów miejsce wydatne przyznane było pruskim.

„Jest rzeczą zrozumiałą, że w trudnem położeniu, wywołanem przez nieszczęśliwą wojnę, Rosja może narazie odczuwać potrzebę przymusowego liczenia się z Prusami. Ale po minięciu obecnego kryzysu, inne wielkie zagadnienia, czasowo zawieszone, wnet tem dobitniej do praw swoich powrócą. Wyniki ostatniej wojny tak czy owak przyłożą się wkońcu do przesunięcia punktu ciężkości polityki rosyjskiej, ze skrajnego Wschodu azjatyckiego, w kierunku bliższego Wschodu i Zachodu europejskiego. Tu zaś wszelka droga prowadzi z konieczności przez Królestwo Polskie. I byłoby już rzeczą zgola niezrozumiałą, gdyby Rosja, ze względów doraźnych na potężnego sąsiada pruskiego, dała się przezeń ostatecznie pociągnąć do fałszywej z gruntu orientacji w sprawie polskiej, a tem samem do zamknięcia sobie na długo, jeśli nie na zawsze, jedynej drogi ku prawidłowemu jej rozwiązaniu“. Na bliższem rozwinięciu uwagi powyższej — przyczem wskazano ochybne wyniki tępiciejskiej polityki polskiej Prus w Poznańskiem, na Śląsku i Mazurach, zmuszonej właśnie dlatego szukać sobie ratunku w utrzymaniu za wszelką cenę *status quo* represyjnej polityki polskiej Rosji w Królestwie, — wyczerpywała się zawartość zapiski.

Wkrótce potem odebrałem z Petersburga list od generała Richtera, gdzie, powołując się na dokonane tymczasem pomyślne rozstrzygnięcie kwestji mandatów poselskich z Królestwa, wyrażał wdzięczność za dostarczoną mu zapiskę, której wywody, przez siebie podzielane, podał do wiadomości w miejscu właściwym.

Pozwoliłem podać sobie drobny fakt powyższy, jako ilustrację onych raptownych przerzutów wstecznych, występujących ostatnimi czasy w Rosji szczególnie w rzeczach polskich. Dostojnik wojskowy rosyjski, który zasłyszane niemal przypadkiem, ze strony prywatnej, szczere uwagi w sprawie polskiej, chwyta skwapliwie i z własnej pobudki stara się spożytkować, powodowany wyłącznie sumieniem i dbałością o rzetelny interes państwowy, — jakże to mocno odbija od chwili obecnej, kiedy odpowiedzialne czynniki rządowe i, co więcej, parlamentarne



rosyjskie okazują się z zasady głuchemi na głos społeczeństwa polskiego. Dwa wręcz przeciwne pojęcia na tak bliskiej tutaj stykają się mecie w samejże Rosji, w samychże kołach górujących tamecznych: które z nich obu lepiej odpowiada już nietylko oczywistej słuszności, lecz prostemu rozumowi stanu, — nie może być wątpliwem.

## O ŚLĄSK, O BYT

### I.

Od dłuższego już czasu działa w Berlinie wielki plebiscytowy komitet Śląski. Na jego czele stoi prezydent parlamentu niemieckiego, p. Fehrenbach. W jednym z wydziałów tego Komitetu, finansowym, przewodniczy znany bankier berliński, p. Mendelssohn. W innym, prasowym, przewodniczy pierwszy poeta niemiecki, p. Hauptmann. Propagandą na miejscu kierują celniejsi przedstawiciele rządzącej socjaldemokracji niemieckiej i związków zawodowych śląskich. Ręka w rękę z nimi pracują najmożliwsi przedstawiciele wielkiego przemysłu i wielkiej własności niemieckiej na Śląsku. Spółpracuje też miejscowe duchowieństwo niemieckie pod episkopalną dyrektywą wrocławską. Znikają tu różnice partyjne i partykularne. Wiadomo, jak przy zduszeniu powstania polskiego na Śląsku szła na wyścigi lewica socjalistyczna niemiecka z hakatystyczną prawicą. Podobna zgodność panuje teraz przy przygotowaniach plebiscytowych. Dzięki temu berliński komitet Śląski rozporządza potężnymi środkami i potężną rozwija działalność. Ma on za sobą poparcie społeczne i rządowe całych prawie Prus i znacznej części Niemiec.

Niemcy, a zwłaszcza Prusy, świadome są niezmiernej wagi sprawy śląskiej. I to nie od dziś dopiero. Potęga zaczepna Prus

---

Artykuł, ogłoszony w nr. 27 z dn. 27. I. 1920 r. „*Kurjera Warszawskiego*“, przed plebiscytem na Śląsku i przed nominacją prof. Askenazego na delegata polskiego przy Lidze Narodów w Genewie, kiedy właśnie sprawa ratowania Śląska Górnego została złożona w jego ręce.



i pruskich Niemiec w znacznej mierze stanęła na Śląsku. Twórca tej potęgi, Fryderyk Wielki, dwie zaczepne prowadził wojny dla zdobycia Śląska. Dla utrzymania go prowadził trzecią, siedmioletnią. Dopiero zmocnione zaborem Śląska, mogły Prusy jąć się rozbioru Polski. Napoleon chciał po Jenie, lecz nie zdążył odebrać im i oddać Śląska Polsce. Poblądził ciężko. Zapewniali go Prusacy, że „prędzej oddaliby Berlin, niż Śląsk“. Mieli rację. To też swój odwet na Napoleonie zaczęli ze Śląska. Tutaj wydał Fryderyk Wilhelm swój odwetowy manifest i zawarł zwycięskie odwetowe z Rosją przeciw Francji przymierze. Podobnie i później bez Śląska nie byłyby możliwą Sadowa, ani też Sedan. Aż wreszcie ostatnia wojna światowa odkryła w całej pełni ogromne polityczno-militarne Śląska znaczenie. Jenerał Ludendorff w swych pamiętnikach powielekroć z największym stwierdza to naciskiem. Chłubi się, że dla osłony Śląska chciał oderwać od Kongresówki całą połącz zachodnią wraz z Zagłębiem dąbrowskim. Gdyż bez Śląska Górnego, bez „*oberschlesisches Kohlenbecken*“, nie byłyby do pomyślenia, w przededniu tej wojny, przepotężna zbrojność Niemiec. Nie byłyby do pomyślenia, w przeciągu tej wojny, dwufrentowa zaczepna ich strategia. I nie byłyby do pomyślenia, po przegraniu przez nie tej wojny, ich odegranie się, pomszczenie. Bez polskiego Śląska pobite pruskie Niemcy nie mogą wziąć odwetu.

## II.

Bez Śląska Polska nie może żyć. Mogła żyć dawna, rolnicza Rzplita, w starym układzie europejskim. Nie potrafi młoda, przemysłowa Polska, w nowożytnym zespole światowym. Bez Śląska ona nie wyżyje, nie wydoła swemu odrodzeniu, zmaglona do ogromnych polityczno-gospodarczych zadań organizacyjnych. Nie wyżyje, nie poradzi swemu samozachowaniu, ściśnięta między dwa polityczno-gospodarcze kolosy: niemiecki a rosyjski. Do organizacji i obrony potrzebuje nieodbitości polskiej ziemi śląskiej i przyrodzonych jej bogactw. Potrzebuje jej węgla. Produkcja roczna węgla górnośląskiego wynosi 50 milionów ton, co, przy sześciokrotnym wzroście ceny, stanowi około 25 miliardów marek polskich. Dochodzi nadto górnośląska

produkcja żelaza, przeszło półtora miliona ton cynku i t. p. Od tego naprawdę zależy waluta polska. W obecnem stadium nie ocalą jej żadne środki czysto finansowe. Rozstrzygnie o niej Śląsk. Jeśli otrzymamy należny nam z natury, z prawa i z wyraźnego brzmienia traktatu wersalskiego, Śląsk Górny, a i Cieszyński, nasza waluta odrazu automatycznie skoczy w górę i stopniowo się uzdrowi. Jeśli, przez jakiegokolwiek wybiegi, nie otrzymamy go, ona niewstrzymanie runie w nicość. Zaś od niej zależą główne nasze funkcje państwowe, poczynając od najelementarniejszych, przemysłowych, komunikacyjnych, aprowizacyjnych i t. p. Z odzyskaniem Śląska ruszą one z martwego punktu, rozjaśnią się, rozwiną, rozmachną. Bez niego wszystko dalej zawikła się, zahamuje lub wręcz stanie, nawet w końcu siła zbrojna <sup>1)</sup>.

### III

Niemcy to wiedzą. Dlatego dziś największą ich troską sprawa śląska. Nie żałują dla niej niczego. Rzucają tam wielkie pieniądze, ostatnie zapasy żywności, najtęższe siły administracyjne i agitacyjne. Ogołocą się, ogłodzą, byle tameczny wygrać plebiscyt. Zaś nawet na wypadek przegranej, już z góry zaradcze stosują sposoby. Wysuwają myśl o odrębnem śląskiem „państwie węglowem“, o „coal — state“. Kuszą niem anglików i amerykańców. Ofiarują się, za zapłatę śląską, do walki z bolszewizmem rosyjskim. Byle tylko nie dopuścić urzeczywistnienia śląskich artykułów 88—90 traktatu wersalskiego. Byle nie dopuścić przewidzianego w tych artykułach przejścia Śląska do Polski. Byle tym sposobem nie dopuścić konsolidacji Polski, a tem samem konsolidacji pokojowych wyników wojny światowej.

I my to wiemy. Wszystko, co się wyżej rzekło, to pewniki, każdemu Polakowi znane, cóż dopiero rządowi. Polscy ministrowie przemysłu i handlu, kolei, pracy, aprowizacji, spraw wewnętrznych, zagranicznych, wojny, nie mogą nie dręczyć się nieustannie zmorą sprawy śląskiej. Nie może nie dręczyć się nią

<sup>1)</sup> Słuszność tezy Askenazego stwierdziło życie; 85% wywozu polskiego stanowią dziś produkty śląskiego zagłębia węglowego.



całe społeczeństwo polskie, bez różnicy dzielnic, stronnictw, stanów. Czy jednak niesłychanej doniosłości tej sprawy istotnie odpowiada dotychczasowe czynne pogotowie rządu i ogółu polskiego? Czy odpowiada ono rozwijanej w tym względzie przeźorności i energii niemieckiej? Czy ta jedyna siła żywa, jaką tam rozporządzamy, ubogi, pracujący polski lud śląski, naprzeciw potężnej, wszechstronnej akcji prusko-niemieckiej, odbiera należytą, zorganizowaną pomoc duchową, materialną, polityczną od stołecznej Warszawy, od polskiej macierzy, od polskiego rządu? Czas największy o tem pomyśleć, gdy nadchodzi traktatowa okupacja Śląska, a za nią traktatowy plebiscyt. Społeczeństwo i rząd polski niezmierną w tej chwili dźwigają odpowiedzialność za bliski wynik sprawy śląskiej. Śród najważniejszych dziś spraw Rzplitej niemasz nad tę ważniejszej.

Idzie o polski Śląsk, a wraz — o byt Polski.

## PRZEMÓWIENIE NA GROBIE KOŚCIUSZKI W SOLURZE 17. X. 1921 O ODRODZENIU OJCZYZNY.

Przed czterema laty, w ten sam ranek jesienny 1917 r., na tem samem miejscu, obchodziliśmy setną rocznicę zgonu Tadeusza Kościuszki. Stała nas tu, na cichym cmentarzysku solurskim, nie bez nadziei, lecz w ciężkiej jeszcze trosce, garstka polskich wygnańców. Już gdzieś hen na widnokręgu zdawała się błada świtać zorza. Lecz jeszcze dookoła gęste zalegały ciemności. Te same ciemności, wśród jakich On, stary Naczelnik, tu na wygnaniu opuszczoną, stroskaną głowę do wiecznego złożył spoczynku. Obrął śmierć na obcej ziemi, w wolnej Szwajcarii, ponad powrót do rozdartej niewolonej ojczyzny. Marzył wrócić do całej i wolnej, za którą walczył i krwawił w którą wierzył do końca.

Dziś, po kilku ledwo leciech, znów stawamy garstką na tym cmentarzyku, nie bezdomni już wygnańcy, lecz obywatele odrodzonej niepodległej Rzeczypospolitej. Marzenie Kościuszki stało się jawą. Jego postawa niezłomna, dziecinna wiara zwyciężyła najmędrszą niewiarę. To była wiara najlepszego Polaka, najlepszego człowieka, w dwie rzeczy wielkie: w ojczyznę i w ludzkość. Odrodzenie Polski dowiodło poprawy, postępu jej samej i świata. Ten świat, który jeszcze przed stuleciem, zostawiając

---

Mowa, wygłoszona w 104 rocznicę zgonu Kościuszki przy grobie jego w Solurze, drukowana była tylko po francusku p. t. *Discours prononcé à Soloure sur la tombe de Thadée Kościuszko, le 17 octobre 1921, jour anniversaire de sa mort.* Genève. Atar éd. 1921, str. 18+1, z reprodukcją miniatury, wykonanej z natury w 1792 przez Tymowskiego.



Polskę pod obcem panowaniem, zamknął powrót do niej Kościuszcze, teraz wreszcie zdobył się dla niej a i dla siebie na wielki akt restytucji, sprawiedliwości, oczyszczenia. A wszędy przytem zakiełkowały ziarna, jego, Kościuszki, ongi ręką rzucone. Wyzwoliła Polskę odwieczna jej sojuszniczka, wielka, nieśmiertelna starsza jej siostrzyca, Francja, gdzie on się kształcił, gdzie dla powstania szukał pomocy i która wczoraj jeszcze, w najcięższej potrzebie nadbiegła sama jedna Polsce z pomocą. Wyzwoliła Ameryka, za której swobodę on krew przelewał. Wyzwoliła Anglja, gdzie on gościł i dla siebie i Polski zdobywał spólcucie i szacunek, stara Polski przyjaciółka i odbiorczyni jej bogactw przyrodzonych, zawsze w dobrobycie Polski interesowana, nigdy z nią w żadnym nie będąca zatargu. Dla tych wielkich narodów, dla udziału ich w wielkiem dziele naszego wyzwolenia, niewygasłą wdzięczność zachowa Polska.

Lecz w tem dziele Polska niepomahała własnym uczestniczyła wysiłkiem. Niezlomnie w ciągu wojny światowej najcięższe wytrzymała próby. Nie uległa pod carskim, krzyżackim, raskuskim gwałtem, ani pokusą. Przełała własnej krwi co niemiara, w każdej z trzech dzielnic, popruskiej, poaustriackiej, a najwięcej w porosyjskiej, w ściślejszej Kościuszki ojczyźnie. Pod Jego następcą, jak on Polakiem-Litwinem, powetowała Maciejowice i Pragę. Obroniła najbliższą Jego sercu Litwę. I niechybnie w tej chwili śmiertelną Jego rocznicę obchodzi z pietyzmem i za Jego modli się duszę wolne Wilno. Wolne, choć jeszcze nie ubezpieczone, lecz z otuchą w przyszłość patrzące. I tu sprawdzi się, sprawdzić się musi, wiara Kościuszki w ludzkość, w świat Zachodu. Ten świat mógł chwilowo niedość trafnie jeszcze ocenić, czem jest Wilno, czem ojczyzna Kościuszki dla Polski. Lecz wzniosła instytucja Ligi Narodów, tak bardzo odpowiadająca wszechludzkim ideałom Kościuszki, bojownika braterstwa ludów, najniezawodniej ponad chwilowe wzniesie się nieporozumienie, i wierna wielkiej wytycznej swej zasadzie samostanowienia ludzi wolnych, pozwoli ludowi Wileńszczyzny, wolnie, samorzutnie, bez niczyjego obcego wpływu, o własnym orzec losie. Swobodne, nieskrępowane Wilno potrafi bezpośrednio bratersko porozumieć się z Warszawą, a tem samem dopiero otworzy drogę do bezpośredniego braterskiego porozumienia Warszawy z Kow-

nem, z tamecznym ludem litewskim. Ten lud ocknie się wtedy i pójdzie nie za głosem teraźniejszych fałszywych swych proroków nienawiści, lecz za głosem miłości Kościuszki.

Jakkolwiek bądź nie jest najgorszą wróżbą sprawiedliwego wykończenia rubieży Polski od Wschodu dokonywujące się obecnie ostateczne ustalenie jej granicy zachodniej. Zamyka się, nie bez ciężkiej straty i bólu, lecz zamyka wreszcie otwarta rana śląska. I tutaj trafimy na ślady Kościuszki. Tędy, ziemią śląską, przedzierał się on z towarzyszami, gotując powstanie. Zaś najznakomitszy jego współpracownik, największy i najdemokratyczniejszy mąż stanu ginącej Rzeczypospolitej, Kołłątaj, w sławnym piśmie o widokach Narodu, pierwszy upomniał się o powrót starej piastowskiej dzielnicy śląskiej do ciała Polski. Zapewne, uchwała Ligi Narodów o Śląsku, dotychczas nieznaną, wedle głoszonych wieści, daleko odbiega od uprawionych aspiracyj Polski i ludu górnośląskiego. Znaczna część tego ludu, niestety, jest podobno skazaną na pozostanie pod obcem panowaniem. Gdyby tak być miało, gdyby Polska tych wiernych miała stracić synów, byłby to cios dla niej jeden z najdotkliwszych. Tyle w każdym razie tuszyć trzeba, że o losie tych wydziedziczonych nie zapomniano, że im przynajmniej wszelkie należne mniejszościom zapewniono prawa i poręki, lecz gdyby nawet tak być miało, nie będziemy winili Ligi Narodów, która doniosła tę sprawę tak późno, w tak obciążonej otrzymała sukcesji, i z pełną bezstronnością nie najlepszego, lecz najmniej złego, kompromisowego, szukać musiała rozwiązania. Polska wszystko zapewne uczyni, aby słuszny swój żal przezwyciężyć, aby nawet przed takim pochylić się rozwiązaniem, aby dać dowód szacunku dla Ligi Narodów i wielkich mocarstw, dowód poświęcenia dla europejskiej i światowej harmonji, dowód niezbity, że przedewszystkiem łaknie ostatecznej konsolidacji swych granic, stosunków dobrego sąsiedztwa i trwałego pokoju.

Polskę w dziejowym jej rozwoju zawsze rozumne cechowało umiarkowanie. Nigdy ona zdobywczej nie prowadziła wojny, nigdy inaczej jak do obrony nie brała oręża. Nigdy zaborczą nie plamiła się chciwością. A jednak dziś spotyka się z potwarzą zachłanności i chęci podboju. Z potwarzą tem osobliwszą, bo szerzoną przez najzachłanniestych, najmilitarniejszych sąsia-



dów z Zachodu i Wschodu. I oto zewsząd słyhać zarzut, że Polska staje się zbyt wielką, większą od innych państw odrodzonych. Zapewne, tak jest. Lecz czyliż jej w tem wina?... Narody, jak ludzie, z woli przyrody i dziejów, większego lub mniejszego rodzą się i urastają wzrostu. Czyliż słusniejszy naród lub człowieka za wielkość winić można? Czyliż wolno prokrustowym przykrawać go sposobem? Oto co mówią fakty: Polska przedpodziałowa obejmowała 750 tysięcy km. kw., na których dziś żyje blisko 60 milj. ludności. Obecna Rzplta, już wraz z częścią Śląska, liczyłaby około 300 tys. km. kw. i 28 milj. mieszkańców, t. j. mniej niż połowę. I na tem poprzestaje.

Niczego więcej nie pragnie Polska, jak być nareszcie w umiarkowanych tych granicach, w skończonym domu własnym, pod dachem własnym, i w dobrem ze wszystkimi dokoła sąsiedztwie, zagospodarować się pracą pokojową dla dobra Narodu. I niejednego już dotychczas taką dokonała pracę. Kraj, w ogromnej części przez wojnę zdeptany, cały jest w orce, siewie, żniwie. Lud włościański polski szybko uporał się z wojenną ruiną swej ziemi. Lud robotniczy skupił się dokoła ocalałych z rozmyślnej najeźdźczej ruiny ognisk przemysłowych. Dokonała się duża robota prowadawcza i administracyjna. Stała Ustawa konstytucyjna. Znacznie postąpiło scalenie państwowe i duchowe trójdzielnicowej Rzpltej. Niektóre dziedziny zarządu wnet na wysokim stanęły stopniu. Sądownictwo w duchu najlepszych polskich i zachodnich poszło tradycyj. Kolejnictwo w najtrudniejszych warunkach rosnącym podoływa wymaganiom. Szkolnictwo w miarę możliwości dotrzymuje kroku żywiołowemu ku oświacie pędowi ogółu. Są też zapewne dziedziny arcyważne, dotkliwie jeszcze szwankujące, a wśród nich najważniejsza skarbowa. Odzwyczaić się dopiero wypadnie ludowi polskiemu od dawnego błędu szlachty polskiej, nieskapiącej państwu krwi a skapiącej mienia. Wzwyczaić się do tego, że jedynym sposobem bogacenia obywateli jest bogacenie Rzpltej, iż za wolność i niepodległość płacić potrzeba. Lecz w tej żywotnej i trudnej sprawie skarbowej winny też Rzpltej, tak wielkimi naturalnemi uposażonej bogactwy, a tak docna ze złota odartej przez rozbiorców, przyjść z czynną i techniczną pomocą te mocarstwa Zachodu, które powołały ją do życia. Winny to uczynić nietylko

w jej, lecz we własnym interesie, w interesie gospodarki europejskiej i światowej, której Polska jednym z cenniejszych staje się czynników.

Lecz dość na tem. Poza brzegi tej chwili i miejsca wylewa się ten wielki przedmiot, co nam dusze zapełnia: odrodzenie Ojczyzny. Co za szczęście o tej rzeczy wielkiej, cudownej na grobie i w rocznicę rozpamiętywać Kościuszki. Wstała z martwych Najjaśniejsza Rzeczpospolita, taka, jakiej On pragnął, cała, wolna, niepodległa, praworządna, ludowa, pokojowa, żyje, działa, pracuje, zarabia na szczęście swych dzieci i szacunek świata, a duch Tadeusza Kościuszki jej błogosławi.





Mal. Józef Peszke

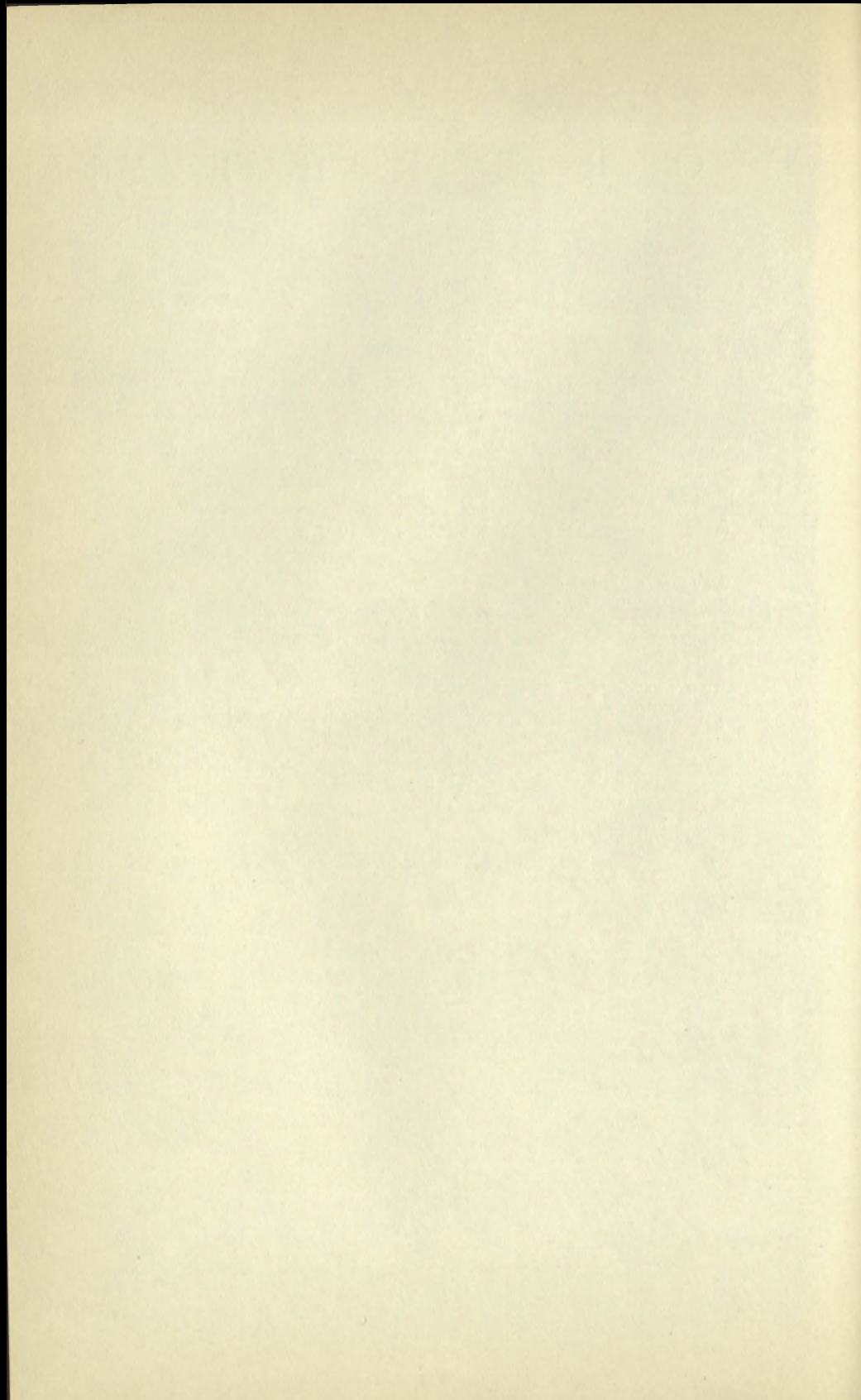
Ratuz: m. Warszawy

*Ignacy Potocki*









## WASHINGTON

### I

Gdy obchodzono stulecie urodzin Washingtona, Warszawa polistopadowa w niemej była żałobie. Dziś dwóchsetlecie może święcić stolica Rzplitej.

---

Przemówienie, wygłoszone w 200 rocznicę urodzin Washingtona w sali ratuszowej w Warszawie i potem wydrukowane w „Kurjerze Warszawskim”, nr. 59 z dn. 28. II. 1932, str. 9—10. Był to ostatni odczyt, wypowiedziany przez Askenazego. Trudno o lepszy dowód nadzwyczajnej sumienności Profesora, jak materiał, zebrany do tego odczytu i przechowywany w spuściźnie po nim. Gdy każdy inny historyk skonstruowałby go na podstawie jednej nowej i dobrej monografji w języku francuskim, niemieckim czy angielskim, Askenazy sprowadził do niego wszystkie najnowsze monografie o Washingtonie w liczbie kilkunastu, studjował wielotomowe zbiory papierów i listów Washingtona i Jeffersona i zostawił kilkadziesiąt kartek, zapisanych drobnym pismem, cytat i streszczeń z tych dzieł. Widać z nich, że prof. Askenazy przestudjował skrupulatnie następującą nowszą literaturę amerykańską do Washingtona: Washington, *Writings*, ed. Washington Ford, N. York, Putnam, 14 tomów, 1889—93. — Woodrow Wilson, *Life of George Washington*, N. York, Hasper, 1896. — John Morse, *Thomes Jefferson*, American Statesman Library ed., Boston, 1898. — *The writings of Th. Jefferson* collected and edited by Paul Leicester Ford, t. I—X, New York, Putnam's Sons 1893—99. — Bowers, *Jefferson and Hamilton*, the stuggli for democracy in anexa (Boston, 1925). — J. Franklin Jameson, *American Revolution comitted asa social movement*, Princeton, Univ. Press, 1926. — Samuel Flagg Bernis, *American Secretaries of State and their diplomacy*, N. York, Knopf, 1927, dwa tomy. — George Washington, *The Image and the Man*.



Pochodził, w czwartym pokoleniu, z będącej kością Staków, farmerskiej rzeszy wychodźczej. Z małych początków, młodszy syn niebogatej rodziny, party umiłowaniem i głodem ziemi, doszedł do rzadkiej tam wtedy, dwustowiókowej fortuny. Bitny osadnik wirgiński, nad linią wypadową indjańskiego pogranicza, jakgdyby zatrącał naszą szlachtą kresową, osiadł z pługiem i bronią nad Czarnym szlakiem ukraińnym. Jego djarjusze gospodarcze, o nowatorskiej, zamiast tytoniu, uprawie pszenicy, obsiewanej naszem podobno ziarnem, o ulubionej stadninie, polowaniach z gończemi, ciągłych utarczkach granicznych, mają trochę posmak staropolskich domowych raptularzy.

Tęgi rolnik, był też nader przemyślnym kupcem. Z piastowanego zaszczytnie dowództwa milicji wirgińskiej ustąpił, po minionej wojennej potrzebie. Wcześniej rodzinne założył ognisko: niezgojoną tajną ranę serca zasklepił rozsądnem, dostatniem małżeństwem. Odtąd lat kilkanaście, na ziemiańskich zajęciach, w prowincjonalnem wirgińskiem spędził środowisku.

Charakter swój, zamłodu dość nierówny, drażliwy, porywczy, potrafił zczasem, siłą trzeźwej woli, uczynić nawskroś zwartym, odpornym, opanowanym. Był, w późniejszych zwłaszcza lecich, zamknięty, skryty, zawsze bardzo cienki. Umysł miał nielotny, a solidny, arcyściśły. Urodzony realista, wciąż jak najściślej obliczał, kalkulował rzeczy, czynniki materjalne i duchowe. Ostatnim, przedśmiertnym jego odruchem będzie spokojne liczenie własnego gasnącego pulsu.

Był wzrostu słusznego, blisko dwóch metrów. Budowa ciężka a jędrna, bez tłuszczu, koścista i muskularna; duża ręka i stopa; twarz pociągła, nos wydatny, szczeka mocna, bystre oko szaro-niebieskie.

## II.

W dojrzałym już, po czterdziestce, wieku, do właściwych sobie, górnych przeznaczeń porwany został przez zbrojny za-

---

By W. E. Woodward. — Corbin, *The Unknown Washington*, N. York, Scribnes, 1930. — *The Letters of Lafayette and Jefferson*. With an Introduction and Notes by Gilbert Chinard, Baltimore 1930. — Norwood Young, *Georges Washington*, Duckworth, London, 1932.

targ kolonji z metropolją. Złagodziły świeże badania amerykańskie sąd o formalnej, prawnej w tym zatargu winie londyńskiego rządu: pozostała rdzenna wina polityczna, napiętnowana w proroczym ostrzeżeniu starego Pitta, iż nie o pergaminy tam szło, lecz o duszę zamorskiego ludu; pozostała sroga nauka, przyświecająca dziś dominjalnej polityce brytyjskiej. Nie żywił Washington ślepej wrogości do starej wyspiarskiej macierzy, dla której zawsze pewien synowski zachowa sentyment. Nie należał do twórców rewolucji; został jej zbawcą.

Powołany najszczęśliwszym wyborem na wodza naczelnego, podźwignął brzemień niezmiernej odpowiedzialności za wynik nierównej walki. Naprzeciw regularnej bojowej przemocy angielskiej, miał zbierane krótkim zaciągiem, topniejące też znienacka, niesforne, nieopatrzono wojska powstańcze. Miał przełożoną sobie władzę kongresową, w rzeczach wojennych ciemną, nieporadną, a nieufną, impozycyjną, od której ciągłych doznawał przeszkód, hamulców, afrontów. Od podwładnych sobie jenerałów niejednej też ciężkiej doświadczał biedy, aż do osławionej jeneralskiej „kabały“, celem pograżenia go, utracenia, a nieraz nawet aż do prostej zdrady. Męczył się okrutnym dylematem: zostać i stracić reputację; odejść i zgubić sprawę. W pierwszym, najgorszym trzechleciu po kruchym kroczył łodzią, gdzie co chwila mogło zapaść się wszystko. Odkąd doczekał się francuskiego sojuszu i sukursu, mimo wielu jeszcze trudności, na twardym stanął gruncie. Aż wkońcu, po stanowczem, kapitulacyjnem porażeniu Anglików, ostatecznie przechyliła się szala. Wtedy to, zwycięskiego wodza zaskoczyło poufne od wojska wezwanie objęcia korony królewskiej. Odrzucił tę pokusę, którą w groźnym odpisie nazwał największą dla kraju i siebie zniewagą.

Ustały tymczasem kroki wojenne, wkrótce wyzwoleniczy nastąpił pokój. Złożył Washington dowództwo, w cudnej zwyciężej odezwie pożegnalnej do Kongresu. Składał mu, jako swemu rozkazodawcy, powinną podziękę, polecał zasługi armji i sprawę narodową — przemilczając co wszystko odeń wycierpiał, przemilczając zgoła o sobie. Poczem cofnął się do wiejskiego swego w Mount-Vernon ustronia.



## III

Wnet przecie u steru niemniej ważnej, cywilnej musiał stanąć służby. Młody Związek przytłoczyło ostre przesilenie powojenne, ustrojowe i gospodarcze, wątpliść nieutralonej jeszcze ośrodkowej więzi, anarchiczne u dołu wstrząsy. Naza-jutrz po zdobyciu niepodległości, haniebna wynurzyła się groźba wewnętrznego rozkładu, upadku. Na czele Konwencji federalnej przewodniczył Washington ratunkowej pracy ustawodawczej. Śród powszechnego zamętu pojęć, skrajnych staropurytańskich tradycyj „ojców-pielgrzymów“, nowych haseł światoburczej nauki Roussa, postępowych dążeń kielkującej partji przeddemokratycznej, bliższych sobie zachowawczych przedrepublikańskiej, ówczesnej federalistowskiej, — pewną ręką przywiódł do szczęśliwego końca dzieło konstytucyjne, na którym spoczęła do dziś dnia pomyślność Stanów Zjednoczonych.

Obrany pierwszym prezydentem, przeprowadził konstytucję przez ogniową próbę życia. Rzekomy, jak go wówczas oskarżano, monarchista, monokrata, objawił się ostoją Republiki. Kartę konstytucyjną miał za świętość; za jej opokę — niezawisły wymiar sprawiedliwości. Był za władzą ludu, dla ludu, nie przez sam lud, za wolnem dwuizbowem przedstawicielstwem i egzekutywą silną i legalną. Był w rządzeniu wielkim gentlemanem. Wprowadził do swego rządu przeciwników swoich; głównego z nich, wirgińskiego swojaka, Jeffersona, zrobił ministrem spraw zagranicznych. Szanował cudze przekonania; szanował siebie. Szanował nadewszystko swój naród, który go zrodził i wyniósł. Swoją, „zdwojoną ponownym wyborem prezydenturę uczynił wzorem dla wszystkich następnych. „Była w nim — zaświadczy jego wielki następca i antagonist, Jefferson, — rzetelność najczystsza, sprawiedliwość nieugięta. Żadne pobudki interesu ani pokrewieństwa, przyjaźni ani nienawiści, nie były zdolne spaczyć jego postanowień... W całym wojskowym i cywilnym swoim zawodzie zawsze był najskrupulatniej posłuszny prawom krajowym“.

Z wygaśnięciem wtórej kadencji, po wspaniałej znów odezwie pożegnalnej, odszedł na resztę życia do domu swego. Nie przedstawiał jednak i nadal czuwać stamtąd nad Unją, którą ostatnim jeszcze wysiłkiem od grożącej wojennej uchronił zawieruchy.

## IV

Stykają się z sobą dwóchsetne rocznice urodzin, świętowana dziś, szczęsna, jasna, pierwszego prezydenta Stanów, i mrokiem, smutkiem spowita, ostatniego króla Rzplitej. Washington bardzo długo nic o Polsce nie wiedział. Nie wiedział nawet, że w rodzimej puszczy wirgińskiej, zanim tam jeszcze jego wyładowali przodkowie, już sprowadzeni z borów naszych robotnicy polscy uczyli pierwszych kolonistów sztuki pędzenia smoły i dziegiu, wyrobu potażu i ługu z popiołów drzewnych. Dowiedział się o Polsce dopiero, gdy w ogniu walki o niepodległość przyszli doń z odsieczą Polacy. Przyszedł naprzód samotny Kościuszko; potem z towarzyszami Pułaski; wreszcie polscy, pod Mieszkowskim, ochotnicy najpierwszej francuskiej legji cudzoziemskiej. To byli synowie ziemi, świeżo złupionej przez pierwszych rozbiorców. Zaś równocześnie widział Washington wrogie szeregi angielskie, pełne najemnego niemieckiego żołdactwa. Widział Fryderyka, odpychającego z wstrętem poselstwo buntowników amerykańskich. Widział Katarzynę, ofiarującą Anglii korpus posiłkowy przeciw tym buntownikom; i z trwogą dopytywał się Kongresu: „czyli już nadchodzą Rosjanie?”

Odtąd stale interesował się Polską. Śledził z współczuciem wysiłki Wielkiego sejmu i Insurekcji. Po jej upadku, serdecznie witał i zapraszał do siebie Kościuszkę, za jego ostatniej w Ameryce bytności.

## V

Wkrótce potem zgasł Washington. Śmierć jego zespoliła naród amerykański w jedynej czci dla „Ojca ojczyzny”. A wraz i obcym uprzytomniła narodom, czem on był dla świata. Heroldem jego wielkości został młody z przeciwnego bieguna mocarz. „Washington umarł — głosił lapidarny rozkaz dzienny Pierwszego konsula Bonaparty do armji francuskiej. — Ten wielki człowiek bił się przeciw tyranom. Imię jego pozostanie drogim na zawsze dla wszystkich ludzi wolnych obojga światów”.

Byli wtedy razem w Paryżu, targani między nadzieją a troską, wodzowie tułacze, Kościuszko, Dąbrowski, Kniaziewicz. Na wieść o zgonie Washingtona nałożyli żałobę. To samo



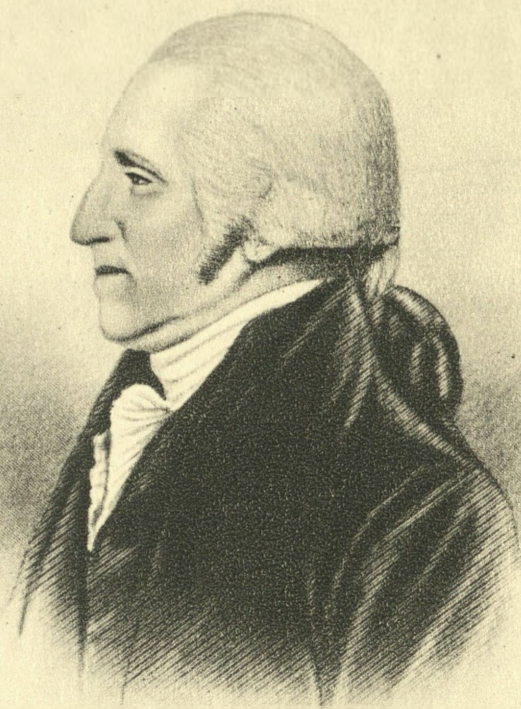
uczynili wszyscy polscy w Paryżu wygnańcy. Do legji polskiej we Włoszech poszedł Dąbrowskiego rozkaz przypięcia odznak żałobnych i okrycia kirem sztandarów.

## VI.

Minęło zgórą stulecie. Wyrosła Unja na największą ziemską potęgę. Trwała w rozdarciu i niewoli Polska. A gdy nareszcie nadeszła godzina jej odrodzenia, wydzwoniona została w ojczyźnie Washingtona. Entuzjastyczny jego biograf, naśladowca, następca, wśród wynikłych z wielkiej wojny dziejowych obowiązków swoich, nie przepomniął o obowiązku dla sprawy polskiej. W imię tego, co wyzwolił i zjednoczył Stany, podniósł Wilson hasło wyzwolonej, zjednoczonej Rzplitej. Z pokojowem swem posłannictwem, wypłynął z Nowego Jorku do Europy na obranym przez siebie statku George Washington. Odprawił wjazd swój do Paryża w sam, obrany przez siebie, dzień śmierci Washingtona. Pod jego egidą uskutecznił powszechną pacyfikację i najwალniejsze w gruncie jej dzieło, odbudowę Polski.

Wznosi się, w amerykańskiej jego imienia stolicy, nad Potomakiem, potężny obelisk Ojca Stanów Zjednoczonych. Wznosi się, na londyńskiem Trafalgar Square, posąg szczytnego zwycięzcy Wielkiej Brytanji. Washington, tem czem był dla swoich, a czem dla nas swego kiedyś natchnie następcę, sam sobie wystawił pomnik w sercach Polaków.

---



Wł. rodzinę Evans

*Jerzy Washington (1796)*



## FRYDERYK I WASHINGTON

(1902)

Wilhelm II zawiadomił telegraficznie prezydenta Stanów Zjednoczonych, że daruje narodowi amerykańskiemu posąg spiżowy Fryderyka Wielkiego dla ustawienia na placu publicznym w Waszyngtonie.

Rozliczne już czyny, a bardziej słowa, nieprzewidziane, nieprawdopodobne, oswoiły świat cywilizowany z nieobliczalną postacią dzisiejszego cesarza niemieckiego, króla pruskiego. Widziano, jak chrześcijański władca europejski rzucił groźbę Hunna pogańskiej Azji. Widziano, jak udzielny mocarz germański korzył się nieproszony przed wszechrosyjskim ma-

---

Artykuł podyktowany oburzeniem z powodu ofiarowania przez cesarza Wilhelma II pomnika Fryderyka II Stanom Zjednoczonym z życzeniem, aby pomnik ten stanął na głównym placu w Waszyngtonie, obok pomnika, postawionego Washingtonowi. Artykuł ten wydrukowany był 24. V. 1902 r. w krakowskim „Czasie”. W obawie jednak przed konfiskatą, cenzura redakcyjna skróciła tekst najdrażliwszego ustępu, który został zredukowany z 15 wierszy maszynowego pisma do 5, tak że zostały z niego tylko słowa: „Rozliczne już czyny, a bardziej słowa niespodziane oswoiły świat cywilizowany z postacią dzisiejszego cesarza niemieckiego, króla pruskiego. Aliści, jak się okazuje, nie doceniono imaginacji Wilhelma II. Oto powziął pomysł zgoła nowy i sensacyjny, iście monumentalny. Znalazł dar stosowny dla wolnej Ameryki: Jerzemu Waszyngtonowi godnego wyznaczył towarzysza: spiżowego Fryderyka Wielkiego”. Artykuł został przetelegrafowany do Ameryki, gdzie, udzielony w przekładzie redakcjom pism, wywołał liczne głosy prasy w tej sprawie.

jestatem. Widziano, jak konstytucyjny monarcha nowoczesny deptał opinię publiczną własnego narodu i poręczone prawa całego szczepu swoich poddanych. Nieraz na taki widok burzyło się w samych Niemczech poczucie sumienia i godności; i sami zniecierpliwieni Niemcy po piętnujące porównanie sięgali aż do najkrwawszych stronic Tacyta i Swentoniusza. Zagranica przestała się dziwić. Przestano brać na serjo te wszystkie efektowne występy monarsze. Przyjmowano je za ledwie z uśmiechem, częściej z lekceważącą nieuwagą. Otrząskano się z koronowanym improwizatorem, *Guillaume l'ines-sable*. Po tylu toastach, depeszach, obrazach, oracjach, podróżach, kazaniach, nie spodziewano się żadnego wyższego konceptu najjaśniejszej tężyzny. Aliści, jak się okazuje, nie doceniono imaginacji Wilhelma II. Oto zdobył się na koncept zgoła nowy i sensacyjny, na pomysł iście monumentalny. Znalazł dar stosowny dla wolnej Ameryki, godnego towarzysza Jerzemu Waszyngtonowi — spiżowego Fryderyka Wielkiego.

Czem dla nas był Fryderyk II — tłumaczyć niema potrzeby. Czem on był dla świata — wytłumaczył oddawna najdobitniej wielki dziejopis angielski, najpoczytniejszy podobno, po biblii, w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. — „Podejrzliwy, wzgardliwy i złośliwy tyran“ (*a tyrant suspicious, disdainful and malevolent*) — tak w czterech wyrazach streszcza lord Macaulay duszę Fryderyka — „utrwalony w pamięci ludzkiej przez łupiestwa, złą wiarę i rząd despotyczny“, a nadewszystko, przez „ową wielką, zyskowną zbrodnię: pierwszy podział Polski“... „Na głowę Fryderyka spada wszystka krew, przelana w ciągu straszliwej, długoletniej wojny we wszystkich częściach świata, krew Anglików, zniesionych pod Fontenoy, krew górali szkockich wyrzniętych pod Culloden. Jego nikczemność (*wickedness*) sprowadziła klęskę na dalekie krainy, gdzie samo imię Prus było nieznanne; i dlatego, żeby on mógł zrabować swego sąsiada, spokojne plemiona czerwonoskórych musiały skalpować się nawzajem nad Wielkimi Jeziorami Ameryki Północnej“.

Taki jest o Fryderyku sprawiedliwy wyrok Macaulaya. Ale może to tylko Anglik sądzi tak surowo? Może Amerykanie mają jakieś szczególniejsze obowiązki wdzięczności dla Wielkiego Fryderyka?



Stary Fryderyk II w rzeczy samej powitał z radością walkę Stanów amerykańskich przeciwko metropolji angielskiej. Wszakże bynajmniej nie dlatego, aby im spółczuwał, aby wierzył w sprawę wolności. W tym człowieku nie było iskry spółczucia, ani wiary. W prywatnych swoich wynurzeniach żartował sobie zjadliwie z federacji amerykańskiej, jak przed paru laty z konfederacji barskiej. Wszak ten sam Pułaski, oplwany przez niego w ohydny rymowanym paszkwilu, prowadził teraz kawalerję hołyszów amerykańskich. — Bawiło króla to bohaterstwo broni „insurgentów“ z Baru i z Filadelfji. „Oni wrócą do tego samego stanu, co przed wojną, tylko z większemi długami“, tak jeszcze pod sam koniec szydził z Amerykanów Fryderyk na poufnych gawędach z Lucchesinim (23 paźdz. 1780 r.). Król pruski nie wierzył w tryumf dobrej sprawy. Ale mściwie zacierał ręce na widok tych rozpaczliwych walk wyzwoleńczych, jak mniemał, beznadziejnych: on poprostu radował się mściwie z kłopotów znienawidzonej Anglii, której nigdy nie wybaczył odstąpienia go w wojnie siedmioletniej. Samym walczącym Stanom, o których porażce ostatecznej nie wątpił, oczywiście wszelkiej odmówił pomocy. On nie pomagał słabszym. Owszem, z landgrafem heskim, głównym dostawcą rekruta dla Anglików, zawarł pocichu kartel werbunkowy. Swoją drogą, z Amerykanami robił dobre interesa, sprzedawał im za drogie pieniądze wysortowaną broń i wybrukowane konie, a skoro jednak wkońcu wygrali, pośpieszył zawrzeć z nimi dogodny traktat handlowy. Nic więcej. Pomocy bezinteresownej niechajby udzielali lekkomyślni Francuzi, albo bodaj szaleni Polacy. Robić konkurencję Lafayettom albo Kościuszkom nie było rzeczą Fryderyka.

Amerykanie współcześni nie żywili też żadnych złudzeń względem osoby i zasad króla pruskiego. Ocenili go według zasług. Ocenił najlepiej sam Jerzy Washington. Wielki Amerykanin śpieszył wyrażać Kościuszcze „uwielbienie i szacunek“, swoją głęboką wdzięczność i sympatję dla nieszczęśliwej Polski. Ale dla Prus, dla Fryderyka, zgoła odmienne piastował uczucia. „Król pruski — pisał Washington do Lafayetteta (10 maja 1786 r. *Washingt. writings*) — rządzi jak tyran nad milionami poddanych... Tysiące ludzi padło na pobojuwiskach dla zaspokojenia

jego ambicji, albo dla obrony jego niesprawiedliwych, tyrańskich czynów“.

Washington za życia odzęgnywał się od Fryderyka. Dzisiaj ślepa, bezmierna pycha waży się pośmiertnie stawiać obok siebie ich obu. Próżny trud, próżna śmiałość. Na progu doby nowoczesnej postawiła Opatrzność te dwie postaci: przeczystą, w przyszłość wpatrzoną, Washingtona, symbol sprawiedliwości i cnoty, pokrzepienie znękanych narodów — oraz posępną Fryderyka, odwróconą ku przeszłości, wcielenie gwałtu i krzywdy dziejowej. Pomiedzy tymi dwoma jest przepaść. Nie pokryją jej żadne cesarskie depesze. Mógł Wilhelm II niedawno darować sułtanowi imitację laski Fryderyka, sławnej trzciny, którą on zwykł był ćwiczyć rekrutów. To był dar, może stosowny dla żywego Abdul Hamida. Ale dla cienia Washingtona mniej stosownym jest darem spiżowy pruski antenat. Jeśli przyjmą ten dar wolni Amerykanie, wypadnie im wprzód okryć kirem te wszystkie miejsca swojej rozległej ojczyzny, gdzie w ich obronie wydał ostatnie tchnienie Pułaski, gdzie w krwawym pocie trudził się Kościuszko, a wypadnie także na całym obszarze Stanów Zjednoczonych zasłonić posagi Jerzego Washingtona.

---



## IGNACY POTOCKI

(sylwetka)

Przewodniczył naczelnie narodowi w jednym z najwaleńszych przesilen, w dobie Ustawy Majowej. Uczestniczył przygotowawczo i kierowniczo w następnem, potężniejszym jeszcze przesileniu, Insurekcji Kościuszkowskiej. W jednym i drugim przypadku całą swoją wystawił osobę i pograżył ją doszczętnie w ruinie obu tych wielkich przedsięwzięć i zgonie Rzpltej.

Prosty ten fakt już sam przez się wyznacza postaci Ignacego Potockiego wysokie, nieśmiertelne stanowisko w dziejach narodowych.

A jednak tej postaci dotychczas dobrze nie znamy. Zapadła się, jakgdyby przywalona przez nieszczęście publiczne, którego jedną z najpierwszych była ofiar. Ostatni, który bliżej stał się z historycznym jej cieniem, był znakomity dziejopis Sejmu Czteroletniego. Osobliwe przecie było to spotkanie. Zdawałoby się, iż badacz i sędzia dzieł sejmowych, przystępując jeno do rzeczy, winien był nasampierw stanąć oko w oko z człowiekiem, będącym istotną Sejmu Wielkiego duszą i sprężyną, nasampierw jego to właśnie pełny ukazać i oświecić wizerunek. Stało się wprost naopak. Ksiądz Kalinka Ignacemu Potockiemu, jak tylko mógł, najdłużej schodził z drogi. Nie miał do niego serca. Nie kwapił się do jego portretu. Tylu innych wprzód, nierównie

---

„Tygodnik Ilustrowany“, 1911 r., nr. nr. 42 i 43. — Przedmowa do Monografij w zakresie dziejów nowożytnych, wyd. S. Askenazy, t. XXI, *Ignacy Potocki*, cz. I (1750—1788) przez K. M. Morawskiego.

mniej godnych albo nawet zgoła podrzędnych działaczy, raz po razie barwne i celne kreślił wizerunki: Szczęsnego Potockiego, Ksawerego Branickiego, Kazimierza Nestora Sapiehy, Jacka Małachowskiego. Przed tą jedną postacią górującą, przed Ignacym Potockim, rzekłbyś, wzdragał się, cofał, bokiem ledwo, podjazdem go zarywał, i dopiero pod sam koniec, niemal pod przymusem, sąd doraźny nad nim uczynił.

„Zalety jego — w takich sąd ów wypadł słowach — skutkiem wad i niedostatków zbyt często marniały i, co gorsza, obrażały się na niekorzyść sprawy, której służył tak wytrwale... Każdym krokiem i każdym słowem dawał znać, że czuje się nieskończenie wyższym nad resztę stworzenia. Jest on ciekawym przykładem, jak dalece korzystne a nigdy niezachwiane o sobie mniemanie może wpłynąć na opinię drugih. Wówczas i długo później uchodził on za najlepszą w Polsce głowę, za niezrównanego statystę; w rzeczywistości zaś był to ideolog, najmniej praktyczny z ludzi wybitnych owego czasu. Lubił snuć plany rozległe, nieraz bardzo sztuczne i skomplikowane; przy nich stał z uporem, w nich szukał sławy dla siebie..., przy tem wszystkiem do pracy leniwy, w działaniu powolny, ze sfery marzeń na pole realne niechętnie schodził, przez brak ścisłości w myśleniu i przez wstręt do krytycznej rachuby nigdy nie umiał albo nie raczył wybierać środków, które jedynie były odpowiednie do wykonania tychże planów. Palony (był) od samej młodości nieugaszoną żądzą znaczenia, odegrania pierwszej roli w Rzpltej... A nie było to w nim skutkiem ambicji chciwej władzy, była tylko chęć rozgłosu i klasku; gdy później władzę osiągnął, użyć jej nie kwapił się, rad na laurach zasypiał... Naprawdę mówiąc... jedno powinno zostać doświadczenie, że ludzie tej miary jak Ignacy, których duch wiecznie niespokojny, których bodźcem bywa nie tak cicha i rzetelna miłość dobra, jak chęć wzbudzenia podziwu i stawiania dla siebie pomników, im więcej miewają blasku i ujmujących pozorów, tem bardziej stają się, i wtedy gdy są w opozycji, i wtedy kiedy przychodzą do steru, nie siłą lecz klęską kraju“. Wysłuchawszy takiego twardego, niemiłosiernego wyroku, możnaby zaiste pomyśleć, że zaszło tu chyba jakieś nieporozumienie, że mianowicie zaszła pomyłka co do osoby podsądnego, że ten pyszałek, leniwiec, uparciuch, fan-



tasta, zarówno klęskowy dla narodu, gdy jego majowej oponuje się woli, jak gdy jego losy samowładną targowicką steruje dłonią, to snadź Szczęsny, nie Ignacy Potocki. Tyle, bądźcobądź, pewna, że wyrok to skroś mylny, niesprawiedliwy, nieważny, zupełnej kasacie ulegający.

Oczywiście nie znaczy to jeszcze bynajmniej, ażeby podobnemu w czambuł potępieniu przeciwstawić równie przesadną apoteozę Ignacego Potockiego. Nie był on napewno bez skazy, nie był Katonem, nie był wymarzonem uosobieniem bezwzględnej, zrównoważonej, jednakiej od początku do końca, cnoty prywatnej i publicznej. To był z krwi i kości syn swojej doby, nienajcnotliwszej pono, saskiej i stanisławowskiej. Pośrodku pierwszej się rodził, przez całą drugą przebrnął. Był też niepomalu grzesznik na modłę tamtoczesną. Był lekki, namiętny, piękny, lubił grę, wino, kobiety. Przedewszystkiem zaś był magnat, był „królewicę“, żył i oddychał w zatrutej atmosferze możnowładczych instynktów sobkostwa, prywaty, pychy, intrygi, spółzawodnictwa. Chował się, kształcił, działał w zatrutem środowisku butnych, a służalczych, niesfornych i ślepych oligarchów owoczesnych, depcących własnego monarchę, płaszczących się przed obcymi, a zwaśnionych pomiędzy sobą, nienawidzących się śmiertelnie, pożerających się nawzajem w samobójczem obłąkaniu rywalizacyjnem, kiedy już kraj pożerali sąsiedzi. Że, znajdując się z urodzenia w samem siedlisku najostrejszych objawów tak powszechnej i zadawnionej choroby, przejął się nią poniekąd Ignacy, nienawidzący i nienawidzony też najmocniej w najbliższem sobie kole magnackiem — czyż dziwota, czyż nawet mogło być inaczej? I czyliż, zapytałby można bez ujmy dla niewątpliwej dobrej woli księdza Kalinki, czyliż sam surowy sędzia-dziejopis, umysł samodzielny i rozważny, tak Nielitościwie, tak jednostronnie potępiając Ignacego Potockiego, nie był w pewnej mierze pod nieświadomem zapewne wrażeniem wpływów psychicznych, będących dalekim odgłosem tamtych przedstuletnich nienawiści rodowych i krewniackich, jakie onego czasu dzieliły Radzyń i Wilanów od Zamku królewskiego, od Puław, Białocerkwi i Tulczyna?

W rzeczy samej, żadnemu nie podpada wątpieniu, iż w pierwszym zwłaszcza, przygotowawczym okresie życia i działalności

Ignacego Potockiego górowały na całej linii owe zewsząd ogarniające go i cisnące nań rozkładowe czynniki oligarchiczne, skierowane mianowicie nasamprzód przeciw królowi Poniatowskiemu. Tędy szło wrogie oddziaływanie wszystkiej bez wyjątku, potężnej a zwartej zrazu, solidarnej Potoczczyny, godząc pierwotnie we wszystką właściwie Familję, niebawem zaś ześrodkowując się głównie na osobie Stanisława-Augusta i jego braci. Pokój napół zawarty między domem Potockich a rdzeniem Familji, odkąd za jej dziedziczki, Lubomirskie, wnuczki Augusta Czartoryskiego, wyswatani zostali bracia Potoccy; wojna odtąd tem zażartsza wspólnemi siłami wydana królowi. Prowadzona ta wojna pod natchnieniem mściwej teściowej, marszałkowej Lubomirskiej, kuzynki i niegdy kochanki, zaczęła nieubłaganej przeciwniczki królewskiej; prowadzona pod kierunkiem Ksawerego Branickiego, ongi przyjaciela królewskiego, z łaski królewskiej hetmana, zaczęła, wedle starodawnych tradycji walki buławy z koroną, najzawziętszego wroga królewskiego. W tej pierwszej epoce oglądaliśmy młodego Ignacego pod egidą swych krewniaków Potockich, pod opieką teściów Lubomirskich, pod sugestją powinowatych Czartoryskich, a ręką w rękę z mentorem Branickim, wicherzącym w kraju, kłaniającym się imperatorowej, jeżdżącym z supliką lub donosem do Petersburga i jeszcze po dziesięcioleciu do Kijowa, oglądaliśmy go na drodze fatalnej, przez tylu nędznych lub zaślepionych wydeptanej poprzedników, przez tylu jeszcze następców wypróbowanej, a wiodącej niechybnie do hańby i zguby. Ale on potrafił zatrzymać się i zejść wpórę. Co więcej, wtedy nawet, gdy jeszcze po tej drodze niebezpiecznej włóczył się albo raczej włóczony był, on już umiał daleko poza jej widnokrąg przenikliwym wybiegać spojrzeniem, a umiał i czynem rozumnym w zdrowsze zbaczać strony, na zagon użytecznej pracy domowej.

Tak więc, kiedy jeszcze za pierwszej petersburskiej swojej wyprawy, pospołu z wytrawnym niby przewodnikiem swoim na gruncie nadnewskim, Branickim, a wedle przemądrych niby skazówek swoich mocodawców familijnych i partyjnych Lubomirskich, Czartoryskich, Potockich, kręte a bezpłodne podejmował tam intrygi, już własnem, nierównie wytrawniejszem i mędrszym wiedziony poczuciem, niedoświadczony młodzieniec



dwudziestokilkuletni takie głębsze, trafiające w samo sedno zapisywał nad Nową spostrzeżenia: „Rzecz prawie niepojęta, niewiadomość (w Petersburgu) rządu, interesów i osób narodu naszego... Rzecz więc atoli pewna, że (Rosja), sprzykrzywszy sobie przez fałszywe posłów swoich raporta Polskę, straci ją bez żadnych dla siebie zysków, albo z nikczemnym zyskiem, podobnym do tego, który przez ostatni podział przyjąć musiała“. Jakże wiele do myślenia w znaczeniu historycznym dają te proste słowa, które o lat kilkanaście wyprzedzają a poniekąd zgóry już oświetlają późniejszy zwrot Ignacego Potockiego ku Prusom, po utraceniu wszelkiej wiary w możliwość dojścia do ładu z Rosją. Jakże wiele do myślenia dają nawet w znaczeniu czysto aktualnym, dziś jeszcze, po upływie półtora stulecia, gdy wciąż ta sama w Petersburgu głęboka, niepoprawna, „prawie niepojęta“, rzeczy polskich panuje nieznajomość, gdy niejako na wzór tamtoczesny, naśladowany wszak jeszcze przez Mikołaja I, który w 1831 r., „sprzykrzywszy sobie“ Królestwo Polskie, wyrażał na piśmie gotowość odstąpienia go Prusom, podobnie i dzisiaj tyłu domorosłych statystów petersburskich, wystawiając „fałszywe raporta“ rozmaitych „posłów swoich“ warszawskich czy chełmskich, zdaje się zmierzać do „zbrzydzenia sobie Polski“ i do „stracenia“ jej, za ladajakim „zyskiem“, na rzecz wyczekującego cierpliwie zachodniego sąsiada. W tym samym również czasie młody Ignacy, któremu przed wyjazdem z Warszawy arcyprzemysłni jego nauczyciele i kierownicy partyjni kładli w głowę tę przewodnią skazówkę taktyczną, iż cała sztuka powodzenia jego misji petersburskiej na tym głównie polega manewrze, aby jak najmocniej uwydatnić w Petersburgu zupełną względem Rosji lojalność własnych dążeń i widoków stronnicych oraz zupełną ich zgodność i harmonję z prawowitym i politycznym interesem rosyjskim — rozejrzawszy się naocznie w Petersburgu, przypatrzwszy się zbliżka tamecznym stosunkom, nastrojom a zwłaszcza samym decydującym mocarzom rządowym, w takich sceptycznych wyrazach odzywał się stamtąd o wątpliwym sukcesie zalecanej sobie taktyki: „Popisujemy się prawami, interesami Rosjan, przed dworem, który praw naszych nie szanuje, który o interesach swoich często zapomina i bardziej słucha pasyj swoich, niż rozsądnego rozumu“. Można by niezawod-

nie w takim poglądzie dopatrzeć się gorzkiej prawdy, nietylko w sensie historycznym i odniesieniu do wypadków XVIII wieku, lecz bodaj poniekąd i we względzie wcale aktualnym i zastosowaniu do spraw polsko-rosyjskich XX stulecia.

Oczywiście w wyższym jeszcze stopniu od tego rodzaju wczesnych a samorzutnych świadectw wyższości myślowej Ignacego Potockiego, musi mu na jego dobro być policzona, w tym najślabszym pierwszym okresie życiowym, wczesna a wybitna jego działalność obywatelska na czele Komisji edukacyjnej.

W następnej dopiero epoce życiowej, krótkiej, sześcioletniej zaledwo, a mieszczącej istotną treść i wartość niepożytą dziejowego powołania Ignacego, miała jego indywidualność publiczna w całej objawić się pełni. Z dwóch podokresów składających tę napiętrzoną wielkimi wypadkami epokę a obejmujących z kolei sprawy Sejmu Czteroletniego i Insurekcji, pierwszy dotychczas wiadomy jest przeważnie z obszernej wykładni ogólnej Kalinki. Jednakowoż ta, jakkolwiek szacowna, lecz o ile zwłaszcza osoby Ignacego dotyczy, nawskroś nieprzychylna i uprzedzona wykładnia dziś już starczyć żadną miarą nie może i zarówno pod względem pojęciowym jak i czysto źródłowym wymaga rdzennej rewizji i uzupełnienia. Jeszcze mniej uczyniono dotychczas dla rozwidnienia roli niepospolitej, odegranej przez Ignacego w Insurekcji. Tutaj nierównie jeszcze trudniejsze i niezwyklejsze było jego stanowisko, kiedy nawet wielu najwybitniejszych i najgorliwszych jego współpracowników z doby Sejmu Wielkiego, jak chociażby zacny Stanisław Małachowski, przerażonych wybrykami rewolucji francuskiej, nie uznało za właściwe przystąpić osobiście do rewolucyjnego w Polsce przedsięwzięcia; kiedy Czartoryscy, wysuwając Kościuskę, sami przecie w ostrożnej pozostawali rezerwie; kiedy wreszcie występujący na widownię „jakóbini polscy“ w gruncie rzeczy nawet idącym z nimi „arystokratom“, w razie najlepszym, na wypadek tryumfu sprawy rewolucyjnej, zdawali się gotować koniec końcem los Filipów Egalité, Lauzunów i innych nawróconych ci-devant francuskich. Wszystko to jednak nie powstrzymało Ignacego od rzucenia siebie bez zastrzeżeń w wir i na pastwę wypadków insurekcyjnych. Jedyne to też niemal była osoba wielkiego magnata, jedyne prawie z pocztu butnych „królewiat“ wielkie nazwisko, jakie wśród tylu skromniejszych



albo zgoła nieznanych szlacheckich i mieszczańskich ukazało się na czele sprawy powstańczej i pozostało tam aż do końca. Gdyż w tym końcu straszliwym, w godzinie klęski i próby najcięższej, z głową podniesioną wytrwał Ignacy Potocki. Podobnie jak o parę lat wcześniej, gdy już dzieła Majowego waliła się budowa, stanął z poważnem upomnieniem przed zdradzieckim sojusznikiem pruskim, przed obliczem Fryderyka-Wilhelma II, tak samo teraz, wobec katastrofy powstania po rzezi Pragi, Ignacy spokojnie przeprawia się przez Wisłę do ociekającego krwią obozu Suworowa i do groźnego zwycięzcy nieustraszoną statysty i patrioty, nie poddańczą zdającego się na łaskę niewolnika, odzywa się mową. „Czyliż nie godziłoby się po tylu doświadczeniach — były słowa Ignacego Potockiego, wyrzeczone wtedy, onego okropnego wieczora listopadowego 1794 r., na Pradze do Suworowa, a górujące w śmiałej propozycji korony polskiej dla młodego W. Księcia Konstantego — innego nareszcie względem Polski jąc się systemu, inne do nas zastosować rządy (*régimes*), oprzeć się nareszcie na swobodnej i dobrowolnej wierze naszej (*se reposer enfin sur notre foi libre et volontaire?*)“ Pomyśleć jeno, jaka to była chwila, gdy wszystko sypało się w gruzy, gdy hasło „ratuj się kto może“ rozbrzmiewało w powietrzu, gdy osłupiała Warszawa w drzeniu czekała wyroku praskiego pogromcy, — a ocenić wyniosłą postawę męża stanu polskiego i rzec o nim przynależne mu rzymskie: *impavidum ferient ruinae*.

Taką samą niezachwianą i godną postawę zachował następnie w okolicznościach rozpaczliwych, kiedy tak łatwo było ugiąć się, złamać albo splamić, w więzieniu i na indagacjach petersburskich. Obszerne zeznania śledcze Ignacego Potockiego w Petersburgu, aczkolwiek niejednen w nich szczegół ulega krytyce pod kątem widzenia wyjątkowej sytuacji zeznającego i obowiązkowej w podobnych warunkach restrykcji, naogół przecie tylko zaszczyt mu przynoszą i wyróżniają się dodatnio i w treści i w formie od społecznych wynurzeń zeznawczych wielu jego towarzyszków niedoli, daleko mniej, niż on, narażonych a daleko bardziej dbałych o wywinięcie się od odpowiedzialności. Te górne, imponujące cechy charakteru i umysłowości Ignacego zostały też należyście ocenione przez świadków i znawców najpowołanszych, przez wrogów, a więc przedewszystkiem przez ówczesnych rządców

petersburskich, w których ręku on teraz się znalazł. Wielowładny Bezborodko, zaraz po przywiezieniu Ignacego z Warszawy kazawszy go sobie sprowadzić, uderzony siłą duchową tego niezwykłego więźnia, po odbytej z nim rozmowie w takich słowach streścił swoje o nim wrażenia: „poprostu mąż stanu (*prjamo gosudarstwiennyj czelowiek, chotia nie posljednij płut*)“<sup>4</sup>. Dość przeciwstawić te dwie opinie: pośmiertny sąd księdza Kalinki, który wyzuwa wielki cień Ignacego Potockiego z wszelkiej istotnej wyższości męża stanu, a społeczny sąd kanclerza Bezborodki, który stojącemu przed nim bezbronnemu, pokonanemu przeciwnikowi tę wyższość przyznać jest zmuszony, — aby rozeznać odrazu, gdzie jest słuszność i prawda.

Rozpoczął się w tym czasie dla Ignacego, po pierwszym zmaconym, po drugim heroicznym, trzeci klęskowy okres życiowy. Okres piętnastoletni, napełniony nieszczęściem, prześladowaniem, osamotnieniem, chorobą, prawie ubóstwem, zaprawiony goryczą piółunową i smutkiem beznadziejnym, wiodącym do śmierci przedwczesnej. Człowiek, który z rządami trzech mocarstw ościennych był traktował jak równy z równym, który w myśli ratowania kraju był ofiarował koronę polską księciu pruskiemu, arcyksięciu austriackiemu, w. księciu rosyjskiemu, teraz od wszystkich tych trzech rządów został ogłoszony zbrodniarzem stanu, ścigany bez miłosierdzia, pozbawiony wolności i majątku. Zaszczepna ta dlań surowość łączyła się przecie u samychże prześladowców z mimowolnym dla prześladowanej znakomitej ofiary szacunkiem. Dał wyraz lapidarny temu szacunkowi cesarz Paweł I, kiedy wnet po wstąpieniu na tron, w pierwszym szlachetnym odruchu darując wolność Ignacemu, ku zgrozie przerażonych takim pogwałceniem etykiety dworaków, ku oburzeniu zatrwożonych posłów Prus i Austrii, porwał więźnia w objęcia i ucałował go w usta ze słowami: „oto jak należy uściskać takiego, jak Pan, człowieka (*voilà comme on embrasse un homme comme vous*)“<sup>5</sup>. Gdy następnie Ignacy, wydobywszy się z Petersburga, gdzie mimo łaskę cesarską wypadło mu doświadczyć zawziętej nienawiści dworaków i biurokratów tamecznych, zamierzał w początku 1797 r. udać się do Berlina, aby osobiście upomnieć się u Fryderyka Wilhelma II, łaskawego ongi przyjaciela i aljanta, zwrotu dóbr skonfiskowanych w obwodzie białostockim, wstrzymany został



w Królewcu przez rozkaz gabinetowy berliński, wzbraniający mu przyjazdu do dzierżaw pruskich; a choć dozwolono mu w roku następnym przyjazdu do t. zw. Prus Nowowschodnich, lecz, dzięki jadowitej, denuncjacyjnej opinii ministrów Alvenslebena i Schroettera, utrzymano konfiskatę starostwa kidulskiego i zakaz bezwarunkowy przyjazdu do Berlina. Przyszła nareszcie kolej prześladowcza również i na rząd austriacki, kiedy latem t.r. schorowanego Ignacego uwięziono na kuracji w Bardyowie, sprowadzono do Krakowa i tam długiej i męczącej poddano indagacji. O nowe tym razem chodziło zbrodnie, o zeszłoroczne w Karlsbadzie widzenie się z wysłańcami legjonów i emigracji paryskiej, z generałem Wojczyńskim, Michałem Kochanowskim i innymi, a mianowicie o tajne uczestnictwo Ignacego, niegdy przewodnika Wielkiego Sejmu, pospołu z marszałkiem Stanisławem Małachowskim, w sprawie wskrzeszenia Sejmu aż w Medjolanie pod osłoną broni legjonowej.

Po zwolnieniu z tej ostatniej opresji austriackiej, wysiadując u siebie w cichym, ubogim niemal Kurowie, osamotniony zupełnie po dawniejszej stracie małżonki a świeżej jedyne ukochanego dziecka, niszczącą nękany niemocą, przecie raz po razie budził się z odrętwienia Ignacy, ilekroć potężny nowożytny powiew dziejowy przynosił nowe przesilenia losów narodowych. Tak więc jesienią 1805 r. stanął w Puławach przed Aleksandrem I, przybywającym tam po raz pierwszy z ułudą odbudowania Polski. Tak w latach następnych w Tylży i za początków Księstwa Warszawskiego, aczkolwiek sam, przez pamięć na przewodni jego udział w Insurekcji a także, być może, przez wzgląd na dane Pawłowi a wiadome Aleksandrowi „słowo honoru“, oddalony od rządów warszawskich, nieraz przecie, w donioślejszych sprawach ogólnych, kierującemu tam bratu Stanisławowi światłą w pomoc przychodził radą. Tak wreszcie, zelektryzowany widokiem naczynym świetnych kampanij galicyjskich sukcesów, porwał się raz jeszcze ostatnim zapasem przedśmiertnej energii, aby w Wiedniu przed panem świata, przed Napoleonem, raz jeszcze podnieść głos mocny za Polską, i aby w służbie Polski tam na obczyźnie spracowanego, stroskanego, a najpewniej skróconego skrytobójczą ręką trucicielską, dokonać żywota.

Dla magnaterji polskiej, która, niestety, tyle do narodowej przyłożyła się zguby, był jednym z niewielu najpoważniejszych, rehabilitujących przed narodem wstawienników; był zaszczytem domu Potockich; był wielkim Polakiem.



## TADEUSZ KOŚCIUSZKO

1746—1817

„But should we wish to warm us on our way  
Through Poland, there is Kosciuszko's name  
Might scatter fire through ice, like Hekla's flame”

*Lord Byron. Don Juan. Canto X.*

### I

#### POCZĄTKI

Tadeusz Kościuszko urodził się 1746 r., w części Rzplitej Polskiej zwanej Wielkiem Księstwem Litewskim, województwie brzeskiem, dzisiejszej gubernji grodzieńskiej. Pochodził ze szlachty miernej, choć starodawnej, znanej od XV wieku. Była to rodzina, bliska krwią tuziemczego białoruskiego ludu; wyniesiona stamtąd służbą książęcą litewską; lecz, przez ciągłe z Polkami małżeństwa i polskie wpływy kulturalne, ciałem i duszą spolszczona. Po praszczurach prawosławnych, jednym kalwinie, miał od XVII wieku przodków wyłącznie katolików łacińskich. Już w tem pochodzeniu tkwił zakład centralnego jego w narodzie stanowiska. Tkwił w zarodzie jednoczący jego

---

Odczyt, który miał być ale nie był wygłoszony na wielkim obchodzie kościuszkowskim w Londynie w setną rocznicę zgonu. Wydany w broszurze, Warszawa w październiku 1917, str. 33, nakł. E. Wende i Spółka (wł. Ludwik Fiszer), z zezwoleniem cenzury niemieckiej z dnia 24. X. 1917.

stosunek do wszystkich dzieci wspólnej macierzy, Rzplitej Polskiej, bez różnicy plemienia, wyznania, stanu. A więc do Litwinów, Białorusinów, Rusinów, narówni z rdzennymi Polakami; do unitów, dyzunitów, dysydyntów, narówni z łacinnikami; do chłopów i mieszczan, narówni ze szlachtą. Przyszły Naczelnik mógł nie tylko sprawiedliwą mądrością, lecz wprost przyrodzonym dobozem, mieć ich wszystkich za jednako sobie bliskich, sam im wszystkim podobnie być bliskim.

Za młodu straciwszy ojca, dziedziczył szczupłą posiadłość ziemską. Rodzina jego, po szlachecku od sąsiedzkiej zawisła magnaterji, należała ostatnio do klienteli książąt Czartoryskich. Ich wpływowi on sam w pewnej podlegał mierze. Pierwsze nauki pobierał na Litwie u księży Pijarów, światłych spółzawodników edukacji jezuickiej. Dostał się potem, 1765, do Warszawy, do nowozałożonej przez króla Stanisława Augusta Szkoły Kadetów. W jej komendancie, kuzynie królewskim, Czartoryskim, życzliwego miał opiekuna. Najwięcej jednak własnej zawdzięczał pracy samouka. Po trzech latach wyszedł od kadetów z szarżą kapitańską. W tym czasie ciężką przeżył przeprawę sercową. Pokochał córkę możnego pana i miał jej wzajemność; lecz chudopacholek wzgardzony był przez jej rodziców. Na sobie i ukochanej poznał klątwę nierówności stanów, nawet pod pozorną równością szlachecką. Przedsięwziął oddalić się; podążył 1769 r. po naukę do Paryża.

Wyjeżdżał z kraju w przededniu pierwszej klęski podziałowej. Na oczach jego dotychczas ku niej staczał się naród. Dzieckiem widział wojska carskie gospodarujące na Litwie, za wojny Siedmioletniej, gdy neutralność Rzplitej gwałciły przemarsze pruskie i rosyjskie. Widział młodzieniec, za ostatniego w Polsce bezkrólewia, 1764, Rosjan ciągnących przez Litwę ku Warszawie, dla osadzenia na tronie Poniatowskiego. Widział potem kadet, jak poseł carowej porywał nocą z Warszawy, 1767, opornych senatorów polskich w niewolę rosyjską. Widział, jak sejm warszawski, 1768, pod rosyjskim bagnetem uchwalał carską porękę anarchji polskiej. Widział wreszcie, 1768—9, konfederację barską, podnoszącą oręż przeciw Rosji; rzeź Polaków na Ukrainie z poduszczenia carowej; wybuch wojny rosyjsko-tureckiej o Polskę; pierwszą grabież austriacką ziemi polskiej. Głę-



boko te ojczyzny odczuwał niedole. Rozczytany w Plutarchu, marzył kiedyś jak Tymoleon „wrócić narodowi wolność, nic z niej sobie nie biorąc“. Tymczasem jednak pozostał biernym. W imprezie barskiej, godzącej bardziej w króla niż Rosję, łączącej szczytny patriotyzm ze stronnictwem zacofaństwem, nie było dlań miejsca. W przeżytku staropolskim, konfederacji szlacheckiej, nie było miejsce wodza Insurekcji narodowej, Polski nowożytnej.

W Paryżu wstąpił zrazu do Królewskiej Akademji malarstwa. Miał pewien talent, łatwo chwycił zarys krajobrazu i podobieństwo portretowe. Lecz wnet poznał swój brak żywszego do sztuki powołania. Uczył się inżynierji wojskowej i cywilnej u głośnych specjalistów, gospodarki społecznej u fizjokratów francuskich. Popadł też pod Roussa urok uczuciowy i pojęciowy, choć jego doktrynę wrodzonym prostym miarkował rozsądkiem. Spotkał w Paryżu żywe dla Polski spólcucie, t. j. dla Barzan, którym posiłki dawał Choiseul a rady Rousseau. Poznał wraz żywość i wątplość tych sympatyj francuskich, do których sam po ćwierci odwoła się wieku.

Z pięcioletniej wracając wędrówki, 1774, zastał jeszcze Sejm warszawski przy ratyfikacji pierwszego podziału. Zarazem ostatnie szczęścia tracił widoki, gdy z magnatem, wbrew jej woli, zaręczano bogdanę. W ciężkim smutku ponownie, 1775, kraj opuścił. Wtem, słysząc, iż kolonje amerykańskie wszczęły walkę wyzwolenczą, postanowił im pomóc. Stwarzał nowy wzór polskiej zasługi. Niegdyś Zachodu przed barbarzyństwem wolna broniła Polska; odtąd syny niewolnej biegli bronić obce ludy przeciw tyranji. Będą odtąd, błędni rycerze wolności, zdala od własnej w kajdanach ojczyzny, przelewać krew za swobodę Amerykanów, Francuzów, Włochów, Greków, Węgrów, samychże ciemiężców swoich, za rewolucję niemiecką, austriacką, rosyjską. To nieraz jawnem będzie szaleństwem, lecz wiecznie zaszczytem imienia Polaka. Zaś drogę tędy nasamprzód swym przykładem wskazał Kościuszko.

## II

### W OBRONIE AMERYKI

Przypłynął, 1776, do Ameryki, jeszcze w swem powstaniu samotnej, dopiero co głoszącej Deklarację Niepodległości, pierw-

szy obrońca Polak, jeden z pierwszych europejskich, na rok nawet przed Lafayettem. Groza nierównej walki, dzikość przyrody, obca ludzi i rzeczy postać, zamiast przygnębić, owszem zachwyciły go i całą tęgość wzniosłej roznieciły duszy. Odrazu też ocenił siłę czystej sprawy amerykańskiej, mianej wtedy w Europie za szaloną, straconą, i z pełną do niej wiarą w swych do domu odzywał się listach. Jeden z tych listów do publicznej dostał się wiadomości: po raz pierwszy wówczas *Gazette de Leyde* podała światu nazwisko młodego „szlachcica polskiego, oficera w służbie Kolonij Zjednoczonych Amerykańskich, pana Kościuszki“.

Zyskawszy od Kongresu stopień pułkownika inżynierji, wszedł w służbę czynną w wojsku północnem pod generałem Gates'em. W kampanji nad Hudsonem przeciw Burgoyne'owi, 1777, sam wybrał i oszańcował stanowisko pod Saratogą. Tem głównie, wedle świadectwa Gates'a, przyczynił się do kapitulacji Burgoyne'a, sukcesu, który, w ciężkiej chwili odwrotu Washingtona i upadku Filadelfji, uratował Stany. Polecony przez Washingtona jako „mąż wiedzy i zasługi“, miał sobie powierzoną fortyfikację West Point. Uczynił ważny ten punkt niezdobytym i strzegł go czujnie.

Gdy dojrzał i doszedł sojusz z Francją, zaczęli stamtąd do Ameryki przybywać inni ochotnicy Polacy. Byli to polscy oficerowie huzarów najpierwszej francuskiej Legji cudzoziemskiej: Mieszkowski, Grabowski, Uzdowski i inni. Przedewszystkiem zaś był Pułaski, wódz barski, który znalazł tu śmierć bohaterską w szalonej szarży pod Savannah. Dzielnych rodaków przewyższał wszakże Kościuszko stanowiskiem wręcz odrębnem. Wyodrębniała go samorzutność jego służby, a zwłaszcza wyższy ton duszy, na surową modłę nowych czasów i Nowego Świata. Rodzaj jego cnoty dobrze z pierwotnem kolonialnem godził się purytaństwem. „Kościuszko — pisał o nim Washington — lepiej jest przystosowany do genjuszu i ducha naszego ludu“. Żył się istotnie z Amerykanami i żywo brał do serca, obok wojennych, i wewnętrzne ich sprawy i przeprawy. Umiał zresztą zachować się z wielkim taktem wśród zatargów tamecznych. Choć bliski osobiście Gates'a, a nawet sekundant jego w politycznym pojedynku, trzymał się przecie zdala od osławionej „kabały“ jego przyjaciół przeciw Washington'owi. Ostre tarcia,



jakich był świadkiem, zamorska odmiana walki toryzmu z wigizmem, spory kongresowe, spółzawodnictwa generalskie, intrygi a nawet zdrady, użyteczną były mu nauką. W okrzyczanej za warcholstwo Polsce, on tak ostrych zgrzytów nigdy za swego nie dopuści Naczelnictwa.

Uzyskawszy, 1780, przeniesienie z West Point do armji czynnej południowej, wydatny miał udział, jako jej kwatermistrz, pod generałem Greene'm, w trudnych walkach, 1781—2, w Wirginji i Obojgu Karolinach. Po zawarciu pokoju, 1783, otrzymał od Kongresu stopień generała brygady „za długie, wierne i użyteczne służby“. Obrany był członkiem Towarzystwa Cyncynatów, którego godło: „*Omnia reliquit servare Rempublicam*“ (Wszystko porzucić dla ochrony Rzplitej), najczyściej miał wcielić. Opuszczając Amerykę, 1784, obok pewnych pojęć polityczno-wojskowych, mniej w Starym Świecie skutecznych, zabrał skarb doświadczenia, hartu, powagi, w jego osobie bezcenny dla Polski.

### III

#### GENERAŁ POLSKI

Po powrocie jak Cyncynat osiadł na roli, gospodarzył w załkątku litewskim, dziedzicznych swych Siechnowicach. Wrócił biedniejszy niż wyjechał, nawet bez zaległego od Stanów żołdu, zadłużony na odbytą wyprawę. Zyskana u obcych wiedza i zasługa stawiała go na świeczniku u swoich. Lecz do służby krajowej nie było pola, gdyż pod poręką carską naprawdę krajowego nie było wojska. Czuł się zresztą bardziej obywatelem niż żołnierzem. Przeciwnik wojsk „regularnych i zawerbowanych gwałtem“, radził Polsce „uformowanie milicji“ wzorem amerykańskim. Lecz i o tem oczywiście pod pięścią rosyjską nie mogło być mowy. Tak lat kilka w bezczynności strawić wypadło.

Ledwo jednak Sejm Wielki, rosyjskie rwąc pęta, uchwalił stutysięczną armję narodową, stawil się do niej Kościuszko. Mianowany 1789 r. generał-majorem, konsystował od 1790 r.

na Podolu i Ukrainie, z wojskiem broniącym tej krawędzi najbardziej zagrożonej niechybną pomstą Katarzyny. Był tu podporą i zastępcą młodego wodza, ks. Józefa Poniatowskiego. Uzdatnić do odporu nieliczne i niewprawne oddziały, to ciężkie zadanie spadło głównie na Kościuszkę, celującego w sztabie polskim wyrobieniem technicznym i wojennym. Zdobył on sobie miłość i zaufanie kolegów i żołnierza. Ćwiczył najzaniechanie bronie główne, piechotę i artylerię, uruchomił i opatrywał wojsko, nadał mu dopiero bitność. Miał na to czasu niewiele. Już w rok po Ustawie Trzeciego Maja znalazł się wobec najazdu wojsk carowej. Ta nieszczęśliwa kampanja ukraińska 1792, przeciw potrójnej przewadze, jeśli zaszczytną była dla broni polskiej pod ks. Józefem, to nienajmniej dzięki Kościuszcze. On to stał w straży tylnej nad przymusowym czuwał odwrotem, umiejętnie i ostro trzymając nieprzyjaciela w respekcie. Jeszcze przy beznadziejnej obronie przeprawy przez Bug pod Dubienką przemożnemu pościgowi krwawo się odciał. Czułny i twardy generał, o brzmiącym znajomo imieniu „Kościuszka“, zabobonna cześć budząc w żołnierzu rosyjskim, głośnym został między kozaczym i rusińskim ludem. Całej Polsce on już wtedy stał się znanym i drogim.

Wtem, pośrodku kampanji, rażony był wraz z wojskiem zdradą króla, wydającego naród i Ustawę Katarzynie. Właśnie odeń posunięty na generał-lejtnanta, natychmiast podał się do dymisji, pospołu z ks. Józefem. Został też obok niego najpopularniejszym w narodzie człowiekiem. Wygórował nawet nad dotychczasowym wodzem, nieobciążony, jak ten synowiec Stanisława Augusta, nazwiskiem króla-zdrajcy. Zaczął wyrastać na męża przyszłości. Czcilo go bez zastrzeżeń wojsko i Warszawa; wysuwali Czartoryscy, zrzucając kuzynostwo Poniatowskich; wołała schroniona zagranicą emigracja Sejmu Wielkiego. Zwróciła nań uwagę Rewolucja francuska. Zgromadzenie Prawodawcze paryskie nadało mu, wraz z Washingtonem i innymi znakomitościami, honorowe obywatelstwo francuskie, jako „obroncy ludów przeciw despotom“. On, cichy, skromny, w pokorze ducha tę nagłą przyjmował sławę, namaszczenie na najwyższą władzę i ofiarę obywatelską.



#### IV

#### POSTAĆ

„Il fut la Pologne elle-même. Il fut, entre tous, éminemment bon. La bonté extraordinaire qui fut entre lui, a eu des effets infiniment favorables à l'avenir de sa patrie. Elle lui a gagné le coeur de toutes les nations, ...convaincues que l'absolue bonté humaine s'est trouvée dans un Polonais“.

Michelet, *Kosciuszko, Les légendes du Nord*.

W chwili, gdy miał stanąć na czele narodu, był już życiowo na schyłku, blisko pięćdziesiątki. A szedł, rzecz młodzi kipiącej właściwsza, niecić i prowadzić rewolucję. Lecz on wolę dojrzałą z nieostygłym kojarzył sercem. Człowiek z jednej bryły, miał przecie skalę duszy rozległą i bardzo różnolitą. Z trzeźwą męską determinacją, łączył łzawą rzewność prawie niewieścią; smutek melancholijny z żartobliwym, pogodnym humorem; wielką skromność z wysokim, drażliwym swej godności pojęciem<sup>1)</sup>. Przystępny i wyrozumiały, umiał zamykać się w sobie, zacinać w potrzebie; niby łatwy, dający sobą powodować, bywał najtrudniejszym, najniezawisłym z ludzi. Głowa raczej solidna niż lotna, rozważał powoli, sięgał głęboko, wnioskował z nieprzelamaną stałością. Myślał prosto a wyrażał się zawile; lecz nagle w samo sedno lapidarnem utrafił słowem. Jeśli w pewnych nie rozeznawał się rzeczach, kiedyindziej rzadką objawiał intuicję. Mniej znał się na ludziach, podejrzliwość litewską i ciężkie doświadczenia z wrodzoną splatając ufnością i wiarą serdeczną. Dobroć gołębia z bohaterską prostotą cechowały go może najosobiściej. Razem w jego postaci wydoskonalił się i wykwitnął oświecony Litwin-Polak, gatunek ludzki jeden z najwyborniejszych jakie polska wydała ziemia, szanujący i miłujący rzeczy czyste i dobre, wiedzę, piękno, przyrodę, ludzkość, sprawiedliwość, honor, wolność, a nadewszystko ojczyznę.

Wartość swą pod niepokąźnym krył wyglądem. Był wzrostu małego, napozór wąły, a składnej, silnej budowy, rasowych

<sup>1)</sup> Nota marginalna ołówkiem: rubasznosc, dziwactwo, zaciętosć.

ramion i nóg, muskularny, wytrzymały, i mimo ran i bólów żylnych zręczny i ruchawy aż do zgonu. Głos miał dźwięczny, donośny, póki zębów nie stracił, włosy ciemne, gęste aż pod śniegiem starości. Rysów był nieregularnych, mieszanego ludowego raczej niż przeciętnego szlacheckiego typu; a wypięknionych przeciągłem, słodkim wejrzeniem niewielkich, głębokich oczu, jaśniejących w chwili wzruszenia blaskiem źrenicy tak widnym, iż twarz całą zdawał się oświecać.

## V

## NACZELNIK NARODU

Już Polska bezwładnie drugi znosiła podział, gdy do swego posłannictwa przystępował Kościuszko. Przez rok przeszło tułał się po Niemczech, Francji, Włoszech, pod imieniem, które wybrał: „pan Bieda“, śledzony, ścigany spiskowiec. Nic mniej jego otwartej, prawej, arcy-polskiej nie odpowiadało duszy. Lecz, jak śledzona, ścigana odtąd wiek przeszło Polska, był do tego zmuszony, największy jej spiskowiec. Udał się, 1793, tajnie do Paryża, by pomoc, ongi Ameryce daną przez Bourbona, zapewnić Polsce od Rewolucji. Żądał posiłków, broni, funduszków, przez flotę francuską na Kurlandję lub Krym, dla przyszłego powstania polskiego. Chciał je oprzeć na wojsku, jeszcze do 50 tysięcy liczącem; na rządzie republikańskim i ludowładczym. Próżno jednak rokował z Żyrondą, Górą, Brissotem i Robespierrem, łudzony lub wręcz odstręczany. Chciano tam wprowadzić powstania w Polsce, lecz nie dla jej zbawienia, owszem choćby kosztem jej zguby, byle jako dogodnej dla Francji dywersji. Wypadło wrócić z niczem, dzieło powstańcze na własną gotować rękę. Zamiast pomocy, była jeno prowokacja obca, od Francji z potrzeby odsiecz, od samychże rozbiorców z chęć dokończenia grabieży. Tymczasem w gwałconym kraju spiskowa gorączka czynu stykała się z beznadziejną rezygnacją. Na samem nawet wychodźstwie jedności nie było. Z takim spletem przeszkód i sideł targał się Kościuszko. Odkładał raz po raz hasło, dla braku przygotowań i sił. Lecz odwlekany spisek poczyniał się odkrywać. Co więcej, pękała główna jego sprężyna.



Powstanie to w swem poczęciu i istocie było nietyle cywilnem, partyzanckiem, jak barskie i styczniowe, ile, jak listopadowe, wojskowem, regularnem. Owóż Rosja obecnie przymusową redukcją, jak 1830 r. mobilizacją, groziła zabrać wojsko. Ta groźba w obu wypadkach przyśpieszyła wybuch.

Rankiem wiosennym 1794, w nielicznej świcie, przy jednym bataljonie piechoty polskiej, Kościuszko na rynku Krakowskim wezwał naród do broni. Uchylił zarówno konfederację szlachecką, jak wojskowe pronunciamiento. Ogłosił akt powstania „obywatelów i mieszkańców” województwa krakowskiego, stanowiący jego Naczelnikiem Najwyższym. Wydał odezwy do wojska, obywatelstwa, duchowieństwa i, z właściwą sobie czułością, do kobiet polskich. Wykonał przysięgę, iż użyje władzy „jedynie dla obrony całości granic, odzyskania samowładności Narodu i ugruntowania powszechnej wolności”. Święte trójhąsło: Wolność, Całość, Niepodległość, wpoił nazawsze pokoleniom Polaków. Cichy, z szarego gminu człowiek, lecz wielki Polski imieniem i prawem, rzucał rękawicę trzem potęgom rozbiorczym. Właściwie, w akcie powstańczym, gromiąc Rosję i Prusy, milczał o Austrii, nieuczestniczącej w drugim rozbiorze. Zrazu nawet w samą tylko mierzył Rosję. Był łudzony z Wiednia życzliwością Austrii, a z Paryża i Berlina neutralnością Prus. Wnet zmuszony dobyć oręża, zniósł pod Raławicami Rosjan, wiodąc na działa trzystu chłopów krakowskich z kosami na sztorc. Tu dopiero myśl powstania ciałem zrobił, stąd iskrę do Warszawy i Wilna rzucił. Co więcej, w włościańskiej odtąd sukmanie, przyszłość Polski wsparł o granit, o lud.

Dotychczas działał sam. Jego kierownicy, lepsi odeń politycy, ksiądz Kołłątaj i Ignacy Potocki, jeszcze wtedy nie przybyli z wychodztwa. Sam, bez nich, spełnił dwa czyny twórcze, krakowski i raławicki. Zaczynał prawie z niczem. I aż do końca ogromne cierpieć będzie braki. Wojska mógł mieć część tylko, gdyż blisko połowę przedtem zdążono zarwać lub rozpuścić. Nie miał go ani w tej liczbie, ani z tą tradycją, by jego kadry, jak w rewolucyjnej Francji spółczesnej, zdołały wchłonąć zbrojny naród. Zawiodła go też nietylko myśl milicji ochotniczej na wzór amerykański, lecz i konskrypcja rewolucyjna na sposób francuski. Nie miał za sobą episkopatu, jeno niższy raczej kler i zakonników.

Nie miał magnaterji, prócz pań, trochy młodzieży i ograniczonej pomocy tajnej paru domów. Mógł liczyć na księżnę Izabelę Czartoryską, ks. Wirtemberską, kanclerzynę Zamoyską, Julję Potocką, Urszulę Tarnowską i inne. Miał ks. Józefa, Eustachego Sanguszkę, wbrew woli rodziców; ale już młodego ks. Adama Czartoryskiego, chcć się rwał do powstania, nie puściła rodzina. Miał wprawdzie mieszczaństwo, zdolne do tęgiego rozmachu, lecz nawet w Warszawie niedość jeszcze wtedy wyrobione narodowo. Miał zrazu garnących się ochotnie Krakusów i Kurpiów, lecz naogół w niedojrzałym jeszcze ludzie musiał szukać kantonisty zamiast ochotnika. Ostatecznie, bądźcobądź, główne oparcie miał w szlachcie, poczęści i w możniejszej, dającej wzór ofiarności wielkim panom, przedewszystkiem zaś w miernej i ubogiej, skąd on sam wyszedł, która krew i ducha dała kiedyś na budowę, a teraz i potem na odkupienie Rzplitej. Inne braki samo jego rodziło stanowisko. Nie mógł, jak Washington, oprzeć się na Kongresie, jak rewolucja francuska na Konwencji, jak listopadowa na Sejmie. Musiał wyłączyć z powstania Sejm Wielki. Musiał wyrzec się czynnego poparcia wielu najzacniejszych tego Sejmu mężów, którzy, jak sam zasłużony marszałek Małachowski, wdrygali się na rewolucję, przerażeni wybrykami francuskiej. Z drugiej strony on sam posunął się naprzód, poza sankcje sejmowe, pod niejednym względem polityczno-społecznym. To wszystko razem niezmiernie zwiększało trudności, niebezpieczeństwa i osobistą jego odpowiedzialność. Poradzić z tem wszystkiem, na to bodaj czy byłaby starczyła żywiołowa, bezwzględna, nadludzka siła geniuszu. On tylko prostą swoją, bardzo rodzimą i bardzo ludzką przynosił cnotę. I właśnie tą prostą indywidualnością swoją wycisnął na powstaniu swe osobiste piętno nieśmiertelne.

Jeśli Trzeci Maj był testamentem starej Polski, Powstanie Narodowe było ewangelją nowożytniej. Ustawę Majową, choć dzielnie jej bronił w kampanji ukraińskiej, Kościuszko miał za niedość demokratyczną, niedość o lud troskliwą. Teraz uniwersałem połanieckim zniósł poddaństwo, ogłosił chłopą wolnym. Wyprzedził dla całej Polski wyzwolenie ludu, dane dopiero przez Napoleona samemu Księstwu Warszawskiemu. Zmniejszył też robocizny, uznał w zasadzie chłopską „własność posiadanego gruntu”: lecz, jak później Napoleon, cofnął się przed uwłaszczeniem. Strzec





*Mal. John Trumbull*

*Portret olejny, robiony w Ameryce*

*Tadeusz Kościuszko*

się musiał żakerji, do której, jak za Baru i Sejmu zeszłego, znów szczyła Rosja. Liczyć się też musiał z pomocą obywatelstwa i kleru, tak wprost, jak pośrednim ich na lud wpływem. Nieraz mu tę wstrzemięźliwość wyrzucano jako słabość; mawiano, iż Polsce trzebaby „Sulli“. On nim być ani chciał ani mógł. Czy przez rewolucję agrarną ocaliłby powstanie? niewiedomo; a mógłby w jej chaosie utopić społeczność. Uniwersałem połanieckim wprowadzie mas ludowych doraźnie nie porwał; lecz wystawił drogowskaz i jasne przed światem świadectwo dobrej woli narodu.

Obok włościańskiej, wielorakich też innych trudnych spraw Rzplitej w szlachetnym i mądrym tykał sposobie. Zagrzewał a miarkował patrijotyczne mieszczaństwo wyzwolonej Warszawy. Pociągał nawet ciemne żydostwo stworzeniem własnego pułku do obrony kraju. Zrażonych dysydentów szczerym pełnej tolerancji zyskiwał głosem. Ujmował zacięte duchowieństwo dyzunickie, „niewolników moskiewskich, z nami szanownych kapłanów“, a przez nich lud prawosławny i kozaczy. Serdecznie a mocno Litwę swoją zachęcał i przed zgubnym przestrzegał separatyzmem. „Polska bez Was o Was radzić nie będzie, zapyta się Was samych, co waszą zdoła ugruntować szczęśliwość“: temi słowy dla Kurlandji i Łotwy, dla innorodczych Rzplitej żywiołów, nowożytną samookreślenia stanowił zasadę. Najpiękniej zaś, jak nikt inny, do całego Narodu z dyktatorską powagą a wraz z popułałym synowskim przemawiał respektem. „Narodzie — wołał — racz poznać swą siłę“. O sobie samym najrzadziej i zawsze w najczystszym, najcichszym wspominał duchu. „Chce zniszczyć Nieprzyjaciela. Czynie niektóre dyspozycye tym czasem a zostawuie prawo stanowienia Narodowi. Niech ustanowi taki Rząd iak się iemu podobać będzie. Rzuć broń w izbie Seymowej bez żadnego interesu osobistego, tylko abym użył w domku małym spokojności aż do śmierci i bawił się ogródkiem“. „O mnie nie trzeba myśleć, ia skączę z Oyczyzną moią. Gdy będzie szczęsną, i ia z nią będę; nie, to i życie moje niepotrzebne iey“. „Niech nikt, kto cnotliwy, nie pragnie władzy. Złożono ią w moich ręku na ten moment krytyczny; wyznaie iż iey konca tak szczyrze pragne, iak samego zbawienia Narodu“.

Tymczasem był wciąż o włos od zguby. Przez złudę pruską wpadłszy pod Szczekocinami między wojska Katarzyny a Fry-



deryka-Wilhelma, ciężkiej doznał porażki. Ledwo uszedł z pobojowiska; chciał podobno zginąć. Lecz wnet z tem większą podniósł się energją. Odtąd jawnie już był sam ze swym narodem. Po berlińskiej niebawem i wiedeńska przysła złuda. Kościuszko, acz republikanin, gotów był, dla zbawienia kraju, koronę polską oddać Habsburgom. Ale ostatecznie, obok Rosji i Prus, uderzyła nań Austrja. Francja Robespiera i Thermidora zarówno odmawiała pomocy. W takich warunkach Kościuszko bronił Litwy, niecił ruchawkę na Wołyniu i w Kurlandji, wszczynał dywersję w Wielkopolsce. Sam przez dwa miesiące bronił skutecznie Warszawy przed Prusakami, zmuszonymi wreszcie zwinąć oblężenie. Postawił ogółem na nogi do 80 tysięcy zbrojnych. Trzymał się przeszło pół roku przeciw łącznej trójrozbiorczej sile. Nakoniec, fatalnej daty jesiennej pobity pod Maciejowicami, schodząc ostatni z pola, może znów nie chcąc przeżyć porażki, padł w milczeniu, ciężko w głowę ranny, a za nim wrychle runęło powstanie.

## VI

### JENIEC I TUŁACZ

„Hope, for a season, bade the world farewell,  
And Freedom shriek'd, as Kosciuszko fell“.

*Thomas Campbell, The Fall of Poland.*

Porwany nad Nową, w twierdzy petropawłowskiej był poddany indagacji karnej, nie jak wódz, nie jak jeniec wojenny, lecz jak zbrodzień stanu. Chciała zeń dobyć mściwa carowa dowody spółnictwa rewolucji francuskiej, rządów Berlina i Wiednia, wielkich panów i dam polskich, nawet biednych kozaków dońskich. On niczego, nikogo nie wydał; udzielił zeznań oględnych i godnych. Lecz udręki więzienne i śledcze przebrały miarę fizycznej jego odporności, wstrząśnionej ranami i straszną męką myśli o swej klęsce i narodowym nieszczęściu. Rozchorował się śmiertelnie. Ledwo odratowany, przeniesiony do Petersburga, wegetował tam dwa lata w zamknięciu, osłabieniu i głębokiem przygnębieniu.

Nagle, z końcem 1796, po zgonie Katarzyny, ujrzał Pawła wchodzącego w otoczeniu Wielkich Książąt, by przywrócić mu wolność. Pierwszym jego odruchem było wyprosić ją u cara dla kilkunastu tysięcy Polaków, trzymanych w kajdanach rosyjskich i na Syberji. Zyskał dla nich amnestję: lecz schorzały, wyczerpany, dał się skłonić wzamian do uznania władzy Pawła. Ten akt wyłudzony na wdzięczności, wzruszeniu, przeczuleniu Kościuszki, zaciążył zmorą na jego wysokiej samowiedzy wodza narodu. Zażądał zaraz od Pawła pozwolenia wyjazdu do Ameryki, i obsypany nieproszonemi jego dary, śpiesznie opuścił Rosję. Po drodze, w Szwecji i Anglii, był z czią witany przez ludność, lecz bacznie też śledzony przez poselstwa rosyjskie. Wtedy, w drodze, zasłyszał o cudach broni francuskiej we Włoszech i tworzonych tam pod Bonapartem Legjach polskich. Ciągnęło go do Paryża, do zwycięskiej Republiki, pod której skrzydłem zdały się nowe dla Polski otwierać widoki. Lecz wstrzymywały zbyt świeże, względy petersburskie i obawa zaszkodzenia dopełnianej akcji amnestyjnej. Udał się tedy Kościuszko do Ameryki, z myślą wszakże rychłego do Francji nawrotu.

Przybywszy 1797 do Filadelfji, pośpieszył stamtąd o tym zamiarze uprzedzić władze francuskie. Tymczasem spoczął nieco na wywalczonej i jego trudem wolnej ziemi amerykańskiej. Serdecznie przywitany przez Washingtona, wyrzekł się jednak osobistego z nim widzenia. Trzymał się natomiast bliższych dawniejszych przyjaciół. Zastał w Stanach zatarg wewnętrzny, na tle zewnętrznem, partji umiarkowanej i anglofilskiej, dokąd zaliczano Washingtona, ze skrajną i frankofilską, pod gorącym Jeffersonem. Spór z Francją, o surowszą neutralność Stanów względem Anglii, obostrzył się niebawem aż prawie do zerwania. Wobec groźby wojny francusko-amerykańskiej, która zamknęłaby go za Oceanem, Kościuszko nie chciał tam swego przedłużać pobytu. Miał on też pono, od ściślejszych swych przyjaciół amerykańskich, pomóc w Paryżu do złagodzenia zatargu dwóch wielkich republik. Kryć się jednak bardzo musiał. Śledzony nawet w Ameryce przez agentów Rosji i koalicji, mógł być pochwycony w drodze powrotnej. Na samem wyjeździe jeszcze o dobrym pomyślał uczynku. Pomyślał o najniebezpieczniejszych czarnych w ludzkości braciach. Sporządził testament,



gdzie przyznany sobie od Kongresu żołd zaległy przeznaczał po swej śmierci na wykup murzynów i kształcenie ich na ludzi wolnych. Poczem najtajniej, za wiedzą jednego tylko Jeffersona, swego wykonawcy testamentowego, odpłynął do Europy.

Zjawił się w Paryżu, 1798, między zawodem a nadzieją Polaków, pokojowym końcem pierwszej koalicji a wybuchem drugiej. Przybyciem swem ściągnął na siebie oczy świata. Najpierw od petersburskiej wyzwolił się zmory. Pismem otwartem i zwrotem darów zerwał z Pawłem. Rozpętał tem złość i strach trójdzielców. Wnet wyszły tam nakazy ścigania go i chwytania. W Paryżu natomiast, gdzie odtąd lat kilkanaście miał spędzić, gościnno go doznał przyjęcia. Na wieść jego powrotu drgnęły Legje polskie w Rzymie i Mantui. Bijąc się za Francję dla Polski, były one znękane zawartym pokojem i odjazdem Bonapartego. Teraz ożyły na widok zmartwychwstałego starego Naczelnika. Pochyliły przed nim swe sztandary, oddały się pod jego rozkazy. Kościuszko te sieroty odnalezione witał, rzeźwił serdecznie i pod ojcowską brał pieczę. Ofiarowanej sobie przez rząd francuski komendy i pensji nie przyjął. Został moralnym jeno wodzem i opiekunem Legji. Popierał u Dyrektorjatu; prócz obu włoskich, wspomógł twór nowej, nadreńskiej. Lecz wkrótce, 1799, zaskoczony był klęską upragnionej drugiej wojny koalicyjnej. Ujrzał drogie swe Legje rozbite nad Trebbią i pod Novi ręką kata swej niegdy insurekcji, Suworowa. Widział Republikę francuską wyzutą ze swych zwycięstw, zagrożoną najazdem. I spotkał się z przybywającym na jej sukurs Bonapartem.

Bonaparte, wróciwszy z Egiptu, pośpieszył złożyć hołd Kościuszcze, odwiedzić go w skromnem jego mieszkaniu paryskim. Lecz ci dwaj ludzie, genjusz a cnota, od pierwszego odepchnęli się wejrzenia. Porozumienie między nimi byłoby w interesie Polski, Francji, Europy. Tembardziej było zwalczane przez żywioły partyjne polskie, opozycyjne francuskie, koalicyjne europejskie. Co główna, niebawem zamach Brumaire'a wzniósł ścianę nieprzebytą między Najwyższym Naczelnikiem — Cyn-cynatem a Pierwszym Konsulem — Cezarem. Nadomiar, po swem zerwaniu z carem, Kościuszko niezmiernie był dotknięty zbliżeniem Bonapartego do Pawła. Wtedy to, 1800, zwątpiwszy w pomoc francuską, przemyślał nawet o nowem samoistnem

powstaniu polskim. Dał tej myśli wyraz w programowym piśmie do rodaków o wybiciu się na wolność własną siłą. Wszedł też w styczność ze związkami tajnymi w Polsce. Na szczęście ten zwrot rozpaczny wstrzymało, 1801, objęcie rządów przez Aleksandra I, pod przychylnym Polsce znakiem. Młody car starał się zdala ująć sobie Kościuszkę, przez bliskich mu Polaków, Szwajcarów, Amerykanów, pozornym swym liberalizmem. Zaś jak przedtem żał do Pawła, tak odtąd niejaka wiara w Aleksandra odstręczała od Napoleona, grzebiącego republikę pod swym tronem cesarskim.

Odtąd, zwłaszcza pod wpływem prac Czartoryskiego, powiernika i ministra Aleksandra, nastąpił pewien przełom w pojęciach Kościuszki. Brał on teraz pod uwagę widoki odnowy Polski z tamtej raczej, koalicyjnej strony, przez Rosję. Ale próba Czartoryskiego w tym duchu za trzeciej koalicji, 1805, padła pod Austerlitzem. Natomiast w następnej wojnie koalicyjnej, po rozbiciu Prus, wejście Francuzów do Polski zdawało się ziszczać pierwotne widoki wyzwolenicze polskie. Wówczas, 1806, ze zdobytego Berlina Napoleon wezwał Kościuszkę do stanięcia na czele powstających rodaków. Ale dawny Naczelnik nie miał zaufania do gwiazdy zdobywcy, ani do obietnic niewiernego syna republiki. Odmówił wezwaniu i w Paryżu pozostał. Czy swem przybyciem całą zapalając Polskę, byłby nietylko wsparł Napoleona, lecz i sforsował mu rękę w sprawie polskiej? Czy zamiast połowicznej, na promie pośród Niemna, tylżyckiej kreacji Księstwa Warszawskiego, byłby go porwał poza Niemen, ku odbudowie państwa polskiego? Tego przesądzać niepodobna. Zresztą Kościuszkę swe uczestnictwo w pierwszej kampanji polskiej Napoleona przeciw Prusom uzależniał od wyraźnych jego zobowiązań na rzecz całej Polski. W każdym razie, odmową swego udziału w tej kampanji, zrzekł się udziału w drugiej, 1809, przeciw Austrii, i trzeciej, 1812, przeciw Rosji. W inne dłonie, Józefa Poniatowskiego, odstępował czynne dowództwo narodowe. W tej rezygnacji, płynącej z najczystszych natchnień sumienia, był wielki tragizm duchowy.

Po klęsce Napoleona, śmierci ks. Józefa, upadku Księstwa Warszawskiego, na ratunek ginącej sprawy polskiej znów stary, siedemdziesięcioletni stawiał się Kościuszkę. Przed Aleksandrem,



którego w. księciem był żegnał w Petersburgu a oglądał panem świata w Paryżu, 1814, wprowadzony przez Czartoryskiego, upomniął się o Polskę. Żądał przywrócenia jej przynajmniej w większości dawnych granic, z wolnym rządem i uwłaszczaniem włościaństwem. Od cara, wśród oznak czci najwyższej, usłyszał przyrzeczenia wspaniałe, lecz poufne, niepochwytne, słowne. Potem długo nic odeń nie słyszał, gdy Polskę na stole sekcyjnym wiedeńskiego krajano Kongresu. Naraz, 1815, wnet po piorunowym powrocie Napoleona z Elby, odebrał nagłą wezwanie carskie do Wiednia, do udziału w odrodzeniu Polski. Opuścił napoleoński znów Paryż i Francję Studniową. Od spotkanego po drodze Aleksandra niczem zbyty, w Wiedniu z ust Czartoryskiego gorzką poznał prawdę. Poznał nędzne kongresowe o Polsce uchwały. Zrywały one skroś z wielkiem Kościuszkowskim trójhąsem powstańcem: Wolność, Całość, Niepodległość. Stanowiły, zamiast niepodległości, wspólne berło rosyjskie; zamiast wolności, samowładztwo pozorowane konstytucją; co najgorsza, zamiast całości, Kongresówkę, mniejszą o jedną czwartą od Księstwa Warszawskiego, bez Krakowa i Poznania, a też bez Wilna, bez przyrzeczonej Litwy. Zawód był okrutny. Aleksander dawał mniej od Napoleona. Rozumiał Kościuszko, że z tym zawodem pogodzić się narazie musi społeczne pokolenie polskie. Lecz czuł, iż godzić się nie może on, Naczelnik Najwyższy, symbol wiecznych praw i dążeń narodu. Otrząsnął się z pokus Aleksandra i samozłud Czartoryskiego. Na swój sposób godnie dopełnił ks. Józefa. Jeśli ten przed poddaniem się carowi wołał schronić się na dno Elstery, on przed łaską cara wołał schronić się na tułactwo. Odmówił służb i zaszczytów w znów dzielonej Polsce. Nie chciał nawet swym powrotem sankcjonować nowego jej podziału. Sam na dożgonne skazał się wygnanie. Do Francji bourbońskiej wracać nie chciał. Osiadł w jedynej europejskiej republice, wolnej Szwajcarji. Tu, w podniosłym obcowaniu z górską przyrodą, wśród dzieł dobroczynnych dla miejscowego biednego ludu, a przede wszystkim wśród nieodstępnych rozmyślań o losie Polski, pozostałe mu jeszcze dwulecie ofiarnego spędził żywota. I tu, zdala od ojczyzny, między obcymi, bez niczyjej polskiej przy swem łożu śmiertelnem twarzy ni mowy, a w tem właśnie osamotnieniu najwierniejszy Polsce, największy wtedy

Polak, smutnego jesiennego wieczora 1817, dziś przed stuleciem, ostatnie tchnienie przeczystej wydał duszy.

## VI

## ŚWIADEK POLSKI

„J'entends le signal des batailles,  
Et le chant de tes funérailles  
Est un hymne de liberté.  
Tombez, voiles funèbres,  
La Pologne sort des ténèbres“.

Casimir Delavigne, *Dies irae de Kosciuszko*.

„Poland! o'er which the avenging angel pass'd,  
But left thee as he found thee, still a waste,  
Forgetting all thy still enduring claim,  
Thy lotted people and extinguish'd name,  
Thy sigh for freedom, thy long flowing tear,  
That sound, that crashes in the tyrant's ear —  
Kosciuszko!“

Lord Byron, *The Age of Bronze*.

Świętej sprawy zmartwychwstania Polski, pierwszy za życia sługa, wielkim świadkiem pośmiertnym został Kościuszko do dziś dnia.

Świadectwo jego dlatego jest tak ważne, że on najpełniej wcielał swój naród. Wszystko w nim, zalety i braki, na to się składało. Nawet skromna napozór jego indywidualność, zamiast świetnem gasić sobkostwem, podnosiła skupione w nim cechy zbiorowości. Napoleon wysiłkiem Francji własny wyniósł walor; Kościuszko własnym wysiłkiem walor Polski. Jego wielkość w tem właśnie, iż nie jest jego osobistą, lecz Polski. Bez tego niepodobna pojąć roli jego dziejowej. Wszak on wojskowym ni politycznym nie był genjuszem. Po wygranej Racławic, przegrał Szczekociny i Maciejowice. Mylił się tylekroć na rzeczach i ludziach. A jednak o niego, bezsilnego, biednego starca, jeszcze spierali się Napoleon i Aleksander, najwięksi mocarze świata. A jednak on został jednym z nieśmiertelnych bohaterów ludzkości. Czemu? Bo imię jego jest Polska. Cała Polska, nie



etnograficzna tylko, gdzie jego nie stała kolebka. Mają go za swego i Polacy ściślejsi, i Litwini. Mieli pono za swego i Rusini: zbiegali doń za powstania Dońcy, i jeszcze w Paryżu ich ataman Płatow chodził do starego „pana Kościuszki“ skarżyć się cicho na krzywdy kozactwa od Moskwy. Był republikanin Kościuszek niekoronowanym królem wszystkiej Rzplitej Polskiej. Prawy następca Jagiellonów, wznowił i uświęcił państwową po nich Unję; jak ją po nim z kolei jego wznowi i uświęci następca, inny wielki Polak-Litwin, król niekoronowany, Mickiewicz.

Idealne pojęcie całości Polski ujmował wszakże Kościuszek z właściwą dozą realizmu. Wprawdzie Napoleonowi mówił o granicy od Rygi do Odesy; Aleksandrowi o linii Dźwiny i Dniepru. Lecz gotów był do koniecznych ustępstw, byle znów nie ponad pewną dopuszczalną miarę. Odrzucił rozwiązanie Kongresu wiedeńskiego, bo przekraczało tę miarę. Przyjąłby ostatecznie — jego są słowa — „większą część narodową, jeśli nie można całej: ale nie najmniejszą, którą nazwano pompacyjnie Królestwem Polskiem“ Kongresowem. Gdyż, dodawał, „imię samo nie stanowi narodu, lecz wielkość ziemi z obywatelami“. Streszczał on tu nieodbitą przedwstępny postulat istotnej odnowy polskiej: minimum objętości terytorjalnej i ludnościowej. Określał je wówczas przed Aleksandrem na „10 albo 11 miljonów ludzi“, t. j. około  $\frac{2}{3}$  przedpodziałowej Polski, czyli dziś na około 30 miljonów. Dziś zapewne wypadłoby precyzować ilościowo i jakościowo nieco odmiennie. Ale sam wytyczny postulat Kościuszki pozostaje wciąż w mocy. Pozostaje w mocy konieczność silnego minimum objętości, by Polska mogła naprawdę odrodzić się wolną, niepodległą, wprost do życia zdolną.

Kościuszek świadczy jednak nie tylko o prawie Polski. Świadczy o czemś więcej jeszcze, o jej charakterze narodowym. A więc o tem, jak ona tego wróconego sobie prawa zażyje. Nigdy takie świadectwo donioślejszem nie było, jak dziś właśnie, gdy o charakter narodów, o spoczywającą w nim groźbę lub rękojmię, rozbić się lub oprzeć może trwałe uspokojenie walczącej ludzkości. Kościuszek, *cor cordium*, dał za swym narodem taką najczystsza rękojmię moralną. „On był — rzekł o nim szlachetny Francuz, Michelet, co z cudzoziemców pojął go najgłębiej — samą Polską. On był, najbardziej ze wszystkich, nawskroś dobry. Dobroć

nadzwyczajna, jaka w nim była, miała skutki niezmiernie dla przyszłości jego ojczyzny dodatnie. Zyskała sobie ona serce wszystkich narodów, przeświadczonych, iż bezwzględna dobroć ludzka wcieliła się w Polaku“.

Tak dziś, w setną rocznicę zgonu, żywym wstawiennikiem za Polskę jawi się Kościuszko. Tak dziś, w straszną godzinę wszechdziejowego sądu, jego duchem cuci się i zasłania Polska cierpiąca, pustoszona, krwawiąca, a nieśmiertelna, i da Bóg szczęśliwsza niż przed stuleciem, gdy chylił głowę Zachód przed jej męką i cieniem zgasłego jej Naczelnika:

„Którego imię brzmi gromem w uchu tyranów —  
Kościuszko!“



## KSIĄŻĘ JÓZEF PONIATOWSKI

### I

Kiedy dziś przed stuleciem kończyła się bitwa pod Lipskiem, źle było z ziemią polską, zewsząd mrowiem zwycięskiego obsiadła nieprzyjaciela; źle z duszą polską.

Doznano cieleśnie, a zwłaszcza duchowo, wstrząśnienia jednego z najstraszniejszych, jakie przedtem czy potem, w walce o odbój narodowy, na kraj spadły. Pod znakiem rozpaczny podejmowane były ongi przedsięwzięcia barskie i kościuszkowskie; później — listopadowe i styczniowe. Pod znakiem niechybnego napozór tryumfu — wczorajsza wyprawa do Moskwy. I oto ze szczytu najgórnieszych widoków nagle strącony został naród w otchłań nicości. Nietylko upływ krwi, po tym wysiłku ogromnym, był niesłychany, większy niż kiedykolwiek poprzednio lub następnie. Lecz okrutniejsze niż kiedykolwiek, po tym piorunowym zawodzie, było oszołomienie moralne. Gdzie była prawda? gdzie wyjście i ratunek? W zaległej naraz nieprzebitej pomroce poomacku szukali drogi zbawienia, błakali się, zderzali i różnili w zdaniu najlepsi Polacy. Jeden z najlepszych, Czartoryski Adam, na pierwszą wiadomość o klęsce lipskiej, zapisał w Dzienniku: „Wielkie zwycięstwo pod Lipskiem. Nieboracy nasi. Co też książę Poniatowski sobie pomyślał?“ Aliści, tuż za

---

*Książę Józef Poniatowski, † 19 października 1813, przemówienie w setną rocznicę zgonu na obchodzie w Starym Teatrze w Krakowie, druk. Kraków—Warszawa, październik 1913, nakł. E. Wende Warszawa i H. Altenberg Lwów.*

pierwszą nadbiegła wieść druga: że on zginął; i błyskawicą jarzącą rozświeciła ciemności samowiedzy narodowej. „Śmierć księcia Józefa — zapisuje teraz w najżywszem poruszeniu tenże sam Czartoryski — ...co za żal... Kraj polski krepą okryty... Spać nie można... widzi (się) zawsze księcia na placu, we krwi, w mundurze jego... Smutek okropny... Chciał ginąć; przeszyty kilkakrotnie... Przykład śmierci najpiękniejszy do naśladowania; niech wiecznie w pamięci żyje“.

Ten mimowolny nawrót szlachetnego przeciwnika politycznego wiernie odbijał uczucia ogółu. Naród drgnął, zrozumiał i zatwierdził. Zgon umiłowanego syna szarpnął trzewiami polskiej macierzy; ale ostremu bólowi towarzyszył odruch pewności nieomyłnej, że dokonało się to, co było powinno, i że on tego dokonał imieniem i dla dobra narodu. I jakkolwiek już wcześniej nauczone się kochać księcia Józefa, odtąd dopiero odczuło spełną, czem on był dla Polski, odkąd go nie stało.

## II

Urodził się na wysokim, wielkopańskim szczeblu społecznym, na stopniach walącego się tronu polskiego. A zarazem — w świetnej stolicy, w cieniu wspaniałego tronu jednego z rozbiorców Polski. Nie dosięgały tam do dziecka odgłosy bezkrólewia, Baru, podziału. Wprzęgnięty młodzieniec do służby cesarskiej, krew nasampierw przelewał za sprawę cudzą.

Czyniono mu potem nieraz gorzki stąd wyrzut; wypominano, że zaczął jako oficer austriacki a skończył jako marszałek francuski. Jakgdyby w tym samym czasie Dąbrowski Henryk nie musiał przez lat dwadzieścia służyć jako szwoleżer i gwardzista saski i bić się pod komendą fryderycjańską. Jakgdyby Rymkiewicz Franciszek nie musiał trawić lat dwunastu w starotulskim pułku piechoty, bić się pod komendą suworowowską a ginąć pod francuską. Jakgdyby nawet Kościuszko Tadeusz nie zaczął jako oficer amerykański a kończył jako obywatel szwajcarski. Darmo tu winować; takie już były losy kraju. Pospołu z chłopem galicyjskim, za cesarza, na Turka szedł książę Józef.

Ale on, co więcej, dostał się nietylko w cudze ryzy służbowe, lecz pod wpływ cudzej kultury wysokiej i ujmującej. Obcość



i wrogość otaczającego środowiska kryła się dla niego pod uludą powinowactwa i łaski. Tam najuludniejsze ciągały go pozory obowiązków szlachealnych: honoru wojskowego, wdzięczności, lojalności. Stamtąd bił blask i potęgą. A z kraju zalatywały mroki i bieda. Jakże mizerną po Wiedniu wydać się musiała Warszawa; po Burgu — Zamek; po majestacie Marji Teresy — szych Stanisława Augusta; po lśniącej zbroi Habsburgów — zardzewiały oręż Rzplitej.

Siłą takiego to bijącego w oczy przeciwieństwa, odpolszczenie samorzutne, poza poniewolnem, wdzierać się mogło już wtedy do świeżych odłamów rozbiorowych, a potem do wszystkiej podzielonej Polski. Pociąg do potęgi, fortuny a przeto i mądrości wrogiej, i ukorzenie się przed nią w duchu; odraza do nędzy, klęski a przeto i winy rodzimej, i zaparcie się jej w duchu: stale odtąd nad ogółem polskim unosić się będzie ta fatalna podnieta do samobójczego grzechu wynarodowienia. A do nikogo, dzięki uprzywilejowanemu jego stanowisku, nie podstępowała ona tak często, tak nęcąco i w postaci tak wielorakiej, jak do księcia Józefa. Podstąpiła doń w tym kształcie austriackim najwcześniej i może najwnikliwiej, sprzymierzona z młodością jego bezbronną, słodzona miodem pierwszego kochania, — lecz, po ciężkiej walce wewnętrznej, odrąconą została. To była pierwsza jego próba i pierwsza wygrana.

### III

Zerwawszy ukwiecone kajdany obczyzny, książę Józef na pierwsze wezwanie Sejmowi Wielkiemu się stawił; powołanie swoje życiowe i dziejowe odnalazł; żołnierzem i wodzem polskim ostał. Pracował gorliwie nad urządzeniem odradzającej się siły zbrojnej narodowej; złączył się z Ustawą Majową; w jej obronie na przemożnego ruszył nieprzyjaciela; nie uratował jej, — ale kampanją swoją ukraińską pokrył hańbę litewskiej, ocalił honor kraju. Od zadziwionych weteranów rosyjskich, nawykłych do rozpędzania kup konfederackich, a znienacka obalonych pod Zieleńcami impetem bataljonów polskich, osobiście przez niego w ogień prowadzonych, z szacunkiem przezwany został: s m i e -  
ły j r e b i o n o k, śmiałe dziecko. Przymusił do szacunku

młodą śmiałością swoją; odkrzeszał z popiołów iskrę starownej siły bojowej polskiej, nie w przeżytkowym pojęciu szlacheckiego rębactwa, lecz w nowożytnym regularnych szyków wojennych.

Tymczasem padła sprawa narodowa; górę wzięła przewaga rosyjska i zbrodnia targowicka. Do pogodzenia się z czynem dokonanym, do ugięcia się przed koniecznością, do rozsądku, a naprawdę do przeniewierstwa, przynaglany był książę Józef najsilniejszym naciskiem, błaganiem króla dobroczyńcy, namową najbliższej rodziny, względami na przyszłość własną. To była druga twarda próba w młodem jego życiu. Wytrzymał ją bez drgnienia; wyzuł się wszystkiego, stanowiska, majątku; czysty, wierny sobie, z kraju niewolonego wyszedł.

#### IV

Aliści, wnet po jego odejściu, nastąpił w kraju wielki czyn Insurekcji, Raptownie dojrzała ona i wybuchła bez niego, ponad nim. Nie z winy narodu, ani też księcia, tak się stało. Na czele rewolucji polskiej, niepomąłu uwarunkowanej przez społeczną francuską, niepodobieństwem było postawić księcia krwi; a zwłaszcza splamionej grzechem królewskim krwi i imienia Poniatowskich. Ale jakkolwiek konieczne, to wyłączenie i degradacja strasznym były ciosem dla bezwinnnej duszy księcia Józefa.

Nadomiar, z zawodu i urodzenia, raczej żołnierz regularny i zachowawca, musiał on żywić pewną niewiarę do oręża rewolucji, pewne uprzedzenie do jej ducha. Podobnie uprzedzonych było wtedy wielu, i to najzacniejszych; dlatego brakło w Insurekcji mnóstwa najzasłużeńszych mężów Wielkiego Sejmu; a brakło tam niemal zupełnie najpierwszych nazwisk wielkopolskich. Działo się zaś tak nie bez powodów bardzo poważnych i wcale zrozumiałych. Do absentowania się, do nieczynienia, zazwyczaj tysiąc bywa powodów, nawet zasadnych, nawet roztropnych; do przyczynienia się, wystawienia siebie — tylko jeden, i zawsze ten sam: niemiłosierny głos obowiązku.

Posłuchał go i tym razem książę Józef. To była jego próba trzecia. Naprzód był poświęcił pierwszą miłość i szczęście osobiste. Potem poświęcił karierę i względy rodzinne. Teraz



poświęcał dumę i przekonanie polityczne. Ukorzył się przed wolą narodu, przybiegł dzielić jego losy, wczoraj wódz, dziś podkomendny, wczoraj z uwielbieniem żegnany, dziś z podejrzliwą witany niechęcią. „Powiedz mnie szczerze — pytał Kościuszkę prezydenta miasta Warszawy — słyszałem, że obywatele nie chcą iść do księcia; jeśli to prawda, oddałę go...”. W takich to warunkach cierpiał, bił się, pełnił swą powinność księżę Józef, aż do upadku Insurekcji.

## V

Po zupełnym rozbiórce Polski, długie dziesięciolecie wieku męskiego strawić, stracić wypadło księciu w pruskiej Warszawie. Był to smutny, jałowy okres sennej bezwładności dla niego, jak i dla kraju.

Ale wybiła godzina orzeźwienia i czynu, kiedy nad Wisłę zleciały orły napoleońskie. Dla księcia była to godzina ponownej próby. Od obecnego swego monarchy a łaskawcy, króla pruskiego, wezwany został, pod zaklęciem na rycerską swoją lojalność, do posługi zbrojnej przeciw Napoleonowi. W tym samym kierunku pociągany był równocześnie od strony sojuszniczej rosyjskiej i czekającej w odwodzie austriackiej. Wszędzie tam on był pętany troistym spletem zobowiązań i względów. Dźwigał na sobie wcieloną zmorę trójlojalizmu. W trzech równocześnie armjach zaliczony był jako generał austriacki, rosyjski, pruski. A był magnat, w trzech równocześnie posesjonowany kordonach. Na podobieństwo wszystkich, ówczesnych i późniejszych, magnatów polskich, był w sposobie wyjątkowym i bezpośrednim, osobiście i materjalnie, zawisły od rządów rozbiorczych.

Magnaterji polskiej, od upadku kraju, nad wyraz trudne przypadło stanowisko, lecz niezmiernie też doniosłe obowiązki. Obowiązki świętsze, niż gdziekolwiek, gdyż dostojęństwo swoje i dostatki nie łąsce samowładnego pana, ale winna hojnej ponad wszelką miarę dobroci Rzpltej. Większe, niż gdziekolwiek wśród szczęśliwszych niepodległych ludów, obowiązki dla zbiedzonego swego narodu, który ani mocen prawowitą działać reprezentacją, ani rozwinąć zasobów zbiorowości, i tembardziej jest

w prawie żądać dla siebie najwyższej dbałości i ofiary od obsypanych przez siebie możnych swoich. Atoli stąd właśnie dla nich wielki wynikał hamulec i szkopuł, że w tem ściślejszą popadli zawisłość od rządów obcych, siłą tych mianowicie dóbr swoich doczesnych, — których strata zresztą nietylko ich prywatną, lecz publiczną byłaby stratą, ubytkiem poważnych walorów i posterunków narodowych. Magnateria polska wobec takiego to zgola niełatwego stanęła dylematu, kędy trudniej jej było, niż przez ucho igielne, wniknąć do królestwa pełnej zasługi obywatelskiej.

Ale wniknąć przecie było można: pokazał to książę Józef, i przedewszystkiem ludziom swego pokazał stanu. „Gdzie są wielkie rody wasze? — tak piorunował Napoleon na opustoszałym od nich Zamku warszawskim — Gdzie są wasi Potoccy, Czartoryscy, Zamojscy, wasi Sapiehowie, Radziwiłłowie? Ci ludzie wszyscy od stóp do głów oddani są Rosji! Wasz Czartoryski pisał do Kościuszki, aby nie przybywał tu (do mnie) do Polski!” Na te wyrzuty, za nich wszystkich, osobą swoją odpowiedział książę Józef. Odepchnął tamte, przybrane pochlebstwem a podszyte groźbą, zaprosiny pruskie do obozu koalicji. Wyrzekł się podszywanego sobie z kolei najwygodniejszego wyjścia: bierności, nieczynu. Całego siebie rzucił na szalę. Uznał wolę narodu w sprzężeniu swych losów ze sprawą Napoleona; oddał się pod jego rozkazy; został ministrem wojny i wodzem naczelnym Księstwa Warszawskiego.

## VI

Nad powierzoną sobie najwალniejszą poręką przyszłości, wojskiem warszawkiem, czuwał odtąd z troskliwością umiejętną i żarliwą. Z dojrzałą decyzją męską, raz opowiedziawszy się za Księstwem, stanął przy twórcy jego i opiece. Nie uniżył się przecie, jak wtedy tylu innych, przed wszechmocą cezara. Zachował względem niego postawę godną; zawsze, w szczęściu czy nieszczęściu, równą. Nie był ślepy na jego błędy i wady. Musiało Poniatowskiego, przy jego urodzeniu, wychowaniu, pojęciach, razić niejedno w Napoleonie; niejedno też w jego politycznem i prawnopaństwowem dziele książęco-warszawkiem.



Ale podziwiał jego genjusz; wdzięczny mu był za to, co on jedyny dla Polski uczynił; ufny w to, co on jeden dla niej jeszcze uczynić był zdolny.

Do nowych, postępowych instytucyj Księstwa Warszawskiego przystosował się z posłuszeństwem wewnętrznem, z karnością nie żołnierską tylko lecz obywatelską; a zarazem z dużą oględnością i umiarkowaniem. Trzymał się zdala od ostrych zatargów i przeciwieństw, zrodzonych na tle nowożytnych, dobroczynnych naogół, lecz przyswajanych zrazu nie bez tarcia, urzędów i stosunków. Nie wojował ani z kodeksem, ani z ewangelją; i kiedyś będą mogli społem Stanisław Potocki i ksiądz Woronicz oddać mu jednakie hołdy pozgonne. Rzecz dla niego znamienita: on właściwie nigdy do żadnego nie należał stronnictwa. Nie był w gruncie ani ślepym regalistą zamłodu, ani teraz ślepym napoleonistą; nigdy nie był ani wstecznikiem, ani radykałem. Nie zaliczał się do żadnego z obozów partyjnych, rozdzierających schyłkową Rzpltę, emigrację i Księstwo. Należał do obozu Polski.

Coprawda, dlatego też, sam nie mając partji własnej, miewał w każdej niechętnych. Byli tam ludzie tak źli, że okrzyczeli go za Austrjaka, Prusaka, Moskala, wroga swego własnego narodu; a byli tak ciemni, że okrzyczeli go za czynnego masona, wroga swej wiary rodowitej. Czynili to ludzie, niewarci pyłu stóp jego, ani jako patryjoci przed Polską, ani jako chrześcijanie przed Bogiem. Ale choć dokuczali mu oni nieraz, dbał o nich niewiele; miał dla nich „panieństwo pogardy“ i zapomnienie. Gorzej było, że przez nich, przy wyjątkowo trudnem położeniu swoim, bratanek Stanisława Augusta, syn Austrjaczki, rzekomy pupil pruski i rosyjski, nieprędko jeszcze mógł odzyskać utraconego z winy okoliczności pełnego zaufania rodaków. Wciąż jeszcze podejrzliwie, prawie nieprzyjaźnie, boczyła się na niego Warszawa i Księstwo. On to znosił z bólem wyrozumiałym i cierpliwym. I tę również dał naukę, że niewolno Polakowi, choćby za krzywdę najoczywistszą, ze swoim prawować się narodem, zgoryczonym przez nieszczęścia bez miary, nauczonym nieufności przez przymus okrutnych doświadczeń i ciągłej walki o istność. Znał swój naród; wiedział, że krzywdę mimo wolną on wynagrodzi z lichwą sercem całem; że ma smak cnoty





*Mal. Cecil R. (portret angielski)*

*Wł. Ministra Stanisława Pałka, Warszawa*

*Książę Józef Poniatowski (1793)*



niemylny i na niej wkońcu poznać się musi; że ma uniesienie sprawiedliwości i wdzięczności. I spokojnie czekał pory pięknego odwetu.

## VII

Doczekał się w warunkach najniepomyślniejszych, zaskoczony opanowaniem Księstwa Warszawskiego przez dwakroć przeważające wojsko austriackie. Wbrew przestrodze rozumu, wiedziony szalonym porywem honoru, a naprawdę trafnym instynktem zbawczym, stawiał im czoło, z bagnetem w ręku dotrzymał im placu. Już tutaj, właśnie z doznanej krzywdy szlachetna dlań wytrysła nagroda. Bo kto wie? może nie byłby się zdobył na szczytne szaleństwo Raszyń, gdyby nie właśnie dżgająca ostroga narodowego uprzedzenia. Ale choć odniósł wielką wygraną moralną, Warszawy ocalić nie był w stanie; a opuszczając ją, słyszeć musiał rozlegające się dokoła przekleństwa obłąkanego ludu, wyrzucającego mu zdradę.

Niebawem wszakże rehabilitację swoją, rozpoczętą na polu raszyńskim, uwieńczył wspaniałą wyprawą galicyjską. Do jednej, wyzwolonej przez Napoleona, przydał wtórą, wyzwoloną przez siebie dzielnicę; tem samem zbliżył widoki wyzwolenia trzeciej. Runęła żywiołowo ku niemu fala radosnej narodowej skruchy. Powrócono do niego i pokochano go na zawsze.

Jakkolwiek fortunna wyprawa galicyjska była szczytem słonecznym dla księcia Józefa, to jednak i do niej ostre wrzywały się cienie. I tutaj nie darowała mu nieodstępna od jego kroków pokusa. Z dwóch stron jednocześnie, od austriackiego przeciwnika i od rzekomego sprzymierzeńca rosyjskiego, uderzono doń wtedy podmową natarczywą a mądrą, grającą na jego patriotyzmie i jego ambicji. W Napoleonie, odbudowcy Polski, wystawiano mu jej zdrajcę; w sobie, rozbiornicach Polski, wystawiano jej wybawców; zaś do przynęty wybawicielskiej dokładano najświetniejszą osobistą: korony królewskiej dla księcia Józefa. Wzdrygnęła się w nim prawosć; zachnął prosty rozsądek; bez trudu rozeznał się w tym fałszu, tem mamidle, za którym czyhała zguba pewna i haniebna. A bez żadnego też wahania cofnął ręce od podsuwanej sobie królewskiej purpury.

Nie pożałował jej nigdy, na podobieństwo ambitnych oligarchów zgasłej Rzpltej, wydzierających sobie ongi władzę najwyższą. On rwał się do najwyższej służby, nie wzorem tych dawnych polskich królewiat, lecz wzorem tego, „co to nie przyszedł, aby mu służyło, ale aby służył i dał duszę swą okupem za wielu“.

## VIII

Jakim wtedy, już niedaleko kresu, w tej nie najgórnieszej jeszcze, lecz najszcześniejszej zawodu publicznego dobie, posiadał go i pokochał Kraków, dojrzałym, dorodnym, pięknym z ciała i ducha, takim wrył się, w tradycji na zawsze ulubieniec Polski. Ale opisywać go zbyt ciężko; znamy go wszyscy. Miał w sobie, jak ów ulubieniec Rzymu, Germanik, *nobilitatem ducis, decorem, ...patientiam, comitatem, per seria, per jocos eundem animum*; „szlachetność wodza, okazałość, ...cierpliwość, ludzkość, jednaką w powadze i igraszkach duszę“. Zapewne: wytykano mu nieraz, że był jako człowiek nie bez grzechu, jako wódz nie bez błędu. Ale był najniezawodniej obywatel bez skazy. Dał z siebie przykład i nazbyt ospałym, wciąż dzwoniącym na poddańczą trwogę, i nazbyt krewkim, dzwoniącym ciągle na ruchawkę powstańczą. Pokazał, jak trudno być dobrym naprawdę Polakiem; iż niedość chcieć nim być — trzeba umieć. Nie leżało zresztą bynajmniej znaczenie jego narodowe w samym jeno, właściwym mu, zakresie czysto militarnym, choć kształcił się w nim i dojrzewał bezustanku. Nie wygórował przecie samą tylko zaletą wojenną; żył w czasach wojennych, obfitujących w świetne jej dokoła wzory. Cnota orężna była w nim jedynie naczyniem wyższej obywatelskiej. Tej to on najgłówniej uczył się aż do zgonu; i przez nią, wychowując w niej siebie, został jednym z wychowawców narodu.

Był z tem wszystkiem człowiek bardzo prosty. Był przystępny, niezapamiętały, miłosierny, człowiek bardzo dobry. Przy wrodzonym temperamentem bardzo żywym, bujnym, aż nadczułym, był sensat, miał dużo zdrowego, jak sam mawiał, chłopskiego rozsądku. A wszelkie wrodzone słabości pokrywała, gasiła jedna cecha górująca: prawość. Z całą prostotą swoją łączył wzięcie się wspaniałe, zmuszające do liczenia się



z nim i szacunku. Był w nim urok, pogoda i pańskość Polski. Stąd była jej nieodparta siła przyciągająca.

Kochali go też nietylko najbliżsi rodacy. Szli do niego łatwo, z zaciągami, ofiarą, akcesem, nieufni Litwini. Ciągnął do niego chętnie ociężały lud ruski. Zamłodu biegli na wyścigi młojcy kozaccy aż daleko z Zadnieprza służyć u jego boku. Pieśń ulubioną żołnierską: „Daj nam Boże doczekać tej pory, By do ataku pochylić propory“, ułożył „ksiądz ruski w obozie Jaśnie Oświeconego książęcia Józefa Poniatowskiego i na cześć Jego“; a potem za Księstwa Warszawskiego życziwej jego oddawać się będzie protekcji biskup unicki chełmski, pasterz „dobrego i przywiązanego do ojczyzny narodu roksolańskiego..., który niegdyś jednym imieniem wszystkich zaszczycał się Polaków“. Wielbili Żydzi polscy łaskawego dla nich księcia, opłakiwali go i między swoje włożyli legendy. Wielbili go Niemcy polscy; po królewsku u siebie ugaszczali go Gdańszczanie; i nawet od kolonistów Holendrów, nawet od byłych urzędników pruskich, których skrzywdzić nie pozwolił, zwany będzie „aniołem opiekuńczym..., godnym wiecznej czci i wdzięczności“. Znała go wszystka ziemia polska, którą on wszystką zmierzył stopą własną od brzegu do brzegu. Widziała go Korona i Litwa, Ruś i Inflanty, Pomorze i Śląsk; widziała naocznie u siebie Warszawa i Kraków, Wilno i Poznań, Lwów i Kijów, Mitawa i Cieszyn, Gdańsk i Smoleńsk. A miewał on też w polu przeciw sobie siłę rakuską, brandenburską, moskiewską, nawet z początku Turka i Tatara, nawet pod sam koniec Szweda, wszelakiego nieprzyjaciela Rzpltej, jakgdyby nacechowany symbolicznie odbiciem jej losów.

## IX

Nastąpiła wyprawa do Moskwy. W przededniu jej książe Józef, przez szanownego obywatela a kuzyna, Czartoryskiego, znowuż miał sobie przyniesione do Warszawy dawne obietnice rosyjskie; a już w marszu na Litwę znowuż imieniem imperatorskiem ofiarowaną koronę polską. Uchylił raz jeszcze tamtą złudę; odzegnał się od tego kuszenia. Odbył wyprawę moskiewską, spisawszy uprzednio testament; z sercem ściśnionem, gdyż

widział ją założoną politycznie i wojskowo wbrew lepszemu przekonaniu swemu; ale z postanowieniem prostym, odwagą sobie właściwą, dojrzewającym talentem. Z myślą batorową w duszy, na rumaku karym, prowadził swoich aż pod same, ziejące ogniem, mury Smoleńska; dorównał najtęższymi wysiłkom Wielkiej Armji pod Borodinem; wyprzedził ją pod Czarykowem, ratował pod Woronowem. Okazał w zwycięstwie szlachetną dla nieprzyjaciół ludzkość, germanikową *mansuetudo in hostes*. Wzbroniał najsurowiej wszelkich gwałtów i rabunku w zdobytej rosyjskiej stolicy; i czemprędzej wywiódł z niej swych ludzi, których też nawet ihumeństwo monasterów moskiewskich uznało za jedynych w Wielkiej Armji „prawdziwych chrześcijan“. Okazał z kolei w okropnym odwrocie rzadki spokój i wytrzymałość. Przyprowadził zpowrotem do Warszawy ocalone orły i działa polskie.

Ale tutaj w domu zastał rozprężenie i upadek ducha zupełny. A zastał już nawiązane od rządu Księstwa, od poważnych i bliskich sobie mężów, tajne układy kapitulacyjne z Rosją. Oceniał odrazu, jak one były niegodne, niewczesne i próżne; zatamował je sam jeden wolą stanowczą. Uczynił natomiast rzecz jedyną, jaka była do zrobienia: zbroił się. Zebrał gorączkowo, ile się dało, szczątków straconej armji i świeżych zaciągów; a unikając wydania ich na łup nadciągającej nawale nieprzyjacielskiej, w ostatniej już godzinie, z niemi i z przymuszonym rządem, odstąpił z Warszawy do Krakowa.

## X

Tutaj, w starym Krakowie, gdzie najśłodszej obywatela zaznał pociechy, teraz spijał gorycz determinacji przedśmiertnej. Zewsząd nadciągali i otaczali go Rosjanie ze swemi posiłkami pruskimi; z boku parli Austriacy, gotujący się do złączenia z koalicją. A tu srożej jeszcze nacierali nań swoi. Żądano od niego, by w Krakowie wytrwał, lub do Warszawy wrócił, w każdym razie w kraju pozostał, żeby pogodzić się z Rosją. Żądano tego w imię nadziei pokładanych w łasce imperatorskiej. Odślaniano mu rąbek starań tajnych pod adresem Rosji; okazywano własnoręczne pismo carskie. Ale on w tych staraniach



nie widział nic, prócz życzeń pobożnych i apelu do miłosierdzia zwyczajcy; w tem piśmie nic, prócz pochlebstw mglistych i wyraźnego wezwania do złożenia broni. Odpowiadał dotkliwie a mądrze: „Mocny się nie uniża, gdy ofiaruje; słaby upadła się, kiedy prosi“.

Wtedy w inną uderzono strunę. Poruszono głowy gorące; rzucono hasła bitne; i w imię tych haseł żądano od niego, by w Krakowie wytrwał, lub na Warszawę ruszył, w każdym razie w kraju pozostał, żeby walczyć z Rosją. Ale on wiedział, że ma kilkanaście tysięcy zaledwo wojska, przeważnie nowozaciężnych; że nie ma ładunków działowych; że mu się to w ręku rozejdzie, w kraju opanowanym, zniszczonym, znękanym, bez oparcia żadnego, bez szans żadnych przeciw niezmierzonej przemocy. Odpowiadał dotkliwie a mądrze: „To są widoki pozorne..., które na chwilę tylko dogodziłyby opinii popularnej, a potem przez zły skutek nie znalazłyby w niej samej aprobaty“.

Przenikał jaśnie, że pod pozorem pomyślnej ugody chodziło o kapitulację; że pod pozorem rozpacznej walki chodziło znów o kapitulację; a tej on nie chciał, ani też rozumiał, w czym ona ratować mogłaby Polskę. Miał słuszość zupełną. Nie podniesienie Polski, lecz ostateczne jej pogrzebanie miano podówczas na widoku w obozie koalicyjnym; powrót, z pewną tylko odmianą, do starego, trzeciego jej podziału; nierównie bliższe w tej chwili rozwiązanie, aniżeli późniejsze kongresowe. I jeżeli cokolwiek, w braku siły oręża, mogło obecnie przyśpieszyć tamto najgorsze rozwiązanie trzeciopodziałowe, a oddalić to, stosunkowo nieskończenie lepsze, kongresowe, to słabość ducha, dobrowolna kapitulacja. Porywany tedy najpotężniejszymi wpływami, książę Józef własną mocą im się oparł; z matni kapitulacyjnej się wydarł; z bronią polską z kraju wyszedł, na ostatnią dla kraju służbę.

## XI

Kiedy książę z resztkami wojska polskiego stawiał się w Saksonji przy Napoleonie, trwała jeszcze cisza rozejmu po świążych, przelotnych wygranych francuskich. Ale niebawem, po przystąpieniu Austrii do koalicji, wznowiła się rozprawa,

całkiem już nierówna, zgoła beznadziejna. Bez nadziei, a ze spokojem niezłomnym, uczestniczył książę w kolejnych zmaganiach się wojennych, staczających się szybko ku końcowemu rozstrzygnięciu, walce narodów pod Lipskiem. Wiadomo, jak bił się tutaj, — nie jako jedyny z cudzoziemców marszałek Wielkiej Armji, lecz gardzący tym zaszczytem wódz naczelny korpusu polskiego; jak uderzał, odpierał, osłaniał i krwawił; i jak nareszcie, po kilkudniowych nadludzkich wysiłkach, po doszczętej już przegranej, stanął w obliczu śmierci.

## XII

*Lipsko* W tym jednym, najostateczniejszym momencie ścisnęło się, zogniskowało i pojaśniło przedziwnie całe przeznaczenie i posłannictwo narodowe księcia Józefa. W szarudze jesiennej, w ściełających się dymach i ogniu, wśród grzmotu dział, trzasku ręcznej broni, huku pękającego mostu, jęku rannych, krzyku tonących, wściekłego zamieszania ucieczki i pościgu, odcięty od uchodzącej armji napoleońskiej, — on stał na koniu spienionym, osłabły śmiertelnie, zgorączkowany, zziębły, przemokły, okrwawiony cały, mdlejący z ran, znużenia i rozpacz.

Ale czemuż tej oddawać się rozpacz? Czem był dla niego ten pobity Napoleon, te wojska pierzchające, czem cała ta tragedia przegranej? Jakże łatwo jednym poruszeniem on mógł dla siebie znaleźć z niej wyjście i ratunek. Tylko — jak zaklinali go nieliczni jeszcze przy nim towarzysze — zawrócić konia, dać się poznać; tylko — ze szpadą spuszczoną stanąć przed Aleksandrem. Tam nie groziło mu nic. Nie trzeba mu tam było nawet przebaczenia, jak Sanguszkom, Radziwiłłom i innym z rosyjskiego kordonu. Tam czekało go przyjęcie pochlebne, łaskawość dobrotliwa najczarowniejszego z monarchów — któremu bardzo jeszcze mógł być użytecznym... Chirurga carskiego dla księcia pana! wina ze stołu carskiego, służby, karety dla rannego księcia pana!... Dla ojczyzny wszak uczynił on wszystko, oddał wszystko; do oddania miał już tylko nagie życie. A życie on znał, lubił, umiał go używać. Dobiegł ledwo pięćdziesiątki; mógł długie jeszcze lata pędzić w beztróscie i zbytku. Tam czekały go Łazienki, Blacha, Jabłonna; osoby



kochane, przyjaciele... A potem — czekała wizyta oficjalna na Zamku u prezesa Rady Najwyższej Tymczasowej, generał-gubernatora warszawskiego Łanskoja; u wiceprezesa, Jego Ekscelencji senatora Nowosilcowa. Potem — przyjęcie uroczyste Najjaśniejszego Pana Aleksandra I przy łuku tryumfalnym na Placu Trzech Krzyży. Parada na Placu Saskim pod Wielkim Księciem Konstantym. Asysta przy koronacji Mikołaja... To wszystko, i wiele więcej, będzie musiał naród. Ale trzeba było, żeby ktoś, i to ktoś bardzo w narodzie wydatny, tego nie chciał; aby niechceniem swoim po wszystkie czasy okazał, że ten naród stary i wielki można podbić, ale poniżyć go, umniejszyć, znieprawić niepodobna. Książę Józef nie chciał. Nie chciał schylić karku. Wspięła się w nim prawość, pańskość, udzielność niepodległej Polski. Rzekł: „Trzeba umrzeć mężnie!” Rzucił się naprzód i zginął.

Póki Polska Polską, imię jego żyć będzie.

---

## GENERAL MICHAŁ SOKOLNICKI

(1760—1815)

Konająca Rzplta zdążyła jeszcze wydać z siebie parę generacji ludzi wyższej miary i tęgości duchowej, zdolnych zgon jej okryć znakiem poświęcenia i honoru, a tem samem ze zgonu państwa wynieść zakład przyszłości narodu. Rozróżniłby tu można trzy mianowicie, kroczące tuż za sobą, niemal obok siebie, generacje: przedrozbiorową, rozbiorową, porozbiorową, trzy styczne etapy mężów, młodzieńców a dzieci schyłkowej doby ośmnastowiecznej Sejmu Czteroletniego i Powstania Kościuszki, przesuwające się z biegiem czasów do myśli i czynu Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, i podające sobie dłonie do kolejnego współpracownictwa ratunkowego i odrodzielskiego. To współpracownictwo wobec warunków owoczesnych roztaczać się musiało, z samej natury rzeczy, w dwojakiej zwłaszcza dziedzinie, politycznej i wojskowej. Tak więc w zakresie politycznym dopełniali się z kolei statysci należący z urodzenia do Rzpltej niepodzielnej, jak Potocki Ignacy (ur. 1751), dzielonej, jak Czartoryski Adam (1770), podzielonej, jak Lelewel (1786). Tak znowuż w zakresie wojskowym troistemi ogniwy utrzymywali łączność nieprzerwaną żołnierze pokolenia Kościuszki (1746), Zajączka (1752), Dąbrowskiego (1755), Sokolnickiego (1760), Kniaziewiczza (1762), Poniatowskiego Józefa (1763),

---

<sup>1)</sup> Przedmowa wydawcy do pracy Michała Sokolnickiego „*General Michał Sokolnicki*“, Monografie w zakresie dziejów nowożytnych, t. XI, Warszawa 1912.





*Litografija*

*Gen. Michal Sokolnicki*



pokolenia Sułkowskiego Józefa (1770), Chłopickiego (1771), pokolenia Skrzyneckiego (1786), Chrzanowskiego (1788), Dembińskiego (1791), Prądyńskiego (1792).

Ludzie to oczywiście niezmiernie różnolici i różnowarci. Składały się na tę różnowartość, obok czynnika generacyjnego, uwarunkowanego przez kolejność chronologiczną ich pojawienia się na widowni dziejowej, czynniki mniej więcej indywidualistyczne, pochodzenie, wychowanie, a przede wszystkim sam gatunek kruszcu duchowego, jaki każdy z nich z sobą przynosił. Pozostali też w tyle jedni, inni wygórowali dziejowo, wybiegali daleko naprzód poza swoje pokolenie. Najstarszy wiekiem z wymienionych tu mężów wojskowych, Kościuszko, umiał przecie, niezawisłe od przodującego swego stanowiska narodowego, podnieść nasamprzaw z wiekowego upadku broń polską, wrócić jej ostrze i hart, oczyścić ją z rdzy nieczynu i nieuctwa, przygotować do przyjęcia udoskonaleń nowoczesnych, do odzyskania rozmachu, do wytrzymania nadciągających prób najwyższych. Jednakowoż, mimo całą różnorodność skali psychicznej i historycznej, wszyscy oniemił ci ludzie naogół w swoim rodzaju niepospolici i wszyscy prawie, acz w odmiennym stopniu i sposobie, upamiętnienia dziejowego warci.

Ma wśród nich swój kąt odrębny i zasługuje na kartę własną generał Sokolnicki Michał. Wielkopolanin, z rodziny poważnej, styczeń z pańskimi mającej, wychowanek Szkoły Kadetów warszawskiej, wychowawca Sułkowskiego Józefa, nauczyciel Szkoły rycerskiej wileńskiej, inżynier wykwalifikowany, do studjów militarnych fachowych przez całe życie skłonny, do pogłębiania ich ze źródeł społecznej umiejętności technicznej Zachodu pochopny i zdatny, bardzo ruchliwy umysłowo, nie mniej rzutki i sprawny w akcji orężnej, dużo posiadał danych po temu, aby stać się jednym z działaczy wybitniejszych odrodzenia i zmodernizowania wojskowości polskiej. Uczestniczył energicznie w fatalnej kampanji litewskiej 1792 r., odznaczył się w insurekcji Kościuszkowskiej, z własnej woli towarzyszył przyjacielowi, prezydentowi miasta Warszawy, Zakrzewskiemu Ignacemu, w niewoli petersburskiej, zbliżył się tam do Potockiego Ignacego, po objęciu rządów przez Pawła i wypuszczeniu więźniów, do Francji wyszedł. Swojej dobrej woli i talentów



niepowszednich świadom, a nawet wygórowanego raczej o nich pojęcia, zbyt wielkiej, niespółmiernej aż z niemi ambicji, w głowie zdolnej lecz nieporządnej, nieustatkowanej, w imaginacji bujnej, zbyt bujnej, coraz nowe snując projekty, nieraz trafnie i na czasie, często bez gruntu, przeważnie bez niezbędnego wykończenia, zasypywał nimi Dyrektorjat paryski. Gdy w Paryżu ani u rządu, ani tem mniej wśród tamecznej emigracji polskiej pożądanego nie znalazł oparcia, usiłował szukać go w domu, w opinii i organizacji tajnej krajowej, lecz również bezskutecznie; gdy z planem swoim pierwotnym legji nadreńskiej, którą pod imieniem ograniczonego Madalińskiego sam spodziewał się kierować, doznał zawodu, z żalem na drugorzędną zdecydował się rolę, poddał się komendzie Kniaziewicza, wnet płodną organizacyjną i dzielną bojową rozwinął działalność, wytrwał na stanowisku po wycofaniu się wodza, przeprowadził legję do Włoch, aż w końcu, po dotkliwych jeszcze zawodach i przeprawach, sam wycofać się musiał. Na pierwsze hasło „wojny polskiej“ w 1806 r. pośpiesznie się stawił, wszedł następnie do armji Księstwa Warszawskiego, trawił się tu we właściwych sobie zatargach i tarcjach zawodowych, aby nareszcie w kampanji austriackiej 1809 r. znaleźć pole do ujawnienia swych zdolności istotnych, swego świetnego impetu wojennego. Ta chwila, wzięcia Góry i Sandomierza, to moment górujący w życiu Sokolnickiego, to zarazem wydatny z jego ręki akt historyczny, gdyż wyłom wtedy przez niego dokonany otworzył dopiero możliwość zdobycia i zdwojenia Księstwa. Ale wkrótce tchnienie niezaspokojonej ambicji, nieodstępnie trawiące poczucie niedocenionych, nienagrodzonych należycie zasług, popędy spółzawodnictwa, rozżalenia, goryczy, zwichnęły karierę krajową generała. Przeniósł się na stałe do Paryża, do boku Napoleona, został jednym z bliższych jego pomocników w gotującej się wielkiej wyprawie moskiewskiej 1812 r., towarzyszył mu w tej wyprawie, uczestniczył w ważnej służbie wywiadowczej, okazał właściwą sobie, ponad wszelkie pochwały, brawurę, nie okazał wszakże wymaganych na powierzonym mu stanowisku zalet informacyjnych, zawiódł raczej pod tym względem położone w sobie zaufanie. Zaświecił natomiast ponownie w kampanji saskiej 1813 r. niezrównaną energją i sprawnością czynnego w ogniu dowództwa lekką jazdą, bił się

do końca w kampanji francuskiej 1814 r., wszedł wreszcie do armji Królestwa Polskiego, aby zginąć przedwcześnie, w pokojowym czasie, od nieszczęśliwego wypadku, na Placu Saskim w Warszawie.

Niewątpliwie w umysłowości generała dają się przy bliższem wejrzeniu rozeznąć wady znaczne, odbijające się poniekąd skazą szkodliwą również i na pewnych rysach jego charakteru. Wada główna, rdzenna: brak ścisłości prawdziwej, głębszej, przenikającej od ogółu do szczegółów, a zastępowanej u niego zbyt często przez ścisłość pozorną, powierzchowną, przez samą jeno koncepcję błyskotliwą, nieraz formalną tylko, słowną, niewytrzymującą sprawdzianu i rachunku. Mylił się skutkiem tego często — kroć w sędzie o rzeczach i ludziach i mimowoli w błąd wprowadzał, a niekiedy i krzywdził innych; mylił się też co do siebie samego, przeceniając własne swoje, najrzetelniejsze nawet zalety i zasługi i tą przesadą sam sobie dopiero największą czyniąc ujmę. Tak więc, przez niewłaściwą dla człowieka jego miary autosuggestję samochwalczą, rozwodził się wielokrotnie już przejazdem w Berlinie wiosną 1797 r., potem bez końca w Paryżu, o swej rzekomej „niewoli“ petersburskiej, choć nikt go tam naprawdę nie więził, choć z własnej, nieprzymuszonej woli, szlachetną zresztą wiedziony pobudką, znalazł się na bruku nadnewskim. Tak znowuż, przez jeszcze niewłaściwszą antytezę rywalizacyjną, o służbie i czynnościach swoich zdając sprawę rządowi francuskiemu, wyrządzał ubocznie krzywdę takim, jak Kniaziewicz i Poniatowski, przełożonym swoim a spółzawodnikom. Tak kiedy indziej, przez skłonność wrodzoną do fantazjowania politycznego z piórem w ręku, pod wrażeniem zasłyszanych w Petersburgu powieści bajecznych o mniemanym testamencie politycznym Piotra Wielkiego, — o którym w literaturze i korespondencji dyplomatycznej XVIII wieku pełno znachodzi się wzmianek, o którym twierdzi pozytywnie pewna relacja saska (1786), iż manuskrypt oryginalny trzymany jest w „tajnym portfelu“ Katarzyny II, o którym później (1790) szeroko rozpowiada Anglik Eton w głośnej swej książce, i który wreszcie wypisany zostaje w Warszawie (1794) wprost z imaginacji w kilkunastu artykułach przez emigranta Francuza, niejakiego Tombeura, — zajął się z całą powagą, a w najściślejszej podobno zależności od



tej ostatniej wersji warszawskiej, wyłożeniem na piśmie i szczegółowym wymotywowaniem tej fikcji, dostarczając tym sposobem podstawy do falsyfikatu, ogłoszonego następnie przez Napoleona i kołającego się odtąd po świecie do dziś dnia. Tak na koniec, przez najmniej świadome a najbardziej niepożądane tej samej fatalnej nieścisłości zboczenie, w memorjach składanych Napoleonowi w przededniu decydującej o losach świata i Polski wyprawy do Moskwy, obok trafnych pomysłów dywersji od ściany południowo-zachodniej, udzielał pełno wiadomości i wskazań zgoła omylnych, lekkomyślnie i nieprawdziwie deprecjonował zdolność odporną Rosji, obniżał najdowolniej ilość i jakość rozporządzalnych jej sił militarnych, obiecywał „powszechne powstanie“ Kozaków, powszechną insurekcję Wołynia, Podola, Ukrainy, dzielił zgóry skórę na niedźwiedziu, układał fantastyczny rozbiór „federacyjny“ Rosji europejskiej wraz z samym Petersburgiem, słowem, ofiarował złudne dzieło wyobraźni i pustego frazesu, gdzie wymagane były premissy realne trzeźwego rachunku i gruntownej znajomości przeciwnika. I podobnież w następstwie, już pośrodku toczącej się kampanji, zupełnie nieprzygotowany do powierzzonej sobie doniosłej służby wywiadowczej, bez znajomości języka, geografji, planów sytuacyjnych rosyjskich, dostarczał raportów z placu boju rojących się od nieporozumień najgrubszych, gdzie pomieszane bywają najopaczniej miejscowości, pułki i dowódcy rosyjscy, gdzie Arakcejew występuje jako nazwa geograficzna, gdzie ani jedno prawie nazwisko najwybitniejszych nawet generałów nieprzyjacielskich nie jest wypisane dokładnie, gdzie Baggowut figuruje jako „Baggoush“ a sam wódz naczelny Kutuzow jako „Kutscoff“. Zresztą widocznie nie umiał wcale zorganizować w 1812 r. prawidłowej i pewnej obsługi wywiadowczej; polegał głównie na kreaturach takich, jak oficer żandarmerji Vandernoot, późniejszy szpieg W. Ks. Konstantego, albo na przygodnych doniesieniach żydów litewskich, zyskanych wtedy zupełnie dla Aleksandra; natomiast w samej jeszcze palącej się Moskwie tracił drogi czas na wyczerpującem indagowaniu zabłąkanego tam sługi Stanisława Augusta, nikczemnego Friesego, i dobywaniu z niego przedawnionych sekretów królewskich. Cenniejsze nierównie jego raporty z 1813 r. były przeważnie owocem dobrych infor-

macyj, ofiarowanych samorzutnie przez młodego Grabowskiego. Zasłużył sobie też podówczas Sokolnicki na surową opinię wicekróla Eugenjusza, iż jego raporty są „zawsze wielce przesadzone“, tedy na wiarę niezasługujące.

Aliści, rozwiódłszy się tak obszernie, w imię bezstronności najsurowszej, nad wadami i błędami generała, godzi się tem dobitniej podnieść niepowszednie jego zalety i zasługi. Zupelne oddanie się sprawie narodowej, odwaga w tym gatunku najwyższym, która nie mierzy niebezpieczeństwa, lecz wprost je dla swojej osoby za nieistniejące uznaje, tęgość bojowa pierwszorzędną, niezłomna w ogniu energja i zabiegliwość zaczepna i odporna zarówno, świetny błysk twórczego, śmiałego, pomysłowego talentu strategicznego, przyrodzony do kultury nowożytnej, europejskiej, militarnej i powszechnej, pociąg, wewnętrzne z nią powinowactwo, zdatność i łatwość przyswojenia sobie jej ducha i zdobyczy, — te piękne i bogate cechy, zdobiące generała Sokolnickiego, czynią z niego bądźco bądź indywidualność zajmującą i wydatną w owym łańcuchu silnych figur wojennych, spinającym zbrojny epilog Rzpltej z dziejami orężnemi Królestwa Kongresowego.



## CZARTORYSKI

### I

W setną rocznicę Królestwa Kongresowego<sup>1)</sup> godzi się wspomnieć o polskim jego sprawcy, Adamie Czartoryskim. Godzi się tem bardziej, że przypada ona pomiędzy zapomnianą niedawną (1911) rocznicą półwieczną zgonu, a bliską (1920), w równem może zapomnieniu, półtorawieczną urodzin księcia Adama. Gdyż ten człowiek, dziś przesłaniany mgłą niepamięci, żył lat prawie sto, zaś odkąd mógł i póki mógł, służył Polsce. Służył

---

*Czartoryski*: szkic nieukończony, pisany w r. 1915; w czystopisie zachowane ustępy I i II, w bruljonach rozdz. III, VI, VII, VIII. Wypadło zrekonstruować całość, posługując się głównie rękopisem wcześniejszym, z 1900 r., biografii ks. Adama, drukowanej w formie okaleczonej przez cenzurę w *Albumie biograficznym zasłużonych Polaków wieku XIX*, Warszawa 1901, I, 248—255; gdy jednak warunki cenzuralne zgóry już krępowały tam swobodę wypowiedzenia się historyka, gdy poza tem badania jego późniejsze niejedną rzecz jemu samemu w innem odtąd ukazały światło, zastąpiono niektóre ustępy lub poszczególne zwroty zaczerpniętymi z innych pism autora. Tak zbudowano rozdz. IV, IX, X, XI. Ostatni wreszcie rozdz. XII wzięto, jako lapidarne zamknięcie całości, z artykułu o ks. Adamie w „*Portretach polskich*”, Lwów 1911. Tak pojęta rekonstrukcja niezawodnie grzeszy pewną dowolnością w wyborze sformułowań, nierównością ujęcia i stylu poszczególnych ustępów, dokonana jednak została wyłącznie ze słów samego autora i odtwarza wiernie jego pogląd na Czartoryskiego w r. 1915 r., z perspektywy stulecia Królestwa Kongresowego, a zarazem z perspektywy dobrowolnego wygnania w czasie wielkiej wojny.

<sup>1)</sup> Maj 1915.

śród piorunujących doli narodowej katastrof i gorszych do przebrnięcia martwych zaciszy; w obliczu kilku skroś odmiennych duchem pokoleń, którym dotrzymywać musiał kroku. W tym długoletnim jego trudzie były zapewne, być musiały, falowania, potknięcia, nieraz znaczne, w sposobach i widokach doraźnych. Nie było drgnienia w pobudce pierwotnej i celu wytycznym; nie było zwątpienia ani znużenia; nie było żalu do losu, mimo tylu doznanych zawodów, ani do społeczeństwa, mimo niejednej doznanej krzywdy. Tak służyć niepodobna fortunnej, tak tylko nękaney można Ojczyźnie. Upornego tego wysiłku, rozłożonego na taką czasów metę i takie dziejów koleje, zadziwiająca jest ciągłość, wszechstronność, stateczność, rzec można: wielkość. Człowiek ten nie był z przyrodzenia wielkim; stał się nim przez wielkość sprawy i swojej dla niej służby.

## II

Syn generała ziem podolskich i Fleminżanki, urodził się 1770 w pałacu Błękitnym w Warszawie. Długo jednak pozostanie raczej obcym rodzinnemu miastu, stolicy Rzpltej i Księstwa; napoły tylko żyć się zdoła ze stolicą Królestwa. Wpłynęły na to, obok osobistych losów życiowych, same już czynniki rodowe. Dom Czartoryskich, starożytnej krwi rusko-litewskiej, z burzliwych na Litwie przepraw chwilowo pod Moskwę schroniony, wnet przecie prawowitej jagiellońskiej wrócony władzy, łaską jej wyróżniony za ochotne w dziele Unji posługi, wszedł w poczet senatorski i koligacje pańskie Rzpltej. Wszakże między właściwą magnaterją nie był zrazu liczony i jeszcze w XVII wieku pod radziwiłłowską chadzał protekcją. Dopiero w XVIII w.

---

Co do rozdz. I—VII, por. *Napoleon i Polska*, Warszawa 1918—9, II, 195—7, 324 i III 183—4, 228—30, 232—3, 346—50, 354—6, 420, 423—4; *U w a g i*, Warszawa 1924, 357—383; *Książę Józef Poniatowski*, Warszawa 1922, 101, 117—9, 245—6, 254—5; rozdz. VIII—X: *Książę Józef Poniatowski*, 186—7, 205—14, 278—80, 284—7; *Polska i Europa* (Bibl. Warsz. 1909); *Na rozdrożu* (Bibl. Warsz. 1911); *Uwagi j. w.*; rozdz. XI: *Polska i Europa* (j. w.); *Łukasinski*, Warsz. 1929, I, 179, 184—9 i 413—5. W wymienionych też miejscach wskazane główne źródła.



wyrósł raptownie głową, tęgością i szczęściem dwóch dziadów ks. Adama i siostry ich Poniatowskiej, matki króla. Odtąd wzniosła się Familja na najpierwsze fortuny i splendoru stopnie, wtargnęła do zamkniętego koła królewiat Rzpltej. Dwa stąd niebawem poszły skutki. Rozgorzała przeciw przybyszom zawzięta rywalizacja starszego możnowładztwa; zaś do samejże Familji zapadła myśl o tronie. Już za obu saskich bezkrólewi wynurzały się kandydatury elekcyjne dziada i ojca ks. Adama, on sam wcześniej był w rodzinie predestynowany do korony. Ta klątwa oligarchów polskich, pogoń za poniewieraną przez nich koroną, czterokroć ziszczona niefortunnie lub klęskowo w XVII i XVIII wieku, odtąd wręcz nieziszczalna, bo niewspółmierna z krajową i europejską odmianą czasów i grozą okoliczności, miała poniewolnym serwitutem dziedzicznym zaciężyć na ks. Adamie. Miała, naprzekór właściwej jego naturze i powołaniu, utrudnić jego stanowisko i prace, zaszkodzić mu u Aleksandra, u Napoleona, w Księstwie Warszawskim, Królestwie Kongresowem, rewolucji listopadowej, na emigracji, u swoich i obcych.

Przyszedł na świat i spędził dzieciństwo pod rosyjskim następcom Repnina prokonsulatem. Dokoła przewalała się luna barska, zatracąca o stolicę, o Zamek, dogasała pod gruzami pierwszego podziału. Zwikłane i ciężkie było położenie Czartoryskich. Byli poza Barem a w asekuracyjnej z nim styczności, ściśnięci między królem a konfederacją, Moskwą a narodem. Byli poza sprawą podziałową, a pod nieodpartem jej brzemieniem. Dziad Adama, wojewoda ruski ks. August, imieniem zabieranej dzielnicy wyłączony z sejmu rozbiorowego, przyglądać mu się z Wilanowa bezczynnie musiał. Pradziad macierzysty, kanclerz litewski ks. Michał, wraz z wujem Lubomirskim w delegacji sejmowej, musiał u kresu życia kłaść podpis na akcie rozbiorowym i na łożu śmiertelnem sam siebie przed zgromadzoną winować rodziną. Twarde, ostrzegawcze wróżby spływały tedy na dziecięcą głowę wnuka. Raz po razie potem, za wojny 1792, insurekcji 1794, powstań 1806 i 1809, konfederacji 1812, rewolucji 1830, wstawać przed nim będzie ten sam, w innym wciąż kształcie, okrutny dylemat, z jakim podówczas starła się Familja. Wyszła jeszcze obronną stąd ręką, uchroniła fortunę,





*Mal. Rustem w Wilnie, 1812*

*Ord. Zamojskich, Warszawa (olej. na drzewie)*

*Książę Adam Czartoryski*



nie tracąc godności, lecz uroniła na długo przednią w narodzie powagę. Znalazła się w odosobnieniu nawęwnątrz i nazewnątrz, bez oparcia w opinii, dworze, Rosji. Po śmierci starych książąt i działach spadkowych, mniej rządna poszła gospodarka majątkowa, mniej sensowna polityczna. Z pieniackich pałacu Błękitnego z Zamkiem niesnasek wyjdzie później chłód szkodliwy między ks. Adamem a kuzynem Józefem Poniatowskim, z rodzinnych tarć wilanowsko-puławskich rozdzwięk przekorny między nim a kuzynem Stanisławem Potockim. Tymczasem rozpad dziadowskiej polityki rodowej, próżne, nieskładne o nową zabiegi, nowe powikłania koligacyjne i stronnicze, zagraniczne wyjazdy rodziców, musiały odbić się na całym tle nastrojowym i wychowawczem wstępnej doby życiowej pierworodnego syna. Pomimo pierworodztwa był zrazu opuszczony. Zaraz po jego urodzeniu, wśród ciężkich przepraw publicznych i niezmiernie drażliwych domowych, rodzice wyjechali zagranicę na lat kilka, chcieli się nawet wysprzedać i wyemigrować. Dziecko rosło same, wbrew<sup>1</sup> modnym z pozoru, nie z istoty w świecie wielkopańskim głębokim wskazaniom Emila o niemowlęctwie.

Od wczesnej młodości, już ze względu na pokładane w nim wielkie widoki rodzinne, był on w domu szczególną otoczony pieczołowitością. Z trojga rodzeństwa, w bracie Konstantym, żywszym, prostszym, apolitycznym, mimo dużą usposobień różnicę, miał oddanego, w trudnych zwłaszcza chwilach, przyjaciela. W siostrze najstarszej, czulej, nieszczęśliwej Marji księżnie Wirtemberskiej bliższą powiernicę, niż w młodszej, słynnej z urody i ułożenia Zofji ordynatowej Zamojskiej. Wpływ rodziców, bardzo wydatny a przy długowieczności obojga tem trwalszy, w rozbieżnym występował sposobie. Ojciec, dobrotliwy, ukształcony, słabej zresztą myśli i głowy, w biernym raczej, nieraz trafnie hamującym oddziaływał duchu. Od matki, Izabelli — „Sybilli“, twórcze szczepiły się pierwiastki, podniety czynne, promieniała egzaltacja patryotyczna Polki wielkiego serca, a padały też głębokie cienie wielkoświatowej damy doby stanisławowskiej. Na popielisku kobiecych przeżyć i udręk, przedmiotem gorączkowych, niespokojnych trosk macierzyńskich stawał się dorastający syn ukochany. Niepokoił ją, „wydobywał łzy z oczu“ obejściem niedość „przyjemnem i tkliwem“,

a „powierzchnowością chłodną“, zamkniętą, milczącą „mizantropa albo egoistą“. Pod chmurnymi temi pozory szlachetną chował nadczułość i serdeczne do rodziców przywiązanie. On ich jednak o całą przerastał głowę, ponad ich obumarłą wyrażał epokę, nosił piętno nowe i nowego pokolenia.

Wychowanie otrzymał dość niejednolite pod sprzecznym, pedancko-sentymentalnym kierunkiem rodzicielskim, od bardzo różnowartych swojskich i cudzoziemskich metrów, lecz przepełnione zdrowym tchnieniem narodowym, staranne i wielostronne. Poznał gruntownie dzieje, piśmiennictwo, prawo publiczne polskie. Poznał porządnie historję powszechną, nauki kameralne, literaturę klasyczną, języki. Polszczyzną w słowie i piśmie z siłą i smakiem władał, a nawet nieraz w zdatnym próbował się wierszu. Umiał w rodowitym litewskim rozczytać się statucie, i z ruskim swych włości ludem, z kozactwem granowskiem składać się rozmówić. Po rosyjsku wysławiał się tak biegle, że starczyło w obcowaniu towarzyskiem i czynnościach rządowych. Posługiwał się nieposzlakowaną, subtelną francuszczyzną dyplomatyczną i literacką. Niegorszy łacinnik, poprawnie mówił i pisał po niemiecku, angielsku, włosku i chętnie, wśród dopustów polityki i serca, szukał wytchnienia u Catulla, Goethego, Shakespeara i Tassa. Wszystko razem wzięte, była to edukacja i kultura zgoła niepowседневna. I zwłaszcza w świecie wielkopańskim, do którego należał, a który wszędzie, prócz Anglii, pozostał w tyle za postępem czasu, z podobnym poziomem umysłowym dziś jeszcze rzadko spotkać się można. Było to przecie zasługą nietyle wychowania, ile swoistości duchowej ks. Adama. Tkwiły w nim wrodzone nakazy obowiązku, odpowiedzialności, samokrytyki, doskonalenia się, pracy. Tkwiły już w chłopięciu, dotrwały u starca. Z zachowanych jego szkolnych seksternów, notatek, wypisów, widać, jak pilnie pracował nad sobą zamłodu. A nie zaniechał tej pracy w dojrzałym i sędziwym wieku. Uczył się całe życie. W Petersburgu dygnitarz i mąż stanu douczał się gorliwie, wypełniał luki ogólnego swego wykształcenia, zwłaszcza fachowej wiedzy politycznej, sporządzał wyciągi z dzieł historycznych, filozoficznych, ekonomicznych, prawnych. Czynił to w czasie, gdy był przeciążony robotą państwową, którą stale, zamiast składać na podwładnych, brał na siebie osobiście. Jego



sumiennosc, nieznana w urzędach nadnewskich, uderzała Rosjan i posłów zagranicznych, donoszących ze zdziwieniem o tym niezwykłym ministrze, zapracowanym codzień po kilkanaście godzin z rządu, zwykle późno w noc. Tak samo bywało i w następnych, szczególnie w przełomowych okresach, za doby kongresowej wiedeńskiej, rewolucyjnej warszawskiej, nawet emigracyjnej paryskiej. W krakowskim archiwum rodzinnym i rządowych petersburskich i warszawskich dochował się poprostu ogrom zapisek, sprawozdań, listów, instrukcyj, projektów, rozpraw, dzienników, memorjałów, własną jego ręką kreślonych, przedewszystkiem w zakresie wielkiej dyplomacji, narodowej i europejskiej, a także polityki w najszerszym znaczeniu tego słowa, w rzeczach ustawodawczych, administracyjnych, wyznaniowych, oświatowych, narodowościowych, społecznych, gospodarczych, skarbowych i t. d. Można, rzecz prosta i należy krytycznie oceniać wyrażone w tych pismach poczynania i poglądy, rozpoznawać wieloliczne w nich, zasadnicze i rzeczowe braki, błędy, złudy. Lecz niepodobna nie uchylić czoła przed skupioną w tej niezmiernej rękopiśmiennej puściźnie troską i walką o Polskę. Jest to, już po wyłączeniu wtretów ministerjalnych rosyjskich, zawsze zresztą ze swojską sprzęgłych pobudką, bogata skarbnica doniosłych, a w pewnej mierze do dziś dnia żywotnych nauk i wskazań zewnętrznej i wewnętrznej racji stanu polskiej.

### III

W r. 1786 wyprawiono młodzieńca na wojaż zagraniczny, do Niemiec, i Francji, dla pierwszego otarcia się w świecie. Po krótkim do kraju nawrocie, znów w 1789 r. wywiozła go zagranicę matka, niezbyt zbudowana pokojową względem króla postawą Sejmu Czteroletniego i dominującą na tym sejmie rolą Ignacego Potockiego. Po ogłoszeniu i zagrożeniu Konstytucji 3 Maja, stanął się książę Adam w szeregach jej obrońców, odbył fatalną kampanję litewską 1792 r. pod dowództwem szwagra, księcia wirtemberskiego, którego haniebnej zdrady rozpaczonemu był świadkiem; sam bił się dobrze, wysłużył sobie krzyż *virtuti militari*. Po zwycięstwie Targowicy do dymisji się podał i znów do

Anglii oddalił. Na wieść o powstaniu Kościuszki 1794 r. do kraju pośpieszył, lecz zatrzymany po drodze przez Austrię, nie uczestniczył w walce. Tymczasem po upadku insurekcji w jego rodzinę uderzyła zemsta Katarzyny II. Konfiskata ich dóbr z carskiego ukazu oznaczała zupełną ruinę dla starych Czartoryskich. Zarazem twardszą od samej kary kondycję ułaskawienia postawiła imperatorowa: zażądała przysłania sobie dwóch młodych Czartoryskich, Adama i Konstantego na zakładników do Petersburga. Z boleścią największą ulegając przymusowi, pożegnała synów ks. Izabella, oddając ich opiece jedynego Rosjanina, do którego pomocy odwołać się mogła w tej okropnej potrzebie, niegdyś wszechwładnego wielkorządcy w Warszawie, teraz dozorczy zdetronizowanego Stanisława Augusta w Grodnie. Stary ks. Repnin z sercem i delikatnością przyjął młodzieńców, zajął się nimi gorąco i opatrzonych najlepszymi poleceniami wyprawił w drogę do Petersburga.

Wiosną 1795 r. ks. Adam z bratem przybył do Petersburga. Była stolica nadnewska już wtedy w rysach głównych taką, jaką inny, większy Adam ujrzy po latach trzydziestu; był to już ten ogrom przytłoczony, ta jednostajność nakaźna, te dysonanse gwałtowne, ta świetność oślepiająca i ta ponura groza, wyrzute w nieśmiertelnej wizji Mickiewicza. Świat w tem mieście najgórniejszy, dokąd wypadło wejść ks. Adamowi, w owej właśnie chwili, pod koniec rządów imperatorowej, wyobrażał komplikacje wyjątkowe, potrójne. Trzy były naraz dwory obok siebie, przeciw sobie: dwór siedemdziesięcioletniej Katarzyny II, panującej od tak dawna tytułem faktu dokonanego; dwór pięćdziesięcioletniego w. ks. Pawła, czekającego ciągle na prawy tron po ojcu, zabrany przez matkę; dwór osiemnastoletniego w. ks. Aleksandra, czekającego swej kolei po babce i ojcu. Wtedy to właśnie, w ostatnim roku życia i rządów, Katarzyna postanowiła pozbawić Pawła korony, przelać sukcesję na Aleksandra; uprzedziła o tem wnuka i sporządziła już odpowiedni tajny akt testamentu. Paweł o tem wiedział, podejrzewał i własną matkę i własnego syna i zmusił Aleksandra do tajnej przysięgi wierno-poddańczej, w której jego, jeszcze za życia Katarzyny, uznawał monarchą. Te dwa akty nadzwyczajną dają sygnaturę niesłychanemu ówczesnemu położeniu, które prędzej czy później



musiało straszliwą wyładować się katastrofą. Po tym obcym, podminowanym gruncie z niepokojem, ze smutkiem stąpał młody ks. Adam. Znalazł on zresztą nad Newą liczną rzeszę rozgoszonych tu już na dobre rodaków — nie tych, co w petersburskich wtedy siedzieli więzieniach, jak Kościuszko, Potocki Ignacy, Zakrzewski, Kapostas, Kiliński, ale tych, co po petersburskich tłoczyli się salonach, kancelariach i przedpokojach. Była to pierwsza kolonia polska w Petersburgu, pierwsi protoplaści nowej odmiany Polaków. Znalazły się tu najpierwsze w kraju nazwiska, naczelne targowiczany a i wiele innych; napływało to co dnia z polskiego południa do rosyjskiej stolicy, panowie i panie, a nietylko z musu i dla ratunku, lecz z poządlwości, próżności i pychy, po zarobki i honory, po tytuły i małżeństwa, po stosunki i wpływy w tym nowym świecie, do którego ci pogrobowcy Rzpltej, skróciwszy świeżej po niej żałoby, rwali się z pośpiechem, dezynwolturą zdumiewającą, deklarując się czarno na białem już nietylko wiernopoddanymi, lecz wprost Rosjanami. Trzebaż to powiedzieć: ten okres dziesięcioletni, zaraz po trzecim podziale a przed Księstwem Warszawskim, był najniebezpieczniejszy pod względem wynarodowienia — nie dla Polski, bo takiego nigdy być nie mogło niebezpieczeństwa — lecz dla górnego w Polsce stanu, który w tych latach najmocniej się potknął i dopiero za Księstwa i Królestwa w służbie narodowej w pewnej przynajmniej mierze zrehabilitować się zdołał. Zaś jednym z naczelných przewodników na tej drodze rehabilitacyjnej miał zostać ks. Adam.

#### IV

Minął rok cały na petersburskim bruku. Wtem, z wiosną 1796 r. zaszedł wypadek przełomowego znaczenia dla całej przyszłości ks. Adama. Był on swego czasu przedstawiony w. ks. Aleksandrowi Pawłowiczowi, od którego zawsze doznawał łaskawego obejścia, nie mając zresztą sposobności ani poznać go, ani zejść się z nim bliżej. Pewnego razu, spotkawszy go przypadkiem, Aleksander rozkazał mu stawić się oznaczonego dnia i godziny w pałacu Tauryckim, gdzie przemieszkiwał z młodą małżonką, w. ks. Elżbietą. „Od tego dnia i rozmowy — powiada

w „Pamiętnikach“ ks. Adam — rozpoczęło się moje serdeczne oddanie się w. księciu, mogę powiedzieć, że się rozpoczęła przyjaźń nasza, jej pobudki i cały szereg szczęśnych i nieszczęśnych wypadków, których łańcuch trwa dotąd i przez długie lata da się postrzegać... Rozmowa trwała godzin trzy. W. książę powiedział mi, że moje i brata postępowanie, nasze poddanie się trybowi życia, który dla nas nieprzyjemnym być musiał, spokój i obojętność zjednały nam jego szacunek i zaufanie, że miał sympatję dla uczuć naszych, odgadywał je i powiedział, że czuł potrzebę odkryć nam swój rzeczywisty sposób myślenia, że nie mógł znieść tej myśli, iż moglibyśmy go sądzić inaczej niż na to istotnie zasługiwał. Powiedział mi wtenczas, iż nie podzielał wcale pojęć i doktryn gabinetu, że dalekim jest od podzielenia polityki swojej babki, że jej zasady potępia, że najlepsze nosi w duszy życzenia dla Polski. Wyznał mi, że miłuje wolność, że ona się wszystkim ludziom jednakowo należy... Przebiegając podczas tej rozmowy wzdłuż i wpoprzek ogród Taurycki, spotkaliśmy kilka razy w. księżnę.. Powiedział mi, że żona była powiernicą jego myśli, że ona jedna znała i podzielała jego uczucia, że oprócz niej ja byłem pierwszą i jedyną osobą, której mówił o tem, że mogę więc pojąć, jak rozkosznie będzie mu odtąd mieć kogoś, z kim będzie mógł mówić otwarcie, z zaufaniem zupełnem. Rozmowę tę przerywały wylewy przyjaźni jego, a zadziwienia i wdzięczności z mojej strony, obok zapewnień zupełnego poświęcenia... Odszedłem wzruszony do głębi, nie wiedząc, czy to był sen, czy rzeczywistość. Podbił mnie łatwy do zrozumienia urok. W. książę zdał mi się być jakąś uprzywilejowaną istotą, zesłaną na ziemię przez Opatrzność dla szczęścia rodu ludzkiego i mojej ojczyzny. Powziąłem do niego przywiązanie bez granic, a uczucie, jakim mnie natchnął w tej pierwszej chwili, przetrwało upadek wielkich kolejno złudzeń, jakie obudził wtenczas, oparło się wszystkim ciosom, jakie mi później on sam zadał i nigdy we mnie całkiem nie zgasło“. — Osiemnastoletniego w. księcia z dwudziestosześcioletnim ks. Adamem połączył od tej chwili węzeł najściślej przyjaźni. Czy jednakże młodszy przyjaciel odsłonił przed starszym w tych nawet chwilach uniesienia, wszystkie ciężary, jakie, naówczas przytłaczały mu duszę? Czy mianowicie powierzył



mu tajemnicę doniosłych wypadków z września tegoż 1796 r., swojej rozmowy z cesarzową, wyznania przed ojcem, przysięgi przed Arakczejewem? Raczej powątpiewać należy, skoro o tych wszystkich rzeczach niezmiernej wagi, odkrytych w najnowszych dopiero czasach przez badania rosyjskie, nie zostało ani śladu we wspomnieniach księcia Adama. Uwydatniły się tutaj, tak wcześnie, ukryte głębie w charakterze Aleksandra, nad wybuchowem wylaniem górująca nieufna rozważa, wstrzeмиęźliwa i odporna rezerwa nad porywczem i pozornie bezbronnem uniesieniem. Wynikły stąd szczególniejsze stosunki, niewolne zresztą niebawem od pewnych stron nadzwyczaj drażliwych. A mianowicie, obok ścisłej przyjaźni z Aleksandrem, i to pono za jego wiedzą i zgodą, nawiązał się stosunek miłosny między młodym ks. Adamem a półdzecinną jeszcze, śliczną, szlachetną w. księżną Elżbietą. Natomiast Aleksander, nie mając serca do żony, której nie był wart, związał się z bawiącą na dworze petersburskim piękną Polką, córką jednego z powieszonych w czasie insurekcji warszawskiej zdrajców, Marją z Czetwertyńskich Naryszkinową. Pomimo tak zawitych i niebezpiecznych okoliczności, serdeczny stosunek przyjacielski pomiędzy ks. Adamem a w. księciem Aleksandrem, w ciągu następnego roku stopniowo wciąż jeszcze się zacieśniał, zwłaszcza ze zmianą panowania po śmierci Katarzyny i objęciem rządów przez cesarza Pawła, który przyjacielowi syna z początku wyraźną objawiał życzliwość. Był Czartoryski przy koronacji w Moskwie obecnym, z radością widział uwolnionych przez Pawła rodaków, z upokorzeniem był świadkiem opłakanego końca Stanisława Augusta w Petersburgu. Nie goniąc bynajmniej za wyłącznością wpływu, w tym to czasie, podczas koronacji Pawła w Moskwie, za zezwoleniem w. księcia, do sekretu jego wspaniałych i liberalnych zamysłów przypuścił dwóch młodych swych przyjaciół Rosjan: Pawła hr. Strogonowa, głowę istotnie zapaloną i szlachetną i Mikołaja Nowosilcowa, duszę niską, upodloną i ambitną, biorącą na siebie pozory zupełnej bezinteresowności i niezłomnych zasad prawa i postępu, człowieka, na którym w przyszłości tak ciężko miał zawieść się Czartoryski. Razem we czworo, odbywano narady, tajne „konferencje“, gdzie najwyższe zagadnienia społeczne, państwowe

i międzynarodowe roztrząsano sposobem zgola akademickim i niepłodnym.

Paweł w następcy swoim, pierworodnym w księciu Aleksandrze, ciągle widział przeznaczonego sobie wolą nieboszczki matki zastępcę. Roztaczał baczność nieufną nad dworem wielkoksiążęcym. Przestrzeżony został, podobno najpierw przez wszechwiedzącego O. Grubera, o zachodzących tam bardzo niezwykłych stosunkach. Przecinając szaloną tę miłośćkę, uprzedzając przewidywane już stąd skutki, Paweł nagle wyprawił Czartoryskiego na dalekie poselskie wygnanie, do dworu sardyńskiego. We Florencji posłowi cesarskiemu od króla Karola Emanuela III i królowej Klotyldy najlepsze zgotowano przyjęcie. Lata, tutaj nasamprzód, później na południu Włoch, a nie bez żywszych niektórych wrażeń spędzone, do najnieczynniejszych zapewne, lecz może najpogodniejszych w życiu ks. Adama należą. Dzięki temu też włoskiemu swemu zesłaniu uchroniony został od obecności przy niebezpiecznych powikłaniach i okropnych wkońcu przeprawach, gotujących się nad Newą. Pozostał i nadal, z Włoch, z obojgiem, z w. księciem i z Elżbietą, w korespondencji. Mimo to jednak nie był on zgola wtajemniczony w poważne sprawy konspiracyjne, które Aleksander, znacznie od niego młodszy, lecz już znacznie trzeźwiejszy, prowadził samorzutnie z wytrawnymi w tych robotach Rosjanami. W Neapolu zniecka trafiła go wiadomość o zejściu Pawła i pisany w tydzień potem list cesarza Aleksandra, krótki, gorączkowy, wzywający go do natychmiastowego powrotu do Petersburga (29 marca 1801 r.). Natychmiast pośpieszył w drogę.

## V

Nad Newą zastał Czartoryski położenie niewyjaśnione jeszcze, nieutrwalone. Jak mógł uspokajał monarchę, podnosił go na duchu. Towarzyszył mu na koronację do Moskwy. Po powrocie do Petersburga, na życzenie cesarza, odnowił przerwane „korespondencje“ poufne, dokąd oprócz Czartoryskiego, Strogonowa i Nowosilcowa przyjęty niebawem Wiktor hr. Koczubej, siostrzeniec kanclerza Bezborodki, Małorus-arystokrata, giętki, praktyczny, ambitny, były poseł w Stambule, gdzie



polską śledził kolonję, niebardzo Polsce życzliwy. Nie były to już dawniejsze wielkoksiążęce rozprawy platoniczne i bezcelowe, lecz rodzaj pierwszorzędnej, prywatnej rady przybocznej, „komitet ocalenia publicznego“, jak żartobliwie wyrażał się Aleksander, stałe zebrania, odbywające się regularnie, dwa do trzech razy w tygodniu, gdzie roztrząsano sprawy i stanowiono uchwały pierwszorzędnej wagi dla całego kierunku spraw państwowych, a nawet europejskich. Przy tej robocie czysto już politycznej, nie marzycielskiej już, jak dawniej, niesłuchanie trudnem i drażliwem stawało się położenie księcia Adama. Od pierwszej chwili, wedle słów jego własnych, czuł się „rośliną egzotyczną na obcy grunt przesadzoną“, od pierwszej też chwili, wedle słów świadków bezstronnych, Rosjan, walczyć musiał z niezmordowaną, nieubłaganą koalicją podstęp, denuncjacji i potwarzy. Wówczas już duchy zawistne, podejrzliwe i niskie, niezdolne uwierzyć w hartowną trwałość niepokalanych zasad sumienia i honoru, bo niezdolne ich odczuwać i pojąć, przypięły do osoby księcia Adama potwarczą tradycję fałszywego „wallenrodyzmu“, którym on się brzydził najbardziej, którego nawet pozorom, kosztem największych poświęceń, zdaleka z drogi schodził. Tradycję oskarżycielską, gorliwie z zagranicy podsycaną przez wszystkich nieszczerých Rosji przyjaciół, a szczerých Polski i Czartoryskiego wrogów, ustaloną doniedawna w nauce (Sołowiew), nawet piśmiennictwie rosyjskiem (Tolstoj), ostatniemi dopiero czasy przez sprawiedliwszych badaczów rosyjskich za fałszywą uznano i odrzucono (Traczewskij, Szylder). Oddano nareszcie czystym Czartoryskiego pobudkom należne, acz spóźnione uznanie, na które on zresztą czekać nie miał potrzeby, mając przeciw sobie gołosłowne jeno podejrzenia i wyrzuty takich, jak Morkow, Rostopczyn, Budberg albo Alopeus, kreatur, za sobą zaś mając takich jak Koczubej, Kisielew, Woroncowowie, patrijotów rosyjskich, samego cesarza Aleksandra najzaszczytniejsze świadectwa, a przedewszystkiem zachowane piśmienne pomniki całej swojej w Petersburgu nieskazitelnej działalności politycznej.

Działalność ta nasamprzód, sposobem nieurzędowym, w tamtej radzie prywatnej, wyraziła się pod postacią rozumnego udziału w zbawiennych reformach wewnętrznych, zapoczątkowanych podówczas w dziedzinie administracji, prawodawstwa, oświaty.

Jednak, po zaprowadzeniu ministerjów przez ukaz wrześniowy 1802 r., długo wzdragał się wstępować do rządu Czartoryski; ofiarowaną sobie zrazu od cesarza tekę spraw zagranicznych odstąpił Koczubejowi; dopiero w 1803 r., po objęciu przez tego ostatniego spraw wewnętrznych, poddał się ponawianym usilnym naleganiom Aleksandra, został towarzyszem ministra spraw zagranicznych przy kanclerzu A. R. Woroncowie, po którym niebawem, z początkiem następnego roku, lecz ciągle w tytule towarzysza objął zarząd naczelny tego ministerjum. Dwa przecież, za zgodą cesarską, kardynalne położył warunki: że będzie zwolniony od pobierania pensji i orderów, oraz, iż zachowa swobodę postępowania, gdyby żywotne potrzeby jego kraju nie dały się pogodzić z powinnościami urzędu. Gdyż jedynie w przeświadczeniu, iż obiedwie pogodzić się dadzą, omylnem może, lecz niezawodnie najszczerzem, tak trudnych i niewdzięcznych podejmował się obowiązków.

Utrzymywał go w tem przeświadczeniu, zdawał się je podzielać sam Aleksander, nie skąpiąc przekonywających w tym względzie dowodów. Już dawniej, przy jego pomocy, mógł Czartoryski osładzać niedolę zapomnianych na dalekim Wschodzie, a nawet więzionych w Spielbergu, rozproszonych na wychodźstwie rodaków. Obecnie obok obowiązków ministra, inne, bliższe swemu sercu miał sobie powierzone. Mianowany kuratorem okręgu naukowego wileńskiego (15 kwietnia 1803) ujął w swoje ręce ster wychowania publicznego w ośmiu gubernjach zachodnich, t. j. na całej przestrzeni przyłączonych wówczas do Rosji ziem dawnej Rzpltej. Zarazem szereg dobroczynnych uchwał monarszych, pamiętne ukazy edukacyjne z tegoż roku, ustalały organizację władz i zakładów wychowawczych na Litwie i Rusi, językiem wykładowym we wszystkich bez wyjątku szkołach ogłaszały ojczysty, poddawały je wszystkie jednolitej opiece Akademji wileńskiej. Mógł na takich zasadach rozległą a owocną działalność rozwinąć Czartoryski, mając nadto przydanego sobie nieoszacowanego pomocnika w wizytatorze szkolnym dla trzech gubernji południowych, kijowskiej, podolskiej i wołyńskiej, Tadeuszu Czackim. W rzeczy samej, z dwudziestoletniego jego kuratorstwa kraj obfitego doczekał się plonu. Pomnożono w tym okresie liczbę szkół okręgu wileńskiego do czterystu pięćdzie-



sięciu, uczących do tysiąca, uczniów do dwudziestu kilku tysięcy; stworzono takie zakłady, jak szkoła krzemieniecka, gimnazjum podolskie; zaś nadewszystko niezapomniana Akademia wileńska, wyniesiona na nieznany dotychczas blasku i świetności stopień, uczyniona, z nauki, co główna, z ducha, koroną zaiste całej budowy, uczyniona duchową macierzą mickiewiczowskiej generacji. Po wszystkie czasy we wdzięcznej pamięci swoich utrwalił się ten dzieł niepożytych sprawca, a co dziwniejsza, nawet od obcych wziął późny hołd zasługi: z ogłoszonych dzisiaj suchych dokumentów urzędowych, jego postać z taką wyłoniła się powagą, iż od wszystkiej prasy rosyjskiej doby dzisiejszej ogłoszony został jedynym godnym naśladowaniem wzorem rzetelnego opiekuna nauki i szkolnictwa<sup>1)</sup>. W tym samym atoli czasie, kiedy obszerne pole płodnej pracy domowej otwierało się przed nowym kuratorem wileńskim, trudniejsze nieskończenie zadania czekały petersburskiego ministra spraw zagranicznych.

## VI

Polacy cieszą się opinią machjawelskich dyplomatów. To jest za takich każą nam uchodzić dobrzy sąsiedzi, z którymi najwięcej dyplomatyżować nam wypadło i do których przy tej sposobności straciliśmy wszystko, co tylko było do stracenia. Wzamian za to od tych sąsiadów nieboraków, którzy nam wszystko zabrali, możemy nasłuchać się dosyta dwuznacznych komplementów o naszych nadzwyczajnych uzdolnieniach, przebiegłości, finezji, wprost maestrji dyplomatycznej. Dlatego też oni muszą z nami tak mieć się na baczności, patrzeć nam na palce, aby uniknąć zastawianych przez nas tak misternie sideł „intrygi polskiej“, w które tak łatwo mógłby uwikłać się prostoduszny, Bogu ducha winny Rosjanin albo Niemiec. To się do tego stopnia utarło, że czasem my sami z pewnem upodobaniem zaczynamy wierzyć w nasze pod tym względem kwalifikacje. W rzeczywistości nie masz na świecie gorszych od nas

<sup>1)</sup> *Zbiór materiałów do dziejów oświaty w Rosji*, II, 1802—1804 (Petersburg, wyd. Ministerjum Oświaty. 1897).

dypłomatów. Do dyplomacji nowoczesnej, będącej *par excellence* sztuką ukrywania i urzeczywistniania własnych zamierzeń politycznych, odgadywania i pokrzyżowania cudzych, stojącej wyrachowaniem, niedowierzaniem, konsekwencją, trzeźwością i bezwzględnością — poprostu nie mamy talentu. To trochę sprytu jaki posiadamy w tym kierunku, zazwyczaj wydatkujemy całkowicie na potrzeby wewnętrzne, w zatargach domowych, swarach osobistych i stronnicych, przeciw sobie samym. Ilekroć zaś wypadnie nam działać nazewnątrz, tyle razy — a zwłaszcza wtedy, kiedy pożał się Boże, zachciewa się nam udawać chytrych — dajemy niechybnie wyprowadzić się w pole. Rosjanin szczerą duszą, Niemiec uczuciowiec, Austriak pocziwina, Francuz lekkoduch, Anglik niezgrabiasz, Włoch zapaleniec, wszyscy oni w dobie nowoczesnej wydali swoich: Bestużewów i Paninów, Fryderyków Wielkich i Bismarcków, Metternichów i Talleyrandów, Beaconsfieldów i Cavourów — tylko przechytrzy Polacy żadnym podobnym nie pochlubią się graczem. Jednego tylko w tej dziedzinie poważnego mamy przedstawiciela, który mniej od nich był szczęśliwym, lecz bardziej szanownym, który nie był, jak oni, zawodowcem, lecz jak sam się nazwał „błędym rycerzem dyplomacji“ — księcia Adama Czartoryskiego.

Zaraz po objęciu czynności (w początku 1803 r.) Czartoryski wygotował własnoręczny, dla osobistej tylko wiadomości samego Aleksandra, najpoufniejszy memorjał programowy „O systemie politycznym, jakiego winna trzymać się Rosja“. Ogromny ten, nieznaný dotychczas operat daje klucz do całej jego późniejszej działalności ministerjalnej. Formułował tu nasamprzód Czartoryski rodzaj wyznania wiary o polityce międzynarodowej w ogólności. Stanowi on jako zasadę naczelną, iż w polityce istnieje „harmonja przyrodzona pomiędzy prawami słuszności a interesem“, iż krzywda i gwałt, po przechodnich tryumfach, koniec końcem mszczą się na krzywdzicielach i gwałcicielach, iż porządek moralny koniec końcem okazuje się najpraktyczniejszy, a polityczna moralność najużyteczniejszą przedewszystkiem dla tego, który ją uprawia. Uzdrawienie w tym duchu polityki zewnętrznej rosyjskiej wiązał z równoległym uzdrawieniem wewnętrznym, podług dwóch kolei wskazań naczelných:



poszanowanie praw narodowości, oraz ustanowienie konstytucyjnego sposobu rządzenia. Z ogólnych sylogizmów powyższych bezpośrednio wysnuwał szczegółowy rozbiór stosunków zagranicznych Rosji. Wnioskował więc naprzód, iż Rosja winna nie tylko dążyć do stałego z Anglią porozumienia, lecz na niej się wzorować i liczyć z opinią publiczną angielską. Przeciwnie, za naturalnych wrogów Rosji uznawał Austrię i Prusy, sprzężone między sobą przez największy błąd polityki rosyjskiej, przez podział Polski. Austria pokątnie inspirowana przez Prusy, sięgnąć może w sposobnej chwili z jednej strony, z Galicji, po Podole, Wołyń, Ukrainę, z drugiej, od Węgier, po kraj Bośniaków (Serbję) i Czarną Górę. Tu szczegółowo rozwijał Czartoryski swój plan wschodniej polityki Rosji: nie zabór bezpośredni, lecz federacja drobnych państw bałkańskich pod protektorem rosyjskim. Celem zaszachowania Austrii na Bałkanach przychodził tu z innym, wtedy zgola nowym pomysłem. Rosja winna sprzyjać zjednoczeniu Włoch i użyć ich przeciw Austrii. Jeśli pomyślimy, że to wszystko było pisane przeszło sto lat temu, podziwiać można dalekowidztwo tych przewidywań Czartoryskiego. I jeszcze się zarzuca, że był złym ministrem rosyjskim. Był może aż nadto dobrym, choć na inny nieco sposób, niż pp. Izwolskij albo Bobrińskij. Nareszcie, we właściwej konkludującej części memorjału, traktował Czartoryski o Prusach, a zarazem o sprawie polskiej. Piętnował w Prusach najniebezpieczniejszego wroga Rosji. Piętnował całą zachłanność i hypokryzję, z jaką Prusy, zwiąawszy się z Francją rewolucyjną i napoleońską, wygrywały ją przeciw Anglii, z jaką również wygrywały Austrię przeciw Rosji, a znowuż wygrywały przeciw Austrii fałszywą swoją dla Rosji przyjaźń. Oddanie Prusom Warszawy i serca Polski piętnował jako zbrodnię nie tylko przeciw Polsce, lecz i przeciw bezpieczeństwu Rosji. Odsłaniał widoki zaborcze pruskie na część Litwy, Żmudź, Kurlandję. Stąd wyprowadzał ostatecznie konkluzję dwoistą: konieczność odebrania Prusom Warszawy wraz z ich dzielnicą polską, a następnie — skupienia wszystkiej Polski przy Rosji, bądź w drodze „reintegracji“, t. j. pod w. ks. Konstantym (przyczem rzecz godna uwagi, już tutaj, w 1803 r. przewidywano jego ekskluzję od korony cesarskiej rosyjskiej); bądź też w drodze unji realnej

pod wspólnem berłem samego Aleksandra. Ale jak to uskutecznić? Na to odpowiada Czartoryski: za zgodą Anglii, oraz — punkt niezmiernej wagi — za zgodą Francji. W tym ostatnim punkcie mieścił się sekret najtajniejszy polityki Czartoryskiego. Chciał on nie pojedynku Aleksandra z Napoleonem, lecz przeciwnie, chciał za taką cenę obustronnego pokojowego porozumienia ponad głową Austrii i Prus. Wyobrażał sobie mianowicie dla Rosji pożądaną kolej wypadków w następującym sposobie: przy najbliższem posiedzeniu między Austrią i Francją zmusić Prusy do wyjścia z hipokryckiej ich dwulicowości i złączenia się z Francją, następnie, nieawiszle od rozprawy austro-francuskiej, uderzyć na Prusy, zgnieść je, stanąć mocną nogą w Warszawie, wreszcie, po porażce Prus przez Rosję a Austrii przez Francję, przeprowadzić bezpośrednio pacyfikację z Napoleonem za cenę zdobycia dla Rosji Królestwa Polskiego. To jest słynny *Mordplan Czartoryskis gegen Preussen*. Cokolwiekby sądzić o tej koncepcji, tyle pewna, że wśród ówczesnych warunków, wychodziła ona zarówno od dobrego Polaka i od dobrego rosyjskiego ministra spraw zagranicznych. Zyskała też w całej rozciągłości zupełną aprobatę Aleksandra.

## VII

Dwa lata jednak wypadło czekać, zanim dojrzała pora sposobna do urzeczywistnienia ego planu. Stało się to jesienią 1805 r., wobec trzeciej wojny koalicyjnej przeciw Francji. Dwie armje rosyjskie wyruszyły w pole. Jedna w 50 tysięcy miała uderzyć na Warszawę, druga, 100 tysięcy, z Grodna wkroczyć do Prus Wschodnich, dwie dalsze armje rezerwowe — poprzez pierwsze natarcie. Równocześnie Aleksander w towarzystwie Czartoryskiego przybył z Petersburga do austriackich wtedy Puław. Tu zabawił dwa tygodnie w gościnie domu Czartoryskich, przy ogromnym zjeździe najwybitniejszych obywateli polskich, sprowadzonych z Warszawy i całej dzielnicy pruskiej, witających go już jako króla polskiego, składających mu adresy wiernopoddańcze okryte setkami podpisów. Wygotowane już były i aprobowane przez cesarza dwa akty: manifest, wypowiadający wojnę Prusom i manifest, ogłaszający przywrócenie Królestwa Polskiego



pod Aleksandrem. Oczekiwano tylko hasła od cesarza i marszu na Warszawę armji rosyjskiej, na której czele sam Aleksander miał wjechać do swej polskiej stolicy. Czartoryski, zapracowany niesłychanie, myślał o wszystkim i pełen był otuchy. Ale robota jego już zewsząd była tajnie podkopywana u cesarza. Była podkopywana przez wpływy nacjonalistów rosyjskich w świecie cesarskiej. Była zdradzana w Berlinie przez tamtejszego posła rosyjskiego. Wtedy to mianowicie, z podwójnego źródła rosyjskiego i pruskiego, trafiła do podejrzliwego Aleksandra zatruta denuncjacja przeciw Czartoryskiemu, iż on radzi po zdradziecku, po wallenrodowsku, iż całym swoim planem on dybie na zgubę cesarza i Rosji, iż pragnie rozmyślnie pograżyć Rosję w wojnę z Prusami i Francją, a narazić Austrię i Anglię, aby ostatecznie z katastrofy Rosji wyłowić dla siebie samego koronę polską. I oto nagle wśród tych wyczekiwań puławskich, w Czartoryskiego uderzył piorun. Aleksander oświadczył mu, że zrzeka się ataku na Prusy, że zamiast z orężem do Warszawy udaje się z różdżką oliwną do Berlina.

Okropną była ta droga do Berlina dla ks. Adama. Musiał on tam towarzyszyć cesarzowi, bo ten wyraźnie tak chciał, chciał go mieć ze sobą, jako widomego winowajcę, kusiciela, intryganta polskiego, na którego głowę mógł składać, wobec swego ukochanego brata Fryderyka Wilhelma III i pięknej królowej Luizy, wyłączną odpowiedzialność za ów plan „morderczy“. Musiał Czartoryski być świadkiem zbratania się obu monarchów w Poczdamie przy trumnie Fryderyka Wielkiego. Musiał, na rozkaz cesarza, położyć swój podpis na poczdamskiej konwencji sprzymierzeńczej Rosji z Prusami, on, który wczora, na rozkaz cesarza był pisał puławski manifest wojenny Rosji przeciw Prusom. A nie wolno mu było unieść się, bryznąć żalem i wyrzutem w oczy cesarzowi, nie wolno było cisnąć teki ministerjalnej natychmiast, za sam zawód w sprawie polskiej, aby właśnie tym sposobem najjadowitszej nie potwierdzić denuncjacji, aby nie zaszkodzić tej sprawie na przyszłość. Tak w Berlinie aż do dna kielich goryczy wychylić musiał Czartoryski.

Wnet jednak same dzieje wzięły surowy za niego odwet. Wprost z Berlina Aleksander pojechał na Morawy, zamiast rozprawy z Prusami na rozprawę z Napoleonem. Napróżno Czarto-

ryski w ostatniej jeszcze chwili zaklinał, ostrzegał przed bitwą walną. Nie słuchano go, bitwę wydano. Ta bitwa — to Austerlitz. Tego dnia grudniowego, na płaskowzgórzu górującem nad austerlicką równiną, wśród świetnej świty wojskowej otaczającej Aleksandra, na szarym końcu, w czarnym surducie, stał konno, milczący, sponiewierany Czartoryski. Widział on lekkomyślną pewność zwycięstwa, widział pierwsze zarządzenia, zaczęte poruszenia wojsk koalicyjnych — a wtem ujrzał piorunujące uderzenie boga wojny, raptowne pchnięcie piechoty napoleońskiej, rozbijającej jak taranem środek armji związkowej, wściekle ataki kirasjerów francuskich, zmiatających przed sobą niezwyciężoną dotąd gwardję rosyjską; ujrzał zamięszanie, popłoch, porażkę, wreszcie niewstrzymaną ucieczkę. Przy zapadającym szybko zimowym zmroku, trzeba było pomyśleć o bezpieczeństwie Aleksandra. Świta jego się rozpięchła, został przy nim tylko Czartoryski z doktorem Anglikiem, berajterem i dwoma lejbkoszakami. Tak bieżono przed się w ciemności, zrazu galopem, potem stępą, gdyż cesarzowi zrobiło się słabo. Musiał zsiadać po kilkakrotnie z konia, nie mówił nic, miał spojrzenie błędne, czasem nawet płakał. Czartoryski, również milcząc, cucił go winem, podawał krople opium. Ta noc grudniowa — powiedział później — była jak noc z króla Leara, kiedy wicher huczy w mrokach, wałą się królestwa, a królowie po otwartem błakają się polu.

Wrócono do Petersburga. Czartoryski był winniejszy niż kiedykolwiek, bo wszak okazało się, iż on miał rację. To jest wina najrzadziej wybaczana przez monarchów. Miał rację, kiedy ostrzegał przed Austerlitzem, miał więcej jeszcze racji, kiedy ostrzegał przed Prusami. Prusy, niewiele bacząc na przysięgi poczdamskie, nazajutrz po Austerlitzu sprzymierzyły się z Napoleonem i kazały sobie zapłacić Hannowerem. Sprawdzały się wszystkie przewidywania Czartoryskiego. Już od kwietnia 1806 r. dopraszał się on dymisji i wyznaczenia na jego miejsce Rosjanina. Jest szereg pism jego do cesarza z tego czasu w tonie tak gwałtownym, że poprostu widać, iż ten człowiek, tak panujący nad sobą, doprowadzony był do ostateczności. W czerwcu nareszcie Aleksander udzielił mu żądanej dymisji, ale zastąpił go nie przez Rosjanina, lecz przez Niemca, prusofila, bar. Budberga. Zamiast pokoju, doradzanego przez Czartoryskiego, doszło do nowej,



czwartej koalicji, tym razem łącznie z Prusami, które nareszcie udało się pchnąć do zdradzenia z kolei Francji i wypowiedzenia wojny Napoleonowi. To miała być rehabilitacja prusofilskiej polityki Aleksandra. Ale pociecha trwała niedługo. Prusy ledwo chwyciły za oręż jak porażone zostały śmiertelnie pod Jeną. Francuzi wkraczali do Berlina, Poznania, Warszawy. Do Warszawy, dokąd przed rokiem chciał wprowadzić Aleksandra Czartoryski, teraz wjeżdżał tryumfalnie Napoleon.

Zaczęła się kampanja polska 1806—7 r. Rosji, ciągle prowadzonej na pasku polityki *pour le roi de Prusse*, wypadło teraz, po Jenie, ratować ginące Prusy, które przed rokiem, po Austerlitzu, były wydały Rosję. Czartoryski, choć w niełasce, w charakterze prywatnym, pobiegł wiosną 1807 r. za Aleksandrem na plac boju. Powziął on śmiałą myśl urzeczywistnienia puławskiego planu w odmiennej z gruntu sytuacji. Wszak w tej sytuacji najistotniejszym był fakt zgniecenia Prus, odebrania im Warszawy wraz z ich dzielnicą polską, tyle tylko, że zamiast Rosji, dokonał tego Napoleon. Radził tedy Czartoryski skorzystać z kłopotów francuskich podczas ciężkiej kampanji zimowej, obwołać Aleksandra królem polskim, i dojść na tej zasadzie do tej samej pacyfikacji z Napoleonem, jaka była planowana w Puławach. Śmiałą tę myśl z całą siłą przekonania popierał Czartoryski w kwaterze głównej w Bartoszycach, przekonał do niej nawet generalicję rosyjską, nie przekonał podejrzliwego Aleksandra, podniecanego przez Prusy do wytrwania w walce. Tak doczekał się nowej walnej porażki: Friedlandu. Teraz trzeba było prosić o pokój bez kondycyj. Nastąpił zjazd Aleksandra z Napoleonem w Tylży. Stało się Księstwo Warszawskie pod egidą Napoleona. Aleksander umywał ręce od Polski. Runęły wszystkie prace i nadzieje Czartoryskiego.

## VIII

Czartoryski na zjeździe w Tylży nie był obecny. Rzecz szczególna, że ci dwaj ludzie, Napoleon i Czartoryski, nigdy osobiście się nie spotkali, nigdy też na sobie się nie poznali. Napoleon miał Czartoryskiego za tajnego kandydata do korony polskiej, za zawziętego nieprzyjaciela Francji, wiecznego podszczuwacza Rosji do wojny z Francją. Nie wiedział on, gdyż

ukrywał to przed nim Aleksander, że Czartoryski pragnął Polskę mieć przy Rosji i to w drodze pokojowego z Francją porozumienia. Z drugiej strony Czartoryski nie wiedział, gdyż przed nim znów ukrywał to Aleksander, że Napoleon zaraz w Tyłży podjął samorzutnie jego myśl własną, że zaofiarował Aleksandrowi całą Polskę z koroną królewską, że Aleksander tę ofertę odrzucił. Tak więc Czartoryski miał Napoleona za zabójcę tej swojej myśli, za fałszywego przyjaciela a rzeczywistego wroga Polski. To była pomyłka. Nie przewidywał wtedy Czartoryski, że on sam kiedyś na wygnaniu emigracyjnem żyć będzie pod osłoną drugiego cesarstwa napoleońskiego, że o rękę własnej jego córki — Izy, później Działyńskiej — konkurować będzie Napoleon III, że widoki polskie kiedyś już tylko bodaj o cień wielkiego, o małego wypadnie oprzeć Napoleona.

Gorszy niż poprzednio, po Austerlitzu, był teraz, po Tyłży, powrót Czartoryskiego do Petersburga, gorsze, bo nawskroś fałszywe było jego położenie tutaj, nie tylko wobec cesarza, lecz co ważniejsze, wobec kraju własnego. Tam w kraju ożyło i tętniło pełnią narodowego życia Księstwo Warszawskie. Tam stanęli na czele owi kuzynowie Czartoryskiego z Zamku i z Wilanowa: Józef Poniatowski na czele armji, Stanisław Potocki na czele rządu. Tam, bez Czartoryskiego, wbrew Czartoryskiemu, odradzała się Polska. Tam też przeciw niemu podnosiła się opinja jako przeciw zbiegowi, prawie przენiewiercy. On, w czystości polskiego swego sumienia, odczuwał to tem boleśniej, iż nie mógł się bronić, musiał milczeć. I jedynie w poufnych ówczesnych listach do matki wyrywał mu się nieraz przejmujący okrzyk, świadczący o ostrości tego bólu. Swoją karierę polityczną uważał on wtedy za zamkniętą. W Petersburgu odepchnięty przez Aleksandra i opinję rosyjską, w Warszawie — przez Napoleona i opinję polską, poddawał się uczuciu przymusowej rezygnacji.

Czuł się nieszczęśliwym, osamotnionym, a poczuł, że już nie jest młodym. Pomyślał nieco o swoim szczęściu. Latem tegoż roku, wracając do Petersburga, poznał po drodze w Mitawie młodzieńką Dorotę Birenównę, księżniczkę Kurlandzką. Dziwna to była para zakochanych: on dochodził czterdziestu lat, ona była dzieckiem piętnastoletniem — ale już z tej ślicznej, czarnowłosej, upartej główki, z ciemnych, aż nadto mądrych oczu, cała, pełna



wyzierała kobieta. Książę Adam w Mitawie zasiedział się dwa tygodnie, był smutny, nic prawie nie mówił z księżniczką, tylko się na nią patrzył. Ona poprostu postanowiła zostać jego żoną, on liczył się z różnicą wieku i ze swoją rodziną, a głównie z matką. Księżna Izabella miała inne zamiary dla syna, który był jej duszą, jej królem. Czyliż świeżo książę Antoni Radziwiłł, syn wojewodziny wileńskiej, nie poślubił Luizy Hohenzollernówny pruskiej? Księżna Izabella z Puław, wojewodzina wileńska z Nieborowa, dwie gwiazdy kolejne z czasów Stanisława Augusta, to były najjaźystsze, najczulsze przyjaciółki, to znaczy, że te panie się nienawidziły. Trudno było pogodzić się z myślą, że kiedy tamta znalazła dla syna księżniczkę krwi królewskiej, własny syn miałby poprzestać na Birenównie, wnuczce koniucha Anny Iwanówny. Księżna Izabella miała na widoku dla syna arcyksiężniczkę austriacką. Jedna tylko starsza siostra Marja, tak nieszczęśliwa z Wirtemberczykiem, sprzyjała wyborowi ks. Adama Niedosć na tem: rzecz doszła wiadomości Aleksandra. Cesarz nie chciał małżeństwa Czartoryskiego z księżniczką Kurlandji, od lat niewielu dopiero wcielonej do Rosji, a jedną z najbogatszych w Europie dziedziczek. Wdał się osobiście; sam zjechał do domu Birenówny i wprost nakazał wydać córkę za siostrzeńca Talleyranda, któremu tem małżeństwem zapłacił hojnie, a tanio za zdradzenie Napoleona. Mała broniła się uparcie, ona chciała swego księcia Adama, ale użyto przeciw niej najzręczniejszego sposobu dyplomatycznego, oddalono ją od Czartoryskiego, nie doręczano jego listów, wreszcie udzielono jej fałszywej wiadomości o jego zaręczynach z inną w Warszawie. Koniec końcem została wydana za mąż, wywieziona do Paryża, została lwicą salonów paryskich, zasłużyła wyszukaną swoją perwersją na oburzenie pani George Sand, a na podziw Balzaca<sup>1)</sup>, figurowała wśród najokrutniejszych aktorek jego „Komedji ludzkiej“, jako pani

<sup>1)</sup> Księżna Dino, jako bohaterka balzakowska, występuje pod nazwiskiem Cadignan (Diane d'Uxelles, duchesse de Maufrigneuse, princesse de) w *Comédie humaine* w powieściach: *Les secrets de la princesse de Cadignan*, *Le cabinet des antiques*, *Splendeurs et misères des courtisanes*, *La duchesse de Langeais*, *Autre étude de femme*, *Modeste Mignon*, *Mémoires de deux jeunes mariées*; pod nazwiskiem Langeais (Antoinette de Navarreins, duchesse de) w powieściach *La duchesse de Langeais* i *Le père Goriot*.

Cadignan i pani de Langeais — ale nie zapomniała nigdy księcia Adama. I on jej nie zapomniął, zachował starannie w swoich papierach najdrobniejsze jej liściki, wszystkie świadectwa jej dzieciennego o nim rojenia. Różne postacie kolejno staną jeszcze po jego drodze, ale to była ostatnia jego głębsza sercowa przeprawa. *Il vient un âge* — (zapisał sobie wtedy książę Adam) — *il vient un âge, où la plus belle maîtresse, que puisse servir un homme (d'honneur), c'est sa nation* — Nadchodzi wiek, kiedy najpiękniejsza kochanka, jakiej służyć może człowiek honoru, to jego ojczyzna. Ta najczystsza namiętność odtąd coraz wyłączej całe jego następne zapełnia życie.

Tymczasem dłuższy pobyt w Petersburgu stawał się zgoła niemożliwym dla Czartoryskiego. Stosunek Aleksandra do Polski wchodził w fazę najdrażliwszą. Wybuchła wojna francusko-austriacka 1809 r. Ks. Józef powiodł oręż Księstwa Warszawskiego na zdobywczą kampanję galicyjską. Aleksander, pozorny tyłczycki sprzymierzeniec Napoleona, w te pędy wyprowadził armję rosyjską do Galicji, rzekomo dla pomagania Polakom, istotnie zaś w najpodstępniejszej roli skrytego wroga, krzyżować ich postępy. Napoleon przeniknąwszy tę taktykę, naprzód przez pokój z Austrią zawarty, podwojenie Księstwa Warszawskiego przez jego zdobycze galicyjskie, następnie zaś, przez małżeństwo z Austrią, z Marią Ludwiką austriacką, stanął w groźnej przeciw Rosji postawie. Odtąd pojednanie między Aleksandrem a Napoleonem stawało się niemożliwym, a przedmiotem tego pojednania była już jawnie sprawa polska. Teraz strwożony, odosobniony Aleksander przypomniawszy sobie Czartoryskiego, wezwał go i odbył z nim szereg rozmów poufnych, jakich nie prowadzili już od lat kilku. Cesarz — zauważył Czartoryski — był widocznie podniecony, trawiony niepokojem, miał to samo spojrzenie błędne, co w nocy po Austerlitz. Przyznawał się do winy, do błędów popełnionych w Puławach i Bartoszycach, przyznawał trafność niesłuchanych wtedy rad Czartoryskiego i wreszcie, spuszczając oczy, spytał: czyli niema sposobu odzyskać zaufania Polaków, odwrócić ich od Napoleona, skłonić ku Rosji? Ale nie powiedział mu jednego wyraźnego słowa, co on dla nich uczynić jest gotów. Pełno tu było niedomówień, śliskich, niebezpiecznych. Ale Czartoryski wybornie zrozumiał, czego od



niego żądano: aby bez żadnej kontrporęki, dla ogólnikowych jeno widoków, pomógł rozbić, obłąkać, znieprawić opinię krajową. Od tego się uchylił. „Najjaśniejszy Panie — rzekł krótko, również nie precyzując swej myśli, lecz wiedząc, że będzie doskonale zrozumiany — żywię głębokie przekonanie, że człowiek, który nie jest oddany swej ojczyźnie, wart jest pogardy. Wyprzeć się swej religji, swoich rodziców, swojej ojczyzny — to są rzeczy jednakowo wzgardy godne. Najważniejszym dla mnie zawsze było nakazem, abym zachował własny dla siebie szacunek. Możesz Wasza Cesarska Mość skonfiskować moje dobra i kazać mnie rostrzelać — ale chcę, abyś musiał oddać mi sprawiedliwość, że byłem człowiekiem uczciwym“. Odmowa była jasna. Wkrótce potem, wiosną 1810 r. Czartoryski opuścił Petersburg — p o r a z o s t a t n i.

## IX

Niebawem ciężko dotknęło Czartoryskiego zaczęte śledztwo przeciw Czackiemu i spowodowało prośbę o dymisję z kuratorstwa wileńskiego. W odpowiedzi odebrał najniespodziewańsze, najzaufańsze, najlaskawsze pismo cesarskie, ważnego dziejowego znaczenia (list z 7 stycznia 1811 r.), gdzie z nadzwyczajną otwartością odsłaniał przed nim Aleksander niewzruszone postanowienie śmiertelnej z Napoleonem rozprawy, spowiadał się z sił swoich i planów strategicznych, żądał zaś natomiast najobszerniejszego spółdziałania w ziemiach polskich, a w szczególności w Księstwie Warszawskim. Od Czartoryskiego żądał wysondowania w tym względzie mężów zaufania Księstwa. Czartoryski odpowiedział natychmiast, podejmując się wykonania, nie bez pewnych zresztą poważnych zastrzeżeń i wątpliwości, wyrażonych dość jasno i otwarcie. Poczem w pierwszych dniach lutego (1811) udał się do Warszawy, gdzie doszło go następnie drugie, dopełniające pismo Aleksandra, przeznaczone do rozpróśzenia podniesionych w jego odpowiedzi wątpliwości, z dokładnem podaniem zgromadzonej nad granicą Księstwa zbrojnej potęgi rosyjskiej, gotowej w każdej chwili do uderzenia na Napoleona. Czartoryski pokazał Poniatowskiemu odebrane pisma i przełożył mu życzenia i widoki cesarskie. Ks. Józef udzie-

lił odpowiedzi przeczącej. Skutkiem tej jego stanowczej odmowy misja Czartoryskiego odrazu padła, o czym tenże, wróciwszy do Puław w początku marca, zaraz uwiadomił monarchę.

Nadszedł wielki rok 1812. W chwili, gdy, zdawało się, wątpić nie było sposobu o tryumfie Napoleona, klęsce Aleksandra, księżę Adam sam z sobą ciężką stoczywszy walkę, postanowił nie podnosić ręki na dawnego przyjaciela i pana, który jeszcze być nim nie przestał. W szlachetnem piśmie do Matuszewica (10 czerwca 1812) piękny dał wyraz swym podniosłym pobudkom „Gdyby — pisał tutaj — przeznaczenia mojej ojczyzny były jeszcze niepewne, gdyby dla jej zbawienia trzeba było poświęcić najwięcej szanowane względy, nie powinienbym się wahać... Ale któż może wątpić o skutkach tej walki, któż nie widzi, że wszystkie prawdopodobieństwa genjuszowi zwycięstwa zwycięstwo rokują? — Przeciwnie Aleksandrowi wszystkie grożą nieszczęścia. Byłoby więc szlachetnie i byłoby do usprawiedliwienia przydawać nieprzymuszonym pośpiechem do tyłu niechybnych klęsk gorycz, jakoby uczuł na widok niewdzięczności człowieka, którego szczególniejszemi obsypywał względy?” Nie przestawał zarazem kołatać o dymisję w Petersburgu. Stale odmawiał jej Aleksander, ale z zupełnem uznaniem dla nieskazitelnego charakteru przyjaciela, w tych nawet chwilach krytycznych oświadczał się „oddanym mu dozgonnie całą duszą i sercem”.

Z przymusowej bezczynności wkrótce wyrwała Czartoryskiego katastrofa napoleońska. Od wybuchnięcia tajonego wciąż, a już w całej pełni istniejącego przesilenia t. j. od chwili jak z pod Moskwy coraz fatalniejsze, a coraz dokładniejsze jęły nadchodzić wieści, uwaga sterników politycznych Warszawy poczyniała obracać się ku jedynej w tych okolicznościach, o ile chodziłoby o nawrót w kierunku Rosji, postaci pośredniczącej Czartoryskiego. Decyzja ostateczna zapadła pod koniec listopada. Zredagowano rodzaj pełnomocnictwa dla ks. Adama do traktowania z Aleksandrem imieniem Konfederacji i rządu warszawskiego, na podstawie połączenia z Rosją, lecz bez wcielenia, sposobem unji, pod berłem Aleksandra, Księstwa Warszawskiego, zjednoczonego z Litwą, przy zmodyfikowanej konstytucji Trzeciego Maja, albo też warszawskiej, przy pewnych porękach dla administracji, jurydykcji, armji polskiej.



## X

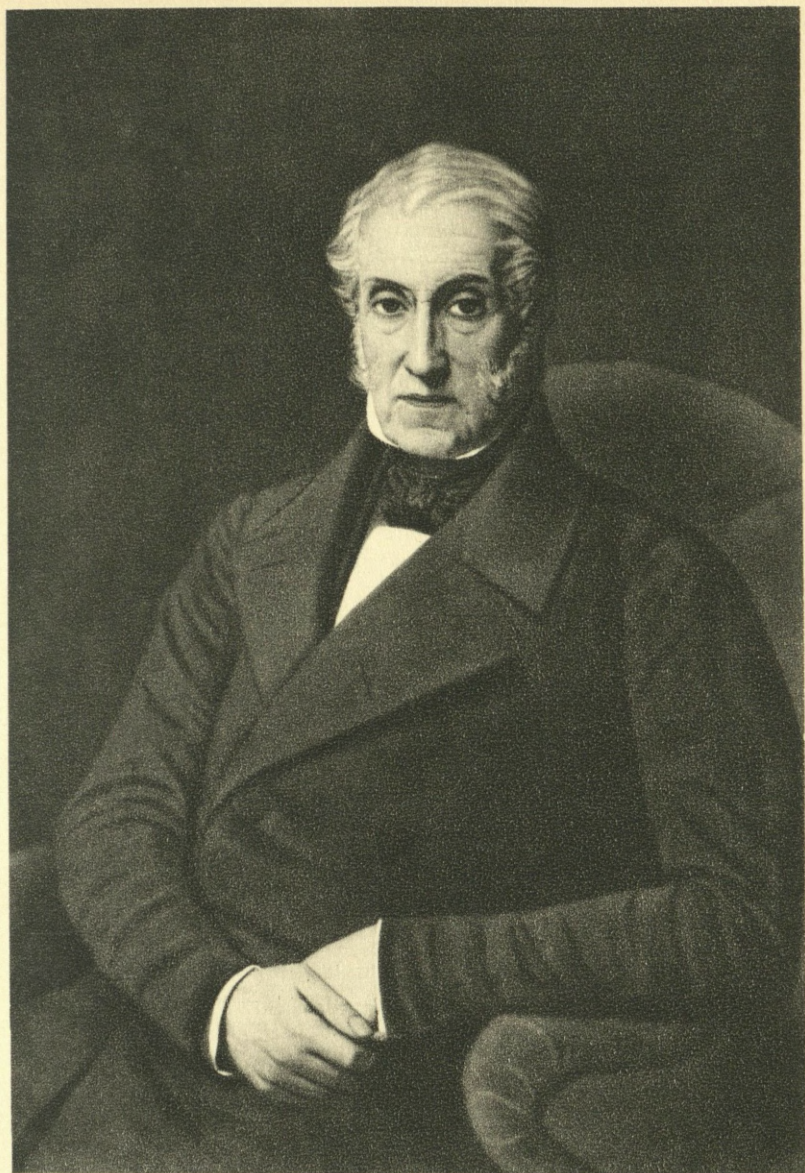
Natychmiast, z Sieniawy, podniósł Czartoryski głos za nie-szczęśliwym krajem. Nie miał czasu do stracenia. Na teatrze wielkiej walki światowej, rozgrywającej się już prawie wyłącznie na ziemi polskiej, rzeczy wojenne i polityczne zawrotnym toczyły się pędem. Czartoryski, z samotnego sieniawskiego zamku, winien był za tym nadążyć rozpędem, nie chybić pory i sposobu ratowania zagrożonej śmiertelnie sprawy polskiej. Winien był tajne zalecenia swoich konfidentów warszawskich przeobrazić na czyn nieodwołalny. Winien był, nietyle ich własnem, ile Polski imieniem dokonać radykalnego zwrotu w polityce narodowej, wystąpić z apelem wprost do Aleksandra. To był krok największej odpowiedzialności. Zdawał sobie z tego sprawę Czartoryski. To też jakkolwiek inicjatywa warszawska zasadniczo jego własnym wieloletnim, prorosyjskim odpowiadała dążeniom, to jednakowoż nie poprzestał on bynajmniej na prostem jeno akceptowaniu jej i przekazaniu dosłownem Aleksandrowi. Przeciwnie, poddał ją ścisłej, przedmiotowej krytyce ze stanowiska interesu narodowego i światowego w danej chwili położenia. Rozwijał ofiarowaną z Warszawy myśl unji dynastycznej z pewnem nawet zabarwieniem realnej, pomiędzy Polską a Rosją, pod wspólnem berłem Aleksandra I i jego następców na tronie carskim. Aliści, wywiązując się tym sposobem z właściwych, nadesłanych sobie z Warszawy, zleceń ugodowych, zarazem uznał za niezbędne znacznie poza nie wykroczyć, śmiało uzupełnić je i rozszerzyć w wyższym interesie narodowym i w myśl własnego wyższego ujęcia rzeczy. Opracował samodzielnie swe w tejże materji poglądy i zreagował je w kształcie drugiego operatu, odnosząc go do hipotezy bliskiego pokoju, którego wielkie korzyści nie wymagają udowodnienia i którego nieodwłoczna konieczność mogłaby dać się odczuć wszystkim wojującym mocarstwom. Wysuwał myśl, polegającą na ułatwieniu, we właściwym czasie, porozumienia w sprawach polskich, przez nadanie Polsce króla w osobie w. księcia Michała. Kardynalna różnica, zarówno między tonem jak i treścią, zarówno przesłanką, jak wnioskiem, oferty warszawskiej a sieniawskiej, wprost biła w oczy. Warszawa zwracała się do Aleksandra wyłącznie, jako do tryumfującego

teraz mocarza i zdobywcy, stanowiącego samowładnie o losach Polski. Ofiarowała zwycięskiemu carowi, pod pewnymi warunkami konstytucyjnymi, przyłączenie Księstwa Warszawskiego do Rosji. Sieniawa natomiast zwracała się do Aleksandra, jako polityka, zmuszonego liczyć się z przyszłością, z pobitym zrazu lecz nie zniszczonym jeszcze przeciwnikiem Napoleonem, oraz innemi również mocarstwami, a w każdym razie nie mającego ani tytułu, ani fizycznej możności załatwienia sprawy polskiej prostym, na własną rękę czynem zdobywczym. Żądała tedy od zwycięskiego cara Sieniawa wydania Litwy, celem przyłączenia jej do Księstwa Warszawskiego, wzamian jedynie za sekundogeniturę rosyjską. Warszawa godziła się na podległą unję Polski z Rosją. Sieniawa, w zgodnym z Rosją duchu i sposobie, stawiała bądź co bądź hasło Polski niepodległej.

Ale tymczasem ministrowie warszawscy postanowili spróbować drogi bezpośredniej do cesarza. Aleksander otrzymał tę drugą ekspedycję warszawską 15 stycznia 1813 r., tj. w cztery dni po otrzymaniu pierwszej od Czartoryskiego. Dostrzegł oczywiście cesarz różnicę kapitalną *in plus*, zachodzącą pomiędzy skromniejszą ofertą warszawską a szerszą Czartoryskiego, rozpoznał śmiałą rękę korektorską ks. Adama i odpisując mu, w najlaskawszych zresztą wyrazach — gdyż na nim i na Polsce wiele mu wtedy zależało — nie omieszczał przecie równocześnie załączyc odpisu odebranej od Mostowskiego posyłki, dając tem do zrozumienia, że przejrzał istotę rzeczy, że zarazem wie doskonale, iż całą rozpoczętą akcję na tańszych, niż stawiane przez Czartoryskiego, prowadzić może warunkach.

Z ciężkiem sercem Czartoryski pośpieszył do Kalisza, celem pokrzyżowania podejrzanych rokowań prusko-rosyjskich, z tem większym niepokojem udawał się do Reichenbachu, celem przeciwdziałania groźniejszej jeszcze grze austriacko-prusko-rosyjskiej. Odprawiony z niczem z Reichenbachu, jak przedtem był wypędzony z Kalisza, w drugiej połowie sierpnia 1813 r. powrócił do Warszawy. Niewiele, nic właściwie skutecznego nie miał tu do roboty. Wkrótce przeświadczywszy się o bezcelowości dłuższego swego tam pobytu, a trzymając się zresztą otrzymanej od Aleksandra wskazówki, wyjechał stąd, już w drugiej połowie sierpnia, do siebie do Puław. Zresztą i tutaj nie pozostał beczynnym: owszem





*Książę Adam Czartoryski*



przedsięwziął na własną rękę i nie bez własnego poważnego ryzyka doniosłą próbę poruszenia opinii angielskiej i zainteresowania jej dla sprawy polskiej przez umyślnego, wyprawionego do Anglii wysłańca. Zrozumieć można ciężkie przygnębienie, jakie ogarnęło go na wieść o porażce lipskiej i tragicznym Poniatowskiego zgonie. Zarazem pojął, iż wobec katastrofy lipskiej i zgonu wodza polskiego, przyszła znowuż na niego samego kolej nieodwłocznego działania. Nie tracąc czasu opuścił ciche puławskie schronienie, udając się po raz trzeci na walną, tym razem nareszcie skuteczną wyprawę ratunkową ku Zachodowi, popędził za ciągnącym na Paryż cesarzem. Dopadł Aleksandra w Chaumont. Znowuż nie-szczególne zrazu przyjęty, tym razem przecie z lepszym, niż w Kaliszu i Reichenbachu, działać mógł szczęściem. Mógł odezwać się do głębszej stacji stanu, poniekąd nawet odzyskać dawne zaufanie Aleksandra. Mógł dzięki temu zyskać jego aprobatę na najważniejsze zasady wytyczne dalszego postępowania w sprawie polskiej, skreślone jego ręką w Chaumont w arcydoniosłym memorjale i w pewnej mierze niezwłocznie wprowadzone w wykonanie pod postacią ukazu, ustanawiającego Komitet Reformy w Warszawie, z przyznaną w nim rolę przewodnią samego Czartoryskiego. Ale była to dopiero część, i to początkowa dopiero, wielkiej roboty.

Od pierwszej chwili wjazdu Aleksandra do Paryża sprawa polska, zrazu sposobem milczącym, stanęła jednak jaknajwybitniej na porządku dziennym. Aleksander zgłaszającym się do niego Polakom, a szczególnie sędziwemu Naczelnikowi, wielką okazywał życzliwość, większe otwierał nadzieje, ale czynił to po swojemu, sposobem ogólnikowym, niestanowczym, nieobowiązującym, zostawiając narazie wszystko ciągle w zawieszeniu. Tem potrzebniejszym okazał się przy jego boku w Paryżu czynny Czartoryski, znający cesarza tak dobrze, a tak dokładnie przenikający wszystkie trudności i niebezpieczeństwa, jakie wciąż jeszcze nietylko nie były usunięte, lecz zagrażały dopiero, bardziej niż kiedykolwiek, pomyślnemu rozwiązaniu realnemu sprawy polskiej. W początku czerwca 1814 r. cesarz Aleksander w towarzystwie króla pruskiego i licznej świty udał się z Paryża do Londynu. Czartoryski podążył do Londynu za cesarzem, niczego nie zaniedbał, aby osobiście, za tej bytności w Anglii, wpłynąć na statystów angielskich w duchu najkorzystniejszym dla sprawy polskiej.

A. J. Czartoryski  
w 1813  
został po  
Poniatowskiego



Podczas pobytu na dalekim Zachodzie, Czartoryski w polskiej swej robocie przedewszystkiem był natrafiał na oporność lub złą wolę wielkich mocarstw. Teraz, wracając do kraju, musiał spotkać się z inną przeszkodą, polegającą na uprzedzeniach opinii publicznej rosyjskiej. W jesieni nastąpiła bytność cesarza w Puławach, długa i doniosła narada. Po cesarzu, 23 września wieczorem wyjechał do Wiednia książę Adam. Tutaj, gdzie już tymczasem z całego świata koronowane zjeżdżały się głowy, czekały go na samym wstępie silne a bolesne wrażenia osobiste. Na zmianę im przychodziły coraz nowe kłopoty i troski publiczne. Tu Czartoryski wobec najdrażliwszych, najzawilszych, najtrudniejszych stawał zagadnień. W przeciągu ubiegłych lat dziesięciu odwróciło się z gruntu położenie. Dzieło wielkie, którego przed laty dziesięciu myślał był dokonać przy pomocy Anglii, za zgodą Austrii, a wbrew Prusom — podejmował obecnie przy pomocy Prus, wbrew Austrii, przeciw Anglii. Istotny sprawy polskiej przedstawiciel i obrońca na kongresie wiedeńskim uzyskał tu częściowy przynajmniej wysiłków swych owoc, Królestwo Polskie.

## XI

Czartoryski, pozostawiony w Wiedniu dla ukończenia ostatnich formalnych robót kongresowych, w początku lipca 1815 r. powrócił stąd do Warszawy. Wrócił wyczerpany niepomiernym wysiłkiem, a znalazł w Warszawie nowe trudności i niebezpieczeństwa; nie znalazł zadośćuczynienia za dokonane swe prace, spotkał się natomiast z surową krytyką i ciężkim wyrzutem, iż nie uczynił więcej. Głównym jednak kamieniem obrazy było stanowisko, zajęte od pierwszej chwili przez w. księcia Konstantego, nowego wodza naczelnego armii polskiej, a już faktycznego wielkorządcę Królestwa. Stanowisko to było na całej linii wręcz nieprzyjemne, a zagrażało tembardziej przyszłości kraju, że nie były jeszcze ugruntowane podstawy bytu konstytucyjnego Królestwa; znane były dopiero w ogólnikowym zarysie „Zasady konstytucji“, lecz sama konstytucja pozostała w zawieszeniu aż do przybycia monarchy. Czartoryski odrazu w najtrudniejszym znalazł się położeniu. Nie czuł za sobą dostatecznie mocnego oparcia opinii publicznej krajowej, dla której on był jeszcze wtedy

człowiekiem nowym. Dostrzegać już poczynął ciężką pomyłkę, jaką był popełnił, kładąc pełne zaufanie w osobie starego przyjaciela z czasów petersburskich, Nowosilcowa, poczynającego obecnie zdejmować maskę i obejmującego już swoją rolę grabarza Królestwa Polskiego i Polski. Wreszcie stawał do niebezpiecznej z w. księciem Konstantym walki, której nikt podejmować nie śmiał, a którą on, z właściwym sobie zaparciem się, wziął na siebie, odkrywając przed Aleksandrem szkodliwe zboczenia w. księcia i nawet považając się wprost żądać jego odwołania. Krok śmiały i niewątpliwie dyktowany Czartoryskiemu przez czyste pojęcie obowiązku obywatelskiego, miał wszakże przeciw sobie okoliczności bardzo poważne; nie mógł doprowadzić do celu, a musiał wpłynąć na podkopanie całego położenia ks. Adama w przyszłości i uniemożliwić ten udział wybitny, jeżeli nie naczelny w rządzie, jaki z natury jemuby przypaść był winien. W tym samym czasie gorączkowa praca w Komitecie Reformy warszawskim, w Radzie Stanu, a przede wszystkim roboty przygotowawcze około projektu konstytucyjnego pochłaniały księcia Adama.

Pobyt Aleksandra w Warszawie, od połowy listopada do początku grudnia 1815 r., przyniósł rozwiązanie spraw doniosłości najwyższej, ostateczną redakcję i nadanie karty konstytucyjnej, oraz wyznaczenie składu rządowego w Królestwie Polskiem. Spoczęły i tym razem prace najwალniejsze na barkach Czartoryskiego, a spotkała go teraz, przy samym końcu położonych trudów, niespodzianka ciężka, choć właściwie przewidzieć się dająca: ominęło go namiestnikostwo, a tem samem wszelki właściwy w rządzie udział. Po roku zapisywał w swym dzienniku rozmyślania retrospektywne: „W takim razie usunąć się trzeba, mając przeciw sobie w. księcia, namiestnika, Nowosilcowa, i na koniec cesarza, nareszcie całą publiczność warszawską, a oziębłych przyjaciół, którzy sami nie są lepiej położeni. Usunąć się trzeba...”

Obdarzony godnością senatora, wojewody i członka Rady Administracyjnej, był Czartoryski w cichej nielasce. Nie przestawał jednak być czynnym. Wyparowany z Królestwa, pozostał jeszcze jako kurator wileński, czynnym na Litwie, bardziej poniekąd, niż ktokolwiek inny, za Litwę i jej losy odpowiedzialny. Nie wahał się raz po razie zwracać się do cesarza pisemnie z otwar-



tem, odważnem jak zwykle, wstawiennictwem w zagrożonych najżywotniejszych interesach Królestwa i narodu. Podjął walkę z prowokatorstwem Nowosilcowa, z arbitralnością w. ks. Konstantego, naraził się na niełaskę, wreszcie na cios najdotkliwszy, dymisję z kuratorstwa wileńskiego. Przedtem w Wołosowcach w październiku 1823 r. w rozmowie „krótkiej” i „naglonej” na cztery oczy z Aleksandrem poruszył najboleśniejsze zagadnienia zasadnicze i to po swojemu w słowach jasnych i mocnych. „Cały kraj — tak na tem ostatniem przed śmiercią widzeniu się mówił Aleksandrowi Czartoryski — czuje, że W. C. M. już mu dobrze nie życzysz. Kraj nie ma więcej zaufania do uczuć W. C. M. Kraj obawia się, że wszystko będzie zniszczone, co mu dałeś i dostrzega to dzieło zniszczenia w dokonanych już gwałtach”. Takim tonem jeden tylko Czartoryski mógł przemawiać do najpotężniejszego na świecie pana.

## XII

Nici przyjaźni, zerwane z Aleksandrem, nie mogły, rzecz prosta, nawiązać się z Mikołajem. Natomiast nawiązać się miały pod koniec osobliwsze stosunki pewnej poufałości z w. ks. Konstantym, odkąd ten samą siłą rzeczy stawał się obrońcą Królestwa przeciw imperjum. Wyrósł zarazem Czartoryski na głowę opinii krajowej przez śmiałe swoje zachowanie się kierownicze w sprawie Sądu Sejmowego (1827—1828 r.). O gotującej się rewolucji był zawczasu uprzedzony, a jakkolwiek nie zdążył już, jak miał na myśli, choćby po części zabezpieczyć się materialnie, nie powstrzymał przecie wybuchu 29 listopada i sam stanął na jego czele, jako prezes Wydziału wykonawczego Rady Administracyjnej, potem Rządu Tymczasowego (grudzień 1830 r.), wreszcie nowego rządu (styczeń 1831 r.).

Całe brzemie ogromnego politycznego zadania spadło na barki Czartoryskiego i na nim spoczęło niemal do samego końca. Nieograniczona miłość kraju, wysokie poczucie godności osobistej, te dwa dominujące w nim czynniki cnoty publicznej i prywatnej, starczyły aż nadto na człowieka, na obywatela wielkiej i niepospolitej miary, którego rzeczą nigdy nie było paktować z tem podwójnem własnem pojęciem obowiązku

i honoru. Lecz nie starczyło jeszcze na wielkiego praktycznego statystę nowoczesnego. Tym naprawdę nie był Czartoryski. Wyrozumiały dla innych, w sobie nieufny, nie narzucał swego zdania, nie brał za nie odpowiedzialności, a brał ją za cudze, za innych. Brakło mu wiary w samego siebie, brakło raptownej bezwzględności czynu, jaką daje taka wiara. Nic w nim nie było stalowego błysku imperatywnej woli, nie było jędrnego impetu kierowniczego ducha. Był z tych kierowników, co to rzekną: wodzem ich jestem, tedy za nimi podążam — *je suis leur chef, donc je dois les suivre*. Szedł też za obowiązkiem z ofiarnością zupełną, z czystego poświęcenia, bez ufności w rzecz.

Dołożmy jeszcze jeden szczegół drobny, a wcale znamienity. W samem przededniu wielkich wypadków, tegoż 1830 roku, ukazała się w Marsylii anonimowa gruba książka: „Rzecz o Dyplomacji z rękopisu Filhellena“. W niepodpisanym liście do fikcyjnego wydawcy francuskiego tyle tylko donosił o sobie niewiadomy autor, że wybiera się z pomocą walczącym o niepodległość Grekom, że spieszy „*en preux chevalier*“, na tej ostatniej wyprawie krzyżowej, życie poświęcić w obronie dobrej sprawy i że pragnie przed zgonem zostawić Europie swój niniejszy duchowy testament. „Wycofawszy się od spraw publicznych w 1816 roku, odtąd poświęciłem się studjom. W minionej burzy dziejowej byłem świadkiem naocznym klęsk, sprowadzonych przez dyplomację. To też pragnę wyświadczyć przysługę ludzkości, kreśląc myśli o reformie tej umiejętności dyplomatycznej, która tak blisko dotyczy szczęścia rodzaju ludzkiego, a jednak dotychczas jakgdyby była stworzona jedynie dla wzmożenia nieszczęść ludzkich“. Rzecz prosta, pod zamkniętą filhelleńską przyłbicą ukrywał się nikt inny, tylko ów polski „*chevalier errant en affaires d'Etat*“, ukrywał się ks. Adam Czartoryski, ze wszystkimi zaletami i przywarami swojej umysłowości, ze wszystkimi prawdami i błędami swego sądu o rzeczach, ze wszystkimi zwłaszcza porywami i złudzeniami swojej wyobraźni; ukrywał się myśliciel i marzyciel, który za krótką chwilę, wydarty zniemacka i nielitościwie ze swoich pięknych teorii o bajecznej „dyplomacji, jaka być powinna“, znajdzie się naraz, skłopotany czynny sternik rozpaczliwej sprawy krajowej, na-przeciw tej rzeczywistej praktyki dyplomatycznej i politycznej,



jaka rządziła i rządzi w Europie nowożytnej. Był z tych ludzi, którzy są zaszczytem swoich narodów, lecz nie są ich ratunkiem.

Nie objawił się mężem zbawczym, jakiego wymagało położenie i jakiego wtedy nie wydał naród, lecz objawił się, we wszystkich tego roku straszliwych przejściach, najlepszej woli i wiary, stałości niezachwianej i zupełnego poświęcenia obywatelem.

Na wygnaniu odtąd, w Paryżu, w zacisznej dzielnicy, starożytnym pałacu Lambert, zamieszkał z małżonką, „dobrą przyjaciółką“, Anna z ks. Sapiehów (poślubioną w 1817 r.), dwojgiem młodych synów i córką. Rozwijał stąd rozległą jeszcze narodową działalność, polityczną i oświecającą. Na dorocznych zebraniach emigracyjnych podnosił z powagą naczelne sprawy domowe i światowe, żadnej z losom narodu splecionej nie spuszczał z oka, zalecając sprawiedliwość dla Rusinów (listopad 1845 r.), bacząc na odległe rzeczy azjatyckie, czujny, gorliwy, nieustrudzony. Wypadki 1846 r. spowodowały czasową konfiskatę resztek jego fortuny w Galicji, o monecie, z jego wizerunkiem wybitej, rozgłosnie wtedy obwieszczał ks. Metternich. Wypadki rewolucyjne 1848 r. sprowadziły starca blisko ośmdziesięcioletniego do Berlina, gdzie daremnie za Polską czynił starania. W Paryżu drugiego Cesarstwa, z chwilą wybuchu wojny krymskiej, do nowych czuł się odrodzonym widoków. W marcu 1856 r., kiedy nad jednym jeszcze za Polską siedział memorjałem politycznym, przerwały mu pisanie wystrzały działowe, zwiastujące zawarcie pokoju; wyczerpany opadł na krzesło, lecz otrząsnął się i rzekł: „Do drugiego razu“. W istocie, aż do samego końca nie przestawał troskać się i trudzić sprawami swego narodu, nasłuchiwać gorączkowo wieści, idących z kraju. Za ostatnich jeszcze dni życia poruszony był do głębi odgłosem gotujących się w Warszawie przemian. Pod koniec czerwca 1861 r. witał osobiście obszerną przemową deputację angielskiego Towarzystwa Przyjaciół Polski. Po dniach kilkunastu, 15 lipca 1861 r., zgaśł w dziewięćdziesiątym drugim roku życia, pełen nadziei, pod znakiem dewizy rodowej swego domu: „Bądź co bądź, *le jour viendra*“.

## LIST SOŁTYKA

### I

Śród wielu obywateli niepospolitych, jakich wydała ciężka a świetna doba klęsk i porywów narodowych pomiędzy upadkiem Rzpltej, a Kongresówki, swoiście wyróżnia się interesująca, dotychczas nie dość znana postać Stanisława Sołtyka. Uderza ona wyobraźnię, ale i głębszą ściąga uwagę. To byłby właściwie, z pewną licencją poetycką, białowłosy prezes spiskowy, w zgromadzeniu podziemnem pod katedrą św. Jana, z *Kordjana*. Ale co więcej, podając rękę poprzedzającej go i następującej po nim generacji, to był typowy w kolei czasów i przepraw narodowych działacz-ogniwo. Cechą górującą tego ruchliwego ośmdziesięcioletniego działacza, na którego prace, przeważnie w cieniu, przygotowawczo a milcząco snowane, kilka z rzędu patrzyło pokoleń, stanowił mianowicie jego charakter i wpływ łączący, spajający, przeszczepiający, w stosunku do owych zmieniających się pokoleń. Ten człowiek, mało znaczny w rządzie politycznym, stojąc poza główną akcją Baru, Insurekcji, Legionów, Księstwa, czy Rewolucji, jednakowoż po swojemu dość wydatny w rządzie duchowym, wyobrażał poniekąd, przenosił i przekazywał nierozzerwalną ciągłość tradycji wyzwoleniczej, od pobudki konfederackiej barskiej aż do kościuszkowskiej, i od tej, przez legjonową i książęco-warszawską, aż do listopadowej.

---

*List Sołtyka*, szkic drukowany w „Tygodniku Ilustrowanym” 1912, I, 28—9 (nr. 2).



Urodzony w 1753 r., kasztelanik warszawski, synowiec biskupa krakowskiego Kajetana, sławnego przez wystąpienie swoje przeciw Rosji i gwałtowne do Rosji porwanie, Stanisław Sołtyk od nieszczęśliwego stryja infulata pierwsze, o całym dalszym stanowiące w życiu, odebrał popędy i natchnienia publiczne. Akt protestu i ofiary biskupa, wyższy nieskończenie ponad wartość jego osobistą, często przeceniany, nieraz przecież i niedoceniany bywa; z poza marnych rysów biograficznych, wspólnych biskupowi z marną epoką, nieraz przez anachronistyczną ciasnotę widzenia historycznego prześlepianą bywa, jak las z poza drzew, tego aktu symboliczna a niemniej istotna i skuteczna doniosłość dziejowa. Okazuje się to namacalnie na osobie Stanisława Sołtyka, gdyż cała jego późniejsza działalność publiczna miała swój właściwy punkt wyjścia w żywym i w symbolicznym zarazem biskupie krakowskim, który go z całej rodziny wyjątkowo wyróżniał przywiązaniem, który z wygnania swego w Kałudze dla niego pisał „instrukcję“ wychowawczą (r. 1771), który mu w testamencie (r. 1781) cały swój znaczny zapisał majątek, i który nawet pod koniec, już umyślowo zamroczony, jemu przeznaczał w przyszłości ni mniej ni więcej jak koronę polską.

Wychowanek i sukcesor biskupa, kształcony w kole pojęć barskich, naprzód w kraju, potem we Francji, gdzie lat kilka spędził i kulturą francuską się przejął, następnie, po przymusowej i nieszczerzej kapitulacji Barzan przed dworem, obdarzony urzędem podstolego w. k., którego wnet rzec się pośpieszył, Stanisław Sołtyk, w dojrzałym już wieku, jako poseł województwa krakowskiego, zasiadł w Sejmie Czteroletnim. Uczestniczył później w przygotowaniach do insurekcji, lecz w lipcu 1794 r. aresztowany był w Wiedniu i tam do września t. r., potem w Neustadt w odosobnieniu więziony, gdzie pocieszać się mógł tylko optymistyczną fikcją „fałszywego filozofa Panglossa“, jak zapisał w dochowanym z tych czasów więziennych Dzienniku własnoręcznym. Wydostawszy się na wolność, wnet żywy wziął udział w usiłowaniach emigracyjnych, ze sprawą legjonową związanych i w tajnych a rezykownych tych robotach, sięgających od Paryża do Stambułu, pod przybranem nazwiskiem wybitną odgrywał rolę. Wzięty z kolei w obroty przez Prusaków, długo więziony, doświadczył całej skali prześlado-

wania politycznego, gdy chwilowo nawet ukochaną małżonkę, Karolinę z Sapiehów, i-o voto Teodorową Potocką, widział traktowaną niby zakładnicę i spółwinną, dobra swoje w sekwestr wzięte, konfiskatą zagrożone. Kiedy wreszcie po doznanych zawodach, po zniknięciu ostatnich widoków legjonowych wobec pacyfikacji powszechnej 1801 r., wypadło z musu ukorzyć się i pogodzić z losem, Sołtyk zamieszkał w powróconych sobie dobrach, w Chlewiskach, o mil kilka od Radomia. Oddał się z zapałem i energią pracy, jakbyśmy dziś powiedzieli, „organicznej“, podnosił gospodarstwo rolne w pięknym swoim majątku, rozwinął istniejące oddawna w Chlewiskach zakłady żelazne, udoskonalił dobywanie miejscowej rudy, dającej dobry gatunek żelaza, postawił wielki piec, wyrabiał i wywoził duże ilości surowca, został jednym z najpierwszych większych przemysłowców w kraju naszym. Często dojeżdżając do pruskiej Warszawy, założył nadto w stolicy, razem z Czackim, Walickim, Drzewieckim, Towarzystwo Handlowe (1802 r.), mające głównie na celu eksport wyrobów krajowych drogą morską, na Odeszę, zagranicę. Należał również do założycieli Towarzystwa Przyjaciół Nauk warszawskiego; a sam, umysł wysokiej kultury, przy pomocy ukształconej małżonki, w domu swoim pod filarami przy ulicy Miodowej za zimowych swych w stolicy pobyków zbierał towarzystwo uczonych i pisarzy, jak Albertrandy, Czacki, Staszyc, Osiński i wielu innych, poniekąd w opozycji do lekkolmyślnego nastroju, jaki wtedy, za czasów pruskich, wychodził na miasto z Pod Blachy, od towarzystwa ks. Józefa.

Nadszedł rok 1806. Wszystko nagle ożyło. Francuzi pojawili się w Warszawie. Sołtyk, mianowany przez Murata członkiem Najwyższej Izby Sprawiedliwości, nie mógł jednak przez rok blisko żadną miarą dostać się do stolicy, internowany rozmyślnie w Chlewiskach przez władze austriackie. Dopiero po Tylży, w październiku 1807 r., dostał się nareszcie za kordon Księstwa Warszawskiego. „Pierwszy widok słupów, noszących kolory narodowe, — czytamy w liście jego do żony — ujrzanych po drugiej stronie Pilicy, uczynił na mnie wrażenie, którego opisać nie umiem. Kazałem zatrzymać powóz i oddałem się kontemplacji takiego słupa, jakgdyby to był obraz Rafaela“. W Warszawie zajął stanowisko wydátne; został marszałkiem



sejmu 1811 r.; w katastrofie 1812—13 r. stał wiernie przy prawej władzy i sprawie narodowej. Senator kasztelan Królestwa Kongresowego, wybitnie wpływał na obrady sejmowe, szczególnie w r. 1825; a w krytycznej dla kraju chwili nie wahał się, mimo wieku sędziwego, wziąć udziału poważnego w działaniach tajnych Towarzystwa Patriotycznego. Uwięziony w r. 1826, długo w zamknięciu trzymany, uwolniony wprawdzie przez Sąd Sejmowy, wyszedł przecie z tych przepraw ciężkich zupełnie złamany, przyciśnięty wiekiem sędziwym a ciężką dotknięty chorobą. Tak doczekał się rewolucji listopadowej, a wkrótce potem sparaliżowany, zrozpaczony, doczekawszy się jej upadku i ostatecznej kraju ruiny, długo przeżyć jej niezdolny, zmarł w r. 1832.

Z tego zajmującego, obfitującego w wypadki żywota zajmujemy narazie jeden epizod: kiedy mianowicie, na przełomie 1806 a 1807 r., Sołtyk, trzymany przymusem w Chlewiskach, całem sercem napróżno wyrывał się do uwolnionej Warszawy. Dochowały się z tego czasu listy jego do żony, przebywającej wtedy z dziećmi we Francji, w Tuluzie, potem w Paryżu. Z tych listów bez wyjątku interesujących, jeden szczególnie wydaje się być godnym zachowania w pamięci szerszego ogółu.

## II

Było to w końcu grudnia 1806 r. Sołtyk, odebrawszy wiadomość o wypadkach warszawskich, o swojej nominacji przez Murata, przywiezionej mu potajemnie do Chlewisk przez przyjaciela Zabłockiego, — gdyż wszelkie komunikacje pocztowe pomiędzy Warszawą a Galicją były przecięte a wszystkie listy interceptowane przez władze austriackie, — udał się natychmiast do Radomia, aby od tamiecznego urzędu cyrkułowego otrzymać paszport na wyjazd do Warszawy. Jakkolwiek przedstawił tam oryginalny dyplom nominacyjny Murata i jakkolwiek Austria urzędownie trwała wtedy w stanie zupełnego z Francją pokoju, paszportu jednak nie udzielono, tłumacząc się, że jest to sprawa od decyzji władz wyższych zawisła; prośbę o paszport skierowano z Radomia do gubernium krajowego do Lwowa, skąd z kolei zwrócono się po opinię do Wiednia. Rząd wiedeński, jak się wyżej rzekło, miał w końcu wydać decyzję wręc

odmowną i najsurowiej wzbronić Sołtykowi opuszczenia Chlewisk, pod groźbą sekwestru (*Einziehung*) całego majątku (dekret wiedeński zakomunikowany ze Lwowa 15 stycznia 1807 r.). Tymczasem Sołtyk otrzymał z Radomia (27 grudnia 1806 r.) zawiadomienie oficjalne, że podanie jego o paszport, wniesione do władzy cyrkułowej radomskiej (13 grudnia t. r.), poszło przez Lwów do Wiednia, i że aż do otrzymania stamtąd odpowiedzi nie może być mowy o jego wyjeździe do Warszawy.

Przygnębienie Sołtyka nie miało granic. „Wiedzieć, że Napoleon jest tak blisko, i nie módz ujrzeć tego Wielkiego Człowieka“, nie mieć możności uczestniczenia w pracach wskrzesielskich warszawskich — z tą myślą trudno mu było się pogodzić. Z największą niecierpliwością wysiadując w opustoszałym domu, bolesnym uczuciom swoim piękny dał wyraz w następującym liście do żony, pisany pod sam koniec roku, w poważnym skupieniu rozmyślań noworocznych:

„Pojutrze przypada dzień noworoczny, kiedy wedle zwyczaju mego rozglądam się wstecz na rok miniony i na ten idący Rok Nowy. Jakaż zmiana zdumiewająca w życiu mojem! Byłem z Tobą i dziećmi, licznym otoczony dworem... Życie moje w najpełniejszej ubiegało spokojności. Szczęście moje rodzinne tak było wielkie, jak tylko wymarzyć podobna. Małżonka, droga memu sercu, tysiącem szanownych zalet ozdobna; dwoje wdzięcznych dzieci (Konstancja, później za Łempickim, senatorem kasztelanem Królestwa Polskiego, i Roman, później poseł sejmowy i generał), poręka pogodnej dla nas starości. Wiele dobrobytu, dostatku, a bez wystawności, bez przesadnego zbytku; wszyscy domownicy nasi szczęśliwi i szczęścia swego pewni. Podjęte przezemnie przedsięwzięcia gospodarcze, na roztropności wsparte, prowadzone z rozwagą, wszystkie pomyślnym uwieńczone sukcesem... Ten stan pogody albo raczej indolencji, w którym trwałem, czasem tylko ożywiała gorliwość, z jaką swoje pełniłem obowiązki opiekuńcze (względem nieletnich Radziwiłłów i Sieroszewskich)... Zdawać się mogło, że egzystencja podobna winna była czynić mnie szczęśliwym; że, licząc już lat 54 wieku, żadnych więcej pragnień żywić nie byłem powinien.

„Jednakowoż to szczęście moje było tylko pozornem. Myśl o Ojczyźnie mojej, poniżonej, rozdartej, ujarzmionej, zatrzymała



mi każdą chwilę żywota. Udana wesołość ukrywała przed Tobą, przed dziećmi, przed przyjaciółmi, prawdziwe uczucia mego serca, które zawsze tajny zapełniał smutek.

„Wielkie wypadki, od dwóch miesięcy dokonane, Wielki Człowiek (Napoleon), jawiący się w dzielnicach naszych, wielką zapowiadają odmianę. Ten widok pochłania wszystkie moce dusze mojej. Droga Karolino, drogie dziatki, nie jesteście już dla mnie niczem więcej, jak ziemskim jeno przedmiotem. Wybaczcie mi to wyznanie: ale byłem Polakiem, zanim małżonkiem, zanim ojcem zostałem. Uczucia najżywszego patriotyzmu, w jakich przez szanownego stryja (biskupa krakowskiego, Kajetana Sołtyka) chowany byłem, wzmogły się jeszcze dzięki samym nawet okolicznościom nieszczęsnym, jakich przez długie lata doświadczyć mi wypadło. Długo więziony, całego pozbawiony mienia, przecież za samą tylko wzdychałem Ojczyzną.

„Pod jakimież teraz wróżbami przychodzi rozpoczynać ten Rok Nowy, jakież nadzieje rodzą się w mem sercu, jakież trwogi odczuwam o urzeczywistnienie tych nadziei! Egzystencja moja jest mi ciężarem. Jestem tutaj jakgdyby uwięziony, nie mogę opuścić tej okolicy. Wyznać Ci muszę, że kiedy byłem aresztowany w Wiedniu, później więziony przez rząd pruski, czułem owszem pewne z tego ukontentowanie, iż mnie przesładują, iż mnie więżą, w chwili ówczesnej, kiedy nieszczęsną Ojczyznę moją dzielono. Ale w chwili obecnej, kiedy wskrzeszenie Ojczyzny jest bliskie, a ja powoływany jestem do objęcia stanowiska... teraz mieć sobie wzbronione stawiać się tam, gdzie mnie wzywa obowiązek, jest to boleść, której oddać Ci jestem niezdolny...”

Tak w przymusowem odosobnieniu, w samotni cichego dworu wiejskiego, przed sobą samym i najbliższymi swymi, nie na pokaz, lecz z nieodpartego wewnętrznego imperatywu duchowego, czynił porachunek noworoczny człowiek już stary, spracowany, zasłużony, a wyrywający się do czekającej go jeszcze długiej męki i służby publicznej. To świadectwo listowne jest nie tylko ciekawym przyczynkiem do życiorysu poważnej, wybitnej postaci historycznej. Jest ono czemś więcej jeszcze. Jest piękną nauką, zwłaszcza dla możnych w kraju naszym

ludzi, do których z urodzenia, stanowiska, fortuny należał Sołtyk Stanisław. Wykłada ono lapidarnie tę prawdę prostą, oczywistą a przecie niezawsze, nawet dość rzadko, istotnie w całej odczuwaną i stosowaną w pełni: iż dla obywatela, zwłaszcza dla możnego obywatela cierpiącego narodu, nie dość cnoty prywatnej, lecz wymagana jest od niego najwyższa, publiczna; iż nie dość, aby on był dobrym, przykładnym ojcem rodziny, dobrym, skrzętnym gospodarzem, lecz trzeba, aby nadewszystko tętniło w nim żywiołowe poczucie bezpośredniej bezwzględnej jedności z losami sprawy narodowej i ofiarna gotowość całkowitego w każdej chwili oddania się na jej usługi.

---

Na egzemplarzu uwaga ręką autora: „Sołtyk nie miał cnoty prywatnej”; odesłanie do Niemcewicza, *Pamiętniki*, Poznań, I, 270—2. Por. też *Instrukcje i depesze rezydentów francuskich w Warszawie 1807—1813*, Kraków 1914, I, 412, 415—6, 481. — Sołtyk był wysunięty 1811 r. na marszałka sejmu przez Łubieńskiego, wbrew zdaniu Rady Ministrów, jako *homo regius*, z myślą o zmianie rządu i w związku z zamierzonym zastąpieniem Potockiego Łubieńskim. — Rola Sołtyka wcześniejsza, w dobie insurekcyjnej i legjonowej, jako „Weigtynowskiego”: *Napoleon i Polska*, Warszawa 1918, I—II.

---



## LEOPOLD KRONENBERG

W dziejowym rozwoju Polski wybitnie szwankował czynnik gospodarczy. Nie odpowiadał on naogół wielkości politycznej i wojennej państwa, ani też nieprzebranym bogactwom przyrodzonym ziemi i tęgosci roboczej szczepu polskiego. Tak zazwyczaj bywało za Polski niepodległej, zwłaszcza w schyłkowej jej epoce. Lecz zaniedbany ten czynnik szczególniejszej nabierał wagi dla Polski w dobie porozbiorowej. Praca i ewolucja gospodarcza była odtąd, mimo wszelkich przeszkód politycznych, bądźcobądź, acz w ścieśnionym zakresie, stosunkowo jeszcze najprzystępniejsza, najwykonalniejsza. Zaś zarazem w tej właśnie dobie nowożytniej i najnowszej ów czynnik gospodarczy, zarówno w trzech państwach rozbiornych, do których Polska została wcielona, jak i w całym świecie cywilizowanym, wysuwał się na czoło i wyrastał do nieznanej nigdy przedtem potęgi i wpływu. Tembardziej niezbędnymi w tej mianowicie dziedzinie stawali się dla Polski porozbiorowej działacze-przodownicy i przewodnicy wyższej miary, czuwający nad tak doniosłą funkcją samozachowawczą życia narodowego, nad ochroną i rozwojem sił gospodarczych Polski rozdarłej i jarzmionej, a tem samem stwarzający trwałą podstawę i rezerwę jej sił politycznych na dalszą przyszłość. Jednym z najznakomitszych był Leopold Kronenberg.

Urodził się roku wyprawy moskiewskiej, wielkich nadziei, większych zawodów, gdy wygórowała i spadła gwiazda napoleoń-

---

Przedmowa do monografii zbiorowej: „*Leopold Kronenberg*“, Warszawa 1922. Wyd. Wychowawców b. Szkoły Handlowej im. L. Kr.

ska, pociągając za sobą w przepaść sprawę polską. Urodził się w Warszawie (24 marca 1812) z miejscowej rodziny kupieckiej. Tkwiło w tem już zgóry i uzdatnienie i utrudnienie przyszłej niepospolitej jego działalności. Uzdatnienie — gdyż pochodził z ludu, przeważnie przysposobionego od wieków do wyjątkowej w interesach obrotowości. Utrudnienie — gdyż szło o spożytkowanie jej dla wyższych interesów Polski. Że, przełamując tę trudność społeczną, spożytkował tamtą zdatność intelektualną na dobro narodu polskiego, w tem była samorodna, osobista Kronenberga zasługa. A był w tem też wyraz tej moralnej siły asymilacyjnej, jaka tkwi w Polsce nawet niewolonej i pozwala jej, choć niebędącej w całości skroś jednolitym blokiem narodowo-państwowym, opanowywać jednak stopniowo, naturalnym pokojowym trybem, najbardziej zróżniczkowane swe składniki i ku wspólnemu wieść celowi.

Ojciec, Samuel Kronenberg, właściciel domu bankowego w Warszawie, już w dobie Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego należał śród innych spółwyznawców do ukształceńszych i szczerze polszczyjących się obywatele stolicy. Należał też do wolnomularstwa polskiego, skupiającego owemi czasy wszelkie żywioły patryjotyczne. Zasiadał też w najwplywowszych łóżach Tarczy Północnej i kapitulnej Świątyni Temidy, obok ministrów jak Matuszewic i Sobolewski, oficerów jak Prądzyński i Krzyżanowski, gdzie wyższe wolnomularskie piastował stopnie. Po jego śmierci (1826) pozostała wdowa, Tekla ze Schwartzów Kronenbergowa, niewiasta energiczna, matka troskliwa, objęła kierunek spraw majątkowych i wychowania dzieci, dwóch córek i pięciu synów, z których trzecim był Leopold. Otrzymał on edukację staranną, czysto polską. Młodym jeszcze chłopcem wstąpił (1828) do szkoły przygotowawczej warszawskiego Instytutu Politechnicznego; odbył tu pod kierunkiem dyrektora Garbińskiego kurs nauk w oddziale handlowym. Zkolei wyprawiony został przez matkę do Hamburga (1829), do głośniejszej wtedy Akademii praktyczno-handlowej, skąd następnie (1831) przeszedł na wydział techniczny Uniwersytetu berlińskiego. Otarł się o kulturę zachodnią, uczył się z wyróżnioną w jego świadectwach szkolnych gorliwością, dobrze poznał języki, zetknął się z euro-



pejskiem życiem gospodarczem, udoskonalili praktyczne cechy i zakrój swej umysłowości. Tak przygotowany, dwudziestoletni ledwo młodzieniec, wrócił do kraju (1832), nazajutrz po katastrofie listopadowej do nowej Warszawy paskiewiczowskiej.

Otwierała się podówczas, po równoczesnym zawodzie rewolucji lipcowej francuskiej a listopadowej polskiej, nowa w całej Europie, orleańsko-mikołajowska, twarda, wychłodzona, wytrzeźwiona docna epoka. Niemniej jak z autokratycznego Petersburga Mikołaja I, tak na swój sposób i z burżuazyjnego Paryża Ludwika Filipa szło to bezwzględne wytrzeźwienie z górnych światoburczych, wyzwoleńczych haseł rewolucyjnych, zastępowanych przez bardziej poziome a praktyczne. Załadnienia gospodarcze, a zwłaszcza finansowe, wystąpiły na plan najpierwszy. Najpraktyczniejsze, lapidarne teraz wydano hasło: „*Enrichissez-vous*“. Francja rządowa stała się żywym jego wcieleniem. Na czele pierwszego ministerjum Ludwika Filipa stanął bankier Laffitte; na czele drugiego bankier Casimir Périer. Francja społeczna tych czasów, jak odmalował ją Balzac, w tym samym poszła kierunku. Po zamknięciu doby wielkich wojen i przewrotów główną dźwignię potęgi uznano w pieniądzu.

Powszechny ten w Europie ówczesnej nastrój musiał szczególniejszym sposobem odbić się na złamanej, zniszczonej Warszawie polistopadowej. Naczelne czynniki narodowe opuściły ją i ginęły w oddali: Na Wschodzie marły szczątki armji polskiej, z musu zdobywając Mikołajowi Kaukaz i Turkiestan. Na Zachodzie wymierała emigracja, daremnie przypominając się krajowi przez beznadziejne wyprawy partyzanckie. Zaś w wegetującej Warszawie swobodnie odbywać się mogło rządowe i półrządowe „bogacenie się“ kosztem bezbronного kraju, wydanego na pastwę nowych władców, z Księciem Warszawskim na czele. W istocie sam Namiestnik Paskiewicz był sprzedajny, podobnie jak i jego małżonka, z Gribojedów księżna Namiestnikowa, jak najwplywowski członkowie Rady Administracyjnej w rodzaju Storożenki, jak sekretarze stanu i t. d. Pod taką egidą wykonywał się bezkarny, bezceremonjalny rabunek głównych gałęzi skarbowego zarządu Kongresówki. Była w tem zresztą poczęści pewna głębsza myśl przewodnia. Była zgodna tendencja Petersburga

i Berlina ku podcięciu wyrosłej pod Lubeckim polskiej samodzielności skarbowo-gospodarczej i inicjatywy przemysłowo-handlowej, ubicia jej konkurencji z wytwórczością rosyjską z jednej a pruską z drugiej strony, zepchnięcia Kongresówki na poziom biernej kolonji rolniczej. Z takiej korzystając tendencji i skwapliwie jej służąc, pełno po Warszawie ówczesnej uwijało się aferzystów, obławiając się przy udziale miejscowych i petersburskich władz, a nienajmniej też niektórych finansistów berlińskich, kosztem najbardziej dochodowych dziedzin krajowego gospodarstwa publicznego.

Takie stosunki zastał w Warszawie po swym powrocie młody Kronenberg. Zastał tyjących dzięki podobnym stosunkom „nowych bogaczy“. Miał dla nich i ich sposobów dorobkowych głęboką pogardę. Czuł się wyższym od nich tyleż zdatnością, co charakterem. Postanowił przedewszystkiem wygórwać nad nimi tyleż większą fortuną, ile lepszą drogą zrobienia jej. Wtedy to najpierw życiowa zbudziła się w nim ambicja. Wystąpiła odrazu z całą właściwą mu energją, twardością, temperamentem bojowym człowieka czynu i urodzonego realisty. Ale ta jego ambicja miała swoje szczyble, po których kolejno wznosiła się i uszlachetniała. Trzy mianowicie takie postępowe przechodził stopnie: ambicję stworzenia sobie narzędzia pracy przez zdobycie znacznej fortuny; wytworzenia poważnej sytuacji społecznej; podjęcia skutecznej służby narodowej.

Zaraz po powrocie zapisany do księgi kupców warszawskich (1833), otworzył dom bankowy, z początku skromny, lecz solidnym i sumiennym sposobem prowadzenia wnet zyskujący sobie zaufanie, zwłaszcza w kołach ziemiańskich. Niebawem, do spółki z zaprzyjaźnionym poważnym kupcem, Matyasem Rosenem, mógł większe podejmować operacje. Wówczas też przez senatora generała Adama Ożarowskiego trafił osobiście do Namiestnika Paskiewicza. Po kilku już leciech (1840) czuł się dość silnym, by stanąć do konkurencji o owładniętą przez starych wygów liwerunkowych dzierżawę tabaczną. Wprawdzie zrazu uległ, lecz mógł wstąpić do spółki dzierżawnej, zaś już w roku następnym, jako członek ekonomiczny, objąć naczelny jej zarząd (1841). Dla poznania obcych wzorów administracji tabaczej udał się zagranicę (1843), skąd



przywiózł nowe maszyny i ulepszenia organizacyjne całej gospodarki dzierżawnej. Była to dotychczas, wedle zwykłej paskiewiczowskiej reguły, gospodarka równie licha jak rabunkowa. Kronenberg w krótkim czasie umiał znakomicie udoskonalić ją technicznie, a zarazem podnieść dochodowo. Umiał zapewnić znaczne, stałe i postępowe nadal zwiększenie tabaczych wpływów skarbu. Dał nowy, nieznanym w ówczesnym świecie dzierżawców i dostawców, przykład świadomego podporządkowania i uzależnienia swego interesu osobistego od wyższego interesu skarbu. Zaimponował i konkurentom i rządowi. Miał też odtąd raz po razie przedłużaną sobie tę dzierżawę. Okazał się w niej niezastąpionym, niezbędnym i pozostał wkońcu wyłącznym administratorem tabacznym Królestwa, aż do ostatecznej zamiany metody dzierżawczej na banderolową. Administracja tabaczna stała się podwaliną dużej jego fortuny, dużej u rządu powagi i pierwszorzędnej w życiu gospodarczym kraju roli i znaczenia.

Już ustatkowany majątkowo, a poniekąd i społecznie, założył ognisko rodzinne. Poślubił (1846) Różę Leównę, również wyznania ewangelicko-reformowanego, córkę znanego lekarza, siostrę późniejszego wieloletniego redaktora „Gazety Polskiej”. Miał z nią trzech synów i dwie córki. W tym czasie stracił matkę (1848). Jednocześnie nieustannie rozszerzał swoją działalność. Rozwijał stosunki swego domu bankowego zagranicą i w kraju, w szczególności ze sferami rolniczymi. Sam już w tym czasie nabył większy majątek w Łowickiem i zaczął prowadzić cukrownię (1843). W roku głodowym (1847) wyróżniony został przez władze krajowe za „bezinteresowną przysługę w podjęciu i dokonaniu dostawy zboża do magazynów rządowych”. Tegoż roku wezwany był do Petersburga przez ministra skarbu, hr. Wronczenkę, dla udzielenia wskazówek rzeczoznawcy względem reorganizacji administracji tabaczej w Cesarstwie. W Petersburgu zbliżył się do ministra sekretarza stanu Królestwa Polskiego, Turkułła, wybitnych zdolności, choć małego charakteru człowieka. Miał w nim odtąd chętnego, a wpływowego u władz centralnych informatora i pośrednika. Podczas wystawy powszechnej londyńskiej (1851) przez Turkułła otrzymał od hr. Wronczenki misję do Londynu celem zdania sprawy

o wystawie wogóle, a eksponatach rosyjskich w szczególności. Złożył sprawozdanie treściwe, ciekawe, a dla wystawców i okazów rosyjskich, z wyjątkiem tylko skór i płócien, bardzo surowe.

Dzięki rosnącym interesom, podróżom do Rosji i zagranicę, mógł znacznie powiększyć swój widnokrąg, stosunki i wpływy. Postępował szybko naprzód, dojrzewał, rozszerzał i urozmaicał sferę swego zainteresowania i działalności. Ale wciąż koncentrował ją w kraju samym. Wspólnie z Rosenem zawarł umowę z Towarzystwem Kredytowem Ziemskim o konwersję listów zastawnych (1852). Jednocześnie coraz większą uwagę poczynił zwracać na uprzemysłowienie kraju, a przede wszystkim na jego potrzeby komunikacyjne i dobowe. Postanowił zająć się kolejnictwem i kopalnictwem krajowym. Kilkakrotnie, przy pomocy Turkuła, przed i po wojnie krymskiej (1850, 1854, 1856) konkurował o dokończenie kolei Warszawsko-Petersburskiej. Starał się również o dokończenie lub też o eksploatację, o długoletnią dzierżawę kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Występował o budowę odnogi kolejowej do Katowic. „Uważam — oświadczał w jednym z pism z tego powodu — interes dróg polskich za daleko lepszy i więcej wartujący od interesu dróg Cesarstwa“. Zarazem żywo interesował się kopalnictwem i hutnictwem Królestwa, już podnoszącem się dzięki Staszicowi i Lubec kiemu w dobie Kongresowej, lecz rozmyślnie utracanem od tąd i marnowanem przez rządy paskiewiczowskie. Czynił usilne starania o otrzymanie większych dzierżaw górniczych w Kieleckiem. W związku z tak rozległemi pomysłami czuł nieodbitą potrzebę stworzenia silnej pomocniczej organizacji finansowej. Myślał oprzeć ją na poważnych siłach krajowych i życzliwych zagranicznych. Myślał mianowicie, z obejściem spekulacji miejscowej i sprzężonej z nią berlińskiej, odwołać się do lepszych żywiołów magnackich polskich i finansjery francuskiej. W tym duchu wystąpił z projektem Banku Komandytowego, do którego założycieli wprowadził Andrzeja Zamojskiego, Aleksandra i Władysława Branickich, Aleksandra Przeździeckiego i in. Mógł też liczyć na poparcie kapitalistów francuskich, z którymi już w pewne osobiste wszedł stosunki, jak ze starym Jamesem Rothschildem, Pereire, Fouldem i innymi kierownikami ówczesnego rynku paryskiego. Wobec znanej wrogości Mikołaja dla tego rynku,



a zwłaszcza Rotschildów, teraz dopiero po śmierci cesarza i Paskiewicza podobne projekty wydawały się możliwe. Popierał je energicznie Kronenberg przez ks. Gorczakowa w Warszawie i przez własne i pomocne wielkopańskie w Petersburgu stosunki. Ale wszystko okazało się daremnem. Raz jeszcze pobity został przez przeciwnie zadomowione wpływy spekulacyjne warszawskie, przez idące im na rękę biurokratyczne petersburskie i związane z nimi najściślej prusko-śląsko-berlińskie czynniki finansowe. Z żalem obywatela raczej niż finansisty odczuł Kronenberg to niepowodzenie. „Wszystkie te projekty — pisał Turkułowi (1856) — mają przedewszystkiem na celu dobro publiczne, dobro kraju, i na ostatniem jedynie miejscu zapewnienie zysku kapitalistom“.

Tymczasem, po krymskiem upokorzeniu Rosji, zniknięciu kata Polski, Mikołaja, objęciu rządów przez młodego Aleksandra, nowa doba wiosenna zdawała się nad znękanem wschodzić Królestwem. W przebudzeniu, odrodzeniu narodowem Warszawy, wraz z wybijającą się na czoło rolą inteligencji i mieszczaństwa, znalazł i Kronenberg czynne swe powołanie społeczno-polityczne. Oddawna już znana postać warszawska, w najrozmaitszym, prywatnym i półurzędowym sposobie, uczestniczył on w małych i dużych sprawach stołecznego i publicznego życia. Wnosił dobrą swą wolę, sumienność, energję do Towarzystwa Dobroczynnego (od 1849), do wpływowej wtedy w opinii Resursy Kupieckiej (1851), jako sędzieja-zastępca z wyboru do Trybunału Handlowego (1854), do Komisji umorzenia długu państwowego (1856), do Rady Przemysłowej przy Komisji Spraw Wewnętrznych i Duchownych (1857) i t. d. Zbliżył się też do naukowych i literackich kół warszawskich. Śród dotychczasowej natężonej pracy czysto praktycznej, przecież w miarę możliwości nie zaniedbywał swej kultury umysłowej, dokształcał się do różnem samouctwem, starał się lepiej poznać języki i piśmiennictwo francuskie i niemieckie. Z młodości pozostały mu pewne szczególniejsze w tym realiście, bankierze, przemysłowcu, romantyczne naleciałości. Wedle świadectwa Kraszewskiego lubował się zwłaszcza w marzycielskim Jean-Paulu i czułym Boernem; a dziwnym znów kontrastem, rozczytywał się w przyrodniczych pismach Claude Bernarda, balzakowskiego dr. „Bianchona“.

Lecz najsilniej pono oddziaływał nań Balzac, malarz tej generacji i tej komedji ludzkiej, do której on sam należał. To też w poufnej jego korespondencji nieraz balzakovskie spotykają się cytacje; pod przezwiskiem „Gobsecka“ wrogi miejscowy występuje współzawodnik, a i inne, męskie i kobiece, odbite z tych kart powieściowych i paryskich, warszawskie przewijają się cienie. Jednak głównym punktem wyjścia zainteresowania Kronenberga dla piśmiennictwa, a zwłaszcza dziennikarstwa miejscowego, były przedewszystkiem palące sprawy publiczne. O takich też sprawach prawie wyłącznie była mowa na poobiednich zebraniach niedzielnych w jego domu, gdzie literaci i publicyści spotykali się z działaczami społecznymi oraz celniejszymi, jak J. T. Lubomirski, Branicki i inni, przedstawicielami arystokracji. Bliższe zetknięcie się Kronenberga z pisarzami tak rozlicznej miary, jak Michał Gliszczyński albo J. I. Kraszewski, również odbywało się zazwyczaj nie dla pobudek akademickich, lecz na takim właśnie tle aktualnych zagadnień i potrzeb publicznych.

W ówczesnej przełomowej epoce przedpowstańczej, kiedy kraj stopniowo dopiero z ćwierćwiekowego budził się odrętwienia, wcześniej trafił do Kronenberga i silnie nań wpłynął najznakomitszy głową i sercem budziciel, Edward Jurgens. On to zaszczerpił mu niezłomną swą wiarę w niechybne, choć stopniowe raczej niż gwałtowne i natychmiastowe, wyzwolenie narodu z obcego jarzma. On również zaszczerpił mu głęboką swą wiarę w oświatę, jako główną dźwignię narodowej przyszłości. Pod wpływem Jurgensa powziął Kronenberg (1858) śmiałą myśl starania się, przez petersburskie swe stosunki, o przywrócenie Uniwersytetu polskiego w Wilnie. Zredagował nawet przy udziale ks. Łubieńskiego, późniejszego biskupa augustowskiego, statut przyszłej wileńskiej wszechnicy, który, w przekładzie rosyjskim znanego publicysty Arseniewa, złożył w petersburskim ministerjum oświecenia. Projekt ten oczywiście pozostał bez skutku. Wkrótce potem, w początku następnego roku (1859), ostry zażart społeczny, wywołany przez znane wystąpienia „Gazety Warszawskiej“, pochłoniął całą Kronenberga uwagę. Zajął się tą sprawą z właściwym sobie temperamentem, prosto, bezwzględnie mierząc do celu. Naprzód, przez sekretarza stanu Enocha



postarał się wpłynąć na zamknięcie jątrzącej dyskusji. Zarazem, świadom prasowej potęgi, dla przeciwstawienia „Gazecie Warszawskiej“, nabył przemianowaną później z „Codziennej“, a zaraz gruntownie zreorganizowaną przez siebie, „Gazetę Polską“. Zaś w tem, jak w każdym innem przedsięwzięciu, w wielkim działając stylu, powierzył redakcję pisma najznakomitszemu pisarzowi ówczesnemu, J. I. Kraszewskiemu. „Główna redakcja przy Panu pozostaje;—tak w pierwszym w tej sprawie piśmie do Kraszewskiego zwięźle streszczał ofiarowany układ — ... każdy z nas powinien mieć veto przeciw artykułom;... wszelkie wybory osób, korespondentów wspólne; zajęcia administracyjne i cały ciężar finansowy do mnie należy jako właściciela pisma; ... kontrakt trzyletni“. Sam zresztą żywo interesował się czysto polityczną stroną pisma. „Polityce w „Gazecie“—pisał Kraszewskiemu, kazalem dać barwę ostrzejszą i wyraźniejszą. Z tego też powodu zapisałem Times, w którym często można znaleźć jędrne artykuły przeciw Austrii, a jako stamtąd wyjęte, przez cenzurę puszczane być mogą“. Kraszewski po pewnem wahaniu dał zgodę. Przybył z Żytomierza do Warszawy i objął redakcję doraźnie (1859), a z początkiem następnego roku (1860) stale. Prowadził odtąd pismo przez blisko trzechlecie w ścisłym z Kronenbergiem porozumieniu. Stosunek obustronny pozostał obojętnie najprzyjaźniejszy w późniejszym jeszcze czasie, aż do śmierci Kronenberga. Redakcyjnie jednak już po dwuleciu (od 1862) stosunek ten stopniowemu ulegał zwichnięciu pod wpływem rosnących powikłań politycznych krajowych i różnego ich oddziaływania na dwie tak odmienne indywidualności.

W obostrzającym się tymczasem z dnia na dzień położeniu stolicy, w okresie coraz poważniejszych manifestacyj, a zwłaszcza po wypadkach lutowych (1861), należał Kronenberg do uznanych już i obdarzonych zaufaniem publicznem przedstawicieli miasta. Jako członek Delegacji warszawskiej uczestniczył z arcybiskupem Fijałkowskim, Andrzejem Zamojskim, Małachowskim, Chałubińskim, Szlenkierem i in., w konferencjach u Namiestnika ks. Gorczakowa. Podczas burzliwych czasem wewnątrz samej Delegacji sporów, zazwyczaj z umiarkowaniem i zdrowym występowal rozsądkiem. Kiedy razu jednego któryś z gorętszych delegatów radził nie wdawać się w żadne z rządem rozprawy

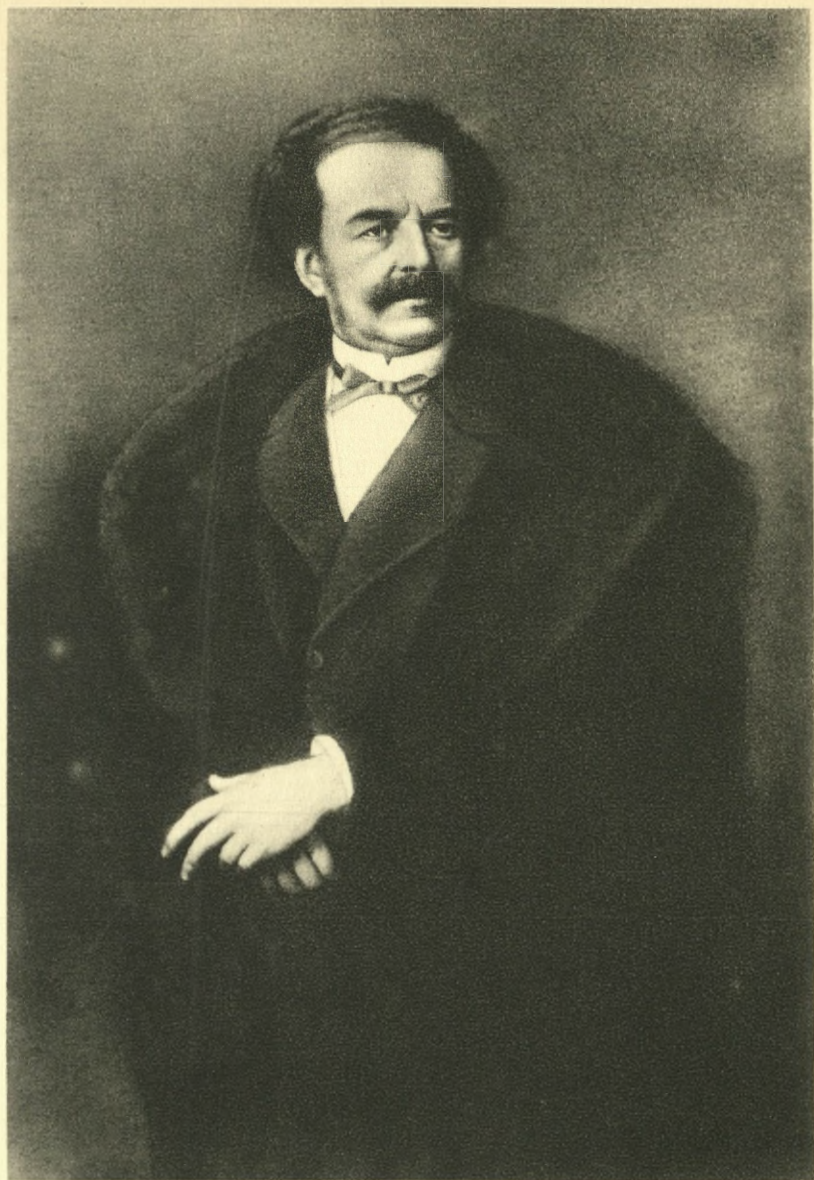
i stać poprostu przy niewzruszonym haśle Polski od morza do morza, „Ja jestem kupcem — odezwał się spokojnie Kronenberg — i trzymam się tej zasady: od złego dłużnika bierze się wszystko, co daje, i dalej się upomina“. Był jednocześnie członkiem delegacji Towarzystwa Rolniczego w sprawie oczyszczenia. Był też powołany przez Namiestnika do udzielenia opinii o projekcie Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych w kwestji włościańskiej. Osobiście skłaniał się raczej ku radykalniejszej w Komitecie Towarzystwa Rolniczego dążności, za uwłaszczeniem pełnem i szybkim, i ubolewał nad bardziej zachowawczem w tym względzie stanowiskiem Andrzeja Zamojskiego, Ludwika Górskiego, Popiela. Z drugiej znów strony, podobnie, jak i sam Jurgens, był on od początku zasadniczo przeciwny gwałtownym, prącym ku wybuchowi powstańczemu nastrojom i śródkom. Natomiast duży miał zrazu respekt i zaufanie do obejmującego władzę Wielopolskiego. Skłonny też był pierwotnie do szczerego poparcia początkowych trudnych wysiłków niepopularnej polityki margrabiego. Podczas zatargu z Towarzystwem Rolniczem (wiosną 1861), miał nawet podobno zamiar dogodzenia Wielopolskiemu w swej „Gazecie“ przeciw Towarzystwu. W ostatniej jednak chwili, w przeddzień rozwiązującego Towarzystwo dekrety, wystąpienie to zostało zaniechane, zapewne skutkiem biernego oporu Kraszewskiego. Pierwsza to była poważniejsza między redaktorem a wydawcą scysja, która zresztą w niczem zobopólnej nie zakłóciła harmonji, gdyż Kronenberg nie mógł nie liczyć się z wrażliwością Kraszewskiego na opinię publiczną. Co się tyczy margrabiego, to i nadal interesował się on silną indywidualnością Kronenberga. Z dużem też przed nim nieraz wynurzał się zaufaniem, jak np. w zapisanej w dzienniku Wielopolskiego, silnej rozprawie z Kronenbergiem u Tomasza Potockiego (w październiku 1861) o sprawie włościańskiej i żydowskiej.

Jednakowoż dalszy rozwój wypadków, rozpalający się stopniowo nastrój narodowy, a nienajmniej też błędy Naczelnika Rządu Cywilnego czyniły coraz trudniejszym jego położenie i pozbawiały go poparcia nawet sprzyjających mu w zasadzie, umiarkowanych czynników. Odbiło się to niebawem i na postawie Kronenberga. Zarówno z przekonań społecz-



nych, jak i z praktycznego zakresu swego umysłu, był on w gruncie pociągany ku reformatorskiej i porozumiewawczej akcji Wielopolskiego. Trzymał z nim poniekąd jeszcze w ciągu 1862, lecz z rosnącym zwątpieniem w jego sukces i z coraz większą wstrzeźmielnością i ostrożnością w miarę coraz ostrzejszych form toczonej przeciw margrabiemu walki. Zaś już pod koniec tego roku poczynił wyraźnie odstawać od niego, ulegając stopniowo, choć nie bez silnego wewnętrznego oporu, przemiennej fali opinii powszechnej.

Było rzeczą ze wszech miar charakterystyczną dla Kronenberga, że wśród pochłaniającej wszystkich burzy politycznej nie zaniedbał on sprawy gospodarczej ogólnego znaczenia. Była to sprawa kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Oddawna już, jak wspomniano, zajmowała go ona żywo. Chciał sam na niej rękę położyć i przeprowadzić sanację wadliwej, arbitralnej jej gospodarki. Chciał w tym celu wysadzić sprawców tej gospodarki, starych swych współzawodników, składających Zarząd kolei. Owóż obecnie, latem tegoż 1862 r., wymierzył silne uderzenie na Zarząd, i to zarazem na zgromadzeniu ogólnem akcjonariuszów, i na łamach swojej „Gazety Polskiej“, poddając ostrej krytyce niesumiennej i nieobywatelskiej eksploatację kolei. Nie obalił Zarządu, lecz go zachwiał w opinii, przygotował grunt do późniejszej pełnej wygranej, do opanowania i reformy tej kolei. Była to zresztą już jedna z ostatnich celniejszych akcji, przeprowadzonych przezeń w „Gazecie Polskiej“ przy udziale Kraszewskiego. W istocie, dłuższa ich obu współpraca stawała się coraz trudniejszą skutkiem różnicy nietyle stosunku każdego z nich, ile stopniowania tego stosunku względem Wielopolskiego. Jeśli odosobnienie margrabiego wpływało z biegiem czasu i na Kronenberga, to nierównie mocniej odbiło się to na daleko mniej opornym Kraszewskim. Z tej różnicy w stopniowaniu wynikły dalsze nieudomówienia i rozdzwienki redakcyjne. Już wiosną tegoż roku chciał Kraszewski porzucić redakcję. Wstrzymany przez Kronenberga, jednak przestał podpisywać „Gazetę Polską“ od jesieni, aż wreszcie ustąpił zupełnie z redakcji pod koniec roku (1862), poczem wkrótce opuścił Warszawę. Jednocześnie Kronenberg uzyskał od Wielopolskiego



*Mal. Leopold Horowitz*

*Własność bar. L. Kronenberga*

*Baron Leopold Kronenberg*



prawo urzędowego kierowania „Gazetą“, jako redaktor odpowiedzialny, od początku 1863.

Już jednak styczniowe wybuchło powstanie. Kronenberg ostatecznie odsunął się od margrabiego. Ze smutkiem śledził ostatnie tragiczne szamotanie się „Hofmana“, jak w poufnych z tej doby listach nazywał Wielopolskiego. „Mówią — pisał w kwietniu 1863 — że Hofman weźmie dymisję, co daj Boże jak najprędzej“. Mimo to ze strony powstańczej był oskarżany o tajne z margrabią związki. W tym samym czasie, w początku kwietnia otrzymał od Rządu Narodowego pierwsze „ostrzeżenie“, z powodu, że, „jak to Rządowi Narodowemu wiadomem jest, utrzymuje stosunki ze znanym całemu krajowi i wyjętym z pod prawa zdrajcą Wielopolskim“. W miesiąc potem, w początku maja, otrzymał drugie podobne ostrzeżenie, grożące „najsurowszą odpowiedzialnością“. Nie przeszkadzało to zresztą Kronenbergowi, jak widać ze spółczesnej jego korespondencji ze schronionym do Drezna Kraszewskim, sprzyjać w duszy rozpaczliwym wysiłkom zbrojnego powstania. Podobno nawet miał podjąć się znegocjowania pierwszej, siedmiomiljonowej pożyczki przymusowej wewnętrznej, ustanowionej przez Rząd Narodowy, na podstawie obligacji bez podpisu, i prowadzenia księgi długu. W każdym razie, choć w ówczesnych listach oddawał należny hołd „Boskiej wytrwałości“ narodu oraz pełnej poświęcenia akcji władz powstańczych, to jednak, właściwym sobie realistycznym zmysłem, zawczasu przeniknął całą beznadziejność tej akcji, w której widział, „wychodzenie na widoczną rzeź“. Wkrótce też, nie chcąc być dłużej jej świadkiem, postanowił wyjechać z kraju. Nie bez trudu, dzięki poparciu Wielopolskiego w końcu czerwca 1863, zamiast żadanego rocznego, uzyskał od W. Ks. Konstantego dwumiesięczny pasport zagraniczny. W przeddzień wyjazdu udał się potajemnie do ówczesnego kierownika wydziału skarbu Rządu Narodowego, Henryka Wohla, i doręczył mu pół miliona złp. „Sprawa stracona — rzekł — daję to na ratowanie ludzi“.

Przez ten, przeszło całoroczny, wraz z rodziną, nawpół przymusowy pobyt zagranicą, w Austrii, Niemczech, Holandji, Belgji, Francji, bierny zdaleka widz dokonywującej się w kraju agonji powstania, był Kronenberg naocznym świadkiem znanej

sobie dotychczas tylko ze słyszenia dyplomatyczno-politycznej akcji emigracyjnej. Z początku żywo zainteresował się tą gorączkową, wszechstronną, sprawną napozór akcją. Był w nią wtajemniczony przez Kraszewskiego w Dreźnie, ks. Władysława Czartoryskiego i starego Lacha-Szyrmę z Londynu, i t. d. W społecznej korespondencji ciągle też mowa o tej ruchliwej polityce emigracyjnej, obracającej się po dawnemu głównie dokoła oczekiwanej ratunkowej interwencji mocarstw zachodnich, a zwłaszcza Napoleona III. Mowa tam także o niemniej próżnych a nieskończeniu ryzykowniejszych próbach ubocznych, podejmowanych w Berlinie u hr. Bismarcka. Mowa również o podnoszonych już wtedy przez pewne koła emigracyjne niedorzecznych a nadzwyczaj obosiecznych kombinacjach rezygnacyjno-zamiennych, mających polegać na wydobyciu, wykupieniu „katolickich prowincyj litewskich“ od Rosji, za oddanie jej wzamian „Rusi galicyjskiej“. Kronenberg ograniczał się w swych listach przeważnie do zapisywania, brania do wiadomości tych prób i pomysłów, nietylko sam wypowiadając się o nich, ile raczej prosząc, szczególnie Kraszewskiego, o udzielenie o nich opinii i wyjaśnień. Osobiście najwidoczniej mało orjentował się w tej obcej sobie dziedzinie zagadnień i powikłań czysto politycznych. A była ona obca tembardziej nawskroś trzeźwej, realistycznej jego umysłowości, że wszak cała ta dyplomatyczna robota emigracyjna stała na samozłudzie i fikcji. Gorzką tę prawdę niebawem jasno przejrzał Kronenberg. Przejrzał też nieodwłoczną konieczność likwidacji przegranej walki orężnej w kraju i bałamutnej papierowej na wychodztwie. „Przekonanie silne mam — powtarzał raz po raz już od wiosny 1864 — że emigrowanie gubi ludzi i jest zgubą dla kraju... Nasza sprawa nie ustaje, choć powstania nie ma... Kraj powstania nie chce; obywatele adresy podpisują; inteligencja w innej fazie sprawy chce dla niej pracować“. Tę nową „fazę pracy“ określał jako „organizującą“. Jeden z najpierwszych występował z tem nowem i niepopularnem wtedy na wychodztwie hasłem podjęcia corychlej, na gruzach popowstańczych, roboty „organizacyjnej“, tak popularnej potem pod nazwą „organicznej“. Wnet też, jak dla innych, tak przedewszystkiem dla siebie, praktyczne wyciągnął stąd wnioski. Próżniacza, wśród pustych nadziei i bajek, po obczyźnie włóczęga



była nie do zniesienia dla tego człowieka czynu i pracy. Nie-skuteczność, daremność wysiłków publicznych czy prywatnych była nie do zniesienia dla tego realisty. Jeśli przed rokiem, mając wysiłki zbrojne powstania za nieskuteczne i daremne, wyszedł z kraju zagranicę, to teraz, mając za takie tembardziej zachody dyplomatyczne emigracji, postanowił nieodwołalnie wrócić do kraju.

Uczynił to jednak po swojemu. Chciał wrócić nie z łaski, z pokorą, bezczynnie i żałośnie, z założonemi czy załamanemi rękoma, lecz z siłą, wpływem, do gotowego wielkiego warsztatu. Schwycił w lot nadarzącą się właśnie po temu sposobność, zamierzone przez rząd połączenie kolejowe Warszawy z Brześciem. Sam skrępowany jeszcze półemigracyjnem swem położeniem, użył naprzód w tym celu pomocy bawiącego czasowo zagranicą Jana Blocha, młodego, zdolnego człowieka, który, dorobiwszy się na budowlach kolei Petersburskiej, świeżo poślubił jego synowicę, zaś jako znawca stosunków administracyjnych rosyjskich, a zwłaszcza kolejowych, chętnie podjął się pośrednictwa. Przez Blocha, latem 1864, złożył Kronenberg w Warszawie ofertę na budowę kolei Warszawsko-Terespolskiej. Zadanie było niełatwe wobec wrogiego uprzedzenia nowych władz rosyjskich. Wypadło przez Blocha i innemi też drogami wszelkie sprężyny w ruch puścić; a nie było też sposobu ominąć wpływo-wych w Warszawie ówczesnej generałów, Trepowa, generał-policmajstra warszawskiego, i Minckwitza, szefa sztabu namiest-nikowskiego. Gdy jednak oczekiwany wynik zanadto się poczynął odwlekać, Kronenberg, zniecierpliwiony, niespokojny też o istotną spóldziałania Blocha skuteczność, odwołał się wprost do zagra-nicznych, petersburskich i warszawskich swych stosunków, zyskał pozwolenie powrotu i nagle, pod koniec lata, sam zjechał do Warszawy. Tu w mgnieniu oka opanował sytuację, trafił zaraz osobiście do Namiestnika hr. Berga, umiejętnie poradził sobie i z nim i z władzami petersburskiemi, i już w najbliższych tygodniach koncesję Terespolską na dogodnych uzyskał warun-kach, pozostawiających mu pod względem konstrukcyjnym i administracyjnym szeroką swobodę działania. Od pierwszej chwili miał rozumną ambicję przeprowadzenia powierzonej sobie budowy sposobem zdrowym, w Rosji niepraktykowanym, dobrze,

tanio, szybko. Z niezmordowaną energją potrójnego tego dopiął celu, i w trzy lata niespełna technicznie i finansowo wzorową istotnie postawił kolej.

Odtąd u Namiestnika, a i u następnego wielkorządcy kraju miał wpływy ustalone, z których tyleż w publicznym korzystał interesie, co dla dobra prowadzonych przez siebie instytucyj. Nie mogła mu tego darować rozpanoszona w Warszawie sfera czynników rosyjskich. „Potężny finansista — tak jeden z nich znieprawdzonego opisywał Kronenberga — ostry, lekceważący, z drwiąco chytrym uśmiechem na ustach, zaczął bardzo często zaglądać do Zamku... Nieraz, gdy oba audjencjalne salony na Zamku były wypełnione lśnjącymi mundurami, których właściciele szeregowali się wyciągnięci jak struny, wśród ciżby generałów, pułkowników i innych dygnitarzy, w wytartym surducie, z kapeluszem lub czapką futrzaną pod pachą, przeciskał się mieszczanin bez „czynu“, Kronenberg i, spoglądając na oczekujących nawpół pogardliwie, nawpół sarkastycznie, zawsze uzyskiwał przed innymi wstęp do gabinetu Namiestnika“. Miało czynownictwo rosyjskie dość powodów nietylko za okazywaną sobie wżgardę nienawidzić Kronenberga, lecz nienajmniej też za celową, a ostrożną i zręczną obywatelską jego działalność. Przedewszystkiem objęła ona troskliwie kolej Terespolską. Uzyskawszy prawo obsadzenia stanowisk na tej kolei wedle własnego naogół uznania, bez zbytejnej interwencji władz, korzystał szeroko z tego prawa jako prezes Rady Zarządzającej na rzecz żywiołu polskiego. Więc wprowadzał ludzi poważnych jak Ludwika Górskiego, Tomasza Zamojskiego i in., do Rady; pełno ludzi zasłużonych, zwłaszcza ofiar powstania, powracających z Sybiru zesłańców, po kolejowych umieszczał urzędach. Nie bez powodu też tę kolej nazywano podówczas „sybirską koleją“. Zresztą to samo i po innych swych później czynił kolejach, bankach i wszelakich stwarzanych przez siebie instytucjach. Oczywiście zaś czynił to zwłaszcza w redakcji swej „Gazety Polskiej“, którą znacznym nakładem, mimo dużych trudności cenzuralnych, i nadal jako poważną publicystyczną utrzymał placówkę. Zapewniał tym sposobem liczne skromne schroniska, a poczęści i bezpośrednią użyteczną działalność publiczną, ludziom takiej miary, jak



Tadeusz Korzon, Dyonizy Henkiel, Władysław Bogusławski, Aleksander Krajewski i wielu innych.

Tymczasem, w trudnych popowstańczych warunkach krajowych, z coraz większym rozwijała się rozmachem twórcza działalność gospodarcza Kronenberga. Pierwszy po powrocie sukces terespolski był dlań tylko punktem wyjścia, podniety i środkiem do dalszych. Takim dalszym walnym sukcesem uwieńczoną została ponowna, po tamtej nieudanej 1862 r., kampanja jego w sprawie kolei Warszawsko-Wiedeńskiej (1869). Musiał wprowadzić tym razem Kronenberg, licząc się z wyższą siłą okoliczności, przeciw wrogim petersbursko-berlińskim w tej sprawie czynnikom sam użyć pewnych pomocniczych specyfików berlińskich i petersburskich. Jednakowoż, zmuszony uderzyć nie wprost, lecz pod przekątną, uderzył tem skuteczniej. Sprawę na całej linii wygrał, kolej Warszawsko-Wiedeńską opanował, a wnet radykalnie oczyścił, odniemczył, i, mimo narzuconych mu potem więzów formalnych, faktycznie spolszczył. Odbywało się to zresztą ciągle wśród tarć z wrogami takiej akcji czynnikami. Między innemi, ta akcja polszcząca Kronenberga na kolei Warszawsko-Wiedeńskiej była stale przedmiotem tajnych denuncjacyj ze strony ówczesnego konsula generalnego niemieckiego w Warszawie, barona Rechenberga, składanych na ręce miejscowych władz namiestnikowskich. Równocześnie i drugą dawniejszą, bankową przegranę szczęśliwie, i to podwójnie, mógł powetować. Założył naprzód (1869) Bank Dyskontowy w Petersburgu, czem znacznie swoje tameczne wzmocnił stanowisko. Założył następnie (1870) Bank Handlowy w Warszawie, naczelną w następstwie pod względem rozmiarów i rodzaju działalności instytucję bankową polską. W tym samym czasie widział najstarszego syna, bijącego się na ochotnika w armji francuskiej przeciw Prusakom. Sam zresztą, choć pod naciskiem rosnącej ekonomicznie zawisłości Rosji i Królestwa od Niemiec, chcąc nie chcąc, razem z innymi finansowo z Berlinem bardzo liczyć się musiał, wszakże, skoro tylko mógł, do Paryża zjeżdżał i aż do końca żywe dla Francji zachował sympatje.

W najbliższych latach starzejący się Kronenberg przykra ze znanym sobie oddawna Blochem o kolej Nadwiślańską odprawić musiał walkę (1873—4). Wprowadzić wziął w niej górę,

lecz nie bez trudu i w dość niepomyślnych warunkach. Zaś w następnej zaraz walce o kolej Brzesko-Kijowsko-Odeską ostatecznie wolał dać za wygraną twardemu, młodszemu o lat dwadzieścia, a obrotniejszemu na gruncie nadnewskim przeciwnikowi. Jak żywo rywalizacyjne te przeprawy dotknęły Kronenberga, jaką niemal dlań stały się obsesją, o tem świadczy jedyne, pozostałe po nim w druku francuskim pismo o zakroju literackim (1873), gdzie nie pozbawiona pewnych cech balzakowskich charakterystyka stosunków i ludzi warszawskich wciąż koło tamtych obraca się przepraw. W tym samym czasie i w pewnym z tem związku szczególniejszy przypadł incydens, gdy Kronenberg, chcąc dla kraju i siebie zyskać niezbędne w opinii petersburskiej poparcie, z porady życzliwego Rosjanina, Lichaczewa, wiceprezesa Sądu Okręgowego w Petersburgu, umyślił stworzyć w stolicy państwa stosowną, przychylną Polsce, publicystyczną placówkę rosyjską. W tym celu umożliwił materialnie założenie dziennika „Nowoje Wremia“, gdzie reprezentantem jego został Lichaczew, strzegąc liberalnego i propolskiego nastroju pisma, które wszakże w następstwie, po śmierci Lichaczewa i spłacie Kronenberga, jak wiadomo, we wręcz przeciwnym, reakcyjnym i antypolskim poszło kierunku.

Nie na śliskim jednak, nieobliczalnym a zawsze skroś mu obcym terenie petersburskim, lecz na rodzimym polskim, warszawskim, jak od samych swych była ześrodkowana zaczątków, tak niezmordowanie, mimo późnego wieku, wciąż poszerzała się i pogłębiała wszechstronna Kronenberga działalność. Nie przestawał on z niesłabnącą ścisłą i czujną uwagą doglądać rozwoju dotychczasowych, stworzonych i prowadzonych przez siebie wielkich instytucyj i przedsięwzięć przemysłowo-financewych. A zarazem długi szereg nowych bądź sam powoływał do życia, bądź w ich inicjowaniu i realizacji pierwszorzędnym organizacyjny i kierowniczy brał udział. Tak było ze stworzonym przezeń Warszawskiem Towarzystwem Ubezpieczeń od Ognia; z zapoczątkowaniem przez przyjaznego mu ks. J. T. Lubomirskiego Towarzystwem Kredytowem miasta Warszawy; z Warszawskiem Towarzystwem Wzajemnego Kredytu; z Kasą Przemysłowców Warszawskich; z reformą Urzędu Starszych kupiectwa warszawskiego; z utworzeniem Komitetu Giełdowego



warszawskiego; z urządzeniem szkół technicznych przy kolei Terespolskiej i Wiedeńskiej; z otwarciem, po uzyskaniu niełatwej zgody kuratora Wittego i ministra oświaty Deljanowa, szkoły prywatnej handlowej; z założeniem Warszawskiego Towarzystwa Fabryk Cukru, Warszawskiego Towarzystwa Kopalń Węgla i Zakładów Hutniczych i t. p. I jeszcze przed samą śmiercią zajmowała go żywo sprawa banku hipotecznego, głównie dla potrzeb rolnictwa i miast prowincjonalnych Królestwa.

Do powstania i uruchomienia rzeczonych instytucyj stary Kronenberg, jak zamłodu, przykładał się nie na pokaz, nie samem tylko swoim wśród założycieli imieniem, lecz bezpośrednim fachowym współudziałem doradczym i czynnym. Taka już była jego natura, nakazująca mu aż do końca, we właściwej mu dziedzinie gospodarczej, dążyć stale do wielkiej i realnej akcji i władzy osobistej, okupywanej wielkim osobistym wysiłkiem i odpowiedzialnością. „Była to — jak trafnie określił go Tomasz Zamojski — natura silna, twórcza, pewna siebie, harda, namiętna“, nawykła „za tyłu innych pracować, za tyłu innych starczyć, na tyle nagłych i ważnych dwoić się przedsięwziąć“. Obciążał się tym sposobem Kronenberg coraz nowemi wciąż obowiązkami, wydatkował się, wypalał ponad miarę wyczerpanych już sił, zwątlonych wiekiem, chorobą i chronicznem przepracowaniem. Tak wreszcie 5 kwietnia 1878 r. spracowanego dokonał żywota.

Dopełnił bezpośredniego swego powołania, jako jeden z najznakomitszych budowniczych ekonomicznej przyszłości kraju, tem samem zaś pośrednio, w dobie niewoli, chroniąc mądrze i twardo jedną z najwajniejszych poręk przyszłego politycznego odrodzenia Narodu.

## TADEUSZ WOJCIECHOWSKI

Wczoraj, 21 listopada, zgaś we Lwowie, w 81 roku życia, Tadeusz Wojciechowski. Straciła w nim Polska jednego z najcenniejszych uczonych, najzasłużeńszych wychowawców, najczystszych obywateli. Urodzony 1838 r., uczestnik powstania 1863 r., wcześniej poświęcił się badaniu zaczątkowych dziejów narodowych. Już w pierwszej większej pracy „Chrobacja, rozbiór starożytności słowiańskich“ (1873), dotycząc najtrudniejszych zagadnień doby przedhistorycznej Polski, dał miarę samodzielnej i głębokiej swej umysłowości badawczej. Nastąpił szereg cennych a treściwych i oryginalnych rozpraw, „O rocznikach polskich“ (1880), „O Piaście i piaście“ (1895) i in. W jubileuszowym 1900 r. ukazało się obszerne dzieło o „Kościele Katedralnym w Krakowie“, nagrodzone przez Akademię Umiejętności. Ale najdojrzałym może, najosobistszym tworem Wojciechowskiego było dziewięć jego „Szkiców historycznych jedynastego wieku“ (1904), w zwyczajnej skromnej, zwięzłej, jędrnej szacie, przemyślane arcydzieło intuicji i krytycyzmu dziejopisarskiego. Umiał zresztą Wojciechowski, gdy chciał niemal równie głęboko wnikać do nowożytnych dziejów narodowych, jak wykazał w świetnej rozprawie o „Elekcji Leszczyńskiego“ (1888). Przyświecała mu w pracy dążność do poszukiwania prawdy bezwzględnej, niecofająca się przed najtrudniejszymi a i najdrażliwszymi zagadnieniami dziejowymi. Starczy





*Foto Henner, Lwów*

*Prof. Tadeusz Wojciechowski*

przypomnieć rozgłosne onego czasu badania „O strąceniu i zegnaniu Bolesława II“. Nikt ściślej od niego cyceronowskiej nie wypełniał zasady; *ne quid veri non audeat historia*. A przyświecała mu też przez życie cała spokojna, równa, a tem czulsza, tem głębsza miłość ojczyzny. Przez szereg lat wykładając historję polską na uniwersytecie lwowskim, zaszczytem był Wszechnicy, otoczony szacunkiem kolegów i serdeczną miłością młodzieży akademickiej, która widziała w nim uosobienie prawości uczonego i Polaka. W 190... roku, nawpół oślepy, musiał opuścić katedrę. Ale i nadal, choć już tylko przy pomocy głośnej lektury i dyktanda, pracował bez wytchnienia.

Jeszcze w 1917 r. ogłosił w Kwartalniku Historycznym dziesiąty „szkie jedynastego wieku“. Ostatnie lata życia najcięższem ludzkim nawiedziły go strapieniem. Śmierć zabrała mu ukochaną córkę, potem małżonkę, długoletnią towarzyszkę życia, potem przyjaciół najbliższych Stanisława Tarnowskiego, Ludwika Kubalę. W roku zeszłym, w kole uczonych i uczniów obchodzono cicho 80-tą rocznicę jego urodzin. Od kilku miesięcy śmiertelną złożony chorobą, ale wciąż cudownie jasną zachowując głowę i pełną pogodę ducha, do ostatniego tchnienia z najżywszem zainteresowaniem śledził sprawy naukowe i publiczne, szczęśliwym się mieniąc, że było mu dane doczekać się odrodzenia narodu. Pozostanie po nim trwała, wzniosła pamięć wielkiego prawego uczonego polskiego.

Profesor Wojciechowski mocno zaważył na sprawie powierzenia katedry historii Polski na Uniwersytecie Lwowskim Profesorowi Askenazemu, jako swemu następcy. Najwyższemu uznaniu dla twórczości Askenazego dają świadectwo listy Wojciechowskiego, króciutkie, ale jakże wymowne! Szczególnie wzruszający jest list ostatni z przechowanej korespondencji, gdzie napół niewidomy starzec pismem prawie nieczytelnem donosi o swym zachwycie, prawie lży wyciskającym wrażeniu, jakie wywołało w nim Askenazego przemówienie w setną rocznicę zgonu księcia Józefa Poniatowskiego.

Wyjątki z listów Wojciechowskiego do Askenazego:

„...Życzenia pełnego na całe życie szczęścia, którego pragnę dla Pana z całego serca, jako doskonałego i znaczniejszego syna wspólnej Matki, dla której pracujemy“ — 25/I, 1910.

„Pańska robota idzie zawsze tak dzielnie i szybko, że widocznie jest nad nią błogosławieństwo boskie“. — 4/VIII, 1910.



„Że przysięga Kośc. mistrzowsko-misternie ułożona i napisana, to nic nowego. Ale nie pamiętam, żeby mnie coś równie zasmuciło i zgnębiło, jak ta. To był dopiero *finis Poloniae*. Prawie ulgę sprawiło mi teraz to, co przypominam, że czytałem kiedyś u Brücknera (Catherina u Onckena) a co mnie wtedy napełniało złością: że Katarzyna mówiła czy pisała o Kościuszcze: *on l'a trouvé comme un sot!* Ogłupienie jest w tym wypadku niemal ratunkiem. Mówimy tu nieraz z Finklem o drogim nam Szymonie. A zwłaszcza z powodu rosnącego tutaj sjonizmu. Nietylko rośnie ale i pogłębia się. Przypuszczamy, że to jeden z powodów, dla których Pan przyłożył rękę do Kwartalnika, a może i sam go założył. Mówimy z Finklem, że z tego powodu dozna Pan nieraz jeszcze bolesnych przykrości, a może już doznał“. — 16/III, 1913 r.

„Po przeczytaniu Pańskiego odczytu przez córkę, sam go drugi raz, jak mogłem, wyślepiałem. Jestem nietylko zachwycony, ale i głęboko wzruszony; prawie chciało mi się płakać nad tamtą śmiercią. Oczywiście, że Pan to powtórzy w Napoleonie... Równie zachwycony Kubala“. — 7/XII, 1913.

---

## TADEUSZ KORZON

### 50-lecie pracy naukowej

Historja, obok dostojęństwa swego w znaczeniu jednej z wielkich gałęzi wiedzy humanistycznej, jest równocześnie jednym z najpoważniejszych rodzajów służby publicznej. Zaś dla żadnego bodaj narodu obecnemi czasy w takim nie jest nią stopniu, jak dla naszego, któremu pełna i dokładna własnej przeszłości wiadomość jest wraz lekarstwem a kordjalem, przestrogą a otuchą, jest żywym zgoła spólczynnikiem bytowania wśród ciężkich terażniejszości przepraw i granitową poręką zaćmionych przyszłości losów. Dużej miary historyk polski jest też czemś więcej jeszcze, niż prostym, użytecznym nauki swojej pracownikiem: jest dobrym, niezbędnym sługą narodu.

Taką wysoką godność podwójną niepospolitego uczonego a obywatela piastuje Tadeusz Korzon, którego pięćdziesięcioletniej wysilonej pracy naukowej, a zarazem ściśle równoległej w czasie i sposobie, wiernej, niezmordowanej służby narodowej pięćdziesięciolecie dobiega epoka. Rodzina Korzonów oddawna na Białorusi, w Mińszczyźnie osiadła. Dziad, Jan Korzon, towarzysz chorągwi petyhorskiej, świadkiem był nieszczęsnej kampanji litewskiej 1792 r. w obronie Ustawy majowej i zabiegłych 1794 r. w głąb Litwy daremnych usiłowań Insurekcji Kościuszkowskiej. Ojciec, Adam, po pogromie wyprawy mo-

---

*Tygodnik Ilustrowany.* Rok 1912. Nr. 17, 18 i 19. Str. 342—3, 362—3, 388. „Tadeusz Korzon“ *Kurjer Warszawski*, Rok 1919. Nr. 69 — wspomnienie pozgonne.



skiewskiej 1812 r. i wojny rewolucyjnej 1831 r., zaślubiwszy Henrjetę z Łowaszyńskich, na skromnym urzędzie tłumacza, registratora, sekretarza „gubernskiego“ ciche w Mińsku pędził życie, chowając drogie tradycje narodowe w zamkniętem kole ogniska rodzinnego. Tutaj, w starym Mińsku, w najdawniejszej miasta dzielnicy, w domu drewnianym u stóp wzgórza, na którem wznosi się klasztor bernardyński, urodził się (29 października) 9 listopada 1839 r. dzisiejszy jubilat. Ochrzczony w kościele katedralnym mińskim (12 stycznia 1840 r.) przez wikariusza katedry, ks. Szymona Strumiłę, otrzymał imiona Tadeusz-Sylwester; kmotrami byli dr. Daniel Spasowicz z sędzią Anną Owsianową, przy asyście sędziego powiatowego mińskiego, Jakóba Arciszewskiego, i porucznikowej Petruszewiczowej. Byli to wszystko ludzie, wyobrażający co lepsze żywioły społeczności miejscowej polskiej, zgnębianej ostrym wichrem wydarzeń, przytłoczonej ciężką chmurą ówczesnych warunków życiowych, a przecie strzegącej w sercu niezmiennie światło myśli i uczucia narodowego. A czasy dla Litwy wtedy były trudne, coraz trudniejsze w tamtej ponurej drugiej połowie rządów Mikołaja I. Tegoż właśnie 1839 r. nastąpiło zniesienie urzędowe Unji na Litwie i Rusi; otwierała się doba raptownego wcielania w czyn wyroku zagłady; a równocześnie szły ostre represje polityczne, ze sprawą Szymona Konarskiego związane, a przy coraz innej okazji, pod coraz innym pozorem odradzające się, rozdmuchiwane, przenikające do najdalszych zakątków kraju i najściślejszych dziedzin życia prywatnego. Śród takich warunków spłynęło dzieciństwo Tadeusza Korzona; nie poddawał się im wszakże bynajmniej; owszem, mocą przyrodzonej, przeciw uciskowi reakcji, naturom tęgim właściwej, a pod dobroczynną osłoną zacnej atmosfery rodzinnej, tem hartowniejszą sobie wyrabiał odporność i tem jędrniejsze zdrowie duchowe.

Oddany w 1850 r. do klasy III gimnazjum rządowego mińskiego, przebywszy lat kilka pod surową, pleniącą bacznie wszelki przejaw polskości, ferułą wychowawczą, po ukończeniu kursu gimnazjalnego w tym zakładzie, wstąpił w sierpniu 1855 r. na wydział prawny uniwersytetu moskiewskiego. Po ćwierćwiekowem zamknięciu jedynych dwóch uczelni polskich, warszawskiej i wileńskiej, z konieczności znaczny był napływ mło-

dzieży polskiej na studia uniwersyteckie do Moskwy. Liczono tu wtedy studentów Polaków do 600, liczba, jak na stosunki ówczesne, ogromna. Najmniej stosunkowo było koroniarzy, t. j. właściwie kongresowiaków, ciągnących przeważnie do Dorpatu, gdzie ruchliwą stanowili kolonję, oraz do Petersburga na urządzone tam dla Królestwa Polskiego wyższe kursa prawne; sporo było Wołyniaków i Podolaków, którzy atoli znowuż gromadzili się głównie na uniwersytecie św. Włodzimierza w Kijowie; *gros* natomiast ówczesnej studenterji polskiej w Moskwie stanowili młodzi przybysze z Litwy właściwej, czyli z gubernij t. zw. Kraju północno-zachodniego. Jednoczyły się przecie i tamte kategorie rodaków, wyższej naogół ogłady zewnętrznej, bo większej zamożności, kongresowo-podolska, i ta najliczniejsza, a z reguły najuboższa, ściśle litewska, we wspólnej, całkiem zresztą luźnej organizacji koleżeńskej, w „Ogóle“ studenckim polskim w Moskwie, a zarazem, co główna, w nierozdzielnej wspólnoci duchowej, krzepiąc się razem wspomnieniem dziejów ojczystych, natchnieniem Dziadów, Kordjana i Nieboskiej, wskazaniem Trentowskiego, Kremera, Libelta. Były to czasy zapowiadającej się w całym państwie nowej „wiosny“, gdy, po długiej zimie twardych rządów Mikołaja I, otwierały się pełne pięknych obietnic początki panowania Aleksandra II. Widziano i witano w Moskwie wracających z dalekiego Wschodu wygnańców, braci Dalewskich, Tokarzewskiego, Krajewskiego Aleksandra, śpieszących do kraju na krótkie wytchnienie i nowe ciężkie próby. Żył tem szlachetnem, podnieconem, nadziejnem życiem koleżeńskim młody Korzon, a wśród kolegów najbliższych dość miał ludzi niepospolitych, co niebawem oddać się mieliw ofierze sprawie albo na usługi wiedzy narodowej, jak Dłuski-Jabłonowski, Chmielowski Konrad, Limanowski Bolesław, Karłowicz Jan, Bukowski Henryk, wierny do zgonu przyjaciel. Sam sumiennie prowadząc studia swe zawodowe, ukończył Korzon wydział prawny w 1859 r. ze stopniem kandydata praw, po napisaniu rozprawy na wyznaczony temat p. t. „Pogląd porównawczy na procedury karne francuską i angielską“, która odznaczona została medalem złotym i ogłoszona drukiem w wydawnictwie naukowem ministerjum sprawiedliwości. Zwróciwszy na siebie tą pracą uwagę profesorów, miał sobie otwarte widoki kariery naukowej



w Rosji, uczynioną propozycję wyjazdu stypendjalnego zagranicę celem objęcia następnie katedry, otrzymał już nawet dobrze płatną nominację nauczycielską do wykładu historii w korpusie kadetów w Moskwie; lecz na obczyźnie żyć i pracować on nie chciał, nie mógł; i ku zdumieniu życzliwych swych przełożonych Rosjan postarał się o przeniesienie na skromną, o połowę mniej płatną posadę nauczyciela historii w gimnazjum kowieńskim. Na tem stanowisku, w trudnych wciąż zatargach z władzą gimnazjalną miejscową, półtora roku wytrwał. W marcu 1861 r., gdy rozpoczęły się przygotowania do wielkiej reformy włościańskiej w Cesarstwie, objął przy gubernatorze kowieńskim, generał-majorze Chomińskim, jako urzędnik bezpłatny do szczególnych poruczeń, obowiązki sekretarza Czasowej Komisji gubernialnej do spraw włościańskich, usiłując w dobrym duchu polskim przyłożyć się do dzieła usamowolnienia i uwłaszczenia ludu litewskiego.

Pobyt ten blisko trzechletni w starem Kownie miał w życiu Korzona doniosłość przełomową: obok ciężkiej próby, związanej z losem powszechnym sprawy publicznej, przyniósł mu też najwyższe szczęście osobiste, dał mu wybraną i dobraną, z własnym duchem jego najdoskonalej zestrojoną, niezrównaną towarzyszkę na drogę żywota i pracy. Była nią Jadwiga Kulwieciówna, córka Tadeusza i Tekli ze Swolkeniów, urodzona 22 lipca 1837 roku w Skorulach w Kowieńskim, po stracie ojca chowana w domu matki, niepospolitej kobiety i Polki, zamężnej powtórnie za rejentem Józefatem Jurewiczem, w Poginiach o mil kilka szosą kiejdańską od Kowna, potem w samym Kownie, gdzie poznał ją i pokochał Korzon. Niebawem jednak sielankę uczucia dla obojga młodych boleśnie zakłócił tragizm wypadków krajowych. Wydarzenia społeczne warszawskie żywym odbiły się echem wśród polskiej społeczności Kowna; lecz pierwsze zaraz najskromniejsze tego objawy, parę zgromadzeń, nabożeństwo, procesja przez Niemen na ziemię Królestwa, spotkały się z represją gwałtowną ze strony nowego wojowniczego gubernatora kowieńskiego, kontradmirała Krygiera; wnet zaczęły się śledztwa i areszty; na jakimś podrzuconym dokumencie znaleziono dopiski kompromitujące, kreślone ręką nieznaną, a przez mściwego gubernatora bez żadnych dowodów przypisane Korzonowi, który auto-

rem ich rzeczywiście nie był wcale. Był on wtedy chory obłożnie; wzięty został natychmiast w październiku 1861 r. pod areszt domowy, potem przeniesiony do miejscowego więzienia dla przestępców politycznych, u Karmelitów, ogółem przez 10 miesięcy w ścisłym trzymany zamknięciu. Dzięki staraniom zawziętego Krygiera, który umyślnie jeździł w tej sprawie ze skargą na niewinnego zgoła podsądnego do generał-gubernatora Nazimowa do Wilna, został w końcu postawiony przed sąd polowy i po krótkiej procedurze w lipcu 1862 roku skazany na śmierć. Wyrok wymagał wszakże zatwierdzenia w Petersburgu, gdzie na szczęście spostrzeżono krzyczące nieścisłości proceduralne, wyrok śmierci skasowano i zamieniono na zesłanie pięcioletnie do Orenburga. Wtedy to, wprost po wyjściu z więzienia, a przed samem zesłaniem, odbył się w kościele Augustjanów w Kownie ślub Korzona z Jadwigą Kulwieciówną, w sam dzień jej imienin, 26 października 1862 r. Równocześnie i z drugiej strony ciężkie strapienie spadło na młodą parę, gdy matka narzeczonej, Tekla Kulwieć-Jurewiczowa, za działalność polityczną skazana została na roboty ciężkie i konfiskatę majątku; wierny mąż, Jurewicz, towarzyszył jej na zesłanie; lecz po drodze, w t. zw. więzieniu przesyłkowym w Kazaniu, rozchorowawszy się na tyfus, zmarli oboje, pochowani na cmentarzu kazańskim, w 1864 roku. Tymczasem Korzonowie wprost z ślubu udali się również na drogę wygnania, w asyście dość wyrozumiałego zresztą żandarma, który względem powierzonych swej pieczy nowożeńców z pewnym liberalizmem stosował daną sobie lapidarną instrukcję: „z oka nie spuszczać, lecz na pięty nie następować” (*po piatam nie chodit', no s glaz nie spuskat'*). Po krótkim zatrzymaniu się w Ufie, stanawszy na pobyt stały w Orenburgu, w ciężkiem położeniu znalazł się tutaj Korzon z młodą żoną, delikatnego zdrowia, wstrząśniętą do głębi śmiercią matki, której z ostatnią nie mogła przyjść posługa, nękany nadto dotkliwą biedą materialną, wyprowadzony z domu bez żadnego zasiłku, a mając sobie wyznaczoną jedynie sakramentalną kompetencję rządową, zesłańcom żonatym stanu szlacheckiego na utrzymanie przynależną, w kwocie 20 kop. srebrem na dobę.

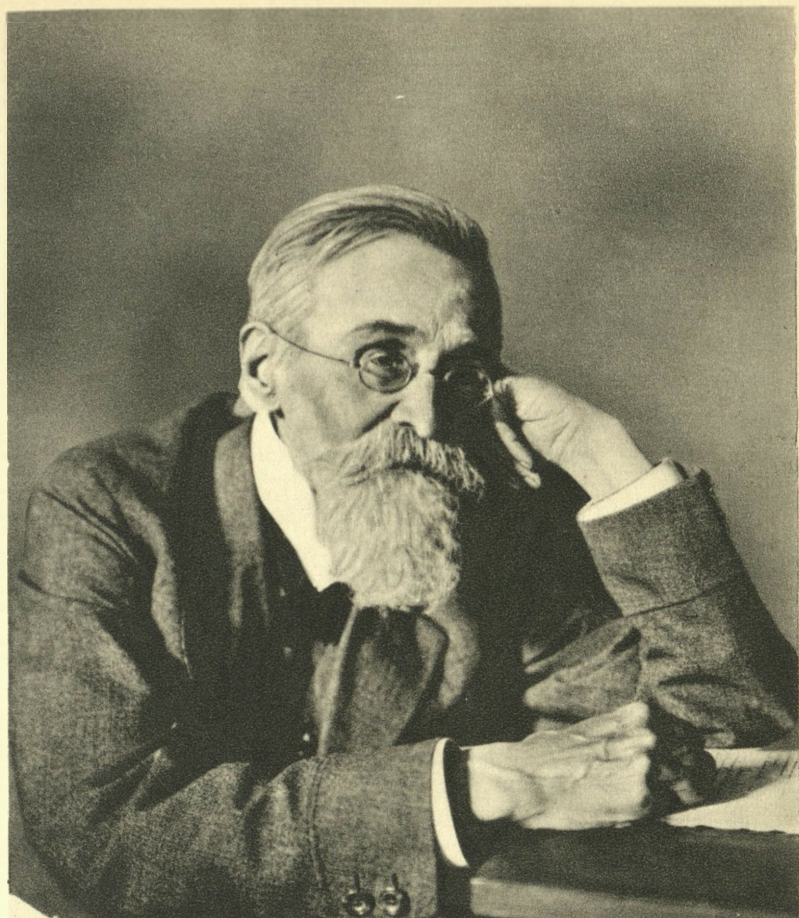
Zamieszkał w suterynie, ratował się, za skromniejsze oczywiście wynagrodzenie, daniem lekcyj młodym Orenburczykom,



oraz malowaniem portretów dostojników miejscowych, pragnących uwieńczyć swe rysy najtańszym również kosztem; dochowało się stąd parę widoków i typów orenburskich, będących cenną tych czasów pamiątką. Niebawem jednak i ten skromny zasiłek zarobkowy przecięty został, gdy, na skutek kilku wydarzonych w okolicy wypadków podpalenia, ówczesny generał-gubernator orenburski, Bezak, zwaliwszy, rzecz prosta, odpowiedzialność na Bogu ducha winnych zesłańców polskich, wszelkiego z nimi obcowania zakazał jak najsurowiej wszystkim podwładnym sobie urzędnikom, co poniekąd równało się wyrokowi nędzy dla ekskomunikowanych Polaków. Znosił przykre te przeprawy z pogodą niezmaconą, ze spokojnym humorem litewskim Korzon, utrzymując na duchu zagnanych wtedy do Orenburga spółuczestników niedoli, wśród których sporo znacznych znalazło się ludzi z różnych stron Polski, jak Kostrowicki Adam z Litwy, Szumowski Aleksander z Wołynia, Brzozowski Jan z Ukrainy i inni.

Tutaj, w Orenburgu, urodziła się Korzonowi w roku 1863 córka najstarsza, zaślubiona w następstwie niezapomnianemu Prószyńskiemu-Promykowi; tutaj też miał smutek utracenia urodzonego w roku następnym synka, którego w czasie choroby matki, przy braku środków, ratować nie było sposobu. Nareszcie, latem 1867 roku, z upłynieniem terminu zesłania, mógł opuścić Orenburg, wyjechał z rodziną tarantasem do Samary, dalej statkiem popłynąwszy do Kazania, stawić się musiał w Petersburgu, skąd dopiero powrócić mógł do kraju, do krewnych żony w Suwalskie; wnet jednak usunięty stamtąd, jeszcze na przeciąg dwuletni został internowany w Piotrkowie, gdzie pod trwającym nadal dozorem, wśród okoliczności krępujących, wciąż jeszcze trudny był sposób życia. Nareszcie, we wrześniu 1869 r. ostatecznie zwolniony, przeniósł się do Warszawy, gdzie znaleźć miał w końcu możliwość pójścia za przyrodzonym powołaniem swoim.

Powołaniem tem była historia. Prawnik wykwalifikowany, przecie nie ku praktycznemu wyzyskaniu tego zawodu, lecz ku szerokim widnokręgom czystych, a zarówno dla wiedzy, jak i dla narodu doniosłych, badań dziejowych pociągany był przez głębsze przysposobienie całej umysłowości swojej. Pierwszego



*Z fotografii*

*Tadeusz Korzon*



zewnątrznego w tym kierunku impulsu dostarczyły skromne zajęcia pedagogiczne, rozpoczęte z konieczności w Orenburgu i Piotrkowie, a kontynuowane następnie w coraz szerszym i pożyteczniejszym sposobie i z coraz większym pogłębieniem w Warszawie. Jako nauczyciel historii w zakładach naukowych warszawskich, bądź żeńskich, bądź w Szkole handlowej Kronenberga, bądź w wybitnych domach prywatnych, stał się wrychle Korzon pierwszorzędnym, jedynym na swój sposób krzewicielem rzetelnej, gruntownej, przetrawionej i przemyślanej wiedzy historycznej w szerokich warstwach społeczeństwa, pozbawionych w tym właśnie czasie wszelkich wyższych tej wiedzy światel, zwłaszcza w zakresie dziejów ojczystych. Był to nauczyciel szczególniejszy, zgoła wyjątkowy, który, spotykając w warunkach otaczających największe do prawidłowej działalności naukowej przeszkody, nie mając do rozporządzenia ani katedry, ani uniwersytetu, ani tych instytucji i środków pomocniczych, z jakich gdzieindziej każdy badacz historyczny swobodnie korzysta, ograniczony do udzielania wiadomości w obrębie nauczania średniego, a i w tym ciasnym obrębie krępowany niepomału, na dotkliwie narażony przeciwności, jednakowoż sam równocześnie umiał schodzić nieustannie do bezpośrednich drobnostkowych studjów źródłowych i wznosić się do samoistnych wielkich koncepcyj w badaniu dziejopisarstwie. Wkrótce też, niezawisłe od natężonej działalności wychowawczej, rozwinął obfitą a szacowną produkcję piśmienniczą.

W najbliższym już czasie po osiedleniu się w Warszawie, w rozprawie o „Historykach pozytywistach” (1870 r.) dał Korzon pogląd rzeczowy na panującą wtedy wszechwładnie w umysłowości warszawskiej historjografię Buckla-Drapera, interesującą w założeniu, lecz w zastosowaniu swem przedwczesną, pseudo-historyczną; w rzeczy o „Ludziach przedhistorycznych” (1871 r.) rzucił głębsze myśli metodycznego opracowania swojskiego tej trudnej gałęzi badawczej; w studjach o „Mezopotamji i Iranie”, o „Ranku filozofji greckiej” (1872—3) rachował się z najnowszemi wtedy wynikami poszukiwań zachodnich. Zarazem w „Kursie historii wieków średnich” (1872 r.) dał pracę pedagogiczną, podówczas wręcz niezbędną, stanowiącą pierwszy etap tych solidnych, a coraz bardziej w następstwie udoskonalonych

podręczników, jakie odtąd z jego ręki otrzymywać miało nauczanie średnie krajowe, nieustępujących zgoła odpowiednim tego rodzaju pracom niemieckim i francuskim, a nawet przewyższających je poniekąd dzięki szczęśliwemu skojarzeniu bogactwa treści i ścisłości naukowej z pożądaną przejrzystością i celową systematycznością pedagogiczną wykładni.

Do tej samej kategorii należała „Historja starożytna sposobem elementarnym wyłożona“ (1876 r.), której głębsze przez autora przygotowanie i przemyślenie wykazywał jednocześnie piękny odczyt publiczny, pierwszy, który z trybuny publicznej dał poznać Korzóna szerszym kołom publiczności warszawskiej, „O życiu umysłowym Grecji“ (1876 r.). W innym z kolei odczycie publicznym, o stanowisku „Historyka wobec swego narodu i wobec ludzkości“ (1878 r.), złożył najogólniejsze swoje wyznanie wiary historycznej. Już wtedy, w całym sposobie erudycyjnego jego dojrzewania drogą nieustannego wszechstronnego samouctwa historycznego wysokiej miary i napięcia, uwydatniała się w nim poważna dążność do traktowania dziejów ojczystych samoistnie wprawdzie i gruntownie, lecz na tle szerokiego rozszerzenia się w dziejach powszechnych, tem samem zaś zdrowa dążność do porównawczej oceny przeszłości narodowej, zgłębianej z obiektywizmem zupełnym, czysto źródłowym, z prawdomównością bezwzględną, w razie potrzeby bodaj nieubłaganą, lecz wciąż na zasadzie ścisłego zestawienia myślowego z równoległymi gdzieindziej zjawiskami. Wyłonić się stąd musiała, w treści i konkluzjach badania, koncepcja historyczna, bardziej zrównoważona i przedmiotowa, a zarazem prawdziwsza i sprawiedliwsza od metody historycznej, ograniczającej się do samobiczującej autokrytyki polityczno-dziejopisarskiej w zamkniętem jeno kole klęsk i przewinień własnego narodu.

Taką koncepcję niebawem miał wcielić Korzón w dziele pomnikowem, stanowiącem epokę w jego działalności naukowej a wraz i w historjografji nowożytnej polskiej, w znakomitych swoich „Wewnętrznych dziejach Polski za Stanisława Augusta, 1764—1794 r., badaniach historycznych ze stanowiska ekonomicznego i administracyjnego“, wydanych staraniem Akademji Umiejętności Krakowskiej (1882—1886 r., wydanie drugie 1897—1899 r.). Pierwszą pobudkę do podjęcia i wykonania



wielkiej tej pracy dała okoliczność stosunkowo drobna, lecz sposobem nader charakterystycznym uwydatniająca cechę górującą umysłowości Korzona, jego wysoką w rzeczach nauki sumienność.

Miał on mianowicie powierzony sobie w Szkole handlowej Kronenberga, przez światłego jej dyrektora Przysiańskiego, wykład historii handlu w Polsce; gdy zaś w ważnym tym przedmiocie, oprócz powtarzanych ogólnikowo wiadomości niewystarczających i niedokładnych, nie znajdował żadnych danych konkretnych i na wiarę zasługujących, postanowił dla swoich zrazu celów wykładowych sam zgromadzić i uporządkować odpowiedni materiał źródłowy. Przedsięwziął tedy pierwotnie zbadać w tym kierunku dziesięciolecie 1782—1792 r.; a sięgnąwszy wnet nie tylko do całej rozporządzałnej literatury przedmiotu, lecz zapuściwszy się zarazem w rozległe, wyczerpujące rzecz do dna badania archiwalne, od jednego rozmachu, kontynuowanego w wieloletnim trudzie, stworzył przełomowe swoje „Dzieje wewnętrzne“, obejmujące całokształt internów Polski w ciągu panowania Stanisława Augusta, a otwierające także szerokie widnokregi wstecz i naprzód na wszystką dobę schyłkową Rzeczypospolitej, a nawet na sprawy porozbiorowe. Niepodobna na tem miejscu w części bodaj wyłuszczyć ani ogromnej zawartości źródłowej tego dzieła, stanowiącego niewyczerpaną wprost kopalnię encyklopedyczną informacji w zakresie życia gospodarczo-społecznego dawnej Polski, i to informacji nawskroś pozytywnych, ofiarowanych w ostatecznej postaci rzeczowej i cyfrowej, przeprowadzonych skrupulatnie przez laboratorium ścisłej analizy krytycznej, ani tych wszystkich postępów uświadomienia historycznego, jakie w całym szeregu kapitalnych zagadnień społeczno-dziejowych spłynęły stąd na naukę historyczną i na ogół oświecony polski. Dowiedzieliśmy się tu po raz pierwszy dokładnie od Korzona rzeczy tak elementarnych a tak niezbędnych, jak tego, ilu nas właściwie było ogółem w chwili upadku Rzeczypospolitej, jaki w zasadniczych szczegółach układ społeczeństwa pod względem stanowym, wyznaniowym, narodowościowym, jaka w głównych gałęziach służby publicznej budowa i funkcjonowanie istotne organów państwowych, jakie położenie gospodarcze, służbowe, militarne Rzeczypospolitej na

schyłku jej bytowania, jaka w rzeczywistości, w złem i dobrem, zostawiona nam przez nią prawdziwa puścizna przedmiotowa i duchowa. Dowiedzieliśmy się poraz pierwszy dokładnie, jakie były koleje, jakie zasługi i braki wielkiej roboty odnowicielskiej, podjętej w drugiej połowie doby Stanisława Augusta, zwłaszcza przez Sejm Czteroletni. Dowiedzieliśmy się wreszcie po raz pierwszy dokładnie, na jakie wysiłki i ofiary zdobył się naród w największym porywie ratunkowym, czasu insurekcji Kościuszki. Wynik ostateczny tych poszukiwań, tych zupełnych wprost pod wieloma względami odkryć, przychodzących w samą porę dla uzupełnienia, a po części dla zrównoważenia i sprostowania odpowiednich, równie znakomitych, lecz nierównie mniej bezstronnych badań dziejowych księdza Kalinki, górujących przeważnie w wynikach nazbyt ujemnych, w nazbyt pochopnem kajaniu się za grzechy własne, w stwierdzeniu nazbyt wyłączonej korelacji przyczynowej pomiędzy temi grzechami a spadłem na naród pokaraniem dziejowem, polegał na przywróceniu narodowi samowiedzy jego moralno-dziejowego w przeszłości równouprawnienia wśród rodziny szczęśliwszych, lecz nie cnotliwszych bynajmniej od siebie ludów europejskich, a tem samem na podniesieniu jego moralno-politycznej na przyszłość otuchy. „Dokonano się — głosiło wymowne „Zamknięcie“ obszernej ankiety „Dziejów wewnętrznych“ — zadziwiające przeobrażenie, przebudowanie, pewnie przetworzenie Polski. Jest to twierdzenie stanowczo dla nauki zdobyte, bo udowodnione rachunkiem, szeregami liczb, wydobytych ze wszystkich sfer działalności materialnej, tudzież zupełną bezwyjątkową zgodnością różnorodnych objawów działalności intelektualnej. Z dawnej odwiecznej budowy narodowej pozostały jednak nietkniętymi jej kamienie węgielne: poszanowanie osoby, własności, wolności obywatelskiej, obyczaje samorządu i miano Rzeczypospolitej. Z poróżnienia mocarstw urosłych na sztuce dręczenia ukazała się znowu postać znana niegdyś ludom z unji Jagiellońskiej, zarysowana trafnie przez najwydatniejszego przedstawiciela niniejszej epoki, Kościuszkę, w słowach: „Nie może być żaden naród skłonniejszym do uczynienia dobrze każdemu, jak naród polski, kiedy tylko sam swoją wolę uczynić może“... Społeczeństwo (polskie) wyszło z analizy oczyszczonem z wielu zarzutów, jakimi je



dotychczas obarczano... Stwierdza się też niezwykle w dziejach zjawiskiem, że... wśród udręczeń ciała i ducha... jakich nie zna historia powszechna od epoki Faraonów egipskich, zdobywców asyryjskich i najstraszniejszych cesarów rzymskich, Polacy w XIX wieku ukazywali się czynnymi na wszystkich polach wśród narodów żywych, wołali i wołają: „Jesteśmy“. Ten mocny akord *sursu m corda*, brząca nie dźwiękiem pustego frazesu lecz siłą przekonywającą udowodnionej prawdy, ujmuje treść i wartość niepożytą najcelniejszego, najdojrzałego dzieła naukowego Korzona.

Ukończenie tej rozległej pracy, pochłaniającej niemal wyłącznie czas i siły jego w ciągu szeregu lat, pozwoliło mu znowu rzucić w większej obfitości liczne rozprawy i studia pomniejsze, treści najrozmaitszej, a bez wyjątku przynoszące bądź cenne wskazania metodyczne, bądź szacowne przyczynki źródłowe.

Na wyróżnienie zasługuje referat o „Błędach historjografji naszej w budowaniu dziejów Polski“, złożony na zjeździe historyków polskich we Lwowie (1890 r.), gdzie antyteza Korzona w niektórych punktach zasadniczych do założeń t. zw. szkoły krakowskiej stała się punktem wyjścia ożywionej a nauczającej z wielu względów dyskusji. Równocześnie stałe współpracownictwo Korzona w Ateneum, Bibliotece Warszawskiej, a zwłaszcza Kwartalniku Historycznym lwowskim ozdobiło te wydawnictwa uczone szeregiem jego rozpraw umiędzynarodowionych zarazem a żywym, poczytnym zawsze kreślonych piórem, a wśród których godzi się podnieść zwłaszcza parokrotne energiczne odprawy, udzielone we właściwym mu, spokojnym a wytrawnym duchu, rusińsko-rosyjskim apologetom chmielniczyzny i koliszczyzny. Już jednak w tym samym czasie zdążył się zaprząć do nowej większej roboty i w tak szybkim stosunkowo wykończyć ją tempie, iż jasne było, że nie tylko była owocem zwykłej mu energii badawczej, ale także wyjątkowego umiłowania przedmiotu badania. Ta praca, „Kościuszkowski, biografia z dokumentów wysnuta“ (1894, II wyd. 1906 r.), to był wtóry dar drogocenny, jaki nauka i społeczeństwo odebrało z rąk Korzona, a cokolwiek dalsze poszukiwania mogły przynieść jeszcze nowego do oświecenia postaci Naczelnika, to oprócz się już będą mogły na mocnych fundamentach życiorysowych, tutaj z całym staraniem i pie-

tyzmem głębokim wzniesionych. W innym, mniejszym nierównie zakresie, tem samem zacnego pietyzmu dyktowany uczuciem, nakreślony został przez Korzона związły „Pogląd na działalność naukową Joachima Lelewela“ (1897 r.), gdzie między innemi z naciskiem podniesioną została dążność lelewelowska do równoległego objęcia dziejów krajowych a powszechnych i powtórzone słowa znamienne wielkiego dziejopisa: „Kto wzgardzi ogólną rod ludzkiego działalnością, (ten) dzieje własnego narodu niewiernie odda, a przodków swoich raz próżnem uwielbieniem obarczy, inny raz mimowolnie ich skrzywdzi“. Wierny też tej zasadzie, choćby w skromnej dziedzinie edukacyjnej średniej, prowadził Korzon nadal wydanie wzorowych podręczników swoich, zamkniętych w serji kompletnej przerobionej „Historji wieków średnich“ (1884, 1893 r.), „Historji nowożytniej“, część pierwsza do 1648 r. (1889, 1901 r.) i druga do 1778 r. (1903), oraz „Historji nowoczesnej“ od 1788 do 1805 r., uzupełnionej latopisem XIX stulecia (1906 r.). W tym samym zaś czasie, w dziedzinie ściślejszych swych badań czysto naukowych nad przeszłością narodową, cofnąwszy się wstecz o stulecie, z przerwanego przez siebie XVIII wieku sięgnąwszy do tak mało opracowanego XVII, wystąpił z wielką trzytomową pracą biograficzną źródłową o „Doli i niedoli Jana Sobieskiego“ (1898 r.), gdzie postać wspaniałą późniejszego zwycięzcy z pod Wiednia we wstępnej, przedkoronacyjnej dobie życia, z serdeczną odmalował sympatją i skrupulatnością drobiazgową.

Regestrując najpobieżniejszym, możliwym na tem miejscu sposobem cenniejsze tylko przejawy tej niepospolitej zarówno pod względem ilościowym i jakościowym, produktywności naukowej, niepodobna spuszczać z uwagi, że rozwijała się ona w przeważnej mierze wśród okoliczności niekoniecznie pomyślnych, albo raczej wręcz obciążających i hamujących, a wynikających z samego opłakanego położenia kraju, pozbawionego zgoła możności wyniesienia najwybitniejszych swoich sił naukowych na przynależne im stanowiska kierownicze w edukacji narodowej. Samą nawet umiłowaną działalność pedagogiczną w skromnym zakresie nauczania średniego wypadło przerwać, gdy znalazł się inspektor szkolny, Kryłow, który z autorytetem bezapelacyjnego rzeczoznawcy uznał za właściwe orzec, iż Korzon „licho



(płoch) wyklada swój przedmiot“, t. j. historję. Wypadło czas jakiś chwycić się nadarzonego zajęcia zarobkowego w biurze zarządu b. kolei Nadwiślańskiej. Wreszcie, w 1897 r. trafnym i obywatelskim wyborem, powołany został Korzon na opróżnione po zgonie Józefa Przyborowskiego stanowisko dyrektora biblioteki ordynacji Zamojskich, gdzie w poważnem otoczeniu ksiąg, dokumentów i pamiątek dziejowych znalazł przynajmniej pod starość stosowną dla siebie atmosferę, godną indywidualności swojej oprawę. I tutaj zresztą z sumiennością sobie wrodzoną zabrał się natychmiast do pracy obowiązkowej i systematycznej, uporządkował stosownie zbiory, zinwentaryzował rozumowo znaczną część rękopisów, do całej instytucji, jednej z najpierwszych w Polsce, wprowadził ład wzorowy, z równym dla niej samej, jak i dla korzystających z niej badaczyw pożytkiem.

W poważnych murach biblioteki ordynackiej w powadze, spokoju, a nieustannej wciąż pracy toczyło się odtąd życie Korzona. Ale to życie prywatnego człowieka oddawna się stało cenną częścią, szacownym spólczynnikiem życia duchowego Warszawy i nauki polskiej. Oddawna w gościnnym domu Korzonów co tygodnia, naprzód w czwartki, potem w środy, zbierali się starzy i młodzi, pragnący w ciemnej i zimnej dobie losów krajowych ogrzać się i oświecić u tego ogniska wiedzy i serdeczności staropolskiej. Przychodzili tu sędziwi weterani sprawy narodowej, jak Krajewski Aleksander; gęsto zwłaszcza zbierała się u znakomitego bliższego spółrodaka swego przybywająca do stolicy koronnej Litwa; często ukazywali się uczeni goście galicyjscy, sprzęgnięci najściślej z autorem dzieł niepospolitych, pod egidą akademicką krakowską wydanych, z członkiem wybitnym wydziału historyczno-filozoficznego Akademji Umiejętności (korespondentem od 1888, zwyczajnym od 1903 r.); a zawsze szczególnie ciepłego pewni być mogli przyjęcia pracownicy najmłodsi, początkujący, stawiający pierwsze dopiero kroki na polu służby naukowej, zwłaszcza historycznej. I niechaj wolno będzie wzmiankować, że do tych nowicjuszw należał swego czasu również i piszący te słowa, iż również spotkał się tutaj z wczesną, a ożywczą zachętą, której pamięci wdzięcznem sercem piastować nie przestanie. A dodać zaraz się godzi, że na szlachetny i pociągający nastrój duchowych tych zebrań, obok po-

wagi gopodarza, w harmonijnym zestroju składała się serdeczna i rozumna dobroć zacnej małżonki, dzielnej jego towarzyszki, doradczyni, współpracowniczkii życiowej. Raz jeszcze sądzonem jej było usłyszeć niby późne echo dawnych, z przed czterdziestolecia, przepraw i wzruszeń kowieńskich i orenburskich, kiedy w 1901 r. — przy dość niezwykłej podobno okazji, w związku bezpośrednim z odmową, wyraźną odmową, udzieloną przez młodzież akademicką polską warszawską na ofertę studenterji petersburskiej podczas tamiecznych zaburzeń uniwersyteckich, względem uskutecznienia solidarnego bezrobocia uniwersyteckiego (zabastowki) — spadła na Korzona nagła rewizja, zaczem w roku następnym poszło skazanie na areszt domowy. Podkopane już zdrowie Jadwigi Korzonowej niedługo już wytrwać miało; zmarła w Warszawie 8 maja 1905 r., osierocając sędziwego małżonka i liczną już gromadkę rodzinną, a zostawiając żal serdeczny i trwałą cnót swoich pamięć w szerokiem kole bliższych i dalszych przyjaciół.

Cios to był dla Korzona w życiu największy, ból niewymowny, niezgojony odtąd, niezłagodzony nawet przez panaceum mijającego czasu. A w tej samej zarazem dobie do bólu osobistego przyłączyło się ciężkie strapienie publiczne, gdy równocześnie przeżywać wypadło otwierający się okres nietylko dotkliwych nad wyraz, bądźcobądź przecie wypróbowanych już dawniej, dobrze z przeszłości znomych dopustów z zewnątrz na kraj spadających, ale także nowych zgoła zjawisk kłeskowych, rozdzierających samo wewnątrz społeczności, ujawniających niebywały, niesłychany rozgardjasz, rozstrzelanie, rozprzężenie najistotniejszych, niewzruszonych dotychczas założeń samozachowawczych narodu. Głęboko odczuł, odcierpiał wstrząsające te przeprawy Korzon, a wypocznienie po nich, lekarstwo duchowe znalazł znowuż w tem intensywniejszym nawrocie do pracy naukowej, do zatopienia się w dziejach dawnej chwały i ofiary narodowej. Ze spółczesnego targowiska krzyżujących się haseł i sporów fakcyjnych, z krzykliwego rozgwaru miedzi brzęczącej słów pustych, ratował się do tej w szczególności dziedziny historycznej, gdzie rozlegały się zdaleka surowe echa czystej stali czynów, do historii militarnej polskiej. Tak powstało najnowsze obszerne dzieło Korzona, trytomowe „Dzieje wojen i wojsko-



wości w Polsce“, zdumiewający zaiste dowód niepożytej skrętności badawczej i żywotności pisarskiej siedemdziesięcioletniego zgórą starca.

Cztery wielkie dzieła zasadnicze, o Dziejach wewnętrznych za Stanisława Augusta, o Kościuszcze, o Sobieskim, o Wojskowości polskiej, doskonały kompleks podręcznikowy, mnogość nieprzebrana pism pomniejszych — oto co pięćdziesięcioletnia, niestrudzona, zawsze jednakowo przeczystem, a młodem źródłem bijąca praca przyniosła już dotychczas nauce i wszystkiemu ogółowi polskiemu, jednoczącemu się w niniejszą rocznicę jubileuszową w hołdzie powinnym respektu i wdzięczności dla sędziwego historyka narodowego.

Piękne życie, piękny plon<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Askenazego z Korzonem łączył stosunek serdecznej przyjaźni i poważania, o czym świadczy m. i. pozostała korespondencja. Korzon uważał Askenazego za swego kontynuatora. Ofiarowując dzieło swoje „*Wewnętrzne dzieje Polski*“, zamieścił w niem dedykację: „Szymonowi Askenazemu kontynuatorowi swemu T. Korzon“. 16/XII 1896. W związku z rokiem jubileuszowym Korzona pozostaje list jego do Askenazego z 4 sierpnia 1912 roku. Przytaczamy z niego następujący fragment:

„...Korzystając z dobrych warunków bytu i swobody napisałem „*Mój Pamiętnik Przedhistoryczny*“ z takim wyjaśnieniem: „Tytuł niniejszy może nasunąć przypuszczenie, że będę mówił o prahistorji, o tych okresach, kiedy po ziemi chodziły mamuty. Chociaż młodzi postępowcy porównywuja żartobliwie staruszków z temi kopalniami zwierzętami, winienem zwrócić ich uwagę, że w owej epoce nie żyłem jeszcze, więc i do pamiętnika nicbym wpisać nie mógł. Historycy zawodowi wyznaczili tylko 50 lat na całą działalność moją i obdarzyli mię zaszczytami jubileuszowymi w roku bieżącym 1912-m. Otóż ja dla sprostowania kilku pomyłek, jakie się do ich najpochlebniejszych dla mnie artykułów wkrađły i dla oświecenia kilku niejasnych sytuacji podam teraz informacje z czasów poprzedzających moje występy pod firmą historyka, kiedy nie byłem znany publiczności z druków historycznych. Będzie to niebardzo pospolity referat o warunkach, w jakich Polak wyrabiał się na historyka w XIX wieku. Napisane teraz rozdziały obejmują wspomnienia kowieńskie, proces polityczny i wygnanie tak orenburskie, jak piotrkowskie. ...Możnaby to dać do miesięcznika lub tygodnika — ale jakiego? Warszawskich nie śmiałbym narazić na proces prasowy przypuszczalnie za wzniecanie pogardy czy nienawiści do rządu. Trzebaby chyba wpraszać się do galicyjskich. Mam też na myśli wydanie w oddzielnej broszurze albo tomiku łącznie z drukowaniami

dawniej rozdziałami o czasach szkolnych i uniwersyteckich. Ofiarowałbym chętnie nakład z własnego trzosa, ale księgarze zwykle zaprzeczają to wszystko, co nie jest ich wydawnictwem“.

W liście z d. 1 stycznia 1918 roku Korzon pisze o sobie m. i.:

„....przeczytał z zadowoleniem rzecz o Kościuszcze... chciałby pokazać swój projekt napisu w Szlisselburgu dla Łukasińskiego“. (Przyp. wyd.).

---



## FRYDERYK MASSON

### I

Historjografia Napoleona I rozrasta się do rozmiarów coraz ogromniejszych. W najnowszym zestawieniu, zresztą rozpoczętej dopiero, niedostatecznej z wielu względów i zgoła nie wyczerpującej przedmiotu, niemieckiej „Biblijografji napoleońskiej“ F. M. Kircheisena, podana została, wliczając zarówno opracowania i źródła, na przeszło 70 000 numerów. W olbrzymiem tem piśmiennictwie napoleońskiem możnaby, pod pewnym kątem widzenia, w kolei chronologicznej rozróżnić zgrubsza kilka wielkich załomów, jakgdyby etapów rozwojowych.

Pierwszy wyobrażała sama doba napoleońska, mieszcząc w sobie najwcześniejszą i najdalej posuniętą dwoistą skrajność historjograficzną: bałwochwalstwo bezwzględne obok bezgranicznej kalumnji. Tamto wszędzie, gdzie i póki władał Napoleon; tę wszędzie, dokąd on nie dotarł albo skąd został wyparty. Życiorysy apologetyczne zaraz po pierwszych zwycięstwach włoskich młodego generała ukazywać się poczynają we Francji, Włoszech, Niemczech; mnożą się znakomicie za Konsulatu; stają się obowiązkowe za Cesarstwa. Wcześniej też, wyprzedzając samą

---

Przedmowa do wyboru szkiców tego autora p. t. *Przed stu laty*, przekład Emilji Leszczyńskiej, Lwów—Warszawa 1911, i w „*Tygodniku Ilustrowanym*“ 1911, nr. 36, str. 704—6.

Masson, ur. 1847, zm. 1923, członek Akademji 1904, sekretarz Akademji 1919—23, czołowy wśród napoleonistów francuskich; materiały po nim tworzą „*fond Masson*“ w Bibliothéque Thiers w Paryżu.

osobę cesarza, trafiają one także na niewyzwoloną jeszcze przez niego ziemię polską. Tutaj zawczasu już, na długo jeszcze przed powstaniem Księstwa Warszawskiego, entuzjastyczni biografo- wie polscy, o ile to było możliwe pod cenzurą trójpodziałową, starają się wystawiać rodakom wielkość nowego bohatera Zachodu, twórcy legjonów polskich; a czynią to w osobliwszym nieraz sposobie, jak np. pocziwy ksiądz Grzegorz Kniaziewicz, proboszcz katedry wileńskiej, który w swoim życiorysie „Neoptolema Bonaparty“, wydanym w roku 1802, prezentuje go przedewszystkiem jako bardzo dobrego „szlachcica Korsykana“, przeniknionego „powinny szacunkiem dla Jego Świątobliwości Papieża“. Równolegle zaś na gruncie koalicyjnym, w Anglii, Rosji, Austrii, Prusiech, a i w obrębie odpowiednich dzielnic rozbiorowych polskich, z natchnienia rządowego powstaje najgwałtowniejsza literatura antynapoleońska. Miarę jej nastroju daje chociażby odezwa św. Synodu rosyjskiego z grudnia 1805 r., głoszona z urzędu po cerkwiach co niedziela i święto, a przedstawiająca „Bonaparte“ jako wcielonego Antychrysta, który oddaje cześć boską bałwanom i ładacznicom, zaprzysiągł Alkoran, zwołał Sanhedryn żydowski dla ponowienia wyroku na Chrystusa, wreszcie „o zgrozo niesłychana, przechodząca wszelkie zbrodnie, sam siebie ogłosił zbawicielem“. W pewnym, dość oczywiście słabym stosunkowo stopniu, wpływy tego kierunku zohydza- jącego wystąpiły zwłaszcza w Galicji w r. 1809 oraz na Litwie w r. 1812 — 13.

W następnej dobie Restauracji i monarchji lipcowej a za- razem Królestwa Kongresowego i emigracji polistopadowej, zrazu, rzecz prosta, wziął na całą linię górę prąd nawskroś nega- tywny. Na upadłego cesarza rzuciła się zajądło chmara pisarzy i pismaków zwycięskiej koalicji, którym przyszło w te pędy z gorliwą pomocą sporo renegatów, dawnych sług cesarskich, w rodzaju byłego ambasadora w Warszawie, księdza Pradta, albo byłego sekretarza przybocznego przy generale Bonapartem, Bourrienna, używanego ongi przez Sułkowskiego i Dąbrowskiego w interesach legji polskich. Ale niebawem w przeciwnym wręcz kierunku tem silniejsza ujawniła się reakcja w obronie osoby i czynów napoleońskich. Znalazła ona w sobie wyraz w roz- głosnych apologetycznych pismach ze św. Heleny, we wspaniałem



wydawnictwie byłych oficerów Wielkiej Armji o jej „Kampanjach izdobyczach“, w powódzi pamiętników wojennych, w obszer-  
nem dziele historycznem zacnego Bignona, ongi posła w Warszawie  
i Wilnie, mianowanego niejako z urzędu historjografem obrończym  
Cesarstwa przez wolę ostatnią więźnia ze św. Heleny. W Kró-  
lestwie Kongresowem równocześnie sympatje napoleońskie, głę-  
boko zapadłe w serca dawnych żołnierzy byłego Księstwa, in-  
teligencji a nawet usamowolnionego ludu wiejskiego, nie mogły  
dla względów cenzuralnych z pełną występować swobodą. Potem  
zaś na emigracji, pod wpływem bądź to Adama Czartoryskiego,  
niegdyś długoletniego przeciwnika cesarskiego, bądź też rady-  
kalniej zabarwionych żywiołów republikańsko-demokratycznych,  
wytworzył się nastrój dla Napoleona raczej nieprzychylny,  
ze sporą, coprawda, liczbą wybitnych wyjątków, wśród któ-  
rych najwybitniejszym oczywiście pozostał Mickiewicz.

Przejście piśmienniczo-naukowe do fazy następnej w lite-  
raturze napoleońskiej stanowiło wielkie dzieło Thiersa o dzie-  
jach Konsulatu i Cesarstwa. Oparte na materiale źródłowym,  
jak na owe czasy, poważnym, a ponadto na niektórych pierw-  
szorzędnych a zamierających już relacjach ustnych, pisane  
żywo, przejrzyste, barwnie, spopularyzowało ono w szerokich  
warstwach we Francji i zagranicą, pozbawionych już tradycji  
żywej, całokształt oddalającej się szybko, wkraczającej w dzie-  
dziny legendowe, przeszłości napoleońskiej. Szwankowało zre-  
szta to obszerne, na dużą skalę zakrojone dzieło pod niejednym  
względem zasadniczym; wyraźnie dawało się w niem odczuwać  
bardzo nierównomierne, częstokroć wprost powierzchowne  
zużytkowanie materiału źródłowego; wyraźnie też występowało  
zbytnie poddawanie się osobistej sugestji starego Talleyranda,  
który młodemu Thiersowi z rozmyślną uczynnością słownych  
udzielał wyjaśnień, aby zawczasu oszukać przyszłość, jak był  
oszukiwał przeszłość; a nie brakło także, między innemi, pewnych  
niesprawiedliwości i błędów, wynikających z pewnych nieprzy-  
chylnych uprzedzeń autorskich względem Polski. W nieskończe-  
nie wyższym jeszcze stopniu, wprost już przełomowe znaczenie  
dla dalszej historjografji napoleońskiej posiadało podjęte na-  
stępnie za drugiego Cesarstwa, na mocy dekretu Napoleona III  
z 1854 r., pomnikowe wydawnictwo Korespondencji Napoleona I,

którego tom wstępny ukazał się w r. 1858, a ostatni w samym przededniu nowej druzgoczącej katastrofy napoleońskiej, wojny prusko-francuskiej w r. 1870. Pomimo wad nadzwyczaj dotkliwych, cechujących to wydawnictwo, trzymane w duchu czysto urzędowym, poddawane przez cesarską komisję wydawniczą systematycznej, bezwzględnej, często niedorzecznej „epuracji“, której rozmiary dziś dopiero, wobec mnóstwa już ogłoszonych i wciąż jeszcze pojawiających się publikacyj uzupełniających, mieszczących tysiące ineditów napoleońskich, dają się należycie ocenić, bądźco bądź trzydzieści tomów „Korespondencji“ stało się i pozostaje po dziś dzień punktem wyjścia wszelkich dalszych prac o Napoleonie I. Zresztą w tym samym czasie również i prąd ujemny w stosunku do osoby i polityki napoleońskiej zachował swoje prawa, między innymi w rozgłosnej historii-pamflecie Lanfrefya najdobitniejszy znajduje sobie wyraz.

W najnowszym, sięgającym do dziś dnia okresie, za współczesnej trzeciej Rzeczypospolitej, z początku znowuż zapanował, zapanować musiał, taki mianowicie ujemny, potępiający kierunek w historjografii napoleońskiej we Francji. Za Napoleona Małego, który o nową straszliwą porażkę przyprowadził naród francuski, i to nie tylko za zewnętrzne ale i wewnętrzne objawy tej porażki, nie tylko za Sedan ale i za Komunę, pociągnięty został do odpowiedzialności Napoleon Wielki. W takim mianowicie kierunku poszło znakomite dzieło Taine'a o Źródłach Francji współczesnej, poczęte nie tyle w myśli czysto historycznej, ile z pobudek troski obywatelskiej, mające na celu nie tyle obiektywne zbadanie przeszłości, ile logiczne wyprowadzenie z niej klęsk teraźniejszości, a tem samem wyprowadzenie nauk politycznych dla przyszłości. Z takiego, zrozumiałego skądinąd, dyktowanego przez szlachetną gorliwość patriotyczną, lecz nawskroś niehistorycznego wyszedłszy założenia, Taine w swoich konkluzjach, jak było zgóry do przewidzenia, doprowadzony został do wydania jak najsurowszego wyroku na Napoleona I i całą jego działalność, lecz koniec końcem, pomimo włożonego w swoje badania historyczne, albo raczej w swoją rozległą historyczno-polityczną ankietę, znacznego wysiłku naukowego, zupełnie przecie chybił pod względem ściśle naukowym,



nie uchwycił zgoła ani istotnej indywidualności duchowej cesarza, ani jego istotnej roli dziejowej.

Wnet jednak przeciw koncepcji potępiającej Taine'a, bezwzględnej, wyjaskrawionej, a trzymającej się głównie jego potężnym talentem pisarskim, nastąpił raz jeszcze zwrot stanowczy i, jak się zdaje, ostateczny. Ostateczny podobno tym razem, — albowiem płynie on obecnie z całej pełni rozwartych naoścież i wyczerpanych do dna źródeł archiwalnych, a płynie przytem naraz ze stron najrozmaitszych, najprzeciwniejszych, z takich zwłaszcza, których zgodność w tym samym jednolitym zwrocie dodatnim posiada szczególniejszą, przekonującą a fortiori, decydującą wprost doniosłość. W rzeczy samej, najnowszy, a naogół na całej linii rehabilitujący Napoleona I, zwrot historyjograficzny wyszedł z tej mianowicie strony, skąd dotychczas stale inicjowany i zasilany był kierunek oskarżycielski — ze strony koalicyjnej. Wyszedł od przedstuletnich śmiertelnych wrogów cesarza, od Anglików, Prusaków, Rosjan.

Nowożytni uczeni i politycy angielscy tej miary, jak Browning albo lord Rosebery nie zawahali się wziąć z zapalem w obronę Napoleona i otwarcie odsłonić ciężkich win, wobec niego ongi przez Anglię popełnionych. W Prusiech nowożytnych, które pod względem militarnym, w osobie Moltkego i jego współpracowników, tak skutecznie skorzystały z wielkich wzorów strategii napoleońskiej, a i pod niejednym względem politycznym, po zdobyciu górującej w Europie roli mocarstwowej, stanęły poniekąd w analogicznych do pierwszego Cesarstwa warunkach, genjusz wojskowy i polityczny Napoleona znalazł sprawiedliwych sędziów, a nawet wprost gorących admiratorów naukowych, w osobie badaczy takich, jak Delbrück, Goltz, Bleibtreu, Roloff, Lenz, Lehmann i wielu innych. W Rosji współczesnej, gdzie, coprawda, nasamprzód w znacznej mierze naskutek pobudek raczej aktualnych, zrodzonych z nowego aljansu frankorosyjskiego, zwrócono oczy ku tylżyckiemu precedensowi tego sojuszu, wytworzyła się ostatnimi czasy cała, nawskroś odmienna od dawnej, zięjącej tendencją i nienawiścią, czysto przedmiotowa i źródłowa literatura napoleońska, której przedstawicielami zostali tak wybitni uczeni, jak Szylder, Traczewskij i wielu innych, a wśród nich badacze, posiadający wyjątkową możność

sięgnięcia do głębi źródeł dziejowych, jak W. Książę Mikołaj Michajłowicz, i która też naogół, w ostatecznych swoich wynikach, w dodatkiem świetle postawiła Napoleona, a nawet równocześnie w nader ujemnem wystawiła jego przeciwnika i pogromcę, Aleksandra.

Takiemu, zgoła nieoczekiwanemu zwrotowi historjografji zagranicznej, koalicyjnej, odpowiadała ściśle równoległa reakcja na rzecz Napoleona w piśmiennictwie historycznem francuskiem. Wbrew bezwzględnyim konkluzjom antynapoleońskim, górującym w końcowych tomach wielkiej ankiety Tainowskiej, najznakomitszy uczeń i przyjaciel Taine'a, Sorel, w szeroko zakreślonej swej pracy o Europie a Rewolucji Francuskiej, pracy, będącej w zakresie zagadnień polityki zagranicznej odpowiednikiem, dopełniającym wywody Źródeł Francji współczesnej w zakresie zagadnień polityki wewnętrznej, doszedł pod koniec do wniosków wręcz przeciwnych, usprawiedliwiających akcję europejską cesarza, a nawet całkiem solidaryzujących się z nią w wielu punktach najważniejszych. Jednocześnie, jakgdyby to leżało już w powietrzu i czekało jeno pierwszej, bodaj najbłahszej pobudki — jak np. liche i kłamliwe Pamiętniki Marbota albo karykaturalne sylwetki Caran d'Ache'a — dla wydobycia się na jaw, nastąpiło we Francji niby szczególniejsze odrodzenie popularności cesarza i całej doby napoleońskiej. Otworzyły się upusty niezliczonych wydawnictw pamiętnikarskich i dokumentowych, dotyczących tej doby, wśród których miejsce naczelne zajęły rozległe publikacje treści czysto wojskowej, z inicjatywy francuskiego Sztabu Generalnego. Zarazem zaś wystąpił cały szereg pierwszorzędných uczonych specjalistów, odznaczających się tyleż dużym talentem pisarskim, co wszechstronną gruntownością badawczą, jak Masson, Vandal, Chuquet, Houssaye i inni, którzy w licznych cennych, po części świetnych opracowaniach, opartych na poważnym aparacie źródłowym i krytycznym, zajęli się wyświetleniem rozlicznych stron i momentów osoby i działalności Napoleona, z wynikiem, zapewne rozmaitym niekiedy w szczegółach, lecz w ogólnej sumie niewątpliwie nawskroś dodatnim dla postaci i roli dziejowej cesarza.



## II

Najdawniejszym i najpłodniejszym pracownikiem w tym szeregu współczesnych badaczy napoleońskich jest wymieniony na czele p. Fryderyk Masson, którego ostatnie pisma pomniejsze, a raczej wybór tych pism leży przed nami w starannym, dokonanym z umiejętnością i zamiłowaniem, przekładzie polskim. Mając mówić o p. Massonie, nie bez powodu wdaliśmy się w powyższy przydługi wywód ogólniejszy o historjografji Napoleona. Jest to, jak mniemalibyśmy, w intencji, w duchu tego uczonego napoleońskiego entuzjasty, który nie sobą, lecz wyłącznie dziejowym swoim bohaterem jest zajęty, składając mu w ofierze całą swą osobowość pisarską, usuwając ją z zasady na plan drugi, pragnąc widzieć w sobie prostego tylko szeregowca wielkiej armji historjograficznej, idącej śladami wielkiego cesarza. I w tem właśnie nieograniczonem poświęceniu się dla sprawy Napoleona na polu nauki, jak ongi przed stu laty na polu bitew, leży oryginalna cecha indywidualności dziejopisarskiej p. Massona.

Urodzony w r. 1847 ze starej, czysto francuskiej, paryskiej rodziny mieszczańskiej, syn jedyny dobrego patrioty a gorliwego republikanina, p. Fryderyk Masson już w niemowlęctwie utracił ojca, który jako szef bataljonu gwardji republikańskiej zginął w straszliwej wojnie domowej w czerwcu 1848 r. na ulicach Paryża, „poległ — jak głosi jego nagrobek — walcząc za porządek publiczny“. Chowany w rodzinnej tradycji i zasadach republikańskich, korzystając z drobnej pensji, wyznaczonej przez drugą Rzeczpospolitą dzieciom poległych jej obrońców, osierocony młodzieniec, już za drugiego Cesarstwa objąwszy stanowisko urzędnika w Archiwum Ministerjum Spraw Zagranicznych, potem bibliotekarza, wcześniej zyskawszy tym sposobem przystęp do wielkiego zbiornika materiałów historycznych, pozostał przecie wierny odziedziczonym przekonaniom, wyznawał konstytucję jakobińską 1793 roku, był zaciętym przeciwnikiem koronowanego sprawcy zamachu grudniowego, rozczytywał się w „*Châtiments*“ Wiktora Hugo, słowem był jak najdalej od myśli zostania kiedykolwiek szermierzem sprawy napoleońskiej. Tak doczekał się wojny pruskiej 1870 r. Niesłychana klęska narodowa uderzyła weń, jak piorun, i od jednego zamachu wywróciła wszystkie jego pojęcia.

Akt obalenia drugiego Cesarstwa i ogłoszenia trzeciej Republiki w obliczu nieprzyjaciela wydał mu się aktem sromoty i nierozumu, zdeptaniem najpierwszych w takiej chwili obowiązków patriotycznych. Temu przeświadczeniu, którego oczywiście można zgola nie podzielać, dał wyraz natychmiast, z właściwym sobie porywczym, lecz lojalnym impetem: „wtedy to, 4 września 1870 r. — czytamy w otrzymanym od niego liście prywatnym — po raz pierwszy zawołałem: *Vive l'Empereur*“.

Dotychczasowy przeciwnik panującego Cesarstwa uczynił się nagle stronnikiem upadającego; w tym, chociażby nieuzasadnionym, odruchu obywatela przebijał bądź co bądź ów duch czystej, śmiałej lojalności, jaki odtąd, mimo pewne zboczenia, miał stale cechować uczonego. Zaciągnąwszy się do szeregów w obronie ginącego kraju, p. Masson, na widok okropności Komuny, dalszych porażek, upokarzającego wreszcie pokoju, utwierdził jeszcze w sobie nową swoją wiarę w „ewangelję“ napoleońską. Pojmował ją zrazu w aktualniejszym znaczeniu politycznym. Przyłączył się do powstałego na gruzach drugiego Cesarstwa obozu bonapartystycznego, pracującego nad bezpośrednią restauracją napoleońską, służył wiernie wygnanemu Napoleonowi III, potem jego synowi, potem jego kuzynom. Ale wnet okazało się, że dla czystego człowieka, dla dobrego Francuza, a przede wszystkim dla niepospolitego badacza, zapatrzonego w wielką przeszłość francuską, utożsamienie się z tymi ludźmi i ich robotą nie było podobieństwem. Okazało się, że p. Masson nie był, w gruncie rzeczy, wcale bonapartystą w aktualnym sensie słowa, lecz był tylko napoleonistą, w historycznym słowa znaczeniu.

Okazało się, że poza marną epigonową postacią Napoleona III i jego bliższej lub dalszej kompani rodzinnej, z jaką sprzęgnięty został docześnie polityk, wyrastała granitowa postać Napoleona I, ku której siłą nieprzepartą dozgonnie pociągnięty został historyk.

I tak stał się p. Fryderyk Masson najgorliwszym, najpłodniejszym, niezmordowanym obrońcą genialnego Korsykanina, generała rewolucyjnego, Pierwszego Konsula, cesarza, wygnańca ze św. Heleny. Całe swoje życie odtąd zadaniu temu poświęcił. Całą jego działalność naukową — z wyjątkiem paru tylko prac



treści postronnej, jak szacowna i pożyteczna rzecz o „Departamencie Spraw Zagranicznych“, jak zajmujące studjum o kardynale Bernisie i t. p. — zapełniły, zakrojone na dużą skalę, „Studja napoleońskie“, idące z uczonym pietyzmem krok w krok tropem Napoleona I, od jego najdawniejszych początków, odsłoniętych sposobem zgoła nieoczekiwanym, na podstawie nowych źródeł pierwszorzędnych, w ciekawej książce o „Nieznany Napoleon“, aż do tragicznego jego kresu, oświeconego znowuż w sposób całkiem oryginalny, szeregiem łącznych przyczynków monograficznych, w badaniach, obracających się „Dokoła św. Heleny“.

To, co znajdujemy w tych kilkudziesięciu tomach *Études napoléoniennes*, to nie jest t. zw. wielka historia w utartym znaczeniu słowa, nie historia polityki i wojen Napoleona I, ale to są, bądź w drobniejszych ułamkach, bądź w szerszym ujęciu, dzieje bezpośrednie, poufne, jego osoby, jego rodziny, jego współpracowników. P. Masson żywi raczej niejaki uprzedzenie do owej „wielkiej“ historii, a nawet do wielkich archiwów, gdzie „z wyjątkiem papierów osobistych, policyjnych oraz niektórych dokumentów, uratowanych trafem od systematycznego zniszczenia, znajduje się jedynie historia, spreparowana dla użytku współczesnych lub potomnych, materiały dla ksiąg Błękitnych, Białych lub Żółtych, tematy dla urzędowych dysertacji historjografów patentowanych“. Niewątpliwie w tych słowach p. Massona mieści się pewna, a nawet spora doza przesady, ale zawiera się też część prawdy, zazwyczaj zapoznawanej a wcale dobitnie z dokumentowanej *a contrario* w jego pismach własnych, które, acz nie tykają się wcale owych, tylekroć istotnie aż do bezpłodności uprawianych dziedzin historjografii „patentowanej“, jednakowoż w skromniejszym swoim, ściśle osobistym zakresie tak dużo przynoszą nowego, tak wielce nieraz ułatwiają i rozwidniają drogę badaczów szerszego zakroju.

Skutkiem takiego specyficznego stanowiska p. Massona, jego odpornej a niekiedy i zaczepnej postawy względem cechu historyków zawodowych, skutkiem także pewnych właściwości jego metody pisarskiej, np. zupełnego z zasady unikania wszelkich wskazówek źródłowych, wreszcie skutkiem wciąż deklarowanej przezeń otwarcie i ogniście naczelnej jego idei przewodniej, nieograniczonego uwielbienia i wprost zupełnego oddania

się postaci dziejowej Napoleona, rzeczywiste, niepoślednie zalety jego wieloletniej pracy historycznej długo nie były należycie cenione i właściwie dopiero ostatnimi czasy, pomimo pewnych nieuniknionych zastrzeżeń krytycznych, zdobyły sobie słuszne uznanie świata naukowego. W r. 1903 p. Masson wybrany został, po zmarłym Gastonie Paris, członkiem Akademii Francuskiej; a choć witający go akademik Brunetière nie omieszkał, w legitymistycznym duchu części tego uczonego zgromadzenia, umieścić w swojej mowie recepcyjnej niektórych osobliwszych, cechowanych szczególną *suffisance*, zwrotów przycinkowych pod adresem nowego kandydata, jednakowoż ten wybór spotkał się z ogólnym poklaskiem zarówno specjalistów, jak i szerszej publiczności nie tylko we Francji, lecz i poza jej granicami.

P. Masson w rozległych swoich poszukiwaniach, rzecz prosta, niejednokrotnie miał do czynienia z postaciami i sprawami polskimi, tak ściśle wszak złączonemi z epopeją napoleońską. Okazał on w tych wypadkach zupełną bezstronność i rzetelną dla nas sympatję. Nie mogło być zresztą inaczej, gdyż ten lojalny miłośnik prawdy nie mógł nie oddać i tutaj hołdu tej prawdzie oczywiście, w oczy bijącej, iż Polska była, w szczęściu zarówno jak i w nieszczęściu, najpewniejszą, najwierniejszą sojuszniczką wielkiego cesarza. Ten uczony starzec, wysoki, barczysty, nadzwyczaj żywy, w słowie, spojrzeniu, ruchach, pełen jeszcze ognia, marsowej postaci jakgdyby wysłużonego oficera gwardji napoleońskiej, wierny tradycjom swego cesarza, zachował też uczucia tradycyjnego wielkiego naszego sojusznika. Mile witamy niniejszą nową jego książkę w szacie polskiej, a niespracowanemu autorowi najdłuższej jeszcze i najowocniejszej życzymy działalności na tak umiłowanej przezeń niwie dziejopisarstwa napoleońskiego.

---



## WSPOMNIENIE O PRAWYM HISTORYKU

### I

W 1893 r. robiłem doktorat w Getyndze. Wybrałem ten uniwersytet ze względu na czołowe jego, uświęcone od Schloezera aż do Waitza, w dyscyplinie historycznej stanowisko. Ze względu też na półangielskie jego niepodległe tradycje, uświęcone przez przedstuletni przeciw królewskiemu bezprawiu protest i exodus siedmiu profesorów, z historykami Dahlmannem i Gervinusem na czele. Zaś nienajmniej ze względu na starodawny tej wszechnicy przychylny do Polski stosunek. Tędy, życzliwej akademickiej doznając pomocy, polscy z ginącej Rzplitej uchodźcy przedostawali się do rewolucyjnego Paryża, naprzód Sułkowski, liczni potem legioniści. Tędy ciągnęli do Francji rozbitki rewolucji listopadowej; a wśród nich, unikając gotowanej sobie przez uczonych kolegów owacji, przemknął się Lelewel, chyłkiem jeno do sławnej, zasobnej w polonica zagłębawszy biblioteki. Sporo też tutaj, zwłaszcza za Kongresówki, studjowało Polaków, m. in. przyszły naczelnik rządu, Wielopolski; później kilku wybitnych historyków, m. in. Pawiński.

Pawiński wielce był rad z mego do Getyngi wyjazdu i na wiatyk opowiedział mi następujące ostatnie swe tam przeżycie.

---

Artykuł powyższy był ogłoszony w *Kurjerze Warszawskim* 23 sierpnia 1933 r. Nr. 232, str. 4—6, w tłumaczeniu francuskim, p. t. „*En mémoire d'un grand historien*” w „*Pologne Littéraire*”, Nr. 87, str. 3, z drobnymi zmianami, o charakterze uzupełnień dla czytelnika niepolskiego.

Było to w czerwcu 1866 r., na prelekcji Waitza. Nagle przez otwarte okna audytorjum wpadł huczny odgłos bębnow, tłumiąc wykład profesora o pragermańskich zasadach ustawodawstwa, plemiennej niezawisłości i swobody. To były zwycięskie wojska pruskie, wkraczające do miasta po bitwie pod Langensalzą, gdzie cała armja hanowerska z niewidomym królem Jerzym dostała się do niewoli. Waitz, wstrząśniony do głębi, powstał. „Niezdolen jestem mówić dalej — drżącym wyrzekł głosem — lecz zapamiętajcie sobie panowie tę chwilę nieszczęsną, gdyż nowa odtąd, ciężka dla Niemiec i Europy nastaje epoka.“

W Getyndze zastałem na katedrze dziejów średniowiecznych Weilanda, nowożytnych — Kluckhohna, wytrawnych badaczy, przeznacznych nauczycieli, wzorowo prowadzących wykłady, a zwłaszcza ćwiczenia seminaryjne. Osieroconą po wtórym z nich, zmarłym w lecie 1893 r., katedrę nowożytną od zimowego semestru t. r. objął mąż wyższej miary, Max Lehmann.

Miał on już wtedy za sobą wydatny dorobek naukowy. Zaczawszy, utartym szlakiem, od średniowiecza, wnet przerzucił się całkiem do nowożytnictwa. Rzadką przytem okazał wszechstronność, zgłębiając porówno sprawy treści wojskowej, politycznej, prawnej, kościelnej. Potrójnego też dorobił się doktoratu: filozofji (historji), prawa, teologii. Pełnokrwisty, rodem z Berlina, Prusak, przedewszystkiem przystąpił do militarno-politycznych dziejów pruskich XVIII i XIX wieku. Z niezwykłą w nowicjuszu przystąpił dojrzałością i impetem. W mnóstwie sypniętych jednym tchem, zwięzłych, jędrnych rozpraw i przyczynków, odrazu objawił się wybornym, bezwzględnie ścisłym, źródłowym badaczem, a wraz pierwszorzędnym, hamującym się więzią krytyczną, świetnym, ognistym pisarzem. Odrazu też na czoło swych wysunął się rówieśników i baczną naczelných fachowców zwrócił na siebie uwagę.

Było to nazajutrz po Sadowie i Sedanie. Swoisty w triumfie udział miała karna historjografia pruska. Była rozbudowana od półwieku przez szereg dostojnych, jak Preuss, Pertz, Ranke, Droysen, Duncker, Sybel, Treitschke, działaczy, z urzędowem przeważnie piętnem, „historjografów królewskiego domu brandenburskiego“ i „państwa pruskiego“, dyrektorów archiwów tajnych, tajnych radców, ekscelencje. Była ważnym, sprawnym



spółczynnikiem podjazdowej zrazu z Austrią, Francją, Polską, Kościołem walki i zwycięskiego wreszcie wysiłku Prus o hegemonję w Niemczech i Europie. Sama zarazem, własnym umiejętnym wysiłkiem, zdobyła sobie rodzaj hegemonji w dziejopisarstwie niemieckiem i europejskiem. Ten erudycyjny swój prymat, wzorem kanclerskiego na Wilhelmstrasse i sztabowego na Königsplatzu, w następsem półwieczu aż do światowej dochowa wojny.

Owóż młody Lehmann, jak się rzekło, wcześniej był należycie oceniony i wyróżniony przez ówczesnych czujnych tej szkoły historyczno-pruskiej kierowników. Był przez nich upatrzony na przyszłego jej bitnego paladyna i wodza. Z troskliwą czułością Treitschke jego aż nadto, jak mniemał, prawowierną, wrzącą podnosił i miarkował dzielność. Szczególnie jednak zajął się nim i zaopiekował przodujący w berlińskim świecie historycznym pisarz i działacz, zaprzyjaźniony z Bismarckiem, naukowo i politycznie nader czynny i wpływowy Sybel. Już w 1875 r. przekazał mu redakcję, później współwydawnictwo założonej przez siebie „Historische Zeitschrift“, naczelnej po dziś dzień w tej dziedzinie placówki. Równocześnie wprowadził go do zarządu Tajnego archiwum pruskiego. Uzyskał powierzenie mu wielkiej rządowej publikacji źródeł o „Prusach a Kościele katolickim“, mającej wybitnie polityczne wśród rozpętanego wtedy K u l t u r k a m p f u znaczenie. Nie było wątpliwości: przed obiecującym, ledwo trzydziestoletnim historykiem wspaniała, zawrotna, wiodąca na oficjalne szczyty otwierała się karjera.

Stało się inaczej. Ten człowiek nie szukał kariery. Szukał tylko prawdy. To musiało go zgubić. „Było coś lwiego w jego naturze — westchnie kiedyś o zmarłym straceńcu porzucone przezeń „Czasopismo Historyczne“ — obok najwyższej sprawności duchowej, najwyższa namiętność płomiennego, etycznego uniesienia..., co też zaprowadziło go na bezdroża“. Najniespodzianie w najgłębsze bezdroża skoczył śmiałą nogą Lehmann. W pierwszej większej pracy, dwutomowym życiorysie „Scharnhorsta“, — twórcy potylżyckiej reorganizacji zbrojnej pruskiej, na której dzisiejsi powersalskiej wzorują się sprawcy, — obnażył całą marność, trwożliwość, obłudę Fryderyka Wilhelma III i jego ministrów, rozwalając w niwecz uświęconą legendę rzekomych wonczas zasług patryjotycznych korony pruskiej, walnego jej odąd

tytułu do objęcia niemieckiej. Pomruk zgrozy po lojalnej dziejopisarskiej poszedł rzeszy. Ale wspaniałe narodowe tchnienie dzieła jeszcze osłoniło autora. Niebawem w innej on gorzej naraził się sprawie. Po pojawieniu się szeregu tomów, „Prus a Kościoła“, wyniesiono ze strony centrum katolickiego, podczas rozpraw budżetowych w sejmie pruskim, ostrą interpelację z powodu wyraźnie tendencyjnych w tem wydawnictwie przemilczeń i braków w zakresie najdrażliwszych z drugiej połowy XVIII wieku przeciwkościelnych zarządzeń królewskich. Natychmiast w publicznem oświadczeniu stwierdził Lehmann, iż uczyniony mu z trybuny zarzut należy skierować pod adresem władz wyższych (t. j. ks. Bismarcka), krępujących naukową swobodę wydawcy.

Dojrzał teraz do zbrodni głównej: podniesienia ręki na Wielkiego Fryderyka, i co więcej, na najczystsza jego za wojny siedmioletniej chwałę. Król był nie winowajcą, lecz ofiarą tej wojny; jeśli on ją marszem na Drezno zaczął, uczynił to pod przymusem odparowania w ostatniej chwili zabójczego, napastniczego ciosu przemożnej koalicji austriacko-francusko-rosyjskiej. Taką była od blisko półtora wieku powszechnie niemal w dziejopisarstwie niemieckiem i obcem przyjęta teza. Przyjął ją bez zastrzeżeń nawet tak surowy dla Fryderyka Macaulay i w tym jednym wypadku pełną królowi dał absolicję. Owóż Lehmann, na podstawie nowych wyczerpujących puszukiwań źródłowych, całą tę tezę ze szczerem zburzył. Natomiast raz na zawsze niezbitie ustalił, że Fryderyk w tej wojnie, jak w poprzednich śląskich, był tylko napastnikiem, że wszczął ją, pod pozorem rzekomej, nieistotnej groźby koalicyjnej, dla zdobycia jak wprzód Śląska, tak tym razem Saksonji. Rzecz była wagi osobliwej, i to nie tylko pod historycznym, lecz bardziej jeszcze politycznym względem. Fryderykowi z 1756 r. precedens zwalenia na przeciwników własnej odpowiedzialności napastniczej został przejęty przez rząd berliński przeciw Austrii w 1866 i Francji w 1870 r., zanim będzie w światowej użyty wojnie. Na pierwszą, jeszcze przed ich ujawnieniem, wieść o przewrotnych wynikach badawczych Lehmana, kategorycznie zażądał od niego Sybel poniechania tak zgubnej imprezy. Lehmann odmówił. Wtedy Sybel w swem czasopiśmie umieścił zapobiegawczą *avant la lettre* przeciw herezjom swego





Z fotografiji

*Prof. Max Lehmann*



współwydawcy, jaskrawą, apologetyczną, półurzędowego pióra, rozprawę. Na tem tle do zupełnego między nimi doszło zerwania. Lehmann ustąpił z „Historische Zeitschrift“, z archiwum, z wydawnictwa prusko-kościelnego. Wycofał się zrazu na profesurę do Lipska, potem na stałe do Getyngi.

Tutaj szybko wykończył i ogłosił miażdżącą „Genezę wojny siedmioletniej“, arcydzieło siły dowodowej i pisarskiej. Rzuciła się na nie zajadła sfera gorliwych ratowników legendy, niezdolnych przecie wzruszyć, ani bodaj poszczerbić granitowej wykładni mistrza. Była mowa o wytoczeniu mu postępowania dyscyplinarnego, co mogło grozić utratą katedry, czemu jednak nawet srogi dyktator uniwersytecki, Althoff, się sprzeciwił. Lehmann tak mało zresztą o tę dbał burzę, że tegoż 1894 r. pośpieszył nowe na siebie ściągnąć gromy. W starożytnej getyngeskiej Akademji nauk wystąpił z przemówieniem publicznem o „Prusach a Polsce“. Mówił o udziale Ottonów w dźwignieniu kościelnych podwalin Polski, a pomorskich mieszczan niemieckich w jej walce przeciw krzyżactwu. O tolerancji Jagiellonów dla protestantyzmu i łaskawej ich dla Hohenzollernów protekcji. A potem o zaborczych na Polskę widokach wielkiego elektora, urzeczywistnionych przez jego prawnuków. O pierwszym podziale, dokonanym przez Fryderyka, na stałe względem niego lojalnej Rzpltej; o drugim — przez pruskiego jej sprzymierzeńca. Zaś na zamknięcie, — w obliczu poznańskiej Komisji kolonizacyjnej — o rozpętanej po trzecim podziale na wydartych najrdzenniejszych z Warszawą ziemiach polskich, grzesznej, z „Bożą w każdym narodzie myślą“ sprzecznej akcji osiedleńczej i niemczącej, która musiała jenajską zakończyć się katastrofą.

Wśród takich okoliczności wypadło mi poznać się z Lehmannem. Jedytnemu wśród słuchaczy i seminarzystów swoich cudzoziemcowi od początku coraz zażyłszą okazywał życzliwość. Z radością przyjął inauguralną o ostatniej polskiej elekcji pracę. Na samem, po doktoracie, wyjeźdnem poradził mi, będąc w druku rozprawę dopełnić jeszcze z Tajnego archiwum w Berlinie. Opatrzył mnie w stosowne od siebie świadectwo i z lapidarną otwartością o swej niegdyś przyjaźni i następem z dyrektorem archiwum, Syblem, zorientował poróżnieniu.



W gmachu archiwalnym na Klosterstrasse nie zastałem ciężko chorego Sybla. Jego zastępcą, Bailleu, odczytawszy z respektem pismo Lehmana, zapewnił mnie, że od jutra będę mógł pracować. Nazajutrz jednak oświadczył, że ekscelencja dyrektor pragnie wprzódy mnie poznać i prosi do siebie. W pięknej willi Sybla w Thiergartenie, przywitał mnie, zapadły w fotelu, sterany starzec, wyniosła przecie, choć śmiertelnem znaczoną cierpieniem, groźna głowa. „Czego właściwie — spytał — szuka Pan w naszych aktach do tej elekcji, która dla Fryderyka była rzeczą zgola podrzędną, wyłącznem zaś politycznem dziełem Katarzyny dla opanowania Polski?“ Odparłem, że było wręcz przeciwnie, że carowa, małego jeszcze o polityce pojęcia, miała kobiecą raczej ambicję wyniesienia kochanka; że natomiast dla Fryderyka był to krok kapitalny do podziału Polski, wzamian za straconą Saksonję. „To są błędne — zawołał z uniesieniem — pomysły Lehmannowskie“. Wszczęła się dziwna przy jego stanie, burzliwa przez bitą godzinę dysputa. Wreszcie, zmęczony, rzekł: „To jest bezcelowe. Jesteś Pan, razem z Lehmannem, na zupełnie fałszywej drodze. Ale nie mogę mu odmówić. Każę zaraz otworzyć Panu archiwum“.

## II

Odtrącony od wielkiego ołtarza prawowiernej historjografii berlińskiej, wyklęty przez nią Lehmann z niezmaconą pogodą ducha w getyngieńskim zaciszu do najcelniejszego swego zabrał się dzieła. Zajął się mianowicie górującą w dziejach pruskich za doby napoleońskiej, postacią znakomitego męża stanu, Steina. Tej pracy pełne następne dziesięciolecie wszechstronnych poświęcił badań. Jako dojrzały ich owoc, ogłosił w roku 1905 r. pomnikową w trzech tomach biografię „Steina“, rozwidniającą zarazem całokształt tamtoczesnych dziejów pruskich i europejskich, najświetniejszy w tej dziedzinie utwór niemieckiego historycznego piśmiennictwa. Wydał jeszcze w 1911 r. piękny zbiór „Rozpraw i przemówień“. W 1914 r., przed samą wojną, w studjum o kaliskiem „Przymierzu prusko-rosyjskiem“, zrobił ostateczny obrachunek z Dunckerem, Rankem, Droysenem, Treitschkem, czwórką filarów dworackiej legendy „wyzwoleńczej“. Odtąd zamilkł.

Utrzymywałem z nim, zwłaszcza od objęcia wykładów lwowskich, stałą, choć z długimi przerwy, styczność i korespondencję. Paczka przedwojennych jego listów zaginęła w Warszawie, zapewne podczas rewizji mieszkania we wrześniu 1915 r., za mej zagranicą bytności, przez władze niemieckie, zachował się tylko jeden, wśród innych zawieruszony papierów, list z 31 sierpnia 1905 r. Mieścił się w nim, po dotyczącej „Steina“, w związku z „Ks. Józefem“, wymianie myśli, następujący — z powodu nowych niesłychanych gwałtów przeciw osadnictwu polskiemu w Poznańskim i odpowiednich brutalnych w sejmie pruskim wystąpień świeżo uksiążęconego kanclerza Bülowa — końcowy ustęp: „Z jakimi uczuciami musiał Pan śledzić wypadki tego lata i jesieni. Wiadomo Panu, co o naszej polskiej polityce sądzę. Czyliż mam pragnąć, abym dożył jeszcze nieszczęsnego wyniku, jaki niezawodnie będzie miała“?

Przez zawieruchę wojenną rzucony do Vevey, tam z podziwem czytałem słynne *Es ist nicht wahr*, przeczący wszelkiej winie Niemiec w wybuchu i prowadzeniu wojny manifest 93 duchowych wybrańców niemieckich *An die Kulturwelt*. Śród położonych pod nim, głośniejszych w nauce, jak Brentano, Lamprecht, Lenz, Schmoller, Wilamowitz i in. nazwisk, nie było Lehmana. Pozostał więc sobą. To też, po zajęciu Warszawy, napisałem do niego, odwołując się do getyngeskiej jego o Prusach a Polsce przemowy, i bez ogródek wskazując dotkliwe dotychczas okupacyjne uciski w zachodniej połaci, rozlewające się teraz na resztę Królestwa. W odpowiedzi z 19 sierpnia 1915 r., po napomknieniu o krępującej go cenzurze wojennej, tak się wyrażał: „Może Pan być pewien, że wyrzeczonemu przed 20 laty słowu ani na jedną nie sprzeniewierzyłem się chwilę i obecnie również dla jego urzeczywistnienia w skromnym swoim działam zakresie, pospołu z kilku przyjaciółmi. Niestety liczba przeciwników (*Widersacher*) jest bardzo, bardzo wielka, i z niepokojem zapatruję się na dalszy obrót rzeczy. Wiadomości Pańskie, za które serdecznie dziękuję, były mi przed chwilą potwierdzone przez Hansa Delbrücka... Nieszczęsna ta wojna ciężką dla mej duszy jest męką... Czyżby miał to być koniec ludzkiej kultury?... Znam dobrze Vevey i bardzo je



kocham, już przez pamięć na „Nową Heloizę“ i wielkiego Jana Jakóba“.

W następnym liście z 17 października 1915 r. pisał: „...Dziś, jak już potylekroć, prosba o wskazówkę... Gdzie mógłbym, w dostępnym mi języku, znaleźć wszelakie przyczynki o bohaterze waszym, Kościuszcze? Może dałoby się, po przywróceniu pokoju, stworzyć dzieło, które wielkiego tego, do całej ludzkości należącego człowieka, ku zbudowaniu wszystkich ludzi, odmalowałoby tak, jak on na to sobie zasłużył. Gdybym był młodszy, dziś jeszcze nauczyłbym się po polsku, aby módz godnie tego dokonać“.

W piśmie z 30 kwietnia 1916 r., stwierdzając konfiskatę niektórych obustronnych naszych listów, mimo to następujące, niesłychanie w takich warunkach śmiało nakreślił wyrazy: „Czyż nie nadeszła teraz nareszcie chwila, aby odrobić krzywdę 1772 r.? (das Unrecht von 1772 gut zu machen; t. j. przywrócić Polskę w granicach przed pierwszym podziałem, zatem z całym Poznańskiem, Pomorzem, Warmją i Gdańskiem). Niestety, jest nas tylko bardzo dobrana garstka, która się z takimi nosi myślami, a przeto raczej do piątego, Niestety, może dojść podziału. Jakże miał słuszość wielkoniemiecki poeta: „Jest to klątwa złego czynu...“<sup>1)</sup> W następnym piśmie z 9 maja 1916 r. do tej samej arcyśmiałej powracał myśli: „Ach, gdybym mógł ujrzeć 1916 odmienione na 1771 (wenn ich 1916 sich in 1771 wandeln sähe“).

W liście z 14 września 1916 r. pisał: „...Utworzyła się wśród nas organizacja przeciw aneksjom, pod nazwą: Centrala prawa narodów. Nasz manifest był temi dniami ogłoszony w „Journal de Genève“, jest więc Panu dostępny... Już zaczęły się sypać obelgi, na które zresztą byliśmy przygotowani“. Na tem, widocznie za wdaniem się zniecierpliwionej cenzury, dalsza nasza podczas wojny korespondencja uległa przerwaniu.

Śród powojennych przemian i zajęć nie doszło już do jej wznowienia. Aż po latach, za śląskie i gdańskie sprawy tego w prasie niemieckiej szarpany, odebrałem serdeczne, aprobujące działalność genewską, ostatnie z 2 kwietnia 1922 r. pismo starego mistrza.

<sup>1)</sup> „że wciąż dalsze złe plodzić musi“ — Schiller w „Wallensteinie“.

Tegoż roku ogłosił Lehmann, w getyngieńskim związkowym zbiorze akademickim, klarowny, przedzgonny „Rys autobiograficzny“. Podjętą jeszcze poważną pracę z dziejów sądownictwa pruskiego, musiał skutkiem ciężkiej porzucić choroby. Zgasł 84-letni, 8 października 1929 r. Odszedł z nim wielki historyk, prawy Niemiec, dobry Europejczyk, jeden z tych, co uszlachetniają naukę i godzą narody<sup>2)</sup>.

<sup>2)</sup> Dane biograficzne na podstawie własnoręcznej notatki Lehmana, przesłanej Askenazemu i zużytkowanej przezeń w artykule w Wielkiej Encyklopedji Powszechnej Illustrowanej, Serja I, tom 43—4, str. 142—3, rok 1910: Max Ludwig Eduard Lehmann, ur. 19 maja 1845 r. w Berlinie, kształcił się w szkole przy seminarjum szkół miejskich oraz w gimnazjum Joachimsthal, studjował od 1863—6 w Berlinie, Królewcu, Bonn, ponownie w Berlinie, gdzie w początku 1867 r. doktoryzował się na podstawie dysertacji „*De Annalibus qui vocantur Colonienses maximi quaestiones criticae*“. Od 1868—75 pracował jako nauczyciel gimnazjalny w Berlinie. Od 1875—88 urzędował w Tajnem Archiwum Stanu w Berlinie. W 1889 został docentem w Akademji wojskowej berlińskiej, w r. 1887 mianowany członkiem Akademji Umiejętności. W l. 1875—93 był redaktorem „*Historische Zeitschrift*“. W r. 1888 został profesorem zwyczajnym historii w uniwersytecie, najprzód w Marburgu, w 1893 w Lipsku, od semestru zimowego tegoż roku w Getyndze.

Z wydawnictw naukowych na pierwszym planie stoi publikacja: „*Preussen und die katholische Kirche*“, 1640—1797, t. I—VII (1878—93). Z innych publikacyj edytorskich zasługuje głównie na uwagę Dziennik Steina z epoki Kongresu Wiedeńskiego. Pierwszem dziełem naracyjnem był 2-tomowy życiorys Scharnhorsta (1886—7), odznaczający się gruntowną wiedzą i talentem pisarskim. W rozprawie „*Friedrich der Gr. und der Ursprung des 7-jährigen Krieges*“ (1894) L. wykazywał wbrew panującej legendzie zaczępy ze strony Fryderyka charakter tej wojny, co wywołało ostre i liczne przeciw niemu ataki polemiczne. W odczycie „*Prusy i Polska*“ w (*Preussische Jahrbücher*, 1894 r.) dał zarys polityki pruskiej względem Polski od początku aż do doby spółczesnej, połączony z surowym o niej sądem. Owocem wieloletniej pracy było 3-tomowe dzieło o Steinie (1902—4), „dzieło tyleż dla ogromu włożonej w nie wiedzy, ile sztuki konstrukcyjnej i naratorskiej podziwu godne“. „W osobie Lehmana uznać należy najczystsze, najświetniejsze w dobie obecnej żyjącego przedstawiciela nauki historycznej niemieckiej“ (Ask. w Encykl.). Poza powyższymi pracami wyszły: *Knesebeck und Schön* (1875), *Stein, Scharnhorst und Schön* (1877), *Gustav Adolf* (1895), oraz liczne prace rozsiane po czasopismach, głównie w „*Histor. Zeitschrift*“. W r. 1921 Lehmann przeszedł w stan spoczynku. Zmarł 8 paźdź. 1929 r.



Listy przedwojenne Lehmana do Askenazego zostały odnalezione w pozostałych papierach po zgonie Profesora. Ogółem w puściźnie Askenazego znajduje się 17 listów Lehmana, pierwszy z dn. 30 grudnia 1900, ostatni z dn. 2 kwietnia 1922 r. Ogłoszone zostały w całości w „*Pologne Littéraire*”, 1936, Nr. 116—120.

„Do naszej korespondencji. Utrzymywałem, zwłaszcza od objęcia wykładów we Lwowie stałą, acz z dużymi przerwami, styczność i korespondencję z Lehmannem, aż do wielkiej wojny... ...Zwracałem się do niego, zawsze skutecznie, w sprawie prac swoich. Służyłem mu w pochłaniających go wówczas rozległych poszukiwaniach o znakomitym patryjocie niemieckim Steinie, niektórymi odpowiedniami źródłami petersburskimi” (Notatka w puściźnie Askenazego).

Przytaczamy z listów Lehmana ważniejsze charakterystyczne fragmenty:

„Ich gebe mir zwar die grösste Mühe, meine Schüler zur Gerechtigkeit zu erziehen, aber was vermag auch der eifrigste Lehrer gegen das Milieu?” (mowa tu o szowinizmie) 30/XII 1900.

„Ihre historisch-politischen Betrachtungen über Stein haben Eindruck auf mich gemacht, und Sie werden die Spur in meinem Buche finden“ — 17/III 1901.

„Haben Sie vielen herzlichen Dank für Ihre interessante Sendung, von der ich nicht unterlassen werde Gebrauch zu machen“ — 30/VI 1901.

„Heute habe ich das erste Manuscript des zweiten Bandes (Stein) in die Druckerei geschickt... die Haktisten werden sich gründlich ärgern. Was für eine Gesellschaft, um nicht einen schlimmeren Ausdruck zu brauchen!“ — 30/X 1902.

„Mit welchen Empfindungen werden Sie den Ereignissen dieses Sommers und Herbstes gefolgt sein. Wie ich über unsere Polen-Politik urtheile, wissen Sie. Soll ich wünschen, den unseligen Ausgang, den sie sicher haben wird, zu erleben?“ — 31/XII 1905 (ustęp przytoczony w tłumaczeniu w tekście).

„Es ist mir eine grosse Freude, Ihnen jetzt auch schriftlich zu erklären, wie sehr ich Sie schätze. Sie haben sich das Thema zu Ihrer Dissertation ohne mein Zuthun gesucht und es ohne meine Beihilfe vortrefflich bearbeitet: wahrlich ein seltener Fall! Bei Ihrer ferneren wissenschaftlichen Thätigkeit muss ich den Vorbehalt machen, dass ich der polnischen Sprache nicht mächtig bin, aber so weit ich Ihnen zu folgen im Stande gewesen bin, habe ich den guten Eindruck, den ich von Ihren wissenschaftlichen Anfängen erhalten, weiter und weiter bestätigt gefunden. Ich wünsche Ihnen aufrichtig, dass Sie bald in die Stellung gelangen, die jeder akademische Docent erstrebt und erstreben muss“. — 8/VII 1906.

„Viel ist von einem stillen Gelehrtenleben nicht zu berichten... Was Inhalt und Tendenz des Lebens betrifft, so werden Sie bemerkt

haben, dass ich von Jahr zu Jahr mehr in den Kampf wider Chauvinismus und Byzantinismus gedrängt worden bin... Dieselben Gegner stören auch sonst meinen Seelenfrieden: die Hakatisten mit ihrer Verblendung und Grausamkeit. Es giebt auch im geistigen Leben der Nationen Epidemien; man muss sie hinnehmen und auf die kommende Generation hoffen, deren Bildung, Gott sei Dank, mit von uns abhängt". — 27/IX 1908.

„Vor den wüthenden Angriffen, die gegen mich und auch gegen Delbrück wegen meines Buches über Stein gerichtet sind, werden Sie Sizotz genommen haben. Die Preussen wollen alles sich selbst verdankt haben: das ist der Refrain der Widersacher. Im Grunde sehr nahe verwandt der thörichten und abscheulichen Glaubensformel der Hakatisten, unter der Ihre Landsleute zu leiden haben. Und leider keine Aussicht auf Besserung!" — 8/I 1909.

„Besonders ergriffen hat mich, dass Sie, versteht sich mit der dem Vaterlande schuldigen Achtung, die inmitten des eigenen Volkes begangenen Fehler nicht vertuschen: getreu dem Grundsatz, der das A und O unserer Wissenschaft ist: erst die Wahrheit und die Gerechtigkeit, dann alles Andere". — 29/V 1912 (po otrzymaniu egzemplarza „Księcia Józefa").

„Sie können sich vorstellen, mit welchem Interesse ich Spectator über den Hakatismus gelesen habe. ...Dass Sie sich wohl befinden, bekundet Ihre Leistungskraft. Mögen Sie so, fortfahren, möge der Erfolg nicht ausbleiben". — 18/XII 1912.

„Sie dürfen überzeugt sein, dass ich dem vor 20 Jahren in den Preussischen Jahrbüchern niedergelegten Worte, an das Sie mich erinnern, auch nicht einen Augenblick untreu geworden bin; ich wirke auch jetzt für dessen Verwirklichung an meinem bescheidenen Theile, zusammen mit einigen Freunden. Leider ist die Zahl der Widersacher sehr sehr gross, und ich sehe dem Ausgang mit Besorgniss entgegen... Körperlich geht es mir, trotz der 70 Lebensjahre, ganz gut; seelisch dagegen leide ich unter diesem entsetzlichsten aller Kriege auf das schwerste. Quo usque tandem? Soll das das Ende der menschlichen Kultur sein?" — 19/VIII 1915 (ustęp podany w tekście).

„Wo finde ich in einer mir verständlichen Sprache mehr über Ihren Helden, und ist es nicht möglich nach Wiedereinkehr des Friedens ein Werk zu schaffen, das diesen grossen, der Menschheit angehörenden Menschen allen Menschen malt so wie er es verdient. Wäre ich jünger, ich lernte, um das zu können, noch heute polnisch". — 17/X 1915 (podany w tekście).

„Wäre nicht endlich jetzt der Moment gekommen, das Unrecht von 1772 gut zu machen? Aber leider ist es eine sehr erlesene Schaar, die sich mit solchen Gedanken trägt, und so wird es wohl leider zu einer 5 Theilung kommen. Wie sehr hatte der grosse deutsche Poet Recht: „Das ist der Fluch der bösen That". — 30/VI 1916 (podany w tekście).



„Wirklich vergass ich auf Stunden den Jammer ringsum, aber eben nur auf Stunden. Und wieviel mehr haben Sie zu leiden! Doch werden Sie sich mit mir freuen, dass bei uns eine antianexionistische Organisation zu Stande gekommen ist: Centrale Völkerrecht... Die Beschimpfungen haben bereits begonnen: wir waren darauf gefasst“ — 14/IX 1916 (podany w tekście).

„Sie dürfen überzeugt sein, dass auch ich der alte geblieben bin: sowohl im Colleg wie in der neuen Ausgabe meines Stein habe ich mich über 1772, 1793, 1795 und 1814 nicht anders geäußert als damals, da ich die Freude hatte Sie vor mir zu sehen, hoffentlich tragen nun die Verständigen hüben und drüben dazu bei, die Spannung zwischen zwei Nationen, die doch auf einander angewiesen sind, zu lösen... Dass Sie sich nach Hause sehnen zu den Ihrigen, begreife ich vollkommen; im Interesse unserer Nationen würde ich aber wünschen, dass Sie noch lange an Ihrer gegenwärtigen Stellung blieben, wo sich doch sehr viel Gutes thun lässt“. — 2/IV 1922. Przyp. wyd.

---

## GŁOS NAUKI

Było to latem 1866 r., — opowiadał nam ś. p. Pawiński, naówczas student getyngeski — nazajutrz po bitwie pod Langensalzą, gdzie cała armja hannowerska, razem z niewidomym królem Jerzym, dostała się do niewoli pruskiej. W Getyndze, w starej auli uniwersyteckiej, odbywała się ostatnia prelekcja znakomitego mistrza, Muratorego niemieckiego, Jerzego Waitza. Naraz przez otwarte okna audytorjum wpadł hałaśliwy odgłos bębnow, tłumiąc słowa profesora, wykładającego dzieje pragermańskiego ustawodawstwa, pragermańskiej niezawisłości plemiennej, pragermańskiej swobody. To były wojska pruskie, wkraczające do miasta. Waitz, głęboko wzruszony, powstał. „Niezdolen jestem mówić dalej — wyrzekł do słuchaczy — lecz zapamiętajcie, panowie, tę chwilę nieszczęśliwą, albowiem z nią nastaje nowa, ciężka epoka dla Niemiec i Europy“. W ten to sposób, w osobie najwybitniejszego swego przedstawiciela, stara wszechnica getyngeska powitała i odgadła nowy porządek rzeczy, ustalenie hegemonji pruskiej w Niemczech i Europie.

Ukryty w odległym zakątku Westfalji, wśród cichych gór Harzu, stary uniwersytet w Getyndze poważne i zacne pielęgnuje tradycje. Tutaj, za dawniejszych czasów welfickich i hannowerskich, znajdowała schronienie niepodległa myśl naukowa i obywatelska. Tutaj, za dzisiejszych czasów hohenzollernowskich

---

„Biblioteka Warszawska“, 1897, II, 521—532. Recenzja wydawnictwa: Max Lehmann „*Preussen und Polen*“. Rede gehalten in der öffentlichen Sitzung der Kgl. Gesellschaft der Wissenschaften zu Goettingen.



i pruskich, odzywa się z katedry uczciwy głos bezstronności naukowej i politycznej. Kiedy, przed sześćdziesięciu laty, po wygaśnięciu unji Hannoweru z Anglią, ks. Kumberlandzki, obejmując rządy, zawiesił zaprzysiężoną konstytucję i ogłosił się panem absolutnym, jedna w całym kraju wszechnica getyngeska odpowiedziała na zamach stanu otwartym protestem: nastąpiło słynne *exodus* uniwersyteckie, siedmiu najcelniejszych profesorów, z historykiem Gervinusem na czele, opuściło uniwersytet, odmawiając złożenia przysięgi niekonstytucyjnemu królowi, Ernestowi-Augustowi. Kiedy, przed trzydziestu laty, skutkiem nieszczęśliwej wojny prusko-austriackiej, nastąpił zabór Hannoweru do Prus, znowuż w Getyndze znaleźli się profesorowie, co nie chcieli poddać swego sumienia sile dokonanego faktu, i na placu publicznym, wobec zgromadzonych władz i ludności, odmówili złożenia przysięgi nieprawowitemu królowi, Wilhelmowi.

W sprawach, bezpośrednio nas obchodzących, wszechnica getyngeska, z pełną świadomością obowiązków pierwszorzędnej instytucji cywilizacyjnej i europejskiej, na swój sposób nie pozostała obojętną. Już w zeszłym stuleciu, z żywym zainteresowaniem i sympatją śledziła losy upadającej Rzpltej polskiej. Głośny historyk owoczesny, August-Ludwik Schlözer, który naprzód w Petersburgu przyglądał się zbliżającej działalności politycznej cesarzowej Katarzyny, później, powróciwszy do Getyngi, nie spuszcza z oka wypadków nadzwyczajnych, rozgrywających się na wschodzie. Dowody tego zainteresowania i sympatii znajdujemy zarówno w rocznikach „Uczonych wiadomości getyngeskich“ z drugiej połowy zeszłego wieku, jakoteż w samych zbiorach słynnej biblioteki uniwersyteckiej, gdzie dział polski, w porównaniu z innymi księgozbiorami zagranicznymi, jest reprezentowany wyjątkowo różnorodnie i obficie. Istniejące w tym względzie od tak dawna tradycje przetrwały aż do czasów nowszych i przypomniane zostały w chwili, nader dla nas ciężkiej, podczas przejść nieszczęśliwych, jakie przeżyło Królestwo Polskie w przededniu i podczas powstania styczniowego. Wiadomo, iż wtenczas to, równoległe z nieprzyjazną dla nas akcją dyplomatyczną, w europejskim piśmiennictwie historycznym rozpoczęła się istna naganka na całą naszą przeszłość narodową i polityczną. Wiadomo, iż tę nagankę z największą zaciekleścią — a wypadałoby

dodać: z usłużnością największą — prowadzili dziejopisowie pruscy. Wyprzedzając historjografów zawodowych, wnuk tamtego getyngeskiego profesora, Schlözera, uszlachcony dyplomata berliński, Kurt v. Schlözer, najpierwszy wystąpił z jadownym pamfletem o pierwszym podziale Polski. Wtedy znowuż w obronie prawdy i słuszności zabrała głos Getynga. Ten sam Waitz, odnawiając tradycje uczciwych swych poprzedników na katedrze historii, w imieniu historyka Schlözera surowo skarcił von Schlözera, radcę ambasady, i w imieniu czystej nauki dziejowej, wbrew mętным pseudonaukowym apologjom, wydał stanowczy wyrok potępienia na całą zeszlowieczną politykę rozkładową i rozbiorową. Wystąpienie Waitza pozostało odosobnieniem. Zakrzyczano go, podano w wątpliwość jego kompetencję uczonego, a nawet jego uczucia niemieckiego patrioty. Prąd przeciwny zbyt już był silny. Pruska szkoła dziejopisarska, szkoła Droysenów, Häusserów, Syblów, wzięła górę, ustaliła w badaniach historycznych tendencję pogardliwą i potępiającą względem całej przeszłości naszej, ustaliła w opinii publicznej tendencję wrogą i tępielską względem samego bytu naszego.

Przeciw tego rodzaju tendencjom, budowanym tyleż na nienawiści politycznej, ile na fałszach naukowych, a coraz pogłębiającym swój wpływ oplakany już nie tylko w zakresie dziejopisarstwa, lecz w dziedzinie najistotniejszych życiowych stosunków Niemiec dzisiejszych, raz jeszcze, po dłuższej przerwie, odezwał się spokojny a stanowczy protest, na posiedzeniu Akademii Nauk w Getyndze. Takim protestem jest piękne przemówienie akademickie profesora Lehmann'a o „Prusach a Polsce“.

Prof. Max Lehmann oddawna zajmuje stanowisko zaszczytne w społecznem dziejopisarstwie niemieckiem i europejskiem. Badacz, niezwykle gruntowny i ścisły w różnorodnych swoich poszukiwaniach, zawsze zajmujących i zawsze źródłowych, nie jest on wszakże uczonym na sposób arcymistrza Rankego, co to, pod pozorem bezwarunkowej bezstronności transcendentalnego historyka dziejów powszechnych, pograża się w bezwarunkową obojętność krytyczno-moralną urzędowego historjografa pruskiego, i z urzędowym fatalizmem uchyla czoła przed każdym faktem dokonanym. Pisarz i stylistą zdolny, a dobry Niemiec, jest on



wszakże jednocześnie również dalekim od gwałtownych wybuchów uniesienia i od ultrapatrjotycznej namiętności Häussera albo Sybla.

Wprawdzie w znakomitej monografii o reorganizatorze armii pruskiej w okresie Napoleońskim, „Scharnhorście“, która ustaliła reputację naukową p. Lehmana, napotykają się jeszcze niektóre godne pożałowania wybryki pióra pod adresem „nikczemnego Korsykanina“, — lecz, nasamprzód, są to wybryki nader nieliczne, zwłaszcza w porównaniu z rozpowszechnionym w literaturze niemieckiej sposobem traktowania cesarza-pogromcy; powtóre zaś, zostały one rzetelnie okupione przez ścisłą i bezwzględną metodę badania, śmiałą i prawdopodobną metodę wnioskowania, jaka cechuje całą tę niepospolitą pracę, z której istotnie wielu rzeczy nauczyć się można. Tutaj, po raz pierwszy w społecznym piśmiennictwie historycznym niemieckim, pisarz niemiecki poważył się w imię prawdy przeciw legendzie zdjąć aureolę prawości, bezinteresowności i patryjotyzmu z „oswobodzicielskiej“ polityki pruskiej w ogólności, a w szczególności z polityki króla Fryderyka Wilhelma III, w okresie Napoleońskim, tej polityki jakoby narodowej i niemieckiej, mającej jakoby stanowić tytuł pierwszorzędny dla usprawiedliwienia roli przodującej państwa pruskiego i dynastji Hohenzollernów w Rzeszy i narodzie niemieckim. A mianowicie, dwa przedewszystkiem momenty najdrażliwsze: postępowanie Prus w 1805 r. podczas kampanji austriackiej, i w 1812 r. podczas rosyjskiej, zdradzieckie ich zachowanie się względem Austrii w pierwszym wypadku, względem Francji w drugim, zupełne nadto w obu wypadkach poświęcenie przez dyplomację królewską interesu narodowego dla interesów dynastycznych, — te szczegóły, tak zajmujące i ważne, a dla Niemca, dla Prusaka, tak przykre i dotkliwe, zostały przez autora „Scharnhorsta“ w sposób sumienny i wystarzczający oświetlone.

Od tych doniosłych badań nad epoką Napoleońską przerzucił się p. Lehmann do innych, rozleglejszych poszukiwań, niemniej ciekawych, a dla nas osobliwie nauczających. Objął kierunek naczelny wielkiego wydawnictwa źródeł, podjętego przez pruski Zarząd archiwów państwowych, a dotyczącego stosunków „Prus a Kościoła katolickiego od 1640 roku“. Żmudna

ta praca, przez lat kilkanaście prowadzona przez wydawcę z niepospolitym nakładem staranności i erudycji, przed dwoma laty szczęśliwie doprowadzona do końca, wzbogaciła naukę szeregiem woluminów, nieposzlakowanych pod względem edytorskim, a zawierających nadzwyczaj obfity, przeważnie niedostępny dotychczas, materiał źródłowy do dziejów Kościoła katolickiego na ziemiach pruskich, od czasów Wielkiego Elektora, aż do wieku bieżącego. Jeśli cały ten ogromny materiał okazał się jeszcze niezupełnie wyczerpującym, jeśli okazały się w nim pewne luki i opuszczenia, nie stało się to przecież bynajmniej z winy naczelnego wydawcy. Kiedy po pojawieniu się pierwszych tomów „Prus i Kościoła katolickiego“, w sejmie pruskim, podczas rozpraw budżetowych, ze strony centrum katolickiego zwrócono uwagę na takie opuszczenia rozmyślne, dotyczące najciekawszych a najdrażliwszych epizodów walki kościelnej w Prusach w XVIII stuleciu, — p. Lehmann, w odpowiedzi publicznej na uczynione mu z trybuny zarzuty, wyraźnie wykazał, iż należało je skierować nie pod jego adresem, lecz pod adresem władz, które zawczasu nałożyły odpowiedni hamulec na działalność edytorską uczonego a zbyt prawdopodobnego wydawcy. Jednak, mimo owe wymuszone braki, w ogólnym wyniku, cenny zbiór dokumentów, ogłoszonych w rzeczonym wydawnictwie, w zupełności wystarcza, aby zadać ciężki cios ustalonej legendzie o wzorowej tolerancji religijnej w państwie pruskim, gdzie jakoby, podług wyrzeczenia Wielkiego króla, „*jeder kann nach seiner Façon selig werden*“. Okazuje się z tych dokumentów, że w rzeczywistości było zgoła inaczej, że w szczególności było tam inaczej, poczynając od panowania Fryderyka II, od zaboru Śląska, od zagarnięcia województw pruskich, że ten sam „oświecony“ przyjaciel Voltaire'a, który w Rzpltej polskiej, w imię tolerancji religijnej, jak najgoręcej brał w obronę dyssydentów, jednocześnie, u siebie w domu, w imię racji stanu, jak najbezwzględniej obchodził się ze swoją ludnością i duchowieństwem katolickim, że tak samo poczynali sobie jego następcy, że zatem walka kościelna w Prusach, której świadkami byliśmy w dobie społecznej, nie była zjawiskiem przypadkowym, wyjątkowym, lecz przeciwnie, była konsekwentnym wytworem dziejowym ogółu dotychczasowych tradycji pruskich w dziedzinie kościelno-politycznej. Jasnym jest, jak



wielką doniosłość posiadają te sprawy w szczególności dla historii naszej porozbiorowej, gdyż dzieje katolicyzmu w Prusach, zwłaszcza od drugiej połowy zeszłego wieku, od epoki Fryderyka II, to są dzieje polskości w Prusach. Niewątpliwie też znakomitemu wydawnictwu p. Lehmannna o „Prusach i Kościele katolickim“ należy się baczna a wdzięczna uwaga historjografii polskiej, która zaczyna dopiero wyzyskiwać należycie tak bogate i ważne źródło autentycznych a nowych informacji.

Z dalszej działalności naukowej profesora Lehmannna zasługuje na wzmiankę jego współredaktorstwo przy berlińskiej „*Historische Zeitschrift*“, skąd jednak zmuszony był wycofać się niebawem, skutkiem ustawicznych nieporozumień z redaktorem głównym, nieboszczykiem Syblem, którego poglądów na zadanie czasopisma historycznego w szczególności, a dziejopisarstwa wogóle, żadną miarą nie umiał, ani też pragnął, sobie przyswoić. Ostatnią większą pracą profesora Lehmannna było studjum o „Początku wojny siedmioletniej“. Jak wiadomo, po dziś dzień ustalony był pogląd, uznawany nawet przez najsurowszych historyków Fryderyka II-go, iż w tym jednym wypadku, przy wybuchu wojny siedmioletniej, miał on prawo po swojej stronie, iż znajdował się w położeniu koniecznej obrony, iż do rozpoczęcia kroków wojennych był zmuszony, iż, wkraczając sam pierwszy zbrojnie do Saksonji, tylko uprzedził nieodwołalną napaść koalicji europejskiej na Prusy. Owóż obecnie, prof. Lehmannn ostatecznie obrócił w niwecz tę legendę. Wykazał niezbicie, że i ta wojna, jak wszystkie inne, które prowadził Fryderyk, była zarówno z istoty swojej, jak i podług myśli króla, nie obronną bynajmniej, lecz napastniczą, zdobywczą, w całym znaczeniu słowa. Tę tezę uważamy za najzupełniej zasadną i dostatecznie udowodnioną przez autora; zachowujemy sobie zresztą gdzieindziej do niej powrócić i wesprzeć ją ze źródeł, które dla autora były niedostępne. Ta teza niespodziana, wyłożona z niepospolitą ścisłością i erudycją, wywołała niebywałą burzę w świecie naukowym niemieckim i najgwałtowniejsze napaści ściągnęła na autora; jeden tylko przyjaciel, prof. Delbrück z Berlina, ośmielił się stanąć w jego obronie. Nie pomylimy się też zapewne, wyrażając przypuszczenie, iż kiedy, po śmierci Sybla, na doniosłe stanowisko dyrektora archiwów pruskich po-

wołano apologetę Fryderykowego, prof. Kosera, zamiast właściwszego kandydata, prof. Lehmann, Fryderykowego oskarżyciela, uczyniono to przedewszystkiem pod wpływem nieukontentowania z niezależnego pisarza „Początku wojny siedmioletniej“.

Tak przedstawia się dotychczasowa działalność wybitnego badacza, w którym pragnęlibyśmy widzieć przedstawiciela nowego, lepszego zwrotu w nowożytnym dziejopisarstwie niemieckim, sprowadzonym przez ostatnich swych przewodników na bezdroża wojującej tendencji politycznej. Tem większe musi budzić zainteresowanie, jak w myśli takiego uczonego i pisarza przedstawiają się, ze stanowiska dziejowego rozwoju, stosunki wzajemne pomiędzy „Prusami a Polską“.

„Zasada, głoszona przez polityków nowoczesnych, jakoby, skutkiem geograficznego ugrupowania się narodowości, Polacy i Niemcy skazani byli na wieczną między sobą walkę i nienawiść, — nie znajduje zgoda potwierdzenia w dziejach“. Od takiego oświadczenia rozpoczyna prelegent swój wykład. Uzasadnia je i tłumaczy przez treściwy przegląd stosunków obustronnych obu narodów, z najogólniejszego stanowiska historycznego.

W wiekach średnich o pojęciu sprzeczności narodowościowych, w rozumieniu dzisiejszem, nie może być mowy. Ustępuje ono na drugi plan przed rozleglejszem pojęciem *Respublica christiana*, bądź uosobionem w postaci *Imperium*, bądź w postaci *Ecclesia*, jedności najwyższej władzy świeckiej, lub jedności najwyższej władzy duchownej w chrześcijaństwie. Wtedy to Niemiec, cesarz Otton, rzuca podwaliny Kościoła polskiego, wtedy Polak, Konrad mazowiecki, otwiera przystęp zakonowi niemieckiemu. Jeszcze wyraźniej zatarły się sprzeczności czysto narodowościowe w późniejszym okresie, w epoce reformacji. Polska, ze wszystkich owoczesnych państw europejskich stosując w jak-najszerszych granicach zasadę tolerancji religijnej, udzieliła opieki i przytułku wierzeniom protestanckim, przychodzącym z Zachodu, a prześladowanym na Zachodzie. Ta okoliczność „stała się niesłychanie ważną (*unbeschreiblich wichtig*) zarówno dla państwa pruskiego, jako też wogóle dla narodu niemieckiego“. Jest to wyznanie, które tutaj, w tej formie dobitnej, po raz pierwszy wypowiedziane zostało przez usta protestanta, Niemca, Prusaka. Albowiem nie inaczej, jak dzięki zezwoleniu, dzięki



Rzpltej polskiej, „ród naszych królów pruskich mógł odbyć wjazd do Królewca“.

Dopiero w następnym, XVII wieku, za rządów Wielkiego Elektora, z jego samoistnej inicjatywy, bynajmniej nie z inicjatywy Rzpltej, która ciągle, aż do tej chwili, nie występowała względem słabej Brandenburgji z roli przyjacielskiej i opiekuńczej możniejszego mocarstwa, rozpoczęły się głębokie zatargi i walka rzeczywista pomiędzy dwoma sąsiadami. „Fryderyk Wilhelm był pierwszym, który powziął plan wielkich nabytków w ziemiach polskich dla Brandenburgji“. Przemyśliwał już nietylko nad „usadowieniem się na obu brzegach Wisły“, nad zaborem „krain nad Wartą i Notecią“, lecz nawet nad zagarnięciem W. Księstwa litewskiego. Jak wiadomo, w ostatecznym rezultacie tego tylko dopiął, iż zrzucił się ostatecznie z zawisłości lennej od Rzpltej. Atoli najzupełniej opacznie w tym akcie historycznym, jak wogóle w całej polityce polskiej Wielkiego Elektora, doszukuje się historjografja pruska mniemanych dążeń powszechno-niemieckich. Takich dążeń niema tutaj ani śladu; są tylko dążenia ściśle brandenburskie, a nawet raczej tylko ściśle dynastyczne. Niezbity tego dowód stanowi instrukcja Fryderyka Wilhelma do posła brandenburskiego w Warszawie, ukrywana dotychczas, ogłoszona zaledwie przed paru laty, instrukcja niezmiernie ciekawa, „której wszakże, dziwnym bardzo sposobem, — nie zaniedbuje z zarzutem wytknąć prof. Lehmann, — żaden z uczonych, mających dostęp do tajnego archiwum berlińskiego, dotychczas nie dostrzegł, *albo też nie zużytkował*“. W tej instrukcji Elektor zobowiązywał się, wzamian za zapewnienie sobie korony polskiej, powrócić Prusy książęce pod lenne zwierzchnictwo Rzpltej. Tym sposobem, dla względów czysto osobistych i dynastycznych, twórca potęgi pruskiej wyrażał gotowość zupełnego cofnięcia tego mianowicie aktu, który był jakoby wyrazem jego dążeń powszechno-niemieckich. Nie pozostaje tedy nic innego, jak politykę pruską względem Rzpltej polskiej, od pierwszej chwili, kiedy wkracza na tory szerszej akcji zdobywczej, uznać za pozbawioną wszelkiej wyższej cechy narodowościowej, isprawadzić do poziomu zwykłej rywalizacji międzymocarstwowej.

Taki charakter polskiej polityki domu i państwa pruskiego z zupełną już jasnością występuje na jaw w następnym stuleciu

XVIII. „Nauka dziejowa musi zdobyć się na to wyznanie: iż zmilitaryzowane, naprężające każdy nerw, każdy mięsień, państwo Fryderyka Wilhelma I i Fryderyka II wyzyskało Polskę na swoją korzyść (*ausgebeutet hat zu seinem Vortheil*)“<sup>1)</sup>. Jest to znowu wyznanie, w tej formie jasnej i uczciwej, uczynione po raz pierwszy przez wybitnego historyka pruskiego. „Znaczną część rekrutów cudzoziemskich, napelniających w owym czasie pułki pruskie, stanowili Polacy. Wytwórczość przemysłowa Prus, sama zabezpieczona przez wysokie cła ochronne, znajdowała w Polsce, pozbawionej przemysłu, chętnych i pewnych odbiorców, a zarazem otrzymywała z Polski liczne produkty surowe: Polska stała się czemś w rodzaju kolonii pruskiej“.

Taki był stosunek Prus względem Rzpltej w przeddzień rozbiorów. Był z wyłączną korzyścią dla strony pruskiej, z wyłączną stratą dla polskiej. Nareszcie nastąpił pierwszy podział. Jakie były teraz zasady rządzenia, stosowane przez władze pruskie, w nabytych już na własność ziemiach polskich? Fryderyk II nasamprzód postawił zasadę wytyczną, iż należy tutaj „coraz bardziej mieszać Niemców z miejscową ludnością polską“. Jednocześnie mocno wziął w karby miejscowe duchowieństwo katolickie. „Jakkolwiek osobiście król okazywał zupełną obojętność pod względem religijnym, i aczkolwiek bardzo był daleki od polityki narodowo-niemieckiej“, jednakże nie omieszczał „popierać nad Wisłą i Notecią protestantyzmu i niemieckości“. Temi krótkimi uwagami zbywa prelegent całą gospodarkę administracyjną Fryderyka II w krajach pierwszego podziału. Są to uwagi niezawodnie słuszne, lecz musimy zauważyć, iż w tym wypadku są niewystarczające. Czternastoletnia gospodarka Fryderyka II w ziemiach przyłączonych, która pod niejednym względem aż do czasów dzisiejszych stała się busolą dla późniejszej gospodarki pruskiej w dzielnicach polskich, zasługiwałaby ze wszechmiar na szczegółowe przedstawienie, na bezwzględniejsze oraz potępienie, aniżeli to uczynił prelegent, któremu zresztą w tem miejscu możnaby słusznie zarzucić nietylko zbyt lakoniczność, lecz nawet niektóre faktyczne niedokładności<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Tak np., między innemi, twierdzi p. L., bez wskazania źródła, iż „Fryderyk II nie wykluczał nauczycieli Polaków: z liczby 170 posad nauczycielskich, które nakazał zaprowadzić w r. 1776, połowa przezna-



Ze śmiercią Fryderyka II nastąpiła nowa, „a nader krótkotrwała“, odmiana w polityce pruskiej względem sprawy polskiej. „Fryderyk Wilhelm II i jego minister, Herzberg, usiłowali tę sprawę rozwiązać przez ścisłe przymierze z Rzplą“. Lecz prawie natychmiast, podejmując krucjatę przeciw Francji rewolucyjnej, „Prusy, zupełnie niespodziewanym zwrotem, zażądały dla siebie indemnizacji kosztem tego samego państwa, któremu przed chwilą były poręczyły nietykalność terytorjalną. Tym sposobem doszedł drugi podział Polski.“ Mamy tu w prostych, niedwuznacznych wyrazach, jedno jeszcze ważne wyznaczenie, mamy jasne i dobitne streszczenie polityki pruskiej w okresie sejmu czteroletniego, której istotny przebieg zaciemniony został nie tylko przez tendencyjnych dziejopisów pruskich, lecz nawet przez nieporadną historjografię polską.

Na mocy drugiego i trzeciego podziału, Prusy otrzymały nowe ogromne nabytki w ziemiach rozczłonkowanej Rzpltej. Do Prus Zachodnich przyłączone zostały t. zw. Nowe Prusy Wschodnie (*Neu-Ost-Preussen*), oraz Prusy Południowe (*Süd-preussen*) wraz z rdzeniem dzisiejszego Królestwa Polskiego, z Mazowszem, z Warszawą. Piętnastoletnie rządy pruskie na tych rozległych obszarach poddane zostają przez prelegenta surowej a zasłużonej krytyce. Wydano w Berlinie hasło, iż „mieszkańców nowej przyłączonej prowincji — t. j. w rzeczywistości nieomal nowego przyłączonego państwa, nie wiele mniejszego od całych Prus dotychczasowych, — należy uczynić prawdziwymi Prusakami“. Rozprawiano dużo o zbawiennych reformach, o ucywilizowaniu polskiego barbarzyństwa, o dobrodziejstwach kultury pruskiej dla upośledzonej ludności owych nowych Prus Wschodnich, Zachodnich, Południowych. W rzeczy samej, minister Voss, objąwszy zarząd krajów polskich, „zabrał

---

czoną była dla nauczycieli katolików“. Tutaj prelegent mógł mieć na myśli jedynie rozkaz gabinetowy Fryderyka z dnia 7 lutego 1776 r. Owóż istotnie, w wykonaniu tego rozkazu królewskiego, mianowano w Prusach Zachodnich, z liczby ogólnej 187 nauczycieli, 127 katolików; lecz było wśród nich 44 katolików-Niemców, umyślnie sprowadzonych ze Śląska; prócz tego 60 Niemców ewangelików sprowadzono z Halli; tym sposobem mianowano na posady nauczycielskie tylko 83 katolików Polaków na 104 Niemców.

się do zastosowania w nowych prowincjach wszelkich środków, wypróbowanych w innych częściach państwa, dla zwiększenia t. zw. szczęśliwości mieszkańców.“ A więc przystąpił do pogłębiania rzek, budowania kanałów, urządzenia ksiąg hypotecznych, ogłaszania premjów rolniczych i t. p. Poza tą dziedziną potrzeb czysto materialnych, dla których forsownie wyciskano fundusze z wyniszczonego kraju, nie została podjęta żadna głębsza praca reformatorska, w zakresie najistotniejszych potrzeb narodowych, społecznych, duchowych zabranego kraju i ludności. Ograniczono się do tego, iż niektóre instytucje administracyjne pruskie, czysto biurokratyczne i czysto centralistyczne, przeniesiono żywcem do kraju, nawykłego do najrozleglejszej, nadmiernie rozwiniętej, formy samorządu miejscowego. Nie tykano spraw najważniejszych, najbardziej palących, które zostały już poruszone przez sejm czteroletni. „Król (Fryderyk Wilhelm II) oświadczył się stanowczo przeciw zniesieniu poddaństwa i wzbrownił nabywania dóbr rycerskich przez osoby stanu mieszczańskiego“. Starano się zachowywać pozory wielkiej względności dla szlachty i arystokracji polskiej, i w drodze specjalnych dla niej łask królewskich pozyskać specjalne, oparte na interesie stanowym, przywiązanie jej dla tronu. Jednocześnie w cichości, a z należyłą konsekwencją, starano się prowadzić dalej robotę zniemczenia, sprusaczenia kraju. Używano do tego dwóch głównie sposobów: konfiskaty i kolonizacji. Skorzystano z powstania 1794 r., aby w jaknajszerszych granicach uskutecznić konfiskatę starostw i dóbr duchownych. Zarazem, z niemałym nakładem, kosztem przeszło miliona talarów, sprowadzono z Prus i osadzono na skonfiskowanych gruntach przeszło tysiąc rodzin osadników niemieckich. Cała ta robota, w ostatecznym rezultacie, najzupełniej chybiła. „I niestety, niepodobna twierdzić, że nie było w tem winy administracji pruskiej. Organa rządowe, przeznaczone do wypełnienia misji cywilizacyjnej, były w znacznej części do tego niezdatne, a nawet wprost osobiście niegodne. Król Fryderyk Wilhelm III, powróciwszy z objazdu prowincyj polskich, sam oświadczył swoim ministrom: iż znaczna część urzędników wyzyskuje swoją władzę dla dokonywania gwałtów na mieszkańcach, zamiast używać jej dla obrony uciśnionych“. W dodatku, „powaga rządu znacznie została na



szwank narażoną przez formalny handel konfiskowanemi dobrami starościńskimi, jaki prowadziły władze miejscowe". Skutki takiego stanu rzeczy były do przewidzenia. Już jeden z pierwszych wielkorządców prowincyj polskich, Hoym, był zmuszony „oświadczyć z rezygnacją, iż naród polski pozostaje uporczywie niechętnym dla usiłowań pruskich"; podług doniesień z Warszawy, „szlachta, duchowieństwo, mieszczenie, żydzi i włościanie, wszystka ludność w Prusach, objawia najwyższe niezadowolenie", i wszędzie, ogromnej większości narodu „przyświeca nadzieja zupełnego oswobodzenia od rządów pruskich".

Nadzieja taka, jak wiadomo, w jak najkrótszym czasie, w roku 1806, po katastrofie jenańskiej, została urzeczywistnioną. Wiadomo, jak entuzjastyczne przyjęcie zgotowały ówczesne Prusy polskie, ówczesna Warszawa oswobodzicielskim orłom Napoleońskim. Wówczas to, po niewczasie, zrozumiano w Prusach całą błędność dotychczasowej względem Polaków polityki. „Naród polski — tak, już po niewczasie, już podczas narad tyłyckich między Aleksandrem I a Napoleonem, pisał pruski mąż stanu w memorjale dla króla pruskiego, — można zadowolnić, dając mu ustawę, która zabezpieczyłaby jego godność narodową i jego byt indywidualny". Były to pojęcia zupełnie nowe, zrywające z całym systematem polityki Wielkiego Elektora, Wielkiego Fryderyka, Fryderyka Wilhelma II. „Reformator Prus nowożytnych, znakomity Stein, wyrzeka się myśli powszechnego, jednostajnego, przychodzącego z góry, uszczęśliwienia ludności przez państwo, a natomiast stawia zasadę swobodnego rozwoju i udoskonalenia właściwości przyrodzonych każdej grupy narodowościowej. Tę to zasadę uznaje on za istotną podwalinę wszelkiego społecznienia. Zaś, w zastosowaniu do monarchji pruskiej i prowincyj polskich, prowadziła ona z konieczności do unji osobistej. Stein żądał, aby Fryderyk Wilhelm III przyjął tytuł króla polskiego, uwłaszczył włościan polskich, rozszerzył prawa mieszczaństwa, zaprowadził ustawę stanową, deputowanym od stanów otworzył przystęp do obradujących kolegów krajowych. Oczywiście miał przy tem na widoku przyswojenie Prusom, w stosunku do Polski, urządzeń istniejących pomiędzy Austrią a Królestwem węgierskiem". Ale było za późno. Zupełnie innym torem poszły wypadki dziejowe.

Z odłamów działu pruskiego powstało Księstwo Warszawskie. Z gruzów Księstwa wzniosło się Królestwo kongresowe. Wytworzyły się inne stosunki, które, w głównych zarysach, przetrwały do dnia dzisiejszego.

Tak przedstawia się, w treści najważniejszej, tok wykładu prof. Lehmann'a. To krótkie przedstawienie rzeczy powinno, zdaniem prelegenta, „wystarczyć do udowodnienia błędności tezy o wiecznym i koniecznym antagonizmie pomiędzy Niemcami i Polakami“. Powinno zarazem przypomnieć tę wielką prawdę, iż „w każdej narodowości przejawia się duch Boży“, iż zatem pogwałcenie każdej narodowości jest świętokradztwem. Nie można przesądzać, o ile taka argumentacja i takie przypomnienie trafi do przekonania rządzących i opinii publicznej w Niemczech dzisiejszych. W każdym razie, uważaliśmy za swój obowiązek zapisać na tem miejscu, w czasopiśmie polskim, ten głos sumienia i prawdy, przychodzący z Niemiec.

---





## MISCELLANEA I DOKUMENTY



MISCELLANEA I DOKUMENTY

## NAPOLEON A LITWINI PRZED WOJNĄ 1812

Napoleon stosunkowo późno i mało z Litwinami miał do czynienia. W legionach nasamprzaw stykał się głównie z Wielkopolanami, jak: Sułkowski Józef, Dąbrowski Jan Henryk, Kosiński Amilkar, Sokolnicki Michał, Wybicki Józef. Z koroniarzy przeważnie składało się ciało oficerskie legionów, zaś szeregowców niemal wyłącznie dostarczała Galicja ze zbiegów i więźniów austriackich. Trafiała wprawdzie i młodzież litewska wcześniej do legionów; niejeden tu „chłopiec... skakał kryć się w Niemnie“ na lat kilkanaście przed p. Tadeuszem, nie do pruskiej jeszcze Warszawy, lecz do wolnego dążąc Medjolanu. Dochował się prześliczny list pożegnalny jednego takiego chłopca, uciekającego z Litwy rządów Repnina do Bonaparty na ziemię włoską; i wart ogłoszenia ten list nieszczęśliwego Stasia Judyckiego, syna generała, pisany z Wilna w godzinę ucieczki, we wrześniu 1797 r., a pochwycony przez Bułhakowa, gubernatora wileńskiego. Powstrzymany został jednak niebawem dopływ z Litwy do legionów przez czujny dozór władz miejscowych, a wnet zgoła przecięty przez doszczętne rozbicie związków tajnych litewskich, utrzymujących styczność z emigracją paryską i włoską, przez uwięzienie i zesłanie głównych przywódców wileńskich: Nartowskiego Jana, księdza Ciecierskiego i towarzyszy; odnalezione niedawno przez piszącego akta ich procesu też zewszeczmiar ogłoszenia warte. Ucichła Litwa za Pawła; potem w jego następcy, Aleksandrze, widziała opiekuna, może odnowiciela; mniej nierównie od Korony na zachodniego oglądała się cesarza.

Po powrocie z Egiptu spotkał się Napoleon osobiście z najpierwszym Litwinem, oraz przedstawicielem Polski, z osiadłym od 1798 r. w Paryżu Tadeuszem Kościuszką. Ale stosunek wzajemny stał się odrazu nieprzyjaznym. Republikanin Kościuszek nie wybaczył zama-

---

Jako dopełnienie szkicu „O sprawie polskiej w 1812 roku“ co do stosunku wzajemnego Napoleona i Litwy przytaczamy tu niniejszy artykuł Sz. Askenazego, drukowany w „Kurjerze Litewskim“ 1/14 stycznia 1912.



chu 18 brumaira republikanowi Bonapartemu; w odpornej otąd postawie stanął wobec pierwszego konsula i cesarza. Napoleon ze swej strony z nieufnością otąd zapatrywał się na Litwę. Dawnego dyplomatę emigracji Ogińskiego Michała, dawnego generała legionów Książewicza Karola, widział powracających pod berło rosyjskie, widział pogodzonego z niem dawnego Naczelnika Wawrzeckiego Tomasza, pogodzoną wszystką Litwę pod przewodem kuratora wileńskiego a ministra rosyjskiego Czartoryskiego Adama.

Nadszedł rok 1806 i pierwsza kampanja polska Napoleona. Wezwany przez niego Kościuszko stawienia się odmówił. Był to błąd, płynący z pobudek najczystszych, ale był błąd ciężki. Ten błąd, być może, zdecydował wtedy faktycznie o losie Litwy.

Wobec odmowy Kościuszki, wobec przeważających na Litwie wpływów Czartoryskiego, nie miał Napoleon sposobu trafienia wtedy przez dość pewnych i dość silnych ludzi na Litwę. Pierwszą stamtąd wiadomość poprzez ostro strzeżony kordon przyniósł mu... Krasiński Wincenty, w grudniu 1806 r. Donosił o „zapale niezmiernym w grodzieńskiem i mińskiem“ (list W. Krasińskiego do J. H. Dąbrowskiego, 27 grudnia 1806 r.), ale na tych ogólnikach niewiele można było polegać. Razem z W. Krasińskim jako przedstawiciel Litwy stawiał się w kwaterze cesarskiej Sapieha Aleksander (ur. 1772 r. w Paryżu, um. 8 września 1812 r. w Dereczynie), dobrej woli, dużego ukształcenia, ale głowa słaba, małej na Litwie więtości. Nie widząc Kościuszki, trzymali się w rezerwie Litwini. Odezwali się dopiero w lutym 1807 r., po porażce Napoleona pod Iławą, widząc umykające się widoki ratunku; posłali wtedy starego Konopkę do Warszawy na zwiady, kiedy Napoleon nie miał żadnej pozytywnej potemu możności, obezwładniony przez rzeź iławską, zmuszony przed własną natychmiastową bronić się zgubą. Po poprawieniu się położenia Napoleona, po wzięciu Gdańska wkońcu maja t. r., wyprawili Litwini starego przyjaciela Kościuszki, Sierakowskiego Józefa do Warszawy, celem porozumienia się względem powstania Litwy. Równocześnie Napoleon w czerwcu t. r. na własną rękę próbował trafić na Litwę: użył do tego Tyszkiewicza Tadeusza, którego wysłał za Niemen, i Potockiego Feliksa z Rosi (ur. 31 sierpnia 1777 r., um. 27 lutego 1811 r., żonaty z Zofją z Niesiołowskich). Wszystko to było już zapóźno: Sierakowski przybył z Potockim Stanisławem do Napoleona do Tylży już po nawiązaniu przedwstępnych układów pokojowych z Aleksandrem. W pokoju tylżyckim powstało Księstwo Warszawskie z samego działu pruskiego, Litwa całkiem pominięta i jeszcze przez nabytek białostocki zwiększona i utwierdzona w swej odrębności została.

Te precedensa są arcyważne. Wywarły one wpływ stanowczy a opłakany na późniejsze fatalne rozdwojenie Litwy względem Napoleona oraz na jego rozdwojony względem Litwy stosunek podczas „drugiej wojny polskiej“, wielkiej wyprawy moskiewskiej 1812 r.

## NARADA ALEKSANDRA I. Z POLAKAMI W PUŁAWACH w r. 1814

(Por. „Zjazd w Puławach w r. 1814“)

Précis de ce qui s'est dit et traité dans le Cabinet de S. M. l'Empereur Alexandre lorsqu'il a daigné y appeler Mr Zamoyski, Linowski et Matuszewic, le 21 Sept. 1814 à Puławy<sup>1)</sup>.

Les trois personnes appelées, en entrant dans le Cabinet de S. M. y trouvèrent le Prince Adam Czartoryski et Mr. de Novosilzoff; l'Empereur leur annonça qu'il voulait causer avec eux du sort de leur patrie, de l'oeuvre de recréer le Pologne, et il commença aussitôt à développer la situation dans laquelle les choses se trouvent dans ce moment. Il y a à vaincre deux genres d'obstacles, ceux qui viennent de la part des voisins de la Pologne, et ceux qui présentent les opinions de la nation russe, et les ménagements que le Souverain juge convenable d'observer à cet égard. Quant aux premiers... le consentement de la Prusse peut être envisagé comme assuré, moyennant un sacrifice, celui d'abandonner à la Prusse certaine portion du Duché de Varsovie qu'elle demande pour corriger ce que la frontière actuelle offre de défectueux, le pays enfin qui se trouve entre la Prusse et la Silésie comme dans l'ouverture du compas. L'opposition de l'Autriche est jusqu'ici plus formelle et plus obstinée; mais comme l'Empereur a résolu de montrer dans cette négociation autant de fermeté que de modération, il n'est pas à présumer que l'Autriche veuille ou puisse risquer une levée de bouclier; d'après les derniers rapports et nouvelles, elle ne prétend plus contester que l'Empereur garde le Duché de Varsovie conquis par ses armées, mais ce qu'elle craint surtout, c'est le nom de Pologne et un État constitué séparément qui porterait ce nom. Or, l'Empereur compte écarter toute discussion pareille, en ne souffrant pas que qui ce soit s'arroge le

---

<sup>1)</sup> Kopja ręką Adama Skałkowskiego (z oryginału ręką Tadeusza Matuszewica) w papierach po Sz. Askenazym.



droit de s'immiscer dans les arrangements intérieurs de ses États, il ne s'expliquera pas du tout sur ce qu'il compte faire ou ne pas faire là dessus, il insistera sur une cession pure et simple dégagée de toute clause ou condition et se conservera de cette manière l'avantage d'avoir ses coudées tout à fait franches; on (devra ?) respecter son droit d'indépendance, il est tout décidé à les défendre par ses armes et à tirer son épée. Quant aux opinions de la nation russe au sujet d'une Pologne annexée à la Russie... les anciens préjugés semblent considérablement diminués et quant à leur force et quant à leur étendue, et en y procédant avec prudence, mesure, et ménagement convenable, on peut arriver au but, sans blesser ces opinions. L'Empereur a réussi de même dans une semblable conjoncture, lorsqu'après avoir acquis la Finlande, il y a joint la Finlande Russe anciennement possédée et assimilé celle-ci, quant au régime administratif, à celui dont jouissait en vertu de ses loix la province nouvellement acquise. L'Empereur se propose d'observer maintenant à peu-près la même marche pour former une Pologne constitutionnelle, autant du Duché de Varsovie actuellement acquis que de Provinces polonaises appartenantes déjà à son Empire. L'Empereur a daigné nous demander de s'en rapporter à lui entièrement, de lui accorder toute notre confiance, de le laisser faire et agir d'après le plan qu'il a conçu, pour nous conduire d'autant plus sûrement à un état de bonheur solide et réel. Dans cette conversation dont on a taché de ne tirer ici que l'essence, l'Empereur a parlé avec une clarté parfaite, de manière à faire convenir ceux qui avaient le bonheur de l'entendre, qu'il a également bien saisi l'ensemble et les détails, également bien apprécié les obstacles et les moyens de les surmonter, que ses idées sur la marche à tenir, et en général et par rapport à chaque circonstance particulière, loin d'être le fruit d'une volonté éphémère, sont bien mûries par la réflexion; ce qui domine dans sa manière de s'énoncer, ce qui en fait le caractère distinctif, c'est cette élévation de sentiments et de principes qui le place bien au dessus de tous les mouvements de passion commune, de toutes suggestions de la vanité, de l'amour propre, de la vengeance, c'est cette bonté si franche et si touchante que ceux qui ne l'ont vu de près ne pourront jamais s'en former une juste idée; c'est le désir du bien, le plus sincère et le plus constant, d'un bien auquel il donne une latitude proportionnée à la hauteur de sa noble générosité et à l'étendue de ses moyens de puissance, de sorte que le bien qu'il désire pour ses peuples ne cesse pas d'être un bien pour tout le genre humain.

Lorsque l'Empereur s'est arrêté, Mr Matuszewic qui par hasard s'est trouvé placé le plus près de lui, a taché d'exprimer combien tous les Polonais sont pénétrés de reconnaissance pour les bienfaits déjà reçus, comme pour ceux que la bonté de S. M. leur permet d'espérer, qu'on ne saurait rien ajouter à la confiance qu'ils mettent dans sa protection; quant à ceux qui ont l'honneur de se trouver en sa présence, étant du nombre des individus désignés par S. M. pour préparer les

projets de différentes réformes, ils désiraient connaître plus positivement ses intentions à ce sujet, pour marcher avec plus d'assurance et suivre dans leur travail ultérieur la direction qui leur sera indiquée.

Alors le Prince Adam a remis à Mr Matuszewic le projet de bases constitutionnelles préparé par quelques membres du comité et présenté la veille par le Prince Adam, en engageant Mr Matuszewic avec l'agrément de S.M. à relire haut cette pièce en sa présence. Cette lecture amena en effet des éclaircissements très intéressants.

Dans le préambule S. M. n'observa qu'un seul terme impropre qui sera facilement remplacé: c'est la phrase: les violences ont cessé avec le *refus*: résistance ici vaut mieux que refus; mais à la fin il a formellement ordonné de nommer les Polonais à la place des habitants du Duché.

A l'article 1-0 S. M. remarque qu'on pouvait se rapprocher par le fait de la Constitution du 3 de Mai, mais qu'il valait mieux ne pas la nommer ici, surtout par ménagement pour la Russie, où les gens ne la connaissent pas du tout, et où elle sonne mal aux oreilles de ceux qui la connaissent, ou qui en ont entendu parler dans le temps.

A l'article 2-0 S. M. faisant aussi attention à l'impression que cet article pourrait produire en Russie, en désirait une autre rédaction; celle-ci avait déjà été préparée par le Prince Adam et obtint l'approbation de l'Empereur.

A l'article 3-0 S. M. jugea que *loi cardinale* n'était pas une expression assez généralement usitée, l'épithète *fondamentale* sera substituée à l'autre.

A l'article 11 S. M. s'est expliquée assez au long sur l'idée de substituer des collèges à des individus portant le nom de ministres, et ne l'approuva pas; il prévoyait dans la création des collèges des lenteurs et des divergences, tandis que la marche administrative demande de la célérité et de la vigueur, il prévoyait que la responsabilité s'affaiblirait jusqu'à devenir nulle, car là où elle pèse sur plusieurs individus, ordinairement elle ne lie personne. Il a témoigné de la répugnance à cette manière de sauter alternativement d'un extrême à l'autre, et de rayer des ministres ici, parcequ'il y en a en France. Mr de Novosiltzoff ayant ici fait mention que Mr Matuszewic avait soutenu la même opinion dans le Comité, celui-ci en en convenant s'est cru obligé d'ajouter, qu'il s'est soumis de bonne grâce à l'opinion des ces collègues, que cependant il ne croyait pas impossible d'arranger (en rédigeant les organisations particulières) la chose de manière à conserver les collèges qui semblent assez généralement désirés, sans nuire à la marche prompte de l'administration, en n'admettant de discussions collégiales que pour la préparation des projets, et en renforçant les attributions du ministre pour le charger seul et du soin d'activer l'exécution et de la responsabilité. S. M. après avoir attentivement écouté les observations faites par le Prince Adam, Mr. de Novosiltzoff, Zamoyski et Linowski, parut adhérer au milieu<sup>1)</sup> proposé par Mr Matuszewic et sans exclure formellement l'idée des collèges, elle recom-

<sup>1)</sup> Miejsce niezrozumiałe, prawd. *moyen* (Przyp. wyd.).



manda itérativement d'avoir soin de ne pas affaiblir l'action du gouvernement. Sur la représentation faite à S. M., que la partie de l'instruction publique était celle qui admettait la discussion plus que toutes les autres parties administratives, Elle daigna consentir à la création d'une commission semblable à celle qui a autrefois existé en Pologne. Elle consentit de même à ce qu'il n'y eut plus de Ministre de la Justice et à ce que ses attributions soient transférées au Tribunal Suprême. Elle ordonna de dire à la place de ce qui était rédigé à la fin de cet article: Le ministre secrétaire d'Etat résidera constamment auprès de notre personne. Au milieu de cette discussion lorsque le Prince Adam a dit, que les titres de Ministres semblaient trop pompeux pour un pays aussi peu étendu et aussi pauvre que le Duché, l'Empereur a répondu „Vous savez donc qu'il aura dix à onze millions d'habitants“.

A l'article 12 S. M. a observé que cet article devra être changé d'après les nouvelles frontières qui seront données à la Pologne.

A l'article 13 S. M. a encore relevé le mot de *commission* autant par fait des inconvénients qu'elle envisage dans la création des collèges pour l'administration, que parceque ce mode si différent de celui qui existe aujourd'hui dans les Provinces polono-russes, sera pour elle une gêne de plus dans l'exécution du plan d'assimiler insensiblement le régime administratif de ces Provinces à celui du Duché, pour les fonder au premier jour dans un seul et même système. On a observé à l'Empereur qu'ici aussi les attributions du Président peuvent être renforcées, qu'on peut le nommer Marszałek, qu'il remplacera alors le Gouverneur et les commissions remplaceront les Gubernskie Uprawlenje. A cette occasion Mr Matuszewicz a dit, que le point de vue de préparer de manière pour ainsi dire l'assimilation future du gouvernement entre le Duché et les autres Provinces polonaises, était on ne peut pas plus précieux et important, qu'en rédigeant tous les projets de réforme on doit l'avoir présent à la pensée, mais il est nouveau pour les membres du Comité, jusqu'ici ils ne pouvaient porter leur attention vers ce point, ils désiraient vivement à la vérité, mais n'osaient prévoir ce grand bienfait. Ici l'Empereur a recommandé de chercher à tirer parti de toutes les analogies qui se trouvaient entre les magistratures et institutions administratives dans le Duché et dans les provinces polono-russes. Sous ce rapport il envisageait comme une rencontre heureuse qu'il y eut un Sénat chez nous et en Russie. „Je désirerais, dit S. M., une telle combinaison et un tel arrangement de choses, que les autorités russes et polonaises tant civiles que militaires puissent traiter entre elles réciproquement comme de frère à frère“.

A l'article 26 S. M. a protesté formellement contre cet article, Elle en jugeait la rédaction dérogatoire pour ainsi dire à la dignité de l'armée polonaise, et ordonna qu'elle fut changée de manière à lui garantir tout ce qui tient à sa nationalité, mais qu'au lieu de figurer en quelque sorte sous la forme de milices, les milices ne doivent y figurer que comme un supplément de force militaire à employer en cas de besoin. A cette occa-

sion S. M. a daigné réitérer ce qu'elle avait déjà assuré, savoir: que toutes les dépenses de l'Etat militaires et civiles seraient strictement proportionnées aux moyens d'un pays qui a si grand besoin de respirer.

A l'article 29 S. M. ordonna de changer les mots qui le commencent et le Prince Adam a noté le changement indiqué par S. M., savoir: *Le clergé catholique romain et le clergé du rit grec uni*: c'est aussi un juste ménagement pour l'oreille des Russes.

A l'article 34 S. M. a consenti à ce que les premières lignes qui désignaient les raisons pour lesquelles les Juifs ne peuvent pas encore être admis à l'entière jouissance des droits civils, soient omises, cette exclusion se trouvant implicitement dans les lignes qui suivent. Mr Linowski ayant relevé et expliqué comment et pourquoi les Juifs dont ce pays est inondé, deviennent pour nous une sorte de fléau plus affligeant que partout ailleurs; qu'ailleurs les Juifs sont des hommes comme les autres, mais ici ce n'est que le ramassis de la gueuserie la plus vile et la plus dangereuse etc, l'Empereur a répondu que les Juifs donnent à peu-près le même embarras partout, qu'on s'en est beaucoup occupé en Russie, sans réussir atteindre le but d'utilité qu'on s'était promis, qu'il semble qu'on n'y parviendra qu'en cherchant dans l'esprit de leur religion, dans les usages mêmes et les pratiques qui les isolent les moyens de les utiliser. Enfin, dans la conclusion S. M. a encore daigné ordonner que *les habitants du Duché de Varsovie* fissent place *aux Polonais*. A cette occasion elle a bien voulu expliquer et détailler à nouveaux frais ses intentions et ses résolutions si bienfaisantes, si magnanimes et si sages à la fois, que nous étions tous pénétrés au suprême degré d'admiration et de reconnaissance. L'Empereur a ordonné d'ajouter un nouvel article qui doit dire, que la Pologne sera liée à jamais à la Russie autant dans la personne du Souverain actuel, que dans celles de ses successeurs. „C'est juste, a-t-il dit, et utile aux deux pays, et en même temps cela fera tomber une des objections, que quelques Russes mettent en avant pour attaquer une Pologne séparément constituée, ils disent qu'elle ne tiendrait à la Russie qu'autant que je vivrai, et qu'elle pourrait s'en détacher lorsque je ne serai plus; il faut que cela ne puisse pas se dire“. Mr Zamoyiski ayant dit: „il faut déclarer que la Pologne fera partie intégrante de l'Empire Russe“, l'Emp. a répondu „non pas intégrante, mais annexée, attachée sous le même souverain et inséparable à jamais“. Lorsque le Prince Adam a exprimé notre inquiétude sur le danger de voir revenir les Jésuites, l'Empereur a répondu que cette crainte est tout-à-fait gratuite, que les Jésuites n'avaient pas de plus grand antagoniste que lui. Il a fini par ces mots: „Voilà, Messieurs, un premier travail national, il sera suivi de beaucoup d'autres, et j'espère qu'avec votre coopération, j'aurai le bonheur de faire votre bonheur“. Nous étions si fort émus et attendris qu'aucun de nous n'a trouvé d'autre manière de lui exprimer notre reconnaissance, qu'en protestant qu'il n'existait pas de termes qui puissent l'exprimer.



## ZAGROŻENIE KODEKSU NAPOLEONA PRZY UTWORZENIU KRÓLESTWA POLSKIEGO

Kodeks Napoleona w dobie tworzenia Królestwa, 1813—15, był narażony na groźbę zniesienia, bardzo poważną.

Kodeks, w chwili upadku Księstwa Warszawskiego i zajęcia go przez Rosjan, miał przeciw sobie opozycję silną a różnorodną. Składały się na nią głównie: z jednej strony żywioły zachowawcze b. Księstwa, zwłaszcza z departamentów po-austrjackich, skąd weszli więksi posesorowie magnaccy; z drugiej, duchowieństwo, przeciwnie kodeksowi dla względów kościelno-politycznych. Ks. Adam Czartoryski zsolidaryzował się z tą opozycją. Obcy on był instytucjom Księstwa, Kodeksu nie znał, przeciw wszystkiemu, co napoleońskie, był przekonany z zasady. Ale powodował się także, i to przedewszystkiem, pobudką wyższego rzędu. Zależało mu na wcieleniu do przyszłego Królestwa gubernij zachodnich, a uznawał za niemożliwe rozciągnąć na nie instytucyj kodeksowych Księstwa; pragnął tedy nowej, opartej o Statut litewski, ogólnej kodyfikacji polskiej. Tak, czy owak, Czartoryski, główny wtedy doradca Aleksandra I w sprawach fundacji prawno-państwowej Królestwa, wręcz przeciw Kodeksowi się oświadczył i zrazu pociągnął za sobą monarchę.

W memorjale własnoręcznym, złożonym osobiście Aleksandrowi w Chaumont, 7/19 lutego 1814 r., po wyczerpujących z nim konferencjach Czartoryski pisał: „...Le Code de Napoléon civil et de procédure judiciaire doit et peut s'abolir immédiatement, en y substituant intérimalement les lois polonaises et le Statut, ainsi que les formes usitées avant l'introduction de la procédure française... La législation civile et l'administra-

---

*Gazeta Sądowa Warszawska*, Warszawa, dnia 28 maja 1908 roku. Rok XXXVI, Nr. 22, Str. 333 (Numer jubileuszowy, poświęcony historii Kodeksu Napoleona).

O przeciwnikach Kodeksu artykuły w tymże numerze: *Dziś a przed stu laty*. S. Posnera, Str. 337 i in., oraz *Przeciwnicy Kodeksu*. J. J. Litauera, Str. 363 i n.

tion du Duché ayant une fois acquis l'esprit et la forme qu'elles doivent conserver, la volonté de S. M. I. est de joindre successivement au Duché les huit gouvernements polonais, en commençant par les plus voisins..."

W myśl niektórych wniosków memoriału niniejszego oraz następnych referatów Czartoryskiego, Aleksander wydał na jego ręce w Paryżu, 19 Maja 1814 roku, ukaz Najwyższy wraz z dołączoną do niego „Note”, upoważniający go do zwołania w Warszawie Komitetu Reformy „pour préparer... le travail de changement que je veux faire dans la Régie du Duché”. Dołączona do ukazu Nota, obejmująca „Objets dont le Comité doit s'occuper”, przepisywała między innymi: „Le Code Napoléon civil et de procédure judiciaire devrait être aboli le plus tôt possible. On pourrait intérimalement y substituer les lois polonaises, le Statut de Lithuanie, ainsi que les formes judiciaires usitées avant l'introduction de la procédure française. Le Comité discutera si les codes doivent être abolis entièrement ou en partie, et à quelle époque cette abolition pourrait avoir lieu. Il proposera aussi un plan et la composition d'une Commission séparée à créer qui sera chargée de la rédaction d'un nouveau Code civil, criminel et de procédure, de même que de l'organisation définitive de l'ordre judiciaire...”

Przepisaną przez ukaz powyższą pracę kodyfikacyjną zajęła się Sekcja sądowa Komitetu Reformy, zrazu w składzie: Grabowski radca stanu, Bieńkowski sędzia apelacyjny, Szaniawski prokurator sądu kasacyjnego, wzmocnionym później w drodze kooptacji. Obszerne te roboty kodyfikacyjne, dokonywane w ciągu 1814—15 r., a których ciężar główny spoczywał na Bieńkowskim, nie mogą na tem miejscu uleść bliższemu rozstrząsaniu. Zaznaczyć natomiast należy, że zarówno sam Bieńkowski, jakoteż i inni celniejsi prawnicy, których zdania w tym czasie zasięgał Czartoryski, jako to: Stanisław Węgrzecki, Wincenty Bandtkie, Antoni Wyczechowski, w obszernych wywodach pisemnych występowali w obronie kodeksu.

Po utworzeniu Królestwa na Kongresie wiedeńskim 3 Maja 1815 r., Aleksander w wydanych w Wiedniu, 25 Maja 1815 r., „Bases de la constitution du Royaume de Pologne” w § 8 przepisał: „Les lois civiles et criminelles actuellement en vigueur... continueront d'être obligatoires aussi longtemps, que les nouveaux Codes, dont nous avons ordonné la rédaction, n'auront reçu la sanction et la publication nécessaires pour leur faire acquérir force de loi...”

Przed przybyciem Aleksandra do Warszawy zredagowanie projektu konstytucji Królestwa powierzone zostało Ludwikowi Platerowi. W wygotowanym przez niego projekcie § 422 miał takie brzmienie: „Aż do ustanowienia nowej księgi praw cywilnych i kryminalnych, prawodawstwo teraźniejsze zachowa się z niektórymi odmianami”.

Po przybyciu Aleksandra w listopadzie 1815 r. wypracowany został nowy projekt konstytucji, głównie przez Czartoryskiego, przy udziale Stanisława Potockiego i in. W tym projekcie, po § 158 (odpowiadają-



cym, z pewnemi modyfikacjami, artykułowi 161 konstytucji nadanej), szły następujące dwa §§: § 159 „Le Code de procédure provisoire sera également statué par le Roi après avoir été discuté au Conseil d'Etat. § 160. Les nouveaux Codes civil, criminel, de commerce et de procédure fixe, seront soumis à l'approbation de la diète. Les Codes actuels resteront provisoirement en vigueur, avec des modifications sur lesquelles le Roi statuera après avoir pris l'avis du Conseil d'Etat“. Projekt ten, opatrzony własnoręcznemi *in margine* ołówkiem uwagami Aleksandra, wedle jego wskazówek przerobiony został w formie ostatecznej przez Ignacego Sobolewskiego, przyczem obadwa powyższe §§ 159 i 160 zupełnie zostały usunięte. Tem samem Kodeks Napoleona w ostatniej chwili pozostawiony był w mocy.

## DO CHARAKTERYSTYKI LUBECKIEGO

Barwne i zajmujące artykuły, ogłaszane w r. b. przez prof. St. Smolkę w „Bibliotece Warszawskiej“, „Przeglądzie Historycznym“ i „Przeglądzie Polskim“, skierowały uwagę szerszego ogółu na postać najwybitniejszego ministra Królestwa Kongresowego. Z niecierpliwością oczekiwać należy zapowiedzianego większego dzieła, z którego dopiero wydane poznałyśmy fragmenty, a w którym z wytrawnej ręki autora otrzymamy zapewne nie tylko pełny i artystyczny wizerunek Lubeckiego, lecz tem samem nowy poważny przyczynek do  $\frac{2}{3}$  dziejów Królestwa, a może i do wcześniejszych dziejów Litwy i Księstwa Warszawskiego. Chętnie też korzystamy z zainteresowania, wywołanego ciekawymi studjami prof. Smolki, aby podzielić się niektórymi postrzeżeniami, odnotowanymi przez nas bądź w związku z dawniejszą naszą pracą monograficzną o „Działalności ministra Lubeckiego“, bądź też w związku z poszukiwaniami natury ogólniejszej, dotyczącymi dziejów Królestwa.

Lubecki przedstawia obiekt nadzwyczaj nauczający dla psychologii historyczno-politycznej, w jednym zwłaszcza szczególniejszym względzie. Wyobraża on mianowicie, z całą doskonałością eksperymentalnego procesu, typowy przykład wzajemnego oddziaływania, poniekąd przeciwdziałania, poniekąd w końcu harmonijnego zespolenia czynników litewsko-polskich w dobie porozbiorowej. Przynosił z sobą tęgość natury litewskiej, górującą nad lżejszym z reguły, powierzchowniejszym nieraz, choć może i lotniejszym nastrojem natury koroniarskiej, i lepiej też uzdatnioną do ujęcia, skaptowania i pokojowego pohamowania lepiej sobie znanej natury rosyjskiej, a tym sposobem do gładszego ułatwienia *modus vivendi* polsko-rosyjskiego. Ale przynosił też najopłakańsze skutki rozkładowych wpływów moralno-politycznych, jakie w dobie podziałowej zostały przez Rosję zaszczerpione na Litwie i tam wrychle niebezpieczne puściły korzenie. Był pierwotnie na drodze złej i zgubnej, na tej samej drodze, na której w poprzednim pokoleniu targowickie wyrosły



chwasty, na której wystrzeliły zatrute, choć niezawodnie też wyższe talenty Kossakowskich, na drodze podstawienia nowej zabójczej unji litewsko-rosyjskiej w miejsce historycznej polsko-litewskiej. Z tej drogi nawróciła go, uratowała dopiero Warszawa, Królestwo Kongresowe. Winno Królestwo zasłużoną Lubeckiemu wdzięczność. Ale i on głęboką wdzięczność winien Królestwu. On ocalił jego finanse: ono ocaliło jego ducha.

„Nie podejmujemy się — pisaliśmy swego czasu — apologii Lubeckiego. W jego administracji, jego polityce, jego życiu są rzeczy potępienia godne. Są wybitne luki w jego dużej inteligencji, są wybitniejsze szczyrby w jego mocnym charakterze... Miał nie tylko niższy ideał od ks. Adama (Czartoryskiego), miał od margrabiego (Wielopolskiego) niższą ambicję. Z obywatela, z męża stanu, sam siebie zdegradował na urzędnika“<sup>1)</sup>. Na tem samem stanowisku stoimy po dziś dzień. Pomijając już nawet młodość Lubeckiego, jego edukację petersburską, służbę Suworowowską, należy podnieść jego udział w śliskich, a w ostatecznym wyniku szkodliwych bez kwestji robotach Ogińskiego w 1811 i 1812 r. Umiał on wtedy zyskać sobie wyjątkowe zaufanie Aleksandra, jak świadczy sprowadzenie go do Kalisza w lutym 1813 r. Rola jego wtedy bardzo była drażliwa: występował poprostu jako narzędzie cesarskie i jako konkurent Czartoryskiego. A była to konkurencja *in minus*. Czartoryskiego, który wtedy nieproszony przybył do Kalisza, cesarz wprost wygonił; Lubeckiego zatrzymał, a nawet mianował członkiem Najwyższej Rady Tymczasowej warszawskiej. Istnieje z tego czasu obszerny memorjał Lubeckiego o Księstwie, ciekawy, wnikliwy, lecz interesom przyszłego Królestwa nieodpowiadający. Sam ukaz 13 marca 1813 r. o Radzie Najwyższej, podpisany przez Kutuzowa, confirmowany przez Aleksandra, był zapewne redagowany w Kaliszu przy bezpośrednim udziale Lubeckiego, a są tam rzeczy fatalne, będące wyrazem intencji rusyfikacyjno-policyjnych, panujących wtedy w sztabie głównym. Został też Lubecki zaufanym pośrednikiem między Kutuzowem a Łąnskojem, prezesem Rady<sup>2)</sup>. W samej Radzie, jako kierownik wydziału spraw wewnętrznych, miał wraz z Łąnskojem i Nowosilcowem styczność bezpośrednią z najdrażliwszymi sprawami natury policyjnej. Wtedy to, jak się zdaje, zaskarbił sobie ufność Nowosilcowa. Wtedy też zraził sobie opinię Warszawy. W Rządzie Tymczasowym Królestwa już doświadczał skutków tej, zasłużonej podówczas, niepopularności, a zarazem zrozumiałego odwetu Czartoryskiego, który tymczasem innemi, niż Lubecki, wyższemi sposoby wrócił do zaufania Aleksandra i kierowniczego w kraju stanowiska. Nie chciano też mieć Lubeckiego w warszawskim Komii-

<sup>1)</sup> *Z działalności min. Lubeckiego* (1897), 2 sq.; *Dwa stulecia*, 365.

<sup>2)</sup> Kutuzow do Łąnskoja, 21 marca, 28 marca (własnor.): „Bliższe szczegóły w tej mierze (szło o Komitet Centralny) objaśni Panu osobiście rz. r. st. ks. Lubecki, któremu dać w tym względzie wiarę“, 1 kwietnia 1813 (własnor.): „Ks. Lubecki objaśni panu odemnie wiele rzeczy ustnie“.

tecie Reformy i trzeba było dopiero interwencji prezesa Nowosilcowa, aby na drugiej sesji Komitetu został „zaproszony J. O. X. Lubecki, jako dyrygujący ministerjum spraw wewnętrznych, dla udzielenia potrzebnych informacji w rzeczach administracji krajowej”<sup>3)</sup>. Nie chiano go następnie mieć w rządzie konstytucyjnym Królestwa, nie chciał ani Czartoryski, ani opinja. Odsunięty do ważnych zapewne, lecz bądź co bądź drugorzędnych interesów likwidacyjnych, wrócił Lubecki do rządu w drugim dopiero okresie dziejów Królestwa, po zainaugurowaniu już ery wręcz reakcyjnej, zaprowadzeniu cenzury, rozpoczęciu procesów politycznych. Wrócił w tym samym czasie, kiedy do wydziału oświecenia i wyznań wzięto Stan. Grabowskiego, a wyniesienie swoje do steru wydziału skarbu w znacznej mierze zawdzięczał, podobnie jak Grabowski, Nowosilcowowi, który spodziewał się znaleźć w nim sprawne a powolne narzędzie reakcyjne. W rzeczy samej, Lubecki pierwotnie zdawał się w zupełności sprawdzać te nadzieje i jak najkarniej szedł na rękę Nowosilcowowi. Była wtedy na wokandzie pierwsza sprawa polityczna, Piątkiewicz i towarzyszy, owa sprawa studencka, „dominikańska”, gdzie potem wplątany był i Mochnacki i gdzie tak mizernie się spisał<sup>4)</sup>. Owóż kiedy chodziło o oddanie pod sąd 3 oskarżonych studentów, w Radzie Administracyjnej oczywiście zaopiniowano, że tych dzieciuchów należy oddać pod sąd zwyczajny, podstępny, gdyż nic więcej im nie wykazano ponad zwykły co najwyżej występki kompetencyjny policji poprawczej. Oparł się z furją Nowosilcow, dowodząc, że chodzi tu o przestępstwo stanu, że zatem, wedle § 151 konstytucji, wymagany jest sąd nadzwyczajny: t. j. na podstawie konstytucji żądał sądu niekonstytucyjnego, gdyż ustawy o Sądzie Najwyższym jeszcze nie było. Nie ulegała mu jednak Rada Administracyjna, oponował żywo minister sprawiedliwości. Wtem na posiedzenie Rady wszedł Lubecki. Poinformowany przez Nowosilcowa o przedmiocie dyskusji, natychmiast wziął jego stronę i to z taką swadą, że przymusił Radę do zaakceptowania w zasadzie owej pierwszej, haniebnej pamięci, nadzwyczajnej Komisji śledczej<sup>5)</sup>.

Coprawda, wkrótce potem Lubecki potrafił wyzwolić się od fatalnej kurateli Nowosilcowa i wielki swój talent obrócić przeciw niemu z całym właściwym sobie impetem, a ku największemu pożytkowi kraju. Odtąd też został naprawdę znakomitym statystą polskim. Ale zwrot ten naj-

<sup>3)</sup> Protokoły Komit. Reformy, sesja II, 7 lipca 1814.

<sup>4)</sup> Fatalne zeznanie Mochnackiego znane nam jest w wypisie rosyjskim z oryginału; brzmienie jego (kompromitujące między innymi Bentkowskiego) jest tego rodzaju, że każe uznać jego obronę, Polak Sum., N. 18 z 24 grud. 1830, Dzieła, I, 300, 328 sq., za niewystarczającą.

<sup>5)</sup> Posiedzenie Rady Administr. 2 stycznia 1822; raport Nowosilcowa do Aleksandra I, 26 grudnia 1821 7 stycznia 1822: „(Lubecki) développe mes idées avec une justesse et une clarté, qui ne laissent rien à désirer, et finit par proposer qu'il faut nommer une Commission (extraordinaire)”.



niezawodniej nietylko w jakichś Konradowych popędach w duszy ministra miał swoje źródło, ile raczej, w znacznej przynajmniej mierze, pod dodatnim naciskiem opinii publicznej Królestwa dokonany został. Nie umniejsza to późniejszych niepospolitych zasług Lubeckiego, lecz przy ocenie jego postaci historycznej uwzględnione być musi.

Co myślimy o roli Lubeckiego podczas rewolucji, a w szczególności o jego wyprawie petersburskiej, — to pokrótce wyraziliśmy gdzieindziej. Stronę publiczną tej roli w pierwszych dniach rewolucyjnych stawiamy bardzo wysoko; względem strony osobistej musieliśmy poważnie poczynić zastrzeżenia <sup>6)</sup>. Dalecy jesteśmy od pisania się na nielitościwe epigramaty, jakie wtedy na rachunek jego misji petersburskiej fabrykowano w kuźnicy „Nowej Polski” <sup>7)</sup>. Ale mniemamy, że niejedno w jego taktyce ówczesnej podpada surowej krytyce. Kładziemy poniżej urzędowy protokół jego audjencji u Mikołaja I, jako przyczynek zarówno do charakterystyki Lubeckiego, jako też do oceny sytuacji w tej chwili tragicznej <sup>8)</sup>.

„S. M. l'Empereur ayant jugé nécessaire de recevoir le pce Lubecki ministre des finances du Royaume de Pologne en présence de quelques personnes qu'il daigne honorer de Sa haute confiance, le 14 décembre ont été réunis au palais particulier: S. A. I. Mgr. le Gd. Duc Michel, le maréchal cte Diebitch Zabalkansky, le ministre de la Cour pce Wolkonsky, le général d'infanterie cte Tolstoy, le vice-chancelier cte Nesselrode et le ministre secrétaire d'état du Royaume de Pologne cte Grabowski. Lesquels ayant été introduits dans le cabinet de l'Empereur, S. M. fit appeler le pce Lubecki et lui demanda, quel était le motif qui l'avait déterminé à se rendre à St. Pétersbourg? Le pce fit à cette question en substance la réponse suivante: „Je suis venu, Sire, pour m'acquitter d'une commission dont m'a chargée Votre Conseil d'Administration. Il a désiré, qu'un témoin oculaire rendit compte à V. M. des événements qui ont surpris la capitale du Royaume de Pologne au milieu d'une tranquillité profonde, de Lui exposer la situation du pays à la suite de ces mêmes événements et de L'informer de la marche que le Conseil d'Administration a cru devoir suivre dans ces graves et sanglantes circonstances. Ce fut dans la soirée du 29 novembre que la révolte éclata. Au moment, où nous nous y attendions le moins, des coups de fusil partirent dans plusieurs quartiers de la ville et nous fûmes avertis que des bandes armées par-

<sup>6)</sup> „Zabiegi dyplom. polskie 1830—31”, *Bibl. warsz.*, CCXLVII (wrzesień 1902), 420 sq.

<sup>7)</sup> *Nowa Polska*, 8 stycznia 1831, Nr. 4: „Ks. Lubecki rozwiódł się z Polską, ale nie z żoną, bo pisał, ażeby przyjechała do Petersburga. Gdy się zastanawiano w pewnej kompanji nad poselstwem ks. Lubeckiego do Rosji, trafne jeden z obecnych zrobił przypomnienie, że gdy Noe wysłał kruką dla dowiedzenia się, czy potop już ustał, ptak ten nie powrócił”.

<sup>8)</sup> Archiwum ministerjum spr. zagr. w Petersburgu. Na oryginalu *in margine* ręką Mikołaja ołówkiem: „m'en parler”.

couraient les rues et attaquaient à la fois le Belvédère et l'Arsenal. Dans ce premier moment de trouble et d'agitation tout le monde ne songea d'abord qu'à sa sûreté personnelle, bientôt cependant on sentit la nécessité de se réunir et les membres du Conseil prirent la résolution de se rendre immédiatement chez le président cte Sobolewski. Ce ne fut qu'entre minuit et 2 heures que je parvins à traverser la foule. En arrivant chez le cte Sobolewski, j'y trouvai le pce Czartoryski<sup>9)</sup>.

„De quel droit y était-il?“ demanda l'Empereur.

„Il est membre du Conseil“, dit le pce.

„Il est singulier“ — répliqua l'Empereur — „qu'il s'en soit souvenu dans ce moment; il n'assistait jamais au Conseil“.

„Celui-ci réuni“ — poursuivit le pce — „nous délibérâmes sur les mesures les plus urgentes à prendre. Il fut arrêté que le Conseil se renforcerait de quelques individus connus pour jouir d'une grande popularité et dont l'assistance pouvait être utile pour conserver le Gouvernement du Roi et pour rétablir la tranquillité de la capitale“.

„Quels étaient ces individus?“ demanda l'Empereur.

„Mess. Kochanowski, Pac, Michel Radziwiłł, Dembowski, Ostrowski et Lelewel“.

„Il est assez particulier, que votre choix soit tombé juste sur des personnes que vous saviez être taxées dans mon opinion. Vous la connaissiez ainsi que mes sentiments à leur égard. Je vous les ai plus d'une fois énoncés“.

„Sire“ — répondit le pce — „ils étaient populaires, nous avons pensé que leur influence pouvait seule contribuer à arrêter et à réprimer le mouvement. Cette mesure prise, il fut décidé au Conseil que le pce Czartoryski et moi nous nous rendrions auprès de Mgr. le Gd. Duc, pour le conjurer de se mettre à notre tête et d'aviser conjointement avec le Conseil aux moyens de faire rentrer la populace dans l'ordre. Nous partîmes de suite et nous trouvâmes Mgr. au bivouac près du Belvédère. Mais S. A. I. nous déclara qu'Elle ne pouvait acquiescer à la proposition du Conseil, qu'Elle ne se mêlerait pas de l'affaire et ne ferait point agir les troupes qui l'avaient rejoint. Nous nous trouvions ainsi abandonnés à nous-mêmes et sans disposer d'aucune force militaire; néanmoins nous n'étions dominés que par l'unique sentiment d'empêcher de plus grands malheurs et de maîtriser le mouvement populaire“.

„Mon frère“ — dit alors l'Empereur — „a parfaitement bien fait; les instructions de feu l'Empereur Alexandre lui défendaient, en cas d'émeute, de faire tirer les troupes russes sur les Polonais“<sup>9)</sup>.

„Pendant ce temps“ — reprit le pce — „l'insurrection s'était accrue au plus haut, au plus alarmant degré. L'arsenal forcé et pillé, plus de 50 mille hommes de la populace étaient armés, des troupes s'y étaient

---

<sup>9)</sup> Jestto nader ciekawy a dotychczas zgoła nieznany szczegół: równie zastanawiającem jest samo to zarządzenie Aleksandra, jako też i ta okoliczność, że pozostało ono w mocy po jego śmierci.



ralliés, et cette tourbe, prise de vin, menaçait de massacrer tous ceux qui voulaient s'opposer à leur volonté. Plusieurs généraux ont été victimes de leurs efforts pour rappeler les troupes à l'ordre, d'autres ont été forcés, le pistolet à la gorge de se mettre à leur tête. Des clubs se formèrent et usurpèrent le pouvoir. C'est au péril de nos jours que nous rentrâmes, le pce Czartoryski et moi, au Conseil. Là nous apprîmes que la Banque était dans le plus grand danger. Notre devoir était de la sauver et nous résolûmes de nous y transporter tous. Ce fut avec une peine infinie que nous y parvînmes à travers une populace effrénée dont 6 mille hommes armés nous précédaient et suivaient de près. Ce fut alors que le général Chłopicki nous rejoignit. Nous l'engageâmes à se mettre à la tête de la force armée. Il n'y consentit qu' à la condition que tous les actes du pouvoir ne fussent rendus qu'au nom de V. M. Mais bientôt nous dûmes nous convaincre que les moyens dont nous disposions étaient insuffisants, que la populace révoltée devenait d'heure en heure plus nombreuse et plus menaçante. Il ne nous resta d'autre ressource que de prier le Gd. Duc de renvoyer les régiments polonais qui l'avaient rejoint. Je rédigeai un écrit pour en faire part à S. A. I. et pour l'avertir en même temps, que les rebelles avaient formé le dessein audacieux de l'attaquer et que des nombreux moyens de corruption avaient été employés non sans succès, ce qu' Elle ignorait peut-être, auprès de celles des troupes polonaises qui l'entouraient encore. Bloqué en quelque sorte dans la Banque, le Conseil ne savait comment faire parvenir cet écrit au Gd. Duc. Son aide de-camp le cte Zamoyski y parut et fut chargé de le lui porter. Peu après une nouvelle députation, composée du pce Czartoryski, du cte Ostrowski et de moi, se rendit auprès de Mgr. pour régler avec S. A. I. tout ce qui avait rapport au renvoi des troupes russes vers la frontière, mesure à laquelle Mgr. le Gd. Duc venait de donner son consentement. En effet, les troupes polonaises rentrèrent en ville; dans leur marche elles rencontrèrent une masse de peuple qui s'avancait déjà pour attaquer le Gd. Duc, mais qui, voyant revenir les régiments polonais, les accompagnèrent jusqu'à la place située devant la Banque, en vociférant contre les généraux Krasiński et Kurnatowski et en exigeant qu'ils leur fussent livrés. Ce n'est qu'avec beaucoup de peine et en déployant la plus grande énergie, que le gl. Chłopicki parvint à leur sauver la vie. La même exaspération se manifesta dans le peuple contre plusieurs membres du Conseil d'Administration; j'étais du nombre et nous fûmes obligés de nous démettre de nos fonctions. Un gouvernement provisoire s'organisa. Il était composé de mess. le pce Czartoryski, Ostrowski, cte Pac, Kochanowski et Lelewel; mais son action était trop faible encore pour réprimer la révolte. Alors on conçut l'idée de nommer dictateur le gl. Chłopicki et depuis l'ordre et la tranquillité commencèrent à se rétablir par l'effet des mesures vigoureuses qu'il a prises".

„Mais tous ces actes" — observa l'Empereur — „sont des actes illégaux. C'est votre Souverain seul qui a le droit de faire des nomina-

tions, de changer la composition de Son Conseil, d'accorder même des démissions à ceux qui, comme vous, ont cru devoir se retirer. Le Conseil d'Administration n'a pas fait son devoir. Les membres auraient dû périr plutôt que de céder aux volontés d'une tourbe de factieux".

S. M. demanda au pce, quelles étaient les causes de cette révolution et les griefs que la Nation élevait contre le Gouvernement ?

Le pce chercha à son tour à justifier sa conduite et celle de ses collègues; il protesta, qu'ils avaient fait tout ce qui pouvait dépendre d'eux dans une situation, où ils étaient constamment placés sous le poignard des assassins; qu'il fallait considérer que l'armée n'était pas à leurs ordres, qu'ils ont dû se borner à appeler à leurs secours des régiments cantonnés hors de la ville et que l'un de ces régiments, que son chef le gl. Szembek avait voulu amener au Gd. Duc, s'était refusé à suivre ses ordres et avait rejoint les insurgés.

Ici l'Empereur demanda au pce, pourquoi le gl. Szembek n'avait pas imité l'exemple du gl. Trembicki qui s'était fait massacrer plutôt que de prendre le commandement d'un régiment révolté? Le pce attribua aux circonstances l'impossibilité dans laquelle le cte Szembek s'est trouvé d'empêcher cette défection; et passant ensuite aux plaintes de la Nation contre le Gouvernement, il dit:

„Les accusations portent principalement sur ce que 1. il n'a été fait droit à aucune des plaintes portées à la Diète dans la voie des pétitions; 2. de ce que le même Conseil d'Administration, contre lequel ces réclamations étaient dirigées, se trouvait investi du pouvoir de les examiner et de les décider; 3. de ce que des malversations avaient eu lieu dans les administrations dépendantes de la municipalité de Varsovie; 4. enfin on accusait les hommes qui entouraient Mgr. le Gd. Duc et aux quels il avait confié la direction de la police secrète, d'avoir par leur calomnies provoqué des persécutions injustes dont beaucoup d'individus ont eu à souffrir. Telles sont les causes d'un mécontentement général qui s'est manifesté à la suite d'une révolte, uniquement tramée par des bas-officiers et des étudiants".

Après avoir écouté l'énumération de ces griefs, l'Empereur objecta au premier, que la marche légale avait toujours été observée, parceque à chaque Diète il avait été toujours rendu compte du résultat de l'examen des pétitions présentées à la session précédente. Que quant au désordre et aux abus qui s'étaient glissés dans l'administration de la municipalité de Varsovie, c'était la première fois qu' Il en entendait parler. Que tout le tort en retombait sur le Conseil d'Administration qui, malgré Ses injonctions réitérées de Lui faire son rapport sur toutes les circonstances dignes de Son attention et de Sa sollicitude, avait jugé à propos de passer sous silence un fait aussi important. S. M. en ayant rendu personnellement responsable le pce Lubecki, celui-ci crut devoir observer, que cette affaire était plus spécialement du ressort de la Commission de l'intérieur que de ses propres attributions, sur quoi S. M. lui fit sentir,



qu'il pouvait alléguer ce fait comme ministre des finances, mais comme membre du Conseil il n'en était pas moins responsable de n'avoir pas protesté contre ce qu'il avait trouvé d'illégal<sup>10)</sup>.

Revenant en suite à l'objet de sa mission, le pce Lubecki assura que toutes les autorités qui, par suite de la révolution, se trouvaient aujourd'hui à la tête du pouvoir dans le Royaume de Pologne, continuaient à agir au nom de l'Empereur et ne formaient d'autres vœux que de voir la Constitution exécutée sans réserve et dans toute son étendue.

„Et que signifient“ — dit alors l'Empereur — „ces aigles renversées et la prétention de voir les anciennes provinces polonaises réunies à la Pologne?“

„Cette demande“ — répondit le pce Lubecki — „a été articulée dans le rapport du Gouvernement Provisoire non comme un vœu sur lequel on insistait, mais comme un espoir que la Nation nourrit et dont il a cru devoir rendre compte à V. M. Quant aux aigles, elles ont été abattues dans un premier moment d'effervescence par des hommes exaltés et peut être ivres“.

L'Empereur prit alors un paquet qui était sur Sa table à l'adresse du pce Lubecki et, en montrant les armes du dictateur dont il était cacheté, S. M. lui dit: „Celui-là, était-il ivre aussi?“ Le pce Lubecki l'ouvrit et fit lecture d'une lettre du gl. Chłopicki que ce paquet renfermait. Cette lecture achevée l'Empereur demanda au pce Lubecki s'il avait encore quelque chose à Lui dire, s'il avait lu Sa proclamation<sup>11)</sup> et quelle était

<sup>10)</sup> Chodzi tu o niesłychane nadużycia w Wydziale kwaterunkowym m. Warszawy; brali stąd Roźniecki i Kuruta po 60.000 złp. rocznie, Gendre 40.000, i t. d. Była o tem mowa jeszcze w jednej petycji na sejm 1825 r., którą jednak wtedy ubito. Sam Lubecki w 1829 r. żądał w Radzie Administr. przekazania funduszu kwaterunkowego do Komisji skarbu, — bezskutecznie. Jeśli teraz o tej sprawie, skandalicznej zapewne, lecz bądź co bądź podrzędnej, wzmiankował przed Mikołajem jako o jednej z przyczyn rewolucji, to widocznie była ta aluzja do spisku prowokatorskiego, inscenizowanego przed samym wybuchem przez Roźnieckiego (przy pomocy szpiega Petrykowskiego) dla odwrócenia uwagi od śledztwa, wszczętego przez W. Ks. Konstantego latem 1830 r. z powodu owych nadużyć kwaterunkowych, a które przychodząc zaraz po dopiero co zapadłym wyroku Sądu Apelacyjnego (7 kwietnia 1830) w ohydnej sprawie Birnbauma, mogło Roźnieckiego zgubić do reszty. Z drugiej jednak strony, codzienna korespondencja Lubeckiego z Roźnieckim w 1830, odkryta W. Ks. Konstantemu przez Schleya, zdawałaby się wskazywać dobre między nimi stosunki; a daje też do myślenia niewątpliwy fakt zniszczenia części opieczętowanych papierów Roźnieckiego w Banku pod samym nosem władz rewolucyjnych, między 3 a 5 grudnia 1830 r., przez urzędnika Komisji skarbu. Co się wreszcie tyczy zapewnienia Mikołaja, iż o rzeczonych nadużyciach municypalnych „po raz pierwszy słyszy“, wydaje się ono dość dziwnem wobec faktu, że w tajnych relacjach, posyłanych mu z Warszawy przez pułkownika żandarmerji Sassa, na ręce szefa żandarmerji gen. Benckendorfa, były dokładne w tym względzie informacje; zresztą jednak nie byłaby wyłączonej możliwość, iż Roźniecki mógł wpłynąć przez Benckendorfa na zatajenie tych informacji przed monarchą.

<sup>11)</sup> Proklamacja do Polaków 17 grudnia.

son opinion personnelle sur cette pièce? „Sire“ — répondit le pce Lubecki — „la proclamation n'est pas suffisante; une idée fixe domine la Nation; elle craint qu'on veut profiter de cette révolte pour lui ôter la Charte. La proclamation ne détruit pas cette crainte“.

Sur cette réponse S. M. se tourna vers le cte Diebitch et dit: „Donc, c'est la guerre. Maréchal, vous partirez immédiatement“.

Relacja powyższa wymagałaby obszernego komentarza, a nawet korektury. Jest to dokument sporządzony bezpośrednio pod okiem Mikołaja, opatrzonej jego adnotacją i posiadający cechę wiarygodności względem tego, co zawiera. Ale jest to zarazem preparat, przeznaczony widocznie dla określonego celu, zapewne dla ewentualnego poufnego użytkowania przy którym z dworów (niedarmo odnalazł się w Archiwum spraw zagranicznych) — a więc budzący wątpliwości względem tego, co przemilcza<sup>12)</sup>. Ograniczamy się narazie do prostego podania tekstu. Bądź co bądź i w tem świadectwie mieści się potwierdzenie niechybnego faktu, że Lubecki nie był w istocie pełnym ambasadorem rewolucji. Inna rzecz — czy taki ambasador miałby wogóle cokolwiek do zrobienia w Petersburgu wobec fałszywej z gruntu orjentacji, nadanej w Warszawie sprawie rewolucyjnej w pierwszym okresie kunktatorskim? Ale roztrząsanie tych zagadnień zaprowadziłoby nas tu za daleko.

---

<sup>12)</sup> Audjencja, jak wiadomo skądinąd, trwała półtorej godziny, więc nie wyczerpuje jej ilościowo protokół.





## I N D E K S

- Abdul-Hamid** 202  
**Aksakow** 6  
**Albertrand** 26, 27, 287  
**Aleksander I** 9, 21, 22, 24, 26, 84—86, 88—107, 109, 119, 121, 123, 124, 126—149, 159, 160, 163, 165, 178, 211, 225, 227—230, 254, 258—264, 266, 268—280, 282, 334, 362, 367—376, 378, 379, 381, 399  
**Aleksander II** 10, 25, 173, 298, 315  
**Aleksander III** 10, 173  
**Alopeus** 263  
**Altenberg H.** 232  
**Alvensleben** 80, 211  
**Amaudru** berejter 115  
**Andrycz** 81  
**Anna Iwanówna** 273  
**Apuchtin** 6  
**Arakczew** hr. Aleksy 90, 91, 124, 138, 140, 165, 250, 261  
**Archetti** nuncjusz 73  
**Arciszewski** Jakób 314  
**Arsenjew** 299  
**Atar** wydawca 186  
**August III** 41.  
  
**Bach** 18  
**Bacon** 38  
**Baggowut** gen. ros. 250  
**Bailleu**, historyk 151, 344  
**Bajkow** 152  
**Balzac** 273, 299  
**Bandtkie** Wincenty 143, 375  
  
**Barbara Radziwiłłówna** 8  
**Barclay de Tolly** gen. 123, 128, 129  
**Bayard** 82  
**Bazyli Wielki** 70  
**Beaconsfield** (lord Disraeli) 266  
**Beer** 151  
**Beethoven** 18  
**Bem** gen. 165  
**Benckendorf** gen., szef żandarmerji, 384  
**Bentley** 40  
**Bentkowski** 379  
**Berchtold** hr. 10  
**Berek** Joselowicz 11  
**Berg** hr. namiestnik 305  
**Bernis** kardynał 337  
**Bestużew** 162, 266  
**Bezak** gen.-gub. orenburski 318  
**Bezborodko** kanclerz 210, 263  
**Bieńkowski** sędzia apel. 143, 375  
**Bignon** 331  
**Birenówna** Dorota, księżniczka kurlandzka 253, 273  
**Birnbaum** 384  
**Bismarck** 6, 266, 304, 341, 342  
**Bleibtreu** 333  
**Bloch** Jan 304, 307  
**Bobrinskij** hr. 126, 267  
**Bobrzyński** Michał, namiestnik Gal. 159  
**Boerne** 298  
**Bogdanowicz** 88  
**Bogusławski** Władysław 307  
**Bohdanowicz** 114  
**Bolesław Chrobry** 5



- Bolesław Śmiały 5, 311  
 Bonaparte ob. Napoleon I  
 Boszniak Aleksander 163, 165  
 Bourgoing 113  
 Bourrienne 330  
 Bowers 193  
 Branicka Ksawerowa hetmanowa 110  
 Branicki 299  
 Branicki Aleksander 297  
 Branicki Władysław 297  
 Branicki Ksawery hetman 99, 110, 204, 206  
 Brentano 345  
 Brissot 220  
 Browning 333.  
 Brückner Aleksander prof. 312  
 Brunetière 338  
 Brzozowski Jan 318  
 Buckle 319  
 Budberg bar. 263, 271  
 Bukowski Henryk 315  
 Bülow von, gen. pruski 135  
 Bülow kanclerz 345  
 Bułgarin pułk. 123  
 Bułhakow, gub. wileński 367  
 Burgoyne gen. ang. 216  
 Burnet 38  
 Bute lord 42  
 Byron 139, 213, 229  
  
 Caillard, poseł franc. w Berlinie 76, 79  
 Campbell Tomasz 224  
 Caran d'Ache 334  
 Carlyle 42  
 Carteret lord hr. Granville 40—41  
 Carysfort lord 153  
 Catullus 256  
 Caulaincourt 113, 115—120  
 Cavour 266  
 Cellini Benvenuto 31  
 Chałubiński Tytus dr. 300  
  
 Chinard 194  
 Chłopicki gen. 164, 173, 247, 382, 384  
 Chmielowski Konrad 315  
 Chodkiewicz Aleksander 110  
 Chodkiewiczze 8  
 Choiseul 150, 215  
 Chomiński gen., gub. kowieński 316  
 Chotkowski, ksiądz 70  
 Chrzanowski Wojciech gen. 247  
 Chuquet 334  
 Cichowski, kanonik sandom. 35  
 Ciechanowski, biskup chełmski 11  
 Ciecierski, ksiądz 367  
 Claude Bernard 298  
 Condé ks. 34  
 Conti ks. 34  
 Cooper 165  
 Corbin 194  
 Cranmer 38  
 Cromwell 39  
 Cyd 82  
 Czacki Tadeusz 8, 9, 26—28, 110, 265, 275, 287  
 Czartoryscy 41, 72, 101, 129, 206, 214, 218, 237, 253  
 Czartoryska Anna z Sapiehów 284  
 Czartoryska Izabella 128—130, 222, 253, 255—6, 273  
 Czartoryski Adam, gen. ziem podolskich 214, 253—5  
 Czartoryski Adam, ros. min. spraw zagr., prezes Rządu Narodowego 6, 11, 22—3, 25—6, 28, 47, 83, 85—6, 97, 99, 100—103, 105, 128—131, 138, 140, 142—44, 146, 148, 154, 159, 173, 222, 227, 228, 232—3, 237, 241, 246, 252—284, 331, 368—9, 371—375, 379—382, 399  
 Czartoryski August 41, 206, 254  
 Czartoryski Konstanty 110, 128, 130, 156, 255, 258  
 Czartoryski Michał 41, 62, 254  
 Czartoryski Władysław 304

- Czerniewicz jezuita 73  
Czernin 10  
Czertkow gen.-gub. warsz. 177  
Czetwertyńska-Naryszkinowa Ma-  
rja 163, 261  
Czetwertyński 261  
Czyczagow adm. 102
- Dahlmann** 339  
Dalewscy bracia 315  
Daudibert Caille Karol Stefan 74,  
80  
Dowkont Szymon 8  
Dąbrowski Jan Henryk gen. 5, 6,  
11, 17—23, 45, 75—6, 80, 97—8,  
100, 197—8, 233, 246, 330,  
367—8  
Dąbrowski, sędzia pokoju 144  
Decker 123  
Dekert 19  
Delacroix 76—77  
Delavigne Kazimierz 229  
Delbrück Hans prof. 333, 345, 356  
Deljanow, ros. min. oświaty 309  
Dembiński Henryk gen. 165, 247  
Dembowski 381  
Dickinson John 35  
Dino księżna 253, 273  
Dłuski-Jabłonowski 315  
Dmochowski Franciszek 77  
Dodun 79  
Daerries 151  
Donajajtys 8  
Draper 319  
Droysen 340, 344, 353  
Drzewiecki 287  
Duncker 340, 344  
Duroc ks. Friulu 115  
Dybic (Diebitsch) feldm. 380, 385  
Dymitr Samozwaniec 105  
Działyńska Iza z Czartoryskich 272
- Egmont** 18  
Eisenberg 79
- Elssler Fanny 156  
Elżbieta, królowa angielska 35  
Elżbieta Aleksiejówna 105, 163,  
260—262, 399  
Elżbieta Piotrówna 3, 42, 83  
Enoch sekr. stanu 299  
Ernest August ks. kumberlandzki,  
król Hanoweru 352  
Eton 249  
Eugenjusz Beauharnais, wicekról  
Włoch 251
- Fehrenbach 182  
Ferdynand arcyks. austriacki 22,  
102.  
Fijałkowski arcyb. 300  
Filip Orleański 208  
Filosofow Dymitr 162  
Finckenstein 77, 80  
Finkel Ludwik prof. 312  
Fischer gen. 19  
Fischer Ludwik księgarz 213, 232  
Flagg Bernis Samuel 193  
Flahaut hr. poseł fr. w Wiedniu 171  
Fortescue 38  
Fould 297  
Fournier 151  
Franciszek I cesarz austr. 22  
Franciszek I król franc. 34  
Franciszek Józef cesarz austr. 173  
Franklin Jameson J. 193  
Friese 250  
Fredro Seweryn 115  
Fryderyk I Barbarossa, cesarz  
niem. 126  
Fryderyk II pruski 3, 6, 40, 42, 45,  
52, 54, 62, 63, 150, 183, 197,  
199—202, 266, 269, 342—4,  
347, 355—7, 359—360, 362—3.  
Fryderyk III 47  
Fryderyk August IV, król saski,  
w. ks. warszawski 118, 149  
Fryderyk Wilhelm, „wielki elek-  
tor“ 3, 355, 358, 362



- Fryderyk Wilhelm I pruski 44, 45, 359  
 Fryderyk Wilhelm II pruski 20, 22—24, 45, 76, 78, 209—210, 223, 360, 362  
 Fryderyk Wilhelm III pruski 25, 45, 122, 149, 183, 269, 279, 341, 354, 361, 362  
 Fryderyk Wilhelm IV pruski 47  
**Garbiński** dyrektor 293  
**Garrampi** nuncjusz 73  
**Gates** gen. 216  
**Gaud von** gen., gub. woj. wrocł. 124  
**Gąsiorowska** Natalja prof. 157  
**Gendre** gen. ros. 384  
**Gentz** Fryderyk 150—156  
**George Sand** 273  
**Gervinus** 339, 352  
**Gliszczyński** Michał 299  
**Goethe** 256  
**Golicyn** ks. Sergjusz 88, 90—I, 93—4, 96, 101—2  
**Goltz** 333  
**Gopcewicz** 81  
**Gorczałow** ks., namiestnik, 298, 300, 301, 306  
**Gordon** Francis 36  
**Górski** Ludwik 301, 306  
**Goślicki** 38  
**Grabowski** 251  
**Grabowski** oficer huzarów 216  
**Grabowski** Stanisław, min. oświaty 160, 375, 379  
**Grabowski** Stefan, sekretarz stanu Królestwa 380  
**Greene** gen. 217  
**Gruber** jezuita 262  
**Grydzewski** Mieczysław redaktor 162  
**Grzegorz** XIII 35  
**Grzymułtowski** 59  
**Guglia** 151  
**Guizot** 169, 170, 171  
**Gustaw Adolf**, 36, 347  
**Habsburgowie** 224, 234  
**Hannibal** 40  
**Hardenberg** ks. kanclerz 122, 151  
**Harris** James earl of Malmesbury 42  
**Hartman** 8  
**Haugwitz** hr. 78—80, 153  
**Hauptmann** 182  
**Häusser** 353—4  
**Hebdowski** 27  
**Heine** 154  
**Henkiel** Dyonizy 307  
**Henryk** ks. pruski 45, 52  
**Henryk II** cesarz 126  
**Henryk IV** francuski 34  
**Henryk VIII** angielski 38  
**Henryk** Walezy 12, 34  
**Herder** 18  
**Hertzberg** 18, 77, 360  
**Hobbes** 38  
**Hohenzollernowie** 46, 149, 343, 354  
**Hoym** 18, 154, 361  
**Hugo** Wiktor 168—171, 335  
**Humboldt** 151  
**Houssaye** 334  
**Imeretyński**, gen.-gub. warszawski 177  
**Iwan** Groźny 3, 34, 35  
**Iwelicz** 84  
**Izwolski** 267  
**Jabłonowski** ks. Antoni 166  
**Jabłonowski** Maciej 128  
**Jagiellonowie** 7, 34, 38, 230  
**Jakób I** 35  
**Jan** Kazimierz król 3, 39  
**Jan III** Sobieski 36, 37, 82, 324, 327  
**Jasiński** Jakób gen. 8  
**Jaworski** Melchizedech 73  
**Jean-Paul** 298  
**Jefferson** 193, 196, 225  
**Jerzy** król hanowerski 351

- Jerzy II 42  
 Jerzy III 13, 42  
 Jerzy V 13  
 Jeżowski 164  
 Jovius 3  
 Józafat św. 72  
 Józef arcyks. palatyn. 101  
 Józef II cesarz 3, 6, 10, 42  
 Judycki Stanisław 367  
 Julian Apostata 35  
 Jurewicz Józefat 316  
 Jurgens Edward 299, 301  
 Juszniewski, dekabrysta 166
- Kalinka ksiądz, historyk 203, 205,  
 208, 210, 322  
 Kapostas, bankier, spiskowiec 259  
 Karageorgij 102  
 Karamzin 6, 105, 139  
 Karłowicz Jan 315  
 Karol arcyksiążę 22, 102  
 Karol I angielski 36, 39  
 Karol II 36  
 Karol III hiszpański 42  
 Karol XII szwedzki 82  
 Karol Emanuel III sardyński 262  
 Katarzyna II 5, 9, 10, 22, 42,  
 52, 53, 59, 62, 63, 65, 69, 71, 72,  
 73, 83, 84, 104—106, 132, 136,  
 139, 150, 197, 214, 218, 223,  
 225, 249, 258, 259, 261, 312,  
 344, 352  
 Katarzyna Pawłówna 105  
 Katon 205  
 Kaunitz 150  
 Kicki Onufry, senator-kasztelan 128  
 Kiderlen-Waechter 74  
 Kiliński 259  
 Kipa Emil, historyk 150  
 Kirchseisen 151, 329  
 Kisielew hr. 166, 263  
 Kisielewowa z Potockich 166  
 Kleiner Juljusz prof. 162  
 Klemens XIII 42
- Klinckowström 151  
 Klotylda królowa sardyńska 262  
 Kluckhohn 340  
 Knesebeck gen. pruski 135, 136,  
 347  
 Kniaziewicz gen. 27, 98, 110, 197,  
 246, 248, 249, 368  
 Kniaziewicz Grzegorz, ksiądz 330  
 Knox John 38  
 Kochanowski Michał, senator 211,  
 381, 382  
 Kocieł 114  
 Koczubej hr. Wiktor 263, 264  
 Kołłątaj Hugo 4, 6, 7, 13, 28, 221  
 Konarski Szymon 314  
 Koniski Jerzy 62, 73  
 Konopka gen. 368  
 Konrad mazowiecki 357  
 Konstanty Mikołajewicz w. ks. 303  
 Konstanty Pawłowicz w. ks. 6, 21,  
 54, 99, 105, 106, 137, 139, 145—6,  
 148, 163, 173, 209, 225, 245, 250,  
 268, 280—1, 381—4  
 Kopp 6  
 Korzon Adam 313  
 Korzon Jan 313  
 Korzon Tadeusz 35, 307, 313—328,  
 399  
 Korzonowa Henrjetta z Łowa-  
 szyńskich 314  
 Korzonowa Jadwiga z Kulwieciów  
 316, 317, 326  
 Kościuszko Tadeusz 5, 6, 8, 11,  
 13, 20, 21, 27, 45, 52, 75, 98—101,  
 108, 109, 137, 143, 144, 149,  
 154, 186—190, 197, 201—2, 208,  
 213—231, 233, 236, 246—7,  
 258—9, 279, 312, 322—3, 327,  
 346, 367—8, 399  
 Koser prof. 357  
 Kosiński Amilkar gen. 30, 367  
 Kossakowscy 7, 109, 378  
 Kossakowski Józef 114  
 Kostrowicki Adam 318  
 Krajewski Aleksander 307, 315, 325



- Krasieński Adam 174  
 Krasieński Wincenty gen. 114, 128, 130, 368, 382  
 Kraszewski Józef Ignacy 298—304  
 Kremer 19, 315  
 Kronenberg Leopold 292—309, 319, 321, 399  
 Kronenberg Samuel 293  
 Kronenbergowa Róża z Leów 296  
 Kronenbergowa Tekla ze Schwar-  
 tzów 293  
 Krygier kontradmirał, gub. ko-  
 wieński 316, 317  
 Krzyżanowski 21, 293  
 Kubala Ludwik, historyk 311—2  
 Kulwiec Tadeusz 316—7  
 Kulwiec-Jurewiczowa Tekla ze  
 Swolkeniów 316—7  
 Kurnatowski gen. 382  
 Kuruta gen. 384  
 Kutuzow feldm. 104, 109, 138,  
 140, 250, 378  
 Łach-Szyrma 304  
 Ladoch ksiądz 144  
 Lafayette gen. 201, 216  
 Lafitte bankier 294  
 Lamprecht prof. 6, 345  
 Lanfrey 332  
 Lauzun 208  
 Lednicki Wacław prof. 162  
 Lefebvre-Desnouettes hr. gen.  
 115—18  
 Lehmann Max prof. 333, 339—351,  
 353—4, 356—8, 362—399  
 Lelewel 13, 19, 30, 246, 324, 339,  
 381—2  
 Lengnich 19  
 Lenz 333, 345  
 Leonidas 82  
 Lessing 18  
 Leszczyńska Emilja 329  
 Libelt 315  
 Lichaczew, wiceprezes sądu okr.  
 308  
 Lieven księżna 169  
 Limanowski Bolesław, historyk 315  
 Linowski Aleksander 128, 130, 369,  
 371  
 Lissowski 71—2  
 Litauer J. J., adwokat 374  
 Lombard J. W., tajny radca gabi-  
 netowy 18  
 Loret Maciej, historyk 65, 73  
 Lubecki Aleksander ks., minister  
 295, 297, 377—385, 399  
 Lubomirscy 41, 110, 206  
 Lubomirska marszałkowa 206  
 Lubomirska Franciszkowa 114  
 Lubomirska Helena 99  
 Lubomirska Ludwika z Sosnow-  
 skich 99  
 Lubomirski ks. J. Tad. 299, 308  
 Lubomirski Stanisław 254  
 Lucchesini G. 18, 80, 201  
 Ludendorff gen. 183  
 Ludwik XV 41—2, 220  
 Ludwik—Ferdynand ks. pruski 23,  
 46  
 Ludwik—Filip król 169, 294  
 Luiza, królowa pruska 269  
 Łanskoj gen.-gub. 123—5, 245, 378  
 Łaski Jan 38  
 Łempicka Konstancja z Sołtyków  
 289  
 Łętowski, kanonik 147  
 Łopuchin 138—9  
 Łubieńska Cecylja 55  
 Łubieński, min. spraw. 46, 147,  
 291  
 Łubieński ksiądz, biskup augu-  
 stowski 299  
 Łukasieński Walerjan 12, 137, 147,  
 162, 163, 173, 328  
 Macaulay Thomas, historyk 200,  
 342  
 Mackintosh James, historyk 42  
 Madaliński gen. 45, 248

- Maistre Joseph de, filozof 151, 163  
 Malet Claude François de, gen. 119  
 Maksymiljan arcyks. 102  
 Maksymowicz, gen.-gub. warsz. 177  
 Malewska Marja 164  
 Malewska Zofja 164  
 Malewski Franciszek 164  
 Małachowski 300  
 Małachowski Jacek 204  
 Małachowski Stanisław 6, 77, 208, 211, 222  
 Maraboulle 78  
 Marbot Antoine bar. de, gen. 334  
 Maret Hugues Bernard ks. Bassano, min. 116  
 Marja Ludwika 120, 274  
 Marja Pawłówna 119  
 Marja Teodorówna 105, 139  
 Marja Teresa 3, 234  
 Marmont Auguste-Frédéric-Louis de, ks. Raguzy, marsz. 83  
 Marycki Szymon, prof. Ak., krak. 38  
 Massalski biskup 73  
 Massenbach pułk. 23  
 Masson Fryderyk, historyk 329—338.  
 Matuszewic Tadeusz, min. skarbu 118, 128, 130, 276, 293, 369, 370—372  
 Matuszewic Wincenty 128  
 Matuszewicówna Zofja 128  
 Medakowicz 81  
 Mendelsohn 182  
 Mendelsohn—Bartholdy 151  
 Merkel, gub. prow. śląskiej 124  
 Merder, radca kolegjalny 122—3  
 Metternich 6, 10, 151—2, 155—6, 169—171, 266, 284  
 Michał w. ks. 277, 380  
 Michelet, historyk 219, 230  
 Mickiewicz Adam 7—9, 11—14, 162—167, 230, 258, 331  
 Mickiewicz Władysław 163  
 Mieszkowski 147, 216  
 Mikłaszewicz, radca koleg. 123—125  
 Mikołaj I 10, 86, 166, 173, 178, 207, 245, 282, 294, 297—8, 314, 315, 380—5  
 Mikołaj II 10  
 Mikołaj Michajłowicz w. ks., historyk 334  
 Milton 38  
 Milutin 6  
 Miłoradowicz gen. 132  
 Minckwitz, szef sztabu namiestnika Królestwa 305  
 Młodziejowski 61  
 Mniewski Djonizy, gen. ziemiański 77  
 Mochnacki Maurycy 379  
 Modrzewski Frycz 3, 38  
 Moltke 333  
 Montalembert 169, 170  
 Morawski K. M. 203  
 Morgulec Józef 71  
 Morkow 263  
 Morse John 193  
 Morus (More) 38  
 Mościcki Henryk, historyk 73  
 Mostowski Tadeusz 278  
 Moszczeński, zast. pref. poznań. 123, 125  
 Mouton hr. Lobau 115  
 Murat, marsz. 100, 102, 287—8  
 Muratori Lodovico Antonio, archeolog 351  
 Napoleon I 6, 20, 26, 46, 83, 95—101, 104—109, 111—123, 126, 142, 163, 169, 177, 183, 197, 211, 222, 225—230, 236—7, 239, 243—4, 248, 252, 268, 270—2, 274—6, 289—291, 312, 329—338, 354, 362, 367—9, 371, 374  
 Napoleon III 171, 272, 331—2, 336  
 Nartowski Jan 367



- Nazimow, gen.-gub. wileński 317  
 Nesselrode Karol Robert hr., kanclerz 380  
 Ney, marszałek 82,  
 Ney, syn marszałka 170  
 Niegosz Piotr Piotrowicz (św. Piotr) 84, 86—7, 102  
 Niegosze 83  
 Niemcewicz 291  
 Norwood Young 194  
 Nowosilcow M. M. 4, 5, 54, 100, 105, 129—130, 140, 142, 145, 148, 153, 158—160, 245, 262—3, 281, 282  
 O'Connor Bernard, lekarz 37  
 Ogińscy 7  
 Ogiński Michał 103, 105, 109, 114, 368, 378  
 Oncken 312  
 Orłowski malarz 99  
 Osiński 287  
 Osolińscy 72  
 Ostrowski 61, 381—2  
 Otton III 357  
 Ottonowie 343  
 Owsianowa, sędzina 314  
 Ożarowski gen.-adj., senator 163, 295  
 Pac Ludwik gen. 110, 114, 381—2  
 Panin Nikita 63, 104, 266  
 Paris Gaston, filolog 338  
 Paskiewicz, namiestnik 10, 62, 163—5, 294—5, 297  
 Paskiewiczowa z Gribojedowów ks. namiestnikowa 294  
 Paszkowski Józef, gen. 128, 130  
 Patrjarcha konstantynopolitański (1790 r.) 58  
 Paweł I car 3, 9, 10, 22, 25, 84, 98, 104, 210, 225—7, 247, 258—9, 261—2  
 Pawiński Adolf, historyk 339, 351  
 Pawłowski, majordom ks. Czartoryskich 129  
 Pereire 297  
 Périer Casimir, bankier 294  
 Pertz 340  
 Petruszewiczowa porucznikowa 314  
 Petrykowski, szpieg 384  
 Peyzer Michał Jakób, podrabin 123  
 Piastowie 38  
 Piątkiewicz Ludwik 379  
 Piotr I Wielki 3, 6, 9, 10, 59, 105, 249  
 Piotr II 42  
 Piotr III 83, 104  
 Piramowicz Grzegorz, ksiądz 29  
 Pisiemskij, djak 35  
 Pitt starszy 40, 41  
 Plater Ludwik 375  
 Plutarch 215  
 Płatow, ataman 109, 230  
 Podoski 61  
 Pokrowski 166  
 Poniatowscy 41, 218  
 Poniatowska 254  
 Poniatowski Józef ks. 5, 10, 11, 20, 21, 23, 25—6, 82, 88—9, 106, 110—111, 141, 218, 222, 227—8, 232—46, 249, 252, 255, 272, 274—5, 279, 287, 311, 345, 349, 399  
 Popiel 301  
 Posner 374  
 Potemkin Gregorij ks. 10, 58, 84  
 Potoccy 41, 110, 206, 237  
 Potocka Julja 222  
 Potocka Szczęsnowa 105, 163  
 Potocka-Wasowiczowa Anna z Tyszkiewiczów 113  
 Potocka Zofja Feliksowa z Niesiołowskich 368  
 Potocki Alfred, syn Jana 110  
 Potocki Artur, syn Jana 110  
 Potocki Feliks 368  
 Potocki Jan 102, 110  
 Potocki Ignacy 23, 29, 99, 106, 203—212, 221, 246—7, 257—9, 399

- Potocki Stanisław min. 118, 158—  
160, 211, 238, 255, 272, 291,  
368, 375  
Potocki Stanisław, syn Szczęsnego,  
110  
Potocki Szczesny 12, 204—5  
Potocki Tomasz 301  
Potocki Włodzimierz, syn Szczęsnego 110  
Pradt, arcyb. mechliński 118, 330  
Prądzyński Ignacy, gen. 21, 247, 293  
Preuss 340  
Prokesch—Osten 151  
Prószynska z Korzonów 318  
Prószynski-Promyk 318  
Przeciszewski 114  
Przeździecki Aleksander 297  
Przyborowski Józef 325  
Przystański, dyrektor 321  
Pugaczew 13, 104  
Pułaski Kazimierz 197, 201, 216  
Puszkina 6
- Radetzky 101  
Radiszczew 163  
Radziwiłł Antoni 23—26, 46, 128,  
273  
Radziwiłł Dominik 110, 114  
Radziwiłł Michał 110, 381  
Radziwiłłowa Luiza z Hohenzollernów 46, 273  
Radziwiłłowa Michałowa, wojewodzina wileńska 128, 273  
Radziwiłłowie 7, 8, 41, 237, 244, 289  
Ranke 340, 344, 353  
Rechenberg baron, konsul niemiecki w Warszawie 307  
Repin 6, 42, 63, 254, 258  
Rebell Jean-François, członek Dyrektorjatu 76  
Richter Borys, gen.-lejtant 173  
Richter Otton von, gen.-adj., gen. piechoty 172—5, 180  
Rivière, poseł saski w Paryżu 118
- Robespierre 220, 224  
Rocca-Romana ks. 116  
Roe sir Thomas 36  
Roland 82  
Roloff 333  
Romanowowie 149  
Rosebery 333  
Rosen 297  
Rostocki, prymas unicki 11, 73  
Rostopczyn 100, 104—5, 137—8, 263,  
263,  
Rothschild 146, 153, 155, 298  
Rothschild James 297  
Rousseau 105, 150, 215, 346  
Roustam mameluk 115—117, 120  
Różniecki gen. 54, 384  
Rudolf II cesarz 35  
Rumiancew hr. Mikołaj 90, 91, 93—4, 138  
Rylejew 162  
Rymkiewicz Franciszek, gen. 233  
Ryszard Lwie Serce 82  
Rzewuska Rozalja Emirowa Wacławowa 128  
Rzewuski Henryk 163, 164  
Rzewuski Wacław Emir 167
- Sabiński, porucznik 167  
Sadkowski Wiktor 73  
Sagramosa, nuncjusz 73  
Saint-Aignan, poseł fr. przy dworze wejmarskim 119  
Saltykow Mikołaj hr. 138  
Samarin Jurij 5  
Sandoz 77—8, 80  
Sanguszko Eustachy 103, 110, 114, 222  
Sanguszkowie 101, 244  
Sapieha Aleksander 102, 110, 368  
Sapieha Kazimierz Nestor 77, 204  
Sapiehowie 7, 41, 237  
Sass, pułk. żand. 384  
Scharnhorst 341, 347, 354  
Schiller 18, 19



- Schlesier 151  
 Schley Mateusz szpieg 384  
 Schloezer August Ludwik 339,  
     352—3  
 Schloezer Kurt v. 353  
 Schmelling 10  
 Schmoller 345  
 Schmidt, konsul pruski w Warsza-  
     wie 54  
 Schmidt-Weissenfels 151  
 Schön 347  
 Schretter 25  
 Schroetter, min. 211  
 Schuermans 113  
 Schwarzenberg ks. 102, 110  
 Scypion 82  
 Sejan 51  
 Selves de 74  
 Seneka 106  
 Senfft 117  
 Serra, amb. fr. w Dreźnie 118  
 Shakespeare 256  
 Sherwood podoficer 165  
 Sienkiewicz 15  
 Siemieński Lucjan 164  
 Sierakowski Józef 368  
 Sieroszewscy 289  
 Siestrzencewicz 61, 70, 73  
 Sievers 53  
 Skałkowski Adam, prof. 369  
 Skarga 3  
 Skrzynecki gen. 247  
 Smogorzewski, metropolita 70—73  
 Smolka, prof. 377  
 Sobańska Karolina 162—166  
 Sobański Hieronim 163—4  
 Sobolewski Ignacy, minister 147,  
     148, 293, 376, 381  
 Sokolnicki Michał, generał 246—51,  
     367, 399  
 Sokolnicki Michał, historyk 246  
 Sołowiew 263  
 Sołtyk Kajetan, biskup krakowski  
     286, 290  
 Sołtyk Roman, gen. 289  
 Sołtyk Stanisław 285—291  
 Sołtykowa Karolina Stanisławowa  
     z Sapiehow, 1<sup>o</sup> voto Teodorowa  
     Potocka 287—8, 290  
 Sorel Albert, historyk 334  
 Spasowicz dr. Daniel 314  
 Speranskij 104, 105, 136—7  
 Spiess 151  
 Stadion hr. 10  
 Stair lord 40  
 Stalmach Paweł 29  
 Stanisław August król 42, 58,  
     61—2, 206, 214, 218, 234, 238,  
     250, 258, 261, 320—2, 327  
 Stanisław Leszczyński król 41,  
     44—5, 310  
 Staszic 4, 12—3, 28, 30, 102, 287, 297  
 Stefan Batory 35  
 Stefan Małyj 83  
 Stein Henryk bar. v. 23, 344—5,  
     347—9, 362  
 Stern 151  
 Sterne 163  
 Stokowski Ignacy 115—6  
 Stołypin Arkadusz 110  
 Storożenko 294  
 Strogonow hr. Paweł 261, 263  
 Strumiło Szymon, ksiądz 314  
 Stuarci 35—6, 40  
 Stuart Jakób 39  
 Sulla 223  
 Sułkowski Antoni, gen. 128, 130  
 Sułkowski Józef 13, 98, 247, 330,  
     339, 367  
 Suworow 6, 20, 132, 209, 226  
 Swentonjusz 200  
 Sybel Heinrich v., historyk 340—4,  
     353—4, 356  
 Szaniawski Józef Kalasanty 128,  
     131, 160, 375  
 Szaniawski, kanonik 147  
 Szeptycki Atanazy, biskup prze-  
     myski 62  
 Szeptycki Leon, metropolita 71  
 Szlenkier 300

- Szumowski Aleksander 318  
 Szuwałow, gen.-gub. warsz. 177  
 Szylder, historyk 165, 263, 333  
 Szyszkow 138  
**Taaffe** Edward, min. 10  
 Tacyt 51, 200  
 Taine 332—4  
 Talleyrand 266, 331  
 Tarnowska Urszula 222  
 Tarnowski Marcin, pułk. 110  
 Tarnowski Stanisław, prof. 311  
 Tass 256  
 Taszycki Gabrijel 77  
 Tauentzien, gen. 79  
 Tell Wilhelm 18  
 Tęczyńscy 8  
 Theremin, konsul franc. w Lipsku 119  
 Thiers 331  
 Thou de (Thuanus) 12, 36  
 Tokarzewski 315  
 Tolstoj 263  
 Tolstoj, gen. piechoty 380  
 Tombeur 249  
 Traczewskij, historyk 263, 333  
 Treitschke Heinrich v. 6, 340—1, 344  
 Trembecki 101  
 Trembicki, gen. 383  
 Trentowski 315  
 Trepow, gen.-policmajster warsz. 305  
 Troschke baron Karol Antoni Ferdynand 122—124  
 Tudorzy 34, 40  
 Turkuł, min. sekr. stanu Kr. Polsk. 296—8  
 Tyberjusz 51  
 Tylor Aleksander 37  
 Tymoleon 215  
 Tymowski, malarz 186  
 Tyszkiewicz Dominik 114  
 Tyszkiewicz Tadeusz 368  
 Tyszkiewiczowie 114  
**Uzdowski**, oficer 216  
**Vandal** Albert, historyk, 334  
 Vandernoot, oficer żand. 250  
 Varnhagen 151  
 Voltaire 150, 355  
 Voss 25, 360  
**Waitz** Jerzy 339, 340, 351, 353  
 Walezjusze 36  
 Walpole Robert 40  
 Washington Jerzy 13, 193—202, 216, 222, 225, 399  
 Watzdorff 117  
 Wawrzecki Tomasz 187, 368  
 Wawrzkowicz Eugenjusz 33  
 Wąsowicz Stanisław 113—120  
 Wąsowiczowa ob. Potocka  
 Weiland 340  
 Wells 42  
 Wende E. i Sp. 213, 232  
 Wettyni 149  
 Węgrzecki Stanisław, prezydent m. Warszawy 144, 147  
 Wielopolski margr. Aleksander 24, 159, 301—3, 339, 378  
 Wilamowicz 345  
 Wilczewski 117  
 Wilhelm I 47, 352  
 Wilhelm II 44, 47, 199, 200, 202  
 Wilhelm Orański 40  
 Williams Sir Charles Hanbury, poseł angielski 41, 42  
 Wilson Woodrow 13, 193  
 Wirtemberska ks. Marja z Czartoryskich 128—130, 222, 255, 273  
 Wirtemberski ks., gen. 258  
 Witold w. ks. lit. 7  
 Witt Jan gen. 110, 162—6  
 Witte Sergjusz, min. 309  
 Wittichen 151  
 Władowicz 81  
 Władysław Jagiełło 5  
 Władysław IV 36, 57, 105  
 Wohl Henryk 303  
 Wojciechowski Tadeusz, prof. 310, 311, 312, 399



- Wojczyński Stanisław gen. 211  
Wołkoński Piotr ks., gen.-adj. 128,  
129, 380  
Wołkoński Sergjusz ks., deka-  
brysta 166  
Wołodkiewicz 114  
Woodward W. E. 194  
Wordsworth William, poeta 37  
Woroncow Aleksander, kanclerz 264  
Woroncowowie 263  
Woronicz Jan Paweł, arcyb. 238  
Wronczenkogr., minister skarbu 296  
Wukoticz, archimandryta 84  
Wybicki Józef 6, 45, 76, 80, 98,  
117, 367  
Wyczehowski Antoni, prokurator  
142, 375  
Wylie, lekarz 129  
Zabłocki 288  
Zahn 151  
Zajączek gen. 246  
Zakrzewski Ignacy 247, 259  
Zamojscy 41, 237  
Zamojska Zofja Stanisławowa  
z Czartoryskich 128, 130, 255  
Zamojski Andrzej 30, 62, 297,  
300—1  
Zamojski Stanisław 103, 106,  
128—130, 369, 371  
Zamojski Tomasz 306, 309  
Zawadzki Jan, starosta świecki 36  
Zerboni 103  
Zorycz 84  
Zubow Płaton 53  
Zygmunt August 35  
Zygmunt III 35, 105
-

## SPIS ILUSTRACYJ

|                                                                                                       | Str. |
|-------------------------------------------------------------------------------------------------------|------|
| Prof. Szymon Askenazy (1923) . . . . .                                                                | III  |
| Prof. Szymon Askenazy z grupą pierwszych swoich uczniów na<br>uniwersytecie lwowskim (1903) . . . . . | 15   |
| Aleksander I . . . . .                                                                                | 127  |
| Cesarzowa Elżbieta (1779—1825) . . . . .                                                              | 143  |
| Księżę Aleksander Lubecki . . . . .                                                                   | 159  |
| Jerzy Washington (1796) . . . . .                                                                     | 199  |
| Ignacy Potocki . . . . .                                                                              | 207  |
| Tadeusz Kościuszko . . . . .                                                                          | 223  |
| Księżę Józef Poniatowski (1793) . . . . .                                                             | 239  |
| Gen. Michał Sokolnicki . . . . .                                                                      | 247  |
| Księżę Adam Czartoryski . . . . .                                                                     | 255  |
| Księżę Adam Czartoryski . . . . .                                                                     | 279  |
| Baron Leopold Kronenberg . . . . .                                                                    | 303  |
| Prof. Tadeusz Wojciechowski . . . . .                                                                 | 311  |
| Tadeusz Korzon . . . . .                                                                              | 319  |
| Prof. Max Lehmann . . . . .                                                                           | 343  |



|     |     |
|-----|-----|
| 100 | 100 |
| 101 | 101 |
| 102 | 102 |
| 103 | 103 |
| 104 | 104 |
| 105 | 105 |
| 106 | 106 |
| 107 | 107 |
| 108 | 108 |
| 109 | 109 |
| 110 | 110 |
| 111 | 111 |
| 112 | 112 |
| 113 | 113 |
| 114 | 114 |
| 115 | 115 |
| 116 | 116 |
| 117 | 117 |
| 118 | 118 |
| 119 | 119 |
| 120 | 120 |
| 121 | 121 |
| 122 | 122 |
| 123 | 123 |
| 124 | 124 |
| 125 | 125 |
| 126 | 126 |
| 127 | 127 |
| 128 | 128 |
| 129 | 129 |
| 130 | 130 |
| 131 | 131 |
| 132 | 132 |
| 133 | 133 |
| 134 | 134 |
| 135 | 135 |
| 136 | 136 |
| 137 | 137 |
| 138 | 138 |
| 139 | 139 |
| 140 | 140 |
| 141 | 141 |
| 142 | 142 |
| 143 | 143 |
| 144 | 144 |
| 145 | 145 |
| 146 | 146 |
| 147 | 147 |
| 148 | 148 |
| 149 | 149 |
| 150 | 150 |
| 151 | 151 |
| 152 | 152 |
| 153 | 153 |
| 154 | 154 |
| 155 | 155 |
| 156 | 156 |
| 157 | 157 |
| 158 | 158 |
| 159 | 159 |
| 160 | 160 |
| 161 | 161 |
| 162 | 162 |
| 163 | 163 |
| 164 | 164 |
| 165 | 165 |
| 166 | 166 |
| 167 | 167 |
| 168 | 168 |
| 169 | 169 |
| 170 | 170 |
| 171 | 171 |
| 172 | 172 |
| 173 | 173 |
| 174 | 174 |
| 175 | 175 |
| 176 | 176 |
| 177 | 177 |
| 178 | 178 |
| 179 | 179 |
| 180 | 180 |
| 181 | 181 |
| 182 | 182 |
| 183 | 183 |
| 184 | 184 |
| 185 | 185 |
| 186 | 186 |
| 187 | 187 |
| 188 | 188 |
| 189 | 189 |
| 190 | 190 |
| 191 | 191 |
| 192 | 192 |
| 193 | 193 |
| 194 | 194 |
| 195 | 195 |
| 196 | 196 |
| 197 | 197 |
| 198 | 198 |
| 199 | 199 |
| 200 | 200 |

## SPIS RZECZY

|                     | Str. |
|---------------------|------|
| Przedmowa . . . . . | V    |

### SZKICE

|                                                                                                |     |
|------------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| 1. O niektórych przedstuletnich zagadnieniach odbudowy Rzeczy-<br>pospolitej . . . . .         | 3   |
| 2. Przewodnicy myśli polskiej u wstępu doby porozbiorowej<br>1795—1815 . . . . .               | 16  |
| 3. Anglja a Polska . . . . .                                                                   | 33  |
| 4. Ze stosunków polsko-pruskich . . . . .                                                      | 44  |
| 5. Prowokacja w przeszłości . . . . .                                                          | 49  |
| 6. Sprawa dysydencka 1764—1766 . . . . .                                                       | 55  |
| 7. Kościół katolicki a Katarzyna II (1772—1784) . . . . .                                      | 65  |
| 8. Daudibert Caille (1796) . . . . .                                                           | 74  |
| 9. Z przeszłości Czarnogórza (1806) . . . . .                                                  | 81  |
| 10. Widoki polsko-galicyjne Rosji w 1809 r. . . . .                                            | 88  |
| 11. O sprawie polskiej w r. 1812 . . . . .                                                     | 97  |
| 12. Powrót Napoleona z Moskwy (według zapisek Wąsowicza) . .                                   | 113 |
| 13. Apetyty pruskie . . . . .                                                                  | 121 |
| 14. Zjazd w Puławach w r. 1814 . . . . .                                                       | 126 |
| 15. Założenie Królestwa Polskiego w r. 1815 . . . . .                                          | 132 |
| 16. Fryderyk Gentz a Polska (1794—1831) . . . . .                                              | 150 |
| 17. Wolność druku w Królestwie Kongresowem 1815—30 . . .                                       | 157 |
| 18. Kompanja krymska Mickiewicza . . . . .                                                     | 162 |
| 19. Wiktor Hugo a Polska . . . . .                                                             | 168 |
| 20. Z niedawnej przeszłości . . . . .                                                          | 172 |
| 21. O Śląsk, o byt . . . . .                                                                   | 182 |
| 22. Przemówienie na grobie Kościuszki w Solurze 17. X. 1921<br>o Odrodzeniu Ojczyzny . . . . . | 186 |

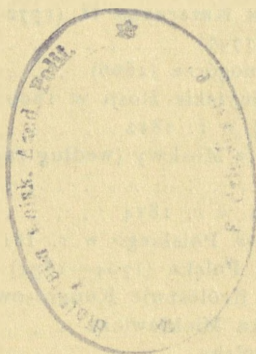


## PORTRETY

|       |                                                        |     |
|-------|--------------------------------------------------------|-----|
| 23.   | Washington . . . . .                                   | 193 |
| 24.   | Fryderyk i Washington . . . . .                        | 199 |
| 25.   | Ignacy Potocki . . . . .                               | 203 |
| ✓ 26. | Tadeusz Kościuszko . . . . .                           | 213 |
| ✓ 27. | Ksiązę Józef Poniatowski . . . . .                     | 232 |
| ✓ 28. | Generał Michał Sokolnicki . . . . .                    | 246 |
| ✓ 29. | Czartoryski . . . . .                                  | 252 |
| 30.   | List Sołtyka . . . . .                                 | 285 |
| 31.   | Leopold Kronenberg . . . . .                           | 292 |
| ✓ 32. | Tadeusz Wojciechowski . . . . .                        | 310 |
| ✓ 33. | Tadeusz Korzon (50-lecie pracy naukowej) . . . . .     | 313 |
| 34.   | Fryderyk Masson . . . . .                              | 329 |
| 35.   | Wspomnienie o prawym historyku (Max Lehmann) . . . . . | 339 |
| 36.   | Głos nauki (Lehmann, Prusy i Polska) . . . . .         | 351 |

## MISCELLANEA I DOKUMENTY

|     |                                                                                                                   |     |
|-----|-------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| 37. | Napoleon a Litwini przed wojną 1812 r. . . . .                                                                    | 367 |
| 38. | Narada Aleksandra I z Polakami w Puławach w r. 1814 (do-<br>datek do nr 15: Zjazd w Puławach w r. 1814) . . . . . | 369 |
| 39. | Zagrożenie Kodeksu Napoleona przy utworzeniu Królestwa<br>Polskiego . . . . .                                     | 374 |
| 40. | Do charakterystyki Lubeckiego . . . . .                                                                           | 377 |
|     | Indeks . . . . .                                                                                                  | 387 |
|     | Spis ilustracyj . . . . .                                                                                         | 399 |



# ERRATA

CHRISTOPHER DAWSON — TWORZENIE SIĘ EUROPY

| Str. | Wiersz  |         | Jest             | Powinno być      |
|------|---------|---------|------------------|------------------|
|      | od góry | od dołu |                  |                  |
| 93   | 1       |         | Boga             | Bogu             |
| 105  |         | 2       | W. Shetelig      | H. Shetelig      |
| 157  | 2—3     |         | prześladowały    | prześladowały    |
| 163  |         | 16      | Justyniana       | Juliana          |
| 233  |         | 1       | sytemowi         | systemowi        |
| 242  |         | 15—14   | Cadwallowa       | Cadwallona       |
| 259  | 8       |         | fatalna          | fatalna dla      |
| 261  |         | 5       | dawny,           | dawny            |
| 266  | 15      |         | jest             | jak              |
| 275  | 12      |         | J. Sheteliga     | H. Sheteliga     |
| 306  | 14      |         | ostateczne.      | ostateczne       |
| 342  |         | 17      | Innsburck        | Innsbruck        |
| 368  | 5       |         | Indeks . . . . . | Indeks . . . 349 |





36841 /  
2